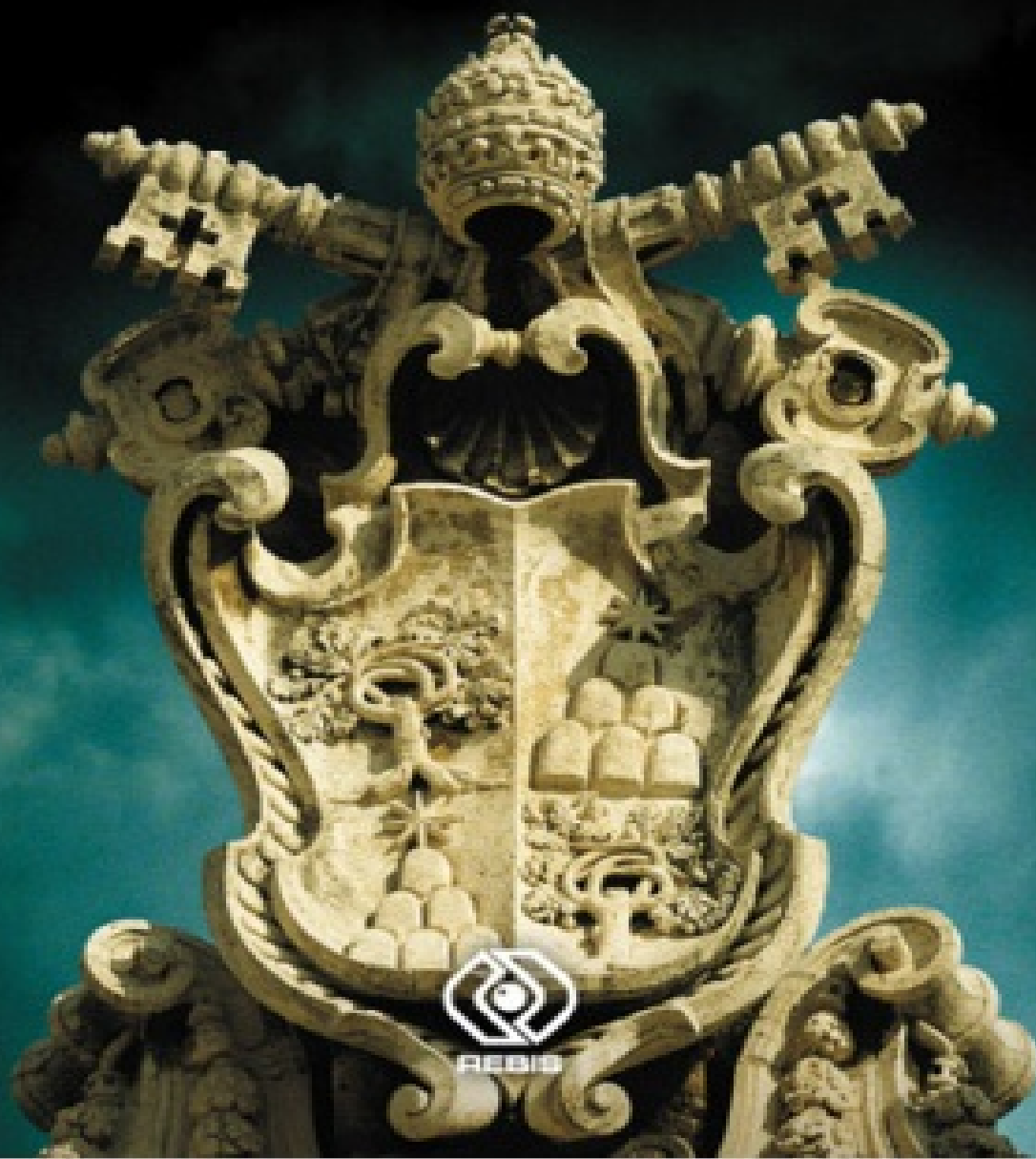


CORRADO AUGIAS

SEKRETY WATYKANU

Historie, miejsca i ludzie tysiącletniej potęgi



Tytuł oryginału: *I segreti del Vaticano*

Copyright © 2010 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2012

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Redakcja merytoryczna: dr hab. Maciej Forycki, Tomasz Kwiecień

Redakcja: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: © Shutterstock

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Sekrety Watykanu, wyd. I, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-039-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Sekrety Watykanu

Kiedyś miewałem sny na temat Kościoła. Śniłem o Kościele, który kroczy drogą ubóstwa i pokory, który nie posiada władzy na tym świecie. (...) O Kościele, w którym jest miejsce dla osób potrafiących myśleć w sposób bardziej otwarty. O Kościele dodającym odwagi nade wszystko tym, którzy czują się małutcy lub grzeszni. Śniłem Kościół młody. Dzisiaj już nie miewam tego rodzaju snów. Po ukończeniu siedemdziesiątego piątego roku życia postanowiłem modlić się za Kościół.

CARLO MARIA MARTINI,
Conversazioni notturne a Gerusalemme

Wstęp. Inne oblicze Rzymu

Zdarzenia przedstawiane w tej książce nie dotyczą Kościoła katolickiego pojmowanego jako przedmiot wiary, którego duchowni i wierni często są bardzo ofiarni. Zebrano tu niektóre znaczące wydarzenia dotyczące Stolicy Apostolskiej (Watykanu), to znaczy suwerennego państwa mającego swoje organa władzy, terytorium (nawet jeśli symboliczne), sztandar, hymn, pieniądz, armię (także symboliczną), jak również placówki dyplomatyczne rozsiane po całym świecie i akredytowanych ambasadorów (nuncjuszy apostolskich).

Zwrot „znaczące wydarzenia” może tu być dwojako rozumiany. Znaczenie najbardziej oczywiste odnosi się do tego, że przebieg owych zdarzeń był rezultatem pewnych okoliczności politycznych i historycznych. Znaczenie mniej oczywiste zaś mówi, że zdarzenia te, nieraz nacechowane okrucieństwem, a nawet krwawą przemocą, pokazują, jak straszliwą cenę Kościół katolicki zapłacił za to, aby trwale zjednoczyć swoją misję duchową z polityczną naturą swego państwa. Można by tu mówić o próbie pojednania nieba i ziemi, niewinności świętych z przebiegłością władców lub też, odwołując się do języka ewangelii, o Bogu i Mamonie.

Na tego rodzaju pomieszanie wielokrotnie zwracali uwagę ludzie wielkiego ducha czy oświeconego rozumu przynależący do Kościoła. Od momentu, gdy wraz z cesarzem Teodozjuszem (koniec IV wieku) chrześcijaństwo stało się religią państwową, nie było epoki, w której nie odzywałyby się głosy nawołujące Kościół do odrzucenia złota i purpury oraz powrotu do pobożnej pokory swoich początków. Więzy polityki są jednak niezwykle silne i jedynym sposobem uwolnienia się z nich byłaby odważna i definitywna separacja, do której jednak nigdy nie doszło. Głosy sprzeciwu pozostały więc w mało znaczącej mniejszości. Określano je mianem „ubogacającego dialogu”, lecz przynajmniej do tej pory był to dialog między głuchymi.

Ta fundamentalna dwuznaczność znajduje odzwierciedlenie w postaci papieża. Gdy bowiem on przemawia, prawie nigdy jasno nie wiadomo, czy czyni to jako duchowy

przywódca wielkiej religii, jako przewodnik i pasterz swego stada, czy też jako głowa suwerennego państwa, monarcha skupiający w swojej osobie całą władzę: ustawodawczą, wykonawczą i sądową. Już bowiem sam jego tytuł, *pontifex maximus*, wskazuje na podwójną naturę: najwyższego i dożywotniego władcę jednej z nielicznych, jeżeli nie jedynej, jeszcze istniejącej monarchii absolutnej.

Osoby zainteresowane pogłębieniem znajomości owej potężnej struktury światowej odsyłam do zamieszczonego na końcu książki *Dodatku*, w którym dokonałem kilku koniecznych rozróżnień między Watykanem, Stolicą Apostolską i Kościołem katolickim.

Według powszechnie przyjmowanej tezy silny wpływ, jaki Kościół czasami wywiera na dzieje świata, a być może nawet sam fakt jego nieprzerwanego istnienia na przestrzeni wieków jest właśnie skutkiem owej podwójnej tożsamości. Bez wątplenia jest to w ciągu dwudziestu wieków historii jedyny przypadek wyznania religijnego posiadającego tak niewzruszoną strukturę państwową. W czasach starożytnych zdarzało się, że władza polityczna pełniła także funkcje religijne. Nigdy jednak nie zdarzyło się coś przeciwnego, to znaczy, by autorytet religijny przyjął pewną konkretną formę polityczną. Nie ma też wątpliwości, że – obok wyraźnych korzyści materialnych – ten stan rzeczy bardzo zaważył na czysto duchowym oddziaływaniu Kościoła, gdyż pomimo różnego rodzaju prób dostosowania trudno pojednać Boga i Mamonę.

Jak czytelnik będzie miał okazję się przekonać, poszczególne rozdziały tej książki dotyczą postaci i zdarzeń, które obejmują okres od starożytności do czasów nam współczesnych. Pierwszy rozdział mówi nawet o pewnym cesarzu, który panował, gdy Watykan nie był jeszcze tym, czym jest teraz. W pewnym sensie stanowi to wykroczenie poza nasze ramy tematyczne, jednak w celu uzyskania szerszego oglądu wydawało się wskazane poczynić pewne dygresje, aby uchwycić dynamikę, dzięki której lepiej się zrozumie późniejsze wypadki, całe dzieje, profile czy charakter niektórych postaci.

Jednak mówić o Watykanie to nade wszystko znaczy mówić o Rzymie. Od IV wieku prawie do końca wieku XIX historia watykańska i dzieje tego miasta nakładają się.

Niektóre opisane tu zdarzenia pod pewnymi względami naprawdę odzwierciedlają to, co sygnalizuje tytuł naszego *Wstępu*: „inne oblicze Rzymu”.

Książka ta nie rości sobie pretensji do miana wyczerpującego studium ani tematycznie, ani chronologicznie. Zawiera opowieści, o których wyborze zdecydowały znaczenie zdarzeń (minionych lub współczesnych), jak również wiedza, czysto osobista i wyrywkowa, zadziwienie, częste wizyty w opisywanych miejscach będących scenerią dziejów: powtórzę raz jeszcze – jest to „inne oblicze Rzymu”.

1. Dom cały ze złota

Neron, według Tacyta (jednego z najlepszych starożytnych historyków), nie tylko skazywał chrześcijan na męki, ale też „śmierci ich przydano to urągowisko, że okryci skórą dzikich zwierząt ginęli rozszarpywani przez psy albo przybici do krzyżów, albo przeznaczeni na pastwę płomieni i gdy zabrakło dnia, palili się, służąc za nocne pochodnie. Na to widowisko ofiarował Neron swój park i wydał igrzysko w cyrku, gdzie w przebraniu woźnicy z tłumem się mieszał lub na wozie stawał. Stąd, chociaż ci ludzie byli winni i zasługiwali na najsurowsze kary, budziła się ku nim litość, jako że nie dla pożytku państwa, lecz dla zadośćuczynienia okrucieństwu jednego człowieka byli traceni”¹.

Początki obecności chrześcijan w Rzymie, mieście, które miało się stać stolicą katolicyzmu, były więc jak najgorsze. Prześladowania następowały jedno po drugim; niektóre, na przykład te rozporządzone przez Dioklecjana, wyjątkowo okrutne. Wyznawcy nowej religii byli na ogół źle widziani. W *Żywotach cesarów* Swetoniusz pisze, że w roku 41 cesarz wygnał Żydów z Rzymu, gdyż podżegani przez Chrystusa stale się buntowali. Gdy Paweł przybył do stolicy cesarstwa, krótko po roku 60, przywódcy wspólnoty żydowskiej powiedzieli mu, że owa „sektę” wszędzie napotyka przeszkody. Swetoniusz pisze także, że na chrześcijan nałożono sankcje, gdyż podejrzewano ich o praktykowanie czarnej magii.

W drugiej połowie I wieku chrześcijaństwo było tylko jednym z wielu różnych nurtów judaizmu o niezbyt wyróżniających się cechach. Tacyt w *Rocznikach* (XV, 44) wyjaśnia, jak w konsekwencji pożaru w Rzymie, spowodowanego prawdopodobnie przez Nerona, łatwo było podpalenie zarzucić chrześcijanom, gdyż cieszyli się oni złą sławą.

Aby zrozumieć powody owej złej opinii, trzeba pamiętać, że w Rzymie religia była z natury czymś publicznym i politycznym. Już *Prawo Dwunastu Tablic* wymagało, by

nikt nie czcił „własnych bogów, ani nowych, ani obcych, jeżeli nie zostali oni uznani przez państwo”. Na skutek tego Rzymianie podchodzili negatywnie jedynie do religii podejrzanych politycznie. Chrześcijanie, choć ani nie głosili, ani nie praktykowali żadnych niebezpiecznych rytów, odznaczali się kilkoma trudnymi do zaakceptowania cechami. Gdy domagano się od nich podania „danych osobistych” (używając współczesnej nomenklatury), wielu tego nie czyniło, odmawiali również służby wojskowej. Przyznawali jedynie, że wywodzą się od Jezusa Chrystusa, i odmawiali podporządkowania się władzy, czego nie tolerowano.

Żydom i chrześcijanom zarzucano nienawiść do rodzaju ludzkiego, gdyż żyli w odizolowanych wspólnotach, nie uczestniczyli w życiu publicznym, a nade wszystko w ceremoniach religijnych, które w Rzymie miały wymiar patriotyczny i obywatelski. Ponadto nie pozwalali na umieszczenie ich boga w panteonie obok innych bóstw, upierali się przy niezrozumiałym monoteizmie i głosili, że ich bóg jest jedynym prawdziwym. Zasada *Pax romana*, obejmując wiele kultów i narodów, polegała natomiast na współistnieniu różnych religii; roszczenia chrześcijan i Żydów naruszały tę strukturę przede wszystkim dlatego, że cesarz uosabiał całą władzę – religijną i cywilną. Żydzi byli wyznawcami religii obcej tradycyjnym kultom państwowym. Chrześcijanie zaś wydawali się jeszcze bardziej niebezpieczni od Żydów, którzy nie usiłowali nikogo nawracać i prosili jedynie o możliwość sprawowania kultu we własnych świątyniach, w obrębie swych wspólnot.

Łatwo więc zrozumieć, dlaczego Neron wskazał na chrześcijan, czyniąc ich winnymi zniszczeń spowodowanych przez pożar w 64 roku. W każdej kulturze istnieje pewna mniejszość etniczna, polityczna lub religijna, na którą łatwo jest rzucić winę, wykorzystując do tego celu jej złą opinię.

Neron nazaczył jednak w sposób istotny nie tylko dzieje wczesnego chrześcijaństwa.

W Rzymie jest obecnie pewne miejsce szczególnie fascynujące, nawet jeżeli składają się na nie jedynie gołe mury, milczące dziedzińce, zniszczone kamienne

wnętrza ożywione jedynie tu i tam resztkami fresków i mozaik. Chodzi o Domus Aurea – Złoty Dom, ogromną budowlę, którą Neron nakazał wybudować dla siebie.

Co jest przyczyną zachwytu, jaki ogarnia zwiedzającego ten wystawny królewski pałac? Być może postać samego Nerona, który pozostał symbolem rozpasanej władzy i woli; jednak mnie bardziej poruszają ślady ludzi przez blisko dwieście lat, między XVI a XVII wiekiem, schodzących przez otwór w suficie do sal, które z upływem wieków znalazły się pod ziemią, wypełnione piachem i gruzem. Ludzie ci, skuleni na zwałach ziemi, przy słabym świetle lamp (do dziś widać czarne okopcone smugi), przyglądali się freskom, kopiując ornamenty, które potem stały się sławne i znane jako „groteski”: motywy roślinne wymieszane z postaciami ludzkimi i zwierzęcymi, rzadko realistycznymi, niemal wszystkie tworzone z wyobraźni; słowem – świat fantastyczny, w którym ludzie, rośliny i zwierzęta zlewają się w dziwaczne przedstawienia na granicy żartu i halucynacji. Słowo „groteska” wywodzi się tu od „groty”, gdyż właśnie grotami stały się owe podziemne pomieszczenia zasypane piachem i gruzem aż po strop. (Ich odkrycie pociągnęło za sobą szaloną modę na starożytnie przedmioty w otoczeniu rzymskich ruin, którą można porównać jedynie do „egiptomanii”, jaką wywołały wyprawy napoleońskie na początku XIX wieku).

Aby zyskać wyobrażenie o wspaniałości tej budowli, wystarczy pomyśleć, że posąg o wysokości 35 metrów (jak dwunastopiętrowy budynek) mieścił się cały w przedsionku. Prawdopodobnie to od tej monumentalnej rzeźby wzięło w średniowieczu swoją nazwę Koloseum. Grecki rzeźbiarz Zenodor wykonał postać nagiego cesarza z insygniami słońca, wyciągniętym prawym ramieniem, podczas gdy zgięte lewe podtrzymywało kulę. Z korony na głowie odchodziło siedem promieni (każdy długi na 6 metrów) symbolizujących władzę absolutną i słońce, z którym cesarz się utożsamiał.

Swetoniusz mówi, że w domu tym znajdowały się trzy portyki długie na milę, „sadzawka na kształt morza, otoczona budynkami na kształt miasta. Także partie wiejskie, urozmaicone polami uprawnymi, winnicami, pastwiskami, lasami, z całą mnogością wszelkiego rodzaju bydła i dziczyzny”². Całą dolinę, gdzie pośrodku wznosi się amfiteatr Flawiuszów (Koloseum), wypełniało jezioro, o którym

Swetoniusz pisze (przesadzając), że było „na kształt morza”. Znajdowały się tam polichromie, w których Rzymianie nie mieli sobie równych. Materiały zwożono z Hiszpanii, Namibii, Trypolitanii, Egiptu, Azji, Grecji, Galilei, Kapadocji. Przeplatały się w nich różne kolory i formy, wyjątkowe pod względem piękna przedstawień; w następnych wiekach rzymscy kamieniarze przydawali im nazwy, które znaczą całą epokę: święta brama, ślimacznica wschodnia, pawik, wężyk, granit obeliskowy, granit afrykański i najbardziej ze wszystkich ceniony porfir czerwony zarezerwowany dla cesarza.

Te cuda żyły niewiele dłużej niż ich właściciel. Już jego następcy w znacznej mierze je zniszczyli. Domicjan nakazał zburzyć budynki na Palatynie, inni zasypali jezioro, by przygotować teren pod Koloseum, Hadrian zaś nakazał wyburzyć na wzgórzu Welia przedsionek Domus Aurea, aby wybudować świątynię Wenery. Pawilon na wzgórzu Oppius (ten, który dzisiaj się zwiedza) przetrwał do 104 roku, kiedy częściowo zniszczył go pożar. Gdy później Trajan zarządził, by w tej okolicy wzniesiono termy, architekt Apollodoros z Damaszku nakazał całkowicie zburzyć wszystkie większe budowle i pozostałości wypełnić ziemią, tworząc tym sposobem ogromne fundamenty pod nowe zabudowania. Światło zagarnęły ciemności; złocenia, freski, różnokolorowe marmury zasypano tonami glinianych skorup i gruzów. Przepytych zmienił się w ruiny i na kilka wieków o nim zapomniano, dzięki czemu częściowo zachowały się fragmenty tej niesamowitej budowli.

Seria zdarzeń, które doprowadziły Nerona do cesarskiego tronu, naznaczyłaby każdego człowieka. Gdy wszystko się zaczęło, przyszły cesarz był młodym chłopcem. Jego matka, Agrypina Młodsza, urodziła go w wieku dwudziestu trzech lat (15 grudnia 37 roku naszej ery). Ojcem był mężczyzna, którego nie kochała, starszy od niej o trzydzieści lat, arogancki i rozwiązły patrycjusz, do którego poślubienia zmusił ją Tyberiusz. Nazywał się Gnejusz Domicjusz, a zwano go Ahenobarbusem z powodu rudego zarostu (syn także będzie się tak nazywał). Agrypina we wspomnieniach napisała – według Pliniusza Starszego – że dziecko przyszło na świat nóżkami do

przodu, co uznano za zły znak.

Dopiero później przyłgnęło do niego imię „Neron”. Według uczonego Auliusza Gelliusza (*Noctes atticae*) w języku sabińskim słowo to oznaczało „silny, odważny”; dopiero z upływem czasu zaczęły przywoływać zupełnie inne skojarzenia związane z postacią tego cesarza, wskazując na kolor ciemności i piekiel (*nero* znaczy czarny).

Matka Nerona, siostra Kaliguli i córka wielkiego wodza Germanika, była piękna, uwodzicielska, wyrachowana, ambitna, zdolna do mądrego rozporządzania wszelkiego rodzaju pochlebstwami, tak słownymi, jak i – może z jeszcze lepszym skutkiem – tymi, które oferowało jej ciało. Agrypina, a ściślej mówiąc Agrypina Młodsza czy też Julia Agrypina, córka innej Agrypiny zwanej Starszą, żony Germanika, niczego sobie nie odmawiała, nawet kazirodczych relacji z bratem Kaligulą, w których brały udział także inne siostry.

W roku 41 Kaligula został zamordowany i na tronie zasiadł Klaudiusz, brat Germanika i stryj Agrypiny, uważany przez rodzinę i innych jedynie za marionetkę. Gdy dobiegał pięćdziesiątki, dano mu za żonę piętnastoletnią dziewczynkę, która miała zasłynąć swą lubieżnością. Była nią Mesalina, znana z erotycznych wyczynów, która zginęła młodo i tragicznie.

Zaledwie po pięciu miesiącach Agrypina została żoną cesarza, zupełnie nie zważając na to, że mąż był bratem jej ojca, czyli był to kolejny związek kazirodczy. W jej myślach dominował jednak Lucjusz Domicjusz, ale nie dlatego, że kochała swego prawie pełnoletniego syna, lecz dlatego, że miała na uwadze cele, jakie za jego pośrednictwem mogła osiągnąć. Wiedziała, że manipulując Lucjuszem, zdoła uzyskać to, co dla niej jako kobiety było nieosiągalne.

Jednym z jej pierwszych posunięć było odwołanie z długiego i męczącego wygnania Lucjusza Anneusza Seneki, najbłyskotliwszego ówczesnego myśliciela, i uczynienie go nauczycielem syna. Sprawiała też, że jej mąż i stryj, cesarz Klaudiusz, adoptował Lucjusza Domicjusza, który teraz nazywał się Neronem Klaudiuszem Druzusem Germanikiem. Następnym krokiem było zapewnienie Neronowi odpowiedniego małżeństwa. Gdy tylko skończył szesnaście lat, jego żoną została Oktawia, dwunastoletnia córka nieopłakiwanej przez nikogo Mesaliny, która – z tego,

co nam wiadomo – zupełnie nie poszła w ślady matki.

Na drodze do tronu stało jednak kilka poważnych przeszkód. Pierwszą był Klaudiusz, który dopiero co skończył sześćdziesiąt lat i cieszył się dobrym zdrowiem, a drugą jego syn Brytanik, chłopiec nieśmiały i introwertyczny, którego nagłe pojawienie się Nerona w „rodzinie” brutalnie zepchnęło w cień. Klaudiusz został otruty odpowiednio przyrządzonymi grzybami, które uwielbiał. 13 października 54 roku siedemnastoletni Neron został ogłoszony cezarem zarówno przez tłumy, jak i przez pretorianów, którzy uczestniczyli w spisku. Tacyt (*Roczniki*, XIII, 2) podaje, że wieczorem tego samego dnia jeden z trybunów udał się do niego, aby zapytać, według żołnierskiego zwyczaju, o hasło dla wartowników. Neron miał odpowiedzieć: *Optima mater*, najlepsza z matek. W pałacu cezara nieszczęsny Brytanik został zupełnie sam. Niebawem spotkał go los ojca: on także został otruty.

Pomimo młodego wieku cesarz postępował w sposób bardzo umiarkowany. Znany jest epizod, gdy musząc podpisać wyrok śmierci, pełen goryczy wykrzyknął: „Wolałbym nigdy nie nauczyć się pisać”. Utrzymywał bardzo poprawne kontakty z senatem, choć zawsze cechowało je pewne napięcie. W mistrzowskiej przemowie inauguracyjnej (napisanej przez Senekę) zapewniał, że przyjął to stanowisko, gdyż chciało tego wojsko, a także dlatego, że zaaprobował go senat; mówił, że w młodości nie splamił sobie rąk krwią ani wojen domowych, ani sporów rodzinnych, a więc w sercu nie żywi do nikogo żalu; z naciskiem podkreślił, że położy kres korupcji i intrygom. Krótko mówiąc, doskonały początek.

Ponadto pokój sprzyjał rozwojowi handlu, ceny ziemi i nieruchomości rosły, co przysporzyło znacznych zysków przedsiębiorcom, którzy podejmowali prace publiczne na wielką skalę, ograniczając bezrobocie.

Poważny kryzys wybuchł po zamordowaniu biednego Brytanika. Ponieważ trup natychmiast zsiniał, co wskazywało na otrucie, Neron rozповідаł, że przyczyną śmierci chłopca był atak epilepsji, i natychmiast nakazał spalić ciało na Polu Marsowym. Znającemu prawdę Senece powierzono zadanie wyjaśnienia senatowi przyczyny tak pospiesznych ceremonii pogrzebowych. Sławny myśliciel raz jeszcze świetnie się spisał: „Zwyczajem naszych przodków było usuwanie jak najszybciej

sprzed oczu żyjących ciał osób przedwcześnie zmarłych, by nie przedłużać męki rozstania mowami pogrzebowymi i rozbudowanymi ceremoniami”.

Agrypina Młodsza była wzburzona okrutnym postępkiem syna: zabójstwa Brytanika dokonano na jej oczach, w tej samej sali, w której ona otruła Klaudiusza. Uświadomiła sobie, że Neron podejmuje ważne decyzje, nie pytając jej o radę. Poza tym Neron, ze wzgardą traktujący swoją żonę Oktawię, zakochał się w niewolnicy imieniem Akte, która uwiodła go swoją miłosną sztuką.

W ciągu kilku miesięcy sytuacja stała się nieznośna i dla matki, i dla syna. Bardziej niż *optima mater* cesarz słuchał głosu ludu. Agrypina jednak nie ustępowała. To dzięki niej syn zdobył tron, to ona otruła męża, aby to przyspieszyć, a on teraz odsuwa ją na bok. Na początku zorganizowała kilka spisków na jego życie, a gdy się nie powiodły, zmieniła kierunek: będąc atrakcyjną kobietą, starała się uwieść syna. W wieku czterdziestu lat ciągle była piękna i budziła pożądanie, a nade wszystko miała ogromne doświadczenie w sprawach miłosnych i była wyćwiczona, według Tacyta (*Roczniki*, XIV, 2), do wszelkiej podłości (*exercita ad omne flagitium*):

Agrypina w swej żądzy utrzymania się przy władzy zaszła tak daleko, że w południe, w której to porze Neron czuł się podniecony winem i jadłem, nieraz się pijanemu narzucała, wystrojona i gotowa do kazirodztwa; a (...) lubieżne pocałunki i poprzedzające występki pieszczoty zwracały uwagę najbliższego otoczenia.

Seneka, zaniepokojony rozwojem wydarzeń, zasugerował Akte, by powiadomiła cesarza, że wojsko nie będzie posłuszne świętokradczemu przywódcy. Neron pojął przesłanie. Sama obecność matki stała się dla niego nie do zniesienia i zaczął się zastanawiać, jak się jej pozbyć: *veneno an ferro vel qua alia vi*, trucizną, żelazem czy w inny sposób. Nie było to jednak takie łatwe: miłość i nienawiść nierozzerwalnie się spletały. Nawet w chwilach, gdy oddalał matkę i nie chciał jej widzieć, Nerona nachodziły rozpustne fantazje, których była przyczyną i obiektem.

Zdaje się, że sposób na zabicie Agrypiny wymyślił Anicet, przywódca floty przy Misenum. W marcu 59 roku zaproszono ją do Bajów na uroczystości ku czci

Minerwy: z dala od Rzymu wszystko miało być łatwiejsze. Agrypina przyjęła zaproszenie i przybyła na miejsce, gdzie syn serdecznie ją powitał. Spożyli razem wieczerzę, a przy stole Agrypina zajmowała miejsce honorowe, po lewej stronie cezara. Gdy skończyli posiłek, przez jakiś czas beztrosko rozmawiali, po czym Agrypina poprosiła o zgodę na odpłynięcie. Neron odprowadził ją na pokład statku, „patrzac głębiej w jej oczy i mocniej tuląc się do jej piersi, czy to, by miary obłudy dopełnić, czy też, że w ostatniej chwili widok matki, która miała zginąć, nawet jego dzikie serce przykuwał”³.

Nocne niebo było usiane gwiazdami, a morze spokojne (*Noctem sideribus inlustrem et placido mari quietam*). Statek poruszany wiosłami oddalał się, sunąc po ciemnej i nieruchomej wodzie. Agrypina w towarzystwie niewolnicy Acerronii usadowiła się na rufie na wystawnym łożu z baldachimem, nieświadoma, że na niezbyt solidnym zadaszaniu spoczywa kilka kwintali ołowiu. W pewnej chwili ów ciężar spadł na łóżko. Jednak oparcia zamortyzowały siłę uderzenia, a nagłe przechylenie się statku sprawiło, że niedosze ofiary wpadły do morza.

Acerronia, nie rozumiejąc, w jak groźnej sytuacji się znalazła, zaczęła wołać o pomoc, krzycząc, że jest matką cezara. Została zabita ciosami wiosł i drągów. Przebiegła Agrypina zaś cicho odpłynęła i przez kanał dotarła do jeziora Lucrino.

Obrażenia po zamachu były lekkie: Agrypina miała tylko niewielką ranę na plecach. Bardziej niepokojąca od kondycji fizycznej była jej sytuacja, nawet jeżeli, jako doskonała aktorka, udała, że nie zrozumiała tego, co się stało, i przez niewolnika posłała Neronowi wiadomość, że dzięki dobroci bogów uszła cało z niebezpiecznego wypadku.

Cezar, który oczekiwał zupełnie innego rezultatu, odczytawszy wiadomość w obecności świadków, zaczął się obawiać zemsty. Nie wiedząc, co począć, przywołał Senekę i prefekta pretorianów Sekstusa Burrusa. Filozof spytał Burrusa, czy nie byłoby najlepiej rozkazać żołnierzom natychmiast zabić Agrypinę, ten jednak odpowiedział, że jego ludzie, szanujący pamięć Germanika, nie odważyliby się zgładzić jego córki. W obawie, że pretorianie odmówiliby wykonania rozkazu, co miałyby groźne konsekwencje polityczne, zaproponował inne rozwiązanie. Skoro

przyczyną całego nieszczęścia był Anicet, dowódca floty, niech on pomyśli, jak ów problem rozwiązać. Opis znanego w historii matkobójstwa znajduje się w *Rocznikach* Tacyta (XIV, 8):

Mordercy otaczają jej łóżce, a pierwszy trierarcha uderzył ją pałką w głowę. Kiedy setnik dobywał już miecza, aby jej zadać cios śmiertelny, nadstawiając żywota, zawołała: „Ty ugodź” – i pod wielu razami wyzionęła ducha.

Mówi się, że na wieść o śmierci matki Neron zawołał: „Teraz dopiero naprawdę stałem się władcą cesarstwa”. Prawda to czy nie, ukazuje, jak wielki wpływ Agrypina wywierała na syna w ciągu pierwszych pięciu lat jego panowania. Pozostał już tylko Seneka, nauczyciel, filozof, który starał się zachować równowagę, krocząc po ostrzu miecza. Z jednej strony nie sprzeciwiał się kaprysom młodego władcy, nie wyłączając zabójstw, z drugiej usiłował je wykorzystać dla dobra ogółu. Seneka był znawcą ścieżek wyższej moralności; w dziele *O łagodności*, będącym częścią *Dialogów*, a nade wszystko w stu dwudziestu czterech *Listach moralnych do Lucyliusza* przedstawił etykę stoicką, wyjaśnił koncepcję dążenia do cnoty i praktykowania wolności rozumianej w sensie najwyższym, bo poczynając od wolności wewnętrznej. Wyprzedził nawet swą epokę, głosząc szacunek dla wszelkiego żywego stworzenia, miłość dla ludzi niskiego pochodzenia, nieszczęśliwych, a także niewolników.

Jak wytłumaczyć to, że człowiek o takim talencie i tak wzniosłych uczuciach praktykował lichwę, nawet jeżeli były to, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, „bankowe” pożyczki? Jak mógł się naśmiewać z zamordowanego cezara Klaudiusza w *Apocolocyntosis*, co można by przetłumaczyć jako „apoteozę dyni”? Klaudiusz wprawdzie miał opinię głupca i to on skazał Senekę na siedem lat bolesnego wygnania na Korsyce, jednak naśmiewanie się z człowieka bezpośrednio po jego śmierci jest rzeczą niegodziwą. Co powiedzieć o błyskotliwym wytłumaczeniu pośpiesznej kremacji biednego Brytanika? Z punktu widzenia cezara zawsze można znaleźć polityczną motywację nawet w przypadku najbardziej podłych czynów. Pozostaje jednak faktem, że tego wszystkiego dopuszczał się największy (i najbardziej poruszający) myśliciel, jakiego w owym czasie miał Rzym.

Jak wytłumaczyć te sprzeczności? Może uciekając się do snu, o którym jest mowa u Platona, a w którym na czele państwa staje filozof, aby zapewnić przywódcy szlachetnego przewodnika. Poza tym należy pamiętać, że panowanie Nerona zaczęło się bardzo pozytywnie.

Prawdopodobnie gdyby nie było Seneki, wydarzenia przybrałyby o wiele gorszy obrót. Jeżeli chodzi o różne oskarżenia pod jego adresem, niektóre dyktowała zazdrość; tym zaś, którzy zarzucali mu sprzeczność między życiem a napisanymi dziełami, odpowiadał: „Mędrzec czyni także rzeczy, których nie pochwała”, potem zaś, cytując innych filozofów, lecz z myślą o sobie, dodawał:

Wszyscy ci bowiem mówili nie o tym, jak sami żyją, ale jak sami żyć winni. Ja mówię o cnocie, nie o sobie, i kiedy piętnuję występki, przede wszystkim piętnuję swoje własne, a skoro tylko potrafię, żyć będę, jak żyć należy⁴.

Trudna relacja Seneki i Nerona tak czy owak zakończyła się klęską. Seneka, zrozumiałwszy, że jego wysiłki idą na marne, postanowił w 62 roku wycofać się z życia publicznego. Powiedział do władcy: „Aleśmy już obaj dopełnili miary: ty w tym, ile cesarz może dać przyjacielowi, ja w tym, ile przyjaciel może od cesarza przyjąć”⁵, tym samym zaproponował więc swego rodzaju przyjacielski układ, co jednak nie wystarczyło, aby go ocalić. Trzy lata później filozof wziął udział w jednym z najślawniejszych i złożonych spisków politycznych starożytności, spisku Pizona, w którym sprzysiężyli się przywódcy senatu i wojska, by uwolnić się od Nerona.

Seneka raz jeszcze zachował się w sposób genialnie dwulicowy. Bezpośrednio nie uczestniczył w spisku, nie odrzucił jednak propozycji Pizona ani na niego nie doniósł. Neron natychmiast skorzystał z okazji, aby pozbyć się nauczyciela, którego zaczął uważać za nieznośnego. Do willi na via Appia, gdzie przebywał filozof, wysłał przedstawiciela pretorianów z rozkazem cesarskim, by ten odebrał sobie życie. Na temat śmierci Seneki Tacyt napisał jedną z niezapomnianych stronic (*Roczniki*, XV, 63). Warto ją przeczytać:

Skoro te i inne podobne słowa wyrzekł jakby pod adresem ogółu, uściskał żonę i – wbrew sile ducha w tej chwili – nieco wzruszony prosi ją i błaga, aby się miarkowała i nie oddawała nieustannej boleści, lecz

rozpatrując jego życie spędzone w cnotcie, starała się tą szlachetną pociechą swej tęsknocie za mężem ulżyć. Ona natomiast stanowczo oświadcza, że także postanowiła umrzeć, i żąda dłoni siepacza. Wtedy Seneka, nie sprzeciwiając się jej pragnieniu sławy, a zarazem na tyle ją kochając, że nie chciał szczególnie umiłowanej istoty wobec grożących jej krzywd opuszczać, tak rzekł: „Ja wskazałem ci ukojenie życia, ty wolisz zaszczyt śmierci. Nie pozazdrozczę ci takiego przykładu. Choć w tej tak mężnej śmierci oboje pokażemy równą stałość, więcej blasku będzie w twoim zgonie”. Potem takim samym cięciem żelaza otwierają sobie żyły w ramionach. Seneka, którego starcze i skromnym wiktem wycieńczone ciało zbyt wolny dawało krwi upust, podciął sobie także żyły goleni i kolan; a srogą męczarnią wyczerpany, radzi małżonce odejść do innego pokoju, bojąc się, aby jego ból nie złamał w niej odwagi i aby sam, patrząc na jej męki, nie poddał się słabości. Ponieważ zaś w ostatniej jeszcze chwili życia dopisywała mu wymowa, wezwanym sekretarzom dyktował bardzo wiele myśli, które jako ogłoszone w jego własnych słowach przekształcać omieszkam.

Paulina, ukochana żona, została odratowana *in extremis*, a ponieważ wszystko na tym świecie ma swój cień, niektórzy utrzymują, że kobieta tylko udawała, że chce umrzeć, aby pocieszyć konającego męża. Może to tylko oszczerstwa. Filozof tymczasem, widząc, że śmierć nadchodzi zbyt wolno, nakazał podać sobie truciznę, jak Sokrates, i udał się do łaźni parowej, gdzie umarł, dusząc się. Miał sześćdziesiąt osiem lat.

O Neronie można by mówić jeszcze długo. Kroniki historyczne dotyczące go są barwne, pełne szczegółów okrutnych, obscenicznych, groteskowych.

Jedną z ważniejszych kobiet w jego życiu była Poppea Sabina, także z powodu dość specyficznego początku ich relacji. Poppea najpierw poślubiła Rufria Crispa, który za Klaudiusza był prefektem pretorianów, później zaś została żoną Marka Salwiusza Otona. Dzięki rozmaitym intrygom udało się jej dostać do pałacu cesarskiego i w otoczenie cesarza, który stracił dla niej głowę do tego stopnia, że oddalił własną żonę Oktawię, rozgłaszając pod jej adresem ohydne oszczerstwa i grożąc pomstą.

Biedna Oktawia skończyła marnie, jak wielu innych wrogów Nerona: zesłana na wygnanie do jakiejś zapomnianej miejscowości, została uduszona przez pretorianów, którzy wpierw przecięli jej żyły na rękach i nogach. Jej odciętą głowę wysłano do Rzymu, aby mąż mógł osobiście się przekonać, że jego rozkaz został wypełniony. Natomiast Poppea została prawdziwą wielką panią, twórczynią i kolekcjonerką

luksusów. (Warto tu wspomnieć, że August i Tyberiusz gardzili wszelkimi przejawami przepychu; Kaligula umarł, zanim mógł zrealizować swoje sny o wystawności; za Klaudiusza życie w pałacu przybrało styl, który dzisiaj określilibyśmy mianem „burżuazyjnego”; biedna Oktawia zaś, zepchnięta na drugi plan i niekochana przez męża, nie miała możliwości, aby w jakikolwiek sposób wpływać na funkcjonowanie dworu).

To wraz z Poppeą w życie Nerona po raz pierwszy wtargnął przepych i wyrafinowanie. Cezar był jej za to wdzięczny, pisał nawet wiersze o jej długich blond włosach i jasnej cerze. Kobiety w Rzymie nie mówiły o niczym innym, tylko o jej fryzurze i perłowej karnacji: starały się przeniknąć jej tajemnice, plotkowały, gubiły się w domysłach na temat jej ekscesów.

Pliniusz Starszy w *Historii naturalnej* pisze, że pięknej i kapryśnej Poppei, gdy podróżowała, towarzyszyło czterysta oślic, w których mleku się kąpała, aby swojej skórze nadać jedyną w swoim rodzaju biel i świeżość. Juwenalis zapewnia, że nakładała maskę, aby chronić twarz przed zanieczyszczeniami powietrza. Najprawdopodobniej był to nawilżający okład, który Poppea nakładała wieczorem, dając tym samym początki współczesnej kosmetyce.

Pomimo niewątpliwego samouwielbienia i czasu, jaki poświęcała zabiegom upiększającym, Poppea była kobietą inteligentną i myślącą. Józef Flawiusz w *Dawnych dziejach Izraela* zapewnia, że „bała się Boga”, i opisuje ją jako osobę przychylną Żydom. Według innych źródeł Poppea, z natury ciekawa i bystra, interesowała się chrześcijaństwem, gdyż pociągała ją dziwność religii, która uczyniła Bogiem wichrzyciela ukrzyżowanego jako kryminalista w odległej prowincji.

Nigdy się nie dowiemy, ile prawdy było w tych wszystkich pogłoskach, które krążyły z różnych przyczyn, nie wyłączając tych dyktowanych przez interesowność. Pewne jest natomiast, że rodzące się chrześcijaństwo wzbudzało zainteresowanie, a czasem głęboki niepokój. Nowa religia, jak wiele innych, przybyła do Rzymu ze Wschodu. W latach, o których mówimy, nie miała jeszcze wyraźnej formuły, jednak pewne cechy sprzyjały jej rozprzestrzenianiu się wśród ludzi ubogich, niewolników i żołnierzy, podobnie jak to było z wiarą w Mitrę, pod wieloma względami bardzo

podobną do chrześcijaństwa. Chrześcijaństwo docierało jednak także do wyższych sfer społeczeństwa rzymskiego i zaczęło mieć wyznawców nawet pośród osób z otoczenia cesarza.

Krótko po skończeniu trzydziestu pięciu lat Poppea nagle zmarła. Mówiło się, że została otruta przez męża; że Neron, w napadzie gniewu, zabił ją kopniakami – tak później mówiono o Konstantynie i jego żonie. Niezależnie od przyczyny jej śmierci cesarz chciał, by ceremonie pogrzebowe były wspaniałe: zwłoki wniesiono na forum w uroczystej procesji i Neron osobiście wygłosił laudację z tej samej trybuny, z której Antoniusz wygłosił mowę pogrzebową na cześć Cezara. Ciało Poppei zostało zabalsamowane i, według Pliniusza, cała Arabia nie byłaby w stanie wytworzyć takich pachnideł, jakich Neron nakazał użyć, aby zachować jej urodę.

Sławny i tajemniczy pożar Rzymu w roku 64, jedno z ważniejszych wydarzeń w historii miasta za życia Nerona, ściśle wiąże cesarza, jak zaraz zobaczymy, z rodzącym się ruchem chrześcijańskim.

Między pierwszą i drugą nad ranem 19 lipca zadyszany posłaniec dotarł do Anizo, gdzie cesarz właśnie przebywał w jednej ze swoich rezydencji, z wieścią, że pali się Circus Maximus, a płomienie zagrażają budynkom pałacowym. Neron natychmiast ruszył do Rzymu, gdzie przybył akurat na czas, by zobaczyć, jak olbrzymia część miasta przemieniła się w pogorzelnisko, w tym także fragmenty jego siedziby. Minęło sześć dni, zanim opanowano płomienie. Aby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, celowo burzono wiele budynków. Spaliły się domy mieszkalne i sklepy, świątynie i sanktuaria, również te poświęcone Weście, gdzie znajdowały się bóstwa opiekuńcze rzymskiego ludu, arcydzieła sztuki greckiej i wiele „starożytnych dzieł”. Spaliło się ponad dziesięć procent miasta, włącznie z forum położonym na południe od via Sacra.

Natychmiast też rozległy się głosy, że to sam Neron rozkazał podłożyć ogień, i wielu z naciskiem to powtarzało. Pliniusz w *Historii naturalnej* pisze o tym tak, jakby była to rzecz pewna: „Neron nakazał spalić Rzym”. Podobnie Kasjusz Dion:

„Chciał zrealizować projekt, o którym zawsze marzył: za swego życia zniszczyć cały Rzym i cesarstwo”. Jeszcze w VI wieku taki moralista jak Boecjusz pisał w *O pocieszeniu, jakie daje filozofia*: „Jakich przestępstw, ilu nieszczęść przysporzył Neron, wstrętny potwór, który spalił stolicę świata”.

Jednak autorem, który w tej chwili najbardziej nas interesuje, jest Tacyt, a ten daje takie oto świadectwo (*Roczniki*, XV, 44):

„Nie ustępowała hańbiąca pogłoska i nadal wierzono, że pożar był nakazany. Aby ją więc usunąć, podstawił Neron winowajców i dotknął najbardziej wyszukanymi kaźniami tych, których znienawidzono dla ich sromot, a których gmin chrześcijanami nazywał. Początek tej nazwie dał Chrystus, który za panowania Tyberiusza skazany został na śmierć przez prokuratora Poncjusza Pilatusa; a przytłumiony na razie zgubny zabobon znowu wybuchnął, nie tylko w Judei, gdzie się to zło wylęgło, lecz także w stolicy, dokąd wszystko, co potworne albo sromotne, zewsząd napływa i licznych znajduje zwolenników. Schwytano więc naprzód tych, którzy tę wiarę publicznie wyznawali, potem na podstawie ich zeznań ogromne mnóstwo innych, i udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu.

„Nikczemne czyny”, „nienawiść do rodzaju ludzkiego”: oto cechy, które wielki dziejopis przypisuje chrześcijaństwu i jego wyznawcom z przyczyn, jakie starałem się wyjaśnić na początku tego rozdziału. Powszechnie się twierdzi, nawet jeżeli trudno to bezsprzecznie udowodnić, że pośród olbrzymiej rzeszy męczenników był także św. Piotr, którego Kościół uważa za „pierwszego pośród apostołów”.

Tacyt, pisząc zaledwie pół wieku po tych wydarzeniach, zaznacza: „Nie wiemy, czy katastrofa ta była wynikiem przypadku czy przewrotności cezara”, potem jednak dodaje, że osobom starającym się stłumić płomień przeciwstawiali się inni, którzy rzucając pochodnie, krzyczeli, że wypełniają rozkazy. Swetoniusz jest jeszcze bardziej jednoznaczny: Neron podpalił Rzym w sposób tak bezczelnie jawny, że wielu dostojników, mimo że spostrzegli na terenie swoich posiadłości poddanych z pochodniami, nie ośmieliło się ich powstrzymać.

Dlaczego cesarz, nawet jeżeli był szalony, miał dopuścić się przestępstwa na taką skalę, które ściągnęło na niego gniew ludu? Według Tacyta popchnęło go do tego pragnienie stworzenia miasta piękniejszego niż to, które istniało, i nazwania go Neropolis. Kasjusz Dion i Swetoniusz podzielają tę hipotezę: w swoim szaleństwie, dodają, Neron zazdrościł Priamowi owego wspaniałego uczucia, jakie towarzyszyło

oglądaniu zniszczenia własnego miasta i królestwa. Owi historycy, nawet jeżeli nie byli bezpośrednimi świadkami tych zdarzeń, podają, że gdy pożar się rozprzestrzenił, Neron, czy to „z tarasu swego pałacu” (Tacyt), czy „z wieży Mecenasas” (Swetoniusz), czy też z „wysokości Palatynu” (Kasjusz Dion), w stroju poety, z kitarą w ręku i wawrzynowym wieńcu na głowie, wyśpiewywał pieśni o zniszczeniu Troi, „porównując obecne zniszczenie z ową odległą w czasie katastrofą”, z której narodził się Rzym.

Czy było to jego dzieło czy też nie, cesarz zupełnie oszalał: pisał wiersze, komponował muzykę, recytował, chciał być wspomniany jako deklamator i poeta, nie zaś przywódca polityczny. Wprowadził się do nowego Domus Aurea, który w większości został już ukończony. Nie niepokoiły go wieści, że w Galii (pod wodzą Windeksa) i w Hiszpanii (z Galbą na czele) legiony wystąpiły przeciw niemu. Po słumieniu tak wielu spisków i rebelii, prawdziwych czy wymaginionowanych, wierzył, że upora się także z tymi.

Tak się jednak nie stało. W mieście zaczęło brakować zboża, gdyż zmały jego dostawy, a cesarz tracił kontakt z rzeczywistością, co jest fatalne dla władcy. Pod koniec maja wybuchł bunt. Galba maszerował w stronę Rzymu. Neron planował nową wyprawę do Egiptu, jednak wierni pretorianie, którzy zawsze mu towarzyszyli, tym razem odmawiali pójścia za nim. Miał zaledwie trzydzieści jeden lat i po raz pierwszy był sam. Pewnej nocy nawiedziły go koszmary. Wstał z łóżka i odkrył, że strażę go opuściły, „zabierając ze sobą koce i kradnąc nawet cyborium z trucizną”. Posłał więc po kogoś, kto by go zabił, lecz nikt taki się nie znalazł. Swetoniusz pisze (*Żywoty cesarów*, VI, 48):

Ofiarował się wyzwoleniec Faon ze swoją willą podmiejską między drogą Salaryjską a Nomentańską, przy czwartym kamieniu milowym. Nero, tak jak stał, boso i w samej tunice, narzucił wypłowiałą oponczkę, nakrył głowę, twarz zasłonił chustką do nosa i wsiadł na konia, mając ze sobą tylko czterech towarzyszy.

Niewielka grupa ukradkiem przybyła do willi; nie chcąc się pokazywać w głównym wyjściu, Neron starał się utorować sobie drogę przez zarośla i rozdarł odzienie o jeżyny, po czym położył się na stercie słomy. Po krótkim odpoczynku nakazał wykopać dół, który miałby jego rozmiary, i podczas gdy ludzie wykonywali

polecenie, kilkakrotnie głosem niezbyt pewnym wykrzykiwał: *Qualis artifex pereo!*, jakież to artysta umiera! Załamany płakał i zachęcał kilku obecnych, żeby się zabili, aby swoim czynem dodać mu odwagi; nikt go nie posłuchał. Oto koniec wszystkiego.

Już zbliżali się konni, którym polecono przywlec go żywego. Gdy to usłyszał, (...) wbił żelazo w szyję przy pomocy swego sekretarza, Epafrodyta. Jeszcze oddychał, gdy wpadł centurion i rzucił mu opończę na ranę, udając, że przybył z pomocą. Nero odpowiedział tylko: „Za późno” i jeszcze: „Oto wierność”. Z tymi słowami na ustach skonał. Oczy wyszły mu na wierzch, nieruchome, budząc wstręt i grozę widzów. (*Żywoty cesarów*, VI, 49)

Neron umarł, a nowa religia nazywana „chrześcijaństwem” nadal się rozprzestrzeniała. Tertulian, teolog chrześcijański działający w Kartaginie na przełomie II i III wieku, powiedział, myśląc o prześladowaniach pierwszych wyznawców: *Semen est sanguis christianorum*, krew męczenników jest nasieniem Kościoła.

¹ *Roczniki*, XV, 44, 2, w: Publius Cornelius Tacitus, *Dzieła*, t. 1, przeł. Seweryn Hammer, Czytelnik, Warszawa 1957.

² *Żywoty cesarów*, VI, 31, w: Gajus Swetonius Trankwillus, *Żywoty cesarów*, przeł. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Ossolineum, Wrocław 1969.

³ Tacyt, *Roczniki*, XIV, 4.

⁴ *O życiu szczęśliwym*, XVIII, w: Lucjusz Anneusz Seneka, *Dialogi*, przeł. Leon Joachimowicz, Zysk i S-ka, Poznań 1996.

⁵ Tacyt, *Roczniki*, XIV, 54.

2. *Papiescy halabardnicy*

Wieczorem 4 maja 1998 roku znaleziono trzy ciała w obrębie watykańskich murów, w jednym z apartamentów leżących w pobliżu papieskiego pałacu. Dwaj mężczyźni i kobieta zabici strzałami z broni palnej.

Owych troje to osoby znane. Pułkownik Alois Estermann, lat czterdzieści cztery, był komendantem watykańskiego wojska, dowódcą słynnej Gwardii Szwajcarskiej, znanym z odwagi. Pułkownik został mianowany dowódcą tego samego dnia, w którym go zabito. Leżąca pod ścianą jego żona, Gladys Meza Romero, lat czterdzieści dziewięć, pochodząca z Wenezueli, pracowała w przedstawicielstwie swego kraju przy Stolicy Apostolskiej. Na podłodze, podobnie jak dowódca, leżał także wicekapral Cédric Tornay, najmłodszy z całej trójki, urodzony w szwajcarskim Monthey 24 lipca 1974 roku, a więc w chwili śmierci liczący dwadzieścia cztery lata.

Potrójne zabójstwo wywołało w Watykanie chaos. Trwało to jednak krótko: w ciągu kilku godzin sprawę zamknięto, choć śledztwo, które przyniosło niewiele rezultatów, ciągnęło się jeszcze przez wiele miesięcy. Głosów jednak, nade wszystko tych spoza Włoch, nie dało się uciszyć: za wiele było niejasności, za dużo szczegółów podważających oficjalną wersję i w konsekwencji budzących wątpliwości, rodziły się pytania, które pozostawały bez odpowiedzi.

Żołnierze byli członkami najstarszego i prestiżowego oddziału papieskiej gwardii: setki młodych ludzi wyselekcjonowanych spośród Szwajcarów od wieków słynących z waleczności. Już Tacyt pisał: „Helweci to lud rycerski, sławny z powodu waleczności swych żołnierzy”. Do nich to tradycyjnie należy obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa Stolicy Apostolskiej, ochrona papieża oraz obrona murów watykańskich. Są obecni na wszystkich najbardziej uroczystych ceremoniach, ubrani w jaskrawe mundury, które według legendy zaprojektować miał sam Michał Anioł.

Owa watykańska zbrodnia nigdy nie została wyjaśniona w sposób zadowalający. W sprawie tego potrójnego zabójstwa jedynie dwie rzeczy są pewne. Pierwsza to ta, że

wersja oficjalna absolutnie nie odpowiada przebiegowi wydarzeń. Druga natomiast jest taka, że matce Cédrica Tornaya, pomimo próśb wielokrotnie kierowanych do papieża, nie zostało okazane najmniejsze współczucie i pociecha; nigdy nie otrzymała ona odpowiedzi. Muguette Baudat musiała zadowolić się wersją oficjalną, według której jej syn Cédric zabił małżeństwo Estermannów, a potem popełnił samobójstwo.

Taką wersję kilka godzin po znalezieniu zwłok podał rzecznik prasowy Watykanu Joaquín Nawarro-Valls, były dziennikarz, członek Opus Dei. Zgodnie z jego rekonstrukcją zdarzeń wicekapral Tornay, wściekły z powodu nieotrzymania oczekiwanego odznaczenia (zwanego „Benemerenti”), w napadzie gniewu zemścił się na komendancie i zabił go wraz z jego żoną. Potem zaś, w szoku, odebrał sobie życie. Rzecznik dodał, że młodzieniec cierpiał na zaburzenia umysłowe i zażywał narkotyki (*cannabis*); autopsja wykryje w mózgu cystę, która miała zdecydowanie pogorszyć kondycję psychiczną Tornaya. Kończąc rekonstrukcję zdarzeń, Nawarro-Valls powiedział: „Nie uważam, by autopsja mogła rzucić nowe światło na to, co się stało”.

5 lutego 1999 roku dekret podpisany przez adwokata Gianluigiego Marronego, który w Watykanie pełnił funkcję jedyne go sędziego, mówił, że „na podstawie dowodów zebranych w czasie śledztwa wymiar sprawiedliwości potwierdza wcześniejsze wnioski, a nie widząc konieczności wszczęcia postępowania karnego (...), ogłasza, że nie należy wszczynać procedury karnej w związku ze śmiercią pułkownika Aloisa Estermana, pani Gladys Meza Romero Estermann i wicekaprała Cédrica Tornaya, i nakazuje przenieść akta do archiwum”.

Na ponawiane prośby pani Baudat rzecznik odpowiedział: „Rozumiem i szanuję jej ból, musimy jednak uszanować też prawdę ustaloną w długim i skrupulatnym śledztwie”. Potrzeba było dziewięciu miesięcy na to, by dojść do takich samych wniosków, jakie rzecznik Watykanu przedstawił zaledwie kilka godzin po zdarzeniach.

W poprzednim rozdziale, poświęconym epoce Nerona, pierwsi chrześcijanie dopiero zaczynali się pojawiać na scenie. Byli żarliwymi wyznawcami wiary, która narodziła się w Izraelu jako jeden z nurtów judaizmu i rozwijała na zachodzie. Przewróciwszy tylko kilka stron, którym w rzeczywistości odpowiada dwadzieścia wieków, znaleźliśmy się w samym środku zbrodni i stanęliśmy w obliczu faktów, które się nam wymykają, wobec sprzecznych wersji zdarzeń, wyraźnie odbiegających od prawdy, jak wykazały prowadzone równoległe śledztwa dziennikarskie. Przeniknięcie „sekretów Watykanu” oznacza także podjęcie starań, aby ukazać i wyjaśnić bezkresną otchłań, jaka dzieli wiernych, którzy decydowali się na męczeństwo, śpiewając chwałę Bogu, od przewrotnych mechanizmów regulujących funkcjonowanie tworów politycznych i państwowych.

Mapa załączona do traktatów laterańskich, podpisanych przez Mussoliniego i kardynała Gasparriego 11 lutego 1929 roku, pokazuje, że Państwo Miasta Watykańskiego mieści się praktycznie w obrębie murów „leoniańskich”. Pierwszy ich pas został wzniesiony przez Leona IV w latach 848–852 dla obrony wzgórza watykańskiego i bazyliki Piotrowej. Miał on być zaporą w razie inwazji Saracenów, którzy złupili Rzym w 846 roku za pontyfikatu Sergiusza II. Leon IV wznosił mury, podążając za planami po części wytyczonymi już przez swego poprzednika Leona III.

Prace postępowały szybko. Tak zwane *domuscultae* (gospodarstwa-twierdze tworzone we wczesnym średniowieczu dla zaludnienia obszarów wiejskich) dostarczały rąk do pracy potrzebnych do realizacji tak wielkiego przedsięwzięcia. Przy budowie wykorzystano także Saracenów pojmanych w bitwie pod Ostią w 849 roku. Mury wzniesiono w ciągu czterech lat dzięki pomocy finansowej cesarza Lotara I i króla Longobardów Liutpranda oraz materiałom budowlanym uzyskanym po zburzeniu zabudowań starożytnych. Leon IV był niestrudzony: osobiście doglądał prac, wydawał polecenia robotnikom, błogosławił, modlił się. W ciągu wieków ów pierwotny pas murów był wielokrotnie poprawiany i rozbudowywany. Prawdziwe i właściwe mury watykańskie, które obecnie wyznaczają granicę tego państwa, wzniesiono później z woli Piusa IV, Pawła III i Urbana VIII.

Warto zaznaczyć, że na skutek owej rozbudowy sławne Passetto di Borgo przestało

być linią graniczną i znalazło się w samym środku zabudowań miejskich, jak to widać dzisiaj, i zaczęło pełnić zupełnie inną funkcję. Tym sposobem Passetto (czy też Corridoio) stało się drogą łączącą papieskie pałace z Zamkiem św. Anioła i umożliwiającą ucieczkę.

To „wyjście ewakuacyjne”, oddziałujące na wyobraźnię powieściopisarzy (odrestaurowane z okazji jubileuszu w roku 2000), stało się źródłem mitów i legend. Amerykański autor Dan Brown, pisarz nie najwyższych lotów, lecz pełen fantazji inscenizator, tam właśnie umiejscowił akcję jednego z bardziej dynamicznych fragmentów powieści *Anioły i demony*. Gioacchino Belli zaś napisał o nim sonet (*Er Passetto de Castel Sant'Angelo*, 17 grudnia 1845 roku), który tak się kończy:

Pod osłoną zamku może do woli się bawić
Ojciec Święty, jeśli za nim przyniosą półmiski
Pan podczaszy i sługa, co umie kucharzyć.
Pod flagą biało-żółtą niestraszne mu spiski,
Może stamtąd, gdy zechce, zbożnie błogosławić
Albo z hukiem posyłać armatnie pociski.

Nie trzeba wiele, by wyczuć kąśliwą ironię tego wiersza. W każdym razie poeta doskonale uchwycił istotę rzeczy. Przejście to, o długości około 800 metrów i wznoszące się nad ziemią, umożliwiała papieżowi i jego otoczeniu bezpieczne przedostanie się w razie potrzeby z budynków Watykanu do fortecy. To papież Mikołaj III w 1277 roku wpadł na pomysł takiego właśnie wykorzystania tego fragmentu murów wzniesionych przez swego odległego w czasie poprzednika Leona IV. Jak zobaczymy, jedna z bardziej dramatycznych potrzeb skorzystania z tego przejścia pojawiła się w maju 1527 roku.

Linia murów, tak przed rozbudową, jak i potem, tworzy kształt podkowy. Zaczyna się przy zamku, okrąży bazylikę, wspina się na Gianicolo i opada ku Tybrowi. Są to mury potężne, u podstawy grube na cztery metry, usiane na modłę rzymską czterdziestoma czterema wieżami i kilkoma bramami, po części zachowanymi.

Zniszczenie centralnej części dzielnicy zwanej „spina di Borgo” i utworzenie via della Conciliazione znacznie zmieniło ich wygląd. Jednak pomimo licznych modyfikacji i wyburzeń poczynionych dla ułatwienia ruchu kołowego mury te nadal

opowiadają o wielu związanych z nimi wydarzeniach tym, którzy zatrzymują się, aby odczytywać umieszczone tam liczne duże tablice, napisy i papieskie herby.

W Rzymie papieży owa leoniańska część miasta przez wieki była symbolem niezwyciężonej monarchii papieskiej. Po powrocie z niewoli awiniońskiej, która trwała od 1309 do 1377 roku, papieże zaczęli sobie uświadamiać, że Watykan jest łatwiejszy do obrony niż Lateran, ich pierwsza rezydencja, przede wszystkim dzięki fortecy, jaką był Zamek św. Anioła. Tak więc zaczęli wznosić i umacniać nowe budowle w obrębie murów leoniańskich, które także odnowiono, rozbudowano i wzmocniono; utworzono nowe bramy dla potrzeb zarówno militarnych, jak i mieszkalnych.

Na osiemnastowiecznej mapie wykonanej przez Mariana Vasiego (*Vetus Planum Urbis Romae*) widać główne bramy, między innymi Turrionis, która została zburzona i zastąpiona przez Porta Cavalleggeri, nazwaną tak z powodu pobliskich koszar⁶: przez nią wkroczyły w 1527 roku najemne oddziały cesarza Karola V.

Na przeciwległym końcu Passetto, na wprost placu św. Piotra, zaczyna się via di Porta Angelica. W przeszłości ulica ta wiodła do Porta Angelica. W konsekwencji zawartego w 1929 roku konkordatu, znanego jako „pojednanie”, po lewej stronie owej ulicy wzniesiono nowy mur wyznaczający granicę między dwoma państwami. Dzisiaj znajduje się tu Porta Sant’Anna, jedyne wejście dla turystów i mieszkańców Watykanu. Od ponad pół wieku na straży stoją tu papiescy żołnierze – halabardnicy. Lepiej powiedzieć Gwardia Szwajcarska.

Obecnie będziemy mówili o niej, o niezwykłych czynach najstarszej armii świata, jedynych żołnierzach rekrutowanych na podstawie wiary religijnej. W długiej historii Watykanu istniały różne formacje militarne; na przykład w XIX wieku zostały utworzone Gwardia Szlachecka i Gwardia Palatyńska, które potem zostały rozwiązane; w XVI wieku służyła tu Gwardia Korsykańska, był to jednak epizod, gdyż została rozwiązana w następnym stuleciu.

Natomiast Gwardia Szwajcarska istnieje nieprzerwanie od 1506 roku, gdy Juliusz II z rodu Della Rovere (papież-mecenas Michała Anioła) poprosił państwa Związku Szwajcarskiego, aby pozwoliły mu na rekrutację kilkudziesięciu młodych żołnierzy

dla utworzenia gwardii mającej go chronić. Już jego poprzednicy (Sykstus IV, Innocenty VIII, Aleksander VI) starali się utworzyć formację wojskową, jednak to ten papież oficjalnie zapoczątkował istnienie pułku gwardii.

22 stycznia 1506 roku oddział stu pięćdziesięciu najemnych żołnierzy, którzy wyruszyli pieszo z Lucerny wzdłuż via Francigena, wkroczył do Rzymu. Przez całą drogę przewodził mu komendant Kaspar von Silenen, któremu towarzyszył prałat Hertenstein. Stu pięćdziesięciu halabardników (*Gwardiknechte*) najpierw zatrzymało się w Mediolanie, gdzie Hertenstein otrzymał – jako papieską zaliczkę na poczet późniejszych wydatków – pięćset dukatów od filii banku Fuggerów. Później Szwajcarzy zrobili postój w Acquapendente, na południu Toskanii, aby pobrać następne dwieście dukatów. W końcu 21 stycznia przybyli do bram Rzymu i następnego dnia, po wkroczeniu do Wiecznego Miasta, przemaszerowali od Porta del Popolo przez Campo de' Fiori na wzgórze Watykanu. Dotarłszy do celu, po tym długim marszu (około 750 kilometrów) w samym środku zimy, zameldowali się papieżowi, po czym udali do kwater.

Alzacki prałat Giovanni Burchard, mistrz ceremonii na papieskim dworze i skrupulatny kronikarz, zanotował w dzienniku: „22 stycznia 1506, pod wieczór, oddział stu pięćdziesięciu szwajcarskich żołnierzy pod wodzą kapitana Kaspara von Silenena przeszedł przez Porta del Popolo i wkroczył do Rzymu”.

Juliusz II był papieżem wojowniczym jak żaden inny. Jednym z jego celów było umocnienie Państwa Kościelnego i ponowne włączenie w jego obręb utraconych terenów. Myśląc o osobistej ochronie, za wzór obrał króla Francji, który od 1497 roku powierzył ochronę swojej osoby oddziałowi stu uzbrojonych żołnierzy. Juliusz II na początku pragnął podwoić tę liczbę, musiał jednak zadowolić się stu pięćdziesięcioma rekrutami.

Dzisiaj oddział gwardii to stu dziesięciu żołnierzy: pułkownik-komendant, oficerowie, podoficerowie i zwykli halabardnicy. Prestiżu i scenograficznego uroku przydają im mundury, których projekt, jak już mówiłem, przypisuje się Michałowi Aniołowi. Współczesny jaskrawy renesansowy strój żółto-niebiesko-pomarańczowy nawiązuje do barw Medyceuszy i jest owocem długiej pracy pułkownika Jules'a

Réponda (komendanta w latach 1910–1921), który inspirował się Rafaelem. Mundur galowy obejmuje również zbroję i hełm hiszpański zwany „morione”, zwieńczony strusimi piórami i charakterystycznymi wywiniętymi do góry czubkami. Poza tym jest także skromniejsza wersja, na którą składają się niebieskie spodnie i kurtka z wielkim białym kołnierzem. Mundur Szwajcarów od dawna stanowi część folkloru watykańskiego i w konsekwencji także rzymskiego.

Nie brakowało oczywiście krytyków: Stendhal na przykład nie był entuzjastą tego munduru. W swoich *Promenades dans Rome* pod datą 7 marca 1828 roku napisał:

po prawej stronie kolumnady zauważyłem kilka groteskowych postaci odzianych w materiał w paski żółte, czerwone i niebieskie; byli to dzielni Szwajcarzy uzbrojeni w dzidy i ubrani na modłę XV wieku.

Nieco później, w 1864 roku, gdy Hippolyte Taine zobaczył żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej w Kaplicy Sykstyńskiej, określił ich jako *bariolés* i *vetus d'un costume opéra* – pstrokatych i ubranych, jakby mieli wystąpić w operze.

Prawdziwym chrztem bojowym tej małej jednostki i dowodem jej absolutnego oddania, według formuły ślubowania mówiącej o ofierze z życia, był 6 maja 1527 roku, dla Rzymu dzień fatalny, gdyż miasto przeżyło wtedy jedną z najgorszych w dziejach inwazji. Po kilkugodzinnej, niezwykle krwawej walce horda około czterestu tysięcy najemników cesarskich dowodzonych przez Georga von Frundsberga, przełamawszy opór przy bramach Santo Spirito i Torrione, wtargnęła do miasta. (Po włosku określano ich mianem *lanzichenecchi*, słowo to wywodzi się od *Landsknechte* będącego złożeniem słów *Land*, ziemia, i *Knecht*, sługa. Byli to piechurzy sławni w całej szesnastowiecznej Europie, prawdziwi zawodowcy). Te budzące strach oddziały, składające się z najemników bawarskich, tyrolskich i hiszpańskich, były głównymi bohaterami *sacco di Roma* („splądrowania Rzymu”).

Te właśnie wojska wtargnęły do dzielnic Borgo Santo Spirito i San Pietro, a Gwardia Szwajcarska, zgromadzona przy obelisku, który w owych latach leżał na ziemi obok bazyliki, stawiała rozpaczliwy opór. Podczas walki na miecze i halabardy Szwajcarzy, będący w mniejszości, wycofali się aż do ołtarza św. Piotra. Jednak i stamtąd zostali odepchnięci. Walczące strony dotarły aż do wnętrza Kaplicy Sykstyńskiej i Stanz Watykańskich. Napastnicy, chcąc zbeczczyć to miejsce, wryli

ostrzem szpady nazwisko Lutra na fresku *Dysputa o Najświętszym Sakramencie*, drugi napis zaś wynosił pod niebiosa cesarza Karola V.

W owych czasach plądrowanie miast było prawem wojsk najemnych, które nie otrzymywały żołdu. Przywilej ten obejmował także gwałty, co powszechnie praktykowano. W Rzymie „lanzichenecci” wyważali drzwi klasztorów i gwałcili nawet mniszki klauzurowe. Skalę owych przestępstw można wytłumaczyć tym, że oddziały niemieckie składały się z zażartych luteranów (reformacja zaczęła się zaledwie dziesięć lat wcześniej), dla których papież był ucieleśnieniem Antychrysta, a Rzym Wielką Nierządnicą. Popychał więc ich do tego nie tylko zapal zwycięzców, rzecz zwyczajna dla najemników, lecz także straszliwy duch zemsty. Skutki dla ludności i całego miasta były druzgoczące. Gwardia papieska poświęciła większość swoich ludzi, aby umożliwić papieżowi Klemensowi VII i najwyższym watykańskim dostojnikom przejście przez Passetto i schronienie się w Zamku św. Anioła. Zginęło stu czterdziestu siedmiu halabardników, śmierci uniknęło zaledwie czterdziestu dwóch.

Oddziały niemieckie i hiszpańskie, które wdarły się do miasta przez mosty Sykstusa i Sant'Angelo, łupiły je i niszczyły przez osiem dni. Otwarto i ograbiono nawet grobowce papieży, włącznie z grobem Juliusza II, który zmarł zaledwie kilka lat wcześniej (w 1513 roku). W sumie zginęło ponad dziesięć tysięcy osób i zrabowano kilka milionów dukatów. Do łupiestwa i gwałtów doszły też antypapieskie drwiny. W jednej z procesji zorganizowanych pod Zamkiem św. Anioła, to znaczy na oczach Klemensa VII znajdującego się za jego murami, wyszydzano rzymskie rytuały i długo wznoszono gromkie okrzyki: *Vivat Lutherus pontifex*.

5 czerwca, miesiąc po wtargnięciu do miasta wrogich oddziałów, papież podpisał w końcu kapitulację na bardzo niekorzystnych warunkach: zobowiązał się do opuszczenia fortec w Ostii i Civitavecchii, oddania Modeny, Parmy i Piacenzy, wypłacenia czterystu tysięcy dukatów i wysokiego okupu za uwolnienie licznych jeńców. Poza tym, co ważne dla naszej opowieści, Gwardia Szwajcarska została rozwiązana, a zastąpiło ją dwustu *lanzichenecci*: cztery kompanie niemieckie i hiszpańskie. Papieżowi udało się wynegocjować, aby ocalali Szwajcarzy zostali

wcieleni do nowej gwardii, jednak tylko dwunastu z nich zgodziło się wstąpić w szeregi znienawidzonych *lanzichenecchi*. Minęło dwadzieścia lat, zanim Paweł III w 1548 roku zdecydował się przywrócić oddział halabardników papieskich w pierwotnej postaci.

Na pamiątkę owych tragicznych zdarzeń na via Penitenziari umieszczono popiersie Bernardina Passeriego wraz z napisem:

W tym miejscu 6 maja 1527 roku, owinięty flagą, którą wyrwał nacierającym cesarskim hordom, zginął w obronie ojczyzny skąpany we krwi własnej i nieprzyjaciela, Bernardino Passeri, rzymianin, złotnik, ojciec rodziny. Aby jego przykład był nauką i zachętą dla następnych pokoleń, cech złotników w Rzymie swemu bratu w sztuce i według serca wspomnienie poświęca 25 października 1885.

Inną pamiątką tamtych dni jest to, że rekruci wcielani do Gwardii Szwajcarskiej do dzisiaj przysięgają wierność papieżowi w tym samym dniu, w którym ich poprzednicy dokonali najwyższego poświęcenia, to znaczy 6 maja każdego roku. Żołnierze, w galowych mundurach, zbierają się na dziedzińcu św. Damazego i wysłuchują roty wygłaszanej przez kapelana: „Przysięgam służyć wiernie, z oddaniem i honorem biskupowi Rzymu i jego prawomocnym następcom, poświęcać się dla nich i ofiarować, gdy zajdzie taka potrzeba, życie w ich obronie. To samo zobowiązanie podejmuję w stosunku do Świętego Kolegium Kardynałów, dopóki nie zostanie wybrany nowy papież. Ponadto obiecuję komendantowi i innym przełożonym szacunek, wierność i posłuszeństwo. Przysięgam. Niech Bóg i nasi święci patroni mnie wspomagają”. Rekruci, jeden po drugim, z lewą dłonią na sztandarze gwardii i prawą uniesioną z wyprostowanymi trzema palcami (symbol Trójcy), składają przysięgę.

Po wydarzeniach z maja 1527 roku ta jednostka wojskowa miała wiele innych chlubnych doświadczeń, może poza jednym, do którego doszło w Perugii w 1859 roku, powszechnie znanym jako „rzeź w Perugii”. Podczas wojny francusko-austriackiej około ośmiuset żołnierzy z Perugii zaciągnęło się dobrowolnie do armii sabaudzkiej. W tym samym czasie w mieście powstawał komitet powstańczy, który po nieudanych pertraktacjach z legatem papieskim proklamował powstanie rządu tymczasowego, który oddał miasto Wiktorowi Emanuelowi II. Natychmiast też stało

się oczywiste, że Pius IX nie chce utracić tej części swoich posiadłości, a nawet że będzie skłonny dla przykładu stłumić ten bunt. Rząd tymczasowy nakazał obywatelom przygotować się do obrony miasta.

20 czerwca wojska papieskie liczące około dwóch tysięcy żołnierzy, w większości Szwajcarów pod wodzą pułkownika Antona Schmidta, stanęły u bram miasta. Oddziały ochotników, źle wyszkolonych i gorzej uzbrojonych, stawily im opór, szybko jednak zostały pokonane, a w walkach zginęło dziesięciu żołnierzy papieskich i trzydziestu obrońców Perugii. Szwajcarzy wtargnęli do miasta i dopuścili się takiej samej przemocy jak trzysta lat wcześniej *lanzichenecchi*.

Godne wzmianki jest zachowanie Placida Acquacotty, opata klasztoru św. Piotra, który w zakamarkach i piwnicach monasteru ukrył i tym samym ocalił od śmierci dziesiątki mieszkańców. Oto jeden z przykładów, inne zobaczymy na dalszych stronicach tej książki, jak prości ludzie Kościoła postępowali wbrew ślubom posłuszeństwa, lecz bardziej po „chrześcijańsku” niż hierarchia, której podlegali. Píše w *Storia generale d'Italia* jej główny autor i redaktor profesor Pasquale Villari:

Splądrowano trzydzieści domów, w których – jak wyznaje sam Schmidt – kobiety dosłownie zmasakrowano; wtargnięto do jednego klasztoru, dwóch kościołów, szpitala i sierocińca, w którym na oczach wychowawczyń i koleżanek dwie dziewczynki zostały zhańbione. Po spustoszeniu dokonany przez wojska nastąpiło, jako słuszne zwieńczenie, wygnanie rządu tymczasowego z Perugii, czego dokonał Schmidt, potem zaś papież wyróżnił odznaczeniami jego i pozostałych żołnierzy, a kardynał biskup Pecci (przyszły papież Leon XIII) poprowadził uroczyste i wystawne ceremonie pogrzebowe. Na katafalku umieszczono diabelsko prowokacyjny napis: *Beati mortui qui in Domino moriuntur*⁷.

Ów haniebny i krwawy występki wywołał furię Giosuè Carducciego, który na gorąco, kilka dni po owych wydarzeniach, napisał sonet (XCII), umieszczony w zbiorze *Juvenilia*, i nazwał Szwajcarów „katolickimi wilkami”, „bandą morderców”:

Już nie tylko oszustwa wściekłości tchórzliwej
Wypasa Rzym haniebny w swoim rozpasaniu;
Lecz krew zaczął przelewać i w pysze straszliwej
Katolickim wilkom uwolnił wiązania
I poszczuł je na ludzi, a ziemia łapczywie

Pije krew i lubieżność, która mordowaniu
Krok w krok towarzyszy, aby świat lękliwie
Słuchał fałszywego Chrystusa wezwania.
Chryste, coś nam wolności był nauczycielem;
Chryste, któryś Piotrowi kazał schować miecz,
Przebaczył, bronił zabijać, sam umarł na ciele,
Skarz tę bandę morderców, niegodziwą rzecz,
Zaś dawną nierządnicę, co rządzi w Kościele,
Zrzucić racz na zawsze w piekielną toń, precz.

Zdarzenie to, dzisiaj zapomniane, w owym czasie odbiło się szerokim echem na całym świecie także dlatego, że przemoc dotknęła amerykańską rodzinę Perkinsów goszczącą w mieście. „New York Times” 25 czerwca 1859 roku pod tytułem *Masakra w Perugii* donosił: „Rozwścieczone oddziały wojskowe zdawały się niepomne na wszelkie prawa i wpadały do wszystkich domów, bezlitośnie mordując i dopuszczając się innych barbarzyńskich czynów na bezbronnych mieszkańcach, mężczyznach, kobietach i dzieciach”.

Pozostaje kwestią dyskusyjną, czy za masakrę był odpowiedzialny Pius IX, czy Szwajcarzy poza nakazem stłumieniu buntu otrzymali także pozwolenie na to, by po zwycięstwie wyładować swoją agresję na mieszkańcach Perugii. Niezaprzeczalna jest jednak papieska odpowiedzialność za późniejsze wyroki śmierci, jak to wynika z rozkazu przekazanego pułkownikowi Schmidtowi przez kawalera L. Mazia pełniącego funkcję papieskiego ministra:

Niżej podpisany Komisarz pełniący funkcję Ministra powierza Waszej Eminencji zadanie odzyskania na rzecz Świętości Naszego Pana jego prowincji uwiedzionych przez nieliczne oddziały i dlatego też nakazuje się przykładowe ukaranie, aby posłużyło ono za przestrożę innym, by trzymali się z dala od rewolucji. Daje także Waszej Wysokości uprawnienia do zabicia buntowników znalezionych w domach oraz zaoszczędzenia wydatków naszego Rządu poprzez pobranie opłaty za wikt podczas całej wyprawy od owej prowincji.

W latach następnych papieskie wojsko wiodło żywot spokojniejszy. Szwajcarzy bronili doczesnej władzy Watykanu do 20 września 1870 roku, kiedy to oddziały generała Lamarmory, po zburzeniu murów w pobliżu Porta Pia, wkroczyły do Rzymu, przyłączając go do Królestwa Włoch proklamowanego dziewięć lat wcześniej. Następnego dnia wojska papieskie zostały rozwiązane, z jedynym wyjątkiem Gwardii Szwajcarskiej.

Tak zakończyła się epoka, w której papież posiadał armię broniącą jego posiadłości, to znaczy jego władzy doczesnej. Od tego momentu jedynym zadaniem Gwardii Szwajcarskiej była ochrona samego papieża, zagwarantowanie mu bezpieczeństwa w watykańskich pałacach i posiadłości w Castel Gandolfo.

Ważnym wydarzeniem dla owej formacji wojskowej było podpisanie 11 lutego 1929 roku traktatów laterańskich między państwem włoskim i Kościołem katolickim. Na traktaty składają się układ i konkordat. Układ przyznaje Stolicy Apostolskiej wyłączną i absolutną władzę prawną nad Watykanem i dokładnie wyszczególnia kompetencje watykańskie. Artykuł trzeci głosi:

Włochy przyznają pełną własność, wyłączne panowanie, suwerenną władzę i jurysdykcję Stolicy Apostolskiej w Watykanie w jego obecnym kształcie, wraz z jego przynależnościami i wyposażeniem tworzącymi Miasto Watykan, służące do specjalnych celów i w sposób sprecyzowany w niniejszym Traktacie.

Inny paragraf wyjaśnia i precyzuje kwestię dostępu i granic:

Jak uzgodniono, plac św. Piotra, choć jest częścią Miasta Watykan, pozostanie otwarty dla publiczności i będzie podlegał policji zależnej od władzy włoskiej; będzie ona sięgać do schodów bazyliki, która pozostanie otwarta dla kultu publicznego, nie wkraczając jednak do owej bazyliki poza przypadkami, gdy zostanie poproszona o interwencję przez odpowiednią władzę. Gdy Stolica Apostolska z okazji szczególnych uroczystości uzna, że plac św. Piotra powinien zostać okresowo zamknięty dla swobodnego dostępu, władze włoskie, o ile nie zostaną poproszone przez kompetentne władze do pozostania, wycofają się poza zewnętrzną linię kolumnady i jej przedłużenie.

Utworzenie Państwa Miasta Watykańskiego stworzyło także delikatny problem dla Szwajcarii, gdyż chodziło o zaciąganie się jej obywateli do obcej „armii”. Kwestia ta została rozstrzygnięta przez uchwałę Rady Federalnej Szwajcarii, która cztery dni po podpisaniu traktatów ustanawiała:

Trudno traktować gwardię papieską jako obcą formację wojskową w sensie artykułu 94. wojskowego kodeksu karnego; ponieważ jednostka ta jest zwyczajną gwardią policyjną, będzie mogła wykonywać swoją posługę bez autoryzacji ze strony Rady Federalnej.

Jeszcze w 1929 roku zaczęto budować pomieszczenia dla oficerów i podoficerów gwardii oraz ukończono renowację małego kościoła pod wezwaniem świętych Marcina i Sebastiana, który wzniósł Pius V w 1568 roku w obrębie dzielnicy

zamieszkaną przez Szwajcarów.

Na stronie internetowej kurii rzymskiej są jasno przedstawione warunki zostania papieskim żołnierzem:

Jestem obywatelem szwajcarskim. Jestem wyznania rzymskokatolickiego. Cieszę się nienaganną reputacją. Ukończyłem szkołę dla rekrutów w Szwajcarii. Mam od 19 do 30 lat. Mam przynajmniej 174 centymetry wzrostu. Nie jestem żonaty. Posiadam dokument potwierdzający zdolność do wykonywania mojej profesji oraz świadectwo maturalne.

W sumie więc trzeba być mężczyzną, Szwajcarem, średniego wzrostu, celibatariuszem, katolikiem i mieć wykształcenie średnie. Minimalny okres pełnienia służby to dwa lata. Miesięczna pensja wynosi 1350 euro. Można się ożenić dopiero po dwudziestym piątym roku życia, po trzech latach służby, uzyskaniu stopnia kaprała i zobowiązaniu się do służenia Kościołowi Rzymu przynajmniej przez kolejne trzy lata.

Jakie obowiązki w praktyce ma „szwajcar”? Dwie trzecie personelu pełni straż przy różnych wejściach do watykańskich zabudowań: na dziedzińcu św. Damazego, na dziedzińcu Belwederu, na poszczególnych piętrach Loggii, przy Schodach Królewskich, przed Sekretariatem Stanu, w prywatnych apartamentach papieża. Ponadto gwardia pilnuje wejść do Watykanu: Cancellio Petriano, Arco delle Campanie, Portone di Bronzo i Porta Sant'Anna.

Szwajcarzy pełnią wartość honorową i chronią papieża, zawsze gdy tylko się on pojawia: podczas uroczystości w Bazylice św. Piotra, w czasie audiencji generalnych i gdy podejmuje przywódców innych państw. Poza tym są inspekcje, przemarsze, ćwiczenia strzelnicze, próby orkiestry i chóru.

Stu dziesięciu żołnierzy dzieli się na trzy drużyny, które zmieniają się w ciągu doby. Jedna drużyna pełni służbę, druga jest w pogotowiu, a trzecia odpoczywa. Pod wodzą komendanta w stopniu pułkownika pozostają trzej oficerowie i grupa podoficerów. Oficerowie i starszy sierżant pracują zazwyczaj w strojach cywilnych. Kapelan gwardii ma stopień podpułkownika. Żołnierze jedzą w stołówce, którą prowadzą siostry albertynki.

Flaga papieskiej gwardii to przestrzeń rozdzielona białym krzyżem na cztery pola.

Na pierwszym polu znajduje się herb obecnego papieża, na czwartym zaś Juliusza II, obydwu na czerwonym tle. Drugie i trzecie pole natomiast zajmują pasy w barwach danego oddziału, czyli niebieskie, czerwone i żółte. W punkcie przecięcia ramion krzyża umieszczony jest herb obecnego komendanta.

Gdy w maju 2006 roku gwardia obchodziła czterechsetlecie swego powstania, papież Benedykt XVI w homilii powiedział między innymi:

Pośród wielu form obecności świeckich w Kościele katolickim istnieje także i ta bardzo szczególna, jaką jest papieska Gwardia Szwajcarska tworzona przez ludzi młodych, kierujących się miłością do Chrystusa i do Kościoła, którzy oddają się w służbę następcy Piotra. Dla jednych przynależność do gwardii jest tymczasowa, dla innych przedłuża się i staje wyborem drogi na całe życie. Niektórych, mówię to z wielkim zadowoleniem, służba w Watykanie doprowadziła do powołania kapłańskiego lub zakonnego. Dla wszystkich jednak przynależność do Gwardii Szwajcarskiej oznacza całkowite przyłgnięcie do Chrystusa i Kościoła oraz gotowość do oddania dla nich życia.

Szwajcarzy są więc gotowi oddać życie lub też mogą je w tajemniczych okolicznościach utracić, jak się to zdarzyło w przypadku Aloisa Estermana, jego żony Gladys Meza Romero i wicekaprała Cédrica Tornaya.

4 maja 1998 roku o 20.46 w domu Estermannów, niewielkim acz eleganckim apartamencie w pobliżu Porta Sant'Anna, zadzwonił telefon. Jest to newralgiczny punkt Watykanu, gdyż znajduje się w środku dzielnicy Szwajcarów, zaledwie kilka kroków od wieży, w której mieści się siedziba banku watykańskiego, sławetnego IOR.

To dzwonił stary przyjaciel, aby pogratulować pułkownikowi Estermannowi nominacji, którą ten otrzymał zaledwie dziewięć godzin wcześniej. W zeznaniach złożonych 7 maja przyjaciel powiedział:

Rozmawialiśmy o ceremonii złożenia przysięgi i o pogodzie. W pewnym momencie usłyszałem szum, tak jakby słuchawka została przyłożona do piersi lub czegoś miękkiego. Potem słyszałem głosy dochodzące z pewnej odległości, jeden z nich dało się rozpoznać jako należący do żony, następnie znowu szum i wyraźny strzał, a zaraz po nim drugi i następne, nieco później.

W tym samym czasie zakonnica, która mieszkała na tym samym piętrze, usłyszała kilka uderzeń. Zaciekawiona wyszła na korytarz i zobaczyła, że drzwi mieszkania Estermannów są szeroko otwarte. Była 21.04. Nieśmiało podeszła bliżej i krzyknęła.

Scena, którą ujrzała, była przerażająca: wszędzie pełno krwi, zaplamione nią ściany i podłoga. I trzy trupy: dwaj mężczyźni w pozycji leżącej i kobieta siedząca na podłodze, oparta o ścianę. Wszyscy troje zabici z broni palnej.

Alois Estermann nigdy nie był zwyczajnym żołnierzem. Zrobił błyskawiczną karierę, która nabrała tempa zwłaszcza po zamachu na Karola Wojtyłę 13 maja 1981 roku. Owego dnia bowiem ówczesny kapitan Estermann wypełnił przysięgę, zasłaniając papieża własnym ciałem. Tak przynajmniej głosi jedna z wersji wydarzeń. Dla wielu był to akt heroiczny, według innych gest oportunistyczny i spóźniony (kula przeznaczona dla Ojca Świętego już go dosięgła).

Kilka minut po przerażającym odkryciu, o 21.30, w niewielkim mieszkaniu małżeństwa Estermannów zapanował ruch: wchodzili i wychodzili prałaci, wysocy rangą watykańscy urzędnicy i ludzie z korpusu bezpieczeństwa (wewnętrzna policja państwa papieskiego). O 22.00 przybył Gianluigi Marrone, sędzia Państwa Miasta Watykańskiego. Trzy ciała nadal leżały na ziemi. Do włoskich władz nie została skierowana żadna prośba o pomoc lub współpracę. Papież modlił się w Pałacu Apostolskim. Wiadomość jednak wyciekła i poza murami Watykanu, przed Porta Sant'Anna, zebrał się tłum dziennikarzy, fotografów, reporterów telewizyjnych.

W początkowym zamieszaniu nic nie było pewne poza tożsamością ofiar. A jednak krótko po północy (dokładnie o 00.10) biuro prasowe Stolicy Apostolskiej wydało „Biuletyn Watykański” nr 184 z datą 5 maja: „Komendant oddziału Gwardii Szwajcarskiej pułkownik Alois Estermann został znaleziony martwy we własnym mieszkaniu wraz z żoną Gladys Meza Romero i wicekapralem Cédrikiem Tornayem (...). Wszyscy troje zostali zabici strzałami z broni palnej. Pod ciałem wicekaprała znaleziono należącą do niego służbową broń (...). Dostępne w tej chwili dane pozwalają wysunąć hipotezę o nagłym napadzie szału u wicekaprała Tornaya”.

Trochę później rzecznik prasowy Joaquín Nawarro-Valls, zwracając się do dziennikarzy, uściślił przebieg zbrodni: wicekapral miałby zabić z własnego pistoletu małżonków Estermann, a potem popełnić samobójstwo. Na potwierdzenie tej wersji oficjalny rzecznik prasowy Watykanu podał, że Tornay, półtorej godziny przed dokonaniem podwójnego zabójstwa, powierzył koledze list pożegnalny

zaadresowany do swojej rodziny. „Watykan ma pewność moralną, że wydarzenia właśnie tak przebiegały” – zakończył stanowczo Navarro-Valls.

Uprzedzając wyniki sekcji zwłok, przesłuchań, badań balistycznych, zaledwie trzy godziny po fakcie Stolica Apostolska rozpowszechniła oficjalną wersję opierającą się na „pewności moralnej”, co zamykało sprawę, zanim w ogóle została ona otwarta. Jednak, co zrozumiałe, tożsamość nieżyjących i miejsce znalezienia zwłok budziły wątpliwości i napięcie.

Jak wspomniałem już na początku rozdziału, 5 lutego 1999 roku sędzia Marrone podpisał dekret o umorzeniu sprawy: żadnego postępowania karnego w związku ze śmiercią pułkownika Aloisa Estermana, pani Gladys Meza Romero i wicekaprała Cédrica Tornaya. Nawet jeżeli sprawę oficjalnie zamknięto, brakowało wyroku, który jednoznacznie orzekałby winę Tornaya.

Stolica Apostolska starała się temu zaradzić i w „Biuletynie Watykańskim” nr 55 z 8 lutego 1999 roku wypełniła tę pustkę. Na dziewięciu stronach (kolaż różnych relacji przekazanych Marronemu przez promotora sprawiedliwości Nicolę Picardiego) wicekaprał został przygwożdżony: chory morderca-samobójca, wariat i narkoman.

W watykańskim biuletynie czytamy: „Autopsja wykazała w mózgu Tornaya cystę podpajęczynówkową wielkości gołębiego jajka, która zdeformowała lewą tylną część płata czołowego”. Co więcej: „Badania chemiczno-toksykologiczne wykazały obecność *cannabis*”. Oraz: „Trzecią przyczyną [zbrodni] było zapalenie oskrzeli”. A więc wariat, narkoman i chory.

Nadal jednak brakuje motywu, którym tak czy owak powinien się kierować człowiek w takim stanie. Oto on: „Wiadomość, że pułkownik Estermann odmówił przyznania mu medalu Benemerenti”. Tornay, wściekły i rozgoryczony, miał przejawiać „ostrą reakcję psychiczną, która pozbawiła go zdolności panowania nad sobą”.

Prawdopodobny przebieg zbrodni został tak zrekonstruowany: Tornay dzwoni do drzwi, wchodzi do mieszkania, „oddaje dwa strzały w kierunku pułkownika Estermana (...) za trzecim razem pudłuje i kula wbija się w lewą część framugi

drzwi windy (...) czwarty strzał dosięga panią Estermann (...) Na koniec wicekapral skierowuje broń przeciwko sobie”.

Wszystkie pięć strzałów oddano z pistoletu służbowego wicekaprała. W „Biuletynie” czytamy: „Pod jego martwym ciałem znaleziono pistolet Sig model 1975, produkcji szwajcarskiej, kaliber 9 mm, numer seryjny A-1-101-415, wyposażony w magazynek na sześć pocisków, w którym znajdował się tylko jeden niewystrzelony pocisk (...) jest to pistolet należący do wicekaprała”. Pięć łusek znalezionych na miejscu zbrodni miało pochodzić z tej broni. Osobą, która strzelała, miał być Tornay. Żadnych wątpliwości: eksperci znaleźli na jego prawej dłoni „ślady prochu strzelniczego”. Dla Stolicy Apostolskiej sprawa była rozstrzygnięta bez cienia wątpliwości. A jednak pojawiały się pewne wątpliwości. Gorzej: pojawiło się wiele wątpliwości.

Sam sędzia Marrone w wywiadzie dla dziennika „La Nazione” z 9 czerwca 2002 roku przyznawał: „Gdy dochodzi do tak tragicznych wydarzeń i gdy pozostają wątpliwości, trzeba starać się dotrzeć do prawdy”. Ponadto Marrone napisał list, wysłany 11 marca 2000 roku, do matki Tornaya na temat „Biuletynu Watykańskiego” nr 55: „Dokumenty wypracowane przez Stolicę Apostolską nie mogą otrzymać formalnego poparcia sądu”.

Było tego aż nadto, by przekonać panią Muguette Baudat, że wypadki potoczyły się inaczej, niż mówią watykańskie autorytety, i że jej biedny syn padł ofiarą okrutnego spisku, niesłusznie posądzony o zabójstwo, aby ukryć prawdziwe przyczyny owej zbrodni. „Usłyszałam jedynie kłamstwa i jestem zrozpaczona” – twierdziła pani Baudat w „Panoramie” z 18 czerwca 1998 roku. „W Watykanie jest zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele kłamstw”.

6 lipca 2000 roku, za pośrednictwem dwóch paryskich adwokatów Jacques’a Vergés’a i Luca Brossolleta, kobieta formalnie poprosiła o ponowne otwarcie śledztwa. Prawnicy wielokrotnie zwracali się do watykańskiego wymiaru sprawiedliwości o akredytację. Odpowiedź była zawsze taka sama: to niemożliwe.

11 kwietnia 2002 roku wysłali więc „podanie do Jego Świątobliwości Jana Pawła II z prośbą o ponowne otwarcie śledztwa”, w którym przedstawiali pewne niejasne

aspekty sprawy. Przede wszystkim drzwi mieszkania Estermannów zastano otwarte na oścież, jakby ktoś stamtąd w pośpiechu uciekł. Poza tym w mieszkaniu znaleziono tajemnicze cztery brudne szklanki, co nasuwa myśl o obecności czwartej osoby. Poza tym druga sekcja zwłok wicekaprała wykonana w Szwajcarii nie wykazała żadnej cysty w jego mózgu. Ponadto prawnicy pisali: „Pistolet należący do Tornaya, z którego miał się on zabić, jest na pociski o kalibrze 9,41 mm (...) średnica otworu z tyłu czaszki Cédrica zaś wynosi tylko 7 mm”. Jak to możliwe, by otwór wyjściowy był mniejszy od kuli, która go zrobiła? Czy istniał więc jakiś drugi pistolet? Czy to z niego zastrzelił się Tornay?

Na tym nie koniec. Tor lotu kuli w czaszce wicekaprała, złamanie górnych siekaczy i położenie domniemanego narzędzia zbrodni pod martwym ciałem Tornaya przywiodły prawników do hipotezy o „wprowadzeniu przemocą pistoletu do ust ofiary”. Jeżeli bowiem Cédric naprawdę sam by się zastrzelił, siłą odrzutu pistolet znalazłby się metr–półtora od ciała. Krótko mówiąc, samobójstwo Tornaya zostało upozorowane. Tak więc on również był ofiarą, tak samo jak Alois Estermann i jego żona, a nie mordercą.

Jeżeli chodzi o list, przekazany rzekomo przez wicekaprała halabardnikowi Claude’owi Gugelmannowi kilka godzin przed śmiercią, to francuscy adwokaci nie mieli żadnych wątpliwości: był on fałszywy. W piśmie tym Tornay prosił matkę o wybaczenie „tego, co zrobiłem” (bez precyzyjnego określenia) i donosił, że był ofiarą licznych niesprawiedliwości. Po grafologicznej analizie prawnicy oświadczyli: „Ten fałszywy dokument został sporządzony w wielkim pośpiechu (...) przez osobę co najmniej bliską Watykanowi, której ojczystym językiem jest włoski i która niewiele wiedziała na temat kariery Cédrica Tornaya w Gwardii Szwajcarskiej, jego rodziny i osobistych planów”.

I to nie wszystko: list został zaadresowany do matki, jednak autor na kopercie napisał niewłaściwe nazwisko – Chamorel, tak nazywała się matka Tornaya po poprzednim mężu, z którym przed wielu laty się rozwiodła. Zwróćmy uwagę, że tego nazwiska jej syn nigdy nie używał w korespondencji. Niepokoi zaś, że nazwisko to figurowało w formularzu przechowywanym w archiwum gwardii, który swego czasu

Cédric wypełnił. W prawidłowym śledztwie tego rodzaju szczegól podważyłby całą rekonstrukcję zdarzeń, otwierając drogę do ostatecznego jej unieważnienia. W tej watykańskiej sprawie natomiast trzeba było przystać na tę niezgodność wiodącą do wielu kolejnych.

By wszystko jeszcze skomplikować, na scenie pojawiła się pewna tajemnicza postać, osoba bardzo bliska Tornayowi: diakon Jean Yves Bertorello nazywany „ojcem Iwanem”. Jak można przeczytać w piśmie prawników skierowanym do Ojca Świętego, Bertorello „6 maja 1998 roku spotkał się z panią Baudat w obecności świadków i wielokrotnie powtarzał, że Cédric został zamordowany, że ma na to pisemne dowody i że także jego życie jest zagrożone (...), a Stolica Apostolska, po tym jak po prostu zanegowała jego istnienie, starała się wykazać, że (Bertorello) nie miał żadnych związków z Watykanem”.

Aby to wyjaśnić, francuscy prawnicy domagali się ponownego otwarcia śledztwa. 17 kwietnia 2002 roku ich prośbę odrzucił przewodniczący watykańskiego Sądu Apelacyjnego, monsignore Francesco Bruno. „Obstrukcjonizm watykańskiego wymiaru sprawiedliwości” definitywnie zamknął drogę postępowaniu prawnemu, lecz nie ludzkiemu, stwierdzili adwokaci. De facto do godnych potępienia aspektów owej mrocznej historii należy dołączyć absolutną obojętność władz Stolicy Apostolskiej wobec cierpienia matki Cédrica, której odmówiono nawet kopii wyników autopsji syna. Podane wytłumaczenie: Watykan nigdy nie ratyfikował międzynarodowych zasad postępowania w tego rodzaju sprawach.

Niemożliwość przeprowadzenia jakichkolwiek badań, które mogłyby wyświecić prawdę, nie powstrzymała oczywiście głosów i rekonstrukcji alternatywnych wobec wersji oficjalnej. Już 7 maja 1998 roku niemiecki dziennik „Berliner Kurier” napisał, że Alois Estermann miał być od 1980 roku szpiegiem Stasi, tajnej służby bezpieczeństwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Temu Watykan kategorycznie zaprzeczył.

Ponadto szumu narobiły dwie książki. W pierwszej, *Verbum dei et verbum gay*, Massimo Lacchei wysnuł hipotezę zbrodni w afekcie, opierając się na doniesieniach (nigdy niepotwierdzonych) o domniemanej relacji homoseksualnej między Cédrikiem

i pułkownikiem Estermannem. Lacchei został pozwany do sądu przez panią Baudat zarzucającą mu zniesławienie (a następnie uniewinniony z powodu błędu formalnego).

Druga książka, *Bugie di sangue in Vaticano*, napisana przez grupę rzymskich duchownych i świeckich, którzy podpisali się „Uczniowie prawdy”, opowiada o śmiertelnych walkach o władzę w obrębie watykańskich murów. Pułkownik, jego żona i wicekapral mieliby paść ofiarami otwartej wojny pomiędzy „Opus Dei i klanem masońskim w łonie Kurii”. Według tej wersji Alois Estermann, od lat związany z Opus Dei (pisał o tym w maju 1996 roku tygodnik „Epoca” i nikt temu nie zaprzeczył), miałby być osobą, którą potężna organizacja założona przez księdza Josemarię Escrivę de Balaguera postawiła na czele papieskiej armii, aby móc lepiej kontrolować pałace i poczynania Ojca Świętego. Poza tym „plan Opus Dei” zakładał przekształcenie Gwardii Szwajcarskiej w supersprawną jednostkę wojskową, zdolną zneutralizować władzę korpusu bezpieczeństwa, od dawna będącego „narzędziem w rękach masonerii”. Zabójstwo Estermanna miałoby więc powstrzymać hegemoniczne zakusy Opus Dei. Tornay zaś miałby być jedynie „ofiara całopalną”, przykrywką konieczną dla szybkiego zamknięcia całej sprawy.

Oto rekonstrukcja potrójnego zabójstwa według „Uczniów prawdy”: „Wicekapral Tornay został zaatakowany pod koniec służby (...) i w jakiejś piwnicy zabity, z upozorowaniem samobójstwa, z pistoletu z tłumikiem kaliber 7 mm, jego broni zaś użyto do zabicia Estermannów w ich mieszkaniu. (...) Następnie ciało Tornaya zostało przeniesione do apartamentu Estermannów, aby zaaranżować scenę zbrodni”.

Hipotezy, podejrzenia, domysły w historii kryminalnej, w której nadal pozostaje wiele niewyjaśnionych aspektów. Potrójne zabójstwo w obrębie murów Watykanu, tajemniczy splot interesów i zmowa milczenia, wiele skomplikowanych wątków godnych pióra najdoskonalszego autora kryminałów. Prawda zapewne nigdy nie wyjdzie na jaw, przynajmniej nie w najbliższych latach, choć już teraz możemy stwierdzić bez cienia wątpliwości, że niezależnie od tego, jaka będzie, nie będzie odpowiadać oficjalnej wersji.

6 Cavalleggeri – w średniowieczu włoska lekka kawaleria spełniająca również funkcję żandarmerii (przyp. T.K. – przypisy oznaczone inicjałami pochodzą od red. meryt. Tomasza Kwietnia).

7 Łac.: Błogosławieni, którzy w Panu umierają (przyp. tłum.).

3. Krzyż i miecz

Jednym z najświetniejszych i zarazem najmniej docenianych zabytków Rzymu jest Łuk Konstantyna Wielkiego w pobliżu Koloseum. Od niego odchodzi urocza uliczka biegnąca wzdłuż stoków Palatynu i przechodząca w piazza di Porta Capena, którego nazwa pochodzi od przejścia otwierającego się tam w starożytnych murach serwiańskich. Tam pierwotnie zaczynała się via Appia. W pobliżu było źródło krystalicznej wody, Fons Camenorum (Capena to inna forma tej nazwy), którą westalki czerpały dla swoich rytów. Mamy jednak zamiar mówić o łuku i człowieku, któremu jest on poświęcony, cesarzu Konstantynie I Wielkim (ok. 272–337), który odmienił oblicze i dzieje cesarstwa rzymskiego, zalegalizował chrześcijaństwo i ustanowił Konstantynopol nową stolicą cesarstwa. Po ludzku rzecz biorąc, to człowiek godny litości, którą jednak z wielkich postaci historycznych można osądzać tylko od strony jej człowieczeństwa? Konstantyn I był wspaniałym politykiem, według niektórych historyków jednym z największych w dziejach.

Łuk triumfalny upamiętniający jego czyny jest doskonale usytuowany, okazały, rzuca się w oczy, lecz zarazem, jak wspomniałem, to jeden z mniej docenianych zabytków. Podobnie jak spiralnie zdobione kolumny Antonina i Trajana, łuk ten trzeba „odczytać”, aby w pełni poznać jego znaczenie.

Miejsce, w którym został wzniesiony, było poświęcone kultowi wiecznego Rzymu; wznosiła się tam wielka świątynia Wenery i Romy, zbudowana przez Hadriana i odrestaurowana przez Maksencjusza. Dzisiaj z tej góry marmuru sprowadzonego z Grecji zostały jedynie ruiny z absydą bogini Romy, za którą znajduje się ta poświęcona Wenerze. Są to skromne pozostałości jednego z okazalszych dzieł świata antycznego. Obok stał ogromny posąg z brązu przedstawiający Nerona, który potem został przerobiony na Apolla, boga słońca, z głową otoczoną promieniami, symbolem Wiecznego Miasta. W średniowieczu, w okresie walk o władzę między możnowładztwem a papieżami, teren ten przemieniono w twierdzę, starożytne budowle zniknęły z powierzchni ziemi, z gruzów po nich zrobiono zaprawę, a

metalowe elementy przetopiono na broń i monety.

Odczytanie łuku to złożona kwestia, gdyż składa się on z fragmentów innych budowli. Historyk sztuki Federico Zeri długo rzecz studiował i to na wynikach jego badań się opieram, pisząc tych kilka uwag. Fasady łuku wspierają się na czterech wysokich kolumnach. Pomnik wykonano z białego marmuru, kolumny zaś (choć dzisiaj tego nie widać z powodu zanieczyszczeń) są z żółtego marmuru z Numidii. Nad każdym z dwóch bocznych przelotów znajdują się dwa medaliony (razem jest ich osiem) osadzone w prostokącie. Pierwotnie owe prostokąty były z porfiru, cennego twardego, czerwonego kamienia. Jego kolor przywoływał na myśl purpurę, barwę zarezerwowaną dla pary cesarskiej. W każdym razie czerwień porfiru i żółć kolumn (purpura i złoto) symbolizowały (tak jak dzisiaj) barwy miasta Rzymu (i jego piłkarskiej drużyny). Należy dodać, że starożytne rzeźby i budowle były kolorowe, także posągi nie były białe, jak je widzimy dzisiaj, lecz pomalowane w naturalne barwy.

Na szczytach kolumn znajdują się posągi: przedstawiają one między innymi wziętych w niewolę dackich wodzów. Medaliony (*clipei*) wykonano w czasach Hadriana; Konstantyn nakazał je usunąć z jakiejś Hadrianowej budowli, aby ozdobić nimi swój łuk. Wewnątrz środkowego łuku widnieją dwie sceny: siedzący na koniu cesarz odbiera hołd od klęczącego barbarzyńcy; cesarz uroczyście przejeżdża przez Porta Capena, o której była mowa wcześniej. Cesarzem tym nie jest jednak Konstantyn, lecz Trajan. Także w tym przypadku mamy do czynienia z kradzieżą.

Na fasadzie od strony Palatynu w pierwszej prostokątnej wnęce, u góry po lewej, widać cesarza na piedestale, któremu jest przedstawiany jakiś barbarzyński wódz. Rzeźba ukazuje Marka Aureliusza, jednak w miejsce jego głowy wstawiono głowę Konstantyna. Kolejna kradzież. Praktycznie jedną z niewielu scen pochodzących z epoki Konstantyna umieszczonych na łuku jest ta, która ukazuje *Zwycięstwo na moście Mulwijskim*, znajdująca się pod medalionami od strony Palatynu, wraz ze sceną przedstawiającą *Oblężenie Werony*. Historycy podkreślają, że w porównaniu z wyrafinowanymi reliefami z poprzedniej epoki zostały one wykonane w sposób prymitywny, żołnierski.

Dlaczego Konstantyn „okradł” inne budowle, aby zabranymi z nich fragmentami ozdobić swoje dzieło? Naukowcy wysuwają różne hipotezy. Pierwsza sugeruje, że na początku IV wieku nie potrafiono już rzeźbić tak jak w przeszłości, teorii tej przeczą jednak wybitne dzieła z tamtych czasów, jak choćby tak zwany Łuk Janusa. Inna hipoteza głosi, że ogołocenie istniejących budowli podyktował pośpiech, by uczcić cesarza, który wywołał zamieszanie wprowadzeniem i protegowaniem nowej religii. Trzecia hipoteza, którą popiera Zeri, mówi, że obrabowanie innych budowli miało motywy ideologiczne: Konstantyn nakazał powyrywać rzeźby z budowli Trajana, Hadriana i Marka Aureliusza, zamieniając ich przedstawienia własnym wizerunkiem właśnie dlatego, że uważał się za wcielenie nowego ducha cesarstwa.

Może prawda zawiera się po części w każdej z tych hipotez; może cesarzowi rzeczywiście spieszo było zobaczyć swój łuk, a wychwalający go napis (u góry, od strony Koloseum) miał umocnić jego pozycję w oczach Rzymian zaniepokojonych religijnymi innowacjami. Ów napis, którego litery pierwotnie lśniły brązem (widać jeszcze otwory, gdzie osadzono zaczepy), przypomina, że to senat i lud rzymski poświęcili ów monument imperatorowi Cezarowi Flawiuszowi Konstantynowi Najwyższemu Pobożnemu i Szczęśliwemu Augustowi, gdyż to on pokonał ich nieprzyjaciół dzięki wielkości umysłu i *instinctu divinitatis* – boskiej pomocy. Napis roztropnie nie podaje, o jakie bóstwo chodzi.

W Rzymie znajdują się inne zabytki związane z Konstantynem. Najbardziej rzucają się w oczy i zarazem najbardziej niewinne są dwie głowy. Pierwsza, ogromna, od dawna znajduje się na Kapitolu, na dziedzińcu palazzo dei Conservatori. To fragment pomnika o wysokości 12 metrów, który znajdował się w absydzie bazyliki Maksencjusza. Przedstawiał on cesarza w pozycji siedzącej i symbolizował ideał władzy politycznej pozostającej w kontakcie z wymiarem boskim, lecz ukazywał zarazem drugą stronę medalu, to znaczy, że dzięki niemu władza niebios zstąpiła na ziemię.

Druga głowa, bardzo podobna do pierwszej, została odkryta przez przypadek w trakcie wykopalisk na Forum Trajana w 2005 roku. To podobizna z marmuru o wysokości około 60 centymetrów, która utknęła w kanale ściekowym. Nie wiadomo,

kiedy i dlaczego ktoś być może chciał się pozbyć wizerunku znieawidzonego cesarza albo też, co jest bardziej prawdopodobne, ta owalna bryła po prostu doskonale się nadawała do czyszczenia zatkanego odpadkami kanału.

„O Konstantynie, jakżeś się stał wrogi/Światu, nie przez chrzest, lecz przez darowiznę,/Którą się pasterz z bogacił ubogi”⁸. Tak Dante w XIX pieśni *Piekieła* mówi o „darowiznie”, którą Konstantyn, pierwszy chrześcijański cesarz, miał przekazać papieżowi Sylwestrowi I, czyniąc go „bogatym”. Legenda bowiem głosi, że w wigilię decydującej bitwy z cesarskim rywalem Maksencjuszem, może na krótko przed bitwą w pobliżu mostu Mulwijskiego, Konstantyn zobaczył znak krzyża (lub też chmurę w kształcie krzyża) na niebie z napisem *In hoc signo vinces* czy też *Hoc signo victor eris*, pod tym znakiem zwyciężysz. Konstantyn pokonał Maksencjusza, który zginął w walce lub też utonął w Tybrze w trakcie ucieczki. Ten sukces zapoczątkował zdarzenia, które wstrząsnęły światem antycznym, a ich skutki można obserwować do dzisiaj, przede wszystkim we Włoszech.

Według innej legendy zaś wypadki potoczyły się inaczej. Na długo przed ową bitwą cesarz miał zostać uleczony z trądu, który go nękał, po kilku zanurzeniach w cudownych wodach, co zalecił mu przyszły papież Sylwester I. Niezależnie od tego, z jakiej to przyczyny, Konstantyn był pierwszym cesarzem, który ogłosił chrześcijaństwo *religio licita*, to znaczy religią, której sprawowanie było dopuszczalne obok innych kultów cesarstwa, co dało jej możliwość rozprzestrzeniania się. Dogłębnie wdzięczny, czy to za zwycięstwo nad rywalem, czy to z powodu uleczenia z ciężkiej choroby, Konstantyn miał ofiarować papieżowi i jego następcom władzę w cesarstwie równą jego władzy, a może nawet ją przewyższającą.

Zdarzenie to zapoczątkowało niekończące się kontrowersje, walki i cierpienia, lecz legło także u podstaw monumentalnych dzieł widocznych w architekturze, jak również w topografii Rzymu, poczynając od *via della Conciliazione*, której nazwa, nawet jeżeli wydaje się to dziwne, jest jedną z konsekwencji owej dawnej donacji

przypisywanej Konstantynowi. W historii tej przeplatają się wątki legendarne, poważne racje polityczne, walki o władzę, motywy trudne do pogodzenia z wiarą chrześcijańską.

Nade wszystko trzeba zapytać, dlaczego Konstantyn zdecydował się poprzeć chrześcijaństwo. W sumie była to religia nowa, wyraźnie odbiegająca od rzymskich tradycji i wielu spoglądało na nią z niechęcią, gdyż podważała religijną jedność i ducha obywatelskiego, czyli „patriotyzm”, który decydował o potędze Rzymu. Może cesarz, przebiegły polityk, zdał sobie sprawę z siły tej nowej wiary i chciał ją wykorzystać dla wzmocnienia spójności kulturowej i politycznej cesarstwa. Może uważał Chrystusa za jeden z przejawów *Sol invictus*. W każdym razie dołożył starań, by najważniejsze święta chrześcijaństwa zbiegały się z kultem słońca: niedziela, „dzień Pana” lub też „dzień Słońca” (po angielsku do dzisiaj mówi się *Sunday*); 25 grudnia, dzień narodzin Słońca (presilenie zimowe) i boga Mitry, stał się także dniem narodzin Jezusa. W nowej wschodniej stolicy, Konstantynopolu, wzniesiono kościoły chrześcijańskie, cesarz zachował tam jednak także świątynie pogańskie. Poza tym do końca życia przypisywał sobie władzę *pontifex maximus*, a na chrześcijaństwo oficjalnie nawrócił się dopiero na łożu śmierci.

W Rzymie istnieje niewielka kaplica, w której został przedstawiony i upamiętniony ów gest cesarza Konstantyna. To fascynujące miejsce, poświęcone świętemu Sylwestrowi, należy do kompleksu zwanego bazyliką Santi Quattro Coronati. Cykl fresków ilustruje sławną „darowiznę”, kiedy to cesarz ofiarował papieżowi władzę nad Rzymem, Italią i Zachodem. Opisałem szczegółowo to miejsce w mojej książce *Sekrety Rzymu* w rozdziale zatytułowanym *Wieże strachu*. Tutaj wystarczy odnotować, że wykonanie tych fresków, które dzisiaj określilibyśmy mianem „propagandowych”, nakazał w XIII wieku papież Innocenty IV podczas walk z cesarzem Fryderykiem II.

Jak wspomniałem, legenda głosiła, że cesarz został cudownie uzdrowiony z trądu za pośrednictwem pobożnego biskupa Sylwestra. Ów święty mąż nakazał

Konstantynowi trzy razy zanurzyć się w wodach laterańskiego baptysterium: po zakończeniu rytu oczyszczającego oznaki choroby zniknęły. Można sobie wyobrazić, że cesarz był bardzo wdzięczny, i na piśmie, w dokumencie znanym jako *Donatio* lub *Constitutum Constantini*, ustalił zwierzchnictwo biskupa rzymskiego nad wszystkimi władcami. Właśnie to miał na myśli Dante, mówiąc o „darowiznie” i bogactwie.

To, o czym poeta nie wiedział, to że w rzeczywistości nigdy żadna „darowizna” nie została ofiarowana Sylwestrowi. Mówi o niej jedynie pewien apokryficzny dokument, będący jednym z najsławniejszych fałszerstw w dziejach, zaraz obok *Protokołu Mędrców Syjonu*, wykonanego przez Ochronę, tajną carską policję dla celów propagandy antysemitycznej. W tym krótkim łacińskim tekście cesarz oświadczał, że ofiarowuje papieżowi i wszystkim jego następcom, „aż do końca świata”, pod groźbą potępienia wiecznego, Rzym, Italię i Zachód. Papież zyskiwał więc prawa monarchiczne na terenach stających się jego własnością, które wraz z jego władzą duchową jako następcy Jezusa Chrystusa na ziemi czyniły z niego najpotężniejszego człowieka na świecie, króla królów, a nawet władcę, przez którego wszyscy inni władcy musieli być konsekrowani, aby móc legalnie sprawować rządy.

Tak rodziła się doczesna władza papieży, ich cesarski status. W tym sfałszowanym dokumencie była zakorzeniona w sposób szczególny kwestia włoska, która miała się ciągnąć przez wieki. Wiele oświeconych umysłów, od Dantego po Machiavellego, Guicciardiniego, Ariosta aż po Aleksandra Manzonię i hrabiego Cavoura, uważało, że ten fałszyfikat był źródłem wielu nieszczęść tego kraju.

Nie znamy daty powstania dokumentu, choć tradycja głosi, że został on napisany w roku 324, a więc rok przed sławnym soborem nicejskim zwołanym przez Konstantyna Wielkiego. Większość badaczy obecnie uważa jednak, że powstał on między drugą połową wieku VIII a pierwszą połową IX. Epoka ta doskonale nadawała się do sfabrykowania dokumentu umacniającego władzę papieską, której zagrażali barbarzyńscy królowie, zazwyczaj nie liczący się z Kościołem Rzymu. W tych burzliwych czasach papieże zaczęli szukać oparcia w monarchii Franków, gdyż ich władcy nawrócili się na katolicyzm.

W roku 753 papież Stefan II udał się aż do opactwa Saint-Denis, niedaleko Paryża, gdzie przechowywano relikwie św. Dionizego, który, jak głosi legenda, był pierwszym biskupem tego miasta. W Saint-Denis papież konsekrował króla Pepina Krótkiego, a ten w zamian podarował mu ważne tereny na Półwyspie Apenińskim, odpowiadające mniej więcej dzisiejszej Emilii-Romanii i Marche. Konsekwencją tego przymierza było koronowanie Karola zwanego Wielkim, syna Pepina Krótkiego – na cesarza, a papież Leon III chciał tę uroczystość celebrować w Rzymie w noc Bożego Narodzenia 800 roku w Bazylice św. Piotra. Wtedy to po raz pierwszy od czasu abdykacji Romulusa Augustulusa w 476 roku władca ponownie otrzymał tytuł cesarza. Obecny w bazylice i odpowiednio pouczony tłum wznosił trzykrotnie radosny okrzyk: „Niech żyje Karol, pobożny August ukoronowany przez Boga na wielkiego cesarza, dawcę pokoju, życia i zwycięstwa!”.

Po Karolingach przewodnictwo w Świętym Cesarstwie Rzymskim przejęli Ottoni, choć papieństwo cały czas potwierdzało swą zwierzchnią władzę nad cesarzami, wojskiem i polityką. Ta trudna do utrzymania równowaga przetrwała mniej więcej aż do sławnego sporu o inwestyturę, który wybuchł między energicznym papieżem Grzegorzem VII (Hildebrand z Sovany, pontyfikat w latach 1073–1085) a cesarzem Henrykiem IV, a w którym między innymi chodziło o to, czy cesarz może mianować biskupów, czy też leży to jedynie w gestii papieża. Konflikt narastał stopniowo, a oliwy do ognia stale dolewali rzutcy protagoniści, z których każdy chciał umocnić własną pozycję. 22 lutego 1076 roku Grzegorz VII ekskomunikował Henryka IV i oświadczył, że został on pozbawiony tronu. Wcześniej jednak Henryk IV także zdetronizował papieża, oświadczając, że tytuł *rex romanorum* daje mu prawo interweniowania w wybory papieży.

Spór zakończył się (na pewien czas) sławną sceną, w której cesarz przez trzy dni, od 25 do 27 stycznia 1077 roku, był zmuszony czekać na mrozie przed zamkiem w Canossie na audiencję u Grzegorza VII. Historycy są jednak podzieleni, jeżeli chodzi o interpretację tego wydarzenia. Nie wiadomo bowiem, czy Henryk IV naprawdę się upokorzył, czy też był to z jego strony jedynie dyplomatyczny gest, kosztowny pod względem prestiżu, jednak zarazem bardzo wyrachowany, gdyż w konsekwencji dał

mu swobodę działania. To jednak już inna historia, a my musimy wrócić do *Constitutum*.

Nieugiętość, jaką papież wykazał się w Canossie, została w pewnym sensie przygotowana przez niezwykle surowy dokument napisany prawdopodobnie przez samego Grzegorza VII w 1075 roku, który przeszedł do historii pod nazwą *Dictatus papae*. Autentyczny czy nie (niektórzy podważają jego prawdziwość), dokument ten z pewnością stanowił odzwierciedlenie zasad tak zwanej „reformy gregoriańskiej”, która nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do papieskiego zwierzchnictwa. Tekst ten, liczący dwadzieścia dwa punkty, ustanawiał w punktach 9. i 12., że wszyscy książęta winni całować stopy jedynie papieżowi, a ten może detronizować cesarzy. Nie mniejsze wrażenie wywierają, poza fragmentami o papieskich przywilejach i kompetencjach kościelnych, takie trzy rozporządzenia: „nie może być on sądzony przez nikogo” (19.); „Kościół rzymski nigdy nie zblądził i na wieki nie zblądzi, jak twierdzi Pismo” (22.); „[papież] może zwolnić poddanych z obowiązku służenia ludziom nieprawym”. Są to zasady, których jednoznaczną podstawą prawną jest *Constitutum*, dokument powstały, według powszechnie akceptowanej hipotezy, w tej samej watykańskiej kancelarii. Inny punkt (23.), który wraz z tym dokumentem zostaje zatwierdzony, przypisuje papieżom, niemalże automatycznie, świętość, skoro bowiem „papież rzymski został kanonicznie wybrany, bez wątpienia jest święty na podstawie zasług świętego Piotra”.

Niemalże przez trzy wieki ów dokument, który gwarantował papieżom władzę doczesną, pozostawał niejako prawnie zahibernowany w tym sensie, że nie było potrzeby udowadniać *per tabulas* zwierzchnictwa, którego i tak nikt nie podważał.

Jednak w burzliwszych czasach coraz częściej trzeba było wykazywać podstawy prawne, na których ta władza się opierała. Na przykład Innocenty IV (Sinibaldo Fieschi, 1243–1254) powiedział nawet, że to nie Konstantyn Wielki, lecz Chrystus osobiście przekazał Piotrowi i jego następcom wszelką władzę, także doczesną. Do tych, którzy w sposób inteligentny i z zapałem krytykowali ową „darowiznę”, należał Dante, jak już to widzieliśmy w zacytowanych wcześniej wersach, a także inny wielki umysł tamtej epoki, Jacopone z Todi, należący do jednego z najbardziej radykalnych

nurtów franciszkanizmu, boży biedaczyna i podobnie jak Dante, wróg Bonifacego VIII (Benedetto Gaetani, 1294–1303), papieża nienawidzonego przez wszystkich miłośników sprawiedliwości.

Dzisiejsza ocena Bonifacego VIII nie może być inna od tej, jaką wystawiono mu już wtedy. Obecnie jednak możemy w sposób bardziej wyważony interpretować złożoność sytuacji politycznej, w jakiej znajdował się papież. Bez wątpienia był to złoczyńca, który zasiadł na tronie Piotrowym po usunięciu zeń, a może nawet zabiciu, swego poprzednika Celestyna V, przede wszystkim jednak był to człowiek niezdolny zrozumieć, że czasy się zmieniły. Wiele razy zdarzało się, także w niedalekiej przeszłości, że papież nie zdawali sobie sprawy z anachronizmu niektórych swych postaw, jakby prestiż urzędu i odizolowanie od świata czyniły ich głuchymi na autentyczne potrzeby wiernych, a wraz z nimi na warunki możliwej do przyjęcia polityki. Gdy Bonifacy VIII obejmował władzę, Sycylia znajdowała się w rękach dynastii aragońskiej, a król angielski odrzucał roszczenia Szkocji; przede wszystkim jednak francuski król Filip IV zwany Pięknym chciał opodatkować kler i zachować zebrane pieniądze. Bonifacy VIII mu się sprzeciwiał, ale król nie przyjął papieskich wysłanników i zagarnął całą sumę.

Konflikt był niezwykle zażarty i powtórzyła się, na mniejszą skalę, lecz przez to nie mniej krwawa walka jak podczas sporu o inwestyturę między Grzegorzem VII i Henrykiem IV. Jak głosi legenda, posłom Filipa IV Pięknego udało się spoliczkować papieża w Anagni, co było gestem o poważnych konsekwencjach. Gdyby nie był w to zaangażowany „następca Piotra”, byłaby to zwyczajna walka między dwoma władcami, którzy wrywają sobie nawzajem pieniądze i strzępy władzy. Jeden z nich był jednak także przywódcą religijnym i nie chciał ustąpić, utrzymując, że władzę otrzymał od samego Boga. Barwny portret Bonifacego VIII daje dziewiętnastowieczny historyk Ferdinand Gregorovius w monumentalnej *Historii miasta Rzymu w średniowieczu* (X, V, 3). Oto, jak opisuje on papieski orszak:

Bonifacy VIII zasiadał na koniu białym jak śnieg, okrytym draperią utkaną na Cyprze; na głowie miał koronę Sylwestra i przywdziewał uroczyste papieskie szaty; u jego boku szli, odziani w szkarłat, dwaj wasalni królowie, Karol II Kulawy i Karol Martel Andegaweński, podtrzymując za uzdę jego konia.

Ten królewski przepych orszaku wyraźnie różnił się od procesji, która zaledwie kilka miesięcy wcześniej towarzyszyła poprzednikowi Bonifacego VIII. Ubogi Celestyn V, Pietro da Morrone pochodzący z Molise, na ceremonię objęcia katedry udał się na osiołku i w stroju eremity. Na tronie Piotrowym przetrwał bardzo krótko, jak przydarzało się to kilkakrotnie papieżom pokornym starającym się żyć jak najściślej według Ewangelii. Celestyn został zmuszony do abdykacji (dokonał, jak powiedział Dante, „wielkiej odmowy”, *Piekło*, III, 59–60). Potem zaś Bonifacy VIII najprawdopodobniej kazał go zamordować. Papież Gaetani⁹ był przeciwieństwem Celestyna V: pewny siebie, arogancki, gotów zarówno do zbrodni, gdy zajdzie taka potrzeba, jak i do ogłoszenia roku 1300 Rokiem Świętym, co było jego największym sukcesem. Gregorovius pisze:

Nigdy nie widziano takiego napływu ludzi. Rzym we dnie i nocy był sceną, na której zmieniały się pielgrzymie zastępy wchodzące i wychodzące z miasta (...). Przybywali tu Włosi, Prowansalczycy, Francuzi, Węgrzy, Słowianie, Niemcy, Hiszpanie, a nawet Anglicy (...) przywdziewali szaty pielgrzymie lub stroje narodowe ich państw; przybywali pieszo, na koniach, wozach, podtrzymując ludzi zmęczonych i chorych, objuczeni bagażami. (...) Gdy w oddali postrzegali zalany słońcem gęsty las wież świętego miasta, wznosili radosny okrzyk: „Rzym, Rzym!”, niczym żeglarze, którzy po długiej żegludze widzą ląd.

Jubileusz umocnił pozycję papieża, lecz przede wszystkim pomnożył jego fortunę. Kronikarze epoki szacowali, że do miasta przybyły dwa miliony pielgrzymów. Tłok był tak wielki, dodawał jeden z nich, że „często widziałem mężczyzn i kobiety deptanych przez tłumy i kilka razy sam ledwie unikałem tego niebezpieczeństwa”. Także Dante widział Rzym w owych dniach i nie przez przypadek jego poemat zaczyna się w tygodniu wielkanocnym 1300 roku. Gregorovius zaznacza (X, VI, 1):

W owych dniach mógł on [Bonifacy VIII] upić się poczuciem niemalże boskiej potęgi, jak żaden chyba papież przed nim. Zasiadał na najwyższym tronie Zachodu, panując nad tym, co pozostało z resztek cesarstwa, „zastępca Boga” na ziemi, najwyższy autorytet dogmatyczny, dzierżąc w ręku klucze błogosławieństwa i potępienia; widział, jak do jego tronu ciągną tysiące ludzi z najdalszych krain, by pokornie pokłonić mu się do ziemi, jakby był on istotą wyższej natury. Nie widział tylko królów. Poza Karolem Martelem Andegaweńskim z Neapolu żaden inny król nie przybył do Rzymu, aby wyznać swe grzechy i otrzymać odpust.

Ta nieobecność powinna zaniepokoić Bonifacego VIII i być może tak było. Nie wiemy, czy trzy lata przed zakończeniem swego pontyfikatu i życia papież zdawał

sobie sprawę, że ogłoszony przez niego jubileusz był nie tylko apogeum papieżstwa, lecz także początkiem jego zmierzchu; był to nie tylko koniec jego życia, lecz także całej epoki w dziejach papieżstwa. Śmierć tego człowieka była straszna, jak opowiada Gregorovius (X, VI, 3):

Ostatnie dni nieszczęśliwego starca w Watykanie były tak straszliwe, że trudno je sobie wyobrazić. Pałacy ból z powodu zaznanych krzywd, poczucie niemocy, podejrzliwość, strach, pragnienie zemsty, samotność niezłagodzona ani jednym przyjaznym obliczem. (...) Mówią, że zamknął się w swym pokoju, odmawiając jedzenia: nachodziły go tam ataki gniewu, w których traktując głową o ściany, aż w końcu znaleziono go martwego w łóżku. (...) Był to ostatni papież, który władzę rzymską rozumiał jako panowanie nad światem w sposób tak śmiały jak Grzegorz VII i Innocenty III. Bonifacy VIII był jednak tylko kiepską imitacją tych dwóch papieży.

Zamknawszy ów konieczny nawias poświęcony Bonifacemu VIII, wracam do *Constitutum*. Pomimo sprzeciwu Kurii, która powoływała się na ten dokument bez żadnych skrępowań, głosy dopuszczające jego fałszywość były coraz donośniejsze. Krytyki nie szczędzili nawet ci, którzy nie wątpili w jego autentyczność, lecz uważali, że papież dochody pochodzące ze swych włości powinien wydawać nie na siebie i Kościół, lecz przeznaczyć na biednych, podążając za przykładem apostołów Jezusa.

Dante kilkakrotnie wraca do skandalu, jakim jest bogaty Kościół w świecie, w którym panuje bieda. W XVI pieśni *Czyśćca* (wersy 127–129) pisze: „Głoście: niech ludziom z oczu spadnie łuska;/Rzym, iż dwie władze w jedną rękę chwyta,/Z brzemieniem w błoto wpadł i w nim się pluska”. W pieśni XXVII *Raju* zaś (wersy 40–42) oddaje głos świętemu Piotrowi, który mówi: „Po toż karmiła się Oblubienica/Pańska krwią moją, i Lina, i Kleta,/Że swe łakomstwo dziś złotem nasycą?”.

Do tych, którzy z mocą przeciwstawiali się korupcji Kościoła na przełomie XIII i XIV wieku, należał filozof Marsyliusz z Padwy porównujący papieża do węża, pod którego postacią w raju ukrywał się Szatan: *Ille magnus, serpens antiquus, qui digne vocari debet diabolus et sathanas*. Marsyliusz był jednym z pierwszych, którzy w doczesnej władzy papieży dostrzegli przyczynę wielu włoskich problemów, w pierwszej połowie XV wieku zaś wielki niemiecki humanista Mikołaj z Kuzy jako pierwszy wykazywał, że z punktu widzenia historycznego jest niemożliwe, by

Constitutum było autentyczne. Doszedł on do takich wniosków na podstawie analizy filologicznej oraz po dokładnym i naukowym upewnieniu się, że w starożytnych źródłach nie ma żadnych odwołań do tego dokumentu.

Ów wysokiej rangi hierarcha zawarł swój wyśmienity wywód w obrębie całościowej wizji Kościoła. Powinien on reprezentować jedność wszystkich chrześcijańskich wyznań i taką właśnie tezę zaprezentował na soborze w Bazylei (1433 r.) w piśmie *De concordantia catholica*. To, że *Constitutum* jest falsyfikatem, stało się tematem, który dzisiaj określilibyśmy jako „gorący”. Zaledwie kilka lat później, w 1440 roku, inny świetny humanista, Lorenzo Valla z Rzymu, napisał krótki (liczący niewiele ponad sto stron), lecz niezwykle przekonujący esej *De falso credita et ementita Constantini donatione*.

Do niepodważalnego naukowo wyводу na temat tego, że dokument nie może być autentyczny z powodów historycznych i filologicznych, Valla dołączył, napisane z dialektycznym zacięciem i poparte solidnymi argumentami, oskarżenie pod adresem hierarchii katolickiej, że to ona była przyczyną ruiny Italii, że stworzyła „falszywe dokumenty” z żądzy władzy, że nakazała napisać *Constitutum* w celu zdobycia wpływów niegodnych religii, którą niby to chciała chronić, że tym sposobem obraziła pamięć dawnych papieży i pierwszych chrześcijan, otaczając urząd papieski przepychem niezgodnym z nauczaniem Jezusa. Jednym z najślawniejszych symboli owego bogactwa i żądzy władzy jest „triregno” (trójkrólewie), tiara w kształcie kopuły z trzema koronami, liturgiczne nakrycie głowy, które każdy papież otrzymywał podczas koronacji. Owe korony ukazywały go jako ojca królów, władcę świata i namiestnika Chrystusa.

Esej Valli szybko stał się szeroko znany, choć został opublikowany dopiero w roku 1506 w Strasburgu, wywołując oddźwięk dość umiarkowany; kości jednak zostały rzucone. W 1506 roku został także wmurowany kamień węgielny nowej Bazyliki św. Piotra. 31 października 1517 roku Marcin Luter, przybijając sławne dziewięćdziesiąt pięć tez do drzwi katedry w Wittenberdze, powołał do życia ruch protestu przeciwko korupcji Rzymu, który podzielił chrześcijan i Europę. Było to surowe napomnienie, najgorsze, jakie Kościół pojmowany jako wspólnota wiernych mógł otrzymać. Jednak

tylko nieznacznie wpłynął on na zmianę obyczajów hierarchii.

Kilka lat wcześniej, w maju 1493 roku, papież Aleksander VI (Rodrigo de Borgia, 1492–1503) na żądanie władców Hiszpanii wmieszał się w spór, jaki ten kraj toczył z Portugalią o podział wysp na Atlantyku. Aby usprawiedliwić swoją ingerencję, raz jeszcze powołał się na *Constitutum*, pomimo powszechnie uznanej fałszywości tego dokumentu, wydając bullę *Inter caetera*, prawnie sankcjonującą narodziny europejskiego kolonializmu oraz inaugurującą ideologiczną i kulturową ekspansję rzymskiego katolicyzmu na obszarach położonych za oceanem. Także w tym wypadku należy zwrócić uwagę na datę. Przedmiotem sporu między tymi dwoma katolickimi krajami były nowe ziemie dopiero co odkryte na kontynencie amerykańskim. Papież Borgia, o tak wątpliwej moralności, wykazał się doskonałym zmysłem geopolitycznym: był pierwszym przywódcą państwowym rozumiejącym, że owe „wyspy”, których granic jeszcze dokładnie nie znano, mają wielką przyszłość. Taka dalekowzroczność byłaby godna podziwu, gdyby nie cechowała pasterza dusz.

Fałszywość *Constitutum*, coraz szerzej uznawana, nie wpłynęła jednak na doczesne panowanie papieży. Władzy bowiem nie definiują ani wiara, ani dokumenty, lecz potęga i krew. Światowej władzy Kościoła nie ograniczyła filologia Lorenza Valli, lecz pokój augsburski, zwany także pokojem religijnym (wrzesień 1555 r.), który czasowo położył kres walkom między katolikami a luteranami w Rzeszy. Od tego momentu niemieccy książęta mogli dowolnie przystać do jednego lub drugiego wyznania, a dokonany przez nich wybór obejmował także ich poddanych (*cuius regio, eius religio*).

Według wielu historyków pokój ten był pierwszym krokiem wiodącym do laicyzacji państw. Jeden z paragrafów ustanawiał, że gdyby katolicki książę-biskup przeszedł na luteranizm, nie mógłby przejąć dóbr biskupich lub klasztornych, czyli nie mogły się one stać dziedzictwem jego rodziny. Jednak w stosunku do „nawróceń” sprzed roku 1552 w mocy pozostawało prawo kościelnego dziedziczenia dóbr i własności. Luterkańscy książęta uznali ów paragraf za nie do przyjęcia. Został on dołączony podczas obrad przez króla Ferdynanda I, przez co jego moc była słabsza w stosunku do pozostałych punktów ugody. Ta dwuznaczność stała się jedną z przyczyn

wojny trzydziestoletniej w następnym stuleciu.

Kolejnym krokiem w długotrwałym i krwawym procesie laicyzacji był, niemal sto lat później, pokój westfalski (1648 r.), który kładąc kres wojnie trzydziestoletniej, zaprowadzał w Europie ład pozostający w mocy praktycznie do czasów Napoleona. W każdym razie powstała wtedy międzynarodowa wspólnota bliska dzisiejszej koncepcji świeckiej i niewyznaniowej: wyłaniała się bowiem kwestia suwerenności państwa.

Najwyższe sfery katolickiej hierarchii natychmiast zrozumiały ewentualne konsekwencje owej zasady i pokój westfalski został uznany za klęskę. Papiestwo utraciło wiele diecezji i klasztorów, lecz przede wszystkim dostrzegło, że jego polityczna rola ulega poważnej zmianie. Papieski przedstawiciel, Fabio Chigi, ze wszystkich sił starał się przeciwstawić tym postanowieniom; wreszcie, pokonany, odmówił podpisania pokoju, określając go mianem „haniebnego, który tak wiele przyznaje heretykom”. Siedem lat później, w roku 1655, Chigi został papieżem i przyjął imię Aleksandra VII. Był to papież-mecenas Berniniego, artysta ten wznosił mu Bazylikę św. Piotra jako drogocenne mauzoleum. Był to papież, który dużo uczynił, by upiększyć Rzym, i wzbogacił wielu swoich krewnych.

Do wielkich przemian w XVI wieku należała między innymi ta, że w Italii zaczęto dostrzegać, jak bardzo doczesna władza papieży dotyczy Półwyspu Apenińskiego. Wiele wielkich umysłów epoki zdawało sobie sprawę, że polityczne rozszerzanie władzy, która powinna być tylko duchowa, stało się niebezpieczne. W *Istorie fiorentine* zamówionych w 1520 roku przez kardynała Juliusza Medyceusza (w latach 1523–1534 był papieżem o imieniu Klemens VII) Niccolò Machiavelli, choć starał się być powściągliwy, pisał:

Przyczyną wszystkich wielkich wojen spowodowanych w Italii przez najazdy barbarzyńców (od pewnego momentu) byli papieże, gdyż wszyscy barbarzyńcy, którzy się tu pojawili, byli wielokrotnie przez nich właśnie wzywani. Ten sposób postępowania nadal ma miejsce w naszych czasach, skutkiem czego Italia jest podzielona i osłabiona.

Także Francesco Guicciardini w *Storia d'Italia* (1539 r.) wyraża się w sposób, który żywo ukazuje, do jakiego stopnia zepsucia i korupcji doprowadziła Kościół

bezpośrednio sprawowana władza polityczna:

Zaczęli się zajmować i troszczyć nie o świętość życia, wzrost pobożności czy gorliwość w miłości bliźniego, lecz obchodziło ich wojsko i wojny przeciw chrześcijanom, celebrowali ofiarę z myślami i rękami splamionymi krwią, gromadzili bogactwa, interesowali się nowymi prawami, nowymi sztukami, nowymi knowaniami, aby ze wszęch stron móc zbierać pieniądze; wykorzystywali w tym celu bez żadnych skrupułów broń duchową i bez wstydu kupczyli rzeczami świętymi i świeckimi.

Słowa przenikliwe i straszne, akt oskarżenia, który jeszcze bardziej bezpośrednio zostanie wypowiedziany w *Ricordi*, gdzie hierarchię kościelną Guicciardini nazwie „rojem czarnych charakterów” i wyrazi nadzieję, że pewnego dnia zobaczy ich „albo bez wad, albo bez władzy”.

Oczywiście nie wszyscy myśleli tak samo. Na przykład szesnastowieczny filozof Tommaso Campanella uważał, że „papiestwo jest największą chlubą Italii”, i miał nadzieję, że papieże zyskają władzę nad władcami tego świata.

Jednak inni, nawet w Kościele, zrozumieli, że walka o *Constitutum* należy już do przeszłości. Na przykład jezuita kardynał Roberto Bellarmino, umysł niezwykle przenikliwy i bezwzględny inkwizytor, pojmował, że odrzucenie tego dokumentu wcale nie zaszkodziłoby władzy doczesnej udzielonej przez Konstantyna Wielkiego papieżom, którzy posiadali inną inwestyturę nieopierającą się na jakimś papierku. Już wcześniej bowiem historyk Kościoła i kardynał Cesare Baronio utrzymywał, że fałszywość tego dokumentu jest nie szkodą, lecz pożytkiem. Swoje rozumowanie opierał na przesłaniu, że św. Piotr i jego następcy władzę otrzymali bezpośrednio od Chrystusa. A więc fakt, że jakiś dokument cesarza, który był zwyczajnym śmiertelnikiem, uznawał autorytet Kościoła, w porównaniu z Chrystusem był mniejszej wagi, a nawet bez znaczenia.

W tym rozdziale nie opowiadam w całości dziejów *Constitutum*, gdyż istnieją na ten temat doskonale rozprawy naukowe; przedstawiam jedynie w pewnej perspektywie ich wycinek, by ukazać niezwykłą rolę, jaką ten fałszywy dokument odgrywał w przeszłości i nadal odgrywa w życiu narodu włoskiego.

Poczynając od XVII wieku, papieżstwo zaczęło coraz bardziej tracić władzę polityczną, jednak nie z powodu niezbyt wyrafinowanego sfałszowanego kawałka papieru, lecz na skutek całej serii zdarzeń, która zaczęła stawiać rzymską hierarchię coraz bardziej w opozycji do biegu dziejów. Filozofia oświecenia przyspieszyła ów proces, dwie wielkie rewolucje XVIII wieku (francuska i amerykańska) miały wśród swoich przeciwników także Kościół rzymski, a walkę toczono to na miecze, to na ideologie. Tajemne zrzeszenia, z masonerią na czele, traktowały Watykan jak wroga; w odpowiedzi szczyty hierarchii katolickiej uznały zwolenników egalitarnych filozofii, poczynając od socjalistów, za przeciwników Boga. Przez dwa wieki najwybitniejsi intelektualiści, filozofowie, historycy i naukowcy z zapałem wskazywali na zorganizowane religie jako jedną z większych przeszkód na drodze postępu, równości między ludźmi i przyznania wszystkim takich samych praw obywatelskich.

Zerwanie z przeszłością w owych czasach było tak radykalne, że nawet tendencje restauracyjne kongresu wiedeńskiego (1815 r.) po napoleońskich wstrząsach nie były w stanie przywrócić minionego stanu rzeczy. Przynajmniej trzykrotnie ogłaszano wtedy, że doczesna władza papieży legła w gruzach. Pierwszy raz w maju 1798 roku, gdy francuskie oddziały proklamowały powstanie Republiki Rzymskiej i aresztowały Piusa VI, który zmarł jako więzień w Valence w następnym roku. Ten eksperyment trwał krótko, było to jednak pierwsze tego rodzaju zdarzenie od tysiąca lat; była to wyraźna zapowiedź, która nie została spełniona. Drugi raz zdarzyło się to w 1809 roku, gdy po zaostreniu konfliktu między Napoleonem a Watykanem cesarz Francuzów ogłosił koniec władzy doczesnej biskupa Rzymu i zaanektował papieskie terytoria. Trzeci raz nastąpił w 1849 roku, gdy kolejna Republika Rzymska, tym razem powstała na bazie ruchów patriotycznych, narodziła się do ulotnego i chwalebego istnienia (luty–czerwiec), promulgując między innymi jedną z bardziej postępowych europejskich konstytucji. Czwarte i ostateczne przypieczętowanie nastąpiło 20 września 1870 roku, gdy Rzym przyłączył się do nowo powstałego Królestwa Włoch i został jego stolicą.

Zdarzenia te pokazują, że darowizna Konstantyna Wielkiego i doczesna władza

papieży, na skutek ewolucji sytuacji politycznej w pozostałych częściach Europy, stały się problemem głównie włoskim, to znaczy wiązały się z walkami o władzę na Półwyspie Apenińskim. Oczywiście była to kwestia panowania i wpływów, skomplikowana jednak na skutek wielowiekowej tradycji, strachu przed nowym oraz obaw hierarchii widzącej obok osłabienia wiary także utratę duchowej wolności Kościoła.

Na próżno hrabia Camillo di Cavour, architekt zjednoczenia Włoch, niemal do końca życia starał się ze wszystkich sił rozwiewać niepokoje papieża. Sugerował, że właśnie troska o sprawy duchowe powinna skłonić go do porzucenia anachronicznych roszczeń do władzy doczesnej. Jako przewodniczący rady ministrów wielokrotnie wracał do tego tematu, oferując papieżowi szerokie gwarancje: „Ojczy, Święty, dany Wam wolność, której na próżno domagaliście się przez trzy ostatnie stulecia od wszystkich wielkich katolickich potęg (...) jesteśmy gotowi proklamować we Włoszech tę oto wielką zasadę: wolny Kościół w wolnym Państwie”.

Nic nie zdołało jednak przewyciężyć u Piusa IX i jego hierarchów nieufności, której przyczyny były bardziej psychologicznej niż politycznej natury. Określenie „wolny Kościół w wolnym Państwie” odbierali oni nie jako gwarancję, lecz zagrożenie. Nie trzeba dodawać, że antyklerykalizm podżegany przez jeden z nurtów odrodzenia narodowego jedynie podsycił tego rodzaju obawy. Giuseppe Garibaldi na przykład nie ukrywał awersji wobec Kościoła. Podejmując z grubsza argumentację Guicciardiniego, pisał do swojej angielskiej przyjaciółki: „Papieska teokracja jest jedną z najokropniejszych ran, które dotykają mój kraj; osiemnaście wieków kłamstw, prześladowań, stosów, spisków i tyranii sprawiły, że dla Włoch jest to rana nie do uzdrowienia”.

Także w obrębie samego katolicyzmu istniał silny nurt, w którym podzielano poglądy Cavoura i wyraźnie widziano, jakim niebezpieczeństwem dla wolności Kościoła i skuteczności jego nauczania była jego doczesna władza; zdawano sobie sprawę, że działalność polityczna prowadzi do rażących kompromisów w sferze duchowej. Pisał o tym filozof i kapłan Antonio Rosmini; mówił o tym największy katolicki włoski pisarz Aleksander Manzoni: „Uważam, że gdy religia we Francji

została pozbawiona zewnętrznego splendoru, gdy nie miała innej mocy poza Jezusem Chrystusem, przemówiła w sposób bardziej wzniosły i była bardziej wysłuchiwana”.

Sytuacja ta trwała jeszcze długo. Jak już mówiłem, dopiero 11 lutego 1929 roku szef rządu Benito Mussolini podpisał traktaty laterańskie i konkordat z Kościołem, a Państwo Miasta Watykańskiego w zamian uznało suwerenność Królestwa Włoch. Układ ten wiele osób uważało za niekorzystny dla narodu włoskiego pod wieloma względami, zwłaszcza tymi, które dotyczyły kosztownych zobowiązań finansowych. Pius XI, za którego pontyfikatu podpisano ów traktat, komentował to przychylnie: „Uważamy, że wraz z nim przywróciliśmy Boga Włochom i Włochy Bogu”. Z niezwykłą jasnością i przenikliwością napisał w swoich *Listach z więzienia* komunistyczny myśliciel Antonio Gramsci:

Kapitulację współczesnego państwa potwierdzają konkordaty, choć rzecz jest maskowana przez utożsamianie konkordatów i układów międzynarodowych. Jednak konkordat nie jest zwykłym układem międzynarodowym: w konkordacie poświadcza się mieszanie się dwóch suwerennych władz na terenie jednego państwa, gdyż wszystkie artykuły odnoszą się do mieszkańców tylko jednego z państw, nad którym władza drugiego państwa leżącego poza granicami domaga się ściśle określonej jurysdykcji i usprawiedliwia jej istnienie. Konkordat jest więc jednoznacznym uznaniem podwójnej władzy na jednym i tym samym terenie państwowym. We współczesnym świecie co praktycznie oznacza taka sytuacja dla państwa, które zawarło konkordat? Oznacza publiczne przyznanie pewnej kaście obywateli tego państwa ściśle określonych przywilejów politycznych. Forma nie jest średniowieczna, jednak co do istoty nic się nie zmieniło.

Podpisanie traktatów laterańskich w 1929 roku dało nazwę *via della Conciliazione* („ulica pojednania”), jak wcześniej wspominałem. Gdy skończyła się ostatnia wojna, traktaty laterańskie zostały zaakceptowane przez konstytucję Republiki Włoskiej (weszła ona w życie 1 stycznia 1948 roku), której artykuł 7. głosi: „Państwo [włoskie] i Kościół katolicki są wzajemnie niezależne i niezawisłe. Ich relacje regulują traktaty laterańskie”. Za było 350 głosów, przeciw 149. Taki stan rzeczy popierali także komuniści, którym przewodził Palmiro Togliatti, i nie obyło się bez polemik. Artykuł 7. konstytucji bowiem był zaprzeczeniem jej ogólnego ducha, a w szczególności tego, o czym stanowił artykuł 3.: „Wszyscy obywatele są równi pod względem społecznym i wobec prawa, bez względu na płeć, rasę, język, religię, przekonania polityczne, sytuację osobistą i społeczną”. Przez lata powtarzano, że PCI

(Komunistyczna Partia Włoch – Partito Comunista Italiano) Togliattiego zaprzedała świeckość państwa, aby zapewnić sobie miejsce w rządzie. Jeżeli to prawda, był to błąd, gdyż komuniści nie utrzymali się zbyt długo. Po przegranej w wyborach w 1948 roku przeszli w szeregi opozycji, gdzie pozostali przez trzydzieści lat.

Wiele wody upłynęło w Tybrze na przestrzeni osiemnastu wieków tej historii. Fałszywa darowizna Konstantyna Wielkiego jest w sumie śmiechu warta, miała jednak tragiczne konsekwencje i przetrwała tak długo jak niewiele innych dokumentów, a może jak żaden inny. Historia Włoch została naznaczona owym „mieszaniem się dwóch suwerennych władz”, jak określił to Gramsci.

W historii tej nakładały się na siebie arogancja, żądza posiadania, autentyczny lęk dotyczący losów instytucji Kościoła, jak również hipokryzja, pokrętne działania, półprawdy, sztuczki charakterystyczne dla każdej działalności politycznej. Historia darowizny Konstantyna Wielkiego jest także rzadko spotykanym narzędziem badawczym, zwłaszcza po tym, jak wykazano fałszywość tego dokumentu. *Constitutum* i jego konsekwencje pozwalają nam zobaczyć, że nawet organizacja, która uważa się za namaszczonej przez Boga, nie potrafi uniknąć słabości, lęków, kłamstw, jak każda inna instytucja. Co czyni Stolicę Apostolską bardzo ludzką. Może nawet aż nazbyt ludzką...

⁸ Ten i pozostałe cytaty za: Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. Edward Porębowicz, PIW, Warszawa 1959, w. 115–117.

⁹ Typowo włoski sposób nazywania papieży, funkcjonujący równoległe z oficjalnym, polega na używaniu nazwiska rodowego. Włoch może papieża nazwać Bonifacym VIII albo papieżem Gaetanim, Pawłem VI albo papieżem Montinim, Janem Pawłem II albo papieżem Wojtyłą (przyp. T.K.).

4. Cena chwały

Watykańska Bazylika św. Piotra, kościół papieży, to jedna ze wspanialszych świątyń. Do jej wzniesienia przyczyniło się zupełnie wyjątkowe w skali światowej sprzężenie działalności ludzkiej i duchowej. Skomplikowane dzieje tej szacownej budowli, najpierw w formie zamierzonej przez cesarza Konstantyna Wielkiego, potem zaś w znanej nam dziś renesansowej wersji, wskazują, także dzięki obecnej tam symbolice, niektóre kluczowe momenty w rozwoju religii katolickiej.

Bazylika jest ogromna, może pomieścić ponad dwadzieścia tysięcy osób. Jej długość wynosi 194 metry, a kopuła wznosi się na wysokość przeszło 130 metrów. Zajmuje powierzchnię ponad 2 hektarów. Każdy z trzynastu posągów frontonu mierzy ponad 6 metrów. W nawach znajduje się sto czterdzieści osiem kolumn o wysokości 44 metrów. Każdy z posągów umieszczonych przez Berniniego na czterech głównych kolumnach ma 5 metrów; gigantyczne cherubiny podtrzymujące kropielnice sięgają 2 metrów; jest tam trzydzieści ołtarzy, sto czterdzieści siedem papieskich grobowców. Ta wielka bazylika nie ma sobie równych na całym świecie, jeżeli weźmie się pod uwagę wartość zebranych w niej dzieł oraz klasę artystów, którzy pracowali, by ją upiększyć.

Wygląd bazyliki jest tak znany, że mógł się zużyć. Dlatego też większość ludzi, którzy na nią patrzą, tak naprawdę jej nie „widzi”, nie są zaskoczeni i olśnieni, tak jak powinni; rozpowszechnianie sylwetki świątyni przez media służy propagowaniu Kościoła, co on sam sobie ceni, bez wątpienia przesłania jednak zarazem jej artystyczną i architektoniczną wyjątkowość. Z upływem czasu Bazylika św. Piotra zaczęła być nazywana po włosku tylko i po prostu Świętym Piotrem, jakby istniała od zawsze, niezmienna wobec upływu czasu, jako archetyp wieczności, symbol religii katolickiej, stolica i tron papieża.

Dzieje bazyliki były bardzo burzliwe, a czasami wprost dramatyczne. Każda jej część była przedmiotem długich dyskusji i studiów, zanim w końcu ją wykonano. Jej dzisiejszy wygląd zawiera olbrzymi ładunek conceptualny i symboliczny, siłę

przekonywania i zarazem urok, jest znakiem bezmiernej potęgi.

Ten rozdział nie opowiada jednak całej historii bazyliki. Istnieje wiele doskonałych ksiązek na ten temat, a dzieje są długie i skomplikowane, obfitują w zdarzenia, które zasługują na to, by je opowiedzieć. Opiszemy tu jedynie niektóre epizody, wskażemy przyczyny, dla których pewne dzieła zdobiące bazylikę znajdują się w takich, a nie innych miejscach, dlaczego zostały zamówione, w jaki sposób i za jaką cenę je wykonano, przy czym mówiąc o cenie, nie myślę jedynie o pieniądzach. Poza tym do Świętego Piotra i artystów, którzy tam pracowali, wrócimy w następnych rozdziałach, gdyż bazylika jest także prawdziwym podręcznikiem historii, mówi o błogosławieństwie niebios, lecz zawiera także dzieła i grobowce przywołujące nader konkretne i kontrowersyjne ludzkie dzieje, historie związane ze świętymi, to oczywiste, lecz także z królami i królowymi, sławnymi kobietami i mężczyznami, którzy zapisali się w pamięci niezwykłymi czynami, choć niekoniecznie świętością, i dlatego wolno spytać, co takiego uczynili lub czego nie uczynili, że zasłużyli na pochówek w najwspanialszej chrześcijańskiej świątyni.

W zamierzonych czasach Watykan był miejscem mało popularnym i opustoszałym, leżącym na niewielkim wzniesieniu na drugim brzegu Tybru. Jak wiemy, w pierwszych dziesięcioleciach epoki panowania Kaliguli, a potem Nerona, zbudowano tam cyrk, który leżał na lewo od dzisiejszej bazyliki. Był to jeden z wielu cyrków Rzymu. Operując współczesnymi kategoriami, moglibyśmy nazwać je „stadionami”, gdyż były to miejsca rozrywki i emocji, tłumy i krzyków, gdzie rywalizacja sportowa często przemieniała się w zajścia o charakterze społecznym, a nawet politycznym. Budowle te prawie zawsze były wspaniałe pod względem formy architektonicznej i rozmiarów. Cyrk Kaliguli i Nerona na przykład w połowie spiny zdołał egipski obelisk z czerwonego granitu (ten sam, który dzisiaj stoi pośrodku placu przed bazyliką), a w 37 roku zbudowano nawet specjalny statek, aby przewieźć go do Rzymu. Jeżeli chodzi o wielkość, cyrk Nerona mógł pomieścić dwieście pięćdziesiąt tysięcy widzów.

Według legendy w roku 67, niespełna rok przed śmiercią Nerona, w cyrku tym został stracony apostoł Piotr, rybak Kefas, głowa chrześcijańskiej wspólnoty Rzymu. Został skazany na ukrzyżowanie, jednak na własną prośbę ukrzyżowano go głową w dół, odwrotnie niż jego mistrza. Zdaje się, że jego ciało złożono przy drodze biegnącej obok cyrku, w ubogim grobie wykopanym w ziemi. Kilka wieków później cesarz Konstantyn Wielki, pierwszy, który w pełni uprawomocnił nową religię, przychylnie ustosunkował się do prośb rzymskich chrześcijan chcących, aby w tym miejscu dla upamiętnienia owej ofiary wzniesiono bazylikę.

Tak więc około 320 roku cesarscy architekci zaczęli pracować nad projektem. Musieli wznieść budowlę tak, aby jej centrum – był to główny powód powstania świątyni – znalazło się na tym skrawku ziemi, gdzie, jak sądzono, zostało złożone ciało apostoła. Aby to uzyskać, trzeba było umieścić główną oś budowli na linii wschód–zachód, a ponieważ teren opadał tam z północy na południe, przed rozpoczęciem prac należało przekopać olbrzymie zwały ziemi. Natychmiast też przedsięwzięcie zostało uznane za „szalone”.

Trzeba było usunąć sporą część watykańskiego wzgórza, osuszyć podmokły teren, postawić fundamenty na tyle mocne, by uniosły ogromny ciężar przyszłej konstrukcji. Należało także opróżnić starożytną nekropolię leżącą po części na tych terenach, gdzie od dawna grzebano pogan obok chrześcijan. W roku 326, rok po niezwykle ważnym soborze w Nicei, sam Konstantyn Wielki, podobnie jak czynili to potem inni przywódcy, zainaugurował prace, wbijając w ziemię ostrze łopaty.

Pozostałości tej budowli, odsłonięte dzięki przeprowadzonym stosunkowo niedawno wykopaliskom archeologicznym, wykazały, że praca postępowała szybko. Pierwsza bazylika, podobnie jak ta, którą ją zastąpiła, miała imponujące rozmiary: fasada mierzyła 64 metry, pięć naw, na które była podzielona, miało długość 90 metrów; nawa główna była szeroka na 24 metry i wysoka na ponad 30 (nawy boczne miały odpowiednio wysokość 18 i 15 metrów). Centralna pod względem liturgicznym część budowli, pod którą znajduje się grób św. Piotra, nie wiadomo, czy celowo, czy z powodu błędnych obliczeń, leżała pół metra poniżej poziomu podłogi; w każdym razie tę część zamknięto w rodzaj skrzyni ozdobionej marmurem, wysokiej na mniej

więcej 3 metry, sam grób zaś wyłożono płytami z brązu w jasnoróżowym kolorze.

Przed bazyliką Konstantyna Wielkiego znajdował się obszerny dziedziniec (zwany „rajem”) otoczony portykiem. W centrum stała (przynajmniej od roku 1000) fontanna w kształcie szyszki, która dziś mieści się w Watykanie na dziedzińcu o takiej samej nazwie – cortile della Pigna (dziedziniec Szyszki). Przed wejściem do bazyliki wierni najpierw dokonywali rytualnych oczyszczeń, obmywając sobie przynajmniej ręce i twarz. Znak krzyża wykonany palcami zamoczonymi w święconej wodzie jest współczesną symboliczną pozostałością owych starożytnych oczyszczeń. Tak oto ubogi grób Piotra, pochowanego w ziemi, przemienił się w drogocenne mauzoleum.

Niestety niemal natychmiast zaczęło dochodzić do nadużyć: kto bowiem chciał ujrzeć swe imię wyryte w marmurze otaczającym grób, a wielu tego pragnęło, musiał złożyć ofiarę diakonom, którzy kierowali sprawowaniem liturgii. Praktyka ta, która rozwinie się w następnych wiekach, stała się przyczyną głębokich wstrząsów.

Przejawy pobożności były tak wielkie, że cesarz wyznaczył dla wiernych miejsce, w którym mogli się zatrzymać, pomedytować i pomodlić do apostoła, pierwszego *pontifeksa*, w miejscu jego męczeństwa, aby jego przykład umocnił ich wiarę. Jeżeli chodzi o Konstantyna Wielkiego, jego wiarę i zasługi wyraźnie podkreślono w dedykacji wyrytej na łuku łączącym nawę z transeptem: *Quod duce te mundus surrexit/in astra triumphans/ /hanc Constantinus victor tibi condidit aulam*, dzięki Twemu przewodnictwu świat powstał z martwych w triumfie sięgającym gwiazd, dlatego też zwycięski Konstantyn poświęca Ci tę budowlę.

W propagowaniu nowej religii Konstantyn Wielki był niestrudzony. Poza Świętym Piotrem w tym samym okresie wznosił bazyliki o rozmiarach iście cesarskich, wszystkie leżały wokół ciasno zabudowanego centrum miasta: długa na prawie 100 metrów bazylika św. Jana na Lateranie, jej budowę rozpoczęto przed Świętym Piotrem; bazylika Świętego Krzyża z Jerozolimy, której zapragnęła matka cesarza Helena, podobno z Ziemi Świętej przywiozła autentyczny fragment krzyża, na którym skonał Jezus; długa na 75 metrów bazylika św. Sebastiana na via Appia; mauzoleum

córki cesarza Konstancji na via Nomentana, dzisiaj znane jako Santa Costanza, jeden z najpiękniejszych i najbardziej sugestywnych kościołów chrześcijaństwa epoki starożytnej.

Rzym w okresie klasycznym był miastem rzeźb: na forach stały posągi mówców i senatorów w togach, cesarzy na koniach, olbrzymie termy i nimfea wypełniały przedstawienia ludzkich postaci, świątynie pogańskich bóstw były ozdobione kolumnami i mozaikami. Poczynając od IV wieku, wraz z powstawaniem wielkich bazylik Rzym klasycznej architektury zaczął się zmieniać. Wiele posągów uległo zniszczeniu, niektóre na skutek zwykłej niefrasobliwości, inne wyraźnie z przyczyn ideologicznych. Chrześcijaństwo sublimowało swoje symbole, preferowało sposób przedstawiania odmienny od upodobań Rzymian, swoje świętości częściej ukazywało w malarstwie i mozaikach niż rzeźbie. Od V wieku także w centrum miasta rozpowszechniała się tendencja do przemieniania okazałych starożytnych budowli w kościoły chrześcijańskie. Powstały więc kościoły świętych Jana i Pawła na wzgórzu, świętego Marka u stóp Kapitolu, świętego Wawrzyńca, świętej Marii na Zatybrzu, świętej Sabiny na Awentynie, świętego Klemensa w pobliżu Koloseum, bazylika Santa Maria Maggiore na Eskwilinie.

Rzym chrześcijański, zajmując miejsce Rzymu klasycznego i wypierając go, unicestwił nie tylko jego obecność, lecz także pamięć o nim; gdzie do tej pory stały posągi i ołtarze pogańskich bogów, postawił własne, w miejsce bóstw roztaczających opiekę nad różnymi sferami ludzkiego życia wprowadził swoich świętych, stare ryty zastąpiła jego liturgia: po kilku dziesięcioleciach nie pozostanie niemal ślad po dawnych religiach. Istnieją oczywiście teksty filozoficzne, literackie, sztuki teatralne czy prace z zakresu nauk przyrodniczych, które cierpliwi mnisi, uczeni sekretarze, często wielcy artyści i kaligrafowie starannie kopiowali dla nielicznych potrafiących czytać. Jednak z szeroko rozpowszechnionych kultów i tolerancji religijnej, jaką gwarantował Rzym, nie pozostał nawet ślad.

Najbardziej zagorzały propagator chrześcijaństwa Paweł z Tarsu w Liście do Rzymian (1, 26-31) lżył starożytne zwyczaje i związane z nimi kulty: „(...) kobiety przemieniły pożycie zgodne z naturą na przeciwne naturze. Podobnie też i mężczyźni,

porzuciwszy normalne pożycie z kobietą, zapalali nawzajem żądzą ku sobie, mężczyźni z mężczyznami uprawiając bezwstyd (...). Bóg wydał ich na pastwę nic niezdatnego rozumu, tak że czynili to, co się nie godzi. Pełni są też wszelkiej nieprawości, przewrotności, chciwości, niegodziwości. Oddani zazdrości, zabójstwu, waśniom, podstępowi, złościwości; potwarczy, oszczercy, nienawidzący Boga, zuchwali, pyszni, chępliwi w tym, co złe – pomysłowi, rodzicom nieposłuszni, bezrozumni, niestali, bez serca, bez litości”¹⁰. To portret okrutny, u którego podstaw leży niesamowity gniew, do jakiego zdolny jest neofita o niezwyklej inteligencji i emocjonalności.

A jednak to właśnie Rzym cesarski (i pogański) miał na myśli Konstantyn Wielki, gdy nakazywał i popierał budowę nowych bazylik z zamiarem proklamowania religii chrześcijańskiej, i czynił to w sposób wyraźnie dostrzegalny. Mauzoleum, które wielki cesarz Hadrian zbudował sobie nad Tybrem (dziś znane jako Zamek św. Anioła), było dla niego dzięki swej dostojności jednym ze wzorów. Hadrian chciał, aby jego budowla była ogromna i wspaniała, podobnie postąpił Konstantyn. Z biegiem czasu ów cesarski wzorzec przydał rozpoznawalnych cech także roli, jaką odgrywali nowi papieże: rozmiary budowli, bogactwo paramentów, solenność rytów, silna woń kadzidła, sugestywność śpiewów, światła odbijające się od złotych mozaik – wszystko to świadczyło o ich koncepcji władzy, którą chcieli przewyższyć potęgę starożytnych cesarzy, gdyż chrześcijańscy papieże mieli także nad cesarzami władzę odpuszczania grzechów i zapewniania życia wiecznego. Tak to Kościół stał się spadkobiercą cesarstwa, będąc przekonany o tym, że jego misja cywilizacyjna jest uniwersalna, a nawet jeszcze wyższa w porównaniu z tą, jaką spełniał Rzym w świecie klasycznym.

Starożytne chrześcijańskie mozaiki często przedstawiają Chrystusa jako zasiadającego na tronie cesarza, ubranego w złotą togę, *dominus dominantium* (pan panów), w otoczeniu apostołów niczym rzymskich senatorów. Nowy Kościół uznał też za swój uniwersalistyczny ideał dawnego i kończącego się cesarstwa, podkreślając fakt, że w Kościele znajduje ono swoje przedłużenie. Jeżeli chodzi o papieży, mówi się, że pierwszym, który uzurpował sobie tytuł *pontifex maximus*, był

Damazy I (366–384), nawet jeżeli zapis (w skrócie: pont. max.) zacznie się pojawiać na frontonach kościołów i innych budowli znacznie później.

Wybór Damazego I był szczególnie dramatyczny, gdyż rzymski kler podzielił się na dwie frakcje, które zwalczały się nawzajem z przyczyn doktrynalnych i politycznych. Doszło nawet do tego, że wybrano dwóch papieży (Ursyna i Damazego) ostro ze sobą rywalizujących. Historyk Ammianus Marcellinus, jeden z większych autorytetów późnej łacińskiej starożytności, nadzwyczajny świadek upadku cesarstwa, pisze w *Dziejach rzymskich*:

Damazy i Ursynus, rozpaleni przekraczającą ludzką miarę żądzą zagarnięcia biskupiego tronu, każdy otoczony grupą popleczników, toczyli ze sobą ostrą walkę. Zwolennicy jednego i drugiego doprowadzili do starć, w których byli zabici i ranni. (...) W owej rywalizacji zwyciężył Damazy, dzięki staraniom tej partii, która mu sprzyjała. Jak wiemy, w bazylice Sycynina, gdzie odbywają się zgromadzenia wspólnoty chrześcijańskiej, jednego tylko dnia znaleziono stu trzydziestu siedmiu poległych, a rozwścieczonego tłumu przez długi czas nie można było uspokoić.

Co do mnie, kiedy zastanawiam się nad ostentacyjnym przepychem panującym w mieście, nie przeczę, że ludzie, aby osiągnąć to, do czego dążą, wkładają w spory najwyższy wysiłek. Kiedy zaś dopną już do celu, stają się tak pewni siebie, że bogacą się na podarunkach składanych przez szacowne matrony i przejeżdżają przez miasto w powozach, wspaniale odziani, a ponadto urządzają uczyty wystawne tak bardzo, że przewyższają królewskie przyjęcia¹¹.

W końcu zwyciężył Damazy, nawet jeżeli sposób, w jaki tego dokonał, nie przysparzał chwały człowiekowi religijnemu. Jest on jednak ważny dla naszej opowieści, bo był pierwszym biskupem Rzymu, który oparł swoje panowanie nie na postanowieniach soborów czy innych dokumentach, lecz bezpośrednio na Ewangeli, na sławnym „wyznaniu Piotrowym” (Mt 16, 18): „Ty jesteś Piotr opoka i na tej opoce zbuduję mój Kościół, a moce piekielne go nie przemogą”. To oświadczenie jest uważane za fundament prawdziwej dynastii papieskiej, która z upływem czasu się umocniła.

Wróćmy jednak do chrześcijańskich bazylik budowanych na wzór publicznych budowli klasycznego Rzymu, które były miejscami zarazem sakralnymi i świeckimi, gdyż rzymska religijność starała się łączyć te sfery. Jak Romulus i Remus byli założycielami miasta, tak Piotr i Paweł stali się fundatorami nowego Rzymu spod znaku krzyża. Gdy nowa religia stopniowo oddalała się od rygorystycznego

żydowskiego monoteizmu, tworzyła także swój panteon. Mamy w niej do czynienia już nie tylko z samotnym biblijnym Jahwe, lecz z całą ubóstwioną rodziną, z rodzicami i synem. Wokół nich zaś liczne postacie boskie i półboskie, których z czasem pojawią się tysiące. Każde miejsce, każdy rodzaj ludzkiej działalności, każda część ciała będą miały swoich patronów, do których będzie się można zwracać, dokładnie tak samo jak działo się to w przypadku pogańskiego panteonu.

W mieście, które coraz bardziej podupadało, gdzie domy i sale, akwedukty i świątynie były dewastowane i zmieniały się w ruiny, przepych i ogrom nowych bazylik, na czele ze Świętym Piotrem, na odwiedzających i pielgrzymach natychmiast sprawiały wrażenie, że nowa władza zastąpiła starą i że obecnie najstosowniej jest zwracać się właśnie do niej ze wszystkimi potrzebami dotyczącymi życia doczesnego i pośmiertnego.

Było więc konieczne, aby Bazylika św. Piotra stanęła na wysokości tak wielkiego zadania wyznaczanego przez tę wiarę i władzę i aby wszyscy, od najpokorniejszych wiernych po panujących władców, wchodząc tam, doznawali natychmiastowego odczucia władzy, od której zależały ich rządy, a często także życie. Nigdy żadna religia nie posunęła się tak daleko.

Jednak z upływem czasu wspaniała bazylika wzniesiona przez Konstantyna Wielkiego podupadła. Mniej więcej w połowie XV wieku wielki architekt i humanista Leon Battista Alberti zwrócił uwagę papieżowi Mikołajowi V (Tommaso Parentucelli, 1447–1455), że mury głównej nawy odchylają się od pionu o ponad metr. Poza tym we Florencji zbudowano nową katedrę, Santa Maria del Fiore, zwieńczoną wspaniałą kopułą Brunelleschiego, harmonijną bryłę, która po królewsku wznosiła się nad miastem i równiną otoczoną pagórkami. Mikołaj V, Toskańczyk, wyraźnie czuł to wyzwanie. To on wybrał Watykan na siedzibę papieża i zastanawiał się, jak go umocnić. W czterech rogach Zamku św. Anioła nakazał wznieść wieże, wzmocnił i podwyższył mury leoniańskie, kazał uświetnić przylegające doń ulice i zaułki, które były wtedy siedliskiem złodziei i zabójców (floreński kapłan Rosello Roselli w jednym z listów do Kosmy Medyceusza, wysłanym w 1450 roku, tak je opisywał: „Tereny te są spelunką: każdego dnia mają tu miejsce kradzieże, a ludzi

zabija się, jakby byli bydłem; jakby nie wystarczało, że panuje tam morowe powietrze, ludzi kroi się na kawałki jak rzepę”).

Mikołaj V był postacią kontrowersyjną, na jego temat krążyły plotki, które na stałe wpiszą się w tradycję. Jego sławę wielkiego opilca, szybkiego w eliminowaniu wrogów, opiewa taki na przykład anonimowy dwuwiersz: „Od kiedy jest Mikołaj, papież i morderca,/w Rzymie krwi jest nadmiar, a wina nie starcza”. W drugim rozdziale XIII księgi *Historii miasta Rzymu w średniowieczu* Ferdinand Gregorovius osądza papieski dwór dość surowo:

Papieski Rzym był w tym czasie już moralnie zepsuty, a kler skorumpowany i znieawidzony. Kardynałowie żyli jak świeccy książęta; ich zepsucie obrażało nie tylko uczucia obywateli, lecz także tłum prostych mieszkańców. Członkowie Kurii, liczny zastęp prałatów opływających w dostatki, a mimo to cały czas żądnych zysków, dawali obrzydliwy spektakl arogancji, chciwości i moralnego zepsucia.

Papieżowi Mikołajowi V udało się wiele dokonać, jednak nie zdołał wszystkiego, co zamierzył. Jego zasługą było jednak zwrócenie uwagi na to, że kwestii szacownej bazyliki Konstantyna nie można dłużej unikać. Jego projekt podjął następny, niezwykle energiczny papież Sykstus IV (Francesco Della Rovere), który sprawował pontyfikat w latach 1471–1484. Największym jego dziełem było odnowienie kaplicy większej (*capella magna*) w świętych pałacach, która od jego imienia nazywa się Kaplicą Sykstyńską. Było to przedsięwzięcie o takim znaczeniu, także pod względem wydarzeń artystycznych, których stało się sceną, że zasługuje na omówienie w osobnym rozdziale.

Sykstus IV wybudował także nowe ulice i most leżący w pewnej odległości od mostu Sant’Angelo, który w okresie wielkich napływów pielgrzymów był straszliwie zatłoczony (podczas Roku Świętego 1450 tłum wiernych u wejścia i zejścia z mostu był tak zbity, że uduśiło się, wpadło do Tybru i zostało stratowanych przez konie około dwustu osób). W trakcie prac u boku papieża stał młody kardynał Giuliano Della Rovere, który jak wtedy często bywało, był też jego bliskim krewnym.

Giuliano także został papieżem, a nawet był jednym z tych, którzy żywiołowością temperamentu i ogromem ambicji wpłynęli na dzieje. W tego rodzaju ludziach nie ma nic religijnego: to przywódcy, którzy równie chętnie przywdziewają paramenty

liturgiczne jak zbroję oraz z takim samym zapałem wymachują kropidłem jak mieczem. Giuliano został obrany papieżem w 1503 roku w wieku sześćdziesięciu lat na konklawe, które trwało tylko jeden dzień. Śnił o niezapomnianym pontyfikacie, co można było odczuć, gdy tylko obrał imię Juliusza II, w sposób oczywisty przywołujące na myśl Juliusza Cezara. Był to papież polityk i wojownik, który zainspirował powstanie wielkich dzieł, twórcą monarchii, w której następca św. Piotra, prawdziwy *pontifex maximus*, był jedynym władcą i cesarzem. Wzorem dla niego był Oktawian August. Miał niespożytą energię, którą ogarniał także sztuki plastyczne, a pojmował je nie w sposób estetyczny, lecz jako jeden z aspektów swej polityki.

To on z werwą podjął niedokończone projekty Mikołaja V i zrealizował także wiele nowych. Zaledwie trzy lata po wyborze, w 1506 roku, powierzył jednemu z najlepszych architektów epoki, Donatowi Bramantemu, zaprojektowanie nowej świątyni, która zastąpiłaby niebezpieczną bazylikę Konstantyna Wielkiego. Jej budowa trwała ponad sto lat, podczas których następowali po sobie różni papieże. Zewnętrzna bryła została ukończona w 1621 roku; dłużej trzeba było czekać na wykończenie wnętrza. Pośród rzymskiego ludu zaczęły rozlegać się głosy, że przedsięwzięcie o takim rozmachu nigdy nie zostanie ukończone.

Prace powierzone Bramantemu zaczęły się niemal natychmiast: 18 kwietnia 1506 roku wmurowano pierwszy kamień. Kierowano się ideą, by starej bazyliki nie burzyć od razu, lecz zacząć od wznoszenia tych części nowej, które leżały na zewnątrz istniejących murów. Burzyć zaczęto rok później, czemu towarzyszyła krytyka z powodu tego, jak to robiono, a to dlatego, że po kilku miesiącach prac dawna budowla wyglądała brzydko, jak wszystkie place budowy: część była zburzona, ogólna bryła zniszczona i niemal całkowicie brakowało dachu.

W 1513 roku zmarł Juliusz II w wieku siedemdziesięciu jeden lat, potem odeszli także jego dwaj następcy. W 1534 roku, po śmierci Klemensa VIII z Medyceuszów, na Piotrowy tron wstąpił Alessandro Farnese, przyjmując imię Pawła III. Był to

dobry papież, nawet jeżeli w historii zapisał się niesłychanym nepotyzmem, gdyż kardynałami mianował dwóch nieletnich wnuków. To on, papież Farnese, pod koniec 1546 roku zaproponował Michałowi Aniołowi przejęcie kierownictwa budowy Świętego Piotra. Artysta miał siedemdziesiąt dwa lata, nie najlepsze już zdrowie i wydawało mu się, że to zadanie go przerasta. Na początku więc się wahał i chciał odmówić prowadzenia prac, które nawet jemu, twórcy przedsięwzięć na wielką skalę, zdawały się za trudne. Papież jednak naciskał. Giorgio Vasari pisze, że ten papieski wybór był naprawdę „natchniony przez Boga”. Artysta ostatecznie się zgodził, jednak pod jednym warunkiem: jeżeli ma przewodzić pracom, chce być jedynym odpowiedzialnym i nikt nie może przeciwstawiać się jego decyzjom.

Było to żądanie niesłychane, o konsekwencjach nie tylko zawodowych i artystycznych, lecz i politycznych; można nawet przypuszczać, że Michał Anioł, wysuwając je, liczył na to, że zostanie odrzucony. Znając rezultat, możemy powiedzieć, że wybór papieża był doskonały. Jednak w owym czasie, kto mógł być pewny, jak będzie wyglądać ukończone dzieło, nad którym pracowano od wielu lat, które kosztowało „górze pieniędzy” i miało stać się ośrodkiem religii przeżywającej jeden z najpoważniejszych kryzysów, gdyż wstrząsała nią luterkańska reforma i angielska schizma Henryka VIII? Artysta był sławny, jego wcześniejsze dzieła wspaniałe, jednak zawiadywanie całym placem budowy było czymś nowym także dla niego, biorąc pod uwagę choćby gigantyczną skalę przedsięwzięcia. A mimo to papież zaakceptował warunek. 1 stycznia 1547 roku w *motu proprio* powierzył dzieło Buonarrotiemu, dając mu praktycznie nieograniczone uprawnienia, udzielając na piśmie „wszelkiej władzy, tak że może budować, burzyć i zmieniać wszystko według własnego uznania”.

Zmiany wprowadzono bardzo szybko. Michał Anioł odrzucił projekt Sangalla, uznawszy go za zbyt skomplikowany, zbyt kosztowny, zbyt „niemiecki”, to znaczy gotycki. Nakazał zburzyć niektóre już wzniesione mury transeptu, zmodyfikował kształt kopuły zaprojektowanej czterdzieści lat wcześniej przez Bramanteo. Można wyobrazić sobie sprzeczki, zazdrość i skargi wywołane tego rodzaju radykalnymi posunięciami. Mówiono o próżności, pieniądzach wyrzuconych w błoto,

wygórowanych ambicjach.

Budowę świątyni i związane z tym wydatki nadzorowała specjalna Kongregacja Delegatów. Głosy krytyki podniosły się właśnie ze strony jej członków, gdyż niektórzy uznali, że podważa się ich kompetencje i pozbawia odpowiedzialności, która poniekąd do nich należy. W marcu w Zamku św. Anioła odbyło się spotkanie, któremu osobiście przewodził papież. Niektórzy delegaci zwrócili uwagę na to, że jeżeli zostaną zaakceptowane decyzje florenckiego artysty, trzeba będzie zburzyć dwie trzecie tego, co już zostało zrobione. Czy to sensowne? Czy kiedykolwiek widziano taką rozrzutność i nieposzanowanie pracy? Wszak to właśnie konieczność znalezienia pieniędzy na budowę Bazyliki św. Piotra była jedną z przyczyn luterkańskiej rewolucji. Poza tym sam papież zatwierdził projekty Sangalla, które teraz należało odrzucić.

Paweł III pozostał niewzruszony: odwołując się do swojej najwyższej władzy, powiedział, że ze wszystkich projektów ten autorstwa Buonarrotiego wydaje mu się najlepszy i że w konsekwencji to on będzie realizowany.

Michał Anioł podjął ideę Bramantego, opierając bazylikę na planie krzyża greckiego (cztery ramiona jednakowej długości) wpisanego w kwadrat i na przecięciu dwóch osi nakrytego wielką kopułą. Wzmocnił więc ściany nośne techniką muru cyklopowego, jak to dzisiaj widać, a zarazem „opróżniając” wnętrze bazyliki z kolumn zaprojektowanych przez Bramantego oraz z biegnących wkoło naw wymyślonych przez Sangalla. Wykonał projekt kopuły i rozpoczął jego realizację. W 1564 roku, gdy umierał, budowla była doprowadzona prawie do bębna z mocnymi podwójnymi kolumnami przeplatanyymi dużymi oknami.

Papież Sykstus V (Felice Peretti, 1585–1590) dał nowy impuls pracom przy budowie bazyliki i wielu innym dziełom. Natychmiast po wyborze nakazał rozpoczęcie licznych przedsięwzięć. Juliusz II wzdłuż rzeki poprowadził dwie ulice: Giulia i Lungara; Leon X i Paweł III stworzyli sławny trójząb (ulice: Ripetta – Corso – Babuino), który poczynając od Porta del Popolo, wiódł w kierunku centrum miasta; Grzegorz XIII utworzył via Merulana, aby połączyć Lateran z Santa Maria Maggiore.

Sykstus V („papież drażliwy, papież trudny/zwariowany jak papież Sykstus” – pisał

poeta Giuseppe Belli) w trakcie swego pięcioletniego pontyfikatu wiele dokonał. Na przykład na szczytach dwóch słynnych spiralnych kolumn Trajana i Antonina umieścił posągi świętych Piotra i Pawła; odrestaurował ponad dwadzieścia kilometrów akweduktu (Acqua Felice, „woda szczęśliwa”, potem zwana Pia, „zacną”, a także Marcia „zgniłą”); nakazał wykonać kilka prosto biegnących ulic, jak na owe czasy szerokich i długich; zaprojektował arterię o długości prawie czterech kilometrów (jej końcowy odcinek nazywa się od jego imienia via Sistina, która zaczyna się przy kościele Świętego Krzyża z Jerozolimy, mija kościół Santa Maria Maggiore oraz Kwirynał (na wysokości Quattro Fontane) i dochodzi do Trinità dei Monti. Jeżeli zaś chodzi o interesującą nas tutaj historię, to do najważniejszego zdarzenia doszło w styczniu 1588 roku, gdy ów pełen inwencji papież przywołał dwóch architektów, Giacomą Della Porta i Domenicą Fontanę, i nakazał im jak najszybsze przykrycie bazyliki kopułą, która pozostawała nieukończona.

Architekci zaplanowali prace na dziesięć lat, jednak pod naciskiem papieża dzieło zostało ukończone w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy. Della Porta analizował różne warianty, aby sprostać tym wymaganiom czasowym. Zorganizował oddział ponad ośmiuset robotników, którzy pracując dzień i noc, wykonali całą strukturę: 15 czerwca 1590 roku położono ostatnią cegłę. Sykstus V miał siedemdziesiąt lat i umarł dwa miesiące później. Zdążył jednak zobaczyć ukończone niezwykle dzieło, które wieńczy Bazylikę św. Piotra i jest jedną z bardziej charakterystycznych cech miasta.

Innym, nie mniej spektakularnym przedsięwzięciem dynamicznego papieża, który panował jedynie pięć lat, było przeniesienie egipskiego obelisku. Ten olbrzymi kamień przywieziono do Rzymu z Aleksandrii w I wieku z nakazu cesarza Kaliguli. Wtedy jednak leżał porzucony na ziemi tam, gdzie kiedyś był cyrk Nerona; należało więc przenieść go do niezagospodarowanej przestrzeni pomiędzy wiecznym placem budowy bazyliki oraz podmokłymi i niebezpiecznymi uliczkami dzielnicy, która dochodziła do rzeki w pobliżu Zamku św. Anioła.

Było to niezwykle trudne, nie tyle ze względu na transport, ile na postawienie obelisku w doskonałym pionie na jego podstawie. Jedyłą siłą, jaką dysponowano, były mięśnie ludzi i zwierząt, pomnożone, na ile to było możliwe, blokami

wciągarek, które w połączeniu ze skomplikowanym systemem lin umożliwiły podniesienie obelisku. Zaplanowanie prac tak, by zagwarantować bezpieczeństwo, pochłonęło siedem miesięcy, a do realizacji potrzebowano setek ludzi i koni oraz dziesiątek bloków. Przygotowania trwały cztery miesiące, od kwietnia do września 1586 roku. Skonstruowano rodzaj „wiszącej drogi”, aby horyzontalnie przetransportować obelisk, oraz dwa drewniane rusztowania, aby unieść go na odpowiednią wysokość. Wydano edykt, który pod karą śmierci zabraniał wchodzenia na plac komukolwiek, kto mógłby utrudnić to niebezpieczne przedsięwzięcie.

Carlo Maderno, potomek Domenica Fontany, architekt zatrudniony także przy budowie Bazyliki św. Piotra, mniej więcej sto lat później szczegółowo opisał przebieg prac:

Fontana obliczył, ile może unieść i przesunąć jeden blok za pomocą mocnych lin ciągniętych przez cztery silne konie, tak by grube liny unoszące ciężar się nie rozerwały. Wiedział, że każdy blok podnosi około dwudziestu tysięcy funtów¹². Sporządził więc czterdzieści bloków, aby unieść ciężar ośmiu tysięcy funtów, oraz dwie długie dźwignie z blokami, by za ich pomocą udźwignąć resztę ciężaru oplecionego linami obelisku, który ważył milion czterdzieści trzy tysiące i pięćset trzydzieści siedem funtów.

Aby wszystko się powiodło, dziesiątki bloków musiały pracować synchronicznie i w sposób skoordynowany. Tak więc reżyser tego przedsięwzięcia musiał mieć całościową wizję wszystkich działających sił oraz możliwość wydawania poleceń tak, by wszyscy je słyszeli, nie mając oczywiście do dyspozycji mikrofonów i głośników. Pracownikom nakazano więc absolutne milczenie (choć i tak milczeliby z przejęcia), a dźwięki trąb dawały sygnał do poszczególnych etapów pracy.

Dzięki dokładnemu przygotowaniu oraz ogromnemu wysiłkowi wszystko szczęśliwie się zakończyło, i to niemal bez wypadków:

Każdy zajął wyznaczone mu miejsce i z niezwykłym skupieniem rozpoczęto całe przedsięwzięcie. Najpierw jednak wszyscy ukłękli, upraszając Boga o wsparcie, po czym architekt, który niczym główny kreator panował nad wszystkimi, nakazał grać trąbom; potem wszyscy z jednakowym oddaniem wprawili w ruch sto czterdzieści koni zaprzęgniętych do czterdziestu czterech bloków, przy asyście ośmiuset robotników. Wszyscy bardzo uważali, by działać w sposób zorganizowany i tak też poruszać mechanizmami, a wtedy zobaczono, jak obelisk powstał z ziemi, i to tak sprawnie, że wszyscy obecni bardzo się temu dziwili. Stał pionowo w miejscu wyznaczonym o godzinie 23.00 owego dnia (10 września 1586 roku), a z powodu pomyślnego zakończenia tak niezwykłego przedsięwzięcia długo panowała ogromna radość.

Jedyny groźny moment miał miejsce wtedy, gdy pod koniec całej operacji napięcie lin było tak wielkie, że na skutek tarcia zaczęły dymić; mało brakowało, a by się zapaliły – konsekwencje byłyby straszliwe, jak można sobie wyobrazić. Jak wieść niesie, pewien marynarz z Ligurii złamał nakazane milczenie i zakrzyknął: „Woda na liny!”. Posłuchano go i wszystko szczęśliwie się zakończyło.

Kilkadziesiąt lat później papież Paweł V (Camillo Borghese, 1605–1621) zapragnął nadać bazylice formę krzyża łacińskiego, gdyż bardziej mu się podobała niż ta o równych ramionach, jaką zaproponował Michał Anioł. Poleciał więc architektowi Carlowi Madernie wydłużyć nawę, przesuwaną tym samym do przodu cały fronton, także po to, aby zwiększyć pojemność bazyliki. W praktyce był to powrót do pierwotnej koncepcji podłużnej lub „wydłużonej” Sangalla, którą Michał Anioł zmienił. Maderno wykonał polecenie bardzo inteligentnie. Kto dzisiaj spogląda na Świętego Piotra, widzi, że fasada jest rytmicznie poprzecinana ogromnymi kolumnami i oknami, które harmonizują z tymi na bębnie kopuły. Sześć kolumn skupia się w części środkowej, jakby miały podtrzymywać tympanon, uwypuklając zarazem centralną loggię wykorzystywaną podczas najważniejszych celebracji: ogłoszenia wyboru papieża, uroczystych błogosławieństw.

Pierwszy projekt frontonu Maderna niezbyt podobał się papieżowi, który uważał, że budowla jest zbyt wysoka w porównaniu z jej szerokością. To papież podpowiedział architektowi, by rozciągnął fronton po bokach, harmonizując tym samym wysokość i szerokość bryły. Za pilastrami zamykającymi całość dodano więc dwa okna nad wychodzącym z podstawy łukiem i ozdobiono je, umieszczając nad nimi zegary zaprojektowane pod koniec XVII wieku przez Giuseppe Valadierą.

Taką to budowlę, już nie pierwszej młodości, w 1656 Bernini miał uświetnić placem, który harmonizowałby z całością. Rezultat mogą podziwiać wszyscy i trudno wyobrazić sobie, by można było lepiej wykonać podwójną kolumnadę otaczającą obszerny plac, obelisk i tłum wiernych, często całkowicie wypełniający tę przestrzeń.

Ile kosztowała nowa bazylika? Na pewno iście astronomiczną sumę, zresztą proporcjonalną do rozmiarów budowli i ambicji, które symbolizowała. Jednak mury i kopuła były niczym w porównaniu do wewnętrznego wystroju i licznych artystycznych dzieł, które miały ją stopniowo upiększyć. Jeżeli rozmiary świątyni wyraźnie wskazywały nadzwyczajną władzę, która potrafiła ją wznieść, ostateczne wykończenie naw i zewnątrz na ową potęgę nałożyły jeszcze pieczęć chwały.

Gdy Bernini, jeszcze raz on, zaprojektował na tle absydy pełną złota i światła katedrę Piotra, doskonale wyraził ideę monarchiczną, którą papieże stworzyli na przestrzeni wieków, przypisując sobie znamiona cesarskie. W dziele wielkiego artysty widać anioły, smugi złotych promieni, obłoki, cztery olbrzymie posągi doktorów Kościoła łacińskiego i greckiego, cherubiny podtrzymujące klucze i tiarę, a w samym środku katedrę, na której według legendy miał zasiadać św. Piotr, choć naprawdę jest to tron, jaki papieżowi podarował Karol Łysy w 875 roku.

Oto chwała proklamowana w sposób jak najbardziej świetlisty, uroczysty i bezpośredni. Nie ma na świecie instytucji, dynastii czy rządu, które mogłyby rywalizować z Kościołem Rzymu w spektakularnym przepychu ceremonii: pogrzebach, koronacjach, beatyfikacjach. Gdy więc pyta się o cenę tego wszystkiego, nie należy myśleć tylko o pieniądzu. Oczywiście pieniądze były potrzebne i aby zebrać dostateczną ich ilość, nie cofnięto się nawet przed najbardziej bezwstydną symonią, skandaliczną sprzedażą odpustów, co było jedną z przyczyn luterańskiego buntu.

W 1507 roku za pontyfikatu Juliusza II została wydana bulla *Salvator noster* ogłaszająca specjalne odpusty dla tych, którzy złożą ofiarę; zbiórkę pieniędzy nakazano biskupom. „Świętym kupczeniem” nazwano pewien rodzaj indultu nie z tej ziemi, na którego podstawie wierni, płacąc, mogli swoim bliskim zmarłym skrócić o wiele lat pobyt w czyśćcu. Kiesa papieskiego dworu była jak studnia bez dna, gdyż wszystkie środki szły na budowę Bazyliki św. Piotra oraz spłacanie pożyczek u europejskich bankierów, którzy finansując Watykan, wymagali, by spłacano ich w uzgodnionych terminach.

Prawdopodobnie do rozdziału między chrześcijanami i tak by doszło, jednak ów

haniebnym handlem z pewnością proces ten przyspieszył. Pod koniec października 1517 roku niemiecki augustynianin, Marcin Luter, wywodzący się z chłopstwa profesor teologii, przybił, jak głosi legenda, na drzwiach katedry w Wittenberdze dziewięćdziesiąt pięć tez, w których sprzeciwiał się praktykowaniu odpustów. Jedną z podnoszonych przez niego kwestii brzmiała: „Dlaczego papież, będąc bogatszy od triumwira Krassusa, nie płaci z własnej kieszeni za prace przy kościele św. Piotra, lecz buduje go za grosze ubogich wiernych?”.

Po raz pierwszy od swego powstania Kościół, który zwał się „katolickim”, narażał na szwank tę właśnie swoją cechę. Nie była to jedna z wielu małych czy wielkich „herezji”, które Kościołowi towarzyszyły przede wszystkim w jego początkach. Był to prawdziwy i dramatyczny rozłam; kilka lat później zadufany w sobie Henryk VIII dorzucił do tego schizmę anglikańską, według której, pośród innych ustaleń, minister Anglii nie mógł być wyznania katolickiego. Dopiero w 1829 roku książę Wellington (ten, który pokonał Napoleona pod Waterloo) sprawił, że król Jerzy IV zatwierdził Catholic Emancipation Act, który otwierał drogę politycznej emancypacji katolików, znosząc prawa zabraniające im kandydowania do rządu Jego Królewskiej Mości. Jednak przy tym królowie Anglii obnosili się z tytułem *defensor fidei* (obrońca wiary), na który Henryk VIII zasłużył wydaniem surowego edyktu potępiającego Lutra. To sprzeczności częste w religii, w której mieszają się wiara i polityka.

Około półtora wieku po rozpoczęciu się ruchów protestanckich, w latach 1656–1657, jezuita Pietro Sforza Pallavicino, kardynał i historyk, napisał historię soboru trydenckiego, która jest niezwykle obiektywna, mimo że powstała z polecenia papieża. Tłumaczenie pełnego tytułu tego dzieła brzmi: *Historia soboru trydenckiego, napisana przez P. Sforzę Pallavicina z Towarzystwa Jezusowego, w której również na podstawie autorytatywnych świadectw odpiera się historię fałszywą rozpowszechnioną na ten sam temat pod imieniem Pietra Soave Polana*. Była to katolicka odpowiedź na pewien polemiczny traktat wydany kilka lat wcześniej. Mimo to autor zaznaczył: „Materialny budynek św. Piotra w większości

zniszczył jego budowlę duchową; gdyż to na skutek zbierania milionów, jakie pochłaniały prace przy wznoszeniu tego kościoła, za czasów następcy Juliusza II miała początek herezja Lutra, która pozbawiła Kościół wielu milionów dusz”.

Zdaje się, że jezuita Sforza Pallavicino miał rację, pozostawiam to jednak osobistej ocenie czytelników.

[10](#) Wszystkie cytaty biblijne za: Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań 1999.

[11](#) Ammianus Marcellinus, *Dzieje rzymskie*, t. 2, księga XXXI, przeł. Ignacy Lewandowski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2002.

[12](#) Funt rzymski lub libbra (między 0,33 a 0,44 kg) (przyp. T.K.).

5. Kościół pozbawiony głosu

Niepokojący znak pojawił się już w czasie wyborów. Był sierpień 1978 roku i zaledwie przed kilkoma dniami zmarł Paweł VI, który panował piętnaście lat. Konklawe, które miało wyłonić następcę, przebiegało szybko: cztery głosowania w ciągu jednego dnia, trochę ponad dwadzieścia cztery godziny. Rezultat: na stu jedenastu uczestników sto jeden głosów za. Między dwoma nurtami: konserwatystami (skupionymi wokół arcybiskupa Genui Giuseppe Siriego) i progresistami (zebranych wokół arcybiskupa Florencji Giovanniego Benellego), na koniec zwyciężył on: Albino Luciani z regionu Veneto, sześćdziesiąt sześć lat, człowiek może aż nazbyt pobożny jak na tego rodzaju stanowisko.

Jak powiedziałem, pojawił się pewien niepokojący omen: dym, który po dokonaniu wyboru tradycyjnie powinien być biały, w tym przypadku najpierw był szary, a po chwili nawet czarny, pomimo niemal całkowitej jednomyślności. Krótco potem watykańskie radio nadało komunikat i po chwili w fasadzie Świętego Piotra otworzyło się okno i nie było już żadnych wątpliwości: Jan Paweł I mógł pokazać się rzeszy rozentuzjasmowanych wiernych. Czarny dym rozwiął się w rzymskim powietrzu. Nowy papież chciał zaraz przemówić do zebranych, pragnął natychmiast otworzyć swe serce. Jednak przewodniczący ceremonii dość władczo zasugerował, by nowo wybrany ograniczył się do błogosławieństwa, jak przewiduje procedura.

Natychmiast jednak zrozumiano, że to papież wyjątkowy. Przemawiał bardziej jak proboszcz niż władca, często się uśmiechał, był uprzejmy, łatwo się rumienił i przyznawał do tego. Wyznał również, że się przeraził, gdy uświadomił sobie, że wybrano go na następcę św. Piotra (*Tempesta magna est super me* – „Nade mną wielka zawierucha”). Najprawdopodobniej z tej przyczyny po raz pierwszy w tysiącletnich dziejach papieżstwa przybrał podwójne imię, Jan Paweł I, jakby prosząc o opiekę swych dwóch poprzedników.

Wszystkim wiadomo, że ten pontyfikat był jednym z najkrótszych w dziejach, trwał zaledwie trzydzieści trzy dni, i że papież zmarł nagle. By jednak zrozumieć, dlaczego

pozostało tyle wątpliwości dotyczących przyczyn jego zgonu, trzeba choć pobieżnie przyrzeć się temu, czego skromny Albino Luciani dokonał i co zapowiedział w czasie nieco dłuższym niż miesiąc, w którym dane mu było panować. Zaczął natychmiast w sposób stanowczy od szczegółów procedur i ceremonii wcale nie bez znaczenia, gdyż o wielkim znaczeniu medialnym: zniósł *pluralis majestatis*, nawet jeżeli „L'Osservatore Romano” poprawiał jego teksty przed opublikowaniem; zrezygnował z tiary, potwierdzając tym samym wolę Pawła VI, i papieskiej lektyki noszonej na ramionach przez paziów, za którą znajdowały się dwa egipskie wachlarze, co tworzyło scenografię nadającą się raczej do opery; zniósł mszę koronacyjną, zastępując ją „uroczystą liturgią na rozpoczęcie posługi Piotrowej”; nie chciał zasiadać na tronie w trakcie uroczystych celebracji liturgicznych.

Dziwne były jego pierwsze przemówienia – wcześniej takich nie słyszano. Mówił, że Bóg był ojcem, ale jeszcze bardziej matką: odwoływał się w tym do Starego Testamentu, lecz w ten sposób naruszał utrwaloną tradycję. Papież Benedykt XVI, według którego „Bóg jest tylko ojcem”, tak szybko jak tylko mógł wrócił do tradycji. Często mówił o sobie po ludzku, opowiadając o własnych doświadczeniach i dawnej posłudze, uznając swoje słabości. Natychmiast zrozumiano, że to papież pokorny, i nie mniej szybko (jako dziennikarz doskonale to pamiętam) zaczęto mówić, że może nie nadaje się do tak skomplikowanej funkcji i że jego wybór był błędem. Przewidywano, że najprawdopodobniej nie potrwa to długo. No i nie trwało. W dawnych czasach Celestyn V, by objąć papieski tron, przyjechał do Rzymu na mule czy na ośle. Bonifacy VIII bez najmniejszego trudu pozbawił go tronu. Jan Paweł I nazywał siebie sługą Jezusa i Kościoła i także on krótko sprawował tę funkcję.

Jedną z informacji, którą upubliczniono po jego nagłej śmierci, było to, że na stole w jego pokoju leżał egzemplarz tygodnika „Il Mondo” otwarty na artykule zatytułowanym *Wasza Świątobliwość... czy to właściwe?* Zwracając się bezpośrednio do papieża, „Il Mondo” pytał, czy jest rzeczą słuszną, „by Watykan działał na rynkach całego świata jak każdy inny inwestor? Czy jest rzeczą słuszną, że ma on bank, który sprzyja transferowi kapitału i uchylaniu się od podatków przez włoskich obywateli?”.

Za chwilę zobaczymy, w jakim sensie „Il Mondo” w papieskim pokoju może mieć znaczenie. W żadnym jednak wypadku nie należy wątpić, że problem bogactwa, czyli finansów Watykanu, beztrąsko graniczącego z arogancką samowolą, nie był dla papieża Lucjanego drobnym zmartwieniem, lecz prawdziwym koszmarem. W ciągu trzydziestu trzech dni, które tak szybko minęły, wielokrotnie wracał on do tej sprawy; podobno napisałby nawet encyklikę na temat biedy na świecie, gdyby starczyło mu czasu; marzył, by Kościół powrócił do ewangelicznego ubóstwa i by przynajmniej 1 procent dochodów kleru był przeznaczony na rzecz biednych. Kościół nie powinien mieć ani władzy, ani bogactw, mówił Jan Paweł I.

Miał jeszcze inne idee. Uważał na przykład, że rola kobiety, tak marginalna również w obrębie Kościoła, powinna zostać na nowo przemyślana. Sądził, że nie powinno się zabraniać *sic et simpliciter* środków antykoncepcyjnych, bez zwracania uwagi na konkretne okoliczności, w których czasami są one nie tylko dopuszczalne, lecz nawet wskazane. Uważał, że bankom, w szczególności bankowi Watykanu, powinny przyświecać cele etyczne, to znaczy chęć niesienia pomocy ludziom mniej zamożnym. (Mniej więcej dwadzieścia lat po jego śmierci w 2006 roku bengalski ekonomista Muhammad Yunus otrzymał pokojową Nagrodę Nobla za ideę niezbyt odbiegającą od papieskiej: zaproponował „mikrokredyt”, czyli system niewielkiego wsparcia dla przedsiębiorców zbyt ubogich na to, by otrzymać kredyt w zwykłym banku). Papież Luciani był niemalże rewolucjonistą, nie mógł długo pozostać na swym stanowisku, w otoczeniu takiej, a nie innej Kurii, mając takie, a nie inne obowiązki i taką, a nie inną przeszłość.

Jeszcze inny niepokojący sygnał, bardzo poważny, pojawił się zaledwie kilka dni po jego wyborze, gdy czasopismo „O.P. Osservatore Politico” wydawane przez Mina Pecorellego, który rok później został zamordowany, opublikowało listę około stu duchownych należących do masonerii. Czasopismo powszechnie uważano za organ wykorzystywany (przynajmniej częściowo) przez służby bezpieczeństwa Włoch, aby przekazywać różne informacje, w tym ostrzeżenia i groźby.

Poza tym znane były związki Pecorellego z Licinem Gellim, głową loży masońskiej określanej mianem P2. Jaki więc sens miała publikacja tej listy? Byli na niej między

innymi watykański sekretarz stanu (odpowiednik premiera) Jean Villot, „minister spraw zagranicznych” Watykanu Agostino Casaroli, wikariusz miasta Rzymu¹³ Ugo Poletti, niezwykle wpływowy dyrektor watykańskiego banku Paul Marcinkus, zastępca dyrektora „Osservatore Romano” don Virgilio Levi, dyrektor watykańskiego radia Roberto Tucci.

Albino Luciani musiał czuć się osaczony. Mówiło się, że tajny pakt, który wiązał wszystkie te osoby, zalecał, by nade wszystko działać roztropnie, wykonywać ostrożne ruchy, nie wzburzać zbytnio wód, które znalazły się w korzystnej dla nich równowadze. Mówiąc zaś w sposób bardziej zrozumiały, owa lista nakazywała: niech Wasza Świątobliwość zachowa spokój, postępuje roztropnie, a najlepiej o wszystkim zapomni!

Takie przesłanki pozwalały podejrzewać, że nagła śmierć Albina Lucianiego była morderstwem. Hipotezie tej sprzyjały liczne sprzeczności i niedomówienia (raz jeszcze!) w rekonstrukcji wydarzeń. Początkowo mówiono, że śmierć nastąpiła o godzinie 23.00. Potem przesunięto porę na 4.45 następnego ranka. Podano, że ciało znalazł papieski sekretarz John Magee, dzień wcześniej jednak twierdzono, że znalazła je oddana zakonnica, siostra Vincenta Taffarel. Trzeci natarczywy głos podawał, że bez wątpienia pierwszą osobą, która weszła do papieskiego pokoju, był właśnie Jean Villot. Mówiono, że papież w chwili zgonu trzymał w ręku książkę *O naśladowaniu Chrystusa*, kilka kartek z notatkami, listę nominacji, które miał wręczyć następnego dnia, lub szkic przemówienia. W każdym razie jest rzeczą pewną, że natychmiast wyniesiono z jego pokoju niektóre przedmioty osobistego użytku: okulary, kapcie, notatki, opakowanie lekarstw na nadciśnienie.

Czy na takiej podstawie można mówić o zabójstwie? A przynajmniej wysuwać taką hipotezę? Tak myślał angielski dziennikarz śledczy David Yallop, który wielokrotnie zajmował się kwestiami Watykanu, a na temat śmierci papieża Lucianiego napisał obfitującą w ciężkie zarzuty książkę pod tytułem *W imieniu Boga?* Trzeba przyznać, że odniosła ona sukces, gdyż na świecie sprzedano sześć milionów egzemplarzy. Jaka była teza Yallopa? Że papież poruszył dwa bardzo niebezpieczne tematy, z których jeden dotyczył doktryny, a drugi był bardzo przyziemnej natury.

Chodziło o wrogość Kościoła wobec wszelkiego rodzaju środków antykoncepcyjnych i zdaje się, że Jan Paweł I chciał to poddać dyskusji. Według niektórych kurialistów, do których należał sekretarz stanu Villot, jakakolwiek innowacja byłaby zdradą linii wyznaczonej przez Pawła VI w encyklice *Humanae vitae* (lipiec 1968).

Jeszcze bardziej przemawiał do wyobraźni drugi temat, to znaczy kwestie finansowe tego małego państwa, a w szczególności funkcjonowanie takiego banku jak IOR, ze wszystkimi jego machlojkami, wątpliwą klientelą, nieustannym zaprzeczaniem celowi swego istnienia, to znaczy działania na rzecz „dział religijnych”¹⁴. Dokładniej zobaczymy to w rozdziale poświęconym temu bankowi, teraz zaś powiedzmy, że nigdy nie wyjaśniono, czy numer jeden banku, monsignor Marcinkus, był narzędziem w rękach otaczającej go kliki, czy też wprost przeciwnie – sam wykorzystywał szeroką sieć swoich znajomości we Włoszech, w Europie i Stanach Zjednoczonych. Kilka dni przed śmiercią Jana Pawła I pojawiła się wiadomość, że papież chce pobrać z banku znaczną kwotę, by przeznaczyć ją na budowę domów i szkół w tych częściach świata, gdzie zachodzi taka potrzeba, w krajach ubogich, gdzie panoszy się bieda, zwłaszcza w porównaniu z ostentacyjnym bogactwem Zachodu.

W każdym razie zdaje się, że papież Luciani chciał sprowadzić Kościół do jego pierwotnego ubóstwa, co dla wielu było nie do przyjęcia nade wszystko dlatego, że pociągnęłoby za sobą usunięcie z Kurii niektórych najbardziej wpływowych osób. Wiadomości z owych dni mówią o konflikcie z sekretarzem stanu kardynałem Villotem, który przemienił się w otwarte starcie.

W obliczu tak nagłej śmierci najlepiej byłoby wyjaśnić wszelkie wątpliwości, dokonując autopsji, na to jednak nie pozwolono. Ten sprzeciw ostatecznie umocnił najgorsze podejrzenia co do przyczyny zgonu. Według oficjalnego oświadczenia śmierć nastąpiła z powodu ostrego zawału mięśnia sercowego. To sensowne, gdyż zawał może dotknąć nawet osobę cieszącą się pozornie dobrym zdrowiem. Ale przeczy temu fakt, że na twarzy zmarłego papieża nie było widocznych śladów cierpienia, które ból bez wątpienia by wywołał. Biorąc to wszystko pod uwagę,

Yallop wydedukował, co następuje: nagła śmierć nastąpiła wprawdzie na skutek zawału serca, jednak wywołała go silna trucizna. Wobec różnych przypuszczeń i domysłów powtarzanych przez najważniejsze środki masowego przekazu na całym świecie najlepiej byłoby dogłębnie zbadać przyczyny tragedii, wyjaśnić je i ogłosić. Tymczasem obrano jak zawsze drogę niepokojącego milczenia.

Zostawmy Watykan oraz jego tajemnice i przenieśmy się – z powodu pewnych analogii, które za chwilę pokażę, do innego wspaniałego miejsca w Rzymie: bazyliki św. Pawła za Murami.

O zachodzie słońca w letnie wieczory mozaika na frontonie niemal płonie, odbijając promienie słońca, które na chwilę zatrzymuje się nad horyzontem. W takich momentach bazylika św. Pawła w pełni rozbłyskuje swoim splendorem: na złotym tle wyraźnie widać postać Chrystusa, który błogosławiąc, znajduje się między świętymi Piotrem i Pawłem; poniżej Baranek Boży, a za Nim czcigodne mury Rzymu; jeszcze niżej między trzema oknami czterej prorocy Starego Testamentu potwierdzają związek między żydowskim biblijnym Pięcioksięgiem i Nowym Testamentem chrześcijan.

Wielowiekowe dzieje bazyliki wypełniłyby całą księgę. Według legendy została ona wzniesiona w miejscu, gdzie pochowano św. Pawła, po tym, jak go ścięto. Bazylikę konsekrował w 324 roku papież Sylwester I, w roku 390 została przebudowana i ponownie konsekrowana, stając się w średniowieczu centrum niewielkiej osady feudalnej rozwijającej się wokół jej murów do czasu, gdy trzęsienie ziemi w 1348 roku zburzyło dzwonnice i część okolicznych ubogich zabudowań. Bazylikę ponownie odnowiono i ozdobiono i tak przetrwała do dramatycznych dni połowy lipca 1823 roku, gdy straszliwy pożar zniszczył ogromną jej część. Kilka dni wcześniej, 7 lipca, papież Pius VII (Luigi Barnaba Chiaramonti, 1800–1823) złamał nogę. Wydawało się, że to niegroźny wypadek, jednak z powodu ówczesnego ograniczenia wiedzy medycznej okazał się tragiczny. Gdy bazylika spłonęła, papieżowi nic nie powiedziano, aby go nie martwić. Zmarł miesiąc później,

w sierpniu, a w następnym życiu mógł się cieszyć tym, że pochowano go w Bazylice św. Piotra we wspaniałym mauzoleum zaprojektowanym przez Bertela Thorvaldsena.

Z uporem odbudowywana, świątynia nie jest tak okazała jak bazyliki Santa Maria Maggiore czy św. Jana na Lateranie. Roztacza jednak szczególną aurę. Świadomie czy nie, w dziewiętnastowiecznej rekonstrukcji splatają się dwie tendencje: surowość pierwotnego chrześcijaństwa z przepychem współczesnego katolicyzmu; Wschód z Zachodem, ziemia, z której pochodził Żyd Szaweł z Tarsu, i Europa; Rzym, miasto europejskie, i Rzym leżący na zachodnich krańcach Bliskiego Wschodu. Czteroboczny portyk, przez który wchodzi się do bazyliki, jest pod tym względem wymowny. W głębi, na frontonie, oślepiająca mozaika, w środku gigantyczny posąg św. Pawła (trzymającego w dłoniach swe atrybuty: księgę i miecz), palmy, dziesięciometrowe granitowe kolumny, które wznoszą się w trzech szeregach: całość jest zarazem majestatyczna i swojska, rzymska i egzotyczna.

Na tym nie koniec. Wewnątrz znajduje się wspaniałe cyborium z XIII wieku, rzeźbiony świecznik na paschał, olbrzymia mozaika w absydzie ze stylizowanymi przedstawieniami odsyłającymi do epoki, w której powoli rodziła się nowa religia zwana „chrześcijańską”. Transept natomiast jest niezwykle wystawny, o majestatycznych rozmiarach, ze sklepieniem ozdobionym papieskimi herbami, pilastrami z marmuru zwanego pavonazzetto biegnącymi wzdłuż ścian, dwoma ołtarzami zdobionymi malachitem i lapis-lazuli (podarunek cara Mikołaja I): przepych, który oddaje monarchiczny charakter papiestwa dziedziczącego chwałę cesarskiego Rzymu.

Trzeba sobie wyobrazić początki bazyliki i jej położenie. Miejsce to było pustkowiem rozciągającym się dwa lub trzy kilometry poza miejskimi murami, na rozległej nizinie przylegającej do zakręcającego tu leniwie Tybru. Rzeka, morze, cesarstwo, prowincje, niespokojna Palestyna z jej wizjonerskimi prorokami i żarliwą wiarą w jedyne Boga. Tak to wszystko się zaczęło. Trzeba też pomyśleć o człowieku, któremu ten kościół został poświęcony. Jego wizerunek wita przy wejściu wchodzących, wewnątrz powraca wielokrotnie w rzeźbach i obrazach, a fragmenty

jego grobu, to znaczy szczątki i odcięta głowa, spoczywają pod ołtarzem, w krypcie odgradzonej potężną kratą z brązu.

Kim tak naprawdę był Paweł z Tarsu, dla Kościoła katolickiego św. Paweł, zwany w swoim hebrajskim języku Szawłem lub Saulem? Kim był poza zasłoną hagiograficznej opowieści, poza tym, że człowiekiem o wielkich zdolnościach i wsławił się czynami pod wieloma względami rewolucyjnymi, które sprawiły, że choć do grona apostołów dołączył jako ostatni, stał się pierwszym z nich? Czy chodzi o to, że był najbardziej aktywny? Czy słusznie nazywa się go „apostolem narodów”, czyli pogan, dlatego że głosił Jezusa także poza wspólnotami żydowskimi? Dlaczego czasami nazywa się go nawet „prawdziwym założycielem chrześcijaństwa”?

Prawie wszystko, co o nim wiemy, pochodzi od niego samego. Informacje zawarte w Dziejach Apostolskich – których rozdziały od 13. do 28. są całkowicie jemu poświęcone – nie są uważane przez historyków za godne zaufania. Wolą odwoływać się do wiadomości, które wyłaniają się z siedmiu listów jego autorstwa spośród czternastu, które tradycyjnie mu przypisywano.

Szaweł urodził się w Tarsie, w Cylicji, między 5 i 10 rokiem naszej ery, w rodzinie zhellenizowanych faryzeuszy, jego ojciec był obywatelem rzymskim. Pisze: „I ja jestem Żydem, wywodzę się od Abrahama, z rodu Benjamina”. Po studiach w Jerozolimie, w szkole Gamaliela, został wysłany do Damaszku, by – według jednego z podań – na rozkaz arcykapłana przywrócić ład we wspólnocie wzburzonej tym, że niektórzy jej członkowie uważali Jezusa za mesjasza i odwoływali się do Jego nauk. Według innej, bardziej prawdopodobnej wersji podróż do Damaszku Paweł podjął z własnej inicjatywy.

Zatrzymajmy się przy pierwszej wersji. Delikatność owej misji wskazuje na to, że arcykapłan dopatrywał się u młodzieńca pewnych wyjątkowych cech. Zadanie bowiem było trudne; dzisiaj powiedzielibyśmy, że z jednej strony miało charakter policyjnej represji, z drugiej – chodziło o przywołanie do ortodoksyjnego porządku. Paweł od młodości był człowiekiem głęboko umotywowanym, niezwykle energicznym, mającym jasną wizję celów i zapał konieczny do tego, by je zrealizować. Dał się poznać jako prześladowca uczniów Jezusa, osobiście zaaprobował i asystował przy

ukamienowaniu Szczepana. Może został opisany jako bardziej bezwzględny, niż był w rzeczywistości. Bez wątpienia był energiczny i zdecydowany.

Tak więc Szaweł wyruszył w drogę i podczas podróży miał wizję, która dramatycznie podzieliła jego życie na dwie części i była jednym z bardziej wstrząsających wydarzeń pierwotnego chrześcijaństwa. „Nagle olśniła go światłość z nieba. A gdy upadł na ziemię, usłyszał głos, który mówił: «Szawle, Szawle. Dlaczego mnie prześladujesz?». «Kto jesteś, panie» – powiedział. A On: «Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić»” (Dz 9,3-6).

Blask wizji był tak silny, że Szaweł pozostał ślepy do czasu, gdy pewien uczeń Jezusa o imieniu Ananiasz położył nań ręce i sprawił, że odzyskał wzrok. Tak to później Szaweł, czy też Paweł, opowiadał przebieg owych wypadków, choć nie można wykluczyć, że „wizja” i ślepotą były spowodowane atakiem epilepsji. Warto zwrócić uwagę, że opowieść o nawróceniu na drodze do Damaszku, w *Dziejach Apostolskich* przywoływana trzy razy, w *Listach* jest zaledwie wzmiankowana.

Ponieważ Paweł przybył do Damaszku jako potencjalny prześladowca, zupełnie słusznie „bracia” odnosili się do niego podejrzliwie i odesłali do Tarsu, gdzie pozostawał przez kilka lat, studiując i rozmyślając. W tym czasie inni uczniowie, poczynając od Piotra, skutecznie głosili wiarę. Wtedy też właśnie Piotr wykonał niezwykle śmiały gest, przyjmując zaproszenie na posiłek do rzymskiego centuriona Korneliusza. Dla ortodoksyjnego Żyda zasiąść do stołu z gojem oznaczało spożywanie pokarmów niekoszernych, czyli nieczystych. Jednak i Piotr miał widzenie, w którym Bóg osobiście upoważniał go do zerwania z Mojżeszowymi zakazami dotyczącymi spożywania pokarmów. Piotr zinterpretował to zdarzenie dość szeroko i wywnioskował, że Bóg polecił mu nawiązać kontakty także z poganami.

Epizod opisany w *Dziejach Apostolskich* w pewnym sensie przyznaje Piotrowi pierwszeństwo w głoszeniu wiary poza środowiskiem żydowskim. Może jednak jest to jedynie „precedens”, który został mu przypisany, by usprawiedliwić późniejsze, niezwykle energiczne poczynania Pawła. Dyskusja na ten temat jest ożywiona i niełatwa do rozstrzygnięcia. Pewne jest jednak, że pośród Żydów doszło do

bolesnego rozłam na tych, którzy chcieli wiernie trzymać się Mojżeszowych przykazań, i tych, którzy z sympatią przystępowali do nowego nurtu, a którym Paweł obiecywał nie tylko ulgi w sprawach jedzenia, lecz nade wszystko zniesienie obrzezania, bo uważał, że nie jest ono konieczne dla osób nawracających się z pogaństwa.

Paweł miał niezwykłą energię fizyczną i intelektualną, lecz także choleryczny temperament. Te cechy sprawiły, że dyskusja dotycząca tego, co jest konieczne do zbawienia, stała się niezwykle zacięta. Przestrzeganie prawa Mojżeszowego czy też wiara w Jezusa zwanego Chrystusem? Piotr poniekąd zgadzał się z Pawłem na temat wyższości wiary. Pomimo to, być może pod presją jakiegoś judeochrześcijanina, zaczął ponownie przestrzegać dawnych nakazów i przepisów.

W Liście do Galatów widać, jak Paweł wkracza do akcji z niezwykłą determinacją. Widząc, jak wielu błędnie rozumie jego przesłanie, pod wpływem tych, „którzy sięją zamęt i którzy chcieliby przekręcić Ewangelię Chrystusową” (Gal 1, 7), pisze pełen gniewu: „Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy – niech będzie przeklęty! Już to przedtem powiedzieliśmy, a teraz jeszcze raz mówię: Gdyby wam kto głosił Ewangelię różną od tej, którą od nas otrzymaliście – niech będzie przeklęty!” (Gal 1, 8-9). Skąd czerpał pewność, że ma rację, wyjaśnia w następnym zdaniu: „Głoszona przeze mnie Ewangelia nie jest wymysłem ludzkim. Nie otrzymałem jej bowiem, ani nie nauczyłem się od jakiegoś człowieka, lecz objawił mi ją Jezus Chrystus” (Gal 1, 11-12).

Nawet jeżeli nie mówi tego wprost, można zrozumieć, że według niego Piotr nie uszanował układu zawartego w Jerozolimie, według którego tylko on miał zajmować się nawracaniem nieobrzezanych pogan.

Apostoł domaga się pierwszeństwa. Mówi: zwróćcie uwagę, że to ja, a nie inni, jestem wiernym interpretatorem Jezusa. Badacze podkreślają, że po zjeździe w Jerozolimie i zażartej kłótni, która potem nastąpiła, Piotr znika z Dziejów Apostolskich. Dalsze rozdziały są poświęcone niemal wyłącznie Pawłowi.

Nie można streścić złożonej doktryny Pawła, na której temat istnieje obszerna literatura. Podajmy jedynie w celach orientacyjnych niektóre jej punkty. Paweł

rozwijał teorię, według której Jezus Chrystus musiał umrzeć i potem zmartwychwstać, aby zbawienie stało się udziałem tak Żydów, jak i pogan. Wywyższał kult Zmartwychwstania i podkreślał wagę wspomnienia Jego Męki. W pierwszym Liście do Koryntian pisze: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, że byliśmy fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstaną, przeciwko Bogu świadczyliśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa” (1 Kor 15, 14-15). Trzeba mieć ogromną wiarę, aby za prawdziwe uznawać tego rodzaju tezy sprzeciwiające się powszechnemu doświadczeniu, w którym śmierć jest podróżą bez powrotu.

Aby osiągnąć cel, Paweł musiał dokonać jeszcze innego zabiegu doktrynalnego: odpolitycznić postać Jezusa, z proroka, który przemawiał jedynie do „zagubionych owiec Izraela”, uczynić Go głosicielem zbawienia powszechnego. Tak to „wyzwolicielem” Izraela stał się „odkupicielem” ludzkości. Rozszerzając swoje przesłanie na pogan, podkreślając wiarę w Niego, a nie przestrzeganie prawa (Paweł pisze przecież: „Nikt nie zostaje usprawiedliwiony na podstawie zachowywania Prawa”), przydał słowom Jezusa wymiaru uniwersalnego, Słowo Boga uczynił dostępnym dla wszystkich ludzi i sprawił, że nowa wiara staje się *katholikè*, czyli powszechna.

Nie jest to już religia jednego ludu, zniesiono więź, która każdemu narzucała religię ojców, gdyż obecnie wiara zależy od osobistego i świadomego wyboru. Poza tym do zbawienia wystarcza sama wiara. Raczej nie można uznać, że Paweł jest prawdziwym założycielem chrześcijaństwa, jak utrzymuje dosyć liczna grupa naukowców. Na pewno jednak nadał on wierze nowy wymiar i zbudował takie jej podstawy, że mogła się przekształcić w religię.

Co jednak łączy postać Abina Lucianiego zmarłego po trzydziestu trzech dniach pontyfikatu i bazylikę poświęconą Pawłowi z Tarsu? Istnieje związek pośredni, choć przez to nie mniej znaczący. W tej bowiem bazylice pewien młody opat został zmuszony przez Watykan do odejścia z urzędu z powodu „licznych aktów

nieposłuszeństwa”, ponieważ Kościół uważał za „demokratyczną społeczność ukierunkowaną na działalność w wymiarze społecznym”. Opat ten nazywał się Giovanni Battista Franzoni i był jednym z wielu przedstawicieli owego „Kościoła pozbawionego głosu”, którzy zawsze byli obecni w dziejach katolicyzmu. Kościół mniejszości, czasami tolerowany, częściej mający przeciwko sobie hierarchię, który nigdy nie zdobył przewagi i jedynie wraz z Albinem Lucianim na jakże krótko zdołał dotrzeć do tronu Piotra.

Pier Paolo Pasolini w *Scritti corsari* z 1975 roku zaznaczał: „Kościół nie może być reakcyjny: nie może stać po stronie Władzy; może co najwyżej akceptować autorytarne i formalne reguły współżycia”. A jednak, jak napisał katolicki historyk Pietro Scoppola w „La Repubblica” 9 lutego 2007 roku: „To religijność ludowa, nawet jeżeli czasami popada w przesąd, zachowuje głębokie pokłady człowieczeństwa i solidarności. Istnieje rozległe zjawisko chrześcijańskiego wolontariatu, który w kulturze i w swojej praktyce nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek hegemonią. Istnieją sfery i struktury kulturowe, które nie będąc krzykliwe, są głęboko zakorzenione w tkance społeczeństwa i zawsze otwarte na dialog i współpracę (...). Istnieje Kościół milczący, który choć cierpi dlatego, że jest marginalizowany, stanowi prawdziwą alternatywę”.

Wszyscy wiedzą, że prawdziwym mistrzem Kościoła, określanego tu przez nas mianem „pozbawionego głosu”, był Franciszek z Asyżu, palatyn chrześcijaństwa mistycznego, który swoją postawą „wywrotowca” zawsze przeciwstawiał się religii rozumianej jako instytucja. Franciszek zbuntował się przeciwko ojcu, odrzucił bogactwo, aby poświęcić się Bogu, uczynił się sługą najmniejszych tej ziemi. Ów „święty rewolucjonista”, jak napisano, podejrzliwie spoglądał w kierunku Rzymu. Jego zakon był częścią szerokiego ruchu ubogich z XIII wieku, który potępiał korupcję ludzi Kościoła zainteresowanych sprawami materialnymi i zamieszanych w krwawe walki o inwestyturę.

Franciszek był pierwszym, ale nie ostatnim głosem chrześcijaństwa mistycznego. Krótko po jego śmierci (1226 r.) jeden z franciszkanów napisał najpiękniejszy hymn na cześć Maryi: *Stabat Mater*. Był to Jacopone z Todi. Wstąpił do franciszkanów w

1278 roku jako prosty brat zakonny, wybierając rygorystyczny nurt braci duchowych zwanych „fraticelli”, który sprzeciwiał się dominującej frakcji franciszkanów konwentualnych. Ci ostatni, popierani przez Bonifacego VIII, chcieli złagodzić rygor reguły Franciszka. Rzucając wyzwanie istniejącej władzy i broniąc pierwotnego ducha franciszkanizmu, Jacopone doszedł nawet do tego, że uznał wybór papieża za nieważny. Został najpierw ekskomunikowany, a potem skazany na dożywocie i osadzony w więzieniu klasztoru św. Fortunata w Todi. Został uwolniony dopiero po śmierci Bonifacego VIII w 1303 roku.

Zemsty Kościoła nie uniknął natomiast inny przedstawiciel ruchu ubogich, heretyk z gór głoszący równość, ubóstwo, równouprawnienie kobiet, bunt przeciw uciskowi władców feudalnych i hierarchii Kościoła. Jeszcze dzisiaj jego imię jest żywe wśród alternatywnych ruchów piemonckich. W Ivrea czy w dolinach Valsesii na murach można czasami zobaczyć napis *Dolcino vive* („Dolcino żyje”).

W 1291 roku Dolcino przystał do braci apostołskich (jeden z wielu ruchów ubogich tamtych czasów), którym przewodził Gherardo Segarelli. Zarzucono im herezję, byli represjonowani przez Kościół, a Segarellego spalono na stosie 18 lipca 1300 roku. Wtedy też brat Dolcino został przywódcą ruchu. Nauczając w okolicach Trydentu, poznał Margheritę Boninsegna, według kronikarzy bardzo piękną młodą kobietę, która została jego towarzyszką.

W 1304 roku bracia apostołscy uciekli do Valsesii, gdzie właśnie wybuchł bunt przeciwko feudałom; przyłączyli się do buntowników, jednak wysłano przeciw nim liczny i dobrze uzbrojony oddział żołnierzy, którym przewodzili biskupi Novary i Vercelli. Bracia stawiali opór do czasu, gdy oblegani i wycieńczeni z powodu braku żywności zostali pokonani i pojmani w Wielkim Tygodniu 1307 roku. Niemalże wszyscy więźniowie zostali straceni; brata Dolcina, po krótkim procesie, skazano na śmierć. W wozie obwieziono go po Vercelli, po czym poddano torturom, wrywając rozpalonymi szczypcami nos i penis. Zniósł tortury bez krzyków. Wciągnięto go na stos i spalono żywcem nad brzegiem rzeki Sesia.

Jego imię stało się legendą. W 1907 roku, w sześćsetną rocznicę męczeństwa, na szczycie góry Massaro w obecności dziesięciu tysięcy osób, głównie robotników,

postawiono dwunastometrowy obelisk. W 1927 roku, na początku epoki faszystowskiej, Czarne Brygady zburzyły go kulami armatnimi. Musiało minąć blisko pół wieku, aby nowy, tym razem mniejszy pomnik stanął na tym samym miejscu.

Franciszkanizm i ruch ubogich zostały więc stłumione przez Watykan; ich rewolucyjny zapał zgaszono przemocą. Jednak dążenia alternatywne i mniejszościowe w Kościele nie umarły. Katolicki protest płynął przez wieki podziemnym nurtem, równoległe do potęgi rzymskiej władzy. „Katolicy z katakumb” nie zniknęli całkowicie, choć przez wieki stali się prawie niewidzialni, czekając na przychylniejsze czasy. Trzeba poczekać na XX wiek, aby zobaczyć, jak z mocą ponownie wyłania się ów „Kościół ostatnich”, i to głównie dzięki soborowi watykańskiemu II.

Jednak wcześniej był Don Lorenzo Milani, jego pisma *L'obbedienza non è più virtù* („Posłuszeństwo nie jest już cnotą”) oraz wypowiedzi („Uważam, że ubodzy mogą i powinni występować przeciwko bogatym”). Zaliczono go do grupy tak zwanych „katokomunistów” (*cattocomunisti*) i wytoczono mu proces z powodu nawoływania do przestępstwa (popierał odmawianie służby wojskowej z przyczyn religijnych). Umarł, zanim sąd wydał wyrok.

Sobór watykański II otworzył nowy etap w życiu Kościoła. Było to zwycięstwo progresistów i znak odrzucenia wielowiekowej tradycji autorytarnej. W Ameryce Południowej wielu księży, zwolenników teologii wyzwolenia, włączyło się w walkę marksistowską. W Europie powstał ruch „księży robotników”. We Włoszech rozkwitły chrześcijańskie wspólnoty podstawowe (*comunità di base*). Do tego szeroko rozpowszechnionego i kwitnącego ruchu należy także wspólnota św. Pawła, która powstała w Rzymie pod koniec lat sześćdziesiątych i której przywódcą stał się dom Giovanni Battista Franzoni.

W 1974 roku tak pisał o nim Pier Paolo Pasolini: „Dom Franzoni w każdej homilii, wychodząc tradycyjnie od tekstu Ewangelii lub Listów Pawła, nieubłaganie atakuje władzę”.

Jego wypowiedzi przeciw konkordatowi i wojnie w Wietnamie oraz poparcie dla protestów robotniczych z 1969 roku sprawiły, że Watykan patrzył nań wrogo. W

czerwcu 1973 roku w liście *Ziemia należy do Boga* dom Franzoni oskarżył Watykan o współudział w spekulacjach nieruchomościami w Rzymie. Krótco potem zrezygnował ze stanowiska opata. Wielu wiernych zostało przy nim i razem podjęli nową drogę w Kościele: tak powstała wspólnota.

W 1974 roku Franzoni popierał wolność głosu katolików w referendum na temat prawa rozwodowego, za którym opowie się ponad sześćdziesiąt procent społeczeństwa i prawo zostanie zatwierdzone¹⁵. 27 kwietnia tego roku dom Ambrogio Porcu, prokurator kongregacji kasynieńskiej¹⁶, powiadamiał go, że został suspendowany *a divinis, latae sententiae*¹⁷. Franzoni uznał tę karę za bezprawną; dwustu kapłanów podpisało apel w jego obronie; wikariusze generalni niektórych diecezji ślali do niego listy zapewniające o ich solidarności. Jednak dzień później kardynał Ugo Poletti wyraził „pełną zgodę” i dom Franzoni został suspendowany.

Przed wyborami parlamentarnymi w 1976 roku były opat ogłosił, że będzie głosował na Komunistyczną Partię Włoch. 2 sierpnia tego roku został sprowadzony do stanu świeckiego. To kardynał Poletti wydał odpowiedni dokument, uzasadniając swą decyzję tym, że „dom Franzoni swoim zachowaniem głęboko wzburzył i nadal niepokoi lud Boży”, wykazał się też „licznymi aktami nieposłuszeństwa”, a pomimo dwóch lat zawieszenia *a divinis* nie okazał żadnych „znak prawdziwej skruchy”.

Odpowiedź Franzoniego była krótka i stanowcza: „Jesteśmy w Kościele, choć marginalizowani i traktowani podejrzliwie; wrócimy w pełni do naszych funkcji i posług, gdy Kościół nie będzie wymagał od nas wyrzekania się naszych przekonań politycznych (...). My, kapłani, na których spadły ciosy, nie wrócimy sami, lecz ze wszystkimi towarzyszami i towarzyszami, których spotkaliśmy podczas zmagania w fabrykach i na polach, w walkach w dzielnicach miast i w solidarności z ludami Trzeciego Świata. Gdy wszyscy będziemy mogli być w Kościele, głośno wypowiadając nasze przekonania polityczne, nastanie wielkie święto”.

W styczniu 2007 roku „Konferencja Episkopatu Włoch, która nieustannie wtrąca się do życia kraju”, pod przewodnictwem kardynała Camilla Ruiniego sprzeciwiła się projektowi ustawy zwanej „Dico” (*i diritti per le coppie conviventi fuori del*

matrimonio – prawa dla związków pozamałżeńskich), skutkiem czego wspólnota św. Pawła wypowiedziała się w liście „przeciwnej głównej linii wytyczanej przez hierarchię katolicką”. List nosił tytuł *Possumus, List otwarty do Kościoła katolickiego we Włoszech* i można w nim było przeczytać: „Jesteśmy przekonani, że ani Kościół, ani żadna inna religia nie może wskazywać obywatelom i parlamentowi, jaka jest słuszna interpretacja prawa naturalnego. Poza tym w tego rodzaju interpretacjach Kościół katolicki sam sobie wielokrotnie zaprzeczał na przestrzeni dziejów i także dzisiaj nadal może się w tej kwestii mylić. Jego misją jest głoszenie wraz z innymi Kościołami siostrzanymi Ewangelii Jezusa (...). Właśnie jako katolicy i z przyczyn teologicznych otwarcie sprzeciwiamy się stanowisku Episkopatu Włoch, które wydaje się nam dalekie od Ewangelii”.

W swoim niewzruszonym sprzeciwie wobec oficjalnej linii Kościoła wspólnota św. Pawła nie była osamotniona. Przeciwno wypowiedziom Watykanu na temat „związków de facto” wystąpiły wszystkie chrześcijańskie wspólnoty podstawowe. 30 marca 2007 roku ich sekretariat narodowy wydał dokument, który warto zacytować przynajmniej częściowo:

Od lat z oddaniem się staramy, jak wielu innych, utożsamiać się z wyrzutkami społeczeństwa będącymi owocem „miasta rodzin normalnych”. Znaleźliśmy tam nieślubne dzieci porzucone z powodu płamy na honorze, niezamężne matki demonizowane i pozostawione na pastwę najczarniejszej samotności, odrzucone kaleki, więźniów pozbawionych związków rodzinnych, gejów bez nadziei, małżeństwa odarte z godności jako nieprzystające do normy, nieletnich molestowanych przez rodziców, żony gwałcone za zasłoną obowiązku małżeńskiego. Dzisiaj niezamężne matki kroczą z podniesioną głową i nie są zmuszane przez rodziców i proboszczów do aborcji u babek albo też porzucania dzieci, aby ocalić honor rodziny. Kaleki przestały być rodzinnym wstydem, który ukrywało się w jakimś instytucie, gdyż uważano je za znak grzechu. Geje przeżywają w pełni słonecznego światła to, kim są. Młodzi nie muszą już, jak hipokryci, ukrywać swoich związków. A przemoc i molestowanie w rodzinie zaczynają wychodzić na światło dnia. Trzeba przetrzeć drogi do szerokiego otwarcia rodziny, w myśl historii ewangelicznej, na doświadczenia młodych pokoleń i nowych podmiotów społeczeństwa, bez ukrywania ograniczeń i niebezpieczeństw, obecnych w każdym otwarciu na nowe, lecz zarazem ich nie demonizując, ponieważ uważamy, że w tej otwartości leży zbawienie ludzkiej rodziny i małżeństwa.

Innym przedstawicielem wspólnot podstawowych jest Enzo Mazzi, założyciel wspólnoty *Isolotto di Firenze*, dzielnicy leżącej na południowo-zachodnich peryferiach miasta, powstałej w 1954 roku, gdy oddano klucze do około tysiąca

mieszkań w miejscu zaplanowanym jako pierwszy satelita stolicy Toskanii: bloki, kościół, parafia. Tam pod koniec lat sześćdziesiątych powstała wspólnota podstawowa Mazziego. „Być posłusznym katolickiej hierarchii niemal zawsze oznacza nie być posłusznym najgłębszym, prawdziwym i ewangelicznym potrzebom ludzi” – oświadczył.

Pod tego rodzaju sprzeciwem podpisał się jeszcze inny niewygodny kapłan, don Franco Barbero, założyciel wspólnoty podstawowej z Pinerolo. 25 stycznia 2003 roku „kapłan, który błogosławi związek gejów”, stracił status duchownego na mocy rozporządzenia Kongregacji Doktryny Wiary, podpisanego przez jej ówczesnego prefekta kardynała Josepha Ratzingera. Kościołowi w Rzymie nie spodobało się nie tylko małżeństwo gejów, pobłogosławione przez Barbera, lecz także jego pisma (ponad dwadzieścia tekstów chrystologicznych), w których don Franco utrzymuje, że nieomyślność papieża jest ideologią, jakiej nie ma w Biblii; odmawianie kobietom święceń to owoc maskulinizmu i seksofobicznej wizji panującej w Watykanie; dziewicze narodzenie Jezusa to legenda, gdyż Jezus miał siostry i braci; celibat jest wspaniałym wyborem, jednak nie można go narzucać; heteroseksualiści i homoseksualiści mają taką samą godność.

Dzisiaj około pięciu milionów Włochów (12 procent dorosłej populacji) angażuje się w rozległej sieci katolickich stowarzyszeń. To armia wiernych nie zawsze podzielających oficjalne stanowisko Watykanu, często wyrażających poczucie przynależności i wrażliwość od niego niezależne, jeżeli nie wprost krytyczne. Pax Christi, My Jesteśmy Kościołem, Biała Róża – to tylko niektóre postępowe stowarzyszenia katolickie, które domagają się odnowy Kościoła. Ruchy różnego rodzaju, o różnej liczbie członków, wszystkie jednak silnie motywowane w wymiarze teologicznym i społecznym.

Innym wyrazistym przykładem może być Cittadella, kompleks zabudowań w samym sercu Asyżu, który chce być „skrzyżowaniem i przestrzenią współistnienia, swego rodzaju laboratorium różnorodności, na podstawie przeświadczenia, że każda kultura i każda religia jest nośnikiem autentycznych wartości”. Zakonnicy, zakonnice i osoby świeckie z Cittadelli oddają się refleksji i modlitwie, dialogowi i spotkaniom ze

świadkami naszych czasów: artystami, reżyserami, naukowcami, teologami, psychologami, filozofami zaangażowanymi na rzecz godności człowieka.

W 1961 roku Pasolini uczestniczył w jednym z organizowanych przez nich sympozjów i spędził tam kilka nocy. W pokoju, jak wszyscy inni goście, znalazł egzemplarz Ewangelii. Najpierw pomyślał, że to prowokacja ze strony don Rossiego¹⁸ i jego wolontariuszy, choć przecież znalazł się w Asyżu właśnie po to, by mówić o filmie na temat Jezusa. W każdym razie tytuł jego przyszłego filmu, *Ewangelia według świętego Mateusza*, zrodził się właśnie wtedy. Reżyser zanotował w *Regole di un'illusione*:

Instynktownie wyciągnąłem rękę w kierunku szafki, wziąłem książkę z Ewangeliami, takie same były we wszystkich pokojach, i zacząłem czytać od początku, to znaczy poczynając od pierwszej z czterech Ewangelii, tej według Mateusza. Przeczytałem ją od początku do końca – doskonale to pamiętam – niemalże opierając się (lecz z radością) hałaśliwości świętującego miasta. Pod koniec, odkładając książkę, odkryłem, że między pierwszym szumem a biciem dzwonów, które towarzyszyło odjazdowi papieża pielgrzymy (papieża Roncallego odwiedzającego Asyż), przeczytałem w całości tę książkę surową i zarazem czułą, tekst bardzo żydowski i gniewny, bo taka jest ewangelia Mateusza. Wiele razy myślałem już o filmie na podstawie Ewangelii, lecz ten zrodził się właśnie wtedy, w owych godzinach.

Ów „Kościół pogranicza”, bliski najmniejszym, otwarty na spotkanie inności i daleki od władzy rzymskiej Kurii, ma jeszcze innego reprezentanta w don Luigim Ciottim, którego wyświęcił w 1972 roku kardynał Michele Pellegrino i jako parafię dał mu ulicę. Zaczął on działać publicznie już w 1966 roku, tworząc Grupę Abla, której członkowie działają w więzieniach dla nieletnich i pomagają narkomanom. W 1982 roku don Ciotti przyczynił się do powstania narodowego zrzeszenia wspólnot gościnnych (CNCA, Coordinamento Nazionale delle Comunità di Accoglienza) skupiającego dwieście sześćdziesiąt organizacji działających „w sposób świecki i pluralistyczny” wśród ludzi odrzuconych i marginalizowanych. W 1995 roku powołał Liberę – sieć stowarzyszeń zaangażowanych w walkę z mafią, które majątek skonfiskowany szefom świata przestępczego przeznaczają na cele społeczne. Także on napotkał trudności w kontaktach z instytucjami i Kościołem: „Jak długo pomagasz ludziom będącym w kłopotach, jesteś dobry. Gdy jednak zaczynasz stawiać pytania i wskazywać na niesprawiedliwość, zaczynasz być niewygodny” – zanotował jego

słowa Marco Politi w książce *Il ritorno di Dio*.

W obrębie wyznania katolickiego istnieje ewangeliczne bogactwo, które nie wszyscy znają i które jedynie czasami daje się zauważyć. Ograniczyłem się do podania zaledwie kilku nazwisk, ale prawdę mówiąc, jest ich bardzo wiele. Poczynając od wielkiego teologa (dysydenta) Hansa Künga po kardynała Carla Marię Martiniego, od księży z *favelas* w Ameryce Łacińskiej po proboszczów z południa Włoch walczących z mafią.

Nawet jeżeli papież Albino Luciani był posłusznym sługą Kościoła, jego pierwsze posunięcia wyraźnie pokazały, po której stronie ma serce, jaki byłby jego pontyfikat, gdyby okoliczności lub ludzie pozwolili mu go sprawować. Albino Luciani może zostać zabity, a może nie. W każdym razie jest pewne, że w ciągu niewielu dni swego panowania wstrząsem było dla niego odkrycie, jaka otchłań dzieli Ewangelię od funkcji, którą mu powierzono. Gdy tylko skończyło się świętowanie, znalazł się sam w olbrzymim Watykanie, wobec jego interesów, intryg, otoczony Kurią, w której czuł się obcy i która nawet jeżeli nie była otwarcie przeciwna jego zamiarom i wierze, trwała zamknięta w swoich pałacach, odseparowana od oczekiwań i walk wielu zwyczajnych wiernych i prostych księży. Giuseppe Siri, arcybiskup Genui, w prywatnej rozmowie wyznał, że być może przyczyny śmierci papieża Lucianiego należałoby upatrywać w jego nadmiernej uczuciowości, w niepokoju, który nie opuścił go od dnia wyboru na papieża.

Snuto przypuszczenia na temat tego, że mógł umrzeć z powodu wielkiego bólu, który powszechnie określa się mianem „syndromu pękniętego serca”. Czy ten stan został nagle wywołany przez truciznę, stanowi jedną z hipotez, której nie możemy ani potwierdzić, ani wykluczyć.

[13](#) Duchowny, który stale zastępuje papieża w spełnianiu funkcji biskupa diecezjalnego Rzymu (przyp. T.K.).

[14](#) IOR to skrót od Istituto per le Opere di Religione, czyli Instytut na rzecz Dziej Religijnych (przyp. tłum.).

[15](#) Był to jeden z momentów zwrotnych w dziejach Włoch i włoskiego Kościoła. Gdy we Włoszech chciano przeprowadzić referendum na temat prawa rozwodowego, Kościół zorganizował prawdziwą kampanię, praktycznie

zabraniając wiernym głosowania za wprowadzeniem tego prawa. Jednak społeczeństwo, w ponad 90 procentach katolickie, opowiedziało się za prawem do rozwodu. Dla Kościoła była to prawdziwa klęska. Franzoni otwarcie głosił, że w wyborach każdy powinien kierować się własnym sumieniem (przyp. tłum.).

[16](#) Franzoni jako benedyktyn należał do tej właśnie kongregacji (przyp. tłum.).

[17](#) Czyli zawieszony w sprawowaniu czynności świętych mocą samego prawa, co następuje automatycznie po czynie zabronionym (przyp. T.K.).

[18](#) Don Achille Rossi – kapłan nadający ton działalności tej wspólnoty (przyp. tłum.).

6. Dwaj genialni rywale

Jest w Rzymie przepiękne skrzyżowanie, które jednak można podziwiać tylko z narażeniem życia i dlatego też przeważnie nie zwraca się na nie uwagi. Gdybym powiedział, że chodzi o miejsce, w którym przecinają się ulice Pia i Felice, nie wszyscy by wiedzieli, o czym mówię. Bardziej współczesna nomenklatura umożliwia natychmiastowe zidentyfikowanie miejsca: to przecięcie via XX Settembre i via delle Quattro Fontane. Pierwszą z nich rzymianie nazywali Alta Semita (Wysoka Ścieżka), gdyż biegnie wzdłuż grzbietu wzniesienia od Porta Pia do Kwirynału, na jednym jej końcu znajduje się wspaniała brama zaprojektowana przez Michała Anioła, a na drugim egipski obelisk z fontanną Dioskurów.

Przecinająca ją prostopadle ulica biegnie od bazyliki Santa Maria Maggiore do kościoła Trinità dei Monti; została otwarta, jak wspomniałem, przez Sykstusa V, na jej końcach także znajdują się obeliski. Jedynie przez przypadek tam, gdzie mieści się Porta Pia, ulicy również nie zamyka obelisk. W 1822 roku bowiem papież Pius VII miał zamiar postawić na Pinciusie¹⁹ niewielki, zgrabny dziewięciometrowy obelisk, który od lat leżał w Watykanie na cortile della Pigna. Jednak opat Cancellieri błagał, aby umieścić go na szczycie Porta Pia, tak by ze wspomnianego skrzyżowania można było podziwiać jednocześnie cztery obeliski. W końcu zwyciężył papież i dzisiaj ów obelisk stoi na placu w ogrodzie na Pinciusie, obok budynku znanego jako Casina Valadier. Wzniesiono go na polecenie cesarza Hadriana, który tak chciał upamiętnić swego kochanka Antinusa, wspomnianego z melancholią. Aelius Spartianus zapewnia, że na wieść o śmierci pięknego młodzieńca, który utonął w Nilu, Hadrian „płakał jak baba”.

Szkoda, że nie można spokojnie zatrzymać się na tym skrzyżowaniu, ponieważ we dnie i w nocy panuje tam straszliwy ruch. Cztery tamtejsze perspektywy są godne najwyższej uwagi, już choćby z powodu zdarzeń, które rozegrały się tam na przestrzeni wieków. Mniej piękne są fontanny, które papież Sykstus V nakazał wznieść na czterech ściętych narożnikach. W porównaniu z wieloma innymi

wspaniałymi fontannami Rzymu są skromniejsze. Zatrzymując się na jednym z chodników, można jednak pokusić się o czyn mniej ryzykowny, a warty zachodu. A mianowicie przyrzeć się fasadzie kościoła San Carlo alle Quattro Fontane, który czule, nie tylko z powodu niewielkich rozmiarów, jest nazywany San Carlino (Świętym Karolkiem). To jedno z arcydzieł Francesca Borrominiego. Ten niezwykle architekt wykonał projekt w 1634 roku dla hiszpańskich trynitarzy bosych, surowego zakonu ubogich braci, których głównym celem było zbieranie pieniędzy na wykup chrześcijan więzionych przez Turków.

Borromini jest niezwykle ważny dla Rzymu i bardziej by go doceniono, gdyby żył w innej epoce lub w innym mieście, to znaczy gdyby nie zderzył się z potężnym i napierającym zewsząd innym geniuszem, Gianlorenzem Berninim. Choć ci dwaj artyści nieraz pracowali jeden obok drugiego (czasami rywalizując), to jednak zostawili nam w spadku dwie różne wizje religijności, które zrodziły się w cieniu Watykanu i w straszliwym okresie kontrreformacji. Bernini otwierał się na świat i swym geniuszem obejmował wszystko; Borromini natomiast z upływem czasu coraz bardziej zamykał się w sobie, aż po skrajną udrękę, jak zobaczymy.

Bernini wykorzystywał swój talent wszędzie, także w sferze, którą dzisiaj nazwalibyśmy public relations. W sumie zawsze robił to, co chciał, postępował stanowczo, lecz pragnął także uszczęśliwić swoich zleceniodawców. Borromini zachowywał się zupełnie inaczej: był nieczuły i naburmuszony, nigdy nie wykonał dzieła, aby przypodobać się światu, podkreślając swoją niezależność w strasznej epoce, która wymagała nade wszystko posłuszeństwa. Kto zwiedza Rzym, ma to szczęście, że między innymi może podziwiać oddalone od siebie zaledwie o kilkaset metrów arcydzieła tych artystów: kościół San Carlino Borrominiego i kościół św. Andrzeja Berniniego.

Zacznijmy od San Carlino. Na małym skrawku terenu, jaki zakonnicy mieli do dyspozycji, trzydziestopięcioletni Borromini zdołał pomieścić dormitorium dla dwudziestu braci i refektarz, ponadto bibliotekę, krużganek i w końcu kościół z podziemną kryptą. Prace nad krużgankiem rozpoczęto w 1635 roku. Trzy lata później zaczęto wznosić kościół, jego budowę jednak kilkakrotnie przerywano, a opóźnienia

wpłynęły przede wszystkim na wykonanie fasady, która przez długi czas pozostawała nieukończona. Do pracy nad nią artysta wrócił już w podeszłym wieku i nie udało mu się dzieła ukończyć. Gdy umarł, wykończona była tylko dolna część fasady, dokończył ją jego bratanek Bernardo.

Fasada w części centralnej wysuwa się do przodu i cofa na skrzydłach tworzących wyraźne wklęsłości, u góry wieńczy ją ornament przylegający do niewielkiej dzwonnicy. Wiele się tam dzieje, nawet najmniejszy skrawek powierzchni został wypełniony jakimś zdobieniem, statuą, obramowaniem, symbolem. Po bokach fasady znajdują się dwa owalne okna, pod każdym widnieje głowa jelenia, którego rogi tworzą koło z wpisanym w nie krzyżem trynitarzy, pod nimi zaś girlandy.

Powyżej, nad wejściem i oknami, znajdują się trzy posągi, które umieścił tam bratanek artysty Bernardo. Środkowy, przedstawiający świętego Karola Boromeusza, stoi w niszy, nad którą wznoszą się dwa wielkie skrzydła, pod nimi po bokach stoją dwaj aniołowie, a obok nich kolumny z kapitelami w stylu mieszanym i z wymyślnymi zdobieniami. Belkowanie w części centralnej przechodzi w balustradę o powyginanych kształtach; dalej ponownie biegną nisze, kolumny, obramowania, gałązki palmowe, krzyże, duże okno i baldachim, następnie dwa anioły podtrzymujące owalną tarczę, na której pierwotnie namalowano Trójcę, fresk ten potem jednak znikł. Taki opis tej fasady, choć bardzo powierzchowny i skrócony, daje pewne wyobrażenie o ogromnej ilości koncepcji i symboli, które artysta zawarł na tak ograniczonej powierzchni.

Po przekroczeniu progu znajdujemy się w eliptycznej przestrzeni zdominowanej przez kolor jasny, niemal biały, naznaczony jedynie tu i tam złocistością okien i obramowań. Ściany są pełne ruchu, jak na zewnątrz, przeplatają się tu faliste linie, formy wklęsłe i wypukłe, kolumny, nisze, niektóre ozdobione trójliściami, inne podwójnymi muszlami, jeszcze inne wypukłymi listkami. Ponadto zróżnicowane uprofilowanie, kształty, pochyłości, zawijasy. Sklepienie kopuły samo w sobie jest arcydziełem: stanowi układ wypukłych gipsowych kasetonów w kształcie sześć- i ośmiokątów, z wpisanymi krzyżami trynitarzy. W pendentywach umieszczono cztery gipsowe medaliony.

W półokrągłych zagłębieniach architekt umieścił wejścia na klatkę schodową, do zakrystii i dwóch małych kapliczek – jednej na prawo od wejścia, drugiej na lewo od głównego ołtarza. W jednej z nich znajduje się urna ze szczątkami błogosławionej Elżbiety Canori Mora, tercjarki z zakonu trynitarzy, kobiety nieszczęśliwej i bardzo pobożnej, o niezwykle burzliwym życiu rodzinnym zwieńczonym pełnymi blasku dziełami pobożności. Na klasztorным korytarzu są wystawione dwa bicze (jeden ze sznurów, drugi z żelaza), którymi bezlitośnie się biczowała.

Zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, w kierunku Kwirynału, po tej samej stronie ulicy znajduje się kościół św. Andrzeja, jedno z wielu arcydzieł Gianlorenza Berniniego, który został zbudowany kilka lat później: San Carlino konsekrowano w 1646 roku, przebudowa Świętego Andrzeja zaś zaczęła się w roku 1658.

Mimo że San Carlino zadziwia gęstą i dynamiczną ornamentacją i innowacjami, w sumie wychodzi się z niego z wrażeniem pewnej surowości. Pomimo rozedrganej wymyślności form wydaje się ubogi na skutek dominującej we wnętrzu bieli. Po wejściu do Świętego Andrzeja doznaje się wstrząsu. Po wapiennej białości tu uderza przepych i wibracja kolorów: polichromie, imponujące obrazy, przebogate ornamenty kaplic, aniołowie z szatami jakby rozwianymi przez silny wiatr, teatralni w gestach, przesadni, wspaniali.

Ani Borromini, ani Bernini nie chcieli zapłaty za pracę, obydwaj zażądali jednak całkowitej swobody wykonania. Dlatego też kościoły te wiele o nich mówią i tylko te dwa dzieła wystarczyłyby, by zrozumieć, kim każdy z nich był.

Zacznijmy od formy: obydwie kościoły zbudowano na planie owalnym, ale wyraźnie widać różnicę między elipsą zaprojektowaną przez Borrominiego i doskonałym kołem Berniniego. W budynkach panuje inne światło: białe i zimne w San Carlino, złociste, ciepłe, dające poczucie bezpieczeństwa i luksusu u Świętego Andrzeja. Odmienne są też dekoracje: tam ubodzy trynitarze, tutaj potężni jezuita. Najbardziej wystawna kaplica u Świętego Andrzeja jest poświęcona św. Ignacemu. Te arcydzieła tak się różnią pod względem formy, że można by sądzić, że odzwierciedlają dwie różne religie, gdyby nie łączyły ich pewne symbole. Jednak właśnie ta różnica pozwala nam lepiej zrozumieć, czym był barok i jakie było „polityczne” przesłanie

Kościół, wyrażane przez długi okres za pośrednictwem tego właśnie stylu.

Czy pojęcie „baroku” odnosi się do ściśle określonego nurtu? Dotyczy pewnej czasoprzestrzeni czy też kultury w sensie ogólnym? W rzeczywistości „barok” jest tak bogaty i pełen życia, że łatwiej zdefiniować go przez zaprzeczenie: barokowe jest wszystko, co nie jest „klasyczne”. Jeżeli taki filozof jak Benedetto Croce mylił się, uważając go za „nie-styl”, powiedzmy nawet „zły smak”, to miał rację, widząc w nim przede wszystkim wskaźnik wyraźnie rozpoznawalnego klimatu kulturalnego i duchowego.

Doskonale to widać na przykładzie tych dwóch kościołów. Różne formy wiele mówią nie tylko o odmiennym temperamencie ich twórców, lecz także o całkowicie odmiennych koncepcjach duchowych.

Każdy artysta jest w pewien sposób ograniczony swoją dziedziną, jednak ograniczenia dotyczące architektów są chyba najbardziej odczuwalne, gdyż muszą oni pracować w sferze niepoddającej się łatwo modyfikacji: materiałów budowlanych i przestrzeni. Gdy młody Borromini zaczynał pracę nad San Carlino, wiedział, że musi wznieść całość za pomocą tego, co zakonnicy dawali mu do dyspozycji, przy ulicy zwanej dziś XX Settembre musiał pomieścić kościół i krużganek na przestrzeni zaledwie dwudziestu czterech metrów; ponadto teren tam był nierówny, a jeden z narożników ścięty przez fontannę. To ograniczenie być może stało się dla niego inspirującym wyzwaniem, tak że dokładnie przeanalizował szczegóły, wzbogacił wszystko finezją i genialnymi wprost rozwiązaniami: od planu budynku po balustrady, od niszy po dzwonnice i wspaniałe sklepienie kopuły. To samo należy powiedzieć także o fasadzie: na niewielkiej przestrzeni zawarł idee niezwykle odważne i niemające sobie równych.

Nie wolno zapomnieć o krużganku: wchodzi się do niego przez małe drzwi znajdujące się z boku głównego ołtarza. Zasadniczo wzniesiono go na planie czworoboku, jednak narożniki są ścięte, a kolumny dzielą przestrzeń na dwa piętra. Balustradę wyższego tworzą eleganckie kolumnienki, na przemian zwykłe i „odwrócone głową w dół”; na środku stoi piękna oktagonalna studzienka, dla której Borromini zaprojektował nawet zwieńczenie z kutego żelaza. W tej niewielkiej

przestrzeni także światło odgrywa ważną rolę, na różny sposób modelując cienie łuków, balustrad i kolumn o różnych porach dnia. Swego czasu powiedziano, że ten maleńki kościółek zmieściłby się w obrębie jednego z pilastrów podtrzymujących kopułę Bazyliki św. Piotra. To prawda, byłoby jednak błędem ograniczać niezwykłą twórczość tego artysty – mimo jego posepnej religijności – jedynie do sztuki sakralnej.

Tym, co się liczy, są emocje i kontemplacyjny charakter owych niewielkich przestrzeni, cudowna zdolność wzbudzania zachwyty, który ogarnia widza, jak w niewielu innych miejscach, spokojnej i pogodnej atmosfery sacrum. Biorąc pod uwagę koleje życia architekta, San Carlino był pierwszym zleceniem, dzięki któremu Borromini, w niewielkim kręgu admiratorów, zdobył sławę artysty potrafiącego połączyć genialny projekt i oszczędność środków materialnych. Dokument mówi, że na zleceniu tym nic nie zarobił: „Stwierdzamy, że za wykonanie prac nie chciał nigdy ani grosza”, pisze brat Juan de San Bonaventura, przeor zakonu, niezwykle starannie nadzorujący prace budowlane. On też z zachwytem odnotował, że kościółek jest tak piękny „i w powszechnej opinii nie ma sobie równych pośród przeróżnych dzieł całego świata, będąc wyjątkowy i nadzwyczajny”.

Zakonnik ten zapisał jeszcze inne spostrzeżenie, że dzieło to opiera się na „pracach i pismach najlepszych architektów”. Dodał, że zakonników prosiło o możliwość zobaczenia projektu wielu zagranicznych artystów, nawet z Indii. W końcowych pochwałach ujął zawodową brawurę, z jaką architekt nadzorował prace, poczynając od rozporządzeń na temat

materiałów, tak że wykonawcy, którym prace te zwykle zabierały wiele dni, z łatwością wykonywali nawet rzeczy trudne, jakby chodziło o coś prostego i zwyczajnego: gdyż Francesco sam kieruje kielnią murarza, wygląda tynk, prowadzi piłę stolarza, nóż przycinającego, młot kamieniarza i pilnik kowala, tak że jakość wykonanych prac jest wspaniała, jednak nie cena, której zazwyczaj za tego rodzaju prace się żąda.

W Rzymie nigdy nie widziano podobnie postępującego architekta.

Zapiski zakonnika ukazują więc człowieka wielce utalentowanego, chętnie rozmawiającego z pracownikami, zdolnego pokierować każdym rzemieślnikiem, mniej więcej tak jak dyrygent potrafi każdemu instrumentalistcie podawać dynamikę i

rytm wykonywanego fragmentu. Zakonnik nazywa go „Francesco”. Takie bowiem było prawdziwe imię architekta powszechnie zwanego Borrominim. Francesco Castelli urodził się 25 września 1599 roku w Lombardii, w Bissone (dzisiaj szwajcarski kanton Ticino), niewielkiej rybackiej miejscowości nad jeziorem Lugano. O wiele więcej wiemy o Gianlorenzu Berninim, gdyż ciągle się o nim pisze, a jego dzieła stojące w strategicznych punktach miasta od wieków są na oczach wszystkich. Mniej wiadomo o Borrominim, gdyż nawet za jego życia kroniki go pomijały, ponieważ nie było w nim wielu barwnych zdarzeń, a biografowie potrzebują ciała i krwi do rozpalenia wyobraźni własnej i czytelników.

Bernini ze swoim błyskotliwym geniuszem przez całe dziesięciolecia tak wyraźnie zajmował centrum sceny, że siedemnastowieczny Rzym zdawałby się bez niego pusty. Poza tym zaczął tworzyć bardzo szybko, gdyż odkrył go kardynał Scipione Borghese, siostrzeniec Pawła V, który uważał go, całkiem słusznie, za *enfant prodige* (cudowne dziecko). Bernini pracował bez ustanku, pod wieloma względami nadając miastu ostateczny charakter. Był ulubieńcem możnych, odgrywał ważną rolę w życiu papieskiego dworu, swoją obecnością wypełniał jego rozległe i przepyszne przestrzenie, był zręczny, uwodzicielski, czarujący, świadomy swego talentu, elastyczny, nie skrywał swoich rozlicznych zdolności. Malarz, rzeźbiarz, architekt, dekorator, scenograf, kostiumolog, mistrz pirotechniki. Mówi się, że był ostatnim geniuszem renesansu. Uważa się też, że podobnie jak Wagner czy Beethoven, nie pozostawił następców, a ci, którzy usiłowali go naśladować, jedynie się ośmieszyli.

Prawdę mówiąc, to jednak nie on, lecz melancholijny Borromini wyznaczył przyszłe drogi dla architektury, choć minęły dziesiątki lat, zanim to odkryto. Borromini, rywal Berniniego, a czasami nawet wróg, człowiek, który ośmielił się rzucić mu wyzwanie, a w jednym przypadku zdołał nawet zburzyć jego dzieło, aby na tamym miejscu wznieść własne. Jeżeli Bernini z natury był teatralny, to Borromini, powściągliwy w słowach i jeszcze bardziej w zachowaniu, potrafił wynajdywać krzywizny, ornamenty i wymyślne kształty, jak nikt przed nim; jak zauważył zakonnik z San Carlino, czerpał on ze wzorców klasycznych, wiedział jednak, jak je przemienić i sprawić, by wibrowały według jego własnego gustu, dla wymogów

konstrukcji i potrzeb czasu w sposób „wyjątkowy i nadzwyczajny”.

Francesco Castelli miał dziewięć lat, gdy porzucił życie, nie zawsze radosne, nad brzegami jeziora i przeniósł się do Mediolanu. Jako uczeń kamieniarza pracował przy wznoszeniu mediolańskiej katedry, poznając sekrety sztuki murarskiej na najwyższym poziomie, która była rzemiosłem wyrafinowanym, wcale nie gorszym niż stolarka czy kowalstwo. Gdy wiele lat później konstruował fasadę oratorium świętego Filipa Neriego, przystającą do Chiesa Nuova przy corso Vittorio Emanuele, chciał tak ją stworzyć, „jakby był to jeden zwarty kawałek wypalanej gliny”.

Nie mogąc zrealizować tego pragnienia, wymyślił genialne analogiczne rozwiązanie. Cegły rzymskie, jak to widać w starożytnych budowlach, są bardzo cienkie i regularne. Obrął je za wzór. Nakazał wykonać takie same i polecił, by układano je z cienką warstwą zaprawy, redukując do minimum grubość połączeń. Tym sposobem udało mu się zbliżyć do ideału „wypalanej gliny”, jaki miał na myśli, i zarazem zadowolić zleceniodawców, którzy prosili go o „prostotę i umiar”, aby fasada oratorium wyglądała „ubogo” w zestawieniu z majestatem kościoła pod wezwaniem Santa Maria in Vallicella. Było to arcydzieło, jak przyznał, choć z zaciśniętymi zębami, sam Bernini. Zaraz jednak dodał, że styl byłby bardziej odpowiedni dla willi niż dla budowli sakralnej.

Gdy tylko minął wiek młodości, Francesco postanowił udać się do Rzymu. Zostawił więc pracę przy mediolańskiej katedrze i pieszo wyruszył do Wiecznego Miasta, które w owym czasie było już stolicą katolicyzmu. Sypiał w klasztorach, jadał byle gdzie. Czuł, że płoną w nim dwa ognie: religijny i artystyczny. W Rzymie zatrzymał się u kuzyna matki, Leona, który mieszkał w zaułku vicolo dell’Agnello (dzisiaj vicolo Orbitelli), niedaleko kościoła San Giovanni dei Fiorentini przy Lungotevere, i pracował przy budowie Bazyliki św. Piotra jako jeden z mistrzów. Leon także był kamieniarzem i pochodził z tych terenów Ticino, gdzie rozpowszechniona była sztuka ciosania i obrabiania kamieni, stamtąd też, oprócz Borrominiego, wywodziło się kilku znanych architektów, z których do

najsławniejszych należeli Carlo Maderno (Leon poślubił jedną z jego krewnych) i Domenico Fontana.

W każdym razie Francesco, jak wszyscy imigranci, najpierw polegał na kontaktach rodzinnych. W księgach rachunkowych Bazyliki św. Piotra figurował pod nowym imieniem jako Francesco Bromino lub Borromino. Mówiło się, że przyczyną tego była pobożna atencja, z jaką on i jego rodzina odnosili się do Karola Boromeusza: Bissone i niektóre części Lombardii należały do posiadłości borromiańskich (czego śladem do dziś są Isole Borromee – trzy wyspy na jeziorze Maggiore). Może jednak przyczyny były bardziej banalne, mogło mu chodzić po prostu o to, by łatwo go było odróżnić od licznych zatrudnionych tam ludzi o nazwisku Castelli.

Pierwszym, który mu w pełni zaufał, był właśnie Maderno. Zatrudnił ziomka w swoim „studiu”, zlecając mu, powiedzielibyśmy dzisiaj, wykonywanie rysunków, a nawet obmyślanie szczegółów. Czasami nakazywał mu sporządzić ostateczną wersję projektu i pozwalał na wprowadzenie pewnych innowacji. Maderno traktował podopiecznego opryskliwie, nawet jeżeli pod pozorami szorstkości żywił dla niego szacunek, niekiedy zabarwiony uczuciowo. Miał sześćdziesiąt pięć lat (mniej więcej w roku 1620), lecz wyglądał na starszego, cierpiał z powodu kamieni w nerkach, z trudem chodził i trzeba go było nosić „w lektyce”. Nawet jeżeli nie dawał tego po sobie poznać, milczący, pomysłowy młodzieniec, który kręcił się po pracowni i zdawał się wychodzić naprzeciw jego pragnieniom, był dla niego wielką pociechą.

Dwudziestojednoletni Borromini rzeczywiście był milczący. Gdy nie pracował, studiował, w przerwach, gdy inni szukali rozrywki, on przeglądał książki, rysował wymyślne zawijasy, szukał nowych rozwiązań. Miał dość bogatą bibliotekę z książkami z różnych dziedzin: matematyki, hydrauliki, fizyki. Były w niej także dzieła klasyczne i z dziedziny, którą dzisiaj nazwalibyśmy chemią, a która wówczas zdawała się graniczyć z magią: przemiana alchemiczna, symbole i właściwości ukryte w naturze rzeczy i w słowach. Prawdopodobnie Borromini był członkiem zrzeszenia murarzy będącego poprzednikiem masonerii (oficjalnie powstała ona w 1717 roku).

Z wyglądu, przynajmniej w młodości, był przystojny. Jego biograf, Filippo

Baldinucci opisuje go jako „mężczyznę wspaniałej urody, mocno zbudowanego, o silnym duchu oraz wzniosłych i szlachetnych myślach”. Jednak anonimowa grafika, powstała, gdy artysta był w wieku dojrzałym, przedstawia oblicze niespokojne i surowe, wyraźnie naznaczone „melancholią”, która nigdy go już nie opuści, a w połączeniu z ponurą religijnością i życiowymi doświadczeniami jedynie się pogłębi, aż po ostatni fatalny czyn. Gdyby dzisiaj zbadał go specjalista, z łatwością rozpoznałby u niego chorobę afektywną dwubiegunową, tajemniczą dolegliwość duszy, wtedy jeszcze nieznaną, której objawy jedynie postrzegano, lecz uważano, że nie można jej leczyć.

Symptomy tej choroby można zauważyć w samym ubiorze artysty, zawsze czarnym i skrojonym według dawnej hiszpańskiej mody, która była na czasie w jego młodości. Według innego biografa, Passeriego, Borromini „chciał zawsze wyglądać tak samo, pod względem zachowania i stroju, absolutnie nie chcąc podążać za zmieniającą się modą”. Ponadto Borromini najpierw pracował w Lombardii, która przez wieki (do 1714 roku) pozostawała pod panowaniem Hiszpanów i którą Manzoni opisał w powieści *Narzeczeni*.

Stan ducha Borrominiego przywodzi na myśl słynną melancholię Tassa. Jednak u poety, twórcy *Jerozolimy wyzwolonej*, była ona bardziej widoczna, a jej objawy tak poważne, że opiekunowie zamykali go pod strażą. Borromini melancholię zamknął całkowicie w swym wnętrzu, na zewnątrz przejawiała się ona jedynie w pewnej cierpkości charakteru, trudności w relacjach z innymi i, można by rzec, nienaturalnej czystości. Gdy Borromini się urodził, Tasso nie żył od czterech lat. Ci dwaj artyści żyli w zupełnie innych społeczeństwach, jednak w ich biografjach można doszukać się wielu podobieństw. Szaleństwo Tassa było poważne, dolegliwość Borrominiego zaś dotkliwsza i choć nie został odizolowany, to o ile nam wiadomo, nigdy nie zaznał uczucia kobiety czy przyjaźni.

W jego życiu była tylko jedna „kobieta”, oddana służąca Mattea, posługująca mu przez wiele lat. Po skończonym dniu Francesco wycofywał się do swego mieszkania, gdzie jedynymi towarzyszami były mu książki i projekty, nad którymi pracował do późnej nocy przy migoczącym płomieniu lampy. Czasami pozwalał sobie na rozrywkę

i udawał się do oratorium szpitala Ducha Świętego, aby posłuchać Giacomu Carissimiego, który na organach wygrywał własne kompozycje. Z tego rodzaju utworów, zapoczątkowanych już przez Palestrinę, powstała forma muzyczna znana jako „oratorium”, które było innym obliczem kontrreformacji.

Gianlorenzo, a właściwie Giovanni Lorenzo, przypadkowo urodził się w Neapolu. Jego ojciec Pietro, rzeźbiarz z Sesto Fiorentino, pracował bowiem przy budowie kartuzji pod wezwaniem świętego Marcina. Jednak w Neapolu pozostał krótko. W 1605 roku, gdy Gianlorenzo miał siedem lat, rodzina Berninich była już w Rzymie. To wszystko, czego brakowało młodszemu zaledwie o rok Borrominiemu, Bernini posiadał w nadmiarze: sympatię, uznanie, sławę, pieniądze.

W XVII wieku w Europie tworzyło kilku geniuszy, którzy swymi dziełami nazaczyli epokę: Szekspir, Rembrandt, Galileusz, Kartezjusz, Newton. Także Rzym przeżywał wyjątkowo twórczy okres, gdyż w tym samym czasie pracowali tam między innymi Caravaggio, Carracci, Rubens. W Rzymie jednak, bardziej niż na innych terenach należących do papieżstwa, obowiązywały żelazne zasady dotyczące między innymi sztuki religijnej, wprowadzone po wstrząsie, jakim była reformacja.

Większość dzieł z tego okresu wyraźnie odzwierciedla zamiar wzbudzenia pobożności i pokrzepienia duchowego, w takim bowiem celu były one zamawiane i wykonywane. Ponieważ w Rzymie brakowało mieszczaństwa, takiego jak na przykład w Niderlandach, zleceniodawcami byli wyłącznie książęta Kościoła, wykształceni i bogaci kardynałowie, którzy pragnęli upiększyć swoje wille i ogrody. Pietra Berniniego wezwał do Rzymu papież Paweł V, który, choć jego wybór był kompromisem, okazał się osobą wielkiego temperamentu. Poleciał między innymi wykonanie kaplicy rodzinnej, zwanej „Paolina”, w bazylice Santa Maria Maggiore. To w tym celu Pietro wykonał to, co powszechnie uznaje się za arcydzieło, a mianowicie *Wniebowzięcie*, w którym powykręcane postacie muzykujących aniołów asystują Matce Bożej w drodze do nieba, podczas gdy apostołowie przyglądają się temu cudowi, można by powiedzieć, że z pewnym niepokojem. Wielu twórców tej

epoki było dziećmi artystów lub wykształciło się w pracowni. Gianlorenzo jest tu doskonałym przykładem: wzrastał w atelier ojca, tam poznał tajniki sztuki, od małości oddychał artystyczną atmosferą. Może jednak i bez tego stałby się wielki, gdyż jak Rossini czy Mozart, Picasso lub Strawiński, Bernini syn nie musiał się uczyć na artystę: sztukę miał we krwi.

Papież Paweł V uczynił kardynałem i osobistym sekretarzem swego ukochanego siostrzeńca Scipiona Borghese. To on, zaciekawiony opiniami, które krążyły na temat cudownego młodzieńca, wezwał go do siebie. Syn Gianlorenza, Domenico, w biografii ojca pisze, że w trakcie tego ważnego spotkania chłopiec postępował wspaniale: „Zachowywał się tak żywo i zarazem skromnie, był tak uległy i jednocześnie gotowy na wszystko, że dusza księcia Kościoła tak się nim zachwyciła, iż natychmiast zechciał przedstawić go papieżowi”. Tą drugą, jeszcze bardziej wymagającą rozmową Gianlorenzo triumfalnie otworzył sobie bramy do przyszłości.

Wtedy bowiem Paweł V, aby wystawić go na próbę, nakazał mu natychmiast i w jego obecności narysować twarz. Bez żadnego zażenowania, z uwodzicielskim wdziękiem Bernini zapytał, czyją twarz ma według papieskiego życzenia narysować, czy miałby to być mężczyzna czy kobieta i o jakim wyrazie. Papież odpowiedział, że ma to być oblicze świętego Pawła. Bernini wykonał rysunek w pół godziny. Papież był tak zachwycony, że do kardynałów, którzy stali obok niego, powiedział: „To dziecko będzie Michałem Aniołem naszych czasów”. Pisał o tym Domenico, więc możliwe, że powodowany synowską miłością trochę przesadzał. W każdym razie to pewne, że pełen podziwu Paweł V włożył w małe ręce Gianlorenza dwanaście złotych monet. Były to pierwsze pieniądze, które Bernini zarobił dzięki swojemu talentowi.

Nie jest to książka o historii sztuki, lecz o papieskiej polityce, która dotyczy także sztuki. Ograniczę się więc do opisanie kilku zdarzeń obrazujących relacje między tymi wybitnymi artystami i władzą, od której zależeli. W takich oto budujących słowach siedemnastowieczny malarz i historyk Filippo Baldinucci streścił życie

Borrominiego: „Żywił się z umiarem i żył w czystości. Sztukę swoją tak sobie cenił i tak miłował, że nie szczędził dla niej żadnych trudów”.

Jednak takie unikanie życia nie mogło mu wyjść na dobre. Rzym bowiem był miastem, w którym ostentacyjna i powierzchowna religijność szła w parze z powszechnym zepsuciem; a jeżeli już nie zepsuciem, to bylejakością i rozczarowaniem, które często przemieniały się w cynizm. Jeśli nie trudny charakter, to bez wątpienia zacięty upór i moralna nieskazitelność stawiałyby Borrominiego w złym świetle. Rywalizujący z nim Bernini wiedział, jak umiejscowić się pośrodku sceny, jak zwrócić na siebie uwagę i zyskać przychyłność publiczności wszelkiego rodzaju. Borromini natomiast sprawiał wrażenie wyniosłego i krótko mówiąc – antypatycznego.

Różnili się także pod względem stosunku do pieniędzy. Według Leona Pascolego Borromini „w kwestiach finansowych był delikatny, nigdy od nikogo nie żądał zapłaty za swoje trudy ani też nie chciał się przyłączać do różnego rodzaju mistrzów, by uniknąć podejrzeń o zмовę czy współuczestnictwo”. Łatwo sobie wyobrazić, że takie zachowanie w ówczesnym Rzymie musiało być uważane za ekscentryczne.

Bernini, gdy tylko został zatrudniony przy budowie Bazyliki św. Piotra, natychmiast zaprosił go do współpracy przede wszystkim w kwestiach technicznych, w czym Borromini był lepszym ekspertem. Współpraca zaczęła się źle. Zdaje się, że Bernini wykorzystywał swoją uprzywilejowaną pozycję, by żerować na pracy kolegi, wychwalając go w słowach, lecz nie dołączając do nich należnego wynagrodzenia. Baldinucci pisze:

Dzięki niemu doprowadzono do końca prace budowlane za tego pontyfikatu, jednak to Bernini pobierał sówite zapłaty tak za prace przy Świętym Piotrze, jak i przy pałacu Barberinich, a Borrominiemu nic za jego trudy nie płacił, poza słowami.

W lutym 1631 roku Borromini miał trzydzieści dwa lata, nie był już młodym kamieniarzem, który przybył do Rzymu przed piętnastu laty. A jednak za wszystkie prace, które wykonał jako „pomocnik architekta” przy budowie pałacu Barberinich, po zakończeniu otrzymał jedynie dwadzieścia pięć skudów. Bernini za inne podobne zlecenia pobrał dwieście pięćdziesiąt skudów. Gdy Borromini się o tym dowiedział,

według słów biografy wykrzyknął: „Nie mam żalu o to, że dostał te pieniądze, przykro mi natomiast, że wychwala się go za moje trudy”. Nadal jednak współpracował z Berninim także dlatego, trzeba o tym pamiętać, że nie miał wyboru. Niesmak mu jednak pozostał, czasami więc na ten temat żartował, innym razem zaś niechęć przemieniała się w zawiść.

Wpływ na zawodowe życie Borrominiego miało trzech papieży. Bez wątplenia najbardziej mu życzliwy był Innocenty X (Giovanni Battista Pamphili), który wstąpił na papieski tron w 1644 roku jako następca Urbana VIII z rodu Barberinich. Był to człowiek bardzo zręczny, bystry, lecz kiepsko wykształcony, tak opisuje go kronikarz: „Nie był przyjacielem ani pięknej literatury, ani oratorów czy poetów, dlatego wielu na próżno się trudziło, by zaprezentować mu swoje utwory, gdyż ich sobie nie cenił i zupełnie nie zwracał na nie uwagi”.

Poza szorstkością charakteru papież Pamphili często się złościł i był wtedy gwałtowny (jakby nie wystarczało, że był też brzydki). Jediną osobą, która potrafiła go ułagodzić, była prawdopodobnie Olimpia Pamphili, z domu Mairalchini, intrygantka i kobieta żądna władzy, która drugi raz wyszła za mąż za brata papieża (dlatego nosiła to samo nazwisko). Była kochanką *en titre* samego papieża i miała pewien wpływ na jego wybór. Biedny Innocenty X zmarł w 1655 roku, po długiej agonii, w której trakcie jego krewni i donna Olimpia wynieśli z mieszkania wszystko, co się dało. Trumna z jego zwłokami przez trzy dni stała opuszczona w składzie za zakrystią Bazyliki św. Piotra. Robotnicy pełnili przy niej w nocy straż, aby szczury nie poszarpały rozkładającego się ciała. Później bratanek papieża Camillo wzniósł na jego cześć pomnik w kościele św. Agnieszki na piazza Navona.

Sława donny Olimpji była tak wielka i długotrwała, że gdy Édouard Manet namalował w 1863 roku sławny portret nagiej kobiety leżącej na łóżku, która wyzywająco patrzy przed siebie (inspirował się obrazem *Wenus z Urbino* pędzla Tycjana), zatytułował go *Olimpia*, najprawdopodobniej myśląc o tej słynnej kurtyzanie rzymskiej kontrreformacji. Artysta sugerował, że kurtyzany były władczyniami paryskiego społeczeństwa drugiego cesarstwa, tak jak Olimpia Pamphili była panią na papieskim dworze.

W każdym razie to właśnie papież Innocenty X, całkowicie pozbawiony wdzięku, życzliwie odnosił się do Borrominiego. Przyczynił się do tego Virgilio Spada, który został mianowany papieskim jałmużnikiem²⁰. Ojciec Spada był wykształconym kapłanem, wcześniej sprawował funkcję przeora filipinów akurat wtedy, gdy Borromini pracował nad ich oratorium. Gdy objął to ważne stanowisko, poinformował papieża o zaletach artysty i wzorowym stylu jego życia.

Papież, który chciał się uwolnić od faworytów swego poprzednika, polecił mu dokończenie budowy palazzo della Sapienza i wzniesienie kościoła. Był to hojny gest, jednak Borromini ponownie musiał przerobić projekt po części wykonany już przez innych. Ponownie też zwyciężył. Kronikarz tej epoki zaznacza, że kawaler Borromini „nie przeraził się olbrzymią ilością narożników, linii prostych i krzywych, gdyż wiedział, że prawdziwa wartość i chwała architekta rodzi się w zmaganiach z wyzwaniem”.

Bernini także nie obawiał się trudności. Podobno nieraz, musząc namalować portret, nie widząc modelu, mówił: „Jeżeli chce się poznać wartość człowieka, trzeba wystawić go na próbę”. Gianlorenzo niemal zawsze cieszył się przychylnością, choć można się domyślać, że wielu mu zazdrościło. W każdym razie najbardziej życzliwy był mu Urban VIII z rodu Barberinich, papież i człowiek bardzo ambitny, który chciał ze sztuki uczynić uprzywilejowane narzędzie ukazania triumfu Kościoła, jego potęgi, także ziemskiej i wojskowej, po wstrząsie, jakim była reformacja. Papież Barberini był wielkim protektorem artysty. Po Rzymie krążyła złośliwa plotka, wedle której, „jeżeli Gianlorenzo nie podwinie mu kołdry, papież nie zaśnie”. Niektórzy nazywali też Berniniego „papieskim pieskiem”. Panowała między nimi taka zażyłość, że w pewnym momencie papież, aby uciszyć złośliwe języki, zmusił artystę do ożenku.

Papież Urban VIII jeszcze w 1627 roku zażyczył sobie, by Bernini wykonał jego grobowiec. Artysta pracował nad tym projektem przez wiele lat, inspirując się florenckim grobowcem Medyceuszy autorstwa Michała Anioła. Majestatycznie zasiadający na wysokości czterech metrów posąg papieża, dwa razy większy niż w naturze, uroczyste ubrany w ciężkie szaty liturgiczne, groźnie wznosi rękę do

błogosławieństwa. U jego stóp znajdują się dwie kobiety symbolizujące Miłość i Sprawiedliwość, a w centrum sarkofag, nad którym szkielet podtrzymuje kartę z napisem URBANUS VIII BARBERINUS PONT. MAX. W dziele tym splatają się wielobarwne marmury, brąz przyciemniony i pozłacany, bujne formy architektoniczne, efekty jak najbardziej malarskie. Dzieło to wystarczyłoby, aby zrozumieć, czym był rzymski „barok” i jakie cechy potrafił mu nadać najgenialniejszy z jego twórców.

O ile Berniniemu niemal wszystko (i prawie zawsze) przychodziło łatwo, Borromini wprost przeciwnie – zawsze napotykał liczne trudności, także podczas prac przy palazzo della Sapienza. Gdy na przykład wchodzi się na dziedziniec z corso Rinascimento, od razu można sobie uświadomić, do jakich rozwiązań artysta musiał się uciec, aby zmodyfikować konstrukcję niedokończoną przez innych. Poprzedni architekt, Giacomo Della Porta, postawił wklęsłą ścianę zamykającą dziedziniec, zamierzając wznieść w tej przestrzeni okrągły kościół wpisany w kwadrat.

Borromini zmienił wszystko, opierając plan na dwóch trójkątach równobocznych, które nakładają się na siebie, tworząc sześcioramienną gwiazdę: *maghèn David*, tarczę, żydowską gwiazdę Dawida, symbol mądrości, szczególnie pasujący do kościoła poświęconego właśnie Mądrości (*Sapienza*). Jest to plan zcentralizowany, podobnie jak w przypadku kościoła San Carlino, tutaj jednak przede wszystkim ułatwia słuchanie kazania, co ważne w kościele przeznaczonym dla profesorów i uczniów Studium Urbis.

W planie zawiera się także złożona symbolika, gdyż dwa skrzyżowane trójkąty tworzące gwiazdę Dawida przedstawiają też pieczęć Salomona, będącą syntezą myśli hermetycznej. Kombinacja i przecięcia prostych symbolizują cztery żywioły: ogień, powietrze, ziemię i wodę. Na kopule znajduje się 111 gwiazd. Liczbę tę można rozpisać jako $1 + 1 + 1$, co w sumie daje liczbę 3, będącą z kolei symbolem nieba, doskonałości (*Omne trinum est perfectum*), Trójcy oraz różnych elementów magicznych, w tym także trzech stopni rozwoju mistycznego: oczyszczenia, oświecenia i zjednoczenia z Bogiem.

W pracach Borrominiego często pojawiają się symbole magiczne, ezoteryczne, mistyczne. Jest ich wiele również w oratorium filipinów: ogniste serca i lilie to symbole, które lubił Filip Neri; korony i palmowe gałązki (czasami bardzo stylizowane) mówią o życiu wiecznym, a być może są także aluzją do Świętego Świętych, Przybytku ze świątyni Salomona, gdy splatają się przy głowach cherubinów i na salomońskich kolumnach. Ośmioramienna gwiazda, którą Borromini umieścił w bibliotece, symbolizuje Ojców Kościoła. I tak dalej.

W kościele św. Iwona, na dziedzińcu palazzo della Sapienza, najświetniejszy jest niezwykły spiralny szpic, który do dzisiaj wybija się ponad dachy Rzymu. Cóż ta przedziwna i fascynująca forma symbolizuje? Wieżę Babel? Krzew winny? Muszlę? Ognistą koronę? Czy też może rację ma historyk sztuki Maurizio Fagiolo, gdy pisze: „Spirala, teoremat i emblemat nieskończonej Mądrości Bożej, wije się w przestrzeni jak wąż wieczności”. Spośród licznych interpretacji najbardziej odpowiada mi ta mówiąca o wieży Babel, którą często się przedstawia (poczynając od mezopotamskich zigguratów) jako wielostopniowy stożek (najbardziej znanym zigguratem istniejącym do dzisiaj – nawet jeżeli zniszczonym przez wojnę – jest spiralny minaret z IX wieku w irackiej miejscowości Samarra, wysoki na pięćdziesiąt dwa metry, z wypalanej gliny, arcydzieło sztuki muzułmańskiej).

Kopuła kościoła św. Iwona przysporzyła twórcy pewnych problemów natury praktycznej i dotyczących kontraktu. Zleceniodawcom wydało się bowiem, że architekt źle obliczył rozkład sił, skutkiem czego „wielki ciężar złożony na kopułę” mógł zaszkodzić budowli. Rektor Studium Urbis złożył oficjalne zastrzeżenie, w którym „zrzuca na architekta wszelką odpowiedzialność za szkody, jakie mogą powstać w ciągu kolejnych piętnastu lat, jak przewidują to prawa miejskie”. Będąc pewnym obliczeń i opierając się na doświadczeniu, Borromini niezwykle spokojnie odpowiedział na piśmie, zapewniając o solidności konstrukcji:

Ja, niżej podpisany, odpowiadam, że architekci na podstawie obowiązujących powszechnie praw mają obowiązek przez piętnaście lat gwarantować prace przez nich wykonane i od prawa tego nie zamierzam się uchylać (...) osobiście odpowiadam, wobec Kamery Apostolskiej²¹, za wszystkie szkody, jakie mogłyby powstać w kaplicy i kopule kościoła Mądrości.

Po trzystu pięćdziesięciu latach „kopuła” nadal doskonale się trzyma.

Także Bernini, choć szczęście mu dopisywało, doświadczył kilku upokorzeń. To największe wyniknęło z bardzo niefortunnego pomysłu papieża Urbana VIII, który kazał wznieść dzwonnice po obu stronach fasady Bazyliki św. Piotra. W 1637 roku na mocy zarządzenia papieża artyście powierzono wykonanie tego projektu. Już wcześniej próbowano to zrobić, lecz zaniechano prac z powodu „piaszczystego” terenu i złego stanu fundamentów. Maderno został skrytykowany, gdy „wydłużył” bazylikę, tak że kopułę widać z placu jedynie częściowo (jest tak do dzisiaj). Mimo wszystko papież zażądał, aby zbudowano dzwonnice, by spotęgować majestat całości.

Bernini przyjął zamówienie, zaprojektował dwie duże trzykondygnacyjne wieże za sumę siedemdziesięciu tysięcy skudów, cenę ogromną, ponad dwa razy przekraczającą kwotę, której wymagał projekt Maderno. Zanim przystąpił do dzieła, wysłuchał kilku opinii, przede wszystkim Kongregacji odpowiedzialnej za prace przy bazylice i dwóch znających się na rzeczy „fachowców”. Razem ustalono, że fundamenty są wystarczająco mocne, by unieść nową konstrukcję. Filippo Baldinucci pisze: „Roztropny artysta chciał być pewny wszystkiego, zanim przystąpił do realizacji przedsięwzięcia”.

A jednak stało się inaczej. Bernini zachował podstawy skonstruowane przez Maderno, myśląc, że na nich uda mu się wznieść swoją budowlę, która, jak zawsze w jego przypadku, była dość skomplikowana. Pod koniec czerwca 1641 roku papież osobiście dokonał inspekcji. To, co zobaczył, niezbyt mu się spodobało, między innymi dlatego, że dostrzegł pęknięcia na fasadzie. Krótko mówiąc, nakazał zburzyć to, co zbudowano, po uprzednim publicznym skrytykowaniu artysty. Bernini poczuł się tak upokorzony, że podobno się rozchorował. Papież zmarł w lipcu 1644 roku, pozostawiając finanse państwa w stanie opłakanym, tak z powodu niezwykle wysokich wydatków związanych z bazyliką, jak i na skutek wojny, jaką prowadził przeciwko rodzinie Farnese, która zajęła księstwo Castro.

W latach 1646–1649 Borromini pracował przy odnowieniu słynnej bazyliki św. Jana na Lateranie, *mater et caput* wszystkich kościołów świata, która popadła w taką

ruinę, że artysta w pierwszym odruchu chciał wszystko zburzyć, by potem wznieść całość od nowa. Prace trzeba było wykonać szybko, gdyż zbliżał się Rok Święty 1650. Jednak w ich trakcie doszło do pewnej tragedii: w grudniu 1649 roku, kilka dni przed inauguracją, znaleziono ciało kleryka Marca Antonia Bussoniego, z wyraźnymi oznakami doznanej przemocy.

Wszczęto śledztwo, a do organów sprawiedliwości dotarł anonimowy list, w którym domagano się zbadania tego ewidentnego zabójstwa. Tajemnica się wyjaśniła. Bussoni został zaskoczony, gdy niszczył fragmenty bazyliki, „odłamując krawędzie i narożniki”. Borromini, gdy się o tym dowiedział, nakazał robotnikom go ukarać. Był to nakaz nieroztropny? Niezbyt jasny? Robotnicy przesadzili? Pozostaje faktem, że nieszczęśnik został pobity na śmierć, a jego brat Giuseppe oskarżył Borrominiego o zabójstwo, i to oficjalnie, co pociągało za sobą prewencyjne uwięzienie. Był to wstyd, którego artysta nie mógł znieść. Aby uniknąć tej hańby, zwrócił się do papieża, prosząc go o wstrzymanie śledztwa i anulowanie ewentualnych procesów w przyszłości. Przypominał swoje zasługi przy odnawianiu bazyliki i powoływał się na cnotliwość swego życia, w przeciwieństwie do Bussoniego, którego przyłapano na świętokradczym akcie wandalizmu.

Sąd postąpił po jego myśli, lecz wydał wyrok w pewnym sensie mu przeciwny: Borromini, *ex speciali gratia*, został oczyszczony z zarzutów, zesłano go jednak na trzy lata do Orvieto. Po wstawiennictwie Virgilia Spady wygnanie znacznie skrócono. Kilka lat później, w 1652 roku, papież podczas uroczystej ceremonii w Bazylice św. Piotra odznaczył Borrominiego Orderem Chrystusa, nadając mu tytuł kawalera.

Co najmniej kilka razy rywale pracowali razem lub twarzą w twarz. Pierwszy raz było to w przypadku konstrukcji baldachimu w Bazylice św. Piotra, jest to jedno z arcydzieł Berniniego, przy którego wykonaniu Borromini długo współpracował. Bernini liczył dwadzieścia sześć lat, gdy zlecono mu ten projekt, miał już jednak tak wysokie poczucie własnej wartości, że zażądał zapłaty w wysokości dwustu tysięcy

skudów. Należy zaznaczyć, że Borromini swój pierwszy kontrakt podpisał dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat. Pojęcie „baldacchino”, według słownika Zingarellego, to „szlachetne przykrycie w kształcie pawilonu, podtrzymywanego przez drągi, pod którym w procesji niesie się Najświętszy Sakrament”. W Kościele katolickim papież błogosławił tłumy, także mając nad sobą baldachim. W szerszym sensie baldachim to tkanina zawieszona nad wyjątkowymi i bogatymi tronami, ołtarzami, łóżami. Słowo pochodzi od „Baldac(co)”, starożytnej nazwy Bagdadu, słynącego z drogocennych tkanin.

Bernini, nawiązując do źródła tego słowa, skonstruował z kamienia, drewna i brązu najbardziej wystawny baldachim, jaki można sobie wyobrazić. Było to nie lada zadanie nawet dla artysty z takim doświadczeniem: chodziło bowiem o wypełnienie olbrzymiej przestrzeni, nad którą wznosiła się ogromna kopuła Michała Anioła. Projekt i wykonanie dzieła pochłonęły około dziesięciu lat i dopiero po wielu próbach i przeróbkach znaleziono ostateczne rozwiązanie. Cztery kolumny podtrzymujące baldachim są spiralnie skręcone, jest w nich coś wschodniego i nawiązującego do bazyliki Konstantyna Wielkiego, zarazem stanowią symboliczną aluzję do winnych ornamentów ze świątyni Salomona w Jerozolimie. Artysta bardzo chętnie wyrażał ruch za pomocą materiałów, czy to kamienia, czy brązu, które w tym wypadku, jak podają źródła, pozyskano, zrywając ornamenty z Panteonu. To w związku z tym zdarzeniem Giulio Mancini, papieski lekarz, ukuł sławny zwrot: *Quod non fecerunt Barbari, fecerunt Barberini*”²².

Na szczytach kolumn znajdują się aniołowie, z których barków wychodzą olbrzymie skręcone formy przypominające ciała delfinów, zbiegające się w centrum i podtrzymujące kulę z krzyżem. Efekt jest spektakularny i zaskakujący. Taki też był cel artysty.

Przykrycie podejmuje ideę ruchu i lekkości, podobnie jak boczne ornamenty, które wzbogacone zdobieniami przypominającymi hafty i frędzle sprawiają wrażenie kosztownej tkaniny. Bernini lubował się w tego rodzaju wirtuozerskich efektach, w których dawał upust swej teatralności i które stanęły podstawą barokowej estetyki. Nigdy jednak nie zapominał o istocie rzeczy. Jego baldachim rywalizuje z kopułą

wznoszącą się na ponadstumetrowej wysokości nad nawą o wysokości czterdziestu czterech metrów. Wznoszący się na trzydziestu metrach baldachim jest wysoki niemal jak dziesięciopiętrowy budynek, a jednak jego proporcje jawią się oczom jako raczej wdzięczne niż majestatyczne. Borromini włączał się do prac kilkakrotnie w długim czasie, w jakim powstawało dzieło, nade wszystko gdy tworzone zwieńczenie, na którym Bernini chciał umieścić zbyt ciężki posąg. Na koniec wybrano złotą kulę, która nawiązuje do zewnętrznej kopuły, podtrzymywaną przez drewniane opływowe formy przywołujące na myśl delfiny. To harmonijne rozwiązanie w przeważającej części wymyślił Borromini.

W 1653 roku papież Innocenty X chciał, by Borromini przejął kierownictwo budowy kościoła św. Agnieszki na piazza Navona, i przy tej okazji drogi artystów, nawet jeżeli nie bezpośrednio, ponownie się przecięły. Borromini najpierw zburzył to, co wzniesli jego poprzednicy. Wywołało to oczywiste sprzeciwy i oburzenie, a na dodatek dwa lata później papież zmarł w okropnych okolicznościach, o których już była mowa. Wtedy to nadzór nad pracami przejął jego bratanek don Camillo Pamphili, a relacje z Borrominim stały się jeszcze bardziej napięte.

Zdaje się, że podburzano robotników, a don Camillo, niezwykle arogancki po przejęciu władzy, zasypywał Borrominiego krytyką, mówiąc, że ściany są za słabe lub fundamenty nieodpowiednie. Atmosfera stała się nie do zniesienia. Biograf Borrominiego, Piero Bianconi, doskonale to opisuje:

Murarze nie wiedzieli, co i jak robić, całe dni stali beczynnymi, architekt był niepewny, niezdecydowany, niestały... słońce oświetlało okrągłą kopułę, ocierało się o strzelistą wieżyczkę, która wznosiła się na środku placu, a białe giganty gestykułowały nad spływającą wodą, przypominając mu o zniechęconym Berninim.

„Biali giganci”, o których wspomina Bianconi, to wspaniałe figury z Fontanny dei Quattro Fiumi. Bernini wznosił ją na środku placu w latach 1648–1651, to jedno z jego cudownych dzieł, wspaniałe zaaranżowanych w przestrzeni. To prawdopodobnie najpiękniejsza fontanna Rzymu: pełna ruchu, o doskonałych proporcjach, dopasowana do miejsca, wzbogacona wspaniałymi szczegółami, które upiększają całość. Wystarczy podać kilka przykładów: morski wąż, lew, który wychyla się z grotty, aby się napić, palma jakby poruszana wiatrem. Kilka lat

wcześniej także Borromini uczestniczył w projekcie mającym na celu doprowadzenie wody z Acqua Vergine na piazza Navona. Jednak jego projekt odrzucono, gdyż był „za ubogi, za surowy i zbyt powściągliwy”, innymi słowy został zmiażdżony wspaniałością i wystawnością projektu Berniniego. Cztery symbolicznie przedstawione rzeki reprezentują cztery strony świata: Dunaj, Nil (głowa giganta jest przykryta, gdyż jego źródła pozostawały nieznane), Ganges, Rio de la Plata. Nad skałami wznosi się egipski obelisk, który leżał połamany w cyrku Maksencjusza na via Appia. Bernini nakazał go złożyć i odrestaurować.

Jednak daty wykonania poszczególnych prac zadają kłam legendzie, według której figury fontanny miałyby wykonywać gesty oburzenia w stronę fasady kościoła św. Agnieszki Borrominiego: Rio de la Plata w zaniepokojeniu unosi rękę, jakby fasada miała się zaraz przewrócić; Nil ma twarz zakrytą, aby nie oglądać jej brzydoty. Gdy jednak Borromini pracował nad kościołem, Fontanna dei Quattro Fiumi już tam stała, tak więc obelgi Berniniego są jedynie wymysłem.

Gdy nastał nowy papież Aleksander VII (Fabio Chigi, 1655–1667), Bernini znalazł się ponownie w centrum rzymskiej sceny i został nawet oficjalnym papieskim architektem. Artysta otrzymał od papieża wiele wspaniałych zleceń, między innymi wykonanie kolumnady na placu św. Piotra, Schodów Królewskich w Watykanie, kościoła św. Andrzeja przy Kwirynale, od którego zaczęliśmy naszą opowieść. Borromini natomiast mógł jedynie kontynuować projekty już rozpoczęte. Aleksander VII najwyraźniej go nie lubił, jego prace posuwały się więc do przodu bardzo powoli i pośród wielu przeszkód, przede wszystkim braku pieniędzy. Kilku nie udało mu się dokończyć.

Na pierwszy rzut oka niełatwo polubić Borrominiego, zwłaszcza gdy ktoś nie potrafi dostrzec technicznych zalet jego projektów. Bernini był o wiele bardziej serdeczny, nie ma dzieła, w którym jego geniusz nie dałby o sobie znać, czasami nawet w nachalny sposób. Gdy jednak raz odkryje się Borrominiego, nie można o nim zapomnieć, nawet biorąc pod uwagę tylko jego mniej znaczące dzieła. Jednym z

przykładów jest jego perspektywiczna galeria w palazzo Spada na piazza Capo di Ferro. Borromini dokonał wielu ulepszeń tej budowli, która dzisiaj jest siedzibą Rady Państwa. W jednym z odgałęzień dziedzińca zastał wąskie, długie na zaledwie osiem metrów „przejście”, praktycznie bezużyteczne. Przemienił je w galerię, która sprawia wrażenie, jakby liczyła ponad dwadzieścia metrów, dzięki specjalnej sztuce perspektywicznej. To jeden z ukrytych skarbów Rzymu, a zarazem znak tego, że racjonalizujące tendencje renesansu zanikały, a zastępowała je iluzoryczna gra przestrzeni nieistniejących.

Wszystko, nie tylko odmienna fortuna, dzieliła tych dwóch rywali. Różnili się temperamentem, widzeniem świata, podejściem do przyjemności i miłości w sensie ogólnym oraz do zmysłowości rozumianej najszerzej jako korzystanie z życia za pośrednictwem zmysłów. Wszystkie dzieła Berniniego mówią o tej zmysłowej otwartości. Wszystkie dzieła Borrominiego ją negują. Pierwszy był zarazem katolikiem i poganinem, drugi, nawet jeżeli formalnie katolik, zdawał się bliższy wielkim europejskim reformatorom – Lutrowi, Kalwinowi, Zwinglemu. Bernini bawił się swoją pracą, grał i żartował; Borromini medytował, wskazywał, zapowiadał. Pierwszy był malarzem, rzeźbiarzem, architektem, iluzjonistą, pisarzem. Borromini był tylko i wyłącznie architektem; postacie ludzkie go nie interesowały, a na kobiety zupełnie nie zwracał uwagi. Bernini rzeźbił je w marmurze, a pod jego dłutem kamień zyskiwał jedwabistą miękkość skóry.

Sztuka kontrreformacji dopuszczała tylko jeden sposób przedstawiania kobiet: trzeba było ukazywać je jako święte lub bohaterki mitów. *Proserpina porwana przez Plutona, władcę podziemi* (Galleria Borghese) jest nieruchomym przedstawieniem, które zapowiada mający nastąpić za chwilę gwałt. Palce porywacza zagłębiają się w uda i plecy porwanej, a kobieta rozpaczliwie stara mu się wyrwać, skutkiem czego jeszcze bardziej przybliży przemoc. *Ekstazę św. Teresy* (Santa Maria della Vittoria) wielokrotnie opisywano, podkreślając zmysłowość rzeźby. Mniej znany, lecz nie mniej wymowny jest inny posąg: błogosławiona Ludwika Albertoni (San Francesco a Ripa) przedstawiona w konwulsjach, chciałoby się powiedzieć: w jękach niemożliwej do opanowania rozkoszy.

Borrominiemu coraz trudniej było żyć w zadyszanym, twórczym chaosie placu budowy, co nasiliło w ostatnich latach drzemającą w nim maniakość. Mieszkał w małym, ubogo urządzonym domu w zaułku dell'Agello obok kościoła San Giovanni dei Fiorentini. Wygląd artysty odzwierciedlał stan jego duszy: jawił się „cieleśnie wyniszczony i o przerażającym obliczu”. Baldinucci pisze:

Zazwyczaj bardzo cierpiał z powodu melancholii lub też, jak mówili niektórzy z jemu współczesnych, hipochondrii i z powodu tej choroby, która nakładała się na ciągłe spekulacje związane z jego sztuką, z upływem czasu załamał się i nieustannie tylko rozmyślał, uciekając od rozmów z innymi, i cały czas jedynie samotnie przebywał w domu, nie zajmując się niczym innym jak tylko biegiem swych mętnych myśli.

Jego bratanek Bernardo wiele razy sprowadzał lekarzy, aby go zbadali, jednak psychiatria, nawet dzisiaj dziedzina bardzo mglista, wtedy była w powijakach. Jedyną sensowną radą lekarzy było zalecenie, by czuwano nad Borrominim, aby będąc sam, nie wyrządził sobie krzywdy. Co do reszty, lepiej powierzyć się opiece księży. Baldinucci pisze:

Kilka dni przed śmiercią spalił wszystkie rysunki, na których podstawie miały być zrealizowane prace, jakich nie mógł sam wykonać. Uczynił to z obawy przed swymi oponentami, którym mogły wpaść w ręce i którzy albo by powiedzieli, że to ich własne pomysły, albo by je przerobili.

W nocy 2 sierpnia 1667 roku, po godzinach szczególnego podniecenia i niepokoju, Borromini unieruchomił szpadę na jednej z desek łóżka, oparł się o czubek i napał nań całym ciężarem ciała. Ostrze przeszło go na wylot. Słyszając krzyki biednego artysty, który stracił rozum, przybiegł Francesco Massari, rzemieślnik służący w domu. Rana była straszliwa, jednak Borromini nie umarł natychmiast. Francesco wezwał pomoc, wraz z innymi wyjął ostrze, przybyli też przedstawiciele organów sprawiedliwości. Spowiednikowi, który przyszedł z ostatnim namaszczeniem, Borromini w porę powiedział, że sam zadał sobie tę straszną ranę. Opowiedział o swych uczuciach i lęku:

(...) w końcu przypomniałem sobie, że w pokoju, w głowach łóżka, zawieszoną na tych błogosławionych świecach, mam szpadę. Zniecierpliwilem się, gdyż nie miałem światła, w rozpaczę wzięłem szpadę, wyjąłem z pochwy, rękojeść oparłem na łóżku, a czubek na własnym boku i rzuciłem się na ostrze, które pod wpływem mego ciężaru weszło w ciało i przeszło je na wylot.

W końcu rana, po dniu pełnym cierpienia, sprowadziła śmierć. Niespokojny

Borromini zmarł o szóstej rano 3 sierpnia 1667 roku. Gazety podały zwięzłą wiadomość: „Śmiercią samobójczą zmarł kawaler architekt Francesco Borromini”. Także ceremonia pogrzebowa była skromna, odbyła się pod kopułą kościoła San Giovanni dei Fiorentini, w którym znajduje się grób Carla Maderny, Borromini prosił, aby go pochowano obok niego.

Borromini zmarł, mając sześćdziesiąt osiem lat; Gianlorenzo Bernini w wieku lat osiemdziesięciu dwóch. Przeżył go więc o czternaście lat, w czasie których panowało trzech papieży. Borromini zmarł bowiem w tym samym roku co Aleksander VII, a Bernini służył kolejno Klemensowi IX, Klemensowi X i przez kilka lat także Innocentemu XI. Śmierć Borrominiego była tragiczna. Bernini zmarł tak, jak się umiera, przeżywszy ponad osiemdziesiąt lat. Jego syn Domenico napisał, że w 1680 roku „dostał długotrwałej gorączki, na koniec której doznał ataku apopleksji, co ostatecznie doprowadziło go do śmierci”. Przeżył sam atak, miał jednak sparaliżowaną prawą stronę ciała, z ręką włącznie. Jak podaje jego syn, żartował na ten temat, podobno z autentycznym rozbawieniem: „Niech sobie odpocznie ta ręka, która tyle się napracowała”. Przeżył parę tygodni i choć siły stopniowo go opuszczały, nie stracił jasności umysłu ani też ekstrawagancji, którą się odznaczał. Zmarł we własnym domu 28 listopada 1680 roku, a ciało złożono, w asyście licznego tłumu, w bazylice Santa Maria Maggiore.

Byli zupełnie różni, nawet w śmierci.

[19](#) Mons Pincius – jedno ze wzgórz Rzymu, nienależące do słynnych siedmiu (przyp. tłum.).

[20](#) *Elemosiniere segreto* – była to funkcja na papieskim dworze, człowiek na tym stanowisku zajmował się finansami (przyp. tłum.).

[21](#) Organ kurii rzymskiej odpowiedzialny za sprawy finansowe (przyp. T.K.).

[22](#) Łac.: Czego nie dokonali barbarzyńcy, zrobił Barberini (przyp. T.K.).

7. Burzliwe dzieje pewnego budynku

Piazza del Quirinale jest jednym z najpiękniejszych placów na świecie, zamknięty z trzech stron, z czwartej zaś rozpościera się widok na leżące w oddali wzgórza i olbrzymią kopułę, która wyraźnie zarysowuje się na tle nieba po zachodniej stronie. Z tego tarasu w letnie wieczory widać, jak zachodzące słońce zabarwia niebo w taką mozaikę kolorów błękitu, indygo, różu i niebieskiego, że żaden malarz by sobie tego nie wyobraził i nie namalował, obawiając się przesady. Poruszające piękno emanuje nie tylko z tego, co można ogarnąć wzrokiem, lecz wynika także z nakładających się na siebie wydarzeń, których scenerią był szczyt tego wzgórza... to niematerialna obecność, fale wspomnień, stronice dziejów odległych w czasie i bliższych, często dramatycznych, czasami niejasnych, niekiedy niezwykle ważnych. Można powiedzieć, że w opowieści o Kwirynale – placu, budynku, czy raczej budynkach, fontannach, ogrodach – odbija się cała historia Rzymu i papiestwa, które rządziło nim przez wieki.

Mówi się, że nazwa pochodzi od Cures, miasta Sabinów, którzy pierwotnie zamieszkiwali to wzgórze. Konstantyn właśnie tutaj zbudował termy, wokół których natychmiast wyrosły wspaniałe siedziby, cała dzielnica stała się willowa. W średniowieczu opustoszała i została ponownie odkryta w XVI wieku, gdy w termach znaleziono posągi Dioskurów Kastora i Polideukesa, których wzięto za ujeżdżaczy koni, i dlatego wzgórze to powszechnie zaczęto nazywać Monte Cavallo (Góra Konia). Papież Sykstus V postawił kolosy na placu po bokach fontanny. Cała kompozycja, nad którą dominuje obelisk, została więc znacznie poszerzona. Jeżeli chodzi o Dioskurów, są to dwa piękne posągi, kopie dzieł świetnego rzemieślnika greckiego pochodzenia z V wieku p.n.e., przypisywane Fidiaszowi i Praksytelesowi, z pewnym błędem w inskrypcji, która do dzisiaj jest przyczyną serii dwuznacznych domysłów, na granicy kpiny i poprawności politycznej, o czym może się przekonać każdy, kto ma oczy i potrafi patrzeć.

W drugiej połowie XVIII wieku bowiem Pius VI nakazał architektowi Giovanniemu

Antinoriemu przesunąć posągi i umieścić między nimi obelisk z mauzoleum Augusta, bliźniaczo podobny do tego, który stoi dziś na Eskwilinie. Pierwsza próba w 1783 roku nie powiodła się i lud w swej ironii przemienił inskrypcję OPUS FIDIAE („dzieło Fidiasza”) w prześmiewcze OPUS PERFIDIAE PII SEXTI („dzieło perfidii Piusa VI”). Druga próba, trzy lata później, zakończyła się pomyślnie i entuzjazm (zadanie wtedy nie było łatwe z powodu braku odpowiednich narzędzi) sprawił, że powstał pełen emfazy napis, w którym sam obelisk jakoby opowiada swoje ponadtysiącletnie dzieje i kończy słowami: INTER ALEXANDRI MEDIUM QUI MAXIMA SIGNA/TESTABOR QUANTO SIT MINOR ILLE PIO („umieszczony między wspaniałymi statuami Aleksandra, zaświadczę, że był on mniejszy od dzieł Piusa”).

Gdy w 1798 roku Francuzi ustanowili republikę, takie poniżenie Aleksandra wydawało się obrazą samego Napoleona, dlatego też zmieniono ostatnie słowa: TESTABOR SEXTI GRANDIA FACTA PII („zaświadczę o wielkości dzieł Piusa VI”). Kamieniarz w pośpiechu pominął jednak pewien szczegół i po „S” w słowie *Sexti* widać jeszcze poprzednie „Q”. Wreszcie w 1818 roku prace nad tym wspaniałym dziełem zakończył Pius VII. Raffaele Stern zaprojektował nową fontannę, wykorzystując olbrzymią wannę z Forum Romanum, z której było piło wodę.

Dioskurzy, obelisk i fontanna dają pewne wyobrażenie o zdarzeniach, których każdy fragment tego placu był świadkiem. Można by przytoczyć przykład ogrodu, który znajduje się przy via del Quirinale, naprzeciwko budynku: by go stworzyć, zburzono dwa kościoły i dwa klasztory. Chciano bowiem, by cesarz Wilhelm, goszcząc u króla Włoch w 1888 roku, miał z okna swego apartamentu jak najlepszy widok. Można by też mówić o kaplicy zwanej Paolina, która ma takie same rozmiary jak Kaplica Sykstyńska, lub o Loggia delle Benedizioni zaprojektowanej przez Berniniego, jak i o masywnej wieży obronnej wyposażonej w działa artyleryjskie. Także w tym przypadku musiano po części zniszczyć sąsiednią willę Colonna, by armaty miały przed sobą czyste pole.

Plac zyskał swój ostateczny wygląd z woli papieża Piusa IX, a projekt zrealizował Virginio Vespignani, architekt i urbanista dość aktywny w tych latach XIX wieku.

Chodziło o właściwe połączenie dróg w miejscu, które stało się strategiczne, gdy miasto się rozrosło i pojawiły się nowe dzielnice. Vespignani wyrównał powierzchnię placu, stworzył schody schodzące w kierunku via Dataria i drogę, która dwukrotnie zakręcając pod kątem prostym, prowadzi w dół po zachodniej stronie wzgórza. Aby to zrobić, architekt musiał zburzyć *cordonate*²³ wiodącą do stajni i postawić mur wspierający, który ozdobił niszami z posągami. Rezultat jest bardzo sugestywny, jak to napisano już w tamtych czasach, gdyż po wejściu na plac „jest rzeczą wspaniałą widzieć, jak nagle wyłaniają się ogromne rozmiary Pałacu Apostolskiego, Konsulty, grupa koni, obelisk, fontanna”.

Na szczególną wzmiankę zasługują apartamenty przygotowane na przybycie Napoleona, który jednak nigdy nie postawił nogi w Rzymie, choć z Kwirynału chciał zrobić swoją drugą siedzibę, zaraz po tej paryskiej, i nawet swemu synowi nadał tytuł *roi de Rome* (króla Rzymu). Rzym i Paryż miały się stać stolicami cesarstwa. Napoleon nie zdążył zrealizować tego projektu, gdyż minęło trochę ponad dziesięć lat, a los przestał mu sprzyjać i zakończył on swe życie, upokorzony, na Wyspie św. Heleny.

Latem 1809 roku armia francuska ponownie zajęła Rzym i papież Pius VII, podobnie jak jego poprzednik, pojechał do Francji jako więzień. Jeżeli brać pod uwagę jedynie skuteczność, pomijając wszystkie inne sprawy, napoleońska administracja działała bardzo sprawnie pod wodzą barona Camille'a de Tournon, prefekta miasta, z którym współpracowali twórcy takiej klasy, jak Canova, Camuccini, Valadier, Stern. Uporządkowano na przykład przestrzeń między mostem Mulwijskim i Porta del Popolo, stworzono szeroką prostą ulicę równoległą do via Flaminia (dzisiaj *viale Tiziano*) i zaprojektowano obmurowanie brzegów Tybru na odcinku w obrębie miasta. Prefekt zajął się także osuszaniem Błot Pontyjskich, co zapoczątkował już Pius V, a co ukończono w epoce faszyzmu. Stworzono miejsca na bary, restauracje, palestry, teatry, otwarte przestrzenie.

Tym, co nas tutaj interesuje, jest fakt, że poczyniono przygotowania, aby budynek Kwirynału przerobić na prawdziwą królewską siedzibę. Architektem królewskich budowli mianowano 28 lutego 1811 roku Raffaele'a Sterna, który chciał stworzyć

pałac „łączący cechy i wspaniałość właściwe cesarom, których do dzisiaj podziwiamy”. Budynek, który zastał, nie był jednak w najlepszym stanie. Żywo o tym pisze:

To, co istnieje tam, gdzie mieszkał papież, jest nieregularne i za małe na przyjęcie naszego Dostojnego Monarchy (...) w budynku brak wszystkiego, okna mają popękane szyby, podłogi są z cegły i w złym stanie, papieskie ruchomości składają się z umeblowania z kiepską adamaszkową tapicerką, kilku stołów i drewnianych ławek.

Wymiana korespondencji z Paryżem nie ustawała; trzeba było sprostać dwóm wymogom: przygotować jak najlepiej apartamenty i zarazem jak najszybciej przerobić całość. Prace ruszyły w listopadzie 1811 roku. Rozmach był olbrzymi, zatrudniono ponad trzy tysiące osób: restauruje się sklepienia, fryzy, drzwi, dodaje marmury pozyskane zazwyczaj ze starożytnych kolumn oraz tworzy tak istotne pomieszczenia, jak łazienki. (Jak zauważa Marina Natoli w pięknej monografii tego budynku – wydanej przez Libreria di Stato w 1989 roku – „łazienki Kwirynału były, po łazience wykonanej dla Lucjana Bonaparte w pałacu Núñez-Torlonia, pierwszymi w Rzymie”). Martial Daru, intendent dóbr koronnych, był niezadowolony z prac, wydawało mu się, że rzemieślnicy rzymscy są mniej pracowici od paryskich, choć nie podawał w wątpliwość ich mistrzostwa. Właśnie to mistrzostwo uderzyło prefekta Camille’a de Tournon, który w swoich *Mémoires* pisze:

W licznych warsztatach Rzymu, gdzie obrabia się marmurowe bloki, pracuje wielu niezwykle utalentowanych i inteligentnych kamieniarzy (...) przycinanie i rzeźbienie twardych kamieni i konch, wklęsłych i wypukłych, to przemysł, który eksportuje swoje wspaniałe wyroby do całej Europy. W owym czasie było tam ponad osiemdziesiąt warsztatów, nie licząc zdolnych artystów, którzy nimi kierowali.

Wojny napoleońskie nie pozwoliły ukończyć dzieła. Po zwycięstwie pod Lipskiem Austriacy i Prusacy pod koniec marca 1814 roku wkroczyli do Paryża; 4 kwietnia cesarz abdykował i miesiąc później wylądował na Elbie. 24 maja o 19.00 papież Pius VII wrócił do Rzymu, przejeżdżając przez Porta del Popolo; towarzyszyli mu czcigodni kardynałowie Mattei i Pacca.

Kwirynał już nigdy nie zaznał podobnego ferworu prac ani projektów o takim rozmachu. Stern nadal był w gotowości, lecz za rządów papieża nie miał do dyspozycji takich środków jak dawniej. Jeszcze gorzej było po śmierci Piusa VII, w

1823 roku, a najgorzej za czasów Piusa IX. Jak napisał Giuliano Briganti w monografii Kwirynału, „to, co zostało wtedy zrobione, było zbędnym dodatkiem lub, gorzej, pozbawionym szacunku i inteligencji niechlujstwem”.

Wiele dzieł zaprojektowanych dla Napoleona rozebrano, a sprawy nie potoczyły się lepiej, gdy po 1870 roku budynek stał się królewską siedzibą dynastii sabaudzkiej. Skutkiem haniebnej decyzji z okazji wizyty Hitlera w Rzymie zniszczono skrzydło, w którym znajdował się cudowny apartament przeznaczony dla francuskiej cesarzowej. Według Mariny Natoli niewiele rzeczy, które ocalały z tamtych czasów, „jawi się dzisiaj jako zabytki archeologiczne”, cień tego, czym była kiedyś jedna z najwybitniejszych na świecie kultur.

Ponieważ książka ta jest poświęcona pewnym zdarzeniom politycznej historii Stolicy Apostolskiej, do nich właśnie obecnie wrócimy. Sykstus V był pierwszym papieżem, który zmarł w pałacu na Kwirynale w 1590 roku, jednak tym, który na stałe w nim zamieszkał, poczynając od roku 1592, był Klemens VIII. Budynek był rezydencją papieża aż do dramatycznej nocy 5 lipca 1808 roku, po której doszło do zdarzeń wspomnianych na początku rozdziału. Potoczyły się one w następujący sposób: 2 lutego 1808 roku generał Miollis w imieniu cesarza Francuzów zajął Rzym. Była to rzecz niesłychana przede wszystkim dlatego, że Pius VII 2 grudnia 1804 roku osobiście udał się do Paryża, by uczestniczyć w koronacji w katedrze Notre-Dame. Na słynnym obrazie Davida widać Napoleona, już z wawrzynem na głowie, jak wkłada koronę na głowę cesarzowej Józefiny. Papież siedzi z boku, z melancholijnym wyrazem twarzy, w miejscu, które samo przez się mówi o kruchości wzajemnych relacji.

Z wpływem czasu sytuacja się nie poprawiła. 17 maja 1809 roku Napoleon w Wiedniu wydał dekret, zgodnie z którym państwo rzymskie zostało włączone do cesarstwa francuskiego, skutkiem czego upadła doczesna władza papieża. Prawną podstawą tego rozporządzenia był argument, że wpływ księcia obcej narodowości w obrębie cesarstwa mógłby zaszkodzić jego bezpieczeństwu; dlatego też uznano za

słuszne odwołanie darowizny, jakiej biskupowi Rzymu udzielił Karol Wielki. W dokumencie czytamy:

Karol Wielki, cesarz Francuzów i nasz wspaniały poprzednik, ofiarował biskupom Rzymu wiele hrabstw, uczynił to dla ich dobra, jednak przez sam fakt owej darowizny Rzym nie przestał być częścią jego cesarstwa; w konsekwencji też ów związek władzy duchowej i doczesnej był i nadal jest źródłem niezgody, gdyż sprawił, że papież wykorzystywali swoje wpływy w jednej z tych dziedzin, aby rozciągać swoje roszczenia na drugą; tym sposobem interesy duchowe i sprawy niebios, które są niezmiennie, mieszały się z interesami ziemskimi, które z natury zmieniają się w zależności od okoliczności i polityki danego okresu.

Argumenty te, po części słuszne, po części służące za pretekst, niezbyt różniły się od tych, które zaledwie kilkadziesiąt lat później wysuwał Cavour, starając się pokojowo rozwiązać bolesną kwestię rzymską: „sprawy niebios” i interesy polityczne rzadko się ze sobą zgadzają, częściej dzieje się wprost przeciwnie – ich wymieszanie jest przyczyną ryzykownych kompromisów. Ten argument podzielali zresztą przedstawiciele bardziej liberalnego nurtu w myśli katolickiej.

Reakcja papieża była zdecydowana: Napoleon został ekskomunikowany, a w bulli *Quum memoranda* z 10 czerwca 1809 roku Pius VII pisze: „Niech władcy zrozumieją, że podlegają naszemu tronowi i naszym rozporządzeniom na mocy prawa ustanowionego przez Jezusa Chrystusa. Także my jesteśmy depozytariuszami zwierzchności, i to o wiele bardziej szlachetnej”.

Przed świtem 5 lipca około stu francuskich żołnierzy wspomaganych przez garstkę rzymskich „jakobinów” wspięło się na okna budynku stojącego naprzeciw Kwirynału i przylegającego do kościoła św. Andrzeja. To zniewaga; Napoleon potem powiedział, że była to inicjatywa generała Miollis’a, który obawiał się powstania ludowego, albo że był to rozkaz generała Radeta. Żołnierze wdarli się do środka, Gwardia Szwajcarska, posłuszna rozkazowi, by nie reagować, pozwoliła się rozbroić. Gdy na równinie Wagram, na północny wschód od Wiednia, Napoleon przygotowywał się do stoczenia jednej ze swoich piękniejszych bitew, w Rzymie generał Radet stanął przed Piusem VII i nakazał mu w imieniu cesarza porzucić władzę doczesną.

Papież nie dał się zastraszyć, a nawet odważnie odpowiedział: „My nie możemy ani oddać, ani porzucić tego, co do nas nie należy. Cesarz może nas posiekać na kawałki,

ale tego od nas nie otrzyma. Po tym wszystkim, co dla niego uczyniliśmy, mielibyśmy podporządkować się takiemu rozporządzeniu?”. Generał odrzekł, że będzie musiał go zabrać. Papież poprosił o dwie godziny, aby mógł się przygotować, jednak nie dostał na to zgody. Poprosił więc, by mógł opuścić Rzym w towarzystwie kilku zaufanych osób, jednak i tego mu odmówiono. Pius VII, w pięknym, choć nieco teatralnym geście wziął jedynie brewiarz i krzyż, wsiadł do karety i udał się na wygnanie.

Ta niemiła przygoda, po wielu trudach, zakończyła się dobrze. Upadek cesarstwa napoleońskiego położył kres konfliktowi, Pius VII opuścił miejsce swego wygnania w Fontainebleau i wrócił do Rzymu. Z pomocą niezwykle zdolnego sekretarza stanu Ercole’a Consalviego (mianowanego kardynałem, choć nigdy nie był księdzem) papież oddał się odbudowie swego państwa, które kongres wiedeński zwrócił mu w prawie nienaruszonej postaci. Taki finał tej historii, która zaczęła się i skończyła w tym samym mieście i trwała jedynie sześć lat, jest w sumie dość ironiczny.

Kilkadziesiąt lat później, w 1848 roku, podczas wydarzeń jeszcze bardziej dramatycznych budynek Kwirynału ponownie został zajęty. W całej Italii, także w Państwie Kościelnym rok 1848 był niespokojny i rewolucyjny. Szczególnie w Rzymie zapanował wielki chaos. Zawsze jest tak, że gdy konieczne zmiany nie znajdują odpowiednich rozwiązań politycznych, dochodzi do rozruchów, a tłum, nie mając konkretnego celu, rozprasza się; w zamieszkach żądania jak najbardziej słuszne mieszają się z żądaniami zupełnie absurdalnymi. Ekstremiści wydatnie przyczyniają się do i tak już powszechnego zniecierpliwienia. We wrześniu papież powierzył władzę Pellegrinowi Rossiemu, człowiekowi ważnemu i kompetentnemu, parowi Francji i profesorowi ekonomii politycznej, wysłanemu do Rzymu jako francuski ambasador, z tytułem hrabiego uzyskanym dzięki zdolnościom dyplomatycznym.

Rossi otrzymał zadanie przywrócenia papieżowi autorytetu i władczego wizerunku, a zarazem musiał postawić na nogi i wydobyć z zacofania administrację, dokonując niezbędnych reform gospodarczych i społecznych. Prawdopodobnie udałoby mu się tego dokonać, lecz zabrakło mu czasu. Dwa miesiące po nominacji, 15 listopada, gdy wstępował po schodach w Palazzo della Cancelleria Apostolica, aby zainaugurować obrady parlamentu, dwóch czy trzech napastników przeszło mu ostrzami gardło,

zabijając go. Rossi zaczął laicyzować państwo papieskie i był zwolennikiem idei „Ligi Włoskiej”, to znaczy swego rodzaju federacji, w której każde z państw miałyby autonomię. Jego reformy były umiarkowane i uwzględniały ówczesne okoliczności, to jednak nie podobało się ekstremistom zaślepionym mrzonkami o powstaniu i niepodległości. Typowa tragedia okresu przemian politycznych. Cavour w swojej pierwszej mowie we włoskim parlamencie powiedział, że Rossi był jedną z piękniejszych postaci odrodzenia Włoch.

Po śmierci Rossiego tendencje buntownicze, które do tej pory dochodziły do głosu jedynie sporadycznie, przemieniły się w rewolucję. Pius IX zamknął się w Kwirynale obleganym przez tłumy. Rozruchy były chaotyczne, nie miały żadnego zdecydowanego politycznego ukierunkowania. Manifestanci żądali, aby papież wypowiedział wojnę Austrii, zniósł przywileje, utworzył włoską konstytuante, przeprowadził reformy. Tłum na placu skandował, krzyczał i wzburzony nacierał na bramę, Szwajcarzy, bardziej zastraszeni niż realnie zagrożeni, otworzyli ogień. Ludzie, otrząsnąwszy się z szoku, zorganizowali się. Pośród nich byli także żołnierze i przedstawiciele służb cywilnych, osoby przyuczone do posługiwania się bronią. Strzelanina się nasilała, tłum starał się zdobyć budynek. Po obydwu stronach byli ranni i zabici, zabito papieskiego sekretarza.

W obliczu tragedii papież postanowił opuścić Rzym. Jego ucieczkę błyskawicznie zorganizowano dzięki pomocy bawarskiego ambasadora Karla von Spaura. W nocy 24 listopada, w przebraniu zwykłego księdza, udając, że jest nauczycielem rodziny Spaurów, Pius IX uciekł do Gaety i oddał się pod opiekę króla Obojga Sycylii.

Pius IX (Giovanni Maria Mastai-Ferretti, 1846–1878) odegrał niezwykle ważną rolę w dziejach Kościoła katolickiego i Włoch, a to z kilku przyczyn: panował bardzo długo, ponad trzydzieści dwa lata, a ponadto musiał stawić czoło wielu dokonującym się wtedy przemianom. Wystarczy pomyśleć, że jego dzieciństwo przypadło na lata rewolucji francuskiej, jako młodzieniec był świadkiem epoki Napoleona, a potem restauracji Burbonów. W 1848 roku obserwował ruchy rewolucyjne i ugruntowanie się ideałów odrodzeniowych, które podważały istnienie jego władztwa. Na starość zaś ujrzał żołnierzy piemonckich zajmujących jego rezydencję i Kwirynał stający się

królewską siedzibą „uzurpatorskiej” dynastii sabaudzkiej. To niezwykła opowieść, długie życie w burzliwej epoce, która zasługiwała na szerszą wizję intelektualną, polityczną i znacznie większą elastyczność. Tego jednak zabrakło.

Mając zaledwie trzydzieści pięć lat, Giovanni Mastai-Ferretti został mianowany biskupem Spoleto, a w 1840 roku kardynałem. Sześć lat później, 16 czerwca, podczas czwartego głosowania i większością trzydziestu sześciu głosów na pięćdziesięciu głosujących został wybrany papieżem. W ostatnim głosowaniu pokonał kardynała Lambruschiniego, zdecydowanego konserwatystę, dlatego też żywiono nadzieję, że jego pontyfikat będzie nacechowany choćby umiarkowanym reformizmem. Włoscy patrioci rzeczywiście przychylnie ustosunkowali się do jego wyboru, niektórzy nawet widzieli w nim uosobienie ideału „neogwelfizmu”, o którym pisał ksiądz Vincenzo Gioberti w dziele *Del primato morale e civile degli Italiani*. Gioberti miał wizję federalnego zjednoczenia Włoch i program polityczny skupiony na ideach rozpowszechnionych także we Francji, w myśl których chciano pojednać religię i państwowość, katolicyzm i liberalizm ekonomiczny.

We Włoszech przychylny takim projektom papież byłby niezwykle ważnym punktem oparcia. Manzoni, Rosmini, Pellico, Tommaseo entuzjastycznie odnosili się do federalnej koncepcji Włoch, jednak miałyby się to dokonać w sposób umiarkowany i bez przelewu krwi. Po stronie przeciwnej opowiedziały się natomiast niektóre osobistości świata katolickiego i jezuici, którzy obawiali się, całkiem słusznie, zamieszania w sferze politycznej i religijnej.

Pośród tych, którzy przynajmniej w pierwszym momencie entuzjastycznie podchodzili do takich idei, był Giuseppe Montanelli (dziadek sławnego dziennikarza Indro), człowiek pióra, polityk, deputowany, duch romantyczny. W *Memorie d'Italia* tak napisał na temat swojego początkowego oczarowania: „Myliliśmy się, niech jednak ten błąd będzie błogosławiony, ponieważ bez owego «Niech żyje Pius IX», kto wie, kiedy tłumy Włochów rozentuzjasmowałyby się po raz pierwszy w związku z życiem narodowym, z którego to entuzjazmu, chcąc nie chcąc, powstał w umysłach obraz, który prędzej czy później stanie się siłą napędową zdarzeń”. Osąd bardzo trzeźwy, prawdopodobnie słuszny, jeśli chodzi o przyczyny i preteksty, które budziły

powszechną radość.

Nowy papież zaczął całkiem niezłe: ogłosił amnestię dla więźniów politycznych, stworzył pewne instytucje dobrze wróżące na przyszłość, zapewnił (ograniczoną) wolność druku. W Rzymie, gdzie do roku 1815 istniał jedynie „Diario Bisettimanale” i nie wydawano żadnej gazety codziennej aż do roku 1846 (!), nagle rozkwitło kilka pism nacechowanych umiarkowanym liberalizmem. Pius IX zniósł dyskryminację Żydów i pozwolił im mieszkać poza gettem, zatwierdził budowę krótkiej linii kolejowej, 14 marca 1849 roku uznał konstytucję i, co ważniejsze z punktu widzenia politycznego, wysłał swe oddziały na wojnę z Austrią, która właśnie się toczyła. Była to sławna pierwsza wojna o niepodległość. Trwało to jednak krótko. Już pod koniec kwietnia bowiem dał wyraźnie do zrozumienia, że zamierza porzucić kwestię włoską: „Na ziemi zastępujemy Tego, który jest sprawcą pokoju (...) tą samą miłością kochamy wszystkie ludy i narody”. Natychmiastowym skutkiem było zawrócenie oddziałów maszerujących ku północnym granicom Państwa Kościelnego.

Dlaczego tak się stało? Dyskusja na temat tej nagłej zmiany postawy trwała długo, a zdania były podzielone. Mówiono o „zdradzie sprawy odrodzenia”, wspomniano o nieustannych naciskach jezuitów przeciwnych zaangażowaniu papieża w kwestie odrodzeniowe, podejrzewano, że papież czuł się „wykorzystany przez Włochów” i dlatego się wycofał. Może trochę racji było we wszystkich tych opiniach z przewagą tej – fundamentalnej dla polityka, którym papież musi być – że zrozumiał on, iż jego pozycja głowy Kościoła i zarazem państwa, posiadanie podwójnej władzy duchowej i ziemskiej, spełnianie funkcji papieża i króla zarazem nakłada pewne zobowiązania i nakazuje roztropność, czego nie mógł ignorować.

Odwrócenie się, zdrada, odrzucenie, uświadomienie sobie pewnych spraw – jakkolwiek chciałoby się ten fakt zdefiniować, stanowił on zapowiedź, być może najbardziej znaczącą, tragicznych zdarzeń, do których doszło w następnych miesiącach. Można by powiedzieć, że dalekowzroczny polityk lub ktoś mniej ograniczony przez tradycję i doktrynę mógłby wyciągnąć z tych trudnych okoliczności inne wnioski: na przykład ponownie przeanalizować kwestię władzy doczesnej, która stała się przeżytkiem. Łatwo tak mówić z perspektywy czasu. Papież postąpił jednak

tak, a nie inaczej.

O tym, co stało się w Rzymie po ucieczce papieża do Gaety, o krótkich, lecz wspaniałych chwilach Republiki Rzymskiej, opowiedziałem w rozdziale *O, bracia włoscy* w książce *Sekrety Rzymu*, do której odsyłam zainteresowanych. Tu natomiast podążam za Piusem IX na jego wygnanie, które nie trwało długo: siedemnaście miesięcy, od listopada 1848 do kwietnia 1850 roku.

Papieska polityka mająca na celu odzyskanie królestwa biegła dwutorowo. Z jednej strony podawano w wątpliwość działania rządu republikańskiego, z drugiej zachęcano katolickie potęgi Europy do interwencji. W lutym w przemowie do dyplomatów papież mówił:

Zwracamy się do was, abyście zechcieli przekazać nasze uczucia i protesty waszym dworom i rządóm. Poddani papieża nazbyt pośpiesznie, pod wpływem bezczelnego stronnictwa będącego śmiertelnym wrogiem ludzkości, znaleźli się na dnie skrajnego nieszczęścia, a my, jako książę doczesny, lecz bardziej jeszcze jako głowa i papież katolickiej religii, przedstawiamy płacze i prośby większości wspomnianych już papieskich poddanych proszących, aby rozerwano łańcuchy, które ich niewolą. Żądamy zarazem, aby zostało utrzymane w mocy święte prawo doczesnej władzy Stolicy Świętej, którego posiadaniem powszechnie uznawanym cieszy się ona od tylu już wieków.

W alokucji do Kolegium Kardynałów, wygłoszonej w kwietniu tego samego roku, ostrzegął:

Któż nie wie, że Rzym, stolica Kościoła katolickiego, stał się obecnie, o zgrozo, dziką knieją, pełną ludzi ze wszystkich narodów, apostatów, heretyków, nauczycieli, jak o sobie mówią, komunizmu i socjalizmu, kierujących się straszliwą nienawiścią wobec katolickiej prawdy, którzy w przemowach, na piśmie i na wszelki inny możliwy sposób starają się ze wszystkich sił nauczać i rozpowszechniać zabójcze błędy wszelkiego rodzaju, by znieprawić serca i dusze wszystkich, tak by z Rzymu, o ile to możliwe, wyrugować świętość religii katolickiej, niezmienną regułę wiary?

W tym samym czasie sekretarz stanu kardynał Antonelli wysłał do kancelarii Hiszpanii, Austrii i Królestwa Obojga Sycylii pismo, w którym czytamy:

Państwo papieskie trawi straszliwy pożar rozpalony przez partię zamierzającą wywrócić wszelki społeczny porządek, która pod osłoną zwodniczych pretekstów narodowości i niepodległości używa wszelkich możliwych środków, aby osiągnąć swe nikczemne cele. Dekret zwany podstawowym jest aktem, z którego ze wszystkich stron wyziera najczarniejsza zbrodnia i najbardziej obrzydliwa bezbożność.

Kończy zaś słowami: „[Papież] ponownie zwraca się do tych samych potęg, nade

wszystko katolickich, które z tak wielką hojnością ducha zademonstrowały swoją niewzruszoną wolę (...), że zareagują ze wszystkich sił i dokonają moralnej interwencji, aby została mu przywrócona jego Stolica”. Kardynał pisał o „moralnej interwencji”, miał jednak na myśli interwencję wojskową. Tak bowiem przesłanie to zostało zinterpretowane i de facto do tego doszło.

Polityczna działalność papieża trwała nieprzerwanie i nie uwzględniała niuansów. Przypuścił atak frontalny, rzucił bezwzględne wyzwanie. Z Gaety ogłosił, że rząd republikański jest nielegalny, i zakazał „dobrym chrześcijanom”, pod groźbą ekskomuniki, uczestnictwa w wyborach, które nazwał „aktem świętokradczym”. Jego postępowanie oddaliło od urn wyborczych ludzi o umiarkowanych poglądach, skutkiem czego zostali wybrani (głosowało ponad 50 procent, a w niektórych miejscach 70 procent populacji) przede wszystkim ekstremiści.

Jak osądzić to postępowanie? Był to błąd polityczny? Zwyczajna przebiegłość? Po oddaniu pola głównie ekstremistom nowo powstała republika miałaby rząd skrajnie lewicowy (jak dzisiaj byśmy powiedzieli), a więc skłonny do przesady i podatny na krytykę. To samo powtórzyło się wraz z wydaniem *Non expedit*, po przekroczeniu Porta Pia 20 września 1870 roku, co jedynie potwierdziło krótkowzroczną bezkompromisowość.

Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie ducha papież wrócił do Rzymu, gdy tylko okoliczności mu na to pozwoliły. Jeżeli na początku pontyfikatu jego postępowanie niektórym wydawało się dwuznaczne, teraz nie było już żadnych wątpliwości. Pragnął on jedynie przywrócić dawny stan rzeczy, włącznie z karą śmierci, którą Republika Rzymska zniosła. Pius IX co prawda skupiał się na działaniach duszpasterskich (seminaria, kapłani, misje pośród „niewierzących”, zakony) i pewnych akcjach społecznych, aby wyjść naprzeciw budzącemu się ludowi, którego nie mógł ignorować, jednak pod względem doktryny i teologii jego wizja była zdecydowanie zachowawcza. 8 grudnia 1854 roku ogłosił dogmat Niepokalanego Poczęcia i w bulli *Ineffabilis Deus* precyzował:

Ogłaszamy, orzekamy i określamy, że nauka, która utrzymuje, iż Najświętsza Maryja Panna od pierwszej chwili swojego poczęcia – mocą szczególnej łaski i przywileju wszechmogącego Boga, mocą przewidzianych

zasług Jezusa Chrystusa, Zbawiciela rodzaju ludzkiego – została zachowana nietknięta od wszelkiej zmyy grzechu pierworodnego, jest prawdą przez Boga objawioną i dlatego wszyscy wierni powinni w nią wytrwale i bez wahania wierzyć²⁴.

To mocno naznaczyło jego pontyfikat i wzbudziło żywe emocje w świecie katolickim, nawet jeżeli dzisiaj wielu wiernych nie rozumie tego dogmatu i myśli, że dotyczy on dziewictwa Maryi.

Niespełna dziesięć lat później Pius IX promulgował encyklikę *Quanta cura*, do której dołączono sławny *Syllabus*, to znaczy pewnego rodzaju katalog błędów nowożytności.

Czasy szybko się zmieniają. Nowości jedne po drugich pojawiały się we wszystkich sferach życia; innowacje i przemiany w przemyśle, polityce, społeczeństwie, w środkach komunikacji były dogłębne i rewolucyjne, jakby świat, do którego przywykł papież i całe jego pokolenie, szybko chylił się ku zachodowi. W tym zmięch znanego sobie świata Pius IX jako duchowy przywódca widział nade wszystko to zagrożenie, że jego Kościół nie będzie już centrum, punktem odniesienia dla ludzkiej moralności. Ten niepokój skłonił go do napisania słów szczerego potępienia i sprzeciwu wobec

niegodziwych knowań ludzi, którzy, miotani jak fale rozszalałego morza, swoimi błędnymi wyobrażeniami, obiecywali wolność, podczas gdy będąc niewolnikami zepsucia, swoimi zwodniczymi opiniami i zgubnymi pismami usiłowali zburzyć fundamenty katolickiej religii i społeczeństwa świeckiego, zniweczyć wszelką cnotę i sprawiedliwość, zdeprawować umysły i serca wszystkich, a w szczególności odwrócić od właściwej moralności nieświadomą i niedoświadczoną młodzież i nikczemnie ją zepsuć, oraz wciągnąć w sidła błędu, a wreszcie doprowadzić do tego, aby wykorzeniona została z łona Kościoła katolickiego²⁵.

Syllabus był syntezą ciasnoty umysłu. To dokument, w którym jednoznacznie potępiono postęp, a wraz z nim wszystko, co niosły nowe czasy: liberalizm, współczesną cywilizację, wolność, także druku i myśli. Pius IX za niebezpieczne błędy uznał rozwód, zniesienie władzy doczesnej Kościoła, to, że katolicyzm nie będzie już jedyną religią państwową i że sam Kościół zostanie oddzielony od państwa. Nie dopuszczał sprawowania innych kultów, publicznego wyrażania własnych opinii, idei i myśli. Socjalizm określił mianem „śmiertelnego błędu”. Papież jednoznacznie potępił społeczeństwa liberalne, które pojawiały się niemal na

całym Zachodzie, miał obsesję na tym punkcie, bał się (słusznie), że współczesność pociągnie za sobą religijną obojętność. W tej samej encyklice żalił się:

któż nie widzi i nie odczuwa głęboko, że społeczeństwo ludzkie, uwolnione z więzów religii i prawdziwej sprawiedliwości, nie może mieć zaiste innego celu, jak nabywanie i gromadzenie bogactw, nie może rządzić się innym prawem w swoich działaniach niż wyuzdaną pożądliwością służenia własnym rozkoszom i wygodom?²⁶

Bez wątpienia słowa te dobrze ujmują jeden z aspektów nowoczesności. Współczesne społeczeństwo rzeczywiście ma także takie cechy; zachłanność i zanik wartości na pewno cechują wiele głównych nowożytnych kultur zdominowanych przez niepohamowaną żądzę pieniądza i konsumpcjonizm. Zagrożenia, jakie zamknięty w Piotrowej cytadeli papież dostrzegał, były takie same jak te, o których mówili współcześni myśliciele, nade wszystko ci z drugiej połowy XX wieku. Papież Mastai postrzegał więc możliwe zło, pomijał jednak całą resztę, a więc zdobycze społeczne, korzyści płynące z wolności, dostępność wiedzy, postęp będący wynikiem badań naukowych, które ludzie świeccy w końcu mogą prowadzić bez dochowywania posłuszeństwa jakiejś doktrynie. Przede wszystkim zaś jako człowiek uważający się za polityka mylił się, pragnąc wrócić do absolutyzmu, który zdążył się już stać przeżytkiem i czymś nierealnym.

6 grudnia 1864 roku, dwa dni przed opublikowaniem *Syllabusa*, Pius IX poinformował Świętą Kongregację Obrzędów, że ma zamiar zwołać sobór, to znaczy zebranie wszystkich biskupów świata, aby przedyskutować z nimi najbardziej palące problemy dotyczące życia Kościoła. Będzie to dwudziesty sobór w historii Kościoła i po raz pierwszy odbędzie się w Bazylice św. Piotra, dlatego też zostanie nazwany soborem watykańskim I. Minęło kilka burzliwych lat, zanim został on oficjalnie otwarty. W 1866 roku wybuchła wojna między Włochami i Austrią, a oddziały francuskie stacjonujące w Rzymie, mające bronić papieża, odwołano. Dopiero 29 czerwca 1868 roku, wraz z ukazaniem się bulli *Aeterni Patris*, zgromadzenie zostało oficjalnie zapowiedziane.

Pierwszą sesję otwarto 8 grudnia 1869 roku przy udziale prawie ośmiuset biskupów przybyłych z całego świata. Jakie cele wyznaczało sobie to niezwykle

uroczyste zgromadzenie? Historycy wskazują na dwa główne, którym odpowiadają też najważniejsze powzięte decyzje. Pierwszym było usankcjonowanie głosami ojców soborowych pozycji, które papież zajął, ogłaszając *Syllabus*. W dokumencie tym potępił nowoczesność, wskazując jej negatywne aspekty. Obecnie należało odwrócić perspektywę, mówiąc, jaką doktrynę Kościół rzymski powinien zaproponować, aby przeciwstawić się racjonalizmowi, liberalizmowi, materializmowi, a przede wszystkim „śmiercionośnej” doktrynie politycznej socjalizmu.

24 kwietnia przyjęto jednogłośnie (667 obecnych) konstytucję *De fide catholica*, która ustala dogmatyczną naturę tej religii, precyzując między innymi, w jakim sensie Biblię należy rozumieć jako natchnioną przez Boga.

Do większych sporów doszło podczas dyskusji na temat drugiego, ważniejszego problemu dotyczącego prymatu i nieomyślności papieża, gdy wypowiada się on *ex cathedra* na temat wiary. Choć tematu tego nie było w planie, gdy otwierano sobór, wszyscy wiedzieli, że będzie się nad tym debatować, i już w początkowej fazie dyskusja podzieliła uczestników. Wielu biskupów, głównie z Francji, Austrii, Niemiec i częściowo ze Stanów Zjednoczonych, uważało ten pogląd za niebezpieczny, brzemenny w skutki tak na zewnątrz, w odniesieniu do innych religii, jak i wewnątrz, gdyż tym sposobem papież zyskiwał wprost niesłychaną władzę i mógł zdławić wszelką dyskusję kolegialną.

Idea ta zakładała bowiem, że papież, będąc wspierany czy nawet natchniony przez Ducha Świętego, nie może się mylić, gdy ogłasza nowy dogmat lub przedstawia w sposób autorytarny pewną doktrynę. Nieprzypadkowo konstytucja na temat nieomyślności (18 lipca 1870) nosi tytuł *Pastor Aeternus*, a jej „główna teza” brzmi:

Nauczamy i definiujemy jako dogmat objawiony przez Boga, że gdy biskup Rzymu przemawia *ex cathedra*, to znaczy, gdy wykonując urząd pasterza i nauczyciela wszystkich chrześcijan, na mocy swego najwyższego apostołskiego autorytetu określa naukę dotyczącą wiary lub moralności obowiązującą cały Kościół, dzięki opiece Bożej obiecanej mu w [osobie] św. Piotra wyróżnia się tą nieomyślnością, w jaką boski Zbawiciel zechciał wyposażyć swój Kościół dla definiowania nauki wiary lub moralności. Dlatego takie definicje biskupa Rzymu – same z siebie, a nie na mocy zgody Kościoła – są niezmiennalne. Gdyby zaś ktoś, nie daj Boże, odważył się sprzeciwiać tej naszej definicji – niech będzie wyklęty²⁷.

Pod wieloma względami te dwie decyzje doktrynalne, jedna dotycząca wiary, druga nieomyślności, są ze sobą powiązane. Do dzisiaj żywy pozostaje na przykład problem relacji między wiarą i rozumem. Dokument ów mówi, że tajemnice wiary nie mogą zostać uchwycone przez ludzką naturę i tym samym prawda objawiona nie może nigdy zostać zanegowana przez wyniki badań racjonalnych. Zatem każde twierdzenie, które zaprzeczałoby prawdzie oświeconej przez wiarę, musi być uznane za fałszywe. Wiary jednak, jak podkreśla konstytucja, nie należy porównywać z jakąś doktryną filozoficzną, którą można by doskonalić z upływem czasu; prawdy wiary są ustalone raz na zawsze; powierzone protekcji i nieomyślności Kościoła, nie mogą zostać zmodyfikowane pod pretekstem głębszej interpretacji. W części końcowej dokumentu wszystko tak czy inaczej zostało sprowadzone do nieomyślności papieża.

Ogłoszenia tego dogmatu pragnął sam papież, popierany przez jezuitów. Protestowały środowiska laickie, także bardziej liberalni katolicy byli mu przeciwni. Jeszcze w trakcie dyskusji zaczęły krążyć w środowiskach watykańskich anonimowe książeczki (*Ce qui se passe au Concile*, *La dernière heure du Concile* – „Co się dzieje na soborze”, „Ostatnia godzina soboru”), które mówiły o niemożności wolnej dyskusji i arogancji papieża przypisującego sobie władzę sprzeczną, jak mówiono, z nauczaniem samej Ewangelii.

Tymczasem, gdy w 1866 roku toczyła się wojna między Włochami i Austrią, nad Europą zbierały się chmury jeszcze ciemniejsze w postaci konfliktu między Francją a Niemcami. Podając za pretekst potencjalną katastrofę, uważaną przez wszystkich za nieodległą, wielu biskupów opuściło Rzym. Prawdę mówiąc, wszyscy oni byli przedstawicielami mniejszości przeciwnej dogmatowi nieomyślności i wyjazd był dla nich wybiegiem, aby uniknąć głosowania i potwierdzenia tego, na co przystać nie mogli. Była także niewielka grupa biskupów, głównie z Europy centralnej, którzy stworzywszy odłam zwany „Kościołem starokatolickim”, dali początek prawdziwej schizmie. Rezultat był taki, że w czasie ostatniego głosowania w poniedziałek 18 lipca 1870 roku, w przeddzień wybuchu wojny francusko-pruskiej, papież zyskał poparcie większości dla swej nieomyślności w głosowaniu, w którym brało udział jedynie czterystu trzydziestu trzech biskupów z ośmiuset obecnych na początku

soboru. Cel został osiągnięty, jednak za bardzo wysoką cenę, gdyż w obrębie katolicyzmu powstało głębokie pęknięcie.

Do tej samej nadzwyczajnej władzy odwołał się na przykład Pius XII, gdy w 1950 roku ogłaszał dogmat Wniebowzięcia Dziewicy Maryi w uroczystej formule, tak skonstruowanej, by nie pozostawić miejsca na dwuznaczne interpretacje: „Ogłaszamy, wyjaśniamy i określamy jako dogmat przez Boga objawiony, że Niepokalana Bogarodzica zawsze Dziewica Maryja, po zakończeniu biegu życia ziemskiego, została z ciałem i duszą wzięta do niebieskiej chwały”.

Mimo to nie milkły głosy krytyki ze strony teologów, do których należeli między innymi Hans Küng i jego uczeń August Bernhard Hasler. Ten ostatni swoje zastrzeżenia oparł głównie na niemożliwości wyznaczenia jasnych granic roszczenia nieomyślności ze względu na elastyczność zwrotu „ex cathedra”: „Niejasność pojęć pozwala na szeroką interpretację dogmatu, tak że wzmacnia on władzę papieża, jak i na interpretację zawężoną, która ze względu na błędne nauczanie papieży w przeszłości zawsze pozwala utrzymywać, że nie wchodzą one w skład tak zwanego «magisterium nieomylnego»”. Ponadto ani dogmat Niepokalanego Poczęcia, ani ten dotyczący nieomyślności nigdy nie zostały zaakceptowane przez inne wyznania chrześcijańskie zarówno z przyczyn doktrynalnych, jak i z powodu ich trudnych relacji z Kościołem katolickim.

Osiemdziesiąta dziewiąta i ostatnia sesja soboru odbyła się 1 września. Tydzień później oddziały piemonckie wkroczyły w granice Państwa Kościelnego, a 20 września, kilka minut przed ósmą, przez wyłom w murach aureliańskich, około stu metrów od Porta Pia, wchodziły do Rzymu, kładąc kres doczesnemu panowaniu papieży. Pius IX uznał się za „więźnia Watykanu”; intendent papieskich pałaców odmówił oddania kluczy do Kwirynału, który był zamknięty, więc aby dostać się do środka, trzeba było wyważyć bramę: papież chciał, aby wyraźnie było widać przemoc, której doznał. Dokładnie miesiąc później, 20 października, wydając bullę *Postquam Dei munere*, Pius IX przedłużał na czas bliżej nieokreślony trwanie soboru, który został oficjalnie zamknięty dopiero w 1960 roku przez papieża Jana XXIII, co miało umożliwić otwarcie soboru watykańskiego II.

Tymczasem w Europie zachodziły wielkie przemiany. Klęska pod Sedanem położyła kres kruchemu cesarstwu Napoleona III, ten sam konflikt pozwolił królowi Prus Wilhelmowi I z Hohenzollernów ogłosić się cesarzem niemieckim w Galerii Lustrzanej w Wersalu. Jednak skutki wkroczenia wojsk przez Porta Pia były poważne także dla nowo powstałego Królestwa Włoch, gdyż konflikt między papieżem i królem miał długotrwałe konsekwencje w życiu Włochów. We wrześniu 1874 roku jeden z organów Watykanu, Święta Penitencjaria, wydał sławny dokument *Non expedit*, w którym jednoznacznie zabraniał katolikom uczestniczenia w życiu publicznym Królestwa. Trzeba będzie poczekać do roku 1905, by inny papież, Pius X, złagodził ów zakaz, a potem na rok 1919, by Benedykt XV go odwołał, pozwalając katolickiemu księdzu Luigiemu Sturzo założyć Ludową Partię Włoch (PPI, Partito Popolare Italiano²⁸), z której potem wyłoniła się Chrześcijańska Demokracja (DC, Democrazia Cristiana).

Dlaczego Kościół zareagował tak negatywnie? Najbardziej oczywistym powodem jest utrata władzy doczesnej. Po wiekach panowania rzymski papież został pozbawiony swych władczych funkcji ze wszystkimi tego konsekwencjami w sferze statusu, finansów, znaczenia na arenie politycznej świata. Ponadto utracił liczne posiadłości, co bezpośrednio wpłynęło na budżet, i inne dodatkowe uprawnienia związane z władzą doczesną. Na próżno Cavour (przedwcześnie zmarły w 1861 roku) genialnie doradzał papieżowi rozważenie, jak dalece anachroniczne w nowej Europie było utrzymywanie zarówno władzy duchowej, jak i politycznej. Jeszcze w marcu 1861 roku, przemawiając w Izbie Deputowanych, podkreślał:

Wszystkie te wojska, które musi posiadać władza świecka, we Włoszech i poza nimi, będą zbędne, gdy władza papieża zostanie ograniczona do sfery duchowej. Jednak przez to jego autorytet wcale nie zostanie umniejszony, lecz wzrośnie w tej sferze, która do niego należy.

Do tej zachęty dodawał także pewne gwarancje:

Niezależnie od sposobu, w jaki Włochy posiadą Wieczne Miasto, co nastąpi za przyzwoleniem papieża czy też bez niego, gdy tylko dotrą do Rzymu, zakończy się papieska władza doczesna i Włochy ogłoszą zasadę rozdzielenia Kościoła i państwa, a Kościół natychmiast zyska wolność opierającą się na o wiele szerszych podstawach.

Mimo to Pius IX nie ustąpił nawet o krok: po stracie dóbr materialnych Królestwo Włoch było dla niego przejawem najgorszych cech ducha epoki, to znaczy materializmu, który tak surowo potępił w *Syllabusie*, w liberalnym racjonalizmie oświecenia zaś widział chęć ustanowienia wyższości rozumu nad wiarą i ostatnią zdobycz rewolucji francuskiej, która zniosła społeczeństwo teokratyczne. Po 1870 roku bez wahania ekskomunikował całą klasę rządzącą zjednoczonymi Włochami, a potem, w roku 1883, samego króla Wiktora Emanuela II. Patrząc z jego punktu widzenia, Pius IX był jednym z papieży najbardziej wiernych misji duchowej, której czuł się depozytariuszem.

Strata dóbr materialnych odegrała w tym wszystkim ważną rolę, w sumie był to jednak spór ideologiczny, a więc niemożliwy do rozstrzygnięcia. Pius IX dobrowolnie zamknął się w obrębie murów Watykanu, gdyż chciał, aby świat się dowiedział, jakiego to przestępstwa dopuszczono się poprzez rozdział państwa i Kościoła. We Włoszech i w Europie wierni rozpowszechniali wizerunek papieża więźnia. Księża i zakonnice sprzedawali jako świętą relikwię słomę, na której, jak mówili, Ojciec Święty, zmuszony przez włoski rząd, spędził dwie straszne noce.

Wszystko to jedynie potęgowało rozgoryczenie, wzmacniało przekonanie papieża, że nowe doktryny są nośnikami zła. W socjalizmie nie potępiał wizji politycznej ani też zasady ekonomicznej, lecz koncepcję rodziny i zmianę roli kobiety oraz moralność życia domowego, którą uważał za przeciwną moralności chrześcijańskiej, i narzędzie „oszukiwania i korumpowania nierozważnej młodzieży”, pozbawionej nauczania Kościoła i przez to wydanej, bezbronnej, na pastwę czysto ziemskich ideałów. Rozdzielenie Kościoła i państwa, wzajemna niezależność i wolność, na których tak zależało Cavourowi uważającemu je za rzecz jak najbardziej pozytywną i słuszną, były dokładnie tym, co papież uznawał za największe zagrożenie.

Z drugiej jednak strony, jest zupełnie zrozumiałe, że dla takiej instytucji jak Kościół katolicki, która uważa się za jedyne depozytariusza prawdy, wszelkie inne tezy brzmią jak prowokacja, a nawet bluźnierstwo. Nieufność wobec praw człowieka, które były zdobyczą XVIII wieku, zdecydowanie podzielali także następcy Piusa IX. Pius X, papież Ratti, już w XX wieku oświadczył: „Jeżeli istnieje władza totalitarna,

totalitarna pod względem działania i prawa, to jest nią władza Kościoła, gdyż człowiek całkowicie należy do Kościoła, musi do niego należeć dlatego, że człowiek został stworzony przez dobrego Boga (...). A przedstawicielem idei, myśli i praw Boga jest wyłącznie Kościół”. Jan Paweł II, papież Wojtyła, w encyklice *Evangelium vitae* powiedział zaś i potem niejedną raz powtórzył, że „demokracja, sprzeniewierzając się własnym zasadom, przeradza się w istocie w system totalitarny”, gdy opowiada się za etyką przeciwną tej, którą głosi Kościół. Tej samej ideologii – totalitaryzmu – broni się z dumą, gdy dotyczy Kościoła, potępia się ją natomiast, gdy praktykuje ją społeczeństwo.

Zaciekły spór między Królestwem Włoch i papieżem wywołał odmienne reakcje w kręgach liberalnych, co skutkowało licznymi przejawami antyklerykalizmu. Od najbardziej wulgarnych wypowiedzi (sam Garibaldi określił Piusa IX jako „metr sześcienny gnoju”) po paranoiczny lęk, który kazał w każdej katolickiej organizacji doszukiwać się ukrytych działań na szkodę narodu. Pytano się nawet, czy katolików można uważać za pełnoprawnych obywateli. Katolicy zaś propagowali idee, że odrodzenie i zjednoczenie Włoch były dziełem europejskich masonów i że sam Cavour, należąc do tej organizacji, wykonywał rozkazy międzynarodowej masonerii, która z Londynu kierowała polityką zagraniczną małego księstwa piemonckiego.

Dla wielu katolickich wiernych Pius IX był postacią bardzo popularną i cieszył się ogromnym autorytetem. Powiedziano, całkiem słusznie, że to od niego zaczął się „kult jednostki” papieża także dlatego, że pomijając politykę, której bronił nieugięcie, jego ludzkie przymioty, dobroduszość i ciepło były godne zauważenia.

Pius IX zmarł 7 lutego 1878 roku w wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Został pochowany w Watykanie, lecz tylko tymczasowo. Trzy lata później, gdy tylko ukończono grobowiec w bazylice św. Wawrzyńca na Verano, przeniesiono tam szczątki. W porozumieniu z prefektem i kwestorem Rzymu ustalono, że nastąpi to w nocy, by uniknąć ewentualnych przykrych wypadków. Jednak wiadomość wydostała się z kręgów klerykalnych, gdzie żywiono nadzieję, że wzbudzi to uczucia, które wiele razy dochodziły do głosu za życia papieża. To samo uczynili antyklerykałowie, którzy także się zorganizowali, jednak z zupełnie odmiennych przyczyn.

Rząd (czwarty gabinet Depretisa) nie był skłonny do zorganizowania uroczystości zbyt wystawnej, żywiąc bezpodstawną nadzieję, że ludzie zachowają pewną rezerwę. Tymczasem pojazd z trumną i towarzyszący mu orszak napotkał na drodze liczny tłum z flagami i transparentami. Z jednej strony wychwalano w hymnach papieża-króla, z drugiej odpowiadano krzykami: „Do rzeki z papieżem świnia”, grożąc wrzuceniem trumny do Tybru. Ciskano kamienie, w ruch poszły pałki, bójki tak się nasiliły, że orszak przyśpieszył i tak szybko jak tylko mógł zdążył do miejsca przeznaczenia, a za nim rozkrzyczany tłum. Panujący wtedy papież Leon XIII protestował, jakby bojąc się, że „kwestia rzymska” na nowo ożyje. Prefekt został usunięty ze stanowiska, minister spraw zagranicznych zaś musiał przeproszać najważniejsze rządy Europy.

3 września 2000 roku papież Jan Paweł II beatyfikował Piusa IX na placu św. Piotra.

²³ Niemający dokładnego polskiego odpowiednika rzeczownik *cordonata* – łagodny podjazd w formie niskich i szerokich stopni, które łatwo można pokonać konno (przyp. T.K.).

²⁴ *Breviarium fidei. Wybór doktrynalnych wypowiedzi Kościoła*, oprac. S. Głowa, I. Bieda, Poznań 1988.

²⁵ Źródło: http://www.rodzinaKatolicka.pl/index.php/magisterium/47-b-pius-ix/5352_-b-pius-ix-quanta-cura-o-wspoczesnych-bdach, 16.11.2011.

²⁶ Źródło: Tamże.

²⁷ A. Baron, H. Pietras (red.), *Dokumenty soborów powszechnych*, t. 4 (1511–1870), Kraków 2004.

²⁸ Tak nazywają się dwie różne włoskie partie. Ta, o której tu mowa, istniała w latach 1919–1926, druga, utworzona przez Mina Martinazzolego, działała w latach 1994–2002 (przyp. tłum.).

8. Dwa grobowce

Na szczycie Porta del Popolo, od strony placu o tej samej nazwie, jest wmurowana olbrzymia tablica z białego marmuru, na której widnieje napis: FELICI FAUSTOQUE INGRESSUI – ANNO DOM MDCLV. O jakim to szczęśliwym i pomyślnym wkroczeniu do miasta w roku 1655 tu mowa? Kim była osoba, która zasłużyła sobie na taką pamięć?

Dedykacja dotyczy Krystyny Wazy, jednej z najbardziej znanych kobiet swoich czasów, wielkiej animatorki „akademii”, osoby o żywej inteligencji, lecz zarazem skłonnej do gniewu, aroganckiej, zmiennej. Krystyna porównywała się do kilku najważniejszych i ambiwalentnych współczesnych jej postaci, takich jak Ludwik XIV, kardynał Mazzarino, papież Aleksander VII, Lucilio Vanini²⁹; rywalizowała z nimi w przebiegłości i rozmachu, jednak nie zdołała im dorównać. Veronica Buckley, jedna z jej najlepszych biografek, napisała, że Krystyna Waza bez wątpienia była intelektualnie bardzo uzdolniona, lecz w przesadnym i rozpaczliwym poszukiwaniu wielkości zabrakło jej iskry geniuszu i jej życie można podsumować, mówiąc, że była ona „nieregularną barokową perłą, która pomimo swych niedoskonałości błyszczała i była drogocenna”.

Krystynie Wazie³⁰ poświęcona jest ulica przylegająca do ufundowanego przez nią ogrodu botanicznego przy willi Corsini (kiedyś zwanej Riario). Ważniejsze jest jednak to, że królowa ta jest jedną z niewielu kobiet posiadających w Bazylice św. Piotra sporych rozmiarów mauzoleum (dzieło Carla Fontany), gdzie spoczywa w krypcie tuż obok grobu Jana Pawła II, a więc w towarzystwie, które na pewno by się jej podobało. Na sarkofagu widnieje napis: CORPUS CHRISTINAE ALEXANDRAE GOTHORUM SUECORUM VANDALORUMQUE REGINAE – OBIIT DIE XIX APRILIS MDCLXXXIX.

Gdy wiosną 1689 roku zmarła, miała sześćdziesiąt trzy lata. Do Rzymu przybyła trzydzieści lat wcześniej, zrzekłszy się tronu Szwecji na rzecz swego kuzyna. Co

skłoniło ją do abdykacji? Co sprawiło, że przejechała całą Europę, aby zostać katoliczką i zamieszkać w papieskim Rzymie, kolebce kontrreformacji? Historia ta jest bardzo skomplikowana i splatają się w niej tajemne motywy duchowe i polityczny oportunizm, przypadek i straszliwe zdarzenia, które w tamtym czasie wstrząsały całym europejskim kontynentem. Wszystkie te okoliczności spowodowały, że Krystyna Waza, która urodziła się jako luteranka i była zadeklarowaną lesbijką oraz zleceniodawczynią morderstwa, zakończyła chwalebnie swe życie w Bazylice św. Piotra.

Była córką Gustawa II Adolfa Wielkiego i Marii Eleonory Brandenburskiej, a jej narodziny otaczała aura tajemniczości. Przyszła na świat 8 grudnia 1626 roku częściowo spowita owodnią. Dziwnym zbiegiem okoliczności był to rok, w którym konsekrowano Bazylikę św. Piotra. Dziewczynka była bardzo żywotna, miała silny głos i prawdopodobnie przerośniętą lechtaczkę, gdyż akuszerki, trochę zakłopotane, pomyślały, że to chłopczyk.

Dopiero następnego dnia po bardziej dokładnym zbadaniu genitaliów odkryto jej prawdziwą płeć. Mówiono, że ojciec nie był tym zmartwiony; zdaje się, że skomentował to z uśmiechem: „Będzie sprytna, gdyż udało się jej oszukać nas wszystkich”. Król, waleczny i porywczy, zginął na wojnie. Był dzielnym obrońcą reformy luterkańskiej i żartym wrogiem papieskiego zepsucia. Gdy więc Krystyna ogłosiła, że nawraca się na katolicyzm, wybuchł prawdziwy skandal.

Pierwotna dwuznaczność związana z płcią towarzyszyła jej przez całe życie i stanowi chyba najprostsze wytłumaczenie jej homoseksualizmu. Sama Krystyna kilkakrotnie wracała do tej kwestii, która była też główną przyczyną jej abdykacji. Już jako dojrzała kobieta pewnego dnia spadła z powozu, który pędził przez ogrody willi Corsini, i przez pewien czas leżała na ziemi z suknią tak zadartą, że nikt nie śmiał się do niej zbliżyć, aby jej pomóc. Podniosła się sama i ze śmiechem powiedziała: „Teraz wiecie, że nie jestem ani mężczyzną, ani hermafrodytą, jak niektórzy utrzymują”.

Wstąpiła na tron w wieku sześciu lat, a mając lat osiemnaście, rzeczywiście przejęła władzę nad państwem. Gdy abdykowała, oddając królestwo w ręce Karola

X Gustawa, miała lat dwadzieścia osiem: panowała więc przez dziesięć lat i wcale jej to nie doskwierało, jeżeli wierzyć jej słowom: „Tron był moją kołyską, ledwo się urodziłam, musiałam na nim zasiąść (...). Byłam tak mała, że nie rozumiałam ani mojego nieszczęścia, ani szczęścia: pamiętam jednak, że byłam szczęśliwa, widząc wszystkich tych ludzi u moich stóp, całujących mnie w dłoń”.

Jednym z godnych przypomnienia wydarzeń za jej panowania było przybycie na dwór francuskiego filozofa Kartezjusza, od którego młoda kobieta pragnęła uczyć się filozofii i doskonalić w matematyce. Ów biedaczek, który przyjechał do Szwecji niechętnie i jedynie pod wpływem silnych nacisków, był zmuszony udzielać jej lekcji o piątej nad ranem, na dodatek z odkrytą głową, gdyż jego uczennicą była królowa. Kartezjusz w wieku czterdziestu lat napisał *Rozprawę o metodzie*, która była pracą przełomową i zarazem postulowała odrzucenie wszelkiego dogmatyzmu. Będąc zaś po pięćdziesiątce, musiał udzielać lekcji, szczękając z zimna zębami. Nie wytrzymał mroźnej skandynawskiej zimy; zmarł w lutym 1650 roku na zapalenie płuc, najprawdopodobniej z żalem wspominając łagodny i słodki klimat swej rodzinnej Turenii.

Prawdę mówiąc, ostatnio pojawiła się inna wersja wydarzeń związanych z jego śmiercią. Profesor Theodor Ebert z uniwersytetu w Erlangen w 2009 roku opublikował książkę pod tytułem *Der rätselhafte Tod des René Descartes* („Tajemnicza śmierć Kartezjusza”), w której dowodzi, że filozofa zabiło nie zimno, lecz trucizna. Przeszukując archiwa, Ebert odkrył raport lekarza Kartezjusza, który w diagnozie stwierdził: „dławiąca czkawka, czarne plwociny, nieregularny oddech”. Symptomy te nakazują myśleć o otruciu arsenikiem, trucizną, którą, jak pisze autor, Kościół często się posługiwał. Według niego przyczyną zabójstwa były nauki udzielane przez filozofa królowej, które mogły stanąć na przeszkodzie jej konwersji na katolicyzm. Miał on zostać zabity zatrutą hostią, którą podał mu ksiądz z zakonu augustianów François Viogué. Kapłan ten pałał taką nienawiścią do filozofa, że odmówił mu nawet ostatniego namaszczenia, gdyż, jak powiedział, „chcę go posłać prosto do piekła”.

Tym, co na zawsze oddaliło Krystynę od tronu, była kolejna prośba dygnitarzy, by

znalazła sobie męża, aby królestwu i dynastii dać potomka. W pierwszym odruchu poirytowana królowa wyszła z parlamentu, potem jednak, z większym spokojem, zdecydowanie odmówiła zamążpójścia: „Nie mogę wyjść za mąż. Nie zamierzam wyjaśniać wam przyczyn tego stanu rzeczy, wieście jednak, że po prostu nie mogę. Małżeństwo budzi we mnie taki wstręt, że nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam go w sobie pokonać”. Kilkakrotnie też powiedziała, że stosunek seksualny wydaje się jej gestem poddaństwa kobiety wobec mężczyzny, i sama myśl o tym była dla niej do zniesienia. Wyznała także: „Nie mogę ścierpieć, że jakiś mężczyzna miałby mnie potraktować tak, jak rolnik traktuje swoje pola”. Jednak przecząc samej sobie, powiedziała także do francuskiej królowej matki Anny Austriaczki: „«Pieprzenie się» to coś, do czego piękne dziewczyny są po prostu stworzone”.

Czy odrzucanie seksu dotyczyło tylko mężczyzn? To kwestia kontrowersyjna, nawet jeżeli wiadomo, że Krystyna namiętnie kochała się w kilku kobietach. Najsławniejsza jest jej miłość do szwedzkiej hrabiny Ebby Sparre, damy dworu, którą czule nazywała „Pięknością” (Belle). Pewnego dnia przedstawiła ją angielskiemu ambasadorowi, mówiąc bez zażenowania: „Oto moja umiłowana, z którą sypiam (*my bed-fellow*)”. Gdy już od kilku lat żyła w Rzymie, pisała do niej pełne tęsknoty listy: „Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym mogła cię zobaczyć, Piękności, co prawda zawsze będę cię kochać, jednak już nigdy nie zobaczę, a więc nigdy nie będę szczęśliwa. Jestem twoja, tak jak zawsze byłam, niezależnie od tego, gdzie na tym świecie jestem. Czy nadal jestem ci droga tak jak dawniej?”. Albo: „Nie wątp, że nasza przyjaźń przetrwała pomimo trzech lat rozłąki. Jeżeli zastanowisz się nad władzą, jaką masz nade mną, pamiętaj, że kochałam cię dwanaście lat. Należę do ciebie, nigdy mnie nie stracisz, przestanę cię kochać dopiero, gdy umrę”.

Krystyna Waza nie była urodziwa, potwierdzają to liczne portrety, mimo że artyści starali się ją upiększyć; mówią o tym także świadectwa jej współczesnych. Angielski podróżnik Edward Browne w liście z 1665 roku pisze: „Jest mała, gruba i lekko przygarbiona; zazwyczaj nosi fioletowy żakiet, szeroki krawat i męską perukę. Zawsze wesoła, a w obejściu swobodna”. Później, w 1688 roku, pewien Francuz, także w liście, opisywał ją jeszcze mniej łaskawie: „Jest niska, otyła i korpulentna.

Jej sposób zachowania, rysy twarzy i głos są męskie. Ma gruby nos, wielkie niebieskie oczy, brwi jasne i podwójny podbródek, z którego tu i tam wyrastają kępki włosów”.

Gdy była młoda, najważniejszym wydarzeniem na arenie politycznej był pokój westfalski podpisany 24 października 1648 roku, kładący kres wojnie trzydziestoletniej, w której walczyli ze sobą luterkańscy władcy z północnej Europy i katoliccy Habsburgowie. Wojna ta, ciąg masakr i łupiestwa, poczyniła ogromne spustoszenia, w większości na terenie Rzeszy niemieckiej, która została całkiem zdewastowana. Traktat zaprowadzał w Europie nowy ład, który praktycznie przetrwał do naszych czasów: właśnie wtedy Francja zaczęła swój triumfalny marsz ku chwale, gdy przyszedł Król Słońce miał zaledwie dziesięć lat, Hiszpania zaś, po uznaniu niepodległości owej byłej prowincji – Niderlandów, jeszcze bardziej straciła na znaczeniu. Do pokonanych należał także papież, dla którego, jak już mówiliśmy, traktat był końcem nadziei na zjednoczenie kontynentu pod rzymską tiarą.

A co z Krystyną? Jako królowa Szwecji, córka wielkiego Gustawa Adolfa, który poległ na tej wojnie, stała się jedną z ważniejszych dla tego pokoju postaci. Jeżeli z przyczyn osobistych nie chciała zasiadać na tronie, mogłaby po prostu z niego zrezygnować, nadal pozostając ważną postacią w swoim kraju. Mogłaby stać się orędowniczką religijnej tolerancji, oddając w ten sposób cześć pamięci ojca. Jej wybór był jednak inny i biografowie spierają się o to, co się do tego przyczyniło. Źródła na ten temat są jednakże ubogie, poza tym nie można przeniknąć ludzkiej duszy. Jest jednak pewne, że ojciec, nieugięty obrońca reformacji, nie zaaprobowałby jej decyzji.

Krystyna wybrała Rzym, słońce Włoch, gdzie natura jest łagodniejsza, światło cieplejsze, zdolne ogrzać nawet biedę i brud, których w Wiecznym Mieście, jak i w Szwecji, nie brakowało. Jeden z biografów pisze: „Zrezygnowała z korony, chciała jednak pozostać królową, być w centrum spraw”, a Rzym był miejscem, które umożliwiło jej realizację tego zamiaru. Lecz nie mogła zamieszkać w papieskim Rzymie jako luteranka, a na pewno nie byłoby to stosowne. Jako królowa, na mocy prawa, była bowiem głową Kościoła swego kraju, jak król Anglii (od czasów

Henryka VIII) był głową Kościoła anglikańskiego. Aby móc zamieszkać w Rzymie, musiała przejść na katolicyzm.

Nie było to proste. Była władczyni wyjechała ze Szwecji w towarzystwie czterech kawalerów i zatrzymała się w Brukseli, gdzie z honorami należnymi królowej zamieszkała we wspaniałym pałacu Egmont. Tutaj, w prywatnej kaplicy przylegającej do jej pokoju, w wigilię Bożego Narodzenia 1654 roku wyrzekła się wiary luterańskiej i wyrecytowała *Credo* katolików. Był to zaledwie pierwszy krok, gdyż w Brukseli odbyła się jedynie skromna ceremonia, która nie satysfakcjonowała niespokojnej Krystyny. Kilka miesięcy później w Innsbrucku, będąc gościem arcyksięcia Ferdynanda, 3 listopada 1655 roku w końcu została oficjalnie przyjęta do Kościoła z należytą pompą, w odpowiednim stroju, w trakcie uroczystej mszy, z *Te Deum*, biciem dzwonów, salwami armatnimi, powszechnym świętowaniem.

Tymczasem w Rzymie na Piotrowym tronie zasiadł Aleksander VII. Krystyna natychmiast wysłała do niego list, całkowicie mu się poddając. List był śmiały i napisany po włosku: „Pokazałam światu, że jestem posłuszna Waszej Świątobliwości, z radością opuszczając królestwo, w którym oddawanie Wam czci jest jednym z najgorszych grzechów...”. Nawet jeżeli było to zagranie taktyczne, nawrócenie się królowej było ważną zdobyczą dla Kościoła po bolesnym rozdarciu spowodowanym przez reformację. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że papież starał się nagłośnić i medialnie wykorzystać ów fakt. Dlatego też, nie tylko z powodu panującej wtedy w Rzymie zarazy, jej podróż do Wiecznego Miasta się przedłużyła; potrzeba było czasu, aby odpowiednio przygotować przybycie świeżej konwertytki. Krystyna jechała więc przez takie miasta, jak Mantua, Ferrara, Bolonia, Pesaro, Ancona, Loreto, Asyż, Bracciano.

Prawdę mówiąc, odbyły się dwa ingresy. Pierwszy dokonał się prawie ukradkiem o zmierzchu 10 grudnia; potem jednak, po kilku dniach wypoczynku, Krystyna wyjechała z miasta, aby następnie wjechać doń przez most Mulwijski, na którym uformował się świąteczny orszak złożony ze szlachty, prałatów, wojskowych, karet i koni, ze czcią eskortujący ją aż do Bazyliki św. Piotra. Papież przygotował dla niej specjalny pojazd, jednak młoda kobieta (miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat)

wolała zasiąść na swym białym koniu i na nim wjechała do miasta przez Porta del Popolo. Jadąc ulicami, mijała zaciekawione tłumy, które witały ją oklaskami: ubrana w zielony aksamit, ze szpadą u boku, w wielkim kapeluszu z piórami – podobny założyła Greta Garbo, gdy w 1933 roku Rouben Mamoulian kręcił film *Królowa Krystyna*.

Aleksander VII cieszył się z jej przyjazdu, choć chciał bliżej poznać tę niespokojną kobietę, by lepiej ją ocenić. Fabio Chigi, papież surowy i pobożny, długo żył w krajach niemieckich i cenił sobie tamtejszą ascetyczną pobożność i zdolność do milczącego skupienia, tak różne od hałaśliwej i naznaczonej znamionami pogaństwa religijności Rzymu. W sypialni trzymał trumnę, aby była dla niego nieustannym *memento mori*. Jeżeli chodzi o kobiety, to udało mu się usunąć z Watykanu budzącą postrach Olimpię Maidalchini, która jako kochanka ujarzmiła jego poprzednika.

Po zejściu ze sceny Olimpji, która krótko potem zmarła z powodu zarazy, wkroczyła na nią Szwedka, Krystyna, także intrygantka, jednak z pewną dozą naiwności czyniącej z niej raczej marzycielkę niż prawdziwe narzędzie władzy czy realne zagrożenie. Była królowa, wyrosła w luterańskiej dyscyplinie i chłodzie swego kraju, znalazła się w barokowym splendorze Rzymu, gdzie przepych religijnych rytów często zastępował głębię wiary. Było to miasto świąt, bali, plotek, procesji i wyścigów, gdzie pałace szlachty były rozrzucone niczym szlachetne kamienie w morzu ubogich domostw i gdzie arystokracja w pelerynach i sukniach rzucała się w oczy pośród plebsu żyjącego w skrajnej nędzy. W głębi było to miasto pogańskie, w którym różne przedmioty, otoczone nimbem legendy, lud czcił jak prawdziwe relikwie: ręka Józefa z Arymatei, jeden z trzydziestu srebrników wypłaconych Judaszowi, fragment prawdziwego krzyża, jeden z chlebów, które Jezus cudownie rozmnożył, a nawet jego napletek odcięty w trakcie obrzezania.

Krystyna Waza najpierw zamieszkała w jednym z najpiękniejszych domów Rzymu: palazzo Farnese, w którym znajdowały się freski Annibale'a Carracciego, arcydzieło renesansowego malarstwa. W mieście organizowano bale, na których pod maskami można było skrywać złośliwości i pochlebstwa, odbywały się karnawałowe wyścigi, w których konie biegły z osłami, zmuszano do obecności „bogobójczych” Żydów,

nawet jeżeli byli w podeszłym wieku, a tłum się z nich naigrawał, rzucając w nich, czym się dało: od zgniłych owoców po zdechłe koty. Słowem – Rzym wspaniała i podły, skłonny do szyderstwa, przemocy i zarazem hojny, tak czy inaczej zawsze trochę dziecinny. Krystyna w 1686 roku, trzy lata przed śmiercią, ogłosiła się obrończynią „Żydów miasta Rzymu”. W mieście, które mniej więcej sto lat wcześniej zamknęło Żydów w getcie, był to naprawdę akt odwagi.

Świadoma tego, że pochodzi z królewskiego rodu, Krystyna otworzyła swoje salony dla najświetniejszych ludzi miasta w sferze intelektu, ducha i władzy; spora część kardynałów rezydujących w Rzymie, około trzydziestu, regularnie uczestniczyła w organizowanych przez nią wieczorach, zadowolona z gościny, uroczystej i porządnej, specjalnie dla nich zarezerwowanej.

Jednym z najczęstszych gości był kardynał Decio Azzolino, pochodzący z Fermo, który zachował swoją przebiegłość³¹. Był to człowiek średniego wzrostu i żywego umysłu; pięć z dziewięciu jego sióstr było mniszkami, a kapłanem został także jeden z braci. Średnio zamożne rodziny często oddawały córki nieposiadające posagu w służbę Kościołowi.

Jako protegowany straszliwej kobiety, jaką była Olimpia, Azzolino w czasach Innocentego X został mianowany, w wieku zaledwie dwudziestu lat, sekretarzem Cyfry³², czyli stał się odpowiedzialny za szyfry wykorzystywane w papieskiej korespondencji. Był to urząd wymagający niezwyklej roztropności, co zrozumiałe, jak również umiejętności dyplomatycznych, realizmu oraz skłonności do snucia intryg. Azzolino wykazał się wszystkimi tymi cechami, wspinając się w karierze kościelnej aż do rangi kardynała. Co absolutnie nie przeszkadzało mu w prowadzeniu bardzo intensywnego życia seksualnego, przynajmniej do czasu poznania Krystyny. Między nimi bowiem zrodziła się miłość, długotrwała, czuła, może cielesna (nie można tego stwierdzić z pewnością), utkana z porywów, zazdrości i odwetów, jak każde prawdziwe uczucie.

Gdy się zestarzel, można ich było zobaczyć, jak spacerują razem po ogrodzie willi Corsini, spokojnie rozmawiając, komentując wydane ostatnio książki, zwierając się

sobie wzajemnie z dolegliwości, kroki stawiali wolniej, a płomienie miłości z wiekiem osłabły. Ze wszystkich fantazji, utopii i snów, za którymi przez lata goniła królowa, najbardziej realny pozostał, gdy Krystyna przekroczyła sześćdziesiątkę, stary kardynał, który swego czasu wpływał na wybór papieża, a teraz stopniowo wyzbywał się dóbr, przeznaczając je na dzieła miłosierdzia.

We wcześniejszym życiu Krystyny zdarzył się jednak pewien epizod, o którym należy opowiedzieć, gdyż doskonale oddaje jej charakter, a zarazem mówi o tym, z jak interesowną życzliwością polityczną traktował ją papież i jego dwór. Chodzi bowiem o morderstwo, na dodatek popełnione w sposób tak okrutny, że wyróżnia się na tle całego obfitującego w przeróżne zdarzenia życia królowej.

W listopadzie 1657 roku Krystyna przebywała w Fontainebleau, w gościnie u Ludwika XIV. Przybyła tam, aby ostatecznie się dowiedzieć, czy Król Słońce naprawdę pomoże jej zdobyć tron Neapolu. Krystyna bowiem naiwnie lub też nazbyt ambitnie myślała o włączeniu się do walki między Francją i Hiszpanią, by zdobyć dla siebie to włoskie królestwo. Ludwik miał zaledwie dziewiętnaście lat, jednak jego tutor, przebiegły kardynał Mazzarino (urodzony w małej wiosce w Abruzji dotarł aż na dwór francuski) dał jej do zrozumienia, że mogłaby się o ten tron pokusić.

W rzeczywistości jednak Mazzarino myślał tylko o sobie i o swoim królu, a niejasne obietnice były jedynie sposobem pozyskania przychylności tej niespokojnej damy, która w Rzymie, kto wie, pewnego dnia mogła okazać się użyteczna. Mijały miesiące, a Królestwo Neapolu stawało się coraz bardziej nieosiągalne. Było nawet gorzej. Niektóre osoby zapewniały królową, że Mazzarino potajemnie dąży do zawarcia pokoju z Hiszpanią, co dla Krystyny oznaczało całkowite zaniechanie planu zdobycia tronu Neapolu. Była królowa tak długo pielęgnowała swoje marzenia, że zaprojektowała nawet mundury dla wojska, na którego czele sama zamierzała stanąć: kurtki czarno-fioletowe ze srebrnym obszyciem. Teraz zaś zdawało się, że wszystko to rozplynie się jak mgła w promieniach słońca. Jej wściekłość, a może jeszcze inne, bardziej konkretne racje sprawiły, że odpowiedzialnością za ten zawód obarczyła markiza Giana Rinalda Monaldeschiego, koniuszego dworskiego, który może był postacią dwuznaczną, lecz na pewno nie zasłużył na tak straszny koniec, na jaki

skazała go Krystyna, zarzuciwszy mu zdradę.

Straszliwa scena rozegrała się 10 listopada w Galerii Jeleni na zamku Fontainebleau. Spotkali się tam królowa, trzech mężczyźni, ksiądz i nieszczęsny markiz. Krystyna pokazała pakiet listów podpisanych przez zaufanego człowieka markiza (Francesca Marię Santinello), w których ją oczerniano. W rzeczywistości listy zostały sfałszowane właśnie przez Monaldeschiego, który zapytany wprost, przyznał się, podając mało przekonujące powody, które go do tego skłoniły. Markiz był przerażony, Krystyna nieustępliwa, trzech mężczyźni chwycili za rękojeści szpad, gotowi w każdej chwili ich dobyć. W pewnym momencie Monaldeschi rzucił się do stóp królowej, błagając ją o przebaczenie (w zamku wisi obraz upamiętniający tę scenę), długo do niej przemawiał, szlochając. Królowa wysłuchiwała go niewzruszona. W końcu, po tej długiej mowie obronnej, zimno powiedziała do kapłana: „Przygotujcie tego człowieka na śmierć”. Powiedziawszy to, wycofała się z galerii do swoich pokoi.

Podjęto kilka prób wstawiennictwa, Krystynie uświadomiono, że zamek jest siedzibą królewską i ewentualne zabójstwo naruszyłoby przywileje i prawa gościnności. Krystyna odpowiedziała, że także w Fontainebleau ma prawo sądzić swoich poddanych, i nakazała, by ksiądz szybko uczynił to, co do niego należy. Gdy stało się jasne, że nic nie da się zrobić, jeden z mężczyzn błyskawicznie zanurzył ostrze w brzuchu błagającego o litość markiza. Cios nie był śmiertelny, a to dlatego, że Monaldeschi pod ubraniem miał (o bezużyteczna roztropności) kolczugę. Kolejne ciosy także nie były ostateczne. Krwawiący, z obcięzonymi kilkoma palcami, które stracił, starając się zatrzymać ostrze szpady, markiz ze szlochem włożył się wzdłuż ścian, pozostawiając za sobą krwawe smugi, powierzając się Bogu w tej okrutnie długiej agonii. W końcu jeden z oprawców przeszył mu gardło na wylot.

Nigdy nie wyjaśniono, co tak naprawdę markiz uczynił, że pchnęło to królową do tak bezlitosnego czynu. Na pewno nie chodziło o fałszywe listy będące raczej dość prymitywnym spiskiem dworzan. Mówiono o miłości, która przemieniła się w nienawiść, o zwierzeniach wykorzystywanych na jej szkodę, o intrydze mającej odsunąć ją od tronu Neapolu, o pochlebnych słowach, którym przeczyło

postępowanie. Już po wszystkim podano do wiadomości, że markiz był winny zdrady stanu, była to jednak jedynie zasłona mająca przesłonić okrutną egzekucję. Mimo wszystko Mazzarino był wściekły, a papież oszołomiony i nakazał nawet, by Krystyna nie wracała zbyt szybko do Rzymu. Rozkaz ten dumna królowa skrupulatnie wypełniła.

Sama natomiast, wbrew wszystkiemu i przez całe życie, gdy kiedyś ów epizod przypomniano, natychmiast przedstawiała swoje racje i dowodziła, że postąpiła słusznie. Do Mazzarina napisała: „My, ludzie Północy, jesteśmy z natury dzicy i mało bojaźliwi (...) jeżeli chodzi o to, co uczyniłam Monaldeschiemu, mogę wam powiedzieć, że jeżeli wcześniej bym tego nie uczyniła, nie poszłabym dzisiaj spać, zanimbym tego dokonała, i nie mam najmniejszego powodu, aby tego żałować”. Kto dzisiaj zwiedza zamek w Fontainebleau, w jednej z gablot może zobaczyć kolczugę i szpadę, za pomocą której Monaldeschi próbował ocalić życie. Gdy przyjrzeć się jej dokładniej, ma się wrażenie, że na żelaznych pierścieniach pozostały jeszcze ślady krwi, jeśli nie jest to rdza.

Zabójstwo markiza rzuciło na życie Krystyny cień, o którym nigdy nie zapomniano, nawet jeżeli nie pociągnęło to za sobą żadnych konsekwencji. Po powrocie do Rzymu królowa podjęła poprzednie życie: akademie, spotkania z ważnymi osobistościami i artystami, miłosa przyjaźń z kardynałem Azzolinem. Na jej „dworze” często spotykali się Aleksandro Scarlatti (przez pewien czas był on jej maestro di cappella), Arcangelo Corelli, klawesynista Bernardo Pasquini, jak również Bernini. Przychodziły do niej także najlepsze śpiewaczki (Angelina Quadrelli, Antonia Coresi, Maria Landini), jak również kastrat Antonio Rivani, zwany Cicciolino („Grubaskiem”), wirtuoz anielskiego głosu, którego Krystyna (artystycznie) mu zazdrościła.

Budynek, w którym kiedyś znajdowało się więzienie Tor di Nona, królowa przemieniła w teatr otwarty dla publiczności, pierwszy w Rzymie, gdzie grały, a przede wszystkim śpiewały prawdziwe kobiety, jej „piękne protegowane”: papież Klemens X (Emilio Bonaventura Altieri, 1670–1676) musiał zapomnieć o dawnym zakazie, który zabraniał kobietom występować na scenie i zastępował je

śpiewającymi falsetem kastratami. Była to prohibicja typowa dla katolickiej mizoginii, która została wzmocniona przez jezuitów po soborze w Trydencie.

Królowa nie działała jedynie w sferze, którą można by nazwać światową czy polityczną. Poza założeniem ogrodu botanicznego Krystyna urządziła bibliotekę, w której zgromadziła około trzydziestu tysięcy tomów drukowanych i dziesięciu tysięcy rękopisów, bogaty pokój z medalami, prawdziwe laboratorium naukowe, w którym przeprowadzała alchemiczne eksperymenty. Pragnęła, jak wszyscy zajmujący się okultyzmem, przemienić ołów w złoto. W jej przypadku jednak pragnienie to miało ściśle określony cel graniczący z utopią czy iluzją: za uzyskane złoto chciała stworzyć armię, by walczyć z Turkami.

Złota oczywiście nie otrzymała i stworzenie armii pozostało jednym z jej szalonych nigdy niezrealizowanych projektów. Tymczasem w 1676 roku konklawe pod przemożnym wpływem potężnego Ludwika XIV wybrało papieżem Benedetta Odescalchiego, który przybrał imię Innocentego XI. Nowy papież przyniósł z sobą powiew o charakterze restauracyjnym: pozamykał teatry, także ten w Tor di Nona, ponownie zabronił kobietom występować na scenie, a nawet pobierać lekcje muzyki, którą uznawał za „sztukę szkodzącą ich przyzwoitości”. Protestowano, lecz niezbyt mocno: nowy papież sam dawał przykład surowego życia i nie wydawało się roztropne denerwować władcę, który dopiero co zasiadł na tronie. Jego poprzednik, Klemens X, wypłacał Krystynie pensję w wysokości dwunastu tysięcy skudów rocznie, lecz Innocenty XI natychmiast ją zniósł. Zainteresowana chyba się tym nie przejęła. Zawsze żyła ponad stan, zadłużała się, w tajemniczy sposób zdobywała pieniądze z beztroską, jaka cechuje osoby, które nigdy nie zaznały prawdziwej biedy.

Wiodła życie, podążając po utartych już ścieżkach, miała przygody miłosne, poza długotrwałym uczuciem, jakie wiązało ją z kardynałem. Jedną z jej ostatnich kochanek była tancerka i śpiewaczka Angelica Voglia znana jako „Giorgina”. Relacje Krystyny z kobietami zawsze były szczególne i skomplikowane, choć w sumie łatwe do wyjaśnienia, w przeciwieństwie do innych jej związków. Na przykład w czasie podróży do Francji spotkała się z Ninon de Lenclos, sławną kurtyzaną, która została „ograniczona” w klasztorze w Lagny, gdyż przesadziła w szafowaniu swoimi

łaskami. Krystyna spędziła z nią kilka godzin, rozmawiając szczerze i wyrażając swoje opinie na tematy religijne, które, gdy mu je wyjawiono, bardzo obraziły papieża. Była władczyni powiedziała bowiem, że jej prawdziwa religia to religia starożytnych filozofów, a wszystko inne to dla niej tylko kpina i oszustwo.

Prawdopodobnie była szczerą, mówiąc, że ceni sobie życie bez żadnych ograniczeń i reguł, otwarte na chaos i w sumie pogańskie. Być może z tych samych powodów, dla których porzuciła tron, gdyż nie chciała być posłuszna dynastycznemu obowiązkowi zostania matką, miała też wstręt do kobiet ciężarnych. Gdy dowiedziała się, że jedna z jej służących jest w ciąży, nakazała, by nigdy więcej nie pojawiła się przed jej obliczem.

Do końca swoich dni żyła w otoczeniu dworu niezwykle barwnego, który prawdopodobnie nie miał sobie równych w całym Rzymie: duchy wybrane, wielcy artyści, lecz także oszuści, poszukiwacze przygód, sutenerzy, prostytutki. W ostatnich latach jej religijność się pogłębiała, czego paradoksalnym skutkiem było większe poirytowanie, a może rozczarowanie przepychem papieskiego dworu. Do swego Azzolina napisała w jednym z listów: „To przykre widzieć, jak Kościół wydaje miliony na nieprzyzwoite luksusy i próżne uciechy kosztem krwawego potu ludzi ubogich”.

Być może zrozumiała, że mogła sobie na wiele pozwolić i wiele zostało jej wybaczone z powodu nawrócenia się na katolicyzm. Nie wiedziała o tym, jednak na pewno bardzo by się jej spodobało to, że w Bazylice św. Piotra wzniesiono jej wystawne mauzoleum. Pod pewnymi względami Krystyna Waza była genialna, lecz była także osobą kapryśną i gwałtowną, która nakazała zabić człowieka, na dodatek lesbijką, i jej obecność w bazylice pełnej świętych, dziewic i męczenników (poczynając od samego świętego Piotra) bez wątplenia budzi kontrowersje. Nawet po śmierci Krystyna zachowała w ręku kartę, która gwarantowała jej zwycięstwo za życia: była jedną z piękniejszych zdobyczy Kościoła, królową wyrwaną z luteriańskiej herezji.

W Bazylice św. Piotra mieści się wiele wspaniałych grobowców; zazwyczaj zwraca się na nie uwagę albo z powodu ich formy, albo ze względu na pochowane osoby. Mauzoleum Krystyny Wazy, jak i drugie, o którym teraz opowiem, były niezwykle ważne dla strategii politycznej papieżstwa.

W lewej nawie, zaraz przy wejściu, widać wspaniały grobowiec, wyrzeźbiony i wzniesiony przez Antonia Canovę w najczystszy właściwy mu stylu neoklasycznym. Długi i skomplikowany napis tam umieszczony głosi: IACOBO III IACOBI II MAGNAE BRIT REGIS FILIO KAROLO EDUARDO ET HENRICO DECANO PATRUM CARDINALIUM IACOBI III FILIIS REGIAE STIRPIS STUARDIAE POSTREMIS ANNO M.DCCC.XIX.

Tak to w 1819 roku artysta upamiętnił rodzinę Stuartów, która poczynając od 1371 roku, przez trzy wieki panowała w Szkocji, a do roku 1714 w całej Wielkiej Brytanii. Na uwagę zasługuje etymologia słowa *stewart* lub *steward*, a w końcu *stuart*, które na początku oznaczało funkcję stolnika, jaką w XII wieku król Dawid I, władca tamtych ziem, nadał jednemu z członków tej rodziny. Jednak to, co nas obecnie interesuje, wydarzyło się znacznie później, w XVII wieku, i miało związek z ważnymi zdarzeniami powszechnie określanymi mianem *glorious revolution*, chwalebna rewolucją z 1688 roku, czyli serią wypadków, które doprowadziły do tego, że Anglia jako pierwsze państwo na świecie stała się monarchią konstytucyjną.

Zdarzyło się bowiem, że nieszczęsny Karol I Stuart, król Anglii i Szkocji (1625–1649), poślubił Henriettę Marię z Burbonów, córkę Henryka IV, króla Francji, i siostrę Ludwika XIII. Na początku XVI wieku jeden z jego poprzedników, potężny Henryk VIII, poirytowany tym, że papież nie udzielił mu rozwodu, dał początek nowemu chrześcijańskiemu wyznaniu, nazywając je *anglicana ecclesia*. Uznał się za jego duchowego przywódcę i władzę tę przekazał także swoim następcom. Dlatego też ślub Karola I z „papistką” uznano za nieroztropny i wielu postrzegало go (a nade wszystko obawiało) jako pierwszy znak ponownego zbliżenia do Rzymu.

Zabójcza nieufność wybuchła jednak z powodu twardej polityki podatkowej, którą Karol I wprowadził, aby finansować wojny. Konflikt między koroną i parlamentem narastał, dysproporcja między wolą króla i władzą, którą faktycznie dysponował,

doprowadziły do wojny domowej, jak to się dzieje zawsze z arogancką słabością. Krótko mówiąc: 9 lutego 1649 roku władca został zabity. Niespełna sto pięćdziesiąt lat przed tym, jak jakobini w Paryżu sprawili, że na bruk spadła głowa Ludwika XVI (1793), Anglicy ucięli głowę swojemu władcy.

Powieść Aleksandra Dumasa *W dwadzieścia lat później* mówi właśnie o próbie uratowania życia biednego Karola I, podjętej przez Atosa i Aramis. Dwaj dzielni muszkietierowie zostali wysłani do Anglii razem z lordem Winterem na rozkaz Henrietty Marii, siostry Ludwika XIII i żony króla Anglii i Szkocji, Karola I. Aramis, Atos i Winter mieli uratować angielskiego władcę. Cała trójka dotarła do niego na granicy ze Szkocją, gdzie walczyły królewskie wojska. Jednak ich plan zawiódł i Karol I został stracony.

Po śmierci króla na tron nie wstąpił następca, lecz władzę objął tyran, sławny Olivier Cromwell, przywódca purytanów, który przyjmując tytuł lorda protektora, ogłosił się co prawda jedynym władcą, zarazem jednak wywołał ducha ewentualnej republiki. Później na tron wrócili Stuartowie, dwaj synowie Karola I: najpierw Karol II (1660–1685), a potem na krótko Jakub II (1685–1688).

Gdy mówi się, że chwalebna rewolucja dokonała się błyskawicznie i w istocie bezkrwawo, nie wyjawia się na jej temat całej prawdy. Można powiedzieć, że przebiegła ona szybko (trwała zaledwie trzy miesiące) i nie przyniosła wielu ofiar, wtedy jednak pominięte zostaną zdarzenia, których głównym protagoniście, jak zobaczymy, był Jakub II i które były ostatnim etapem konfliktu rozpoczętego w trakcie smutnego i niespokojnego panowania jego ojca Karola I. Księżę Yorku, taki bowiem nosił tytuł przed wstąpieniem na tron, był dowódcą królewskiej floty. Gdy w 1664 roku Anglicy zdobyli Nową Holandię, holenderskie tereny Ameryki, miał on zaszczyt zmienić nazwę tamtejszego miasta Nowy Amsterdam na Nowy Jork.

Pierwszą żoną Jakuba II była Anna Hyde, która zmarła w 1671 roku, pozostawiając po sobie między innymi dziećmi dwie dziewczynki, Marię i Annę (podobnie jak w rzymskich dynastiach cesarskich, te same imiona nadawano z pokolenia na pokolenie). Nową małżonką Jakuba II została katolicka księżniczka włoska Maria Beatrycze d'Este z rodu książąt z Modeny, co natychmiast wzbudziło w parlamencie

podejrzenia, bo niektórzy mówili, że jest papieskim szpiegiem. Aby zrównoważyć sytuację, panujący wtedy Karol II zaaranżował zaślubiny Marii, córki z pierwszego małżeństwa jego brata Jakuba II, z Wilhelmem III Orańskim, protestantem i stadhouderem Niderlandów, który miał wychować ich potomstwo w religii zreformowanej, oddalając tym samym niebezpieczeństwo powrotu wyznania katolickiego.

Jednak to strategicznie zaplanowane małżeństwo nie służyło niezadowolenia. Pewien anglikański duchowny, Titus Oates, były jezuita, zaczął rozpowiadać, że istnieje papieski spisek mający na celu usunięcie Karola II i zastąpienie go katolickim Jakubem II. Żona Karola II, Katarzyna z rodu Bragança, portugalska księżniczka, okazała się bezpłodna i mimo że władca spłodził z różnymi kochankami w sumie kilkanaścioro dzieci, brakowało legalnego potomka. To sprawiło, że jego brat Jakub II stał się najbardziej prawdopodobnym następcą.

Karol II umarł w lutym 1685 roku, nawracając się na łożu śmierci na katolicyzm. Jakub, książę Yorku, został nowym królem. Miał pięćdziesiąt dwa lata i początkowo został przyjęty z entuzjazmem. Szybko jednak musiał stawić czoło buntom i spiskom. Jego „Deklaracji o wolności sumienia” proklamującej wolność religijną w królestwie zarzucano, że nie tyle zrównuje katolików z anglikanami, ile ich faworyzuje. Sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta, gdy królowa Maria Beatrycze zaszła w ciążę. Gdyby urodziła syna, byłby on pierwszym następcą, usuwając linię orańską.

Jakub II, choć był walecznym żołnierzem, okazał się słabym władcą. Chociaż znał tragiczny koniec swego zamordowanego ojca, po części popełniał te same błędy. Ostentacyjnie obnosił się z katolicyzmem, skutkiem czego natychmiast wrogo nastawił do siebie najbardziej wpływowe kręgi anglikanów. Rzucił wyzwanie protestantom, mianując tam, gdzie tylko mógł (rząd, armia, uniwersytety), na kluczowe stanowiska katolików. Po raz pierwszy od 1558 roku nawiązał stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, co wielu wprawiło w gniew, tym bardziej że Jakub II, choć katolik, to jednak jako panujący władca był także głową Kościoła anglikańskiego. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że był to jawny konflikt interesów.

Krótko mówiąc, biedny Jakub II popełnił błąd najpoważniejszy, najgorszy dla politycznego przywódcy: nie zauważył stanu ducha większości poddanych. Za czasów panowania jego brata Karola II w Londynie rozegrały się dwa tragiczne zdarzenia: w 1665 roku wybuchła straszliwa epidemia, a rok później ogromny pożar w olbrzymiej części zniszczył miasto. Lud był zmęczony tymi klęskami i wojnami religijnymi, wielu sympatyzowało z myślą Johna Locka i innych ludzi oświecenia, którzy proponowali tolerancję religijną i zasadę, że wiary nie należy narzucać; można zachęcać ludzi do wstąpienia do tego lub innego Kościoła, jednak nie wolno ich do tego zmuszać. Coś wręcz przeciwnego głosił wtedy w Rzymie papież Innocenty XI i była to jedna z przyczyn, dla których katolików uważano za „zabobonnych” i „idolatorów”.

W maju 1688 roku angielskie poselstwo udało się do Niderlandów, oficjalnie prosząc Wilhelma o interwencję. Ten odpowiedział, że ponieważ proszą go o przybycie z wojskiem, czyli o interwencję militarną, aby zalegalizować tę wyprawę, musi mieć dokument podpisany przez większość szlachty. Takie zaproszenie dotarło do niego 30 czerwca, podpisane przez wybitne osobistości, choć nie wszystkie tej rangi, jakiej życzył sobie Wilhelm. Machina następujących po sobie zdarzeń była już jednak tak rozpędzona, że postępowała pomimo niedogodności.

Nie koniec na tym. 10 czerwca Maria Beatrycze urodziła zdrowego i silnego syna, któremu nadano imiona Jakub Franciszek Edward oraz tradycyjny tytuł księcia Walii. Król Jakub II miał więc następcę; narodziny tego niewinnego dziecka nasiliły wśród protestantów i anglikanów lęk przed możliwym powrotem dynastii papistów na tron Anglii.

Sytuacja Jakuba II się pogorszyła. Arcybiskup Canterbury i większość anglikańskiego kleru nie chcieli odczytać z ambony nowego wydania deklaracji o wolności sumienia, choć zostało to nakazane przez króla. Dali mu do zrozumienia, że przyjęcie tej deklaracji jeszcze bardziej osłabiłoby jego władzę. Król jednak nalegał, wytoczył proces, lecz ostateczny werdykt uniewinnił duchownych, jak zresztą zakładano, co było poważnym ciosem dla króla. Niektórzy historycy uważają, że ten werdykt był początkiem jego końca.

Inny błąd spowodowany odruchem to groźba zawieszenia prawa zwanego *Habeas Corpus Act*, które było w mocy od 1679 roku. Gwarantowało ono bezpieczeństwo oskarżonemu w procesach karnych, a jego korzenie sięgały Magna Charta Libertatum podpisanej przez Jana bez Ziemi w 1215 roku. Nie trzeba tłumaczyć, jak wielkim błędem była groźba usunięcia tej ważnej reguły. Pomimo wiadomości o grożącej inwazji król był pewny, że Wilhelm, jego krewny, nie odważy się na taki czyn: królewska córka powstrzyma męża przed atakiem na ojca. Wiemy, że sprawy potoczyły się inaczej. Wiele innych przykładów, także w historii Włoch i Rzymu, pokazuje, że zawsze zwycięża żądza władzy.

Tak więc 30 października 1688 roku Wilhelm wyruszył i 5 listopada przybił do Torbay w Devon. Pierwszy raz od 1066 roku wrogie wojska wylądowały na angielskim wybrzeżu. Jakub II znowu nie wiedział, co robić: czy ze swoimi oddziałami wyruszyć naprzeciw, pozostawiając bezbronną stolicę, czy też okopać się wokół Londynu, ryzykując, że przyjdzie mu czekać na Wilhelma nie wiadomo jak długo. Jedyni oficerowie, na których mógł polegać, to katolicy, ci jednak, wbrew temu, co się na ogół mówi, mieli jedynie 10 procent władzy. Jakub II przypomniał ambasadorowi francuskiemu i papieskiemu nuncjuszowi, jaki los spotkał Edwarda II, Henryka IV i Ryszarda II, którzy zostali zabici przez swoich krewnych. Wilhelm dał żonie słowo, że życie jej ojca Jakuba II nie będzie zagrożone. Wiadomo jednak, jak niewiele trzeba, aby władcy złamali swoje obietnice.

Król zaś między innymi bał się o to, że nowo narodzony syn zostanie mu odebrany i wychowany na protestanta. Jednemu z nielicznych oddanych ludzi gotowych podjąć ryzyko nakazał zabrać żonę i dziecko i udać się z nimi na dwór Francji do jej kuzyna Ludwika XIV. Jakub II dał im dwadzieścia cztery godziny, po czym pod osłoną nocy sam rzucił się do ucieczki, wcześniej wydając rozkaz rozwiązania armii. W czasie ucieczki został zatrzymany, a ponieważ strażę błędnie wzięły go za księdza, został zmuszony do powrotu do Londynu. Wilhelm, który już prowadził pertraktacje na temat sukcesji, wiadomość tę przyjął nieufnie. Aby zdecydować o przyszłości, musiał być pewny, że tron jest wolny. Jakubowi II więc nakazano, by udał się, dokąd zechce, byle poza granice Anglii. Osiadł on więc w Saint-Germain-en-Laye, kilka

kilometrów od Paryża, w jednej z rezydencji władców Francji.

Oto krótko przedstawione fakty, które leżą u podstaw chwalebnej rewolucji. Jak widać, zdarzenia są tak splecione, że pomimo wyjątkowego uproszczenia pokazują, jak potężne siły kierowały decyzjami ich protagonistów; jakie ideały polityczne czy przekonania religijne wpływały na ich czyny, a przede wszystkim jak wielkie interesy niemal zawsze okazują się ważniejsze niż uczucia i religia. A jednak splot takich to czynów, w przeważającej mierze podyktowanych egoizmem, doprowadził do jednego z ważniejszych wydarzeń w dziejach zachodniej cywilizacji. Rezultatem owych walk były znaczne ograniczenia, jakie parlament angielski nałożył na koronę. W Anglii, a potem poza jej granicami, utrwaliła się zasada polityczna, że władza króla ma być zrównoważona całą serią praw, tak aby nikomu nie przyszło do głowy, by berło królewskie stało się kijem tyrana. Poza tym, jeżeli chodzi o Anglię, już nigdy na jej tronie nie zasiądzie żaden katolik.

Wilhelm przybił do brzegów Anglii 5 listopada 1688 roku; Jakub II uciekł 23 grudnia; parlament zebrał się w drugiej połowie stycznia; 13 lutego 1689 roku Wilhelmowi i jego żonie Marii zaproponowano koronę Anglii.

Nas przede wszystkim interesuje jednak owo dopiero co narodzone dziecko, syn Jakuba II i Marii Beatrycze, który po dramatycznej ucieczce został zabrany z Anglii, aby nie zostać wychowanym w wierze protestanckiej. W 1718 roku, gdy miał już trzydzieści lat, osiadł w Rzymie, zachęcony do tego i wspianale podejmowany przez papieża Klemensa XI, a potem przez jego następców. Papież podarował mu palazzo Muti Papazzurri, piękny budynek o wspianym frontonie z kolumnami, który na piazza della Pilotta stoi naprzeciw dzisiejszego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Do pałacu papież dołączyli sporą pensję w wysokości dwunastu tysięcy skudów, gdy ów niefortunny kandydat do tronu poślubił Marię Klementynę Sobieską, bogatą polską księżniczkę, katoliczkę, młodszą od niego o czternaście lat, wnuczkę Jana III Sobieskiego, który w 1683 roku wybitnie przyczynił się do wyzwolenia Wiednia z tureckiego oblężenia.

Jednak zaślubin o takim znaczeniu politycznym i religijnym nie było łatwo przygotować. Gdy tylko pojawiły się głosy, że tych dwoje zamierza się pobrać, zaczęły się mnożyć burzliwe ruchy im przeciwne, których dokonywali królowie, w tym także papież. Tajni kurierzy galopem przemierzali Europę, specjaliści od dyplomacji studiowali ewentualne rozwiązania, na różny sposób próbowano uniemożliwić zaślubiny. Młoda księżniczka znalazła się w centrum intryg, które zasługiwałyby na emocjonujący serial telewizyjny.

Najbardziej zapalczym przeciwnikiem tego małżeństwa był Jerzy I Hanowerski, który został królem Wielkiej Brytanii i Irlandii i obawiał się, że kwestia katolicka ponownie pojawi się na jego wyspie, gdy tak szczęśliwie, jak wielu jego poddanych uważało, ostatecznie została rozwiązana. Cesarz rzymsko-niemiecki, Karol VI, podzielał te niepokoje; dowiedziawszy się, że Maria Klementyna przemierza tereny jego cesarstwa w drodze do Rzymu, aresztował ją i zamknął w zamku w Innsbrucku. Była to siedziba dość ponura, z której jednak dzielnej księżniczce udało się zbiec po przekupieniu straży. Gdy tylko dotarła do Bolonii, aby zapobiec innym przeciwnościom, natychmiast zorganizowała zaślubiny *per procura* z Jakubem. Prawdziwy ślub odbył się w Montefiascone we wrześniu 1719 roku. Papież Klemens XI ogłosił ich królem i królową Anglii, taki był główny sens polityczny tego posunięcia, przyznając im wojskową ochronę, a poza jedną siedzibą w mieście, także drugą pośród wzgórz na południe od Rzymu.

Pierworodnym dzieckiem z tego związku był Karol Edward Ludwik Filip Kazimierz, który urodził się rok po zaślubinach; drugim synem, który przyszedł na świat w 1725 roku, był Henryk Benedykt. Było to jednak małżeństwo mało szczęśliwe, pomimo ogromnej determinacji towarzyszącej jego zawarciu. Krótko po narodzinach drugiego syna Marię Klementynę opanowała prawdziwa obsesja religijna i wycofała się do klasztoru, oskarżając małżonka raz o cudzołóstwo (co było prawdopodobne), a innym razem znowu o to, że chciał powierzyć dzieci protestanckiemu wychowawcy, co w Rzymie nie byłoby łatwe nawet dla władcy, niezależnie od tego, że był pozbawiony tronu.

Nieszczęsna księżniczka zmarła w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat w 1735

roku. Papież Benedykt XIV (Prospero Lorenzo Lambertini z Bolonii, 1740–1758), powierzył rzeźbiarzowi Pietrowi Bracciemu (twórcy *Neptuna* z Fontanny di Trevi) wykonanie wystawnego grobowca, który można podziwiać w Bazylice św. Piotra: kompozycja, która w przepychu i sposobie przedstawienia szat przywołuje na myśl Berniniego, została wykonana z marmuru, alabastru i brązu, portret zmarłej zaś to mozaika w owalnej ramie podtrzymywanej przez małego anioła.

Pierworodny Karol Edward, mając całkowite poparcie papieża, kontynuował walkę o tron. Gdy miał dwadzieścia pięć lat, przybył na Hybrydy i na wyspach zatknął sztandar ojca. Zyskał nawet poparcie niektórych szkockich klanów, nie zdołał jednak przeciwstawić się wojskom angielskim i w pośpiechu musiał się oddalić. Jego ojca przezywano „Old Pretender”, jego zaś „Bonnie Prince Charlie”, jak również „Young Pretender”, a tytuł ten jest bezlitosną grą słów, gdyż *pretender* oznacza zarówno kogoś, kto „rości sobie pretensje” (na przykład do tronu), jak i „symulanta”.

Prawdę mówiąc, ów przydomek bardziej pasowałby do jego brata Henryka, który zaczął używać tytułu księcia Yorku należącego do dziadka. Po śmierci brata Henryk nieustannie zgłaszał pretensje do tronu, mimo że w Europie wszyscy byli przekonani, iż pomysł restauracji katolickiej w Anglii jest nierealny. W 1747 roku, gdy Henryk miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, papież Benedykt XIV mianował go kardynałem i przyznał diakonię Santa Maria in Portico in Campitelli. W 1761 roku papież Klemens XIII nadał mu biskupstwo diecezji tuskolańskiej z siedzibą we Frascati. Właśnie w katedrze we Frascati kardynał Henryk Benedykt, książę Yorku, celebrował uroczystości pogrzebowe brata, gdy ten zmarł w styczniu 1788 roku. Ceremonia odbyła się z pompą godną króla: na trumnie położono koronę i berło.

W życiu kardynała księcia Yorku nie było wyjątkowych zdarzeń, jeżeli pominąć plotki na temat jego orientacji homoseksualnej, które były przesadzone, biorąc pod uwagę jego rangę i fakt zamieszkania w Rzymie. Angielska pisarka Hester Lynch Thrale (1741–1821), przyjaciółka i biografka Samuela Johnsona, na której grobie napisano, że była kobietą *witty, vivacious and charming* („dowcipną, energiczną i uroczą”), pisze w swoich sławnych dziennikach, że kardynał „publicznie obnosił się

ze swoim kochankiem”, co według Włochów „było kwestią gustu”.

Podobne świadectwo daje Giuseppe Gorani (1740–1819), wybitna postać, żołnierz, pisarz i człowiek przygód (w Mediolanie poświęcono mu ulicę), który był członkiem oświeceniowych środowisk lombardzkich, a gdy w 1789 roku wybuchła rewolucja francuska, natychmiast wyruszył do Paryża. Gorani podzielał seksualne skłonności kardynała, które, wyznaje, nabył w młodości w mediolańskim kolegium ojców barnabitów. We wspomnieniach, które są jednym z ważniejszych źródeł na temat obyczajów XVIII wieku, notuje:

Opiszę więc po prostu to, co widziałem, bez wyciągania żadnych wniosków. Jego [tzn. kardynała] pałac był pełen młodych chłopców o pięknym wyglądzie, którzy nosili stroje opackie. Zacząłem więc podejrzewać, że owa królewska eminencja mogła mieć upodobania, jakie zarzuca się niektórym jego współpracownikom.

Podobnie Gaetano Moroni (1802–1883), wielki erudyta i wysoki urzędnik papieski, opowiadał, niemalże jawnie, o długotrwałym związku kardynała z monsignore Angelem Cesarinim, którego wyniósł on do godności kanonika katedry we Frascati.

Tak czy inaczej na tego rodzaju podejrzenia nie zwracano uwagi i w 1803 roku kardynał książę Yorku został dziekanem Świętego Kolegium Kardynałów, o czym informuje napis na grobowcu wykonanym przez Canovę: DECANO PATRUM CARDINALIUM. Zmarł w lipcu 1807 roku i mimo że długo rościł pretensje do tronu, na jego trumnie nie położono, jak w przypadku brata, ani berła, ani korony, lecz jedynie mitrę i pastorał. Szczątki braci Stuartów przeniesiono później do Rzymu i umieszczono w podziemiach Bazyliki św. Piotra, razem z ich ojcem Jakubem III. W 1939 roku król Jerzy VI zamówił dla nich piękny sarkofag z czerwonego granitu, który można dziś podziwiać, zwiedzając krypty bazyliki. *Requiescant.*

Wnioski, jakie można wyciągnąć z dziejów związanych z tymi dwoma pięknymi grobowcami w Bazylice św. Piotra, ponownie dotyczą różnicy między Kościołem i Watykanem, która jest głównym tematem tej książki. Tak Krystyna Waza, jak i kardynał książę Yorku byli zadeklarowanymi homoseksualistami. Co, wyraźnie należy to podkreślić, absolutnie niczego nie ujmuje (ani nie dodaje) ich osobowościom, choć Kościół w XXI wieku nadal uważa miłość homoseksualną za obrzydliwą i niedopuszczalną.

Watykan najwyraźniej nie zawsze zgadzał się z takim osądem, gdyż uhonorował ich pięknymi grobowcami w najwspanialszej ze swoich bazylik, mieszając racje teologiczne i korzyści polityczne. Jak zobaczymy, w innej rzymskiej bazylice spoczywają szczątki seryjnego mordercy, Renata de Pedisa z bandy z Magliany, pochowanego u św. Apolinarego w zamian za liczne niejasne przysługi, co stoi w sprzeczności z kanonem 1242 prawa kanonicznego, według którego „w kościołach nie należy grzebać zmarłych, chyba że chodzi o biskupa rzymskiego, kardynałów lub biskupów diecezjalnych, również emerytowanych, którzy powinni być chowani we własnym kościele”.

Ideały religijne i racje polityczne raz jeszcze pokazują, jak bardzo się różnią. Oczywiście nie jest to żadne odkrycie. Już wiele lat temu różne osoby o wiele większego formatu niż autor tej książki żaliły się mniej więcej na to samo. Wystarczy pomyśleć na przykład o Franciszku z Asyżu czy Marcinie Lutrze.

[29](#) Lucilio Vanini (1585–1619) swoje prace podpisywał jako Cesare Giulio, włoski myśliciel, były karmelita. Krytyk chrześcijaństwa i propagator ateizmu. Za swoje przekonania spalony na stosie (przyp. tłum.).

[30](#) Krystyna Waza we Włoszech jest nazywana Cristina di Svezia, tzn. Krystyna Szwedzka, a ulica nazywa się Largo Cristina di Svezia (przyp. tłum.).

[31](#) Chodzi o przysłowiowy, przynajmniej w Rzymie, spryt polityczny i finansową zaradność Włochów pochodzących z regionu Marche (przyp. tłum.).

[32](#) Segretario della Cifra – to jedna z funkcji na papieskim dworze, jej sekretarz wchodzi w skład tak zwanej „rodziny papieskiej” (przyp. tłum.).

9. Tajemnica templariuszy

Pośród wszystkich spraw wspaniałych i strasznych, niezapomnianych i ulotnych, związanych z Watykanem na przestrzeni wieków, pośród wszystkich przedsięwzięć podjętych dla wiary czy politycznych interesów żadne nie dorównuje temu, które dotyczy dziejów rycerzy zwanych templariuszami. Jeszcze dziś, po upływie siedmiuset lat, moc legendy wzbudza polemiki, rodzi zażenowanie, a nawet domaga się zadośćuczynienia.

Skąd pochodzi wielkość, różnorodność i trwałość mitu, który otacza tych rycerzy i zarazem zakonników?

W Rzymie niewiele jest miejsc związanych z templariuszami, jednak te, które istnieją, są niezwykle fascynujące. Mówią o świecie wiary i przygód, o ludziach silnych i pobożnych, lecz także o oszustach, świętych dziewicach i zmysłowych awanturkach, które w ciągu wieków wpłynęły na przebieg jednej z największych europejskich epei. Jednym z najstarszych takich miejsc jest Casa dei Cavalieri di Rodi (Dom Kawalerów Rodyjskich) na piazza del Grillo, którego sławna fasada wychodzi na Forum Trajana i Augusta.

Budynek wzniesli w XII wieku Kawalerowie Rodyjscy, tak bowiem pierwotnie nazywał się Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników św. Jana Jerozolimskiego zwany Maltańskim. Jeszcze dzisiaj można w mieście zobaczyć samochody z rejestracją SMOM, które na niego wskazują. Jednym z budynków zakonu jest właśnie dom, o którym mówię, a który pełnił różne funkcje sakralne i świeckie: był prywatnym mieszkaniem, warsztatem stolarskim, klasztorem dominikanek Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, których zadaniem było nawracanie dziewcząt na katolicyzm i kontemplowanie boskich tajemnic. Aby zwiedzić ten dom, trzeba dostać pozwolenie z Przeoratu Kawalerów znajdującego się na via Condotti. Również tylko po otrzymaniu pozwolenia można zwiedzić siedzibę Kawalerów Maltańskich na Awentynie, która jest wyjątkowo fascynująca. Jej pierwsze fragmenty wzniesiono jeszcze w pierwszym tysiącleciu, gdyż należała ona do grupy kościołów i

klasztorów chrześcijańskich leżących dzisiaj wzdłuż via Santa Sabina, cichej i tajemniczej ulicy, dalekiej od zgiełku współczesnego Rzymu.

Ulica kończy się na placu otoczonym bardzo eleganckim murem poprzetykanym obeliskami, tablicami, gwiazdami z emblematami statków i religijnymi symbolami wkomponowanymi w całość neoklasycystycznej wizji Giovanniego Battisty Piranesiego, który zrealizował ją w 1764 roku na polecenie kardynała Rezzonica, wielkiego przeora Kawalerów. Na niewielkim placu znajduje się także brama ze sławną dziurką w zamku, przez którą w doskonałym kadrze widać w głębi długiej zielonej alei kopułę Bazyliki św. Piotra. Obok znajduje się furta wiodąca do Przeoratu Kawalerów z kościołem Santa Maria del Priorato, także zaprojektowanym przez Piranesiego, w którym znajduje się grób artysty.

Kiedyś był tu klasztor benedyktyński, w którym żył mnich Hildebrand z Sovany, późniejszy papież Grzegorz VII, sławny ze swych czynów dobrych i złych. W XII wieku klasztor przeszedł na własność rycerskiego zakonu templariuszy, których tragiczne losy zamierzam tu opowiedzieć. Dwieście lat później klasztor trafił w ręce Kawalerów Rodyjskich, aby w końcu stać się siedzibą Wielkiego Przeoratu Kawalerów Maltańskich. Kościół to jedyne, co Piranesi, wspaniały rysownik i grafik, „skonstruował”. Nie jest on nadzwyczajnie piękny, choć niezwykle harmonijne jest całe obejście: zadbane ogrody, forma zabudowań, powstała w XIII wieku studnia templariuszy. Czuć tu wibracje minionego czasu, dawną aurę, łatwo wyobrazić sobie magię widoku, jaki z tego wzgórza rozpościerał się na miasto: płynąca w dole rzeka, dzwonnice i kopuły, wzgórza zamykające perspektywę od zachodu.

Trzecim miejscem upamiętniającym czasy rycerskie jest kościół św. Onufrego na stoku Gianicolo. W czternastowiecznym kościele, wielokrotnie jednak przerabianym, pochowano Torquata Tassa, który ostatnie lata życia spędził w kilku pokojach tego starego klasztoru. Tam też mieści się muzeum poety z zachowanymi rękopisami, drobnymi pamiątkami, wieńcem laurowym, którym został ukoronowany na Kapitolu. Cały ten kompleks budynków znajduje się pod opieką Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie. Znowu mamy do czynienia z zakonem rycerskim.

To miejsce, tak jak poprzednie, zachowało dawny urok, który zawsze uderzał

odwiedzających, a były wśród nich osoby bardzo sławne. Goethe napisał tragedię *Tasso*, zwiedziwszy pomieszczenia, w których poeta tu mieszkał. Wzruszony Chateaubriand zanotował w *Pamiętnikach z za grobu*:

Jeśli będę miał szczęście dokonać dni moich tutaj, znajdę schronienie w San Onufrio, w izdebce przylegającej do sąsiedniej, gdzie umarł Tasso. W chwilach wolnych od poselskich zajęć będę pisał u okna moje *Pamiętniki*. W jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi, pośród drzew pomarańczowych i zielonych dębów, z całym Rzymem przed oczami, co ranka zasiądę do pracy pomiędzy łóżem śmiertelnym a grobem poety, przywołując geniusza chwały i nieszczęścia³³.

W kościele i w innych budynkach znajduje się wiele dzieł godnych uwagi, jednak i tym razem powiedziałbym, że bardziej od szczegółów liczy się aura, którą się tu oddycha: krużganek, portyk, atria, groby, pośród nich także markiza Josepha Rondininiego, „patrycjusza rzymskiego”, który polecił wykonać dla siebie dość dziwny nagrobek – realistyczny szkielet obejmuje sarkofag, w którym za chwilę ma spocząć.

Nawet w zapale bitewnym spokój, którym emanuje to miejsce, powstrzymał walki. W 1849 roku, gdy chwalebna Republika Rzymska upadała pod naporem artylerii francuskiej, postanowiono przetopić na kule armatnie jeden z trzech tutejszych dzwonów, właśnie ten zwany „Tassem”. Pomimo goryczy spowodowanej przebiegiem walk Garibaldi nakazał oszczędzić dzwon z szacunku dla poety i świętości miejsca.

Działalność zakonów rycerskich odbiła się szerokim echem nie tylko w dziejach, lecz także w literaturze, poczynając od cyklu o królu Arturze i zwycięskim mieczu, jego rycerzach i miłosnych przygodach Lancelota. Cześć, jaką otacza się grób Tassa, przypomina nam, że jego dzieło *Jerozolima wyzwolona* było przez wieki ważnym punktem odniesienia dla kultury europejskiej, tak w środowiskach wykształconych, jak i pośród prostego ludu.

Poemat ten opowiada o magii i wspaniałych czynach, o rycerzach i wojowniczych niewiastach, o przygodach, ucieczkach, pogoniach i miłościach. Tłumaczoną na wiele

języków *Jerozolimę wyzwoloną* kochali barokowi poeci i sławili romantycy, inspirowała malarzy, grafików, reżyserów filmowych (Enrico Guazzoni, Carlo Ludovico Bragaglia). Leopardi, będąc w Rzymie, wzruszył się nad grobem poety. Chateaubriand, poza cytowanym wcześniej fragmentem, pisał w liście z 21 marca 1829 roku do Madame Récamier: „Wczoraj, między jednym i drugim głosowaniem, czekając na wybór nowego papieża, byłem w San Onufrio... Cóż za wspaniała samotność! Jakże piękny widok! Cóż za szczęście móc odpocząć pośród fresków Domenichina i Leonarda da Vinci! Chciałbym tu być także ja, nie byłem nigdy bardziej kuszony”.

Zaledwie kilkadziesiąt lat przed Tassesem tym samym tematem zajął się Ludovico Ariosto, opiewając te same przygody w *Orlandzie szalonym*, który jest ponadczasowym arcydziełem. Ariosto i Tasso mówią o walkach między chrześcijanami i Saracenami w epoce Karola Wielkiego (Ariosto) i w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej, której przewodził Gotfryd z Bouillon (Tasso). Nawet gdy rycerstwo zniknęło, mit pozostał, co doskonale wyczuł Cervantes, autor dzieła, w którym „naiwny *hidalgo*”, opętany rycerskimi ideałami, przyjmuje imię don Kichota.

Rycerstwa czy też „kawalerii” w sensie średniowiecznym nie należy mylić z kawalerią typową dla wszystkich wojsk od najdawniejszych czasów. Słowo „kawaler” jest wieloznaczne, ma także specyficzne, symboliczne znaczenie. W społeczeństwie szlacheckim koń był symbolem, wskazywał też na moc, władzę, bogactwo, skutkiem czego zawód stał się etosem, stylem życia.

Niezwykła historia templariuszy zaczęła się w zimny jesienny dzień 27 listopada 1095 roku, gdy papież Odon de Lagery, Francuz, który przyjął imię Urbana II – historycy uważają, że to on był prawdziwym następcą Grzegorza VII³⁴ – zamknął synod zwołany w samym sercu Francji, w Clermont, w Owernii. Kościół wytrwale, należałoby może powiedzieć „rozpaczliwie”, starał się zreformować; niepokoiły głównie zjawiska nikolaizmu (małżeństwa księży) i symonii (handel przedmiotami świętymi i stanowiskami w Kościele). Urban II zwołał kapłanów i świeckich,

włączając w to władców, łajał ich i wskazywał drogę zbawienia: ruszyć, by wyzwolić Jerozolimę. Fulcher z Chartres w *Historia Hierosolymitana* podaje jedną z wersji tego wezwania:

Ci, którzy do tej pory oddawali się wojnom prywatnym i nielegalnym, wyrządzając wiele złego wiernym, teraz niech ruszają, by walczyć z niewiernymi! Niech bandyci staną się rycerzami Chrystusa! Ci, którzy walczyli przeciw braciom i krewnym, niech teraz zasadnie walczą przeciw barbarzyńcom. (...) Tutaj byli smutni i biedni, tam będą szczęśliwi i bogaci. Tu byli wrogami Pana, tam będą Jego przyjaciółmi.

Słowa zgrabnie dobrane, emocjonalne, wskazywały wzniosły i konkretny cel: nie destruktywna nuda, którą zabijano zajęciami próżnymi i złymi, lecz „święta wojna”. Wezwanie to miało także utwierdzić władzę Kościoła, pomóc mu zachować jego stan posiadania, wesprzeć reformę gregoriańską, rozciągając na wszystkich, poczynając od władców, kościelne prawo. Wystarczy pomyśleć o surowych normach dotyczących małżeństwa narzucanych także władcom, co wywoływało dramaty i schizmy, łącznie ze sławną schizmą Henryka VIII, z której w 1534 roku zrodził się Kościół Anglii.

Odzew po wezwaniu z Clermont był tak potężny, że czynił z papieża prawdziwego przywódcę zachodniego chrześcijaństwa. W ciągu zaledwie kilku miesięcy tysiące ludzi wyruszyły w kierunku Jerozolimy. Gdziekolwiek przeszli, siali spustoszenie. W dolinie Renu zmasakrowano Żydów, na nizinie węgierskiej regularnie rabowano chłopów, splądrowano bizantyńskie pola i wsie. Tłum był różnorodny, jak zawsze w wypadku armii utworzonej głównie z ochotników. Ramię w ramię maszerowali więc łajdacy i ludzie szlachetni, awanturnicy żądni łupu i osoby pragnące realizować wzniosłe ideały.

Pierwsza wyprawa krzyżowa jest chyba najślawniejsza, stworzyła mit i dała początek sadze, która trwała praktycznie dwa stulecia. Jednak już ona była ambiwalentna: składały się bowiem na nią zarówno czyny okrutne i samowolne, jak i oficjalna wyprawa sama w sobie. Trzon armii tworzyli Frankowie i Normanowie. Przewodził im Gotfryd z Bouillon, książę Lotaryngii. W lipcu 1099 roku Jerozolima została zaatakowana i zdobyta, hańbę długiej muzułmańskiej okupacji zmyto krwią. Stolica stała się częścią królestwa Franków pod władzą Baldwina I z Boulogne.

Święty Grób został wyzwolony, a więc cel osiągnięto. Zdawałoby się, że to powinien być koniec, a tymczasem to zaledwie początek.

W tym momencie na scenie pojawiają się templariusze. Około 1120 roku Hugo de Payens zgromadził wokół siebie ośmiu rycerzy (niektóre źródła mówią o trzydziestu) z Burgundii i Szampanii, którzy wyruszyli do bram starożytnej stolicy Judei. Rycerze ci zwali siebie *pauperes commilitones Christi*, ubogimi rycerzami Chrystusa. Po dotarciu do Jerozolimy zamieszkali w jednym ze skrzydeł pałacu Baldwina, który wznosił się na fundamentach świątyni Salomona (zniszczonej przez Rzymian). Tutaj owa niewielka grupa zbudowała klasztor, który od świątyni wziął swoją nazwę: byli oni mnichami świątyni (łac. *templum*). W centrum tej rozległej przestrzeni (dzisiaj znanej jako Wzgórze Świątynne) znajduje się kompleks zabudowań świątynnych z dwoma meczetami; pierwszy to Al-Aksa, a drugi to złota Kopuła na Skale, jedno z arcydzieł sztuki muzułmańskiej, które zdobi panoramę miasta. W jej wnętrzu znajduje się skała, na której Abraham miał zamiar ofiarować swego syna Izaaka i gdzie Jakub miał senne widzenie drabiny. Skała ta jest uważana za pępek świata i element łączący trzy monoteistyczne religie, była i nadal jest niewrażliwym punktem życia religijnego na ziemi oraz miejscem niekończących się sporów.

Zakon templariuszy miał charakter zarazem mniszki i rycerski. Dziejopis Jakub de Vitry, biskup Akki, w *Historia orientalis vel Hierosolymitana* tak opisuje zakonników:

Niektórzy rycerze mocni Bogiem, pragnąc Mu służyć, porzucali świat i poświęcali się Chrystusowi. Uroczyście składali śluby przed patriarchą Jerozolimy, zobowiązując się bronić pielgrzymów przed rozbójnikami i złoczyńcami, chronić drogi i służyć jako rycerze panującemu królowi. Przestrzegali oni ubóstwa, czystości i posłuszeństwa według reguły kanoników regularnych.

Templariusze składali więc typowe dla katolicyzmu śluby zakonne, dołączając czwarte przyrzeczenie i starając się pojednać rzeczy wykluczające się nawzajem: bronią służyć Jezusowi Chrystusowi. Aby było to możliwe w sposób legalny i akceptowalny, należało, jak zobaczymy, wypracować skomplikowaną i tragiczną koncepcję wojny. Templariusze nosili proste stroje, białe tuniki i płaszcze, na ramieniu i na piersiach zaś duży czerwony krzyż (*croix pattée*). Otrzymanie płaszcza

było aktem uroczystym, który z postulanta czynił templariusza *ad vitam aeternam*: „Ci, którzy opuścili życie w ciemnościach, przez noszenie białego płaszcza wyznają, że pojednali się ze Stwórcą, jest to znak czystości i wstrzemięźliwości”.

Ich głównym zadaniem była obrona pielgrzymów i pilnowanie dróg wiodących do Jerozolimy, na których często dochodziło do rabunków i przemocy. Kto udawał się do Ziemi Świętej, aby oddać cześć w miejscach męki Jezusa, mógł się spotkać z przemocą, także seksualną, zbójckich band. Sekta „asasynów”, często dopuszczająca się takich napadów, brała swoją nazwę od narkotyku, haszyszu, zażywanego przed atakiem. Odurzeni napastnicy, obrabowawszy ofiary, mordowali je.

Tak więc zakon templariuszy powstał około roku 1120 w Jerozolimie, jednak oficjalna data jego założenia to styczeń 1129 roku, kiedy to w Troyes zebrał się synod prowincji, w którym uczestniczyli prałaci z Szampanii i Burgundi, a przede wszystkim był obecny mnich cysterski, Bernard z Clairvaux, człowiek niezwykle wpływowy, bystry polityk, doradca możnowładców, doskonały znawca doktryny. Na początku z pewną rezerwą patrzył na templariuszy, potem jednak zmienił nastawienie do tego stopnia, że spisał dokument, który potem stał się sławny: chodzi o *De laude novae militiae*, błyskotliwą pochwałę templariuszy, w której Bernard z niezwykłym talentem retorycznym pisze między innymi:

Nowe rycerstwo pojawiło się na ziemi Wcielenia Pańskiego (...) to, że walczy się z wrogiem, nie dziwi, lecz że walczy się ze Złem, jest rzeczą nadzwyczajną (...) nie idą oni do walki zbyt kownie ubrani, lecz w łachmanach i białym płaszczu (...) liczy się nie tyle szlacheckie pochodzenie, ile waleczność, oto Rycerze Boga, oto Templariusze.

Swym mottem uczynili werset psalmu 115: *Non nobis Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam* („Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę”). Brzmi to jak zaklęcie, powinno ich chronić, przynajmniej od chrześcijan. Jak się przekonamy nie było ono wystarczająco silne.

Jak to możliwe, że taki mnich jak Bernard wprost wychwalał zakon rycerski, czyli ludzi oddających się walce? Pierwotne chrześcijaństwo odrzucało wszelką przemoc. Potem jednak św. Augustyn wypracował pojęcie „wojny sprawiedliwej”, to znaczy „wojen, które były odpowiedzią na niesprawiedliwość, gdy jakiś naród lub państwo,

przeciw któremu miało się wypowiedzieć wojnę, nie karał złych występków swych członków i nie oddawał tego, co zostało niesprawiedliwie zabrane”. Następnym krokiem było stworzenie koncepcji „wojny świętej”, to znaczy takiej, w której walczono w obronie wiary chrześcijańskiej i Kościoła przeciw wrogom zewnętrznym (poganie, niewierni), a także wewnętrznym.

Koncepcję „wojny świętej” (*jihad*) szeroko stosowano także w świecie islamskim aż do naszych czasów. Bernard poszerzył jej znaczenie, argumentując, że używanie broni przez templariuszy nie jest zwykłym mordowaniem:

Śmierć, zadana lub poniesiona w imię Chrystusa, nie jest grzechem i przynosi wielką chwałę. W pierwszym wypadku zwycięża się dla Chrystusa, w drugim zwycięża sam Chrystus, który bardzo chętnie przyjmuje śmierć wroga, jako akt sprawiedliwości, a jeszcze chętniej ofiaruje samego siebie jako pociechę dla poległego rycerza (...) słusznie więc nosi on miecz: jest on sługą Boga w karaniu złoczyńców i wychwalaniu dobrych. Gdy zabija złoczyńcę, nie jest zabójcą człowieka, lecz zabójcą zła i bez wątpienia jest podziwiany jako mściciel Chrystusa w stosunku do złoczyńców, i jest obrońcą chrześcijan.

Innymi słowy, wojna święta jest najsprawiedliwszą z wojen. Była to podstawa prawna, na której opierały się wyprawy krzyżowe mające na celu odzyskanie miejsc świętych, bezprawnie zagarniętych przez niewiernych. Okrzyk: „Tak chce Bóg”, z jakim krzyżowcy ruszali do ataku, streszcza doktrynę, tak pomysłowo wypracowaną. Później wiele państw starało się przyodziać w sakralne szaty własne armie. Nawet żołnierze Wehrmachtu w czasach Trzeciej Rzeszy mieli na kłamrach pasów słowa *Gott mit uns*, „Bóg z nami”, co – zwłaszcza w tym przypadku – było bluźnierstwem. Ideologia Bernarda przez długi czas pozwalała ukrywać za nienaruszalnym murem wiary cele jak najbardziej polityczne i ekonomiczne wypraw krzyżowych.

Dzięki tak zachęcającej i zręcznie skonstruowanej poręce wizerunek templariuszy szybko się rozprzestrzenił. W Europie mówiło się o ich dokonaniach i surowym stylu życia, coraz bardziej wzbogacając je legendarnymi szczegółami. Młodzi szlachcice chętnie wstępowali w ich szeregi, templariusze stali się liczni i potężni także dlatego, że przystąpieniu do nich zazwyczaj towarzyszyły hojne dary: ziemie, nieruchomości, pieniądze, biżuteria. Ofiary napływały także od tych, którzy nie wstępowali do zakonu osobiście; wielu go finansowało, bo chodziło o „wyzwolenie własności Boga”, jak zwykło się mówić, to znaczy o zorganizowanie i prowadzenie wojny,

która, biorąc pod uwagę odległości, była bardzo kosztowna.

Wyszkolenie wojskowe było doskonałe, dyscyplina niezwykle surowa: templariuszom nie wolno było polować, grać w karty i kości, śmiać się w sposób wulgarny, mówić za wiele lub za głośno, nosić zbyt długich włosów. Także sen był poddany regule: rycerze spali „uzbrojeni”, wstawali przed świtem, musieli być zawsze gotowi. Kto złamał reguły, był wyrzucany lub wtrącany do więzienia; niektóre niedociągnięcia karano w sposób upokarzający: na przykład delikwent jadł, siedząc sam na podłodze, a nie przy stole z innymi, którzy i tak zgodnie z zasadami ascetyzmu jedli po dwóch z jednej miski, co było zresztą częstą praktyką w średniowieczu. Wizerunek, jaki powszechnie się pojawiał, przedstawiał dwóch templariuszy siedzących na jednym koniu, co wyrażało tę samą zasadę, choć potem będzie to przewrotnie interpretowane.

W każdej epoce elity społeczeństwa posiadały i przestrzegały surowych zasad. Ze szczególnym rygiorem owi walczący zakonnicy trzymali się reguł dotyczących kobiet, z którymi kontakt był zabroniony do tego stopnia, że nie wolno im było nawet całować własnej matki (*mulier instrumentum diaboli* – kobieta jest narzędziem diabła). Mnisi zawsze nieufnie odnosili się do kobiecości, która była, choćby nieświadomie, agenturą demona: „Niebezpieczne jest towarzystwo kobiety, gdyż starożytny diabeł za pośrednictwem kobiety odwiódł ludzi ze słusznej drogi prowadzącej do raju”.

Templariusze nie byli zwyczajnymi rycerzami, lecz żołnierzami z pierwszej linii, wyćwiczonymi do zadań ryzykownych – oto ich specjalność i zarazem pewna nowość. Istniały już bowiem inne zakony rycerskie: Kawalerowie św. Jana Jerozolimskiego (joannici) prowadzący szpitale, działali również Kawalerowie Maltańscy. Chodziło jednak o oddziały jeźdźców wspierających pielgrzymów niepełnosprawnych lub chorych; tylko wyjątkowo brali oni udział w walkach.

Templariusze jako pierwsi systematycznie posługiwali się mieczem, co przydawało im atrakcyjności i rozślawiało ich imię, gdyż dysponowali podwójną bronią: żelazem i wiarą. Kto był świadkiem, jak nacierają, w białych powiewających płaszczach, z twarzami całkowicie ukrytymi pod przyłbicą, widział słońce igrające na ostrzach

mieczy, którymi wymachiwali, był przerażony – i to na długo. Z czasem ich odwaga, determinacja i tajemniczość przyczyniły się do powstania mitu.

Papieżem w owych czasach był Innocenty II (Gregorio Papareschi, 1130–1143), a jego pontyfikat był jednym z bardziej burzliwych w dziejach. W 1130 roku dramatyczna schizma podzieliła chrześcijaństwo, przeciwne frakcje bezlitośnie zwalczały się nawzajem. Po jednej stronie stali kardynałowie popierający Innocentego, silni dzięki wsparciu cesarza rzymsko-niemieckiego Lotara III i licznych możnowładców z północno-centralnej Italii. Frakcję przeciwną tworzyli pozostali kardynałowie, którzy wybrali antypapieża Anakleta II (Pietro Pierleoni) i byli wspierani przez normńskiego Rogera II, króla Sycylii, Apulii i Kalabrii. Skupiali się na południu i prawdopodobnie wtedy po raz pierwszy Półwysep Apeniński tak wyraźnie się podzielił pod względem geograficznym, co nieraz jeszcze się powtórzy na przestrzeni dziejów.

Pośród wielu oskarżeń, które Innocenty II wysuwał pod adresem przeciwnika, był zarzut żydowskiego pochodzenia. Antyjudajizm Kościoła rzymskiego zawsze był silny i takie posądzenie było szczególnie poważne. Dzięki między innymi zdolnościom politycznym Innocenty II ostatecznie zwyciężył i biedny „papież z getta” musiał zamknąć się w Zamku św. Anioła, gdzie zakończył życie w styczniu 1138 roku. Wraz ze śmiercią Anakleta II schizma została zażegnana, lecz tylko tymczasowo. W grę wchodziła pozycja zbyt wysoka, prawo wyborcze było nader wadliwe i w kolejnych latach toczyły się zażarte walki.

Bernard z Clairvaux zapewne przewidział wynik tego sporu, gdyż od samego początku przystał do Innocentego II, przyszłego zwycięzcy, popierając go na dworze króla Francji Ludwika VI, który go słuchał. Po zwycięskiej bitwie uzyskał dla templariuszy szczególną protekcję papieża. W 1139 roku Innocenty II, wydając bullę *Omne datum optimum*, podporządkował bezpośrednio sobie ten zakon rycerski, wyjąwszy go spod władzy innych autorytetów kościelnych, także patriarchy Jerozolimy, i zwolnił templariuszy z wszelkich podatków i opłat. Znamienne były

jego słowa: „Sam Bóg uczynił was obrońcami Kościoła i przeciwnikami wrogów Chrystusa”. Wszystkie zakony miały przywileje, których bacznie strzegły przed innymi zakonami i władzą świecką. Templariusze stali się wybrańcami papieża i tylko on mógł ekskomunikować kogoś z nich lub członka jego „rodziny”.

Zakon stał się nie tylko bogaty, ale i bardzo potężny. Otrzymywał tak hojne dary, że pomimo wielkich wydatków na działania wojenne (podróże, wyposażenie, budowanie fortec) inwentarze templariuszy rejestrowały znaczne aktywa w postaci dóbr ruchomych i nieruchomości. Równoległe z działalnością wojskową zaczęli też intensywną aktywność finansową; wielu uważa, że to templariusze wymyślili czeki i weksle. Bez wątpienia przenosili fundusze w odległe miejsca, pobierali dziesięciny na rzecz papieża, udzielali pożyczek osobom wysoko postawionym, jeśli odpowiednio umotywowali swoje wnioski, służyli za skarbników szlachcicom, którzy nie chcieli osobiście zajmować się interesami. Obrót pieniędzmi zawsze sprzyjał tym, którzy potrafili zręcznie to robić. Templariusze potwierdzali tę regułę, pomnażając swoje bogactwo i władzę; za chwilę zobaczymy, w jaki sposób właśnie to stało się przyczyną ich klęski.

Walki z muzułmanami były niezwykle zacięte. Do jednego z najstraszniejszych epizodów doszło w 1153 roku, w czasie drugiej wyprawy krzyżowej, podczas oblężenia Aszkelonu. Jedna z wież oblężniczych chrześcijan zapaliła się i runęła na mury. Uderzenie i ogień uczyniły w nich wyłom. Od miesięcy chrześcijanom nie udawało się wdrzeć do miasta, które zdawało się nie do zdobycia. Bernard z Tremelay, który przewodził oddziałowi templariuszy, nakazał natychmiastowe wtargnięcie za mury.

Czterdziestu rycerzy galopem rzuciło się w powstały wyłom. Na ich nieszczęście nikt za nimi nie podążył: większość wojsk była w tym czasie zajęta walkami gdzie indziej i atak pozostał wyizolowany. Muzułmanie, uświadomiwszy sobie, że napastnicy nie mogą spodziewać się pomocy, bez trudu zyskali przewagę. Templariusze zostali zmasakrowani, ich ciała pozbawione głów muzułmanie wywiesili za nogi na murach, głowy zaś ciskali za pomocą katapult na pola zajmowane przez chrześcijan. Ten straszliwy spektakl dodał siły nacierającym, którzy

w końcu dostali się do miasta i wrogów potraktowali w równie niemiłosierny sposób.

W trakcie tych wojen najwaleczniejszym spośród muzułmanów był legendarny Saladyn, Salāh-ad-Dīn, zupełnie niesłusznie zwany na Zachodzie „okrutnym”. Udało mu się zebrać armię liczącą ponad dwieście tysięcy ludzi i w 1174 roku dokonać cudu bardziej politycznego niż wojskowego: zyskał poparcie całego świata muzułmańskiego. W lutym 1179 roku Saladyn najechał Galileę, po czym skierował się w stronę Jerozolimy. Templariusze w doskonale zbudowanej fortecy zwanej „Fortem Jakuba” stanęli im na drodze i zatrzymali. W czerwcu jednak niez mordowany wojownik ponownie przypuścił atak i tym razem zwyciężył; forteca została zdobyta, a templariusze wyrżnięci. W ręce wroga wpadł także wielki mistrz zakonu Eudes z Saint-Amand. Gdy powiedziano mu, że może odzyskać wolność, jeśli zapłaci okup, ze wzgardą odrzucił propozycję. Uwięziono go w Damaszku, gdzie zmarł z wycieńczenia.

Droga do Jerozolimy zdawała się otwarta, lecz minęło jeszcze wiele lat, nim Saladynowi i jego ogromnej armii udało się zdobyć Święte Miasto. Powiodło się to w październiku 1187 roku, po wielu tygodniach oblężenia. Symbole chrześcijańskie, poczynając od krzyża, zostały zrzucone i zastąpione islamskim półksiężycem. Jeżeli chodzi o templariuszy, to przenieśli oni swój „dom generalny” do Akki, gdzie pozostali do 1291 roku.

Przez wiele lat fale chrześcijańskich pielgrzymów i żołnierzy przybijały do wybrzeża Palestyny i Afryki Północnej. Powodowała nimi wiara, interesy wojskowe i handlowe, pragnienie pokuty, gdyż biorąc pod uwagę warunki i ryzyko związane z podróżą, pielgrzymka sama w sobie była już ciężkim umartwieniem. Jerozolima wróciła w ręce chrześcijan dopiero w 1229 roku, tym razem bez rozlewu krwi, po ugodzie dyplomatycznej zawartej między Fryderykiem II i sułtanem Egiptu Malikiem al-Kamilem, człowiekiem światłym, miłośnikiem sztuki i nauki, z którym chciał się spotkać nawet Franciszek z Asyżu.

Cesarz Fryderyk II przejął władzę w Jerozolimie, gdzie uroczyście włożył okupioną krwią i nietrwałą koronę. Zaledwie pół wieku później, 28 maja 1291 roku, padła

Akka, ostatnia ostoja chrześcijaństwa w Królestwie Jerozolimy. Templariusze dzielnie walczyli w tym dobrze ufortyfikowanym mieście liczącym czterdzieści tysięcy mieszkańców. Rycerze bronili się zaciekle, wielu mogłoby się uratować, uciekając przez morze, jednak tak nie postąpili. Przeciwnie, gdy zostało ich niewielu ponad stu, zamknęli się w twierdzy i przez tydzień odpierali ataki. W końcu, wycieńczeni, poddali się. Do Europy wróciło ich niewielu. Może byłoby lepiej, gdyby wszyscy polegli, zamiast znosić straszliwe męki, które wkrótce im zgotowano.

Starałem się w kilku ważniejszych epizodach streścić historię długą i burzliwą, pełną czynów heroicznych i okrutnych, którą otwiera pierwsza wyprawa krzyżowa w 1095 roku (lub 1096), a zamyka dwieście lat później masakra w Akce. Szacuje się, że zginęło tam od dwunastu do dwudziestu tysięcy ludzi. Cokolwiek by myśleć o templariuszach, nie można wątpić ani w ich wiarę, ani w lojalność. Można dyskutować, czy jest moralnie właściwe, by zakonnicy walczyli zbrojnie, by powierzano im zadania ryzykowne i w konsekwencji krwawe, to znaczy, czy można ich wcielać do „oddziałów specjalnych”, jak byśmy dzisiaj powiedzieli. Gdy raz uznano, że to zgodne z religijnymi i politycznymi wymogami czasu, reszta nie podlegała dyskusji. Jednak okrutnym paradoksem jest to, że właśnie ta „reszta” została wykorzystana do ich unicestwienia. Koniec zakonu nastąpił szybko i był niezwykle okrutny.

Król Francji Filip IV zwany Pięknym 14 września 1307 roku, na poufnym spotkaniu w opactwie Maubuisson, wydał rozkaz aresztowania wszystkich templariuszy. Potem nastąpiła zdrada, donosy, okrucieństwo i hańba przybrane w pozory sprawiedliwości. Dlaczego wydano taki rozkaz? Przyczyny były złożone, lecz trzeba je krótko wyjaśnić. Napięcia między królem francuskim a papieżem zaczęły się już pod koniec XIII wieku za pontyfikatu Bonifacego VIII, papieża, o którym lepiej byłoby zapomnieć. Dante zarzucał mu symonię, Jacopone z Todi uznał za „nowego antychrysta”, a inni po prostu za zabójcę Celestyna V.

Spór wybuchł z powodu pieniędzy, które papież uważał za własność Kościoła, a

król nie chciał stracić; w każdym razie chodziło o pieniądze, a więc jak zawsze w takich sytuacjach sprawa była delikatna. W marcu 1303 roku Filip IV zwołał radę, podczas której jego zaufany doradca Wilhelm de Nogaret wniósł akt oskarżenia przeciwko Bonifacemu VIII, zarzucając mu symonię, herezję, sodomię i morderstwo. Gdy papież, przebywający wtedy w Anagni, otrzymał tę niepokojącą wiadomość, napisał bullę ekskomunikującą króla Francji. Nie miał jednak czasu jej wydać, bo 7 września spiskowcy, popierani przez wrogą mu rodzinę Colonnów, wtargnęli do pałaców papieskich z okrzykiem: „Niech żyje król Francji!”. Bonifacy VIII, w szatach liturgicznych, zasiadając na tronie, w milczeniu przyjął napastników.

Wtedy też doszło do słynnego, może legendarnego incydentu, który przeszedł do historii pod nazwą „policzek z Anagni”: Nogaret, mający rozkaz przyprowadzić papieża do Paryża, spoliczkował go dłonią w żelaznej rękawicy, co było skrajną zniewagą. Była to pośrednia przyczyna kolejnych wydarzeń. Bonifacy VIII po trzech dniach niewoli został uwolniony, lecz był w takim szoku, że po kilku tygodniach zmarł.

Następca Bonifacego VIII, Benedykt XI, starał się pogodzić zwaśnione stronnictwa. Udało mu się to tylko częściowo, a poza tym panował krótko. Wkrótce umarł na czerwonkę po zjedzeniu smakowitych fig, które najprawdopodobniej były zatrute. To punkt zwrotny w całej tej historii. Bohaterem naszej opowieści zostaje nowy papież Klemens V (Bertrand de Got, 1305–1314), arcybiskup Bordeaux, z którym zaczął się okres pobytu papieży w Awinionie. Według niektórych historyków miał on kupić papieski tron, obiecując królowi, że jeżeli zostanie wybrany, odda mu wszystkie dziesięciny z następnych pięciu lat. Także Dante był przekonany, że Bertrand, „pasterz bez prawa”, kupił swe stanowisko, choćby dlatego, że koronował się w Lyonie, a w roku 1309 jego siedzibą stał się Awinion, co uzależniło go od króla Francji.

Filip IV, rozwścieczony i pałający żądzą zemsty, chciał wytoczyć proces Bonifacemu VIII, choć ten już nie żył. Klemens V w zręcznej zagrywce nie przeciwstawił się temu absurdalnemu żądaniu, a nawet zarządził, aby wysłuchano kilku świadków, mając nadzieję, że uda mu się wyciągnąć z tego pewne korzyści.

Gdy ciągle rozgniewany Filip IV nakazał mu rozwiązać zakon templariuszy, Klemens V stopniowo ulegał, pozwalając zarazem, by zaniechano procesu wytoczonego Bonifacemu VIII, co było hańbą, której nawet tak obojętny papież jak de Got nie mógł tolerować.

Dla króla była to korzystna zmiana. Pragnienie odwetu na nieżyjącym Bonifacym VIII było jedynie gniewnym kaprysem, bardziej się opłacało zadowolić w tym Klemensa V, który – jak się zdawało – chciał być jeszcze bardziej uległy. Ponadto niechęć władcy wobec templariuszy miała konkretne przyczyny. W czasie rozruchów spowodowanych podwyżką podatków i wysoką inflacją rycerze ochronili króla przed tłumem i zawiedli do swej paryskiej komandorii, zwanej Templum, wspaniałego, ufortyfikowanego zamku (leżącego obecnie w IV dzielnicy Paryża), mającego wiele komnat i cel, doskonałego także jako więzienie (w czasie rewolucji francuskiej tam właśnie spędził pierwszy okres swej niewoli Ludwik XVI i jego rodzina). Gdy lud i sam papież określali Filipa IV obraźliwym przezwiskiem *roi fausqueur* („król fałszerz”) od zdewaluowanej monety, templariusze mieli odwagę (i naiwność) pokazać królowi, w piwnicach świątyni, swe bogate skarbcce.

Ryzykowna gra się toczyła. Klemens V uważał, że będzie kontrolować posunięcia króla, gdy przyzna biskupom pełnię władzy. Król do komisji, które miały przeanalizować poważne zarzuty wnoszone przeciw templariuszom, wprowadził zaufanych ludzi. Jak zawsze bywa ze spiskami, wszystko zaczęło się od donosu. Niejaki Esquieu de Floryan, skazaniec z Béziers, powiedział, że w więzieniu spotkał templariusza wyrzuconego z zakonu, który zwierzył mu się z rzeczy haniebnych: w momencie przyjęcia do zakonu rycerze muszą pluć na krzyż; namiętnie się całują i często uprawiają sodomie; czczą jakiegoś dziwnego bożka; wielki mistrz uzurpuje sobie funkcje kapłańskie i rozgrzesza. Na stos można było pójść za wykroczenia o wiele mniejsze.

W tym czasie wielkim mistrzem był Jakub de Molay, liczący sześćdziesiąt cztery lata, pochodzący z ubogiej rodziny z okolic Belfort w Alzacji. Przeczując, że zakon jest w ogromnym niebezpieczeństwie, starał się uprzedzić fakty i sam poprosił papieża, aby otworzył proces mający oczyścić rycerzy z absurdalnych zarzutów. Była

to prośba rozpaczliwa. I pozostała bez odpowiedzi.

Filip IV wydał swoim baliwom tajne rozkazy: w określonym momencie listy, które otrzymali, powinni otworzyć i zawarte w nich polecenia natychmiast wypełnić. Wilhelm Imbert, dominikanin, spowiednik króla i wielki inkwizytor Francji, miał nadzorować egzekucję, w razie konieczności nawet bez zgody papieża. Tak też się stało. Rozkaz królewski głosił: „Wszyscy członkowie tego zakonu w naszym królestwie mają zostać aresztowani, bez żadnego wyjątku, uwięzieni i poddani osądowi Kościoła, a wszystkie ich dobra i nieruchomości mają zostać skonfiskowane i przekazane naszej władzy”.

Rozkaz nie mógł być jaśniejszy, także jeśli chodzi o wyrażenie prawdziwych intencji króla. Filip IV, wnuk świętego Ludwika, bigot, który nigdy nie podejmował decyzji, zanim nie wysłuchał przynajmniej dwóch mszy, myślał, że uda mu się osiągnąć dwa cele za jednym zamachem: zwalczyć herezję i niemoralność panujące pośród templariuszy i przywłaszczyć sobie ich bogactwa, co rozwiązałoby jego problemy finansowe, zwłaszcza wobec perspektywy dalszej wojny z Anglikami.

Rozkaz królewski miał być wykonany szybko i równocześnie w wielu miejscach. Tak też się stało. 13 października 1307 roku Wilhelm de Nogaret aresztował wielkiego mistrza w Templum w Paryżu. W lochach zamku odbywały się straszliwe przesłuchania, którym towarzyszyły najwymyślniejsze tortury. Gdy papież się o tym dowiedział, poczuł się urażony: wszystko dokonało się bez jego wiedzy, jego autorytet i władza zostały podeptane. Mimo to dopiero po dwóch tygodniach zdecydował się napisać do króla:

Umiłowany synu, podczas naszej nieobecności dopuściłeś się przemocy wobec templariuszy i przywłaszczyłeś sobie ich dobra. Pozwoliłeś sobie nawet ich uwięzić (...), a przecież poinformowałem już, że wcześniej osobiście zająłem się tą sprawą i sam chciałem się przekonać, jaka jest prawda (...). Tę pochopną decyzję wszyscy odczytają, i słusznie, jako haniebane wzgardzenie mną i Kościołem Rzymu.

Słowa te nie miały żadnej mocy, bo były spóźnione. Papież na odpowiedź czekał dwa miesiące. W tym czasie Nogaret, zręczny w zdobywaniu świadectw sprzyjających jego celom, odnalazł i przesłuchał wielu rycerzy wyrzuconych z zakonu i dezertków. Nie polegano już więc tylko na wyznaniach byłego więźnia, który

mówił, co usłyszał od kogoś w więzieniu. Masowe aresztowania opierały się na sporej liczbie podpisanych i potwierdzonych zeznań. Wyczerpani torturami, zastraszeni, umęczeni pojmani templariusze w spazmach bólu przyznawali się do wszystkich zarzutów. Nogaret i wielki inkwizytor osobiście uczestniczyli w okrutnych przesłuchaniach, kiedy nawet błahy zarzut wystarczał, by oskarżonego uznać za heretyka, a wtedy inne ewentualne winy nie miały już znaczenia.

Historyk Georges Lizerand, który przestudiował proces wytoczony templariuszom, w rozprawie *Le dossier de l'affaire Templiers*, wydanej w Paryżu w 1923 roku, dowodzi, że nieludzkie zachowanie oprawców nie byłoby możliwe, gdyby papież Klemens V zadziałał energiczniej i nie akceptował biernie strasznych metod inkwizytora. Innym papieżom, w czasach nam bliższych, także będzie się zarzucać słabość i zbyt „rozsądek”. W takich sprawach polityka jest zazwyczaj złym doradcą.

Kościół katolicki, także ostatnimi czasy, starał się usprawiedliwić postępowanie Klemensa V, wykazując, z jak wielkimi przeciwnościami musiał się zmagać. Pozostaje jednak faktem, że zaniechał tego, co było w jego mocy. Mógł usunąć ze stanowiska wielkiego inkwizytora, który jako kapłan musiał być mu posłuszny. Zrobił to w końcu, ale dopiero wtedy, gdy było już za późno. Historycy bardziej łaskawi ukazują Klemensa V jako człowieka ugodowego i dobrego serca, niezdolnego do sprawowania władzy w momencie tak trudnym. Przede wszystkim zaś miał on przeciwko sobie takiego króla jak Filip IV, zimnego i porywczego zarazem, kierującego się nienawiścią, który kilka lat wcześniej ośmielił się nakazać spoliczkować papieża zasiadającego na tronie. Być może papież się obawiał, że opór mógłby stać się przyczyną jeszcze większego zła, czyli doprowadzić do schizmy. Jednak i to nie jest pewne. Prawdą jest natomiast, że papież na początku usiłował się sprzeciwić, potem jednak z przyczyn, które znamy jedynie częściowo, uległ królowi, ostatecznie stając się jego współnikiem.

Nogaret, chcąc unicestwić zakon, mierzył w wielkiego mistrza, wiedząc, że jeżeli ten się podda, zrobią to wszyscy rycerze. Według jednej z wielu wersji procesu niejaki Giaco, który był giermkim mistrza, wyznał po okrutnym przesłuchaniu, że ten

zgwalił go trzy razy w ciągu jednej nocy. Przesłuchiwany de Molay zaprzeczył; jednak podczas ponownego przesłuchania wyznał: „Zakon templariuszy, założony dla czczenia imienia Chrystusa i opierający się na wierze chrześcijańskiej, dla podboju i obrony Ziemi Świętej, od dłuższego już czasu ulegając pokusom szatana, wyrzekł się Chrystusa Króla, plując na krzyż, i dopuszczał się *alia enormia* [innych potworności] w czasie ceremonii przyjmowania do zakonu”. Potem temu zaprzeczył, jego los był już jednak przesądzony.

Wielokrotnie zapytywano, dlaczego przyznał się do win, choć był niewinny. Jedna z bardziej przekonujących hipotez mówi, że przebiegły Nogaret postawił de Molaya wobec tragicznego wyboru: zginie albo on, albo zakon. Innymi słowy, oskarżyciel był gotów przemilczeć wstydlivy fakt molestowania młodego giermka, jeżeli mistrz wyzna winy zakonu.

Gdy to się działo, król Filip IV ogłosił się spadkobiercą wszystkich dóbr templariuszy znajdujących się w jego królestwie. Nakazał je zarekwirować, zapewniając, że przeznaczy je na sfinansowanie nowej wyprawy krzyżowej. Oczywiście nigdy jej nie zorganizował. Za to krótko potem na nowo podjęto budowę kaplic w Notre-Dame i Conciergerie królewskiego pałacu, a także bito pieniądź króla, tak zwany *bourgeois*, z bardziej kosztownego stopu.

22 marca 1312 roku w katedrze w Vienne papież Klemens V odczytał bullę *Vox in excelso*, w której przedstawiał zarzuty pod adresem templariuszy: „Popadli oni, sprzeciwiając się tym samym Panu Jezusowi Chrystusowi, w straszliwą apostazję, oddając się haniebnemu bałwochwalstwu, straszliwemu grzechowi sodomii i wielu różnym herezjom”. Po wyliczeniu win wyrokował: „Nie w sposób definitywny, lecz z przestrogi apostołskiej, my, w zgodzie ze świętym Synodem, zawieszamy Zakon Templariuszy we wszystkich jego funkcjach, jego regułę, habit i nazwę, w sposób absolutny, na zawsze, nakazując surowo, by w przyszłości nikt nie wstępował do niego, nie przywdziewał i nie nosił jego habitu oraz nie ośmielał zachowywać się jak templariusz”.

Papież nie rozwiązał zakonu, ograniczył się do jego zawieszenia, i to „nie w sposób definitywny”, a więc postąpił kompromisowo, co dowodzi jego zażenowania

oskarżeniami pod adresem templariuszy, nigdy nieudowodnionymi. Dodał, że dobra zakonu nie zostaną naruszone, choć w rzeczywistości Filip IV już je sobie przywłaszczył. Klemens V w następnej bulli to, co pozostało z dóbr templariuszy, przekazał zakonowi joannitów i zakonowi kawalerów maltańskich.

Jeżeli chodzi o mistrza de Molaya, po siedmiu latach ciężkiego więzienia, kiedy otrzymywał tylko tyle jedzenia, by utrzymać się przy życiu, został poddany ostatniemu procesowi, który zakończył się 18 marca 1314 roku. W ostatnim porywie godności wielki mistrz wykrzyczał swoją obronę wobec oskarżycieli, którzy nie spodziewali się takiej reakcji po skrajnie wyczerpanym człowieku: „Choć dobrze wiem, jaki czeka mnie los, nie chcę dalej kłamać. Oświadczając, że zakon zawsze trzymał się prawdziwej wiary i pozostał czysty od jakiegokolwiek zmyślenia, świadomie wyrzekam się życia”. Nieprzyznanie się do winy było równoznaczne z wyrokiem śmierci i de Molay wiedział, jaką cenę zapłaci za te słowa.

Jeszcze tego samego wieczoru został żywcem spalony na stosie w obecności tłumu na brzegu wyspy Cité. Mówiono, że z płomieni krzyczał, iż nie minie rok, a ponownie spotka się z królem i papieżem, tym razem przed obliczem Najwyższego.

Po de Molayu na stos wstąpił jego pomocnik i przyjaciel Gotfryd de Charney, wychwalając mistrza jako męczennika. Niektórzy z zebranych podeszli potem do wypalonego stosu, aby zebrać jako relikwie ich prochy, zanim zostały rozrzucone.

Nie wiadomo, czy konający de Molay prorokował czy nie, w każdym razie papież Klemens V zmarł pod koniec miesiąca, a król Filip IV w listopadzie tego samego roku. Papież cierpiął na raka układu pokarmowego, a król umarł na skutek obrażeń, jakich doznał po upadku z konia w czasie polowania. Legendy, jak to się często działo w obliczu śmierci niesprawiedliwych lub nazbyt okrutnych, rodziły się z płomieni stosu i wiodły długi żywot.

Straszny koniec templariuszy bowiem nie wymazał ich z pamięci. Wprost przeciwnie, właśnie zakończenie ich historii przyczyniło się do jej upamiętnienia i tak przetrwała ona do naszych dni. Tajemnicze siedziby i zwyczaje, niezwykle bogactwo, jakie zgromadzili, tajemne rytury inicjacyjne, mroczne zarzuty zrodziły fascynację: takie rzeczy rozpalają wyobraźnię. Według niektórych hipotez

dziedzicami Templum są współczesne loże masońskie, według innych – liczne tajne okultystyczne zrzeszenia, jak na przykład szesnastowieczni różokrzyżowcy.

Templariuszy czcili także rewolucjoniści z 1789 roku, którzy widzieli w nich ofiary władzy zarówno królewskiej, jak i duchownej. W końcu, według jeszcze innych hipotez, pośmiertne legendy nabrały mocy i barw pod wpływem niepokojących doniesień o obrzędach, w których mieszały się sacrum i profanum, ascetyzm i zmysłowość, rygoryzm i transgresja, gdzie nie można już było odróżnić chrześcijańskich podań od satanistycznych odwołań. Ostatnimi czasy zaś herb templariuszy (dwóch rycerzy na jednym koniu) zainspirował ruchy gejowskie.

Robiąc wrażenie relację na temat pewnego bluźnierczego procederu przedstawił 1 marca 1311 roku wobec papieskiej komisji niejaki Antonio Sicci da Vercelli, notariusz, który był na służbie u templariuszy w Syrii, nie będąc jednak członkiem zakonu:

W Sydonie wielokrotnie słyszałem o tym, jak to pewien szlachcic z tego miasta zakochał się w armeńskiej szlachciance. Za życia nigdy nie poznał jej cieleśnie, gdy jednak zmarła, zgwałcił ją po kryjomu w grobowcu, w noc po pogrzebie. Po dokonaniu tego czynu usłyszał głos mówiący: „Wróć tu, gdy nadejdzie czas rozwiązania, gdyż znajdziesz wtedy pewną głowę, córkę twego czynu”. Świadek słyszał, że gdy nadszedł ów dzień, rycerz wrócił do grobu i znalazł głowę ludzką między nogami pogrzebanej kobiety. Ponownie usłyszał głos mówiący: „Troskliwie zaopiekuj się tą głową, gdyż przyniesie ci ona szczęście”. Gdy poznałem tę opowieść, komandorem w tym mieście był Mathieu Le Sarmage pochodzący z Pikardii. Został on bratem sultana, który wtedy panował w Babilonii [Kairze], gdyż jeden napił się krwi drugiego, po czym uważali się za braci.

Inna wersja tego zdarzenia, bardzo rozpowszechniona, tak się kończy:

Zabrał ze sobą tę głowę, a ona stała się jego opiekunem i orężem, tak że mógł pokonać swych wrogów, po prostu im ją pokazując. W końcu głowa stała się własnością zakonu.

Wielu rycerzy w czasie okrutnych przesłuchań mówiło o bożku zwanym Bafometem czy też o jakimś strasznym artefakcie związanym z przyzywaniem brodatej głowy, której oddawano cześć w trakcie demonicznych obrzędów. Etymologia słowa *bafomet* nie jest pewna. Według niektórych miało ono być zniekształconym imieniem Mahomet; w rzeczy samej prorok islamu wielokrotnie pojawia się w aktach procesu. Według innych mogło wywodzić się od arabskiego *abu fihamat*, które hiszpańscy

Maurowie wymawiali *bufihimat*, co znaczyło „ojciec wiedzy”.

Alain Demurger w książce *Chevaliers du Christ* zauważa, że w opowieściach tych mamy do czynienia z całą serią powtarzających się elementów: seksualna transgresja; moc magicznej głowy, która przyprawia o śmierć patrzących jej prosto w oczy, a czyni wszechmocnymi swych posiadaczy wystrzegających się patrzenia na nią. To oczywiście aluzja do Meduzy, przerażającego symbolu kobiecej seksualności. Tak więc legendę tę można odczytywać jako „fantazje wypływające z lęku przed kobietą, w które naturalnie wpisują się motywy gwałtownej śmierci, kazirodztwa i sodomii”.

Dochodzą do tego także wątki nieco ezoteryczne. Na przykład mówiono, że wspomniana głowa naprawdę była Całunem Turyńskim (przedmiotem uważanym za magiczny), który, jak się zdaje, był w posiadaniu zakonu przez ponad sto lat, między 1204 i 1307 rokiem, kiedy to wszyscy templariusze zostali aresztowani. Historyczka Barbara Frale poświęciła temu tematowi rozprawę zatytułowaną *Templarie la Sindone di Cristo* („Templariusze i Całun Chrystusa”). Zeznania trzech rycerzy przesłuchiwanym przez inkwizycję pozwalały myśleć, że owym bożkiem był Całun Turyński. Na poparcie tej tezy Frale dodaje, że Gotfryd de Charney, zaufany współpracownik ostatniego mistrza Jakuba de Molaya, był członkiem tej samej rodziny Charney, u której w 1353 roku odkryto całun.

Tego rodzaju legendy, w których w bardzo sugestywny sposób splatają się motywy wschodnie, czarna magia, alchemia i występna zmysłowość, zaczęły krążyć na temat templariuszy bardzo wcześnie. Wolfram von Eschenbach, templariusz i pisarz niemiecki żyjący pod koniec XII wieku, uważany za jednego z czołowych epików swego czasu, w *Parsifalu* czyni z rycerzy opiekunów Świętego Graala, z którym wiąże się wiele znaczeń i tajemnic. Pisarz uczynił je głównym motywem całej serii przygód, w których także mieszają się ekstaza mistyczna i erotyczna. Również francuscy trubadurzy opiewali Graala w swoich wspaniałych utworach, przyczyniając się do rozpowszechnienia mitu, który w końcu połączył się z mitem templariuszy.

Czym więc jest Graal? Zacznijmy od tego, że to jedna z wielu legend związanych z Jezusem, tak rozbudowana i złożona, że poświęcono jej liczne opowieści. W

średniowieczu tajemniczy Graal miał wiele znaczeń: to kielich używany w czasie Ostatniej Wieczerzy; taca, z której Jezus i jego uczniowie jedli baranka w dniu Paschy; naczynie, w które Józef z Arymatei po ukrzyżowaniu Chrystusa zebrał krew Zbawiciela, a potem zabrał ze sobą na zachód, towarzysząc Marii Magdalenie, wdowie po Chrystusie i matce jego syna.

Czasami jednak Graal był talerzem, z którego wierni spożywali w czasie wspólnego świętowania; podobnie jak kielich przeciwstawiony włócznie, były to wyraźne symbole życiodajnych energii męskiej i kobiecej. Tradycja chrześcijańska zna przynajmniej dwa święte naczynia: kielich eucharystyczny i Dziewicę Maryję. *Litania loretańska* opisuje Madonnę jako *vas spirituale, vas honorabile, vas insigne devotionis*, czyli naczynie duchowe, naczynie godne czci, naczynie pełne pobożności: to w łonie (macicy, czyli naczyniu) Marii bóg stał się człowiekiem.

W *Parsifalu* Wolframa von Eschenbacha Graal nie jest kielichem, lecz kamieniem zwanym *lapis ex illis*, zwrot ten dzisiaj tłumaczy się jako kamień wygnania, tym samym wiążąc go z diasporą żydowską; kiedy indziej mówi się o *lapis ex coelis*, czyli o kamieniu, który spadł z nieba. Według von Eschenbacha bowiem kamień ten miał być szmaragdem, który odpadł z hełmu zbuntowanego Lucyfera, po tym jak ten został uderzony mieczem przez archanioła Michała. Klejnot wpadł do morza, skąd został wydobyty przez mądrego króla Salomona, uczyniono z niego kielich, którego użyto podczas Ostatniej Wieczerzy. Według jeszcze innej legendy ów kamień, z którego wykonano naczynie na pachnące olejki, miał zostać przywieziony do Anglii przez Józefa z Arymatei, gdzie potem zniknął. Istnieją także interpretacje symboliczne, według których Graal staje się symbolem to zachodniej tradycji, to podświadomości, to najświętszego serca Jezusa, to seksualności.

„Ostatnie” słowo na temat tego tajemniczego przedmiotu z pewnością nigdy nie padnie. Lecz właśnie w tym tkwi moc tej legendy: jak długo kształt Graala i jego prawdziwa natura będą się mieszać z fantazją i rzeczywistością, będzie on fascynował – jak dzieje się to już prawie od tysiąca lat. To bardzo obszerny materiał, który może z powodzeniem być źródłem bogatej literatury. Motyw poszukiwania Graala zainspirował wiele poematów bretońskich. Pierwszym ważniejszym utworem

jest *Percewal z Walii czyli opowieść o Graalu* z około 1180 roku autorstwa Chrétiena de Troyes. Kilka lat później pisał o tym wspomniany von Eschenbach. Temat ten dotarł do nas między innymi dzięki Wagnerowi (*Lohengrin, Parsifal*), a ostatnio w filmach i powieściach przygodowych.

Pomijając legendy, zaszło przynajmniej jedno zdarzenie, które nie przestaje niepokoić. W nieszczęsnym październikowym dniu, w którym słudzy Filipa IV na jego rozkaz aresztowali templariuszy, jeden oddział rycerzy wymknął się z obławy. Byli to ludzie stacjonujący w Bézu w Prowansji, niedaleko Rennes-le-Château. Zdaje się, że ocaleli dlatego, że ich komandorem był niejaki Seigneur de Got – noszący to samo nazwisko, co papież Klemens V.

Pół wieku temu, poczynając od roku 1956, we Francji zaczęło się ukazywać dużo prac na temat Rennes-le-Château. W książkach tych, często utrzymanych w bardzo popularyzatorskim stylu, mieszano templariuszy, rody merowińskie, różokrzyżowców, alchemię, przede wszystkim zaś skarby utracone przez rycerzy świątyni, a przynajmniej tę ich część, którą zachłannemu królowi Filipowi IV udało się zagarnąć. W 1984 roku także we Włoszech ukazał się bestseller autorstwa Michaela Baigenta, Richarda Leigha i Henry'ego Lincolna pod tytułem *Święty Graal i Święta Krew*. Książka ta głosi, że Kościół katolicki sownie opłacił milczenie opata Bérengera Saunière'a, który odnawiając kościół w Rennes-le-Château, ponoć dokonał niesamowitego odkrycia: Jezus Chrystus nie umarł na krzyżu, lecz schronił się w Prowansji wraz z żoną Marią Magdaleną i dzieckiem.

Co łączy wszystkie te opowieści? Być może, jak w przypadku innych legend, wymieszały się fakty i fantazje: Święty Graal, templariusze, dynastia Merowingów, historia biblijna, męka Chrystusa – wszystko to razem stworzyło pełną przygód opowieść, niemającą żadnych realnych podstaw, niepodlegającą weryfikacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że historia jest fascynująca, o czym świadczy światowy sukces książki *Kod Leonarda da Vinci* Dana Browna. Nieco wcześniej ukazała się inna poczytna powieść – *Sokół maltański* Dashiella Hammetta, który nadał mitowi Graala nowy wymiar, laicyzując go, gdyż ów pożądany przedmiot okazał się zwyczajnym kawałkiem ołowiu. Fascynacja tego rodzaju romantycznymi historiami

zasadza się jednak właśnie na mrocznych aspektach i wątkach, z których są one utkane i których nigdy nie przeniknie żadne światło.

Barwna historia templariuszy jest zarazem tragiczna: niejasne pozostają przyczyny unicestwienia zakonu i nagła śmierć jego rycerzy, spowodowana z jednej strony chciwością króla, z drugiej brakiem odwagi papieża.

[33](#) Chateaubriand, *Pamiętniki z za grobu*, przeł. Joanna Guze, PIW, Warszawa 1991.

[34](#) Formalnym następcą Grzegorza VII był Wiktor III, który panował niewiele ponad rok (maj 1086–wrzesień 1087) i z powodów politycznych praktycznie nie był w stanie sprawować urzędu. Odon de Lagery został wybrany w marcu 1088 roku (przyp. T.K.).

10. *Niespokojne wojsko papieża*

Jak można się domyślić, bazylika il Gesù (Jezusa), stojąca na placu o takiej samej nazwie, jest głównym kościołem jezuitów w Rzymie. Symbolizuje ufność wiary, triumf religii, dumne pragnienie rewanżu po traumie spowodowanej przez Lutra, przeświadczenie o światowej misji, której Towarzystwo Jezusowe było świadome od początku swego istnienia. Imponująca, choć w sumie dość surowa fasada nie pozwala odgadnąć, jakie spiętrzenie marmurów, rzeźb, brązów, stiuków, złocień, obramowań, kolumn, belkowania, fresków znajduje się wewnątrz. Już same rozmiary nawy głównej i rozmach, z jakim wykonano sklepienie, są niezwykle. A to nie wszystko.

W samym centrum sklepienia artysta zwany Baciccia (Giovanni Battista Gaulli) wykonał w 1679 roku fresk przepełniony niezwykle dynamicznymi postaciami, wykorzystując niezwykle efekt perspektywy, skutkiem czego malowidło zdaje się przebijać sufit i wychodzić poza złote obramowanie podtrzymywane przez aniołów. To *Triumf Imienia Jezus*, na którym oczywiście jest przedstawiony sam Jezus w niezwykle żywym świetle, które rozbłyskuje pośrodku fresku i oświetla tłum świętych i wiernych wokół.

W kościele tym znajduje się wiele dzieł godnych uwagi i mówią o nim wszystkie przewodniki, jednak tym, co naprawdę się tu liczy (często tak się zdarza i nie tylko w Rzymie), jest pierwsze wrażenie, przepych barw i ozdób, które mówią o zamyśle i manifeście twórców. Na przykład kompozycje po obydwu stronach ołtarza św. Ignacego Loyoli (lewy transept). Z jednej strony *Wiara triumfująca nad bałwochwalstwem*, z drugiej *Religia obalająca herezję*. Święty jest pochowany pod ołtarzem, a w centralnej niszy, między czterema wielkimi kolumnami wyłożonymi lapis-lazuli, znajduje się ogromna statua, która codziennie o 17.30 jest odsłaniana, opuszcza się wtedy obraz zakrywający ją przez resztę czasu. Dawniej cały posąg był ze srebra, obecnie zaś w większości jest z gipsu. Oryginał bowiem został przetopiony na rozkaz Piusa VI, który zmuszony przez Napoleona do podpisania traktatu w

Tolentino musiał zapłacić duże odszkodowanie wojenne.

Na ostatnim piętrze budynku przylegającego do kościoła, pod numerem 45 na placu, znajdują się pokoje św. Ignacego, a raczej to, co pozostało z domu, który pierwotnie był siedzibą Towarzystwa Jezusowego i gdzie sam założyciel mieszkał do śmierci (1556 r.). Zauważmy niewielki, lecz ciekawy szczegół: w kościele, po lewej stronie ołtarza, znajduje się *Memoriał* dedykowany św. Robertowi Bellarminowi, z popiersiem wyrzeźbionym przez Berniniego. Grób tego jezuitę bogatego w talenty, lecz ubogiego w miłość, który zmusił Galileusza do wyparcia się swych tez i skazał na śmierć Giordana Bruna, znajduje się w innym wielkim kościele Towarzystwa pod wezwaniem św. Ignacego Loyoli. Do Bellarmina jeszcze wrócimy.

Podobny przepych jak w bazylice il Gesù, znajdujemy w kościele św. Ignacego – ta sama duma, tak samo zachwycające freski, podobna wizja triumfującej wiary mającej rozprzestrzenić się po krańce ziemi, pyszniącej się z powodu pewności posiadanej prawdy. Niemal w samym centrum nawy zaznaczono punkt, z którego najlepiej widać perspektywę fresku zdobiącego sklepienie, wykonanego przez Andrea Pozza w 1685 roku: aniołowie, błogosławieni, święci, niebo o niezwykłej głębi, w którym św. Ignacy oświecony blaskiem Chrystusa rozprzestrzenia światło na cztery strony świata. Ponownie to samo przesłanie: światowa misja zakonu.

To papież Grzegorz XV (Alessandro Ludovisi, 1621–1623), wychowanek kolegium jezuitów, zasugerował Ludovicowi Ludovisiemu, którego był stryjem, wzniesienie tej świątyni w 1622 roku. W kaplicy znajdującej się w głębi po prawej stronie można podziwiać grobowiec, prawdopodobnie najbardziej ozdobny ze wszystkich znajdujących się w Rzymie: tron z baldachimem, falujące draperie, rozradowani aniołowie, wielobarwne marmury; na szczycie posąg papieża udzielającego błogosławieństwa, u jego stóp *Wiara* i *Obfitość*, a w medalionie podtrzymywanym przez anioły profil papieskiego bratanka kardynała Ludovica. Kaplicę otaczają rzeźby przedstawiające cnoty kardynalne. W dziele tym nawet najmniejszy fragment jest pełen ozdób i ruchu.

Godny uwagi jest również ołtarz św. Ludwika Gonzagi, bogato rzeźbiony, ozdobny, z kolumnami i symbolami, także tutaj pyszną się ogromni aniołowie. Kościół powstał

w miejscu, gdzie w cesarskim Rzymie wznosiła się świątynia Izydy, w centrum dzielnicy egipskiej. Tu, gdzie dzisiaj jest fasada, znajdowało się Dziewicze Źródło: ogromna fontanna będąca częścią akweduktu zbudowanego w czasach Agrypy Meneniusza, funkcjonującego do dzisiaj. Akwedukt kończy się Fontanną di Trevi.

Kościół il Gesù i św. Ignacego, kapiące od złota i brązu, pełne stiuków i marmurów, ukazują chwałę i ogrom ambicji jezuitów. Nie przez przypadek zakon ten jest zarazem najbardziej znienawidzony i ceniony, należą do niego ludzie świetnie wykształceni, zdolni operować wysublimowanymi pojęciami, lecz nie mniej zdolni również do hipokryzji i dwulicowości, o czym świadczy historia.

Podobnie jak Żydzi umieją wspaniale opowiadać historie o samych sobie, jezuita potrafią się śmiać z własnych niedoskonałości. Na ich stronie internetowej (www.gesuiti.it) można przeczytać między innymi taki żart: Umiera pewien kapucyn i idzie do nieba. Gdy dochodzi do recepcji, przydzielają mu przeznaczoną dla niego chmurkę i mówią, jak ma się na nią dostać. Po drodze mija go wspaniały złoty rydwan zaprzężony w sześć białych koni, istny cud. Chwilę później kapucyn spotyka świętego Piotra. „Wasza Świątobliwość, kto jechał w tym wspaniałym rydwanie?” – pyta. „A, ten... to pewien jezuita” – odpowiada święty Piotr. Na pytanie kapucyna: „Dlaczego on jedzie w rydwanie, a ja idę pieszo?”, święty Piotr odpowiada: „Wie ojciec, w tych okolicach jezuita to rzadkość”.

Trzeba mieć wiele pewności siebie, aby śmiać się z własnej sławy, nie zawsze pozytywnej, a często wręcz bardzo złej. *Słownik mediolańsko-włoski*³⁵ z 1814 roku pod hasłem „jezuita” podawał takie znaczenia jak: „knur, świnia, prosiak”. Nawet słownikom przyświecają pewne ideologie i ta, która cechowała publikację Cherubiniego, jest oczywista. Trzeba jednak nadmienić, że edycja słownika Zingarellego z 1943 roku „Żyda” definiowała jako „lichwiarza, chciwca, żądnego zysku”.

Sławę jezuitów potwierdza pewne zdarzenie, do którego doszło wieczorem 27 grudnia 1594 roku. Król Francji Henryk IV, hugenot nawrócony na katolicyzm (to on

wypowiedział słynne zdanie: „Paryż wart jest mszy”), znany jako „Le Vert Galant” (stary, ale jary) z powodu swoich licznych kochanek, udał się do jednej z nich, Gabrieli d’Estrées, do Hôtel de Schomberg w pobliżu Luwru. Tam czekała na niego nie tylko kobieta, lecz także pewien młodzieniec, Jean Châtel, aby go zabić. Rzucił się na króla z nożem, lecz chybił i tylko zranił go w usta, łamiąc mu ząb.

Zamach się więc nie udał, zabójcę pojmano. To szaleniec? Przedstawiciel wrogiej królowi frakcji? Mało było o nim wiadomo: miał zaledwie dziewiętnaście lat, był synem sprzedawcy tkanin. Podejrzanie padło na grupę księży. Chłopiec uczył się w szkole jezuitów i do owego szalonego czynu został nakłoniony w tamtym okresie. Nawet jeżeli Henryk IV przeszedł na katolicyzm, zachował otwarte podejście do religii. Krótco potem, w 1598 roku, wydał sławny edykt nantejski, jedno z pierwszych praw świadczących o tolerancji religijnej, które zezwalało na sprawowanie kultu protestanckiego na terenie królestwa. Krótco mówiąc, na ławie oskarżonych wraz z młodym Châtelem zasiadali także jezuiti.

Śledztwo przeprowadzone w kolegium jezuitów w Clermont oraz w Maison Saint Louis potwierdziło zarzuty. Châtel był lojalnym wysłannikiem przewrotnego Towarzystwa Jezusowego. Błyskawicznie został skazany na śmierć i dwa dni po zamachu przywiązano go do czterech koni, które pognane w różnych kierunkach rozerwały go żywcem. Czy jednak to naprawdę jezuiti byli jego zleceniodawcami? Poważne oskarżenie, a mało dowodów. Skutek był taki, że na pewien czas wydalono jezuitów z Francji.

Zamach na króla był doskonałym pretekstem do ograniczenia działalności zakonu, do czego wielu wzywało, uważając, że zakon za bardzo miesza się do polityki i nazbyt angażuje w dziedzinie edukacji. Poza tym wielu nowicjuszy pochodziło z Hiszpanii, skąd wywodziło się także samo Towarzystwo Jezusowe, i podejrzewano, że jezuiti sprzyjają tej monarchii, która rywalizowała z koroną francuską o panowanie w Europie.

Henryk IV zginął w 1610 roku w kolejnym zamachu. Zabił go fanatyczny katolik François Ravailac, liczący trzydzieści dwa lata, który bez powodzenia usiłował wstąpić do jezuitów. Także on został rozerwany żywcem w miejscu, gdzie dzisiaj

znajduje się plac Hôtel de Ville.

W ciągu kilku dziesięcioleci Towarzystwo Jezusowe zyskało złą sławę, co potwierdzają broszury, procesy i szeroko rozpowszechniane plotki. Pamflet opublikowany w Anglii w tym samym roku, w którym został zamordowany Henryk IV, nosił wymowny tytuł *Discoveries of the Most Secret and Subtle Practices of Jesuits* („Odkrycia na temat tajemnych i wyrafinowanych praktyk jezuitów”). Książeczka pełna była oszczerczych insynuacji z akcentami melodramatycznymi, które niebawem stały się typowymi wątkami powieści gotyckiej: „Przed przyszłym mordercą kładli nóż, owinięty w płótno i umieszczony w zamkniętej srebrnej szkatułce, która na wieku miała wygrawerowany pięknymi literami napis *Agnus Dei*. Potem wyciągali ów nóż i skrapiali go wodą święconą”.

Do każdej broni przyczepiali pięć lub sześć kolorowych koralików o podwójnym znaczeniu: wskazywały one liczbę ciosów, jaką należało zadać ofierze, oraz mówiły o tym, ile dusz po dokonanej zabójstwie zostanie wyzwolonych z czyśćca. „Całe Towarzystwo klękało u stóp przyszłego zabójcy. Przekonywali go, że jest osobą wyjątkową i że są tak olśnieni blaskiem, jakim emanuje, iż padają u jego stóp. Rekrut był pewien, że naprawdę i natychmiast pójdzie do nieba, bez przechodzenia przez czyściec”. Obietnica, którą wszyscy fanatycy, nie tylko religijni, zawsze powtarzali – i nadal powtarzają – na zgubę najbardziej naiwnych adeptów. Także dzisiaj.

W innej broszurze z 1759 roku mówi się o tym, że jezuita są doskonałymi znawcami chemii i farmakologii. W *The Doctrines and Practices of the Jesuits* („Doktryny i praktyki jezuitów”) czytamy, że jezuita dostarczali zabójcom trucizny „zdolne zatruć naczynia, talerze, solniczki, miski, garnki i wszelkiego rodzaju sztucce, nawet jeżeli te są po wielokroć myte i czyszczone”.

Jednym z najsławniejszych procesów sądowych epoki, z powodu seksualnego podtekstu, była sprawa wytoczona przez Marie-Catherine Cadière (urodzoną w Tulonie w listopadzie 1709 roku) spowiednikowi, jezuita Jean-Baptiste’owi Girardowi. Proces odbył się w 1731 roku w parlamencie Aix-en-Provence. Młoda kobieta, córka kupca, oskarżała swego duchowego przewodnika o czary, zmuszanie do czynów haniebnych i uczynienie jej brzemienną. Jezuita bronił się, mówiąc, że

kobieta jest histeryczką i choruje na padaczkę, że uważa się za świętą, gdyż nosi stygmaty, a na potwierdzenie tego ręce brudzi sobie krwią menstruacyjną. Także ten proces, który odbił się szerokim echem nie tylko we Francji, stał się aktem oskarżenia przeciw jezuitom, w którym Catherine odegrała rolę ofiary ich występnej żądzy. W pierwszym wyroku sąd skazał kobietę na śmierć. Jednak miesiąc później, ku powszechnej radości, uznano ją za niewinną i odesłano do rodziny, ojca Girarda zaś przeniesiono. Proces doczekał się także interpretacji metaforycznej, w której jezuitów przedstawiano jako element obcy i wrogi, starający się przeniknąć do Kościoła francuskiego i na dwór królewski Francji.

W Londynie poeta Jeremy Jingle wydał w 1731 roku broszurę pod tytułem *Spiritual Fornication* („Duchowe cudzołóstwo”), którą określił mianem *burlesque poem* (poematu szyderczego). W dziełku tym „przypadek panny Cadière i ojca Girarda został zabawnie zrekonstruowany”, na przykład obrazowo opisuje się tam, jak lubieżny kapłan tańczy, by z pomocą szatana zahipnotyzować kobietę. Piękna Catherine rozbiera się i zgadza na „trzy uderzenia prętem, które chętnie przyjmuje. Potem on ociera się o jej plecy, całuje jej zadek oraz łono (...) dosiada jej i obmacuje te części jej ciała, które są poniżej”, itd. Wszystko kończy się źle dla biednej Catherine, bo zachodzi w ciążę, zostaje zmuszona do aborcji i na koniec zamknięta w klasztorze.

Nie dziwi to, że w Anglii tak rozpisano się przeciwko jezuitom. Po reformie anglikańskiej Henryka VIII antypatia angielskich chrześcijan do Kościoła w Rzymie w pełni się ujawniła i w Londynie dochodziło do licznych aktów, nie tylko pisarskiej natury, przeciwko katolikom nazywanym pogardliwie „papistami”. Doszło nawet do tego, że oskarżono ich o podłożenie ognia i wzniesienie straszego pożaru znanego jako *the great fire*, który we wrześniu 1666 roku zniszczył dużą część miasta. Jako złe omen odczytywano także tę datę, bo zapisana cyframi rzymskimi (MDCLXVI) zawiera w porządku malejącym wszystkie cyfry.

Złą sławę jezuitów ugruntowały pogłoski na temat ich praktyk okultystycznych, magicznych, alchemicznych, a nawet wyrafinowanie ich myśli i umysłowości niewolnej od przebiegłości i krętactwa. Zakonowi towarzyszył zgodny chór

niezycliwych mu głosów i opowieści zupełnie fantastycznych. Nie bez kozery genialny autor powieści przygodowych Aleksander Dumas włożył w usta Aramis, jednego z trzech muszkieterów, słowa o tym, że jest on generałem jezuitów, depozytariuszem tajnej potęgi, która powinna wynieść go aż na papieski tron.

Jednak najbardziej celna krytyka podkreślała podwójną moralność jezuitów. Tu nasuwa się na myśl polemika z jansenistami i odpowiedź Pascala w *Prowincjałkach*, gdzie między innymi czytamy (Jedenasty list):

Szydząc z waszych pojęć moralnych, byłem równie odległy od szyderstwa z rzeczy świętych, jak nauka waszych kazuistów oddalona jest od świętych nauk Ewangelii! (...) tak jak prawdy chrześcijańskie godne są miłości i szacunku, tak znowuż przeciwne im błędy godne są wzgardy i nienawiści. Prawdy naszej religii posiadają dwie rzeczy: boską piękność, która daje im powab, oraz święty majestat, który daje im czcigodność; tak samo i w błędach tkwią dwie rzeczy: bezbożność, dla której są one ohydne, oraz głupota, dla której są śmieszne³⁶.

Słowa niezwykle surowe, ubrane w elegancką szatę siedemnastowiecznej prozy, wielki dziewiętnastowieczny krytyk Francesco De Sanctis tak podsumuje: „Moralność jezuicka zdołała obniżyć moralność ludu, wychowała go do hipokryzji, zadowolania się zewnętrznymi pozorami, omijając istotę rzeczy”.

Wszystko zaczęło się 15 sierpnia 1534 roku w Paryżu, mieście, w którym niejednemu raz rozpoczynały się wydarzenia znamienne. Siedem osób wyruszyło z Sorbony w dzielnicy zwanej „Łacińską”, przemierzyło miasto z południa na północ, wspięło się na szczyt wzgórza Montmartre i weszło do starego kościoła Saint-Pierre konsekrowanego przez papieża Eugeniusza III w 1147 roku. Dzień zaczął się burzliwie, zbezczeszczono posąg Dziewicy Marii, byli zabici i aresztowani. Dwa miesiące później, w październiku, protestanci rozwiesili karty wyśmiewające dogmaty Kościoła, *hoc est corpus* czy też transsubstancjację, przeistoczenie hostii w prawdziwe ciało Chrystusa po konsekracji eucharystycznej. Sam król Franciszek I musiał uczestniczyć z pochodnią w ręku w procesji z relikwiami, aby podkreślić swoją rolę katolickiego monarchy w tych teologicznych sporach.

W 1517 roku Luter dał początek reformacji, w roku 1534 Henryk VIII ogłosił

schizmę anglikańską. Po raz pierwszy od początku swego istnienia Kościół dramatycznie pękł, tak że stracił całe kraje: spora część północnej Europy oddaliła się od Rzymu. Niebawem zaczęły się sobór trydencki i kontrreformacja, będzie to jednak proces długotrwały, tymczasem potrzeba było nowych sił, by przeciwstawić się „herezjom”.

Siedmiu przyjaciół, studentów teologii, którzy zebrali się na Montmartrze, miało od dziewiętnastu do dwudziestu trzech lat. Każdy z nich miał inną przeszłość, łączyła ich jednak, obok wiary, niezwykła determinacja. W dniu, w którym katolicy celebrowali wniebowzięcie Marii (od 1950 roku stanie się ono dogmatem wiary), przyjaciele związali się mocą uroczystej przysięgi, ślubowali ubóstwo i czystość oraz zobowiązali się odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Później były cztery śluby: ubóstwa, czystości, posłuszeństwa i całkowitego poddania się papieżowi. 15 sierpnia narodził się Zakon Towarzystwa Jezusowego. Tylko jeden z przyjaciół, Pierre Favre, lepiej znany jako Piotr Faber, był kapłanem. Poza nim do grupy należeli Hiszpanie: Ignacy Loyola, Franciszek Ksawery, Nicolás Bobadilla, Alfonso Salmerón, Giacomo Laynez oraz Portugalczyk Simão Rodrigues.

Trzy lata później, w 1537 roku, siedmiu mężczyzn przybyło do Rzymu i poprosiło papieża o zatwierdzenie ich zakonu. Tego samego roku w Wenecji zostali wyświęceni na księży. Ziemia Święta pozostawała jednak poza zasięgiem, gdyż toczące się wojny uniemożliwiały podróż. W 1540 roku Towarzystwo Jezusowe zostało oficjalnie uznane za zakon. Papież Paweł III zlecił mu pierwszą misję – katechizację dzieci we wszystkich szkołach Rzymu, a Ignacy Loyola został wybrany głównym przełożonym.

Jak wszyscy promotorzy wielkich przedsięwzięć, także Ignacy miał niezwykłą osobowość, tym bardziej zauważalną, że był drobnej postury i słabego zdrowia. Urodził się w 1491 roku w Loyoli, w baskijskiej prowincji Guipúzcoa, kilka kilometrów od San Sebastian, w rodzinie drobnoszlacheckiej, która przeznaczyła go do służby wojskowej. O jego młodości mówi kilka opowieści, wszystkie utrzymane w tonie hagiograficznym i powielające znany schemat: zabawy, hulanki, kobiety, broń. Podczas bitwy z Francuzami pod Pampeluną młodzieniec został poważnie ranny

i długo dochodził do zdrowia. W okresie przymusowej bezczynności, po przeczytaniu wszystkich powieści rycerskich, które odpowiadały jego temperamentowi i doświadczeniu, sięgnął po książkę o życiu Jezusa. Przeżył olśnienie.

22 marca 1522 roku, przed posągiem Czarnej Madonny („Morenety”, patronki Katalonii), w starym klasztorze Matki Bożej w Montserrat, Ignacy, liczący niewiele ponad trzydzieści lat, zawiesił swoją zbroję, miecz i płaszcz. Z pielgrzymim kosturem w ręku, w szorstkiej tunice i sandałach, wędrował najpierw po Europie, dotarł do Jerozolimy, a potem wrócił do Hiszpanii, gdzie zaczął swoją teologiczną działalność. W lutym 1528 roku przebywał w Paryżu, uczęszczał na Sorbonę i poznał towarzyszy, z którymi założył zakon.

Główne cechy jego działalności to intelektualizm i teoria. Był słabego zdrowia, podróże go męczyły. Wiedział, iż najwięcej może z siebie dać w sferze doktryny. Był zdyscyplinowany. Według niego praktykowanie wiary przypominało żołnierkę. Wymogi służby wojskowej, do której przeznaczili go rodzice, odniósł do Kościoła i jego najwyższego Pasterza. Gdy Ignacy w 1556 roku umarł w Rzymie, profesor Renaldo Colombo z uniwersytetu w Padwie, który dokonał autopsji, opisał ciało wyniszczone chorobami: „Z nerek, płuc, wątroby i aorty pobrałem ogromną ilość płynów przeróżnych kolorów”.

To Franciszek Ksawery uczynił z zakonu jezuitów ruch ewangelizacyjny sięgający po najodleglejsze zakątki ziemi. Także był Hiszpanem, urodził się w Nawarze w szlacheckiej rodzinie, której majątek skonfiskował Ferdynand II Katolicki po zwycięstwie nad pragnącymi autonomii i sympatyzującymi z Francją Nawarczykami. Uciekając przed biedą, Franciszek zostawił dom i schronił się w Paryżu, gdzie studiował teologię i szybko stał się jej nauczycielem. Jego przygoda zaczęła się w 1540 roku, gdy zakon został oficjalnie uznany. Z Lizbony na pokładzie statku Franciszek wyruszył do Indii. Przez dziesięć lat ewangelizował Wschód, dotarł do Japonii, marzył o Chinach, jednak wyniszczony trudami umarł w wieku czterdziestu sześciu lat na wyspie Shangchuan Dao leżącej na Morzu Południowochińskim. Sławny portret wykonany przez Murilla przedstawia go jako bladego mężczyznę wspierającego się na kosturze, jego oczy spoglądają w rozświetlone niebo.

Piętnaście miesięcy po jego śmierci szczątki przeniesiono do Goa i tu do opowieści wkłada się kolejny cudowny motyw.

Mówi się bowiem, że ciało nie nosiło żadnych oznak rozkładu, a krew nadal płynęła w żyłach. Ogłoszono cud. W Goa Franciszek został pogrzebany, jednak nie dane mu było zaznać spokoju. Ponieważ jego ciało przypisano cudotwórczą moc, trumnę otwarto, a członki i organy rozesłano na cztery krańce świata. W 1614 roku jedno przedramię dotarło do Rzymu, do kościoła il Gesù, gdzie do dziś znajduje się w relikwiarzu. W następnych wiekach podobnie potraktowano wewnętrzne organy, do czego przyczynił się fanatyzm ludowej wiary. Woda Franciszka Ksawerego, zwyczajna woda, która weszła w kontakt z jego szczątkami, miała leczyć z gorączki, a wymieszana z wodą Loyoli miała się stać środkiem przeciw pladze robaków. W Bawarii aż do XVIII wieku wierzono, że obraz przedstawiający Franciszka Ksawerego, zawieszony na drzwiach obory, nie pozwala diabłu zarazić bydła chorobami.

Te dwa żywoty, tak różne, choć oddane tej samej wierze, pomagają zrozumieć dwa podstawowe powołania, jakie od samego początku cechowały Towarzystwo Jezusowe. Walka o prawdziwą wiarę, katolicka odpowiedź na protestancką herezję i ewangelizacja aż po krańce świata. Mówi się, że ta światowa misja zainspirowała jedno z najświetniejszych dzieł Berniniego, do czego bezpośrednio przyczynił się niemiecki jezuita i naukowiec Athanasius Kircher (1602–1680), profesor nauk matematycznych w Kolegium Rzymskim. Chodzi o Fontannę dei Quattro Fiumi z piazza Navona, gdzie poza Nilem i Dunajem, rzekami wówczas dobrze znanymi, artysta po raz pierwszy przedstawił rzeki z odległych kontynentów: Ganges i Rio de la Plata.

Od młodego człowieka, który pragnął zostać jezuitą, wymagano specjalnych predyspozycji: duchowej żarliwości, przywiązania do zakonu, dobrej pamięci i umiejętności przemawiania. Zarówno dawniej, jak i dzisiaj trzeba też prowadzić surowe życie. Simão Rodrigues, jeden z siedmiu „założycieli”, popierany przez króla

Portugalii, wychowywał jezuickich nowicjuszy niezwykle surowo, nakłaniając ich do postu, biczowania, a nawet, jak podają niektóre źródła z epoki (być może złośliwe), zachęcając ich do zamykania się w klasztorach celach lub zmuszając do modlitwy w obecności zwłok. Tak czy owak posłuszeństwo stanowiło podstawę jezuickiej doktryny, tak samo jak w wojsku.

Narzędziem służącym do kształtowania i oczyszczania dusz, dzięki któremu mogą one zrozumieć boskie przesłanie, były ćwiczenia duchowe napisane przez Ignacego Loyolę i zaaprobowane przez papieża. Loyola zalecał, by na cztery tygodnie wycofać się w wyznaczone miejsce (potem takie miejsca zostaną nazwane „domami rekolekcyjnymi”) i spędzać tam całe dni w milczeniu, medytując nad życiem Chrystusa. Przewodnik duchowy pomagał lepiej uchwycić przesłanie spływające z nieba i w końcu dotrzeć do uprzywilejowanego etapu *contemplatio ad amorem* (kontemplacji w celu zyskania miłości). Praktyka ta do dzisiaj jest niezwykle ważna, o czym świadczy istnienie Federacji Ćwiczeń Duchowych, której zadaniem jest propagowanie zasad św. Ignacego.

Poza strawą duchową przewidzianą dla poszczególnych członków istniała też dyscyplina dla całego organizmu gwarantująca zbiorową skuteczność. Wyraźne podobieństwo do sposobu zorganizowania armii skłaniało niektórych do nazywania jezuitów „wojskiem papieża”. Pod dyktando Ignacego powstały *Konstytucje* zawierające reguły i obowiązki: zakon opiera się na ściśle przestrzegany porządku hierarchicznym, na każdym stopniu trzeba być posłusznym osobom na stopniach wyższych. Na szczycie piramidy stoi papież, któremu, jak pisze Ignacy, należy być posłusznym *perinde ac cadaver* (bezwolnie jak trup). To absolutne posłuszeństwo doskonale oddaje słynne motto zakonu: „Uwierzę, iż białe, które widzę, jest czarne, jeżeli tak powie Kościół”.

Poza wspaniałymi kościołami, o których mówiłem na początku rozdziału, w Rzymie są inne znane miejsca związane z jezuitami. Jedno z nich to Kolegium Rzymskie, w którym wychowywano kandydatów, a więc było szczególnie ważne ze względu na

zadania przyszłych zakonników i kompetencje intelektualne, jakimi musieli się wykazywać.

Założone w 1584 roku Kolegium Rzymskie było najważniejszą szkołą jezuitów aż do roku 1773, kiedy to, jak zobaczymy, nastąpiła kasata zakonu. Towarzystwo powróciło tam w 1814 roku po ponownym otwarciu zakonu przez Piusa VII mocą dekretu, który ukazał się po zakończeniu epopei napoleońskiej. Jezuici na zawsze opuścili to miejsce w 1870 roku, gdy Rzym został włączony do Królestwa Włoch, a rząd skonfiskował kolegium, przeznaczając jego część na liceum. Większość nauki dotyczyła doktryny Kościoła, jezuitom trzeba jednak oddać, że do studiów włączyli także łacinę, grekę, poezję i filozofię. Zwłaszcza w krajach „heretyckich” ich szkoły stawiały sobie za cel – całkiem jawny – przyciąganie młodych do Kościoła rzymskiego. Wiele rodzin, nawet niekatolickich, posyłało dzieci do jezuickich szkół dlatego, że cieszyły się dobrą sławą i nauka była tam solidna.

Wraz ze wzrostem potęgi i władzy Towarzystwa Jezusowego nasilał się opór wobec niego, nie tylko na europejskich dworach, lecz także w obrębie samego Kościoła. Jezuici bowiem zaangażowali się w wiele, często kontrowersyjnych spraw ziemskich. W książce: *Ligne de foi: la Compagnie de Jésus et l’esclavage dans le processus de formation de la société coloniale en Amérique portugaise* („Ścieżki wiary: Towarzystwo Jezusowe a niewolnictwo w procesie tworzenia społeczeństwa obywatelskiego w kolonialnej Ameryce portugalskiej”) Carlos Alberto de Moura Ribeiro Zeron pisze, że jezuici, dopóki nie zostali wyrzuceni z Brazylii w 1759 roku, wykorzystywali miejscową ludność i jeńców z Afryki jako siłę roboczą, nie unikając nawet handlu niewolnikami pochodzącymi z Angoli.

Gdy w lutym 1769 roku zmarł Klemens XIII, spór wokół jezuitów wybuchł z taką siłą, że wybór papieża uzależniano od tego, jak ustosunkuje się on do zakonu. Wpływowi przedstawiciele Burbonów wprost zażądali, by kandydaci na tron Piotrowy pisemnie oświadczyli, że skasują zakon. Potrzeba było trzech miesięcy i stu osiemdziesięciu głosowań, aby w końcu wybrano następcę Klemensa XIII, którym był nieco ponad sześćdziesięcioletni pochodzący z Romanii Giovanni Vincenzo Ganganelli (przybrał imię Klemensa XIV). Wybór ten był chyba powszechnie

akceptowanym kompromisem, choć kandydat oficjalnie odmówił zaangażowania się w kasatę Towarzystwa Jezusowego.

Klemens XIV zastał dosyć skomplikowaną sytuację polityczną, której starał się zaradzić między innymi poprzez nominacje kardynalskie. Jednak kwestia jezuicka mu ciążyła, i to bardzo. Po czterech męczących latach w lipcu 1773 roku musiał wydać dekret rozwiązujący Towarzystwo Jezusowe, a nawet nakazał aresztowanie generała zakonu Lorenza Ricciego, który do śmierci był przetrzymywany w Zamku św. Anioła.

Trzeba zwrócić uwagę na daty, które nie są tu bez znaczenia. To koniec wieku XVIII, czasy oświecenia, z jego różnorodnymi konsekwencjami politycznymi i kulturalnymi, które ta wizja życia i porządku społecznego, relacji między jednostką a państwem, na długo narzuci Europie i światu. We Francji działali encyklopedyści, którzy podkopywali fundamenty absolutyzmu monarchicznego. W Anglii kilkadziesiąt lat wcześniej rozegrała się chwalebna rewolucja (*glorious revolution*), która zagwarantowała wyższość parlamentu nad koroną. To właśnie w takim okresie jednym z wrogów publicznych stało się Towarzystwo Jezusowe przez wielu uważane, nie zawsze słusznie, za najbardziej konserwatywny nurt Kościoła katolickiego.

Innym ważnym dla jezuitów miejscem w Rzymie jest wspaniały kościół Berniniego pod wezwaniem św. Andrzeja przy Kwirynale, o którym mówiłem w rozdziale *Dwaj genialni rywale*, teraz trzeba nam na niego spojrzeć pod jeszcze innym kątem. Kościół ten bowiem i przylegający do niego instytut były przeznaczone na nowicjat. W pierwszej kaplicy po prawej stronie znajduje się obraz Baciccia przedstawiający Franciszka Ksawerego przyciskającego do piersi krzyż, w otoczeniu aniołów i cherubinów pocieszających go w agonii. Pod ołtarzem, w drogocennym relikwiarzu, zachowane jest ciało św. Stanisława, polskiego jezuitę, który zmarł w wieku zaledwie osiemnastu lat.

Stanisław Kostka urodził się w październiku 1550 roku w Rostkowie pod

Warszawą w rodzinie szlacheckiej. Wysłany do Wiednia na studia, zaczął tam praktykować ćwiczenia duchowe według wskazań Ignacego. W przeciwieństwie do swego brata lekkoducha Stanisław był głęboko religijny. W wieku piętnastu lat poważnie zachorował, goszcząc na dodatek w domu pewnego luteranina. Jego wychowawca, Jan Biliński, myśląc, że chłopak umiera, chciał wezwać księdza z ostatnim namaszczeniem; obawiał się jednak reakcji gospodarza niezyczliwie patrzącego na katolickich duchownych.

Zdarzyła się wtedy rzecz dziwna, którą hagiografia tak przedstawia: „Zdziwiony wychowawca zobaczył, że był on rozplómienny niebiańskim blaskiem i miał na twarzy wyraz słodczy i czci zarazem. Jego zdziwienie wzrosło, gdy Stanisław zwrócił się do niego, mówiąc jasno i wyraźnie: «Uklęknij i adoruj Najświętszy Sakrament. Są z Nim dwaj aniołowie Pana, a także dziewicza męczennica święta Barbara»”. Młodzieniec miał wizję, co potem sam potwierdził, w trakcie której jeden z aniołów udzielił mu komunii.

Mocny w wierze Stanisław postanowił wyruszyć do Rzymu, nic nikomu nie mówiąc, gdyż obawiał się sprzeciwu rodziny. Po krótkim pobycie w Niemczech skierował się do Wiecznego Miasta. W trakcie podróży miewał podobne wizje. Pewnego dnia wszedł do kościoła, który niegdyś był katolicki, lecz później przeszedł w ręce protestantów. Gdy Stanisław to pojął, ogromnie się zasmucił. Natychmiast jednak ukazali mu się aniołowie i jeden z nich podał mu konsekrowaną hostię. Stanisław padł na kolana i otrzymał komunię z niebiańskich rąk. Po podróży liczącej tysiąc pięćset kilometrów, gdy rodzina rozpaczała, myśląc, że zaginął, młodzieniec dotarł w końcu do Rzymu, do jezuickiego nowicjatu. Może na skutek wycieńczenia, a może z powodu ogólnie kruchego zdrowia 15 sierpnia 1568 roku umarł.

Kościół uczcił go z wielkimi honorami. W 1605 roku został ogłoszony błogosławionym jako pierwszy z całego Towarzystwa Jezusowego; w 1671 roku został patronem Polski; w roku 1726 papież Benedykt XIII ogłosił go świętym wraz z Ludwikiem Gonzagą. Został też uznany za patrona nowicjuszy, studentów i umierających. W zabudowaniach przylegających do kościoła św. Andrzeja jest kaplica, w której ów biedny młodzieniec konał, i bardzo sugestywna rzeźba

przedstawiająca go na chwilę przed śmiercią. Dzieło to wykonał w 1702 roku Pierre Legros, paryski rzeźbiarz, który zamieszkał w Rzymie, gdzie był znany jako „Monsù Legros”. Posąg został wyrzeźbiony z wielobarwnych marmurów, które z niesamowitym wprost realizmem oddają cerę konającego, jak również jego szaty i należące do niego przedmioty.

Warto odnotować, że w kościele św. Andrzeja został przyjęty do Towarzystwa Jezusowego Matteo Ricci (1552–1610), matematyk i kartograf, któremu udało się dotrzeć do Pekinu, stolicy Niebiańskiego Cesarstwa; był on pierwszym człowiekiem Zachodu, którego wpuszczono do Zakazanego Miasta.

Należy tu wspomnieć o innym znanym pochówku, gdyż historia jezuitów opiera się na wspomnieniach i kulcie umarłych nie mniej niż na dziełach dokonanych przez żywych. W kościele św. Ignacego, pod ołtarzem trzeciej kaplicy po prawej stronie, można zobaczyć przyodziane w bogatą purpurę kardynalską szczątki Roberta Bellermina (1542–1621), który podobnie jak Stanisław Kostka, także w młodym wieku wstąpił do Towarzystwa Jezusowego, jednak jego losy potoczyły się zupełnie inaczej. Kości Bellarmina związano srebrnymi nićmi, a twarz i dłonie pokryto złotem.

Miał on żywy umysł i był bardzo bystry już w młodości, co wykazał, gdy przez trzy dni bronił doktoratu z teologii. Potem bezlitośnie potwierdził swą intelektualną sprawność, gdy z niewzruszoną determinacją posłał na stos filozofa Giordana Bruna. W wieku zaledwie trzydziestu lat otrzymał katedrę na jezuickim uniwersytecie „Gregoriana”, a nauczycielską pasję skupiał głównie na studentach z północnej Europy, którzy po powrocie do ojczyzny mieli zwalczać protestantyzm.

Bellarmino zdawał sobie sprawę, że po tym, jak Luter rozbił mur ortodoksji, wszystko mogło lec w gruzy. Dlatego też celem jego życia stała się obrona doktryny i praw, dlatego chciał, by Bruna skazano na śmierć. Proces filozofa trwał siedem lat, nie dając rezultatów pomimo przesłuchań i tortur. Nieugięty kardynał wziął oskarżonego w swoje ręce w 1599 roku i w ciągu kilku tygodni doprowadził do jedyne­go możliwego wyroku: skazania na śmierć przez spalenie żywcem na stosie

jako heretyka. Rok 1600 został ogłoszony Rokiem Świętym i obraz filozofa wijącego się w płomieniach miał być napomnieniem dla każdego, pielgrzyma czy mieszkańca Rzymu, którego mogłaby kusić herezja Lutra.

Bellarmino intuicyjnie przeczuwał, że Bruno ze swą teorią o nieskończonej liczbie światów otwiera nową epokę wolności myśli. Jeżeli bowiem naruszy się gmach opierający się na kanonicznej interpretacji Pisma, cała doktrynalna konstrukcja może lec w gruzach. W swym dziele *De l'infinito universo et mundi* Giordano Bruno pisał: „Istnieje nieskończona ilość Słońc i Ziemi, które wokół nich krążą”. Kilka wieków później udowodniono, że tak jest.

Bruno ogłosił teorię, która o całe wieki wyprzedzała odkrycia astronomów, lecz zaciemniała wizję Boga jako stwórcy i wiarę w odkupienie będące dziełem Jezusa. Jednym słowem, filozof wykroczył poza chrześcijańskie koncepcje i musiał zostać ukarany. Ironią losu, w maju 2008 roku inny jezuita, ojciec José Gabriel Funes, mianowany przez papieża Ratzingera dyrektorem watykańskiego obserwatorium, ogłosił, że można przyjąć istnienie innych światów i bardziej od nas rozwiniętych istot, bez podważania wiary w stworzenie, wcielenie Chrystusa i odkupienie. Biedny Bruno mówił to samo, tylko za wcześniej.

Proces beatyfikacyjny Bellarmina, popierany przez jezuitów, ciągnął się ponad trzy wieki – od 1627 do 1930 roku. Na przeszkodzie stawały kwestie formalne, motywy doktrynalne, niezręczność całej sytuacji, gdyż nawet katolicy uważali, że w stosunku do Giordana Bruna dopuścił się on przestępstwa. W 1930 roku Pius XI ogłosił Bellarmina świętym, a rok później został on proklamowany doktorem Kościoła powszechnego, którego należało czcić jako patrona katechezy i kanonistów. Jego epitafium głosi: „Mój miecz pokonał duchy pyszne”. Gdy w 1889 roku w Rzymie odsłonięto pomnik Giordana Bruna na campo de' Fiori, papież Leon XIII rozesłał do wszystkich wiernych list napominający, w którym filozofa raz jeszcze potępił. Watykan również później próbował wywierać presję, aby pomnik zburzyć. Należy docenić Benita Mussoliniego, ówczesnego szefa rządu, który oparł się tym naciskom.

Ci dwaj święci, Stanisław Kostka zmarły w wieku osiemnastu lat, nawiedzany w wizjach przez Jezusa i aniołów, i Roberto Bellarmino, niewzruszony człowiek doktryny, zmarły w wieku osiemdziesięciu jeden lat, są skrajnie różni. Obaj byli jezuitami, obaj są czczeni przez wiernych, więc tak wyraźna różnica między nimi skłania do pytań, czy istnieje jakiś wspólny mianownik dla Towarzystwa Jezusowego i kto tak naprawdę tworzy „wojsko papieża”; czy jego działania nazbyt często nie były jedynie odpowiedzią na wymogi polityki; co ostatecznie przeważało we właściwym katolickiej wierze odwiecznym napięciu między cnotą miłości bliźniego i dumnym proklamowaniem prawdy. Czyny jezuitów, ich teorie i praktyka często oscylowały wokół tych skrajności.

W 1981 roku, gdy wewnątrz Towarzystwa Jezusowego toczyły się gorące spory, papież Jan Paweł II zamiast wybranego przez jezuitów Vincenta O’Keefe’a mianował generałem zakonu swojego przedstawiciela Paola Dezzę, aby zastąpił złożonego chorobą dotychczasowego generała Pedra Arrupe. Według oficjalnej wersji podanej przez Watykan miało to zaradzić „pewnemu zagubieniu” w Towarzystwie i „dopomóc jezuitom w rozeznaniu”. Teza nieoficjalna zaś mówi, że chodziło o to, by zapanować nad lewicowym nurtem w zakonie, który w Ameryce Łacińskiej zaangażował się w teologię wyzwolenia. Ogólnie chciano przeciwstawić się kierunkowi „liberalnemu”, jaki zakon obrał za Pedra Arrupe w czasie jego niemal dwudziestoletniego urzędowania.

W 1968 roku w Medellin w Kolumbii Konferencja Episkopatu Ameryki Łacińskiej opowiedziała się przeciwko reżimom autorytarnym: opresyjne dyktatury wojskowe były często popierane (a przynajmniej otwarcie nie potępiane) przez Kościół Rzymu. W obliczu krwawych represji kler południowoamerykański w większości stanął po stronie biednych ludzi, popierając ich walkę, opowiadając się za Kościołem bliskim wiernym i społecznie zaangażowanym. Watykan nigdy nie uznał teologii wyzwolenia, wprost przeciwnie – utrzymywał, że należy się jej przeciwstawić nawet za cenę pozbawienia autonomii jezuitów, którzy byli bliscy wyższej hierarchii, lecz zarazem związani z udręczonymi narodami Ameryki Łacińskiej.

Kolejny temat, który wywołał burzliwe dyskusje, pojawił się w 2001 roku, gdy gazeta „Il Corriere della Sera” opublikowała polemikę historyka Davida Kertzera, autora książki *Papieże a Żydzi*, i ojca Giovanniego Sale, historyka Towarzystwa Jezusowego. Kertzer oskarżył Kościół o to, że jego wielowiekowy antyjudajizm przygotował grunt dla antysemityzmu nazistów. Na poparcie swoich argumentów autor przytoczył między innymi serię artykułów, jakie ukazały się w „Civiltà Cattolica”, jezuickim dwutygodniku wydawanym od 1850 roku. W roku 1882 czasopismo z zadowoleniem mówiło o pierwszych kongresach ówczesnych ruchów antysemitycznych. W 1890 opublikowało trzy artykuły na temat kwestii żydowskiej, w których padały tezy antycypujące najgorsze oszczerstwa nazistów; potem artykuły te zebrano i opublikowano w formie książki tłumaczonej na wiele języków.

Jezuicki historyk odpowiadał, że antyjudajizm na stronicach „Civiltà Cattolica” szybko został skorygowany i że czasopismo to w 1938 roku jako jedyne we Włoszech zamieściło nawet krytykę praw rasowych ogłoszonych przez Mussoliniego. To prawda, że pośród katolickiego kleru, włączając w to jezuitów, wiele osób przeciwstawiało się reżimowi, a nawet współpracowało z ruchem oporu. Jeżeli jednak chodzi o antysemityzm, obraz Towarzystwa Jezusowego jest ambiwalentny i niezbyt odbiega od wizerunku samego Watykanu.

Sam ojciec Sale, pisząc na ten temat („Civiltà Cattolica”, listopad 2008), nazwał „przesadnie roztropnym” zachowanie Eugeniusza Pacellego, zanim ten został papieżem Piusem XII, w czasach, gdy jeszcze pełnił funkcję sekretarza stanu: „W tej materii Sekretariat Stanu zachowywał się raczej roztropnie, myśląc, że tym sposobem uzyska coś konkretnego na korzyść Żydów, przede wszystkim tych, którzy nawrócili się na katolicyzm”. Dlatego też proszono faszystowski rząd, „by jako kryterium stosował nie dyskryminację na podstawie biologicznych danych rasowych, lecz kryterium religijne”. Ojciec Sale dodaje, że była to racja, która „dzisiaj dla historyka katolickiego jest żenująca, zwłaszcza po otwarciu zainicjowanym przez sobór watykański II, by usprawiedliwić na podstawie kategorii moralnych lub religijnych tego rodzaju sposób myślenia i postępowania”.

Podobna ambiwalentna postawa ujawniła się pod koniec wojny. Po zniesieniu praw rasowych dzięki działaniu rządu Badoglio jezuita Luigi Tacchi Venturi, reprezentujący kardynała sekretarza stanu Luigiego Maglione, utrzymywał, że „według podstaw i tradycji Kościoła katolickiego niektóre z tych ustaleń powinny zostać zniesione (te dotyczące konwertytów i małżeństw mieszanych), uważa się jednak, że inne słusznie powinny zostać utrzymane”. Twierdząc, że niektóre prawa powinny zostać „słusznie utrzymane”, ponownie usiłowano wyizolować aspekt religijny (nawrócenie), sugerując, że w mocy powinny pozostać ustalenia dotyczące innych dyskryminacji rasowych.

Od czasu ojca Arrupe Towarzystwo Jezusowe odznaczało się jednak otwartą postawą tak w kwestiach społecznych, jak i doktrynie. W styczniu 2008 roku, kilka miesięcy przed wyborem nowego generała zakonu, którym został hiszpański teolog Adolfo Nicolás, papież Benedykt XVI poprosił jezuitów, by byli bardziej wierni „popieraniu prawdziwej i zdrowej doktryny katolickiej (...) zwłaszcza w niektórych kwestiach teologii wyzwolenia i różnych aspektach moralności seksualnej”. To jasne przesłanie obrazuje wyraźny niepokój papieża związany z wymienionymi punktami, które pragnie on uczynić charakterystycznymi dla swego pontyfikatu.

Inny jezuita, który mocno zaniepokoił Watykan, to amerykański teolog Roger Haight. Już w 2004 roku Kongregacja Doktryny Wiary (byłe Święte Oficjum), któremu wtedy przewodził kardynał Ratzinger, potępiła jego tezy i zabroniła nauczać teologii na Weston School of Theology, jezuickim uniwersytecie w Cambridge w stanie Massachusetts. Latem 2008 roku teolog ten został ponownie potępiony; tym razem zakazem objęto wszystkie szkoły, nawet niekatolickie, dodając także zakaz publikowania książek, „zanim nie wyprze się głoszonych tez”.

Haightowi zarzuca się głównie to, że poszczególne kwestie wiary uzależnia on od ich akceptacji przez współczesne społeczeństwo. On sam zaś odpowiada, że teologia katolicka mogłaby mieć większe nadzieje na przetrwanie, gdyby stała się zrozumiała dla kultury Zachodu, zwłaszcza dla młodych. Kościelna hierarchia i waleczny

jezuicki teolog mówią właściwie to samo, wychodząc jednak z przeciwnych perspektyw. Kościół bowiem na przestrzeni wieków wiele razy pokazał, że potrafi szybko się przystosować do wymogów polityki i obyczajów. Nie chodzi więc o rozstrzygnięcie, czy ważniejsze jest społeczeństwo czy doktryna. Jak zwykle wszystko sprowadza się do kwestii władzy lub też, jeżeli ktoś woli, posłuszeństwa.

Ojciec Haight spotkał się ze sprzeciwem także w obrębie zakonu. Inny jezuicki teolog, ojciec Gerald O'Collins, nauczający na prestiżowym uniwersytecie Gregoriana w Rzymie, skrytykował jego stanowisko, twierdząc, że „dla takiego Jezusa, jakiego przedstawia Haight, nie warto byłoby umierać”. To sprawy bardzo subtelne, na taki temat wcale nie jest łatwo, a może nawet nie powinno się wypowiadać. Pokazują one jednak, jakie obawy targają Towarzystwem Jezusowym w momencie tak newralgicznym dla Kościoła rzymskiego. Według obliczeń watykanisty Sandra Magistera na siedmiu teologów badanych przez Kongregację Doktryny Wiary przynajmniej czterech to jezuici.

Jezuitem jest także jeden z największych żyjących teologów kardynał Carlo Maria Martini, który może zostałby papieżem, gdyby na przeszkodzie nie stała właśnie jego wizja teologiczna i społeczna. W książce *Conversazioni notturne a Gerusalemme* ojciec Martini dyskutuje z austriackim współbratem Georgem Sporschillem na temat podstawowych kwestii doktryny katolickiej. Z jego słów wyłania się bardziej ludzka koncepcja Kościoła, na przykład jeżeli chodzi o trudny temat celibatu księży („Może nie wszyscy mają ten charyzmat”), możliwości wyświęcania kobiet czy homoseksualizmu. Martini przełamuje tabu dotyczące antykoncepcji, podtrzymywane przez trzech ostatnich papieży (Pawła VI, Jana Pawła II, Benedykta XVI). Mówiąc o sławnej encyklice *Humanae vitae* wydanej przez Pawła VI w 1968 roku, która akt seksualny w małżeństwie wiąże ściśle z prokreacją, Martini przypomina, że papież nie wziął pod uwagę głosów ojców soboru i wszelkie decyzje podjął sam: „Niestety, encyklika *Humanae vitae* miała także skutki negatywne (...) z perspektywy czasu ta jednoosobowo podjęta decyzja nie była dobra dla problematyki seksualnej i rodzinnej”.

Może jednak główna myśl, większe otwarcie na chrześcijaństwo skupiające się na

miłości, a nie na pysze posiadanej prawdy ujawnia się, gdy Martini parafrazuje słynną wypowiedź Matki Teresy z Kalkuty: „Bóg nie jest katolikiem” i mówi: „Nie można robić z Boga katolika”. Konsekwencje takiego myślenia są poważne i według kardynała należy to odnieść także do postaci Jezusa, którego Martini postrzega jako bardziej przyjaznego, a więc w sposób dość daleki od wizji „prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka” wyłaniającej się ze stron książki Josepha Ratzingera *Jezus z Nazaretu*.

Historia jezuitów jest burzliwa, pełna niepokojów, sprzeczności, naznaczona zarówno złem, jak i dobrem, co jednak charakteryzuje każde wielkie ludzkie przedsięwzięcie. W działaniu Towarzystwo Jezusowe przyswoiło słowa, jakie Marcin Luter skierował w jednym z listów do swego najważniejszego ucznia i ideologicznego spadkobiercy Philippa Schwarzerda Melanchtona, słowa często cytowane i przy tym źle rozumiane: *Esto peccator et pecca fortiter, sed fortius crede et gaude in Christo* – „Bądź nawet grzesznikiem i grzesz ciężko, lecz jeszcze mocniej wierz i raduj się w Chrystusie”. Nie była to zachęta do grzechu, jak często uważano. Przeciwnie, to zaproszenie, by zawsze być całkowicie szczerym wobec Boga dzięki łasce wiary.

Można bardzo źle myśleć o jezuitach i często tak bywało. Jednak dzisiejsze napięcie intelektualne i dialektyczne w Towarzystwie Jezusowym jest jednym z niewielu znaków doktrynalnej żywotności na tle polityki watykańskiej, którą coraz bardziej cechują krótkowzroczność, konformizm, a czasami niestety nawet arogancja władzy.

³⁵ Chodzi o słownik dialektu mediolańskiego przekładany na włoski literacki, autorstwa Francesca Cherubiniego (przyp. tłum.).

³⁶ Blaise Pascal, *Prowincjałki*, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński, Zielona Sowa, Kraków 2003.

11. Bankierzy Pana Boga

W masywnej wieży Mikołaja V, przystającej do pałacu zamieszkiwanego przez papieża, znajduje się siedziba IOR, co jest powszechnie używanym skrótem Instytutu na rzecz Dzieł Religijnych (Istituto per le Opere di Religiose), czyli banku watykańskiego. Bryłę potężnej budowli można częściowo dojrzeć, nie wchodząc w obręb Watykanu, z via di Porta Angelica, stając przed bramą pilnowaną przez Szwajcarów. Bank watykański utworzono w czerwcu 1942 roku, gdy Pius XII, papież Pacelli, nadał kilku wcześniej powstałym instytucjom rangę prawdziwego banku z osobowością prawną.

Jego celem, jak każdej organizacji tego rodzaju, było pomnożenie kapitałów, jednak z tym szczególnym zastrzeżeniem, że większość zysków miałaby – na mocy statutu i samej nazwy – być przeznaczana na „dzieła religijne”. Skoro się mówi o polityce, a nic lepiej nie pozwala zrozumieć jej kierunku niż użytek, jaki się robi z pieniądza, trzeba postawić sobie pytanie, w jakiej mierze polityka watykańska, praktykowana za pośrednictwem własnego banku, jest podobna do polityki jakiegokolwiek innego państwa niebędącego pod specjalną opieką niebios.

Istnieje pewien szczególny precedens. Aby zarządzać ogromnym majątkiem, jaki Stolica Apostolska posiadała wraz z konkordatem z 1929 roku, Pius XI zatrudnił inżyniera Bernardina Nogarę, wybitnego bankiera. Nogara, zanim przyjął stanowisko, postawił jeden warunek: będzie się inwestować, nie biorąc pod uwagę kwestii religijnych i w każdym miejscu na świecie. Tak też się stało, skutkiem czego nawet druga wojna światowa nie wpłynęła na watykańskie finanse, gdyż Nogara, z pomocą potężnych katolickich pośredników, przeniósł do Stanów Zjednoczonych znaczną część skarbu, którego wartość wzrosła po zakończeniu konfliktu.

W tej długiej tradycji zdolnych finansistów i inwestorów można uczynić krok wstecz. W 1862 roku, gdy było już oczywiste, że pomimo oporów Piusa IX doczesne panowanie papieży dobiega końca, Francesco Saverio de Merode, genialna i barwna postać, z pochodzenia Belg, nabył od Società Immobiliare (Towarzystwa

Nieruchomości) tereny przylegające do przyszłego dworca kolejowego Termini. Kupił je za wprost śmieszoną cenę, gdyż była to dzielnica pozbawiona walorów urbanistycznych. Miał jednak intuicję, że przyszła stolica Królestwa Włoch rozwinie się z dzielnic średniowiecznych i siedemnastowiecznych właśnie w tym kierunku. Gdy papież, po wtargnięciu wojsk do Watykanu przez Porta Pia, obrażony zamknął się w swoich pałacach, jego finansisci umacniali panowanie Stolicy Apostolskiej nad nieruchomościami „trzeciego Rzymu”.

Tego rodzaju precedensy wskazują na złożony problem, którego echo można znaleźć w wymownym dialogu między Ernestem Gallim della Loggia i kardynałem Camillem Ruinim na temat chrześcijaństwa i świata współczesnego, zamieszczonym w książce pod tytułem *Confini*. Hierarcha stwierdza: „Relacja między (...) świadectwem chrześcijańskim (...) i siłami historii to temat bardzo trudny, lecz nieunikniony”. Po czym dodaje: „Trzeba łączyć absolutne wymogi moralne z historycznym realizmem: to wyzwanie odwieczne”. Właśnie o nie chodzi, jeżeli chcemy osądzać dzieje finansów Stolicy Apostolskiej i niezwyklej elastyczności wspomnianej granicy między „świadectwem chrześcijańskim” a „historycznym realizmem”.

W obrębie samego Kościoła istnieje w tym względzie wiele opinii autorytatywnych, a przy tym bardzo odmiennych. Rozmawiając na analogiczne tematy z Eugeniem Scalfarim w czerwcu 2009 roku, kardynał Carlo Maria Martini stwierdził: „Zadaniem Kościoła jest świadczenie o słowie Boga, o Słowie wcielonym, o świecie sprawiedliwych, który nastanie. Wszystko inne jest drugorzędne”. I dalej: „Zdolność i powołanie pasterskie powinny zawsze być ważniejsze od racji dyplomatycznych i teologicznych”.

Mamy więc dwa bardzo różne punkty widzenia: według Ruiniego trzeba „łączyć”, zdaniem Martiniego zaś należy opowiedzieć się po jednej stronie, z wyraźnym wskazaniem, co w tym ewentualnym „połączeniu” powinno przeważać.

Jeżeli istnieje obszar, na którym wynik tej dysputy może zostać zmierzony, a nawet dosłownie „wyliczony”, to jest nim operowanie pieniędzmi. W stosunku do pieniądza, to znaczy finansów, a więc przychodów i obracania wielkimi sumami, można wyraźnie zobaczyć, gdzie okoliczności, wola, okazje i potrzeby umieszczają

granicę między „świadcstwem chrześcijańskim” a „siłami historii” czy też między „absolutnymi wymogami moralnymi” a „realizmem historycznym”. Można też wtedy się przekonać, w jakim stopniu współcześnie obowiązuje myśl ewangelisty Mateusza: „Nie możecie służyć Bogu i Mamonie”, czyli Bogu i pieniądzom czy też zyskom.

Przypadki IOR (banku watykańskiego) świadczą o tym, jak trudny jest to wybór. W porównaniu z innymi bankami włoskimi IOR ma pewne wyjątkowe przywileje. Pierwszy polega na tym, że bank ten nie płaci podatków od dywidend, a jego deponenci nie płacą ich od odsetek. Drugi przywilej, który czyni go podobnym do każdego innego banku zagranicznego, zasadza się na tym, że żądania jakichkolwiek wyjaśnień ze strony innego państwa, poczynając od Włoch, muszą się opierać na procedurze sądowej i być przesłane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych (tak zwana rekwizycja sądowa). Do dzisiaj Stolica Apostolska nigdy nie odpowiedziała pozytywnie na żadną rekwizycję sądową dotyczącą jej banku.

O trzecim przywileju należy wspomnieć ze względu na znaczenie, jakie ma on dla spraw omawianych w tym rozdziale. W myśl konkordatu zawartego między Stolicą Apostolską i Królestwem Włoch w lutym 1929 roku, jak i niektórych późniejszych zarządzeń włoskich władz, osoby kierujące IOR, a także wszyscy działający w centralnych strukturach Stolicy Apostolskiej, są objęte immunitetem, a więc nie mogą być pozwane do sądu ani aresztowane. To ochrona, przez którą nie zdoła się przebić żaden sędzia, gdyby chciał wezwać jakiegoś watykańskiego zwierzchnika pod zarzutem zbrodni popełnionej we Włoszech.

Przez dziewiętnaście lat, od roku 1971 do 1989, bankiem watykańskim kierował człowiek godny tego, by stać się legendą (właściwie już to nastąpiło), z powodu swoich niezwykłych umiejętności lawirowania, siły fizycznej, energii i pomysłowości (według niektórych także naiwności), którymi się wykazał, jak i z powodu licznych popełnionych błędów: monsignor Paul Marcinkus. Ściśle mówiąc, był również kapłanem, pasterzem dusz, jednak biorąc pod uwagę całą jego działalność, to raczej drugorzędny szczegół. Marcinkus urodził się w Cicero, peryferyjnej dzielnicy Chicago, w 1922 roku, a zmarł w Sun City w roku 2006.

Rodzina była dość przeciętna, lecz chłopiec był zdolny, uczył się w szkołach katolickich i w latach pięćdziesiątych przeniósł się do Rzymu, by studiować na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim. Współpracował z biskupem Giovannim Battistą Montinim, który w 1963 roku został papieżem, przyjmując imię Pawła VI.

Według *O.P.*, osławionej publikacji Mina Pecorellego (zamordowanego w 1979 roku), nazwisko Marcinkusa znajduje się na liście około stu księży należących do masonerii, obok wielu innych hierarchów zajmujących najwyższe stanowiska w Watykanie. Jego kariera w watykańskich murach przebiegała bardzo szybko, także dlatego, że w 1970 roku stał się bohaterem. W Manili na Filipinach udało mu się udaremnić cios noża, z którym pewien szaleniec rzucił się na Pawła VI. Rok później został prezesem IOR. Pisząc i czytając o tym wszystkim po wielu latach, można się przekonać, jakimi wstrząsami, niejasnymi zdarzeniami, czynami ciemnych typów, ogromnymi oszustwami i przelewem krwi były naznaczone ostatnie dziesięciolecia XX wieku. W oszustwa, a może nawet w przelew krwi, Marcinkus i bank watykański byli zamieszani.

Opowiadanie historii tego banku i monsignora Marcinkusa oznacza w istocie mówienie bez ogródek, na ile tylko to możliwe, o innych bohaterach owych zdarzeń, którymi są: Roberto Calvi, powieszony pod jednym z londyńskich mostów w 1982 roku, Michele Sindona, otruty w więzieniu w 1986 roku, wszechobecny Licio Gelli, szef wywrotowej loży paramasońskiej zwanej Propaganda Due (w skrócie P2). A także Graziella Corrocher, sekretarka Calviego, która wypadła przez okno dzień przed zamordowaniem jej szefa.

Według obliczeń dokonanych przez matematyka Piergiorgia Odifreddiego Włochy co roku wypłacają Stolicy Apostolskiej 9 miliardów euro w bezpośrednich subwencjach, do których trzeba dodać 6 miliardów z różnych ulg podatkowych. Nie można jednak dokonać dokładnych wyliczeń, gdyż watykańskie bilanse, niekompletne lub skrótowe, nie pozwalają na skrupulatne analizy, choć ostatnio sytuacja nieco się polepszyła. Od 2008 roku, z woli Benedykta XVI, kardynałowie i biskupi otrzymują sprawozdanie finansowe. Jego wydrukowanie w kilku tysiącach egzemplarzy w praktyce oznacza upublicznienie.

Z finansowego punktu widzenia śmierć Jana XXIII w czerwcu 1963 roku była dla Kościoła prawdziwą katastrofą. Ogromna popularność, jaką cieszył się papież, pomnożyła ofiary wiernych; gdy zmarł, źródło dochodów mocno wyschło. Ponadto pod koniec lat sześćdziesiątych włoski rząd nakazał, po dziesięcioleciach całkowitej egzempcji, opodatkowanie dywidend z akcji Stolicy Apostolskiej. Był to podwójny cios, któremu Giovanni Battista Montini, Paweł VI, następca Jana XXIII, musiał jakoś zaradzić. Delikatne zadanie przeniesienia za granicę znacznych pakietów akcji należących do Watykanu, aby uniknąć zapłacenia od nich podatku, zostało powierzone Marcinkusowi i zdolnemu sycylijskiemu biznesmenowi, który miał odpowiednie znajomości i kompetencje: był nim Sycylijczyk z Patti Michele Sindona.

Niestety w obrębie murów leoniańskich nie wzięto pod uwagę, że Sindona, jakkolwiek kompetentny, obracał pieniędzmi mafii, miał powiązania z ważnymi „rodzinami” włosko-amerykańskimi i był doradcą niektórych najbardziej krwawych szefów zorganizowanej przestępczości. Z drugiej strony, moment był krytyczny, a Kościołowi „nie przewodzi się za pomocą zdrowasiek”, jak często powtarzał Marcinkus. Otrzymawszy zadanie, Michele Sindona wykonał je po swojemu, organizując jedną z najbardziej spektakularnych akcji wyprowadzenia kapitału w historii finansów Włoch. Miejsce docelowe: Szwajcaria. Ponieważ funkcjonowanie ugrupowań politycznych także jest bardzo kosztowne, po drodze do banków szwajcarskich kilka milionów dolarów odprowadzono do kas ważniejszych partii. Zwłaszcza na konta Demokracji Chrześcijańskiej, tym bardziej że trzeba było sfinansować kampanię przeciwko wprowadzeniu prawa rozwodowego, w którą Kościół mocno się angażował.

To finansowe imperium, po części realne, a po części wirtualne, zbudowane przez Sindonę po obydwu stronach Atlantyku, zaczęło się rozpadać pod koniec 1974 roku z powodu całej serii zdarzeń, takich jak napięcia na Bliskim Wschodzie, trudna sytuacja międzynarodowa, cena ropy. Gdy Prywatny Bank Włoski sycylijskiego finansisty miał zostać zamknięty, Narodowy Bank Włoch powierzył przeprowadzenie tej operacji adwokatowi Gorgiowi Ambrosolemu, jednemu z niewielu bohaterów

życia publicznego w chorych wtedy Włoszech. Wywierano na niego ogromną presję, bo chciano, aby zatwierdził dokumenty wykazujące, że Sindona działał w dobrej wierze. Gra toczyła się o wielką stawkę – Sindonę chronił potężny człowiek z rządu, Giulio Andreotti, który określił go mianem „wybawcy lira”. Gdyby Ambrosoli ugiął się pod wpływem nacisków, Sindona uniknęłaby wszelkich konsekwencji, a Narodowy Bank Włoch musiałby spłacić długi.

Choć wiedział, że wiele ryzykuje, Ambrosoli nie ugiął się ani pod wpływem pochlebstw, ani gróźb. W jednym z listów do żony pisał: „Nie ma wątpliwości, że tak czy inaczej zapłacę ogromną cenę za wykonanie tego zadania: wiedziałem o tym, zanim się do tego zobowiązałem, dlatego też nie narzekam, gdyż otrzymałem wyjątkową możliwość zrobienia czegoś dla kraju”. Był to jego duchowy testament. Jego sprawozdanie mówiło, że Prywatny Bank Włoski powinien zostać zamknięty, a odpowiedzialny za jego bankructwo jest Sindona. Z polecenia sycylijskiego finansisty Ambrosoli został zabity 11 lipca 1979 roku przez Williama Aricò, płatnego mordercę najętego w Stanach Zjednoczonych za 115 tysięcy dolarów, które przelano na jego szwajcarskie konto. W pogrzebie Ambrosolego brali udział najwyżsi przedstawiciele Narodowego Banku Włoch, lecz nie było nikogo z władz państwowych.

W 1976 roku, gdy banki Sindony upadały, Licio Gelli, szef P2, zaproponował wprost Andreottiemu, ówczesnemu ministrowi obrony narodowej, projekt uratowania sycylijskiego finansisty. Minister plan zaakceptował i zapewne udałoby mu się go zrealizować, gdyby nie sprzeciwił się temu uczciwy urzędnik państwowy, minister skarbu Ugo La Malfa. Wypadki potoczyły się więc inaczej. Jeżeli chodzi o Sindonę, to zostanie on otruty kawą z cyjankiem w więzieniu w Voghera.

Oto dramatyczne tło. Wróćmy teraz do spraw dotyczących arcybiskupa Marcinkusa, który w 1971 roku został prezesem IOR. Kilka miesięcy później Sindona przedstawił mu Roberta Calviego, również bankiera. Odtąd Calvi robił błyskawiczną karierę. Mając dwadzieścia sześć lat, w 1947 roku został pracownikiem ściśle związanego z IOR Banco Ambrosiano. W roku 1971 został jego dyrektorem generalnym, a w 1975 prezesem. Miał wielkie ambicje, jak wiele innych osób w tej historii: chciał

powiększyć bank i wprowadzić go na arenę wielkich międzynarodowych finansów. Zapisał się do P2, nawiązał podejrzane kontakty ze światem mafii i wraz z IOR tworzył stowarzyszenia będące podatkowym rajem. W 1977 roku Sindona, będąc w poważnych tarapatach, prosił go o pomoc, jednak Calvi nie mógł (albo nie chciał) mu pomóc: jego pozycja nie była stabilna, ponadto uważał, że roztropniej będzie odsunąć się od współnika, który stał się niebezpieczny.

Sindona nie zwlekał z zemstą: 13 listopada 1977 roku w Mediolanie oskarżono Banco Ambrosiano o wielokrotne poważne naruszenia prawa. Potwierdziła to inspekcja z Narodowego Banku Włoch w kwietniu 1978 roku. Całą dokumentację powierzono sędziemu Emiliowi Alessandriniemu, który kilka miesięcy później (w styczniu 1979) został zamordowany przez terrorystów z grupy Pierwszy Szereg³⁷). Przebieg zdarzeń w każdym szczególe pokazuje niespokojne Włochy, kraj, w którym cały czas popełniano przestępstwa mafijne i polityczne, jak w najgorszych okresach jego burzliwej historii. Instytucja mająca zajmować się „działami religijnymi” miała wszelkie powody, by oddalić się – i to szybko – od pewnych osób. Przeważały jednak względy polityczne, zawsze kosztowne, naglące i nade wszystko skupione na tym, co na ziemi.

W tej szajce oszustów i zbrodniarzy Roberto Calvi był szczególną postacią. Cechowały go wielka łatwość w obracaniu pieniędzmi i niezwykła wprost naiwność. W październiku 2005 roku, dwadzieścia trzy lata po jego śmierci, wszczęto proces przeciwko jego domniemanym zabójcom. W 2007 roku zapadł wyrok uniewinniający z powodu braku dowodów – dokładnie tak by powiedziano dawniej. Dla nas interesujące są dokumenty, które ujawniono bezpośrednio przed i w czasie postępowania. 30 maja 1982 roku, gdy pozostało mu zaledwie kilka tygodni życia, Calvi wysłał list do kardynała Palazziniego, uważanego za człowieka Opus Dei w Watykanie, w którym pisał:

Eminencjo (...) moralna i ekonomiczna wiarygodność Watykanu jest już poważnie nadwerężona, dlaczego nikt nie reaguje? (...) wewnątrz Watykanu istnieje spisek, który w połączeniu z siłami laickimi i antyklerykalnymi, włoskimi i międzynarodowymi, pragnie zmienić obecną równowagę sił w obrębie samego Kościoła. To, że są weń zamieszani kardynał Casaroli i monsignor Silvestrini, jest rzeczą pewną i potwierdzoną, między innymi przez serię łapówek wręczanych za pośrednictwem Sindony. Jeżeli Wasza

Eminencja pragnie, ja także mogę wskazać okoliczności, w których łapówki te były wręczane, mogę podać wysokość sum i numery kont bankowych! Cóż jednak zamierzają oni osiągnąć? Poza tym liczne wpłaty i łapówki Banco Ambrosiano na rzecz partii i polityków były ich dziełem. I oni wiedzą, że ja wiem (...).

List wydaje się szantażem, jednak zdradza stan duszy strapionej, a jak wiadomo, prawdziwego szantażystę cechuje postawa całkowicie niewzruszona. Nie należy się dziwić, że list ten pozostał bez odpowiedzi. Wtedy to bankier, już naprawdę zrozpaczony, wyciągnął ostatnią kartę i zwrócił się wprost do papieża. Kopię tego listu odnalazł syn Calviego w osobistym archiwum ojca i dał Ferrucciowi Pinottiemu, dziennikarzowi badającemu tę sprawę. Czytamy w nim:

Wasza Świątobliwość,

na mnie spadł cały ciężar błędów i win popełnionych przez obecnych i poprzednich reprezentantów IOR, włączając w to haniebne czyny Sindony (...) to ja, na wyraźne polecenie oficjalnych przedstawicieli Waszej Świątobliwości, przekazałem znaczne sumy pieniężne do innych krajów oraz stowarzyszeń polityczno-religijnych na Wschodzie i Zachodzie; to ja, w porozumieniu z władzami Watykanu, koordynowałem w całej Ameryce Środkowej i Południowej tworzenie licznych jednostek bankowych głównie w celu przeciwstawienia się penetracji i rozprzestrzenianiu się ideologii marksistowskich. Dzisiaj zostałem zdradzony i opuszczony przez te same władze.

Potem zaś pisze o człowieku, którego uważał za swego wroga, kardynale Casarolim:

Nie mam zamiaru powtarzać plotek, jakie krążą o niektórych wysoko postawionych prałatach, a w szczególności o życiu prywatnym sekretarza stanu kardynała Casarolego (...) pragnę bowiem nade wszystko zwrócić uwagę Waszej Świątobliwości na ścisły związek, jaki łączy kardynała ze środowiskami i osobowościami notorycznie antyklerykalnymi, komunistycznymi i popierającymi komunistów, na przykład z chadeckim ministrem Ninem Andreattą, z którym, jak się zdaje, doszedł do porozumienia co do tego, jak zniszczyć i rozbić grupę Ambrosiano.

Calvi próbował wykorzystać jedyną broń, jaką dysponował: prosił o ochronę, o gwarancje, starał się wykorzystać podziały w obrębie Kurii, groził, że w przeciwnym razie opowie wszystko sądom. Ogromny dług oddziałów zagranicznych zależnych od Banco Ambrosiano, w wysokości miliarda dwustu milionów dolarów, w rzeczywistości był długiem banku watykańskiego i Calvi, w swojej naiwności i rozpaczce, prosił o ratunek i pomoc właśnie Watykan. Zapomniał o tym, że istnieją szybkie i proste metody, by każdemu zamknąć usta.

List do papieża został napisany 5 czerwca 1982 roku, 18 czerwca zaś znaleziono

Calviego powieszzonego pod mostem Blackfriars w Londynie. Podczas procesu w 2005 roku prokurator utrzymywał, że

oskarżeni, odwołując się do organizacji mafijnych znanych jako Cosa nostra i Camorra, doprowadzili do śmierci Calviego, karząc go za to, że przywłaszczył sobie znaczne sumy pieniędzy należące do tych właśnie organizacji. Nie zostali oni ukarani, otrzymali i zachowali zyski z przestępstw związanych z wprowadzeniem do legalnego obrotu pieniędzy z nielegalnych dochodów. Uniemożliwiono Calviemu szantażowanie instytucji politycznych masonerii, Loży P2 i IOR, wraz z którymi dokonywał on inwestycji i operacji finansowych znacznymi sumami pieniędzy.

Według Ferruccio Pinottiego (w książce *Poteri forti*) Calvi zdołał wywalczyć dla Banco Ambrosiano niezależność finansową, jego działania sprawiły jednak, że można go było szantażować, i dlatego musiał wypłacać duże sumy pieniędzy stowarzyszeniom powiązanim z IOR. Gdy zaczęły się piętzyć trudności, starał się odzyskać pieniądze pożyczone bankowi watykańskiemu. Nie udało mu się to, bo pieniędzy tych już nie było – zostały wykorzystane dla wsparcia grup religijnych i politycznych bliskich Stolicy Apostolskiej, głównie w Polsce. Calvi zresztą doskonale o tym wiedział i wielokrotnie się chwalił, że wspomógł papieża w działaniach na rzecz „Solidarności”.

6 sierpnia 1978 roku zmarł papież Montini. Chronił on Marcinkusa, Sindonę i Calviego, którzy po jego śmierci stracili punkt oparcia. Paweł VI zdążył jeszcze z bólem serca śledzić udrękę i śmierć Alda Moro, na próżno starając się zapobiec tragedii. Przeszedł do historii także z innych względów, na przykład z powodu kontrowersyjnej encykliki *Humanae vitae* (lipiec 1968), w której zabronił używania podczas stosunku seksualnego jakichkolwiek środków antykoncepcyjnych.

Jego następca Albino Luciani, który przyjął imię Jana Pawła I, sprawował jeden z krótszych pontyfikatów w historii Kościoła: trzydzieści trzy dni (26 sierpnia–28 września 1978). Oficjalnie podaje się, że zmarł on nagle na zawał serca. Na świecie wysuwano jednak inne, bardziej złowrogie hipotezy, o czym pisałem w rozdziale *Kościół pozbawiony głosu*. Angielski pisarz John Cornwell, pomimo swego sceptycyzmu odnośnie do hipotezy o zabójstwie, pisał, że watykańska Kuria była

bardzo zaniepokojona perspektywami kreślonymi przez nowego papieża, uważanego za naiwnego i niebezpiecznego marzyciela. Luciani chciał rozdać dobra Kościoła, nade wszystko zaś pragnął całkowicie zmienić strukturę i funkcjonowanie IOR. Na sekcję zwłok zmarłego papieża, której wielu się domagało, roztropnie nie pozwolono.

W ogóle na skutek przedziwnego splotu okoliczności wiele osób związanych z IOR nagle zmarło lub zostało zamordowanych. Dzieje tego banku to nieustanne ryzyko, podejrzane kontakty, finanse niewiadomego pochodzenia, włącznie z kapitałami powiązаныmi z sycylijską mafią. Tak przynajmniej oświadczyli niektórzy spośród skruszonych, do których należą Francesco Saverio Mannoia i Vincenzo Calcara. Pierwszy podczas wideokonferencji z Nowego Jorku oświadczył, że okrutna grupa z Corleone zainwestowała część swoich pieniędzy w bank Watykanu. Drugi utrzymywał, że przewiózł samolotem dwie walizki pełne pieniędzy z Palermo do Rzymu, gdzie czekał na niego samochód, w którym zasiadał monsignor Marcinkus. Do deklaracji tych świadków trzeba podchodzić ostrożnie, także dlatego, że brak na ich poparcie obiektywnych dowodów. Sędzia Giovanni Falcone powiedział jednak, że uważa Mannoię za jednego z bardziej wiarygodnych współpracowników wymiaru sprawiedliwości.

Gdy doszło do krachu banków powiązanych z IOR, Marcinkus natychmiast oświadczył, że Watykan nie poniósł absolutnie żadnych strat. Tak jednak nie było. Minister skarbu Beniamino Andreatta (z Chrześcijańskiej Demokracji) obliczył, że z powodu upadku Banco Ambrosiano Stolica Apostolska straciła ponad miliard dolarów, i oświadczył: „Rząd oczekuje, że IOR poczuje się do odpowiedzialności, gdyż w niektórych operacjach Banco Ambrosiano brał udział jako współnik”. Wiele gazet na całym świecie opublikowało artykuły o krzykliwych nagłówkach, gdy tymczasem Watykan, jak zawsze w momentach kryzysowych, zamknął się w nieprzeniknionym milczeniu. Nikt nie oświadczył, że wiedział o machlojkach, których Sindona dokonywał z mafią, o powiązaniach Calviego i Marcinkusa, o ziejącej pustce na rachunkach, o niewłaściwym użytkowaniu pieniędzy, które według statutu powinny być wykorzystywane na rzecz „dział religijnych”.

W 1978 roku na Piotrowy tron wstąpił pięćdziesięcioośmioletni Jan Paweł II (urodził się w Wadowicach na południu Polski w maju 1920 roku). Był człowiekiem niezwykle energicznym, także pod względem fizycznym, co udowodnił w czasie swoich licznych i męczących podróży. Przede wszystkim zaś był to człowiek, który za swoją misję uważał wyzwolenie kraju spod sowieckiego jarzma. Było to zadanie ogromne, które wymagało determinacji, politycznej przebiegłości, sprzymierzeńców. A także dużo pieniędzy. Nawet jeżeli reputacja Marcinkusa ucierpiała z powodu skandali, papież uważał go za pomocnika niezbędnego w realizacji swego projektu. Według Davida Yallopa Watykanowi udało się przekazać polskiej „Solidarności”, która poprzez masowe strajki podważyła władzę sowiecką nie tylko w Polsce, sumę około 100 milionów dolarów.

Gdy w maju 1982 roku Narodowy Bank Włoch doniósł o długach Banco Ambrosiano w wysokości miliarda dolarów, Calvi uciekł do Londynu, myśląc, że dzięki temu się uratuje i uniknie zarzutów i zemsty, o co nietrudno, gdy się operuje pieniędzmi mafii. Być może otrzymał zapewnienie, że tam będzie bezpieczny, w każdym razie zupełnie się nie spodziewał, że wpadnie w pułapkę. Spotkała go okrutna śmierć. Jeszcze rok przed krachem miał możliwość uzyskania kredytów. Po części dlatego, że miał iście magiczne zdolności (takich „czarodziejów” nie brak w dziejach finansów: od Johna Lawa, który w XVIII wymyślił „pieniądz zaufania”³⁸, po Bernarda Madoffa, oszusta operującego nieistniejącymi pieniędzmi), po części dlatego, że wszyscy wiedzieli o jego bliskich związkach z bankiem watykańskim.

Po śmierci Calviego około stu wierzycieli zjednoczyło się i utworzyło komitet, który starał się odzyskać pieniądze. W Watykanie odbywały się kolejne pełne emocji spotkania. Marcinkus, który utracił większość swej władzy, twierdził, że Calvi nigdy nie realizował swoich planów, wykorzystując w tym celu nazwę IOR. Tym sposobem starał się rozpędzić zbierające się nad nim ciemne chmury, wszyscy jednak wiedzieli, że to nieprawda.

Sekretarzem stanu w owym czasie był kardynał Agostino Casaroli, człowiek o

niezwykłym talencie strategicznym, który doskonale znając prawdę, a więc i rozmiary krachu, obrał inną linię postępowania. Podczas jednego ze spotkań zasugerował rozwiązanie najbardziej sensowne, tak zrelacjonowane w protokole (dokument ten w całości jest przytoczony w książce Gianluigiego Nuzziego *Vaticano S.p.A. – „Watykan SA”*):

Jego Eminencja kardynał sekretarz stanu zauważył, że głównym celem jest ocalenie wizerunku Stolicy Apostolskiej, i wyraził opinię, że przede wszystkim trzeba potraktować ów spór po przyjacielsku.

Marcinkus był temu przeciwny i starając się ocalić bank i samego siebie, z mocą podkreślał: „Skoro jesteśmy niewinni, nie powinniśmy płacić”. Według angielskiego ekonomisty i dziennikarza Charlesa Rawa, który zbadał całą sprawę (*The Moneychangers: How the Vatican Bank Enabled Roberto Calvi to Steal 250 Million Dollars for the Heads of the P2 Masonic Lodge*), finansowa nonszalancja energicznego arcybiskupa kosztowała Stolicę Apostolską mniej więcej pół miliarda dolarów. „Nie chcę przez to powiedzieć, że Marcinkus osobiście zarobił taką właśnie sumę pieniędzy. Najwięcej zyskali na tym zwierzchnicy Łoży P2, Licio Gelli i Umberto Ortolani” – pisał Raw.

Wysokość długu IOR została ostatecznie określona w maju 1984 roku. Bank watykański był winien Banco Ambrosiano ponad 400 miliardów lirów. Grupa banków, które udzieliły pożyczek, wywierała naciski, skandal był ogromny, dług miał zostać szybko spłacony i na możliwie najlepszych warunkach. Bank watykański oficjalnie ogłosił, że nie ma nic wspólnego z całą tą sprawą, twierdząc jednak zarazem, że jest gotów przelać „dobrowolną wpłatę” w wysokości 240 milionów dolarów. De facto było to pośrednie przyznanie się do współudziału: jeżeli IOR naprawdę nie miał nic wspólnego z krachem, najlepiej byłoby przyłączyć się do innych banków zjednoczonych w grupie wierzycieli. W protokole porozumienia czytamy, że owa suma ma być wypłacona „wyłącznie z powodu szczególnej pozycji IOR” oraz „w duchu wzajemnego pojednania i współpracy”.

4 czerwca dziennik Stolicy Apostolskiej „L'Osservatore Romano” podkreślał, że tym posunięciem zamierza „ułatwić globalne rozwiązanie w celu umocnienia relacji na forum międzynarodowym”. Z punktu widzenia czysto finansowego 240 milionów

dolarów to doskonały interes w stosunku do wysokości realnego długu. Marcinkus musiał złożyć rezygnację, a trzy lata później, w lutym 1987 roku, mediolański sąd wydał nakaz jego aresztowania. Nakaz ten był bezużyteczny z punktu widzenia prawa, gdyż dotyczył osoby objętej immunitetem i niepodlegającej we Włoszech postępowaniu karnemu. Jednak z tego powodu Marcinkus nie mógł pozostać na szczycie IOR, choć Watykan, z tradycyjną powolnością i roztropnością, poczekał jeszcze dwa lata, zanim zwolnił go ze stanowiska. Sam Jan Paweł II pożegnał go w marcu 1989 roku, ogłaszając rzecz w „L'Osservatore Romano”.

Powściągliwy i gorzki był komentarz arcybiskupa: „W sprawie dotyczącej Calviego zawsze będę wspomniany jako ten, który odegrał rolę czarnego charakteru”. W każdym razie Marcinkus pozostał w Watykanie do końca 1997 roku, a wtedy, ukończywszy siedemdziesiąt pięć lat, czyli osiągnąwszy wiek emerytalny, złożył rezygnację ze wszystkich obowiązków i wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie objął skromne stanowisko zastępcy proboszcza w kościele św. Klemensa w Sun City w Arizonie.

Cyniczny? Naiwny? Przewrotny? Osądy, podejrzenia i zarzuty pod adresem Marcinkusa były liczne, jednak nigdy nie zyskały ostatecznej formy. Aby właściwie ocenić jego postępowanie, trzeba by znać wiele posunięć, które pozostają tajemnicą, a jeżeli kiedykolwiek zostaną ujawnione, to pewnie dopiero za kilka stuleci. W 1989 roku upadł berliński mur; w 1991 roku w Moskwie z wież Kremla zdjęto flagę Związku Radzieckiego. To wydarzenia zamykające straszną historię XX wieku z jego wojnami i okrucieństwami. Bez przesady można powiedzieć, że na ich rozwój miał wpływ – i to bynajmniej nie drugorzędny – także pieniądz, brudny i czysty, a Marcinkus potrafił go zebrać i przekazać tym, którzy do takiego właśnie zakończenia tego stulecia przyłożyli ręki.

Po wyjeździe Marcinkusa w Watykanie pozostał człowiek, który go naśladował, a w końcu nawet przerósł. To Donato De Bonis, kapłan z południa Włoch, urodzony w 1930 roku w ubogiej rodzinie w Pietragalla w Bazylikacie. Choć Marcinkus był jego

mistrzem, De Bonis okazał się o wiele bardziej cyniczny i bardziej obrotny od niego. Wymyślił coś w rodzaju tajnego IOR, do którego tylko on posiadał klucze, prawdziwy raj podatkowy w samym sercu Rzymu, w którym można do woli manipulować miliardami, zyskiwać na lokatach sumy, o jakich nie mógłby marzyć żaden bank europejski, przede wszystkim dzięki przywilejom podatkowym Stolicy Apostolskiej.

Szczególnie bogate konto założono tam na przykład na nazwisko kardynała Francisa Spellmana (1889–1967). To osoba bardzo znacząca, gdyż potężny arcybiskup Nowego Jorku był zagorzałym antykomunistą i żarliwym obrońcą interesów finansowych Kościoła. Miał tak silne poczucie misji, że polemizował z Eleanor Roosevelt, a nawet z samym Johnem Kennedym, gdy tylko widział, że podaje się w wątpliwość celowość federalnych dotacji dla szkół katolickich. Był tak zapalczywy pod tym względem, że w czasie wyborów w 1960 roku nie głosował na katolickiego kandydata, jakim był John Kennedy, lecz na jego przeciwnika Richarda Nixona, który zdawał się bardziej konkretnie popierać Kościół. Waleczny kardynał nie ukrywał swego poparcia dla (wyraźnie sprzecznej z konstytucją) kampanii senatora Josepha McCarthy'ego przeciw działalności antyamerykańskiej czy też swej sympatii dla dyktatorów, na przykład nikaraguańskiego Anastasia Somozy.

Wybór jego nazwiska dla tajnego konta w Watykanie należy więc umieścić przede wszystkim w schemacie psychologicznym, a dopiero potem politycznym, to kwestia tego, co można by nazwać ideałami, choć bardziej właściwym określeniem byłoby „powinowactwo”. Zresztą to właśnie Spellman bezpośrednio po wojnie przewoził ze Stanów Zjednoczonych tajne fundusze, by finansować we Włoszech Chrześcijańską Demokrację.

Według rekonstrukcji faktów dokonanej przez Nuzziego w *Vaticano S.p.A.* na konto „Fundacji kardynała Francisa Spellmana” jedynie w ciągu pięciu lat (1987–1992) przelano, w postaci pieniędzy i papierów wartościowych, nie mniej jak 26 miliardów lirów. Niewielką część tego bogactwa przeznaczono na dotowanie klasztorów, kapłanów, sióstr, zakonów, sierocińców. Większość natomiast znalazła przeznaczenie bardziej światowe i niemal zawsze dwuznaczne. Doszło nawet do

tego, że w sierpniu 1992 roku nowy prezes IOR Angelo Caloia, zaalarmowany przepływem pieniędzy, co do których podejrzewał, że są brudne, powiadomił Jana Pawła II. Uważał bowiem, całkiem słusznie, że setki miliardów ukrywanych pod zasłoną dzieł miłosierdzia wiążą się z operacjami nielegalnymi. Szczególnie cynicznym aspektem sprawy było to, że nazwy przedsięwzięć służących za przykrywkę dla prania brudnych pieniędzy, a nastawionych tylko na zysk, wskazywały na biedne dzieci, służebnice Bożej Opatrzności, msze w intencji zmarłych czy figury świętych.

To było jednak jedynie preludium do tego, co niebawem nastąpiło, gdy przez IOR przeszła większa część tak zwanej „megałapówki Enimont”, znanej także pod nazwą parafrazującą wyrażenie przypisywane Saddamowi Husajnowi: „matka wszystkich łapówek”. Aby zrozumieć, o co chodzi, trzeba cofnąć się do 1989 roku, czyli do narodzin Enimont, giganta przemysłu chemicznego, którego 80 procent akcji było po równo rozdzielonych między dwie spółki: państwową Eni i prywatną Montedison, należąca do rodziny Ferruzzich z Rawenny.

Z tego związku powstała jedna z największych grup przemysłu chemicznego na świecie. Dysponentem prywatnej części całej kwoty był Raul Gardini, zwany „Korsarzem”, podejrzany inwestor-ryzykant, wizjoner snujący wielkie plany i szwagier Serafina Ferruzziego. Gardini, zgodnie ze swoim charakterem, nie zadowolili się połową sumy, pragnął mieć wszystko, zaczął więc zdobywać władzę wewnątrz grupy. Wtedy prezes firmy Eni Gabriele Cagliari zdecydował się zerwać spółkę z „Korsarzem”. Zaledwie półtora roku od narodzin marzenie o liczącej się na świecie włoskiej grupie z branży chemicznej legło w gruzach. Gardiniemu dano do wyboru: albo kupuje wszystko, albo wypada z gry. Wybrał drugą opcję i sprzedał Eni swoje udziały za sumę 2800 miliardów lirów (ponad 1,5 miliarda euro).

Historia zaczęła się gmatwać między innymi dlatego, że suma ta była wyraźnie za duża. Wszystko stało się jeszcze bardziej dwuznaczne, gdy okazało się, że aby uzyskać zgodę stron zainteresowanych transakcją (a było ich wiele), trzeba było

przekazać pod stołem znaczne kwoty partiom, figurantom, kombinatorom, pośrednikom, opiewające na sumę od 130 do 170 miliardów (dokładnie nigdy nie udało się ustalić). Tak czy inaczej, większa część tych pieniędzy, około 100 miliardów, przeszła przez IOR, zanim została przelana na różne konta na całym świecie, poczynając od Szwajcarii. Obydwaj bohaterowie całej sprawy, Raul Gardini i Gabriele Cagliari, popełnili samobójstwo, przedłużając tym samym łańcuch tragicznych śmierci, co zdaje się być przekleństwem tych, którzy na swojej życiowej drodze napotykają IOR.

Prawdziwym animatorem i dystrybutorem megalapówki był jednak monsignor De Bonis. W książce *Patria 1978–2000* Enrico Deaglio opisuje scenę, do której doszło 27 kwietnia 1993 roku, a która dobrze oddaje atmosferę otaczającą owego monsignora o dość swobodnym sposobie bycia. Znajdujemy się

w rzymskim kościele Santa Maria della Fiducia, w obecności ponad tysiąca osób, pośród których jest piętnastu kardynałów, czterdziestu biskupów, były minister Colombo, były prezydent Cossiga. Odbywa się konsekracja biskupa Donata De Bonisa, niegdyś prawej ręki arcybiskupa Paula Marcinkusa, byłego sekretarza generalnego IOR, banku Watykanu. Konsekrowany podchodzi do ołtarza i mówi: „Pragnę podziękować prezydentowi Andreottiemu za jego rady, które nas ocaliły. Pośród nocnych ciemności, w naszych gabinetach, dzięki swoim radom wy dobył nas z wielkiej opresji”. W wypełnionym kościele rozbrzmiewają gromkie oklaski, które trwają przez kilka minut.

Bez najmniejszego zażenowania De Bonis podziękował Andreottiemu za pomoc okazaną podczas skandalu z Banco Ambrosiano. Warto wspomnieć, że monsignore, na wypadek swej śmierci, właśnie Andreottiego wyznaczył na spadkobiercę „Fundacji Spellmana”.

W tej historii, godnej powieści kryminalnej, pojawia się jeszcze jedna postać, co prawda drugoplanowa, lecz barwna: Luigi Bisignani. Wcześniej pracował jako dziennikarz w pewnej agencji prasowej, potem zaś został szefem firmy z częściowym udziałem państwa i szybko uczył się obracać swoimi i cudzymi pieniędzmi. Zapisał się do P2 (legitymacja nr 1689), co, jak się zdaje, musiał w owych latach uczynić każdy kombinator, i w banku watykańskim zarządzanym przez De Bonisa znalazł odpowiednie miejsce dla własnych finansowych machinacji. Krótko mówiąc: także on stał się jednym z animatorów tego, co potem nazwano „Tangentopoli”³⁹, płacąc

trzema latami i czterema miesiącami więzienia za błędy, jak zobaczymy, nie tylko własne.

Na początku 1993 roku prokuratura w Rzymie i Mediolanie wszczęła śledztwo w sprawie megalapówki. Trzeba pamiętać, jaki klimat panował wtedy we Włoszech. Postępowanie śledczych naród obserwował z niemal obsesyjnym zainteresowaniem; mediolańscy prokuratorzy byli uważani za mścicieli wszelkiej niesprawiedliwości, oklaskiwano ich na ulicach, zachęcano do kontynuowania zaczętej pracy. Wobec tej potężnej, lecz i niebezpiecznej fali powszechnego zaufania postać De Bonisa stała się tak wstydliva, że Watykan musiał go usunąć z banku i przenieść na inne, mniej eksponowane stanowisko. Został asystentem duchowym Kawalerów Maltańskich, starego bractwa rycerskiego powstałego w XI wieku w celu opieki nad pielgrzymami w Ziemi Świętej, współcześnie angażującego się głównie w pomoc medyczno-społeczną i inne akcje humanitarne. Mimo że nowe stanowisko zdawało się o wiele mniej prestiżowe od poprzedniego, zdolny monsignore jeszcze długo sterował tajnymi operacjami IOR.

Śledczym, dzięki pewnym zeznaniom, udało się zrekonstruować drogę, jaką przebyły pieniądze związane z megalapówką: było już oczywiste, że na końcu tej drogi znajduje się bank watykański, który jednak na prośby sądu o wyjaśnienie ograniczył się do stwierdzenia, że prośba musi zostać skierowana kanałami oficjalnymi, czyli przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Bisignani, czując, co się święci, uznał, że czas zniknąć. Szybko zamknął konta, kilka walizek wypełnił pieniędzmi, które zdołał pobrać, i ukrył się. Tymczasem prezes banku watykańskiego Angelo Caloia, zaniepokojony ogromną liczbą nielegalnych operacji, otwarcie oskarżył De Bonisa o „świadomą działalność przestępczą”. W październiku napisał dramatyczny list do watykańskiego sekretarza stanu Angela Sodana. W dokumencie tym, cytowanym w książce Gianluigiego Nuzziego, można przeczytać między innymi, że kwoty przechodzące przez IOR

są skutkiem płacenia politykom za umożliwienie prania brudnych pieniędzy. To doskonale powtórzenie mechanizmów z przeszłości (...) nie można się oprzeć wrażeniu, że wszyscy znajdują się w pobliżu gotowego w każdej chwili eksplodować materiału wybuchowego o niesamowitej mocy, o którym koniecznie muszą się dowiedzieć najwyższe władze.

Sodano rzeczywiście poinformował Jana Pawła II, a gdy w listopadzie nadeszła oficjalna rekwizycja sądowa, zdania w Watykanie ponownie były podzielone. Niektórzy uważali, że nieuniknione jest wyjawienie niektórych spraw; inni zaznaczali, że – nawet idąc po tej linii – należy jak najmniej zdradzić, ograniczając się do przyznania do nielegalnego przepływu pieniędzy, czemu nie można zaprzeczyć, a milczeć na temat całej reszty. Przede wszystkim zaś należy bronić dobrego imienia De Bonisa, który, narażony na niebezpieczeństwo, mógłby wciągnąć sporą część hierarchii w bezprecedensowy skandal.

Wenezuelski kardynał José Rosalio Castillo Lara, minister skarbu oraz przewodniczący komisji mającej czuwać nad IOR, otrzymał zadanie bronienia reputacji Stolicy Apostolskiej. Miał do tego doskonałe predyspozycje. Wypytywany zapewniał, że Watykan współpracuje z władzami włoskimi i że IOR padł ofiarą manipulacji: „Watykan został użyty jako narzędzie do operacji, której celu nie znamy”.

Szczególnie podkreślał, że De Bonis bez wątplenia nie wiedział, iż sumy przechodzące przez jego ręce pochodzą z nielegalnych operacji. Przypominał jednak przy tym, że zgodnie z konkordatem De Bonis, zajmujący jedno z ważniejszych stanowisk w Watykanie, nie może być ścigany przez obcy kraj (to znaczy Włochy). Kozłem ofiarnym stał się Luigi Bisignani, na którego spadła większość odpowiedzialności. Kilka miesięcy później, wyszedłszy z ukrycia, Bisignani starał się uniknąć konsekwencji, mówiąc, że on także nie wiedział, iż pieniądze pochodziły z łapówek.

Jak potoczyły się sprawy z Enimont? Odpowiedź na pytania śledczych, przemyślnie zredagowaną, wysłano do prokuratury mediolańskiej po mniej więcej dwóch miesiącach, czyli w grudniu. Udało się sformułować ją w taki sposób, że obok przyznania się do pewnych spraw i zapewnienia o współpracy dawano do zrozumienia, że to już wszystko, co w danych okolicznościach można zrobić.

Według zeznania Carla Samy, innego krewnego Serafina Ferruzziego, suma, jaką

IOR zapłacił za „wypranie” łapówek, to 9 miliardów lirów. W maju 2009 roku dziennikarz „Corriere della Sera” Gian Antonio Stella przeprowadził wywiad z Samą i spytał go między innymi, dlaczego płacono partiom te łapówki. Jakby było to oczywiste, Sama odpowiedział: „Aby dalej kroczyć naszą drogą (...). Nie można było uniknąć łapówek”.

Proces dotyczący megalapówki Enimont zaczął się w lipcu 1994 roku. Na ławie oskarżonych zasiedli czołowi przedstawiciele elit politycznych kraju: Arnaldo Forlani i Bettino Craxi, Umberto Bossi i Gianni De Michelis, Giorgio La Malfa, Paolo Cirino Pomicino. W październiku 1995 roku prawie wszyscy zostali skazani i wyrok został zatwierdzony nawet przez sądy wyższych instancji.

Sprawa Tangentopolis, zwłaszcza proces, zamknęła epokę pierwszej republiki, która zakończyła się nie w sali parlamentu, lecz w sądzie. W 1994 roku w wyborach parlamentarnych wystartowała nowa partia; genialnie nazwano ją, nawiązując do okrzyku kibiców sportowych, Forza Italia! „Naprzód, Włochy!”. Przewodził jej przedsiębiorca zarówno kontrowersyjny, jak i dynamiczny, który obecnie znajduje się w nie najlepszej sytuacji: Silvio Berlusconi, także członek P2 (legitymacja nr 1816). W zaledwie kilka miesięcy, była to prawdziwie błyskawiczna akcja, struktura Publitalia, jednej z jego agencji reklamowych, została przemieniona w partię polityczną i przejęła władzę w kraju wyniszczonym przez bezprecedensowy kryzys, który podważył autorytet instytucji państwowych.

IOR zaś, odnowiony czy też nie, jeśli chodzi o metody działania i kierownictwo, zniknął ze sceny, na której był głównym bohaterem, czy to w związku z Banco Ambrosiano, czy też w powiązaniu z Montedison. Po tej górze pieniędzy właściwie nie został ślad. W każdym razie bank watykański nigdy nic nikomu nie zwrócił.

Na końcu tej opowieści powraca fundamentalna kwestia, o której mówił kardynał Ruini w cytowanej wcześniej rozmowie: „Trzeba łączyć absolutne wymogi moralne z historycznym realizmem: to wyzwanie odwieczne”.

W tym przypadku realizm historyczny zdecydowanie zwyciężył.

[37](#) Druga po Czerwonych Brygadach ważna lewicowa organizacja zbrojna; działała w latach 1976–1980 (przyj.

tłum.).

[38](#) John Law wymyślił papierowy pieniądz opierający się na zaufaniu, że ma zabezpieczenie w postaci kruszcu zdeponowanego w banku; pierwsze próby wprowadzenia banknotów we Francji i w Ameryce Północnej zakończyły się krachem finansowym (przyp. T.K.).

[39](#) Tangentopoli – od wł. *tangente* – łapówka, tak nazwano ogromny skandal łapówkowy, który objął szczyty włoskiej władzy w latach 1993–2000, w jego wyniku trwałemu przeobrażeniu uległa scena polityczna Włoch (przyp. tłum.).

12. Boska kaplica

Po wejściu do Kaplicy Sykstyńskiej człowiek jest olśniony. Nie jest to pusty frazes czy przesada, tylko zwyczajne stwierdzenie faktu. Ktokolwiek potrafi patrzeć, czuje się wprost przytłoczony tłumem stu pięćdziesięciu postaci, enigmatycznością niektórych scen, iluzją trzeciego wymiaru i ozdób architektonicznych, których w rzeczywistości tam nie ma, doskonałymi proporcjami o gigantycznej skali, organizacją ogromnej przestrzeni, boskim majestatem podwojonym i potrojonym, widocznym i ukrytym. Setki twarzy i sylwetek, odzianych i nagich, umieszczono na sklepieniu i ścianie ołtarzowej z Sądem Ostatecznym: niebo i ziemia przed oczyma widza. To oczywiste, że nic na świecie nie dorównuje temu arcydziełu, jednak wiedzieć, jak ono powstawało, jakie przyczyny, czasami przewrotne, złożyły się na zamówienie tego malowidła, w jaki sposób Michał Anioł je obmyślił i wykonał w iście tytanicznym wysiłku – jest konieczne, aby naprawdę zrozumieć, co ma się przed sobą.

Trzeba zacząć od murów. Kaplicę wzniesiono z woli Sykstusa IV (Francesco Della Rovere, 1471–1484) między 1475 i 1481 rokiem. Była to przestrzeń ogromna: 40 metrów długości, 13 metrów szerokości i prawie 21 metrów wysokości. Gdy tylko budowla została wykonana, papież zatrudnił świetnych artystów tokańskich i umbryjskich – w owej epoce najlepszych na świecie – aby ozdobili ściany freskami. Pracowali tam Botticelli i Ghirlandaio, Perugino i Pinturicchio, Luca Signorelli i Piero Di Cosimo, tworząc największy cykl malarski XV wieku. Ci wielcy mistrzowie namalowali w środkowej części ścian dwa cykle fresków. Patrząc na ścianę z Sądem Ostatecznym, po lewej stronie widzimy dzieje Mojżesza, a po prawej historię Jezusa aż do Ostatniej Wieczerzy.

Jeżeli chodzi o sklepienie, to według ówczesnej mody wymalowano na nim niebieskie niebo usiane złotymi gwiazdami.

Mniej więcej dwadzieścia lat później o tym sklepieniu zaczął myśleć papież Juliusz II (także z rodu Della Rovere, Sykstus IV był jego stryjem). Juliusz zapragnął

odnowić budowlę i uczynić ją jedyną w swoim rodzaju. Dla realizacji tego projektu wezwał Michała Anioła Buonarrotiego. Obaj mieli silne osobowości i relacje między nimi różnie się układały, czasami dochodziło do napięć i kłótni. Artysta zachowywał się wobec Juliusza II tak, jak niewielu mogłoby sobie pozwolić, zwłaszcza w stosunku do tego papieża. Mistrz niepokoił się o inne dzieło, które papież polecił wykonać mu wcześniej, a o którym nagle przestał mówić. Chodziło o wzniesienie w Bazylice św. Piotra monumentalnego grobowca ozdobionego ponad czterdziestoma posągami, a więc o projekt ogromny i absolutnie nowatorski, niezwykłą syntezę rzeźby i architektury, na którym Michałowi Aniołowi bardzo zależało.

Papież zmienił jednak zdanie. Zaabsorbowany budową nowej Bazyliki św. Piotra według projektu Donata Bramantego, nie myślał już o grobowcu, chciał jednak odnowić kaplicę papieża Sykstusa. Tak doszło do pierwszej kłótni Juliusza II i Michała Anioła. W 1508 roku artysta miał nieco ponad trzydzieści lat, był sławny bardziej jako rzeźbiarz (autor *Dawida* i *Piety*) niż jako malarz. Oliwy do ognia dolewał Bramante, który z różnych przyczyn, nie wyłączając osobistej rywalizacji, namawiał papieża do zaangażowania Michała Anioła. Sam Bramante popierał wielce obiecującego, lecz zaledwie dwudziestopięcioletniego Rafaela, który tak jak on pochodził z regionu Marche i był jego dalekim krewnym. Gdyby Michał Anioł odrzucił zlecenie dotyczące Kaplicy Sykstyńskiej, ponownie zirytowałby papieża, gdyby zaś je przyjął, to przy ogromie dzieła wynik z pewnością nie mógłby być zadowalający.

Prawdę mówiąc, początkowa koncepcja sklepienia nie była zbyt skomplikowana: mistrz miał namalować dwunastu apostołów w przestrzeniach pod fałszywymi kapitelami odgradzającymi poszczególne lunety z oknami. Michał Anioł przyjął zlecenie, postawił jednak warunek: namaluje tylko to, co sam uzna za stosowne, według własnego pomysłu. Dzisiaj pewnie trudno jest uzmysłwić sobie śmiałość tego żądania. Artysta odrzucał nakazy i reguły, prosił papieża, człowieka nieugiętego charakteru i dwa razy starszego, by w tym świętym miejscu mógł tworzyć z całkowitą swobodą i według własnego uznania. Poza tym nie chodziło mu tylko o przestrzenie

pod kapitelami, lecz o całe sklepienie, lunety i żagle, powierzchnię liczącą ponad pięćset metrów kwadratowych. Niewielu artystów potrafiłoby sprostać takiemu wyzwaniu. Prawdopodobnie tylko Ludwig van Beethoven wykazywał się podobnym uporem i zaufaniem do swoich zdolności i zazwyczaj wykonywał to, co dyktował mu własny geniusz. Lecz kompozytor ten tworzył w XIX wieku, a poza tym nie miał do czynienia z papieżem Della Rovere, twardym jak dąb widniejący w jego herbie. Jednak na to niewiarygodne żądanie papież udzielił równie niewiarygodnej odpowiedzi: Zgadzam się.

Przystąpiono więc do pracy. Sam mistrz zaprojektował specjalne rusztowanie, aby móc zbliżyć się na wyciągnięcie ręki do sklepienia i ściany. Zbudowano je najpierw od strony wejścia, a potem stopniowo przesuwano w kierunku ołtarza, zawsze jednak dbając o to, by pomimo prac można było odprawiać religijne obrzędy. Artysta nie miał wielkiego doświadczenia w wykonywaniu fresków, która to technika malarska – jak mówi sama nazwa⁴⁰ – polega na malowaniu na jeszcze mokrej zaprawie, tak że barwy wiążą się z podkładem i tworzą po wyschnięciu zwartą całość. Należy tu także uwzględnić nieuniknioną konfrontację dzieła Michała Anioła z już istniejącymi w kaplicy malowidłami, które wykonali najlepsi artyści poprzedniego stulecia. Mistrz poprosił więc swych pomocników, aby we Florencji zebrali niewielką grupę znawców, którzy mogliby go wspierać w pracy od strony technicznej. Powstał siedmioosobowy zespół asystentów-ochotników, niektórzy byli już sławni, inni mniej znani lub zupełnie anonimowi, wszyscy zaś młodzi, oddani i znali się na rzeczy.

Mimo to współpraca się nie układała. Powodów możemy się tylko domyślać, lecz nic konkretnego na ten temat nie wiadomo. W każdym razie pomocnicy, choć wartościowi, zostali odesłani do Florencji. Vasari pisze:

Lecz zobaczywszy ich prace, dalekie od jego pomysłu i niezadowolające, jednego ranka zniszczył wszystko, co namalowali, a zamknąwszy się w kaplicy, nie otworzył drzwi nikomu i nawet do domu ich nie wpuszczał. Trwały im za długo te kpiny, toteż obrażeni i zirytowani odjechali do Florencji⁴¹.

Ktoś jednak przy nim pozostał, przynajmniej aby pomagać w pracach najbardziej skromnych, jak przygotowywanie zaprawy i farb, mieszanie, transport, sprzątanie, dbanie o narzędzia.

Warunki pracy były nieludzkie: całymi godzinami trzeba było trzymać uniesione ramię, nos kilka centymetrów od sklepienia, a na twarz skapywała farba – były to niemal tortury. Artysta musiał też odpierać krytykę, mieć się na baczności wobec przeciwników, prosić papieża o uiszczenie należnej zapłaty, a ponadto rodzina domagała się finansowego wsparcia. Do najstarszego z czterech braci Buonarrota, po kolejnej prośbie o pieniądze, napisał: „Informuję was, że nie mam gotówki, jestem, można rzec, bosi i nagi, gdyż resztę zapłaty otrzymam dopiero po skończeniu dzieła, którego wykonywanie kosztuje mnie wiele przeciwności i trudów”. Do ojca zaś pisał: „Jestem tu nieszczęśliwy, niezbyt zdrowy i wielce utrudzony, bez chlebobdawcy i bez pieniędzy”. A do najbardziej rozwiązłego z braci, Gian Simona, mistrz pewnego dnia wystosował surową naganę:

Od dwunastu lat włączę się po Italii, znoszę przeróżne upokorzenia, cierpię z powodu wielu trudów, ciało moje wyniszczam pracą, wystawiam życie na tysiące niebezpieczeństw tylko po to, by pomóc memu domowi, i teraz, gdy zacząłem się nieco podnosić, ty chcesz to wszystko roztrwonić i w jednej godzinie zniszczyć to, do czego doszedłem w ciągu tylu lat i dzięki wielkim trudom: na ciało Chrystusa, tak się nie stanie! Raczej ja pomieszam szyki dziesięciu tysiącom takich jak ty, jeżeli będzie trzeba.

Gdy Michał Anioł pracował nad Kaplicą Sykstyńską, młodszy od niego Rafael rozpoczął pokrywać freskami cztery „stanze” (potem będą nosiły jego imię) znajdujące się na drugim piętrze papieskiego pałacu, które Juliusz II obrał na swoje pokoje. Pierwszy z artystów zaczął pracę na początku maja, drugi w ostatnich miesiącach 1508 roku. Mieli różne charaktery oraz, o czym wszyscy wiedzą, odmienny styl malowania, co utrudniało im utrzymywanie wzajemnych relacji.

Dwie anegdoty obrazują trudną sytuację, która wtedy zaistniała. Według podania Bramante miał drugi komplet kluczy do Kaplicy Sykstyńskiej. Korzystając z nieobecności Michała Anioła, w tajemnicy wprowadzał tam swojego protegowanego Rafaela, by pokazać mu postacie, które starszy artysta tworzył, aby młodzieniec dzięki temu się doskonalił. Gdy zaś w 1511 roku papież Juliusz II, straciwszy cierpliwość, nakazał usunąć rusztowania, aby odkryć przynajmniej część sklepienia, Rafael miał czelność poprosić papieża, by to on mógł uzupełnić niedokończone dzieło. Godny zaufania biograf Michała Anioła, Ascanio Condivi, pisze, że mistrz

„bardzo się oburzył i stanąwszy przed papieżem, uzalał się na krzywdę, jaką wyrządził mu Bramante, i w obecności artysty skarżył się, jak to był przez niego prześladowany”. Papież zareagował w sposób sprawiedliwy, gdyż „po wysłuchaniu tych żali powiedział, że chce, aby Michał Anioł kontynuował prace, i popierał go, jak tylko mógł”.

Rafaël wcale nie był takim aniołem, jak można by myśleć na podstawie jego niezwykle harmonijnych dzieł. Giovan Paolo Lomazzo, szesnastowieczny malarz i kronikarz, opisuje na przykład takie zdarzenie: „Pewnego dnia w obecności swoich uczniów Rafaël spotkał Michała Anioła, który tak się do niego zwrócił: «Dokąd idziesz z całą tą świtą niczym jakiś władca?». Na co tamten odpowiedział: «A wy, samotni jako ten kat?»”. Pozostaje faktem, że obaj artyści w tym samym czasie i w odległości zaledwie kilku metrów tworzyli jedne z najwspanialszych dzieł zachodniej kultury.

Pochłonięty wyniszczającą pracą, sam, bez przyjaciół (jak pisał w jednym z listów: „Nie mam przyjaciół i nie chcę ich mieć”), Michał Anioł, czy to upał, czy chłód, wspinał się każdego ranka na rusztowanie i kontynuował swe dzieło. Męka tak się przeciągała, że jeszcze długo po ukończeniu pracy artysta miał problemy ze wzrokiem. Condivi pisze:

Michał Anioł, ponieważ w trakcie malowania długo trzymał oczy wzniesione na sklepienie, gdy potem spoglądał w dół, słabo widział; tak więc gdy miał odczytać list lub inny tekst napisany małymi literami, musiał trzymać go w rękach wysoko nad głową.

Często się zastanawiano, czy mistrz korzystał z czyichś rad lub pomocy przy tworzeniu opowieści – moglibyśmy nawet powiedzieć: teologii – przedstawionej na sklepieniu. Niektórzy historycy przypuszczają, że za tym złożonym projektem ikonograficznym stał jakiś uczonec, wybitny znawca przedmiotu, którego można by nawet wskazać. W każdym razie znamy sposób, w jaki artysta postępował. Wielcy malarze XV wieku, którzy na freskach uwiecznili żywoty Mojżesza i Jezusa, opowiadali je chronologicznie, początek swych opowieści umieszczając przy ołtarzu.

Także historie Michała Anioła zaczynają się przy ołtarzu sceną stworzenia świata, a

po dziewięciu kolejnych malowidłach docieramy do enigmatycznej sceny pijaństwa Noego. Mistrz zaczął jednak malować od wejścia, czyli chronologicznie rzecz biorąc – od końca. Oznacza to, że zaczynając pracę, wiedział, co ma zamiar przedstawić czterdzieści metrów dalej. Wyraźnie też widać, jeżeli uważnie się patrzy, podążając za porządkiem, w jakim powstawało dzieło, że postacie stają się coraz większe i mają wyrazistszą ekspresję, jakby twórca z upływem czasu coraz swobodniej uwalniał swoje ogromne siły twórcze.

Na bocznych ścianach, dzięki efektowi iluzji, struktura architektoniczna tworzy rodzaj obramowania, w którym przedstawiono poszczególne sceny i postacie. W lunetach i żaglach sklepienia zostali namalowani przodkowie Chrystusa według rodowodu podawanego przez Mateusza na początku Ewangelii, aż do Mattana, ojca Józefa, czyli dziadka Jezusa. Ważniejsze postacie wyróżniają się tym, że widnieją przy nich tablice z imieniem. W miejscu, w którym pierwotnie zaplanowano dwunastu apostołów, znajduje się siedmiu proroków i pięć sybilli, mężczyźni i kobiety, żydzi i poganie. Symbolizują wizjonerów, którzy według tradycji chrześcijańskiej przepowiedzieli przybycie mesjasza.

Pośród sybilli największe wrażenie robi kumańska o niemiłej starczej twarzy, z potężnym atletycznym ramieniem na pierwszym planie. To postać dwuznaczna, która odsyła do świetlistych ciemności pogaństwa. Najbardziej uwodzicielska zaś jest sybilla z Delf („Delphica”, jak głosi napis) przedstawiona jako młoda kobieta o apollińskim obliczu rozświetlonym spojrzeniem intensywnym i nieco zagubionym, niemal dziecięcym. Na sklepieniu artysta umieścił także dwudziestu młodych mężczyzn o atletycznej budowie, w różnych pozach z girlandami dębowych liści, niczym dar dla papieża Della Rovere: to sławni Ignudi. Czytelnika zainteresowanego różnymi postaciami i symbolami namalowanymi przez artystę odsyłam do ogromnej bibliografii, jaka istnieje na temat tego arcydzieła.

Najważniejsze jest oczywiście sklepienie z dziewięcioma malowidłami, czterema dużymi i pięcioma mniejszymi. Dwie sceny, które z powodu swego dramatyzmu stały się bardzo znane, to Bóg stwarzający Słońce, Księżyc i Ziemię; Bóg został przedstawiony dwukrotnie: po prawej stronie gestem pełnym majestatu i jakby

napominającym wskazuje Słońce, po lewej stronie zaś, która miała zostać namalowana jako druga, odwraca się plecami do widza, zmierzając ku nieogarnionej przestrzeni.

Druga scena, jeszcze bardziej sławna, to stworzenie Adama. Widać tam młodzieńca o sennym wyglądzie, w pozycji pólężącej, którego członki wyraźnie się odcinają na tle niebiesko-zielonego wzgórza. W jego stronę kieruje się Bóg w otoczeniu aniołów, w fioletowym płaszczu rozdętym wiatrem; boska prawica jest wyciągnięta, wyprostowany palec wskazujący niemal dotyka palca Adama, aby tchnąć w człowieka duszę; jednak ręce się nie stykają, scena została na chwilę – przed samym dokonaniem – unieruchomiona. Z genialną intuicją artysta pozwala patrzącemu „dokończyć” to zdarzenie według własnej woli. Obrazy te stały się symbolami sztuki renesansowej, syntezą człowieczeństwa i boskości, żydowskiej Biblii i neoplatonickiej nauki.

Dwa krańce sklepienia zajmują Zachariasz (nad wejściem) i Jonasz (nad ołtarzem). Zdaniem wielu krytyków porównanie tych dwóch postaci dużo mówi o ewolucji stylu Michała Anioła. Zachariasz w skupieniu kartkuje księgę. Proporcje nie są doskonałe: pomimo bujnej brody głowa jest zbyt mała w stosunku do ciała, które wydaje się jeszcze powiększone obfitymi szatami. Jonasz jest ogromny. To największa postać w całym dziele, wychodzi nawet poza ramy architektoniczne, które powinny go obejmować: nogi zawieszono w powietrzu, wykręcone ciało zaś samo przez się mówi o jego buncie. W prawej części malowidła łypie okiem posępny (z zoologicznego punktu widzenia to przedstawienie dość umowne) „wieloryb”, który połknął proroka. Krytyk sztuki Adolfo Venturi w 1926 roku tak oto opisał tę scenę: „To trójwymiarowy posąg, oderwany od ściany, cudownie namalowana rzeźba”.

Często zapytywano, dlaczego Jonasz jest taki wielki i czemu został umieszczony nad ołtarzem, to znaczy w miejscu, w którym według pierwotnego projektu miał się znajdować św. Piotr. Dlaczego ciało proroka jest tak wykręcone, zdradza podekscytowanie, a oczy i usta – niepokój?

Odpowiedzi należy szukać w przedziwnej historii tej postaci, w której mieszają się wiara i bunt. Jonasz, choć zaliczany do proroków mniejszych, jest wyjątkowy: Bóg

posyła go do innych narodów, czyli do pogan, a on się buntuje, bo zadanie to uważa za niewdzięczne. Wsiada na statek, by uciec od tego obowiązku. Bóg jednak zsyła burzę, statkowi grozi zatonięcie. Wtedy to Jonasz, chcąc ocalić towarzyszy podróży od kary, która powinna spaść tylko na niego, prosi, aby wrzucili go do morza, gdzie natychmiast zostaje połknięty przez wielką rybę. Z trzewi ryby prorok modli się do Boga i obiecuje, że wypełni powierzone mu zadanie. Ryba po trzech dniach wypłuka go całego i zdrowego i wyrzuca na brzeg. Po kolejnych przygodach dramatyczna historia kończy się tym, że Jonaszowi udaje się nakłonić pogan do pokuty.

Dzisiaj pamiętają o nim nieliczni, dawniej jednak często przytaczano tę opowieść z racji jej dwóch aspektów. Pierwszy to swego rodzaju zmartwychwstanie po trzech dniach z grobu symbolizowanego przez brzuch ryby. Przypomina to zmartwychwstanie Jezusa, jak pisze ewangelista Mateusz (12,38-40):

Wówczas rzekli do Niego niektórzy z uczonych w Piśmie i faryzeuszów: „Nauczycielu, chcielibyśmy jakiś znak widzieć od ciebie”. Lecz On im odpowiedział: „Plemię przewrotne i wiarołomne żąda znaku, ale żaden znak nie będzie mu dany, prócz znaku proroka Jonasza. Albowiem jak Jonasz był trzy dni i trzy noce we wnętrznościach wielkiej ryby, tak Syn Człowieczy będzie trzy dni i trzy noce w łonie ziemi”.

Drugą, nie mniej ważną kwestią jest to, że prorok po początkowym buncie pojął ideę miłosierdzia Bożego. W tej opowieści bowiem miesza się poczucie grzechu i skrucha, co doprowadza do zrozumienia istoty Boga, który zna ludzkie serce i potrafi przebaczać. Przesłanie Jonasza z Kaplicy Sykstyńskiej dotyczy *potestas clavium* (władzy kluczy), na mocy której biskup Rzymu, jak Jonasz, nawołuje świat do pokuty.

To odsyła do innego malowidła z kaplicy, którego nie wykonał Michał Anioł, lecz autor wcześniejszego piętnastowiecznego cyklu: chodzi o *Wręczenie kluczy św. Piotrowi* pędzla Perugina. W scenie tej, uroczystej i pełnej majestatu, widać Chrystusa powierzającego klucze dwóch królestw klęczącemu przed Nim apostołowi. To malarskie przedstawienie boskiego pochodzenia władzy, która z Piotra przeszła na jego następców. W *Kompendium Katechizmu Kościoła katolickiego* czytamy: „Depozyt wiary został przez apostołów powierzony całemu Kościołowi (...) autentycznej interpretacji tego depozytu udziela tylko żywe magisterium Kościoła, to

znaczy następcę Piotra, biskup Rzymu, i zjednoczeni z nim biskupi”. Malowidło odsyła więc do funkcji, jaką od dawna pełni Kaplica Sykstyńska: stanowi ona, jeżeli mogę się tak wyrazić, miejsce wyboru najwyższej władzy katolickiej.

Dzięki tej funkcji kaplica, niemal ubóstwiona dziełami tak wielu wspaniałych artystów, staje się bardziej ludzka, czasami nawet aż nazbyt ludzka, gdyż papież, jak każdy ziemski władca, aby zostać wybrany, potrzebuje negocjacji i kompromisów, jak to zawsze bywa, by otrzymać większość głosów. W przeszłości należało dodać do tego także bezwzględność czasów, w których korupcja zdawała się czymś wskazanym i niezbędnym, aby dotrzeć do zamierzonego celu.

Charakterystyczna pod tym względem jest sprawa Marozji, która przez kilkadziesiąt lat, krótko przed rokiem tysięcznym, praktycznie rządziła papieżem. Jej dzieje są fascynujące i ponure zarazem, lecz doskonale oddają ducha owych czasów. Maria, zwana też Mariozją, a potem Marozją, urodziła się około roku 890. Była córką Teodory, byłej prostytutki, i Teofilakta, rzymskiego senatora germańskiego pochodzenia. Mówi się, że była bardzo piękna, lecz przede wszystkim potrafiła swą urodę wykorzystać.

Jej matka, analfabетка, jednak bardzo inteligentna, była kochanką papieża Jana X. Marozja, choć także niepiśmienna, zaszła dalej: przez ponad dwadzieścia lat udawało jej się panować w Rzymie i wpływać na wybór trzech papieży: Leona VI, Stefana VII i Jana XI. W *Historii miasta Rzymu w średniowieczu* Ferdinand Gregorovius tak opisuje te kobiety: „Nie należy widzieć w Teodorze i Marozji dwóch naiwnych małych Messalin, gdyż były to kobiety ambitne, niezwykle bystre i odważne, żądne władzy i rozkoszy”. Bez wątpienia były błyskotliwe. I zachłanne. Potrafiły doskonale manipulować innymi, a córka nawet przewyższała w tym matkę.

Marozja w wieku piętnastu lat była już konkubina papieża Sergiusza III, swego kuzyna. Nie ukrywali swojego związku w Rzymie, gdzie papieże byli równie zepsuci jak inni, a mieli dość pieniędzy, by móc sobie na taki styl życia pozwolić. W 910 roku urodził im się syn, Jan, który potem został papieżem Janem XI. Zdaje się, że

jakiś czas potem Marozja, zmęczona tym związkiem, zleciła zamordowanie Sergiusza III, który swoim pontyfikatem jedynie pogłębił upadek Kościoła. To za jego czasów zaczął się okres, który biskup Cremony i historyk Liutprand nazwał „pornokracją”, czyli rządami prostytutek.

Marozja trzykrotnie wychodziła za mąż. Pierwszy raz za Alberyka I, księcia Spoleto, miała z nim syna, Alberyka II, o którym jeszcze powiemy. Gdy mąż zmarł (być może zginął w bitwie), ponownie wyszła za mąż za Gwidona, markiza Toskanii, zagorzałego przeciwnika papieża Jana X, którego Marozji udało się zrzucić z tronu; nieszczęśnika krótko potem uduszono. W 931 roku budząca grozę Marozja wprowadziła na tron Piotrowy swego syna Jana, który miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat, a ponadto był słabego charakteru i brakowało mu doświadczenia, by mógł podołać tak trudnemu zadaniu. Więc to matka rządziła z za jego pleców i niewykluczone, że to właśnie jej wyraźna obecność przyczyniła się do powstania legendy o tak zwanej „papieżycy Joannie”, kobiecie, która w męskim przebraniu przez pewien czas rządziła Kościołem rzymskim. Gregorovius pisze: „Jan XI był synem cieszącej się złą sławą rzymianki, która nazywała siebie *senatrix omnium romanorum* (senatorką wszystkich rzymian), a nawet patrycjuszką; przez pewien czas władała miastem i tron apostolski powierzała, komu chciała. Uważano, że ojcem nowego papieża był Sergiusz III, jednak nie jest to rzecz pewna”.

W 932 roku Marozja wyszła za mąż po raz trzeci. Tym razem jej wybranym był Hugo z Arles, król Italii, którego Gregorovius tak opisuje:

Perfidny mistrz intryg, rozwiązły i zachłanny, przebiegły i pozbawiony skrupułów, pragnący jedynie powiększać swoje królestwo i to za wszelką cenę, Hugo był typowym przedstawicielem swojej epoki (...) gdybyśmy mogli dłużej rozpisywać się na temat tego, co się wtedy działo poza Rzymem, przekonalibyśmy się, jak Hugo sprzedaje biskupstwa i opactwa Italii lub darowuje je swoim ulubieńcom, daje upust wszelkim żądzom, zupełnie nie licząc się z jakimkolwiek prawem.

Jako że Marozja bez wątpienia była także typowym dzieckiem epoki, z pewnością tworzyli zgodne małżeństwo doskonale harmonizujące z czasami.

Osobowość Hugona dobrze ilustruje pewne zdarzenie związane ze ślubem. Był on przyrodnim bratem Gwidona, drugiego męża Marozji, nie mógł się więc z nią ożenić,

gdyż zaślubiny między szwagrami i szwagierkami uważano za kazirodcze. Aby ominąć tę przeszkodę, Hugo nie cofnął się przed zniesławieniem własnej matki, przysięgając, że jest synem z nieprawego łoża, a więc tylko przyrodnim bratem Gwidona. Pomimo zdobycia królewskiej korony Marozja nie była usatysfakcjonowana i poprosiła papieża, swego syna, aby ogłosił Hugona cesarzem: „Już widziała siebie w cesarskiej purpurze, gdyż jej syn, Jan XI, nie mógł odmówić włożenia korony na głowę swego przyszłego ojczyma, króla Italii”. Zapewne i tym razem by się jej udało – Jan bowiem był jak glina w jej ręku – gdyby nie sprzeciwił się temu drugi syn Marozji, Alberyk II, który przegnał Hugona, aresztował matkę, a Jana XI zamknął w pałacu papieskim.

Publiczna kariera Marozji praktycznie zakończyła się w tamtym momencie, by jednak przydać nieco barw mrocznej atmosferze tej epoki, przytoczę jeszcze jedno zdarzenie typowe dla owej „pornokracji”. Niemal siedemdziesięcioletnia Marozja, po życiu spędzonym na pogoni za ambicjami, dożywała swych dni uwięziona w Zamku św. Anioła. Tam też się dowiedziała, że osiemnastoletni Oktawian z książąt tuskulańskich, syn Alberyka II, a więc jej wnuk, został papieżem i przyjął imię Jana XII. Młodzieniec zupełnie nie nadawał się na to stanowisko, czego wkrótce dowiódł. Tak uważał nawet kardynał Bellarmino, który powiedział o nim: *Fuerit fieri omnium deterrimus*, był najgorszym ze wszystkich papieży.

Lista jego zbrodni ciągnie się w nieskończoność: mówiono nawet, że popełniał grzechy, jakich wcześniej nie znano, będąc doskonałym przykładem *Roma deplorabilis*, przeciwko któremu kilka wieków później występował Luter. W pałacu na Lateranie utrzymywał cały harem młodych kobiet i chłopców gotowych zaspokajać jego żądze, zawłaszczwał ofiary pielgrzymów i trwonił je potem na grach i zabawach, dwa tysiące (najprawdopodobniej to pewna przesada) własnych koni karmił migdałami i figami marynowanymi w winie.

Cesarz Otton I napisał do niego gorzki list: „Wszyscy, duchowni i świeccy, zarzucają Wam, Wasza Świątobliwość, zabójstwa, krzywoprzysięstwa, profanowanie świętości, kazirodcze stosunki z krewnymi, wliczając w to siostry, i przyzywanie, niczym poganin, Jowisza, Wenery i innych demonów”. Jan XII zmarł młodo, w wieku

zaledwie dwudziestu czterech lat. Został wyrzucony przez okno przez zazdrosnego męża, który zaskoczył go *in flagrante delicto* – w łóżku z własną żoną, niejaką Stefanetą, o której nic więcej nie wiemy. Został pochowany w bazylice św. Jana na Lateranie.

Kilka lat wcześniej doszło do zdarzenia mniej głośnego, lecz znaczącego. Papież Formozus (891–896), który starał się utrzymać na tronie, lawirując między dwoma potężnymi władcami, został ekshumowany na rozkaz swego następcy Stefana VI. Trumnie, spowitej w szaty papieskie i umieszczonej na tronie, wytoczono proces. Była to jedna z najokropniejszych fars sądowych w dziejach. Uznany za winnego Formozus został potępiony na wieki, połamano mu palce, którymi udzielał błogosławieństwa, a następnie zwłoki wrzucono do Tybru. Przede wszystkim zaś – i to było głównym celem owego makabrycznego procederu – wszystkie jego akty (włącznie z nominacjami i święceniami) zostały unieważnione. Stefan VI wcale nie skończył lepiej. Kilka miesięcy później, w trakcie ludowych rozruchów, został wtrącony do więzienia i uduszony (897 r.).

Mimo wszystko Kościół rzymski powoli wypracował pewną procedurę wyboru swego przywódcy. Przystudiowano i wypróbowano całą serię reguł, aby wykluczyć najbardziej kardynalne błędy.

Trzeba pamiętać, że tron Piotrowy przez długi czas był przedmiotem kalkulacji politycznych, a czasami kaprysów cesarza, „lud” zaś, który początkowo miał wpływ na wybór głowy Kościoła, choćby tylko ze względu na swą liczebność, stopniowo został odsunięty na bok. Jedną z podstawowych reform wprowadził papież Mikołaj II (1059–1061), który w trakcie swojego krótkiego panowania prawo wyboru ograniczył do kręgu rzymskich kardynałów-biskupów⁴². Dopiero w drugiej kolejności, gdy wybór praktycznie został już dokonany, mogli się wypowiedzieć (nie mając jednak większego wpływu) pozostali kardynałowie, biskupi i lud. Dzisiaj tego rodzaju reforma zostałaby oceniona bardzo negatywnie. W owym czasie była jednak konieczna, aby zapewnić Kościołowi większą niezależność od wpływów świeckich,

z których chciał się wyzwolić: chodziło nie tyle o wyemancypowanie się spod władzy ludu, którym tak wtedy, jak i dziś łatwo jest manipulować, ile o uniezależnienie się od realnie panujących, czyli przede wszystkim od cesarza.

Kronikarze, jak również historycy długo zajmowali się sporami między papieżem i cesarstwem. Niekiedy były one bardzo zaciekle, gdy ścierały się silne osobowości, jak na przykład Henryk IV, cesarz rzymsko-niemiecki, i Grzegorz VII, sławny Hildebrand z Sovany, który będąc najpierw archidiaconem, bardzo szybko został papieżem. W roku 1073 Hildebrand został papieżem praktycznie wbrew obowiązującym regułom, gdyż jego kandydaturę narzuciła część hierarchii, a przez aklamację wybrał lud w bazylice św. Piotra w Okowach.

Hildebrand miał wysokie mniemanie zarówno o sobie, jak i o zajmowanym stanowisku: uważał, że każdy papież, gdy tylko zasiądzie na tronie, staje się osobiście święty, z kolei objęcie cesarskiego tronu samo przez się deprawuje, czyni złymi nawet ludzi dobrych z natury. Podkreślał, że papież może osądzać wszystkich, sam nie podlegając żadnemu trybunałowi: tylko on posiada władzę mianowania biskupów, a także detronizowania cesarzy. Nie były to poglądy nowe. Niespotykana była jednak determinacja, z jaką tak absolutnej władzy papież się domagał. Grzegorz VII uważał, że cała Europa jest jego własnością feudalną.

Pracował też jednak nad wewnętrznymi reformami Kościoła, walcząc z bardzo rozpowszechnionym kupczeniem stanowiskami kościelnymi oraz małżeństwem kapłanów. Zawiesił w czynnościach wszystkich biskupów, którzy w zamian za pieniądze pozwalali duchownym żyć w konkubinacie. Gromy spadły na Henryka IV, który ośmielił się mianować kilku biskupów i opatów. Było to zgodne z wcześniejszymi deklaracjami, a zarazem gest, który dał początek walce o inwestyturę, w jaką ci dwaj protagoniści przez wiele lat się angażowali i dopuszczali się niezwykle dramatycznych posunięć.

Papież ekskomunikował Henryka IV, a ten ogłosił detronizację papieża, potem jednak, na skutek negatywnej reakcji części poddanych, udał się do niego w styczniu 1077 roku (już o tym wspominaliśmy) do Canossy, gdzie papież przebywał u księżnej Matyldy. Grzegorz VII nakazał mu czekać trzy dni, w pokutnym worze, na mrozie, jaki

panuje zimą w północnych Apeninach, zanim zdecydował się go wpuścić i ponownie przyjąć do wspólnoty wiernych. Cesarz klęczał, a papież dał mu zakosztować smaku klęski tak długo, by zapamiętał to raz na zawsze. Potem jednak wypadki potoczyły się inaczej.

Henryk IV nigdy nie wybaczył papieżowi tego poniżenia. Po powrocie do Rzeszy niemieckiej odzyskał autorytet, stłumił bunt i zażądał, by papież zdetronizował jego rywala. Grzegorz VII odmówił i ponownie go ekskomunikował. Henryk IV wypowiedział mu posłuszeństwo i wyznaczył własnego kandydata na tron Piotrowy, Wiberta z Rawenny, który po konsekracji na papieża (czy raczej antypapieża) przyjął imię Klemensa III. Grzegorz VII starał się temu przeciwstawić, cesarz jednak miał już taką władzę, że papież musiał się schronić w Zamku św. Anioła.

W 1084 roku Henryk IV w końcu wkroczył do Rzymu i w święto Wielkiej Nocy „jego” papież konsekrował go na cesarza. Spór zdawał się zakończony, lecz Grzegorz VII zdecydował się na desperackie posunięcie: wezwał na pomoc wojska normandzkie, które pod wodzą Roberta Guiscarda przebywały na południu Italii. Normanowie wkroczyli do Rzymu, Henryk IV uciekł, papież był oswobodzony. Miasto zostało jednak splądrowane i zniszczone. Gdy luterańska reforma zaczęła się rozpowszechniać, mimo że od tamtych dramatycznych wydarzeń minęło prawie pięć wieków, protestanci nadal wspominali owe dni, mówiąc: „Grzegorz I wybawił Rzym z rąk Longobardów, Grzegorz VII pozwolił, by zniszczyli go Normanowie”. Hildebrand, papież-polityk, bardziej cenił własną skórę i zachowanie swojego stanowiska niż dobro miasta. Współmieszkańcy nie wybaczyli mu tego i gdy plądrowanie się zakończyło, papież został zmuszony do opuszczenia Rzymu wraz z Guiscardem. Rok później umarł w Salerno, wypowiadając niejako na swoje usprawiedliwienie słowa psalmu: *Dilexi justitiam, odivi iniquitatem, propterea morior in exilio* (Umiłowałem sprawiedliwość, zniechęciłem nieprawość, dlatego umieram na wygnaniu). Reforma Kościoła, którą przeprowadził, przetrwała niemal do naszych czasów. Krótki fragment z dzieła Gregoroviusa świetnie oddaje znaczenie jego pontyfikatu i całej tej tragedii:

Zdewastowanie Rzymu to najciemniejsza plama w historii tak Grzegorza VII, jak i Guiscarda: w karzącej

sprawiedliwości ten drugi zmusił papieża, by w przerażeniu przyglądał się płonącemu Rzymowi. Czy przypadkiem Grzegorz VII w płonącym Rzymie (a płonął on z jego winy) nie był straszliwym człowiekiem Fatum, niczym Napoleon galopujący na koniu z pogodnym obliczem po polu walki nasączonym krwią? Jego przeciwieństwem jest Leon Wielki, który wybawia miasto z rąk Attyli i łagodzi jego los w czasach ponurego Genezaryka. Ani jeden ze współczesnych Grzegorzowi VII świadków nie mówi, by papież przynajmniej próbował ocalić Rzym przed zniszczeniem lub by przełał z powodu jego upadku choć jedną łzę litości. Czym było dla tego człowieka to miasto, które zostało prawie całkiem zniszczone, dla jakiej idei poświęcał on pokój świata?

Po bulli Mikołaja II kolejna reforma zasad dotyczących wyboru papieża została wprowadzona przez Aleksandra III po zakończeniu schizmy, która trwała prawie dwadzieścia lat. Celem zmian było poddanie procedury wyborczej surowym regułom, tak by ograniczyć ewentualne wpływy poszczególnych osób lub różnych „nurtów”. Już sam tytuł owej konstytucji (*Licet de vitanda discordia*, 1179) wyraźnie o tym mówił. W praktyce chodziło o to, by wszystkim kardynałom – i tylko im – przyznać prawo zasiadania w konklawe. Ponadto, aby zostać wybranym, trzeba było uzyskać dwie trzecie głosów:

Ponieważ nieprzyjaciel nieustannie sieje chwasty, ustanawiamy, że jeżeli nie ma jedności wśród kardynałów co do wyboru papieża i gdy dwie trzecie są zgodne, a jedna trzecia do zgody tej nie przystaje lub zamierza wybrać kogoś innego, biskupem Rzymu zostanie ten, kto uzyska dwie trzecie głosów. Jeżeli ktoś, opierając się na nominacji pozostałej jednej trzeciej, uzurpowałby sobie tytuł papieża, to zarówno on, jak i ci, którzy by go uznali, zostaną ekskomunikowani.

Reguła ta, szczególnie szanowana, gdyż zaaprobowana przez sobór ekumeniczny, wykluczała jakikolwiek wpływ biskupów na wybór następcy na tron Piotrowy. Kolegium kardynałów i papież stojący na ich czele stali się jedynymi uprawnionymi do ustanawiania i wprowadzania w życie zasad postępowania Kościoła w sprawach dotyczących ducha, jak również czysto politycznych. Reforma ta przetrwała osiem wieków, do czasów Jana Pawła II. Za pontyfikatu Aleksandra III została umocniona „monarchiczna” organizacja Kościoła. Jak słusznie zauważa watykanista Giancarlo Zizola w historii konklawe (*Il conclave: l'elezione papale da San Pietro a Giovanni Paolo II* – „Konklawe: wybór papieża od św. Piotra do Jana Pawła II”), „odwoływanie się do praworządności apostolskiej i wspólnotowego autorytetu w Kościele staje się z upływem czasu coraz bardziej sporadyczne i czysto retoryczne”.

Z czasem umocniła się doktryna mówiąca, że skoro papieża (króla) uważa się za następcę Piotra, to kardynałowie (księżęta Kościoła) są spadkobiercami apostołów i reprezentują grupę ludzi, która u początków chrześcijaństwa skupiła się wokół Jezusa.

Jednak nawet reguła większości dwóch trzecich głosów nie uchroniła Kościoła przed tym, że przez kilka dziesięcioleci wybierano papieży i antypapieży, którzy toczyli z sobą walki, ani przed tym, że lud rzymski, choć już pozbawiony praw, nadal wszczywał zamieszki, próbując wpłynąć na wybór tego lub innego kandydata, czasami kierując się sympatią, czasami zaś za poduszczeniem znaczniejszych rodzin mających wpływ na rozwój wypadków.

W połowie XIII wieku, za Innocentego IV (Sinibaldo Fieschi, 1243–1254), reguły wyborcze ostatecznie sprecyzowały poszczególne funkcje, stawiając papieża w centrum jurysdykcji i czyniąc z niego źródło wszelkiej władzy w sferze duchowej i doczesnej, w otoczeniu dworu kardynałów również posiadających znaczne przywileje i władzę. Za panowania papieża Fieschiego chrześcijaństwo przemieniło się w prawdziwy ustrój, wyposażony w narzędzia praktycznego działania i perswazji – od ekskomuniki po tortury – które odpowiednio stosowano w zależności od rodzaju „przeciwnika”: heretyków, Żydów, władców nieskorych do posłuszeństwa. To właśnie Innocenty IV, wydając bullę *Ad extirpanda*, pozwolił inkwizycji na stosowanie tortur „w razie potrzeby”.

Potrzeba jednak było jeszcze sporo czasu i pracowitych zabiegów, by uzyskać stabilną procedurę wyborczą. W późnym średniowieczu powstało „konklawe”, etymologiczne znaczenie tego słowa to *cum clave*, czyli pod kluczem. Jak zauważa Zizola, czasowe zamknięcie książąt Kościoła początkowo jawiło się „jako zemsta, mająca lekkie zabarwienie szantażu, opierająca się na nieco zmodyfikowanym prawie ludowym. Ponieważ lud pozbawiono prawa wyboru, to tenże lud zamykał na klucz kardynałów, którzy mu to prawo odebrali”.

Pomimo wszelkich środków ostrożności i gwarancji wybór papieża, na skutek sprzecznych interesów, które wchodziły w rachubę, nigdy nie był łatwy ani też całkowicie spokojny. Typowym przykładem takich trudności oraz wynikających z

nich przykrych skutków była śmierć Klemensa IV (Guy Foulques, papież od 1265 r.) w 1268 roku: trzeba było trzech lat, aby wybrać jego następcę. Osiemnastu kardynałów zebranych w papieskim pałacu w Viterbo, podzielonych na frakcje popierane przez różnych europejskich władców, nie mogło dojść do porozumienia.

W obliczu takiej zwłoki mieszkańcy miasta najpierw zaczęli szemrać, potem zamurowali kardynałów w pałacu, a w końcu częściowo rozebrali dach. Przez dziurę, która wystawiała wyborców na kaprysy pogody, zrzucano pożywienie ograniczone do chleba i wody. Surowa dieta pomogła wreszcie zawrzeć ugodę. We wrześniu 1271 roku papieżem wybrano nieznanego archidiakona z Piacenzy, Tedalda Viscontiego, który przybrał imię Grzegorza X. Owe trzy lata zwłoki nie były wynikiem tylko spisków knutych przez książąt Kościoła czy też sprzecznych interesów; długie oczekiwanie na wybór papieża było spowodowane także zyskami, jakie kardynałowie czerpali w okresie, kiedy tron papieski nie był obsadzony.

Grzegorz X był prostym archidiakonem i aby uczynić z niego papieża, trzeba było szybko wyświęcić go na księdza, a potem konsekrować na biskupa i mianować kardynałem. Pokazał on, że bardzo zależy mu na praworządnym wyborze na tak wysokie stanowisko, wydał nawet nową konstytucję, *Ubi periculum* (1274), w której ustanawiał jeszcze bardziej rygorystyczne normy przebiegu konklawe, włącznie z przepisami dotyczącymi wyżywienia. W Viterbo menu składające się z chleba i wody poskutkowało. Grzegorz X poszedł więc za tym przykładem i ustanowił, że jeżeli wybór nie zostanie dokonany w ciągu trzech dni, to „w kolejnych pięciu dniach na obiad i na kolację kardynałowie zadowolą się jednym daniem. Gdy i te dni miną bez rezultatu, należy podawać im jedynie chleb, wino i wodę tak długo, aż dokonają wyboru”.

Także przywileje związane z „pustym tronem” zostały poddane „surowej diecie”: na czas trwania konklawe zawieszano wszelkie prebendy. Skutki były pozytywne, lecz krótkotrwałe. Bardzo szybko wbrew wszelkim regułom rozbieżność interesów i żądza władzy ponownie doszły do głosu. Gdy w 1292 roku zmarł Mikołaj IV (Girolamo Masci, papież od 1288 r.), tron pozostawał nieobsadzony przez ponad dwa lata, do czasu, gdy papieżem wybrano osiemdziesięcioletniego eremity Pietra da

Morrone, świętego męża, który spędzał życie na modlitwie w grocie w górach Maiella. Obrał imię Celestyna V, a jego pontyfikat był – obok pontyfikatu Albina Lucianiego w XX wieku – jednym z najkrótszych w dziejach.

Celestyn V, podobnie jak Jan Paweł I, był człowiekiem prostym, bardziej zainteresowanym modlitwą niż intrygami, a więc niezdolnym do zarządzania skomplikowaną machiną władzy, jaką stał się Kościół. Jan Paweł I był papieżem jedynie przez trzydzieści trzy dni, Celestyn V przez pięć miesięcy; po upływie tego czasu, wobec konsystorza zwołanego specjalnie w tym celu, abdykował. Petrarca w *De vita solitaria* chwala jego pokorę; Dante, przeciwnie, w III pieśni *Piekieł* umieszcza go pośród leniuchów, wydając o nim surowy osąd w sławnym wersecie: „Pośród nich szła mara człowieka,/Co z trwogi wielką skaził się odmową”.

W rzeczywistości do owej „wielkiej odmowy” doprowadził kardynał Benedetto Gaetani, mający wygórowane ambicje, który tym posunięciem zapewnił sobie papieski tron. Stał się osławionym Bonifacym VIII, którego pierwszym rozporządzeniem był nakaz uwięzienia Pietra da Morrone w zamku. Pobożny eremita chciał wrócić do swojej grotty i modlitw, Bonifacy VIII obawiał się jednak, że ów naiwny człowiek mógłby się stać narzędziem w rękach jego przeciwników i być może doprowadzić nawet do schizmy. Wolał trzymać go pod kluczem do końca jego dni. Prawdopodobnie rozkazał go zabić.

Sposób wyboru papieża wypracowano więc z upływem czasu pośród wielu sprzeczności, sporów i z wielkim trudem; właściwie niemal każdy papież, gdy tylko objął urząd, w jakiś sposób modyfikował te reguły, także w ostatnich czasach, jak za chwilę zobaczymy. W każdym razie im bardziej Kościół skupiał się na swojej władzy doczesnej, stając się królestwem pośród innych królestw Europy i oddalając się od ducha ewangelii pierwotnego chrześcijaństwa, tym bardziej potrzebował pieniędzy i tym cięższe stawało się brzemień jego rozległego panowania.

Bonifacy VIII „wymyślił”, jeżeli można tak powiedzieć, Rok Święty. Pierwszy tego rodzaju jubileusz obchodzono w roku 1300 właśnie za jego pontyfikatu.

Przybywającym do Rzymu pielgrzymom obiecano przebaczenie wszystkich grzechów, rodzaj amnestii dla duszy. Lud odpowiedział masowymi pielgrzymkami.

Bonifacy VIII ten napływ rzeszy wiernych odczytał jako potwierdzenie osobistego sukcesu, czerpiąc z tego zyski, napełniając skarbce Watykanu, lecz nade wszystko utwierdzając się w przekonaniu, że posiada ogromną władzę. Dwa lata później wydał sławną bullę *Unam sanctam*, na której opiera się teokratyczny ustrój papiestwa: istnieje tylko jeden Kościół, a poza nim nie ma zbawienia. Jego głową jest Chrystus, który działa za pośrednictwem papieża będącego Jego przedstawicielem na ziemi; Kościół bezpośrednio sprawuje władzę duchową, a władzę doczesną deleguje na księząt, którzy muszą ją sprawować według jego wskazań. Hierarchia kościelna może osądzać władców doczesnych, lecz nikt, poza Bogiem, nie może się ośmielić osądzać jej. Każdy, kto pragnie uzyskać zbawienie wieczne, musi być posłuszny biskupowi Rzymu.

Tym dokumentem (na wydanie podobnego nie powążył się żaden inny władca), odwołującym się do autorytetu samego Boga, Bonifacy VIII otworzył drogę rozlicznym sporom i tragediom. Już wtedy wielu uważało, że te wygórowane, światowe roszczenia wcale nie uwzględniają prawdziwej troski o sprawy duchowe. Do krytyków należał także Dante, który jeszcze za życia Bonifacego VIII umieścił go między praktykującymi symonię (*Piekieło*, XIX), czyli tymi, którzy nadużywając władzy religijnej, sprzedają i kupują przedmioty i sprawy święte.

Papież Gaetani nie był sługą ani religii, ani Kościoła. Po nim walki o władzę nie ustały, papieże i antypapieże zwalczali się nawzajem. Przez siedemdziesiąt lat, poczynając od roku 1309, papieże pozostawali na wygnaniu w Awinionie, a sytuacja się nie poprawiła po ich powrocie do Rzymu. Wręcz przeciwnie – lata panowania Urbana VI, wybranego w 1378 roku, były naznaczone „wielką schizmą”, był to jeden z bardziej ponurych okresów średniowiecznego Kościoła, w którego trakcie trzech papieży i antypapieży ekskomunikowało się nawzajem. Według Gregoroviusa w podobnej sytuacji każda inna monarchia by upadła. W pewnym sensie tak też się stało w przypadku Kościoła Rzymu, który poczynając od 1517 roku, wraz z reformacją, utracił wiele prowincji i znaczną część wiernych.

Pierwszym papieżem wybranym w Kaplicy Sykstyńskiej, 9 marca 1513 roku, był Giovanni Medici, drugi syn Wawrzyńca Wspaniałego, który przyjął imię Leona X. Gregorovius pisze: „Z Florencji w lektyce przybył Giovanni Medici. Był chory. Z powodu ropiejącej przetoki nie można było się do niego zbliżyć; chirurg musiał go operować w trakcie konklawe”. Ponieważ jednak Giovanni był synem Wawrzyńca Wspaniałego, cieszył się szczególnymi względami. Gdy miał zaledwie siedem lat, Innocenty VIII uczynił go protonotariuszem apostolskim, w wieku ośmiu lat został opatem Montecassino, a w osiemnastym roku życia – został kardynałem. Był kiepskim papieżem, zwłaszcza w porównaniu ze swym poprzednikiem Juliuszem II. Dopuszczał się i padał ofiarą czynów haniebnych. Doskonale sportretował go Rafael: oblicze nalane, spojrzenie nieobecne, zamglone.

W fatalnym dla Kościoła 1517 roku Leon X padł ofiarą spisku zorganizowanego przez kardynała Alfonsa Petrucciego, który przekupił papieskiego chirurga, aby ten zainfekował przetokę podczas zmiany opatrunku. Spisek został wykryty, a spiskowcy zabici. „Chirurg i sekretarz Petrucciego zostali straceni wśród strasznych mąk. Sam kardynał, skazany na śmierć, dumnie przeklął papieża i nie chciał się wyświadczać. Udużono go w Zamku św. Anioła”. Papież był tak przestraszony, że szybko nominował trzydziestu jeden kardynałów, aby wypełnić kolegium ludźmi mu oddanymi. Jedynie Pius XII w XX wieku mianował więcej, bo trzydziestu dwóch kardynałów.

Leon X, nepota i wielbiciel luksusu, był także sodomitą, jeżeli wierzyć Francescowi Guicciardiniemu, który w 1525 roku napisał: „Na początku jego pontyfikatu wielu wierzyło, że żyje w absolutnej czystości; potem jednak odkryto, że z upodobaniem oddawał się, i to bez żadnego wstydu, rozkoszom, o których nawet nie godzi się mówić”. Gregorovius tak opisuje życie księżęcy przepych jego dworu:

Cały Rzym był sceną świąt i wspaniałych przedstawień. W Watykanie było pełno muzyków, mimów, szarlatanów, poetów i artystów, podlizujących się dworzan i próżniaków, wystawiano tam komedie starożytne i współczesne, jak również oddawano się najbardziej wyuzdanym sprośnościom, a sam papież był jak *tribunus voluptatum* na wzór starożytnych Rzymian. Gdybyśmy mogli prześledzić jeden rok w Rzymie

za czasów Leona X, naszym oczom ukazałby się barwny korowód świąt i przedstawień, w których przeplatały się w silnych kontrastach pogaństwo z chrześcijaństwem: karnawałowe bale maskowe, mitologiczne starożytne bóstwa, historie rzymskie wystawiane ze zbytkiem, procesje, pełne przepychu uroczystości kościelne, przedstawienia o Męce Chrystusa w Koloseum, deklamacje klasyków na Kapitolu, święta i przemowy z okazji Bożego Narodzenia, codzienne przejazdy kardynałów galopujących na koniach, wystawne dwory ambasadorów i książąt, którym towarzyszyły liczne wojska.

Gdy wszystko to się działo, pewien niemiecki mnich niskiego stanu z zakonu augustianów, Marcin Luter, profesor z Wittenbergi, wysyłał do biskupów dziewięćdziesiąt pięć tez spisanych po łacinie, zachęcając do teologicznej dyskusji. Był to początek reformacji, która po raz pierwszy w dziejach chrześcijaństwa miała je podzielić na taką skalę. W Rzymie Luter zobaczył i usłyszał wiele rzeczy, które napełniły go niesmakiem. Potem powiedział: „Co za okropni ludzie! Nie uwierzyłbym, że papieństwo jest tak ohydne, gdybym na własne oczy nie zobaczył rzymskiego dworu! Jeżeli istnieje piekło, to na nim zbudowany jest Rzym”. Papież Leon X nie potrafił właściwie ocenić owego gniewu, sądził, że upora się z tym dzięki zwyczajnej ekskomunice, że Luter zostanie publicznie spalony na stosie na placu w Wittenberdze ku uciechu tłumu.

To smutny paradoks, że kaplica, nad którą pracowało tylu genialnych artystów, by uczynić ją prawdziwie boską, została zainaugurowana wyborem papieża zupełnie nieodpowiedniego na to stanowisko, dalekiego od zasad Ewangelii.

Ostatnich reform reguł wyborczych dokonali Jan Paweł II i Benedykt XVI. W 1996 roku papież Wojtyła promulgował konstytucję apostolską *Universi dominici gregis*, w której odrzucił regułę większości dwóch trzecich głosów ustanowioną w 1179 roku. Obawiał się bowiem mniejszości (wystarczyło 34 procent głosujących) mogącej zablokować konklawe na dłuższy czas, ze wszystkimi łatwymi do przewidzenia negatywnymi konsekwencjami, wpływającymi także na obraz Kościoła w oczach opinii publicznej.

Jego reforma ustanawiała, że po upływie trzynastu bezwocnych dni absolutna większość kardynałów (51 procent) powinna zdecydować, jak postępować dalej: to

znaczy czy nadal trzymać się większości dwóch trzecich głosów, przejść do większości bezwzględnej czy też wybrać spośród dwóch kandydatów o największej liczbie głosów. Także ta reguła, jak każde prawo wyborcze, miała słaby punkt, który polegał na tym, że część kardynałów mogłaby biernie przeczekać pierwsze głosowania, trzymając w zanadrzu swego kandydata, aby zagłosować na niego zaraz po przejściu do głosowania według większości bezwzględnej.

Wykorzystał to w kwietniu 2005 roku kardynał Ratzinger. Ponieważ z trudem zdołałby uzyskać większość dwóch trzecich głosów, która obowiązywała przed reformą Jana Pawła II, głosujący na niego kardynałowie wyraźnie powiedzieli, że aby wybrać swego kandydata, są gotowi poczekać, aż przejdzie się do głosowania według większości bezwzględnej. Wobec tej pogróżki znikła wszelka opozycja, a droga do wyboru Josepha Ratzingera stała się otworem.

Benedykt XVI natychmiast zmienił regułę papieża Wojtyły, przywracając zasadę większości dwóch trzecich głosów i ustanawiając, że po trzynastu dniach bezowocnych głosowań należy przejść bezpośrednio do głosowania na dwóch głównych kandydatów, zawsze jednak pozostając przy wymaganej większości dwóch trzecich głosów. Jak widać, trudności nadal istnieją. Nawet przyzywanie Ducha Świętego nie chroni Kościoła przed bardzo ludzkimi słabościami.

⁴⁰ Wł. *affresco* pochodzi od wyrażenia *dipingere a fresco* – malować na świeżym (tynku) (przyp. T.K.).

⁴¹ Giorgio Vasari, *Żywoty najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, przeł. Karol Estreicher, PIW, Kraków 1980.

⁴² Kolegium kardynalskie dzieli się na kardynałów-biskupów, kardynałów-prezbiterów i kardynałów-diakonów (bywali też tak zwani kardynałowie-laicy, to znaczy niemający wyższych święceń). Obecnie rozróżnienie nadal istnieje, ale jest pozostałością historyczną, a kardynałowie z zasady są również biskupami (przyp. T.K.).

13. 16 października 1943

Miejsca przechowują pamięć ważnych wydarzeń, których były sceną. Trzeba jednak umieć słuchać i patrzeć, dostrzegać znaki, sięgnąć do zakamarków pamięci, odczytać słowa. Na przykład te, którymi zaczyna się piękne i rozzierające serce opowiadanie Giacoma Debenedettiego mówiące o dniu fatalnym dla Rzymu, dla Żydów, dla Watykanu: 16 października 1943 roku. Tę datę uczyniłem także tytułem tego rozdziału. *In memoriam*.

Kobieta, rozzochrana, w czarnym rozchełstonym ubraniu, przemoknięta, przybiegła do byłego rzymskiego getta owego piątkowego wieczoru 15 października. Nie może się wysłowić, zdenerwowanie odbiera jej głos, z ust wypływa ślina. Przybiegła tu z Zatybrza. Przed chwilą w domu kobiety, u której posługuje, spotkała żonę pewnego karabiniera. Ta jej powiedziała, że jej mąż widział Niemca, a ten Niemiec miał w ręku listę z nazwiskami dwustu żydowskich rodzin, które miał aresztować (...). Rozzochrana kobieta bez trudu zebrała wokół siebie liczną grupę Żydów, aby ich uprzedzić o niebezpieczeństwie. Nikt jej jednak nie wierzył, wszyscy się z niej naśmiewali (...).

Kobiecie tej, imieniem Celeste, nikt nie uwierzył. Była uboga, nosiła łachmany; plotki mówiły, że w jej rodzinie wszyscy byli nieco pomyleni. Poza tym była zbyt zdenerwowana, oczy miała załzawione, obejmowała główki dzieci w patetycznie opiekuńczym geście. Zaledwie kilka godzin później, w tym samym miejscu, te niedorzeczne przepowiednie miały się spełnić w najstraszniejszy z możliwych sposobów.

Mowa tu o niewielkim, trochę nieuporządkowanym placyku, który przez wieki pozostał niezmienny, na przecięciu via Sant'Angelo in Pescheria i via Catalana. W tle widać monumentalne łuki teatru Marcella na wprost wielkiej synagogi. Z boku łuk, jeden z niewielu, jaki ocalał z portyku Oktawii, wspaniałej budowli wzniesionej przez Augusta na pamiątkę siostry, obecnie ocalało jedynie trochę rozrzuconych fragmentów i kilka połamanych kolumn z ponad trzystu, które go zdobiły.

W tym właśnie miejscu rankiem 16 października 1943 roku stanęły ciężarówki, na które mieli zostać załadowani, pośród wrzasków i ciosów, mieszkańcy rzymskiego getta. Aby upamiętnić to zdarzenie, wmurowano tam pamiątkową tablicę, to jednak za

mało, aby oddać hołd ofiarom tej tragedii. Na rzymskich murach jest pełno tablic, tu trzeba jednak wiedzieć trochę więcej, aby ją odczytać i zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło.

Wszystko zaczęło się dwadzieścia dni po podpisaniu przez Włochy zawieszenia broni z aliantami, które zostało ogłoszone 8 września 1943 roku. Pod koniec miesiąca major SS Herbert Kappler zwołał przywódców wspólnoty żydowskiej i nakazał im zebrać w ciągu trzydziestu sześciu godzin pięćdziesiąt kilogramów złota, grożąc im wywózkami. Złoto zaczęto zbierać rankiem 27 września. Księgowy zapisywał napływające bogactwo, a trzech żydowscy złotnicy sprawdzali jakość kruszcu.

Po kilku godzinach zebrano tak mało, że zwrócono się o pomoc do Watykanu. O 16.00 nadeszła odpowiedź: Watykan był gotów udzielić długoterminowej i nieoprocentowanej pożyczki. Nie było już jednak takiej potrzeby, bo ostatecznie zebrano pięćdziesiąt kilogramów, i to z niewielką nadwyżką. Gdy oddawali złoto, Żydzi myśleli, że uratowali sobie życie. To, że wszystko to było jedynie pretekstem, a raczej okrutną drwiną, zrozumiano dopiero po wojnie, gdy złoto rzymskich Żydów odnaleziono w Berlinie w tych samych skrzyniach, w które je zapakowano i nawet nie zdążono otworzyć.

W sobotę 16 października o 5.30, w ulewnym deszczu, trzystu siedemdziesięciu żołnierzy SS, wspomaganych przez faszystowskich bojówkarzy, otoczyło getto i zaczęło je przeczesywać. Zaspanych, chorych, matki karmiące piersią, osoby przygotowujące się do celebrowania szabatu: wszystkich żołnierze przemocą wyrzucili na ulicę, bijąc kolbami karabinów ociągających się, wykrzykując słowa, które wszyscy, nawet dzieci, doskonale znali: *schnell, raus, Jude, Achtung, kaputt*. Ciężarówki stanęły w szeregu, przodem do Zatybrza, aby bez manewrowania odjechać. Więźniów przewożono do budynku szkoły wojskowej w palazzo Salviata i na via della Lungara. Ciężarówki jeździły w tę i z powrotem, aż w getcie pozostała tylko cisza smutnego jesiennego poranka, szum deszczu, trzask drzwi poruszanych wiatrem, przemoczone części odzieży porzucone na środku ulicy.

Na tę akcję do Rzymu przybył dodatkowy oddział SS. Nowo przybyli ze złośliwą ciekawością poprosili swoich kolegów, by przejechali przez plac św. Piotra, a

ponieważ było to możliwe bez wielkiego zbaczania z drogi, pojechano tam. Ciężarówka, z ładunkiem ludzi, którzy krzyczeli, płakali, modlili się, dosłownie otarły się o granicę między Włochami i Państwem Miasta Watykańskiego (wyznaczają ją kamienne płyty chodnika). Z tego powodu ambasador Trzeciej Rzeszy przy Stolicy Apostolskiej Ernst von Weizsäcker napisał do Berlina, że akcję przeprowadzono „prawie że pod oknami papieża”. Prawdę mówiąc, podjęto próbę kontaktu: Pius XII nakazał sekretarzowi stanu Luigiemu Maglionemu wezwać niemieckiego ambasadora i zażądać interwencji w celu wstrzymania deportacji. W przeciwnym razie Watykan miał protestować. Odnotowują to dokumenty watykańskie, nie niemieckie.

Kilkudziesięciu aresztowanym osobom, które nie były Żydami, udało się wyjść na wolność. Pewna rodząca kobieta została przeniesiona na dziedziniec, nowo narodzone dziecko natychmiast oficjalnie zostało aresztowane. W nocy z niedzieli na poniedziałek 18 października więźniów ustawiono w kolumny, które przemaszerowały na stację kolejową Tiburtina. Tam załadowano ich do bydłowych wagonów, które następnie zaplombowano. Jechali tydzień w nieludzkich warunkach, aż dotarli do miejsca przeznaczenia, którym był obóz koncentracyjny w Auschwitz.

25 października 1943 roku dziennik „L'Osservatore Romano” opublikował artykuł wychwalający papieża. Można było w nim przeczytać: „Wobec mnogości nieszczęść ojcowska miłość Ojca Świętego, który nie zatrzymuje się w obliczu żadnego konfliktu ani też żadnej narodowości, religii czy pochodzenia, stała się jeszcze silniejsza”. Eksperci od dobierania słów byli w stanie odnieść słowo „pochodzenie” do tragicznej kwestii żydowskiej. Zauważył to także ambasador von Weizsäcker, który wysłał do Berlina przetłumaczony artykuł, dodając do niego list: „Papież, choć naciskany ze wszystkich stron, nie pozwolił, aby zmuszono go do jednoznacznego oceniania deportacji Żydów z Rzymu (...), i tylko nieliczni odczytują ten tekst jako aluzję, dosyć ogólną, do kwestii żydowskiej”. I dalej: „Można powiedzieć, że cała ta sprawa, tak nieprzyjemna dla relacji niemiecko-watykańskich, została już załatwiona”.

Rzymscy Żydzi zostali zlikwidowani. Nie przypadkiem monsignor Montini

zanotował w swoim dzienniku: „Ci Żydzi nie wrócą już do swoich domów”. W ciągu kilku dni po przybyciu do Auschwitz prawie wszyscy zginęli. Niektórzy zmarli już w czasie podróży.

W 1963 roku w pewnym berlińskim teatrze wystawiono sztukę Rolfa Hochhutha zatytułowaną *Der Stellvertreter*, po włosku *Il Vicario*, czyli *Namiestnik*. Sztuka trafiła na sceny w Londynie i Nowym Jorku, zabroniono zaś jej wystawiania w Rzymie, ponieważ uznano, że obraża głowę obcego państwa, czyli Watykanu. Aktorom Gian Marii Volonté i Carlowi Cecchiemu udało się jednak zorganizować przedstawienie po kryjomu. Autor sztuki zarzucał papieżowi, że pozostał obojętny wobec oczywistych dowodów na to, co się działo w obozach zagłady. Papieża Pacellego oskarżono też o to, że swoje decyzje uzależniał od kalkulacji finansowych. W jednej z okrutnych scen Kurt Gerstein – postać historyczna, świadek mordowania ludzi w komorach gazowych – skierowuje prośbę do papieża w trakcie aresztowania rzymskich Żydów.

Ten dramat, niezbyt wybitny i niekiedy odbiegający od faktów, sprawił jednak, że nagle zaczęto mówić o kwestii do tej pory przemilczanej: o postawie Piusa XII wobec Holokaustu. To kwestia złożona, na jej temat istnieje bogata bibliografia, a sama Stolica Apostolska niezbyt chętnie udostępnia badaczom swoje archiwa.

Opowieść o tym, co się wtedy wydarzyło, gdyby nie chodziło w niej o tragedię jednego narodu i całej ludzkości, mogłaby zostać uznana za scenariusz filmu szpiegowskiego.

W lipcu 1942 roku ze Szwajcarii napłynęły pierwsze prawdziwe wiadomości o nazistowskich mordach, które Hitler zresztą zapowiadał w swojej książce *Mein Kampf* wydanej w 1925 roku. Podczas wizyty w Zurychu niemiecki przemysłowiec Eduard Schulte, administrator ważnej spółki górniczej, która miała dobre kontakty z władzami Trzeciej Rzeszy, powiedział swojemu przyjacielowi Isidorowi

Koppelmanowi, że w kwaterze głównej Führera planuje się deportacje europejskich Żydów na wschód, gdzie zostaną masowo zgładzeni za pomocą kwasu cyjanowodorowego. Koppelman natychmiast poinformował o tym Benjamina Sagalowitza, który pracował w Szwajcarskim Zrzeszeniu Wspólnot Żydowskich. Ten uznał, że to wiadomość niezwyklej wagi, i powiadomił o tym Gerharta Riegnera, który w owym czasie w Genewie kierował Światowym Kongresem Żydowskim.

Spotkali się i razem starali ustalić, co wiedzą na ten temat, na podstawie różnych fragmentarycznych informacji z mniej lub bardziej bezpośrednich źródeł. Odrzucili hipotezę o prowokacji i uznali, że to zasadniczo prawdziwe wiadomości, tym bardziej że tym razem informatorem był Niemiec, zdeklarowany antynazista, a nie Żyd. Jednym z argumentów była też analiza tekstów Hitlera, wcześniej w większości pomijanych, w których przyszły dyktator wprost przedstawiał swój projekt zagłady. Jeszcze bardziej przekonującym dowodem były aresztowania i łapanki, do jakich dochodziło w strasznym lipcu 1942 roku we wszystkich głównych miastach okupowanych przez nazistów.

Po konsultacji z dyrekcją Kongresu w Nowym Jorku 8 sierpnia Riegner udał się do wicekonsula amerykańskiego w Genewie i przekazał mu, co wie o kwestii żydowskiej. Rozmowa była długa i szczegółowa, wiadomości analizowano bardzo skrupulatnie i na tej podstawie sporządzono depeszę dla Departamentu Stanu w Waszyngtonie. Podobną wizytę Riegner złożył w konsulacie brytyjskim. Skutki były tragiczne: ani w Waszyngtonie, ani w Londynie nikt nie potraktował sprawy poważnie. W Londynie jeden z urzędników, który przeczytał depeszę, zanotował na marginesie: „Szalone głosy Żydów spowodowane strachem”.

Dopiero 28 sierpnia raport Riegnera dotarł do rabina Stephena S. Wise'a, przewodniczącego Światowego Kongresu Żydowskiego w Nowym Jorku, który powiadomił o sprawie sędziego Sądu Najwyższego Feliksa Frankfurtera, wpływowego członka amerykańskiej wspólnoty żydowskiej. Stamtąd wiadomość przekazano do Białego Domu.

W tym czasie alarmujące wieści dotarły też do Watykanu i do Czerwonego Krzyża. Obydwie instytucje zareagowały wymijającym stwierdzeniem, że nie można

zweryfikować tych pogłosek. Trzeba było czekać do 17 grudnia, aby na podstawie innych szczegółów, które wypłynęły, rządy państw sprzymierzonych opublikowały w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie oświadczenie na temat tak zwanego „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”: „Relacje nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do faktu, że władze niemieckie wprowadzą w czyn zamiar wielokrotnie podkreślany przez Hitlera, aby całkowicie wymordować naród żydowski w Europie”.

Dalej podawano przerażające szczegóły: „Ze wszystkich okupowanych terenów Żydzi są deportowani w straszliwych warunkach i z niezwykle brutalnością do Europy Wschodniej (...) ci, którzy są zdolni do pracy, powoli wymierają w obozach. Chorzy umierają z zimna i z głodu oraz masakrowani w masowych egzekucjach. Liczba ofiar tego krwawego okrucieństwa sięga setek tysięcy istnień ludzkich”.

W rzeczywistości liczba ofiar przekroczyła już wtedy dwa miliony. Dokument ten ma niezwykle wartość historyczną, bo poczynając od grudnia 1942 roku, nikt, kto sprawował odpowiedzialną państwową funkcję, nie mógł mówić, że nie wiedział o masowej zagładzie Żydów.

Jak zareagował Watykan? Stolica Apostolska nie sygnowała deklaracji podpisanej przez jedenaście rządów, a także przez francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Tydzień później, to znaczy w wigilię Bożego Narodzenia, papież Pacelli wygłosił radiowe orędzie, w którym poruszał kilka tematów politycznych. Potępiał na przykład komunizm (ale nie nazizm), wspominał o ofiarach wojny, żołnierzach poległych na różnych frontach, wygnańcach, ofiarach bombardowań; wyrażał życzenie, by ludzie bardziej zjednoczyli się z Bogiem, i zakończył słowami: „Ludzkość musi pamiętać o setkach tysięcy osób, które bez żadnej własnej winy, czasami jedynie z powodu swojej przynależności narodowej lub pochodzenia, są skazywane na śmierć lub stopniowe wyniszczenie”.

Papieskie „życzenie” – taka była odpowiedź na deklarację sprzymierzonych rządów, w której padały słowa, takie jak „Żyd”, „ludobójstwo”, „barbarzyństwo”.

Sformułowania Piusa XII, w bezdusznym języku dyplomacji, były jasne dla osób znających temat, lecz dla zwykłych wiernych pozostały enigmatyczne. A przecież papież Pacelli już wszystko wiedział. W książce *Pio XII, un uomo sul trono di Pietro* („Pius XII, człowiek na Piotrowym tronie”) Andrea Tornielli przytacza świadectwa osób, które widziały, że „płakał jak dziecko”, poruszony strasznymi wieściami. Nie zareagował jednak i o motywach, które skłoniły go do takiej bierności, specjaliści dyskutują od lat.

Na pewno na jego zachowaniu zaciążyły wieki antysemitycznej tradycji, liturgii mówiącej o „perfidnych Żydach”, narodzie bogobójców i mordercach Chrystusa. Słowa ewangelisty Mateusza (przez wielu egzegetów uważane za dyskusyjne): „A cały lud zawołał: «Krew jego na nas i na dzieci nasze»”, odczytywano jako napiętnowanie całego ludu, i to na wieki wieków. Nawet jeżeli pominie się szczególnie okrutne pogromy, społeczność chrześcijańska patrzyła na Żydów jak na ludzi gorszej kategorii i zdrajców, którzy zasługują co najwyżej na egzystencję na marginesie społeczeństwa. To papież Paweł IV w 1555 roku zamknął ich w gettach na terenie Państwa Kościelnego, nakazując im nosić jako znak rozpoznawczy żółte nakrycie głowy. Katolicki teolog-dysydent Hans Küng napisał: „Rasistowski antysemityzm, który w Holokauście osiągnął najstraszniejsze apogeum, nie byłby możliwy bez blisko dwóch tysięcy lat wcześniejszego antyjudajizmu Kościoła chrześcijan”.

Istnieje wiele dokumentów poświadczających taką mentalność. Niezwykle wymowny jest list delegata apostolskiego Angela Giuseppe Roncallego, przyszłego papieża Jana XXIII, jaki wysłał ze Stambułu do kardynała Luigi Maglione, watykańskiego sekretarza stanu:

To uzupełnienie mojego raportu nr 4332 z 20 sierpnia dla biura prasowego, dotyczące żądań, jakie są mi przedstawiane w imieniu Izraelitów. Ci bowiem pragną, by Stolica Apostolska ułatwiła Żydom opuszczenie terytorium Włoch (...). Wyznam Stolicy Apostolskiej, że ta wędrówka Żydów do Palestyny, niemal odbudowywanie dawnego ich królestwa, poczynając od opuszczenia przez nich Włoch, budzi we mnie pewne obawy. To, co czynią ich rodacy lub polityczni przyjaciele, jest zrozumiałe. Nie wydaje mi się jednak rzeczą słuszną, aby prosta i wzniosła posługa miłości Stolicy Apostolskiej powinna dawać okazję lub choćby pretekst do podejrzeń, że współdziała pośrednio lub bezpośrednio w realizacji tego mesjańskiego snu (...). To pewne, że odbudowanie Królestwa Judy i Izraela jest tylko utopią.

Monsignor Roncalli napisał ten list 4 września 1943 roku. Cztery dni później doszło do zawieszenia broni, Niemcy stali się okupantami Włoch i rozpoczęli także tutaj, jak w innych krajach Europy przez nich zajmowanych, polowanie na Żydów. Roncalli, pomimo swoich wielkich zalet czysto ludzkich i religijnych, których dowody dał później, był spadkobiercą klimatu, w jakim został wychowany. Bardzo charakterystycznym zdarzeniem była audiencja, jakiej Pius X udzielił Theodorowi Herzlowi, założycielowi syjonizmu. Sarto, nim został papieżem, podobnie jak później Roncalli, był patriarchą Wenecji, a także człowiekiem dobrym i łagodnym, lecz w sprawach politycznych tak nieustępliwym, że liberalnych katolików określił mianem „wilków w owczej skórze”.

26 stycznia 1904 roku przyjął więc Herzla i już sam fakt, że zgodził się spotkać z człowiekiem, który walczył o to, aby Żydzi mogli mieć swoją ojczyznę w Palestynie, był zachęcającym znakiem przychylności. Gdy jednak Herzl poprosił, by papież poparł jego sprawę, Pius X zdecydowanie odmówił, co Herzl odnotował w dziennikach: „Nie powstrzymamy Żydów przed udaniem się do Jerozolimy, nigdy jednak nie będziemy tego popierać (...) Żydzi nie uznali naszego Pana, więc my nie możemy uznać narodu żydowskiego”. Po czym dodał powód bardziej teologiczny: „Oczywiście, że modlimy się za nich, aby zobaczyli światło. Właśnie dzisiaj Kościół celebrował święto niewierzących, którzy cudem się nawrócili, jak Paweł na drodze do Damaszku. Tak więc jeżeli Pan uda się do Palestyny i zamieszka tam ze swoim ludem, będziemy gotowi z naszymi kościołami i kapłanami wszystkich was ochrzcić”.

Papież Sarto poruszył delikatną kwestię chrztu, rytu inicjacyjnego, podstawy chrześcijańskiej egzystencji, początku życia w Duchu. W Domu Katechumenów, ufundowanym przez Pawła III w 1543 roku, dokonywały się konwersje Żydów zwieńczone właśnie chrztem. Często się zdarzało, że żydowskie dzieci chrzczono podstępnie i bez wiedzy ich rodziców. Kościół jednak uznawał taki chrzest, nawet udzielony przez osobę świecką, za równie ważny, byle użyto przy tym wody i

odpowiedniej rytualnej formuły. Od tej chwili ochrzczone dziecko nie mogło pozostać z rodzicami, jeżeli ci też się nie nawrócili na katolicyzm.

Nieodwracalność konsekracji chrzcielnej przyczyniła się do wielu dramatów zaraz po wojnie, gdy odkryto, że ocalałe żydowskie dzieci, ukryte w jakimś klasztorze, były chrzczone: wyłaniał się bowiem delikatny problem ich obecnej religii. 20 października 1946 roku Święte Oficjum przesłało nuncjuszowi apostolskiemu Angelowi Roncallemu taki dokument:

Jeżeli chodzi o dzieci żydowskie, które w czasie niemieckiej okupacji zostały powierzone instytucjom i rodzinom katolickim i o których oddanie obecnie proszą instytucje żydowskie, Kongregacja Świętego Oficjum zdecydowała, co następuje: 1) unikać, na ile to możliwe, udzielania instytucjom żydowskim odpowiedzi pisemnych i czynić to ustnie; 2) za każdym razem, gdy trzeba będzie odpowiedzieć, należy poinformować, że Kościół musi zbadać każdy przypadek osobno; 3) dzieci ochrzczone nie można powierzyć instytucjom, które nie będą w stanie zapewnić im chrześcijańskiego wychowania; 4) dzieci niemające rodziców, którymi już zajął się Kościół, nie powinny przez Kościół być opuszczane lub powierzane osobom niemającym do nich żadnego prawa, chyba że mogą to jakoś poświadczyć. Dotyczy to oczywiście tylko dzieci, które nie zostały ochrzczone; 5) jeżeli dzieci zostały powierzone Kościołowi przez rodziców, którzy teraz domagają się ich oddania, będą mogły zostać do nich odesłane, pod warunkiem że nie zostały jeszcze ochrzczone. Zaznaczamy, że te uwagi Świętego Oficjum zostały zaaprobowane przez Ojca Świętego.

Dyrektywa Świętego Oficjum we właściwym dla niego zagmatwanym biurokratycznym stylu mówiła, że dzieci żydowskie, które zostały ochrzczone, nie powinny być oddawane rodzicom. Jeżeli ci oczywiście jeszcze żyli. Dokument ten, który wywołał wiele polemik, odkryto w 2004 roku w archiwach francuskiego Kościoła. Jednym z ciekawszych jego aspektów było to, że adresatem był sam Angelo Roncalli, który z drugorzędnej dyplomaty w Stambule został przez Piusa XII mianowany nuncjuszem (czyli ambasadorem) w Paryżu.

Roncalli zmienił jednak nie tylko stanowisko, lecz także mentalność. Zdaje się, że uświadomiwszy sobie Shoah, wziął na siebie ciężar tego horroru. W Paryżu w 1946 roku przyszły papież spotykał się i przyjacielsko rozmawiał z wielkim rabinem Palestyny, Herzogiem, a głównym tematem tych rozmów było oddanie żydowskich dzieci ocalałych z zagłady dzięki temu, że udzielono im schronienia w klasztorach katolickich. Swoim listem z 19 lipca Roncalli upoważniał rabina „do wykorzystania

jego autorytetu wobec zainteresowanych instytucji, aby (...) dzieci mogły wrócić do środowisk, z których się wywodzą”. Jego zachowanie było więc sprzeczne z tym, które w tym samym roku zalecało Święte Oficjum.

Minęło sporo czasu, zanim problem ten znalazł rozwiązanie godne jego historycznej doniosłości. Jeszcze w 1953 roku, jak relacjonował historyk Kościoła Giovanni Miccoli, dramat ponownie odżył we Francji i dotyczył dwójki żydowskich dzieci przyjętych do żłobka w Grenoble w czasie nazistowskiej okupacji. Była to sławna sprawa rodzeństwa Finaly.

Dyrektorka instytucji, która z własnej inicjatywy ochrzciła dzieci, nie chciała ich oddać ciotce. Spór toczył się długo (ponad siedem lat), w różnych sądach, a pewien zainteresowany kardynał skontaktował się ze Świętym Oficjum. 23 stycznia 1953 roku otrzymał z Rzymu odpowiedź: „Kościół ma obowiązek – i nie może się od niego uchylić – bronięcia wolnej decyzji tych dzieci, które na mocy chrztu do niego należą”. List zachęcał do „sprzeciwiania się, na ile to możliwe, oddaniu dzieci, stosując na mocy *modum facti* wszystkie środki mogące opóźnić wykonanie wyroku sądowego, który narusza wyżej wymienione prawa”.

Ta bolesna i kontrowersyjna sprawa, wspomina Miccoli, zakończyła się oddaniem dzieci, także dzięki interwencji ważnych osób z francuskich kręgów katolickich. Bohaterem podobnego dramatu był francusko-izraelski historyk Saul Friedländer, który w czasie nazistowskiej okupacji także znalazł schronienie w pewnej katolickiej instytucji. W tym przypadku pojawił się nawet jezuita, który przekonał go, by wrócił do religii swoich ojców, gdy ten miał pewne wątpliwości. W takich sytuacjach zderzają się ze sobą prawa naturalne oraz mocy sakramentu. Sakrament jednak jest wiążący jedynie wtedy, gdy dana osoba za taki go uważa, prawo naturalne zaś ma obiektywną moc, której nie można zanegować. Zaskakuje więc, że nawet po wydarzeniach, o których za chwilę wspomnę, pojawiały się teksty katolickich autorów utrzymujących, że Kościół jest „więźniem”, ponieważ, jak stwierdza katolicki pisarz Vittorio Messori, „chrzest, prawomocnie udzielony, czyni człowieka chrześcijaninem *ex opere operato*, odciskając nieusuwalny znak (tak zwany charakter sakramentalny) przynależności do dzieci Kościoła, który uważając się za matkę,

nigdy nie zgodzi się opuścić kogoś, kto na mocy tego sakramentu stał się na wieczność członkiem jego rodziny”.

W tych konfliktach, a było ich wiele, ścierały się nie tylko dwa prawa, lecz także dwie koncepcje, które można nazwać praktycznymi. Są one takie same jak w innych przypadkach, które w tej książce staram się zilustrować. Z jednej strony Kościół, hierarchowie i wierni o szerokich horyzontach, otwarci na miłosierdzie i ducha Ewangelii. Z drugiej – Stolica Apostolska, Watykan, kierujący się wymogami polityki i dyplomacji. Oto istota sporu, nad którym od ponad pół wieku się dyskutuje. Tu zaczyna się rozłam i (nawiązując do tematu tego rozdziału) sprzeczność, na pozór niewytłumaczalna, między udzielaniem prześladowanym pomocy w klasztorach i innych instytucjach katolickich a bezdusznym milczeniem lub co najmniej pełną rezerwy i ostentacyjną ostrożnością Kościoła.

13 czerwca 1960 roku Roncalli, który był już papieżem o imieniu Jan XXIII, przyjął na audiencji historyka Jules'a Isaaca. Był on wraz z innymi intelektualistami autorem sławnych „10 punktów z Seelisbergu”, poprzez które po tragedii Shoah starano się nawiązać dialog między chrześcijanami i Żydami. Wcześniejsze próby były raczej mało zachęcające. Spotkanie Isaaca i Piusa XII 16 października 1949 roku zakończyło się źle, mimo że dziwnym zbiegiem okoliczności odbyło się dokładnie sześć lat po deportacji Żydów z Rzymu. Historyk przyniósł papieżowi książeczkę ze wspomnianymi „punktami”, a Pius XII chłodno odpowiedział: „Proszę położyć ją na stole”.

Za Jana XXIII sprawy potoczyły się inaczej. Papież nie tylko życzliwie przyjął dokument, lecz gdy Isaac, którego rodzina zginęła w Auschwitz, spytał, czy może żywić nadzieję na wsparcie, usłyszał z ust papieża słowa: *Vous avez droit à plus que l'espoir* – „Ma pan do tego prawo”. Roncalli użył właśnie słowa „prawo”, a nie tylko „nadzieja”. Mimo to w dzienniku Roncalli zamieścił na temat tego spotkania jedynie lakoniczną notatkę liczącą pięć słów: „Interesujący Żyd prof. Jules Isaac”.

Papież Roncalli zmarł 3 czerwca 1963 roku, Jules Isaac trzy miesiące później. Nie

mogli więc być świadkami opublikowania deklaracji *Nostra aetate*, do której bez wątpienia przyczyniło się także ich spotkanie. Soborowa deklaracja promulgowana w 1965 roku głosiła:

Zgłębiając tajemnicę Kościoła, święty Sobór obecny pamięta o więzi, którą lud Nowego Testamentu zespolony jest duchowo z plemieniem Abrahama (...). Przeto nie może Kościół zapomnieć o tym, że za pośrednictwem owego ludu, z którym Bóg w niewypowiedzianym miłosierdziu swoim postanowił zawrzeć Stare Przymierze, otrzymał objawienie Starego Testamentu (...). Wierzy bowiem Kościół, że Chrystus, Pokój nasz, przez krzyż pojednał Żydów i narody i w sobie uczynił je jednością (...). Pamięta także, iż z narodu żydowskiego pochodzili Apostołowie, będący fundamentami i kolumnami Kościoła, oraz bardzo wielu spośród owych pierwszych uczniów, którzy ogłosili światu Ewangelię Chrystusową (...). A choć władze żydowskie wraz ze swymi zwolennikami domagały się śmierci Chrystusa, jednakże to, co popełniono podczas Jego męki, nie może być przypisane ani wszystkim bez różnicy Żydom wówczas żyjącym, ani Żydom dzisiejszym (...). Poza tym Kościół, który potępia wszelkie prześladowania, przeciw jakimkolwiek ludziom zwrócone, pomnąc na wspólne z Żydami dziedzictwo, oplakuje – nie z pobudek politycznych, ale pod wpływem religijnej miłości ewangelicznej – akty nienawiści, prześladowania, przejawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom⁴³.

Te słowa zrodziły wzruszenie i nadzieję i mimo wszystko zmieniły postawę Kościoła, przynajmniej części jego członków. Znikła odwieczna nienawiść do Żydów, pojęcie „narodu bogobójców”, wzmianki o „perfidnych Żydach” w paschalnej liturgii. Uroczyście i po raz pierwszy uznano, że chrześcijaństwo zrodziło się z judaizmu, że sam Jezus był Żydem i pozostał nim do śmierci. Deklaracja *Nostra aetate* rozpoczęła nową erę w bolesnych relacjach między katolikami i Żydami, „starszymi braćmi”, jak nazwał ich Jan Paweł II podczas wizyty w rzymskiej synagodze w kwietniu 1986 roku.

Bez wątpienia papież Pacelli użył słów zbyt ostrożnych i słabych w obliczu niewzruszonej woli nazistów pragnących zgładzić Żydów. Uświadamiał sobie, że zachował się nieadekwatnie wobec grozy wydarzeń. W październiku 1941 roku, w samym środku wojny, pytał nuncjusza Roncallego, „czy jego milczenie w sprawie postępowania nazistów nie zostanie źle osądzone”.

Poza tym wszyscy wiedzą, z jaką determinacją i naciskiem Kościół potrafi

przemawiać także dzisiaj, gdy uważa coś za ważne dla swej misji duchowej lub swych doczesnych prerogatyw. Dlaczego jednak Pius XII zachowywał się aż tak, powiedzmy, „rozsądnie”? Jak już powiedzieliśmy, Kościół miał za sobą wieki przesądów i uprzedzeń w stosunku do Żydów, co zresztą wpajano w każdym seminarium.

Papież i większość osób w Kurii byli przesyleni tą kulturą, mieli bardzo negatywną wizję judaizmu, z którego chrześcijaństwo co prawda wyrosło, lecz którego jednak w pewnym sensie dramatycznie się wyrzekło. Stara religia odrzuciła wyższość i wyłączność prawdy nowej religii; judaizm traktował Jezusa zwanego Chrystusem, który według katolicyzmu jest Odkupicielem ludzkości, jak jednego z wielu proroków. Zdaje się, że nazistowski antysemityzm w początkowej fazie miał pewne punkty wspólne z ortodoksyjnym katolicyzmem. Oczywiście nie chodzi o obozy zagłady, lecz o niechęć do narodu żydowskiego.

Kolejną kwestią było niedocenianie wieści o zagładzie, co trwało bardzo długo i wynikało zarówno z braku rzetelnych informacji, jak i z absolutnie niespotykanego dotąd kryminalnego projektu nazistów. To zdawało się niewiarygodne, a głosy stopniowo docierające do Watykanu traktowano jako przesadę. Ponadto, jak zauważył Renato Moro w książce *La Chiesa e lo sterminio degli ebrei* („Kościół i zagłada Żydów”), na totalitarne prawicowe ideologie we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Chorwacji (gdzie ustasze katolika Ante Pavelića dopuścili się straszliwych zbrodni) Watykan patrzył przychylnie i wierzył (lub miał nadzieję), że ich swego rodzaju duchowość oraz nawiązanie do parareligijnego sacrum ewentualnie stanie się środkiem, który prędzej czy później doprowadzi ludzi do prawdziwej wiary.

Od dawna istniał też już konflikt z nowożytnymi ideami, otwarcie rozpoczęty za papieża Grzegorza XVI, który w 1830 roku mówił o boskim pochodzeniu papieżstwa, potępiając przy tym demokrację, wolność słowa i druku, równouprawnienie. Według Kościoła wszystko to były zatrute owoce oświecenia, które odwiodły wiernych od cierpliwego posłuszeństwa wobec hierarchii. W tej wojnie przeciw „postępowi”, w którą potem dramatycznie zaangażował się także Pius IX, Kościół był bardzo

zaniepokojony swobodą obyczajów, libertyńskim „modernizmem” Anglosasów, oświeceniowymi tendencjami świeckiej Europy, lecz nie mroczną ideologią Trzeciej Rzeszy.

Później się przekonano, że w Niemczech także katolicy cierpieli z powodu okrucieństwa systemu, że prześladowano tam wiernych i kapłanów, zamykano ich w obozach koncentracyjnych, zabijano. Gestapo przesłuchiwało co najmniej dziesięć tysięcy księży i dziesiątki z nich zostało zamordowanych. Podnosiło się wiele głosów, aby papież wyraźnie zaprotestował nie tylko w sprawie Żydów, lecz również w imieniu swoich współbraci w wierze. Jednak nawet w tym wypadku Pius XII nie zareagował tak energicznie, jak należało. Według zgodnej opinii osób z Kurii obawiał się bowiem, że zajęcie wyraźnego stanowiska czy wyrażenie poparcia skomplikowałyby sprawy i ewentualnie przyczyniło się do powstania schizmy w łonie katolicyzmu niemieckiego silnie zabarwionego duchem patriotycznym i antysemickim. Ponadto nazistowskie Niemcy zawzięcie walczyły ze Związkiem Radzieckim, prześladowcą Kościoła, propagatorem ateistycznego materializmu. Między jednym a drugim złem – zakładając, że Rzym oba te systemy uważał za zło – Niemcy na pewno reprezentowały to mniejsze.

Wreszcie należy wziąć pod uwagę to, że każdego dnia z całego świata napływało mnóstwo próśb o pomoc. Te krzyki, niemal zawsze pełne rozpacz, były echem przemocy, tortur, gwałtów, biedy i zniszczeń wywołanych przez wojnę. Każdy z tych głosów domagał się uwagi i pierwszeństwa. W tym chaosie trudno było ustalić pewną hierarchię i Shoah, którego rozmiarów i wagi jeszcze nie doceniano, mieszał się z setkami tragedii spowodowanych przez wojnę światową.

Pius XII nie zmienił swego postępowania nawet wtedy, gdy na jesieni 1942 roku zrozumiano, że szala zwycięstwa zdecydowanie przechyliła się na korzyść aliantów; nie zmienił postawy po wkroczeniu Amerykanów do Rzymu 4 czerwca 1944 roku ani też gdy rząd Badoglio podważył faszystowskie prawa wydane w 1938 roku. Po wkroczeniu aliantów rasistowskie prawa zostały stopniowo zniesione. Wpływowy jezuita, ojciec Pietro Tacchi Venturi, który swego czasu starał się „pojednać” papieża i reżim faszystowski, zwrócił się do sekretarza stanu Maglione z

propozycją, by od dyskryminujących praw uwolniono jedynie tych Żydów, którzy nawrócili się na katolicyzm. Żydzi z pochodzenia, którzy przeszli na katolicyzm, ewentualnie mogli być uznani za „Aryjczyków”.

Bierność Piusa XII wobec nazistowskiej nawały każe jednak pytać, co robili inni, to znaczy potęgi, które walczyły z hitlerowskimi Niemcami, a zwłaszcza Stany Zjednoczone. Odpowiedź jest znana: uczyniły mało lub prawie nic, przynajmniej do stycznia 1944 roku. Rozporządzenie Departamentu Stanu nakazywało amerykańskim konsulom odmawiać wizy wjazdowej tym, którzy mogliby stać się ciężarem dla społeczeństwa: Stany Zjednoczone były zaangażowane w wojnę, jednak nawet przemysł zbrojeniowy nie zdołał zlikwidować bezrobocia.

Gdy stopniowo wiadomości na temat zagłady stały się bardziej pewne, dyspozycje te złagodzone. Na przykład konsulom pozwolono brać pod uwagę nie tylko umiejętności zawodowe ubiegających się o wizę, lecz także *affidavit* (oświadczenie) amerykańskich krewnych, którzy gwarantowali im utrzymanie. Były to środki niewystarczające wobec ogromu tragedii, na co prawdopodobnie wpłynęły postawy antysemickie widoczne także w Stanach Zjednoczonych. Prezydent Franklin Delano Roosevelt (w latach 1933–1945) doskonale o tym wiedział i gdy tworzył komitet mający koordynować wysiłki rządu, nazwał go „na rzecz uciekinierów politycznych” lub „wojennych” (War Refugee Board), bo nie chciał mówić o „uciekiniarach żydowskich”.

Gdy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna, sytuacja jeszcze się pogorszyła, o ile to możliwe. Bramy pozwalające wjechać do Stanów Zjednoczonych, które najpierw się uchyliły, zaczęły się znowu zamykać, czy to z powodów obiektywnych spowodowanych przez konflikt, czy też na skutek obaw ewentualnych infiltracji szpiegowskich. W przypadku Żydów chodziło o przyjęcie obywateli należących do wrogiego państwa. Pośród wielu niebezpieczeństw było także to, że emigrant mający krewnych, którzy pozostali w Niemczech, mógłby być szantażowany przez nazistów. O takim przypadku mówi wspaniała powieść Kathrine Kressmann Taylor zatytułowana *Adresat nieznanym*.

Wiele razy zadawano również pytanie, dlaczego Anglicy i Amerykanie, gdy już

wiedzieli o obozach zagłady, nie zbombardowali torów kolejowych, które wykorzystywano do transportu więźniów. W tamtych miesiącach wielokrotnie ponawiano prośby, aby podjęto takie działania, odpowiedzi jednak zawsze były negatywne, a to z różnych przyczyn. Usprawiedliwiano się przede wszystkim trudnościami natury balistycznej: w latach czterdziestych systemy celownicze samolotów dawały rezultaty raczej przybliżone. Dlatego też zbombardowanie obozu spowodowałoby masakrę, w której zginęliby także więźniowie. Ponadto mówiono, że siły powietrzne potrzebne do takiej akcji, czyli bombowce z eskortą myśliwców, musiałyby zostać odwołane z teatru działań wojennych w chwili, gdy alianci starali się doprowadzić do zwycięskiego zakończenia wojny. W tym uwidaczniało się przeświadczenie, że przyspieszenie końca wojny tak czy inaczej oznacza ocalenie wielu ludzi znajdujących się w rękach nazistowskich oprawców.

Ostatni argument, nigdy otwarcie niewypowiedziany, a jednak mający wpływ na sytuację, był taki: amerykańscy politycy niechętnie narażali życie własnych żołnierzy dla ocalenia obywateli innych krajów. Także w tym wypadku przeważała stara reguła, według której korzyści wyborcze zawsze i wszędzie są ważniejsze od ideałów humanitarnych.

W 2008 roku z tego rodzaju pytaniami zwrócono się do Elie Wiesela, ocalałego z Shoah, laureata Nagrody Nobla, który tak odpowiedział:

Wiele razy pytałem różnych prezydentów amerykańskich, dlaczego Stany Zjednoczone, choć wiedziały, co się dzieje w obozach koncentracyjnych, nie zrobiły nic, aby zagładę powstrzymać. Lęk przed tym, by nie zabić także więźniów, to znana wymówka. Za każdym razem, gdy ja i moi przyjaciele słyszeliśmy samoloty alianatów lecące nad naszymi głowami, z całego serca pragnęliśmy, aby spadły bomby. Byłaby to śmierć lepsza od tej w komorach gazowych. Tak czy inaczej, alianci mogli zbombardować tory kolejowe wiodące do Auschwitz. Tym sposobem ocalono by tysiące istnień Żydów węgierskich, ostatnich wysłanych do obozu, gdy już cały świat wiedział o rozgrywającym się tam horrorze. Nigdy nie zapomnę spotkania z Nahumem Goldmanem, swego czasu prezydentem Światowego Kongresu Żydowskiego, który po wojnie mi powiedział: „Wiedzieliśmy, a jednak milczeliśmy”. Wyrzuty sumienia dręczyły go przez całe życie.

Twierdzenie, że Pius XII był filonazistą lub „papieżem Hitlera”, jak prowokacyjnie zatytułowano jedną z książek na jego temat, byłoby historycznie niepoprawne i świadomie polemiczne. To prawda, że Pius XII bardzo szybko zrozumiał „diaboliczną” naturę nazizmu i cierpiał z powodu tragedii narodu żydowskiego.

Pomijając okoliczności, odebrane wykształcenie i silny antykomunizm, bierność wynikała z jego temperamentu. Widział wszystko jasno, nie był jednak w stanie przeskoczyć własnego cienia, jak mówi niemieckie przysłowie. Wolał utrzymywać Kościół ponad podziałami, nie opowiadać się po żadnej stronie, uważając się za „ojca wszystkich”.

Pomimo surowego i hieratycznego wyglądu papież był nieśmiały, wychowany na dyplomata, skłonny do wypełniania swoich obowiązków z biurokratyczną i pedantyczną wprost skrupulatnością. Mając przed sobą dzikie bestie, starał się łagodzić sytuację, pośredniczyć, działać roztropnie także dlatego, że hitlerowskie Niemcy postrzegał jako bastion przeciw bolszewizmowi. Ambasador Ernst von Weizsäcker tak go opisuje: „Zbyt wyrefinowany, zbyt mądry, zbyt rozsądny, zbyt dyplomatyczny, doskonały generał, który jednak nigdy nie był na froncie”. Różne zdarzenia, które wyszły na jaw w ostatnich czasach, potwierdzają tę niezwykle trafną ocenę ambasadora.

Historyczka Emma Fattorini odkryła pewien dokument, który przytacza w książce *Pio XI, Hitler, Mussolini. La solitudine di un papa* („Pius XI, Hitler, Mussolini. Samotność papieża”). Jasno z niego wynika, że na kilka dni przed śmiercią Pius XI przygotował mowę, w której piętnował klimat hipokryzji i infiltracji szpiegowskiej, jakie faszystowski reżim stosował wobec Kościoła, i ze wszystkich sił przeciwstawiał się „zabójczemu i samobójczemu szaleństwu zbrojeń”. Papież Ratti zamierzał wygłosić ją 19 lutego 1939 roku, w dziesiątą rocznicę pojednania⁴⁴, czym faszyci i sam Mussolini, przeczuwając jej wydźwięk, byli bardzo zaniepokojeni. Na skutek ciężkiej choroby papież zmarł 10 lutego, dziewięć dni przed planowanym wystąpieniem.

Zaraz po jego śmierci Pacelli, ówczesny sekretarz stanu, nakazał zniszczyć egzemplarz tej mowy, brudnopis zachował się jednak w archiwach. Nie był to wcale gest skromności. Wprost przeciwnie, podyktowało go przekonanie, że walczy się w słusznej sprawie, że działa się dla dobra Kościoła w momencie kryzysowym, u progu wojny, która, jak wiadomo, wybuchła już we wrześniu. Nie koniec na tym. Pacelli rozkazał także, by nie rozpowszechniano encykliki *Humani generis unitas*, w której

Pius XI potępiał totalitaryzmy wynoszące na piedestał państwo, rasę, klasę społeczną (a więc bolszewizm i nazizm). Encyklikę tę, która nigdy nie ujrzała światła dziennego, papież polecił napisać amerykańskiemu jezuitcie Johnowi LaFarge'owi, miała ona jednoznacznie pokazać, że Kościół krytykuje antysemityzm i rasizm. Także w tym wypadku Pacelli przekazał encyklikę do archiwum.

Pewne zdarzenie z 1938 roku doskonale ilustruje i potwierdza różnicę charakterów między Piusem XI i jego następcą Eugeniem Pacellim. 15 listopada tego roku, na dwa dni przed wydaniem przez Mussoliniego praw rasowych, papież Ratti wysłał do „L'Osservatore Romano” potępiającą je notę, zwłaszcza jeżeli chodziło o małżeństwa mieszane między Żydami i chrześcijanami. Gazeta opublikowała jednak wersję o wiele bardziej łagodną niż ta, którą przygotował papież. Kilka dni później, gdy minął kryzys w chorobie, która miała w końcu doprowadzić go do śmierci, papież zapytał, kto tak opracował jego tekst. Pacelli natychmiast odpowiedział: „Ja to uczyniłem”. Katolicki historyk Giovanni Sale, który w archiwach watykańskich przeanalizował dokumenty na ten temat, powiedział, że papież Ratti, pod względem temperamentu bardziej energiczny, „był zasmucony prawami rasistowskimi i cierpiał z tego powodu aż do końca swych dni”. Inaczej niż bardziej „dyplomatyczny” i mniej energiczny Eugenio Pacelli.

Różnice między tymi papieżami natychmiast zauważyły nazistowskie tajne służby. Pacelli został wybrany papieżem 2 marca 1939 roku. Następnego dnia niemiecka ambasada w Rzymie wysłała następującą depezę do Berlina: „Pacelli nie jest zaangażowany w politykę przemocy Piusa XI (...) wprost przeciwnie, wielokrotnie starał się iść na kompromis i wyraził pragnienie utrzymania z ambasadą przyjaznych stosunków”. Zatem naziści encyklikę *Humani generis unitas*, którą pragnął opublikować Pius XI, uważali za „politykę przemocy”.

Niezależnie od motywów, jakie nim kierowały, „milczeniu” Piusa XII nie da się zaprzeczyć. To nadal ciąży na tej postaci, niezależnie od cnót, takich jak rozwaga, roztropność, ostrożność. W monarchii absolutnej, jaką jest Kościół katolicki, gdzie

władcę uważa się za „nieomylnego”, zasługi i winy niemal automatycznie skupiają się w postaci, która ją oficjalnie reprezentuje. Jeżeli spojrzeć na fakty, widać, że różne instytucje kościelne postępowały w sposób dość otwarty. Wielu antyfaszystów i Żydów znalazło schronienie w klasztorach i kościołach, a szczęśliwcy (najczęściej ważne osobistości katolicyzmu, na przykład Alcide De Gasperi⁴⁵) nawet w obrębie samego Watykanu. Jednak po zakończeniu wojny podobne wsparcie otrzymali także liczni przywódcy i zbrodniarze nazistowscy, którym zagwarantowano paszporty i transport na statkach do Ameryki Południowej za pośrednictwem tak zwanej *the rat line* (linii szczurów).

Pius XII jest bez wątpienia postacią tragiczną tak pod względem tego, kim był w czasie wojennych wypadków, jak i z powodu zaniechania, jakiego się dopuścił – jego bardziej zdecydowane postępowanie prawdopodobnie przyniosłoby inne skutki. W tamtych latach Kościół potrzebował papieża proroka, zdolnego ukazać światu wartości ewangeliczne, a nie roztropność dyplomacji. Tak się jednak nie stało. W trzecim głosowaniu konklawe wybrało Pacellego, który z racji swego temperamentu absolutnie nie był prorokiem. Został wybrany szybko, lecz wcale nie jednogłośnie. Monsignor Tardini, bliski współpracownik Piusa XII, tak wyjaśniał napięcia w trakcie konklawe: „Kardynał Pacelli jest człowiekiem pokoju, a świat obecnie potrzebuje papieża wojny”. Prawdopodobnie wtedy nawet sobie nie wyobrażał, jak trafna była jego ocena.

W miarę upływu czasu, odkąd zaczęto mówić o tym problemie, Pius XII był różnie oceniany. Na skrajnie krytyczne stanowisko niemieckiego dramaturga Hochhutha hierarchia kościelna zareagowała postawą obronną i nie mniej skrajną, lekceważąc lub ukrywając fakty, co nie poprawiło dialogu.

12 marca 2000 roku papież Jan Paweł II, w podniosłej atmosferze Bazyliki św. Piotra, uroczyście poprosił o przebaczenie błędów i win dzieci Kościoła popełnionych wobec Żydów od czasów narodzin Jezusa. Oczywiście nie mógł powiedzieć, że chodzi także o grzech zaniechania jego poprzednika Eugenia Pacellego. W każdym razie był to dobry i stosowny gest, któremu niestety zaprzeczył następca Jana Pawła II Benedykt XVI, ogłaszając w grudniu 2009 roku „heroiczność

cnót” Piusa XII. Amos Luzzatto, były przewodniczący włoskiej wspólnoty żydowskiej, tak to skomentował: „Nie wiem, co się rozumie przez «heroiczność cnót» w teologii. W ogólnym znaczeniu «herosem» jest ktoś, kto ryzykuje własne życie, aby ocalić innych”. Nie był to przypadek papieża Pacellego. Miał on inne talenty: był zdolnym dyplomata, roztropnym pasterzem, inteligentnym mediatorem. Na pewno jednak nie był herosem.

⁴³ Źródło: <http://archidiecezja.lodz.pl/czytelnia/sobor/dvn.html>.

⁴⁴ Chodzi o pojednanie między Watykanem i Włochami zwieńczone zawarciem traktatów laterańskich i konkordatu (przyp. tłum.).

⁴⁵ Alcide De Gasperi (1881–1954) – włoski polityk, w latach 1945–1953 premier Włoch. Współzałożyciel Włoskiej Partii Ludowej (1919), poseł do parlamentu w czasie rządów Mussoliniego. W latach 1943–1954 był przewodniczącym Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej.

14. Dziewczyna, która zniknęła bez śladu

Chaotyczny, lecz interesujący splot ulic i placów na końcu corso Rinascimento świadczy o burzliwych przemianach urbanistycznych. Piazza delle Cinque Lune, piazza Sant'Apollinare, piazza Sant'Agostino, piazza di Tor Sanguigna – to miejsca bardzo znane, z których to chyba najbardziej tajemnicze pod względem topograficznym jest zarazem najpiękniejsze: chodzi o piazza delle Cinque Lune (plac Pięciu Księżyców). Wydaje się, że nazwa pochodzi od zajazdu, który w szyldzie miał pięć księżyców.

Piazza di Tor Sanguigna nazywa się od wzniesionej tam w XIII wieku wieży Sanguigni (obecnie jest to budynek mieszkalny). Mały plac Sant'Agostino nazwę wziął od kościoła pod takim wezwaniem, w którym znajduje się sławny obraz Caravaggia *Madonna pielgrzymów*; po prawej stronie placu jest wejście do siedemnastowiecznej Biblioteca Angelica, jednego z najbardziej zadziwiających i tajemniczych miejsc w Rzymie.

Także plac Sant'Apollinare wziął nazwę od starożytnego kościoła zwanego *in archipresbyteratu*, gdyż zarządzany był przez archiprezbitera. Został on ufundowany przez papieża Hadriana I, który w 780 roku poświęcił go patronowi Rawenny. Bazylikę ponownie wzniesiono od fundamentów z inspiracji Benedykta XIV (Prospero Lambertini, 1740–1758), który pochodził z Bolonii i został bohaterem komedii Alfreda Testoniego *Il Cardinale Lambertini* (1905). Słynął ze swobodnego sposobu bycia i dał wiele dowodów swej ekstrawagancji; na przykład często między jednym a drugim zdaniem wtrącał stanowczo *Cazzo!*⁴⁶ Robił to jako kardynał i nadal tak się wyrażał, gdy został papieżem. Pewnego razu powiedział: „Chciałbym uświęcić to słowo, udzielając odpustu zupełnego osobom, które wypowiedzą je dziesięć razy na dzień”.

Papież Lambertini był człowiekiem bezpośrednim, chodził po mieście jak zwykły ksiądz, wdawał się w rozmowy z ludźmi i jak prości ludzie się zachowywał.

Niejeden historyk porównuje go z papieżem Roncallim⁴⁷. W każdym razie to on powierzył architektowi Ferdinandowi Fudze (1699–1781) przebudowanie owego kościoła. W świątyni tej jest pochowany kompozytor epoki baroku Giacomo Carissimi, który był tam maestro di cappella. W jednej z tamtejszych krypt (o czym już wspomniałem w rozdziale 8.), pochowano też Enrica De Pedisa, zwanego „Renatinem”, jednego z bossów cieszącej się złą sławą bandy z Magliany. To dość dziwne miejsce spoczynku dla człowieka, który całe życie poświęcił zbrodni: zabójstwom, rabunkom, handlowi narkotykami, aż w końcu sam zginął z rąk konkurencyjnej bandy. Stało się to 2 lutego 1990 roku, gdy szedł ulicą del Pellegrino. Miał zamiar odmienić swoje życie, jednak zabrakło mu czasu.

To, że zawodowy przestępca został pochowany niczym papież, nie powinno dziwić. Kardynał Ugo Poletti, wikariusz Rzymu, zezwolił na to, otrzymawszy list od don Vergariego, byłego kapelana rzymskiego więzienia Regina Coeli, w którym ten między innymi pisał: „Pan Enrico De Pedis był wielkim dobroczyńcą ubogich, którzy przychodzą do tej bazyliki, i wspomógł wiele inicjatyw o charakterze religijnym i społecznym (...) po jego śmierci także jego rodzina kontynuuje dzieła miłosierdzia”. Argumenty lub obietnice musiały być przekonujące, a przynajmniej wystarczające.

Poza tym, jeżeli sięgniemy do historii, znajdziemy podobne przypadki, zawsze związane z hojnymi ofiarami. Sławna Fiammetta, prostytutka wyższych sfer, według prawa powinna zostać pochowana w „niepoświęconej ziemi”, a złożono ją w kościele św. Augustyna i do dzisiaj w jego pobliżu znajduje się nawet placyk jej imienia (piazza Fiammetta). Działo się to na początku XVI wieku, Fiammetta Michaelis, urodzona we Florencji, była kochanką Cesare Borgii, gdy ten był jeszcze kardynałem. Zdaje się, że w podeszłym wieku zmieniła styl życia i przeznaczala znaczne sumy na Kościół. W *Dialogo dello Zoppino* przypisywanym Aretinowi czytamy: „Fiammetta pięknie życie zakończyła, widziałem w kościele Sant’Agostino jej kaplicę”. Najwidoczniej więc, gdy zmarła w lutym 1512 roku, uzyskała odkupienie.

Nie można tego jednak powiedzieć na temat bandy z Magliany, która w latach osiemdziesiątych była zamieszana w krwawe zajścia, również o podłożu

politycznym. Od morderstw i rabunków dokonywanych z zimną krwią, przez bankiera Roberta Calviego i tragiczne porwanie Alda Moro, po zakrojoną na szeroką skalę korupcję wysoko postawionych funkcjonariuszy państwowych. Ponadto Renatino i jego wspólnicy mogli też mieć coś wspólnego ze zniknięciem piętnastoletniej Emanueli Orlandi, bohaterki tego rozdziału. Do tragedii doszło w słoneczne czerwcowe popołudnie na placu o interesującej nazwie Cinque Lune. W pobliżu znajduje się szkoła muzyczna, do której chodziła Emanuela, a niedaleko mieści się papieski uniwersytet i kilka kościelnych kolegiów. Wszystko to są zabudowania ekstraterytorialne, to znaczy leżące poza włoską jurysdykcją⁴⁸. Tam widziano Emanułę Orlandi po raz ostatni, zanim na zawsze zniknęła bez śladu. To jedno z najbardziej tajemniczych zająć kryminalnych Rzymu, zarówno z powodu konsekwencji na arenie międzynarodowej i niemożliwego do wyjaśnienia zbiegu okoliczności, jak i z powodu wielu niejasności.

Zatem Emanułę widziano ostatni raz w środowe popołudnie 22 czerwca 1983 roku, w dniu, który zaczął się jak każdy inny i nikt nie przewidywał, jak dramatycznie się zakończy. Miała wtedy nieco ponad piętnaście lat i była pociągająca, jak wszystkie dziewczyny, które dopiero co stały się kobietami. Chodziła do drugiej klasy liceum o profilu ścisłym i uzyskiwała średnie wyniki. Nawet jej ocena z zachowania pozwalała myśleć, że była dość niespokojnym duchem. Jej stopnie w owym roku znacznie się pogorszyły w porównaniu z rokiem poprzednim. Zdarza się, że młodzież w trudnym okresie dojrzewania przeżywa pewne niepokoje; zwykle bacznie jednak strzeże swoich sekretów i rzadko komuś się z nich zwierza. Co mogła przeżywać Emanuela?

Szczególną cechą tej dziewczyny, która w tym wypadku mogła być decydująca, było jej watykańskie obywatelstwo. Rodzina Orlandi służyła papieżom od prawie stu lat. Dziadek, Pietro, najpierw był stajennym Piusa XI, a potem w 1932 roku został papieskim sprzedawcą i listonoszem. Ojciec, Ercole, niejako odziedziczył tę funkcję, gdyż także odpowiadał za roznoszenie watykańskiej poczty, włączając w to zaproszenia, paczki i przesyłki dyplomatyczne. Dzięki temu rodzina Orlandi (pięcioro dzieci: cztery dziewczynki i chłopiec) mieszkała w obrębie Stolicy Apostolskiej, w

czteropiętrowej kamienicy przy placu Sant'Egidio. Zamieszkiwały w niej również inne rodziny i mieścił się Urząd Dobroczynności Apostolskiej (Elemosinaria).

W środę rodzice Emanuela, Ercole i Maria, pojechali do krewnych mieszkających w Fiumicino, z którymi mieli zjeść obiad, a pod wieczór wrócić do domu. Pani Maria jako troskliwa matka przygotowała posiłek dla dzieci, które zostały w domu.

Krótko po 16.00 Emanuela wyszła z Watykanu przez Porta Sant'Anna i udała się do szkoły muzycznej. Wracamy do miejsc, o których pisałem na początku rozdziału. Szkoła, pod wezwaniem Tommasa Ludovica da Victoria, powstała w powiązaniu z Papieskim Instytutem Muzyki Sakralnej (gdzie, jeżeli mogę pozwolić sobie na autobiograficzny akcent, na początku lat siedemdziesiątych studiowałem harmonię i kontrapunkt). Szkoła, której wtedy przewodziła niejaka siostra Dolores, leży na tyłach gigantycznego palazzo Sant'Apollinare. Emanuela uczyła się grać na flecie poprzecznym i śpiewała w chórze miasta watykańskiego; wykazywała więc dość duże zaangażowanie w muzykę. Nie wiemy, czy po minięciu bramy strzeżonej przez Szwajcarów udała się do szkoły pieszo czy pojechała autobusem (dla kogoś znającego drogę to odległość zaledwie dwóch kilometrów). Wiemy natomiast, że na corso Rinascimento zauważyli ją strażnik miejski Alfredo Sambuco i policjant Bruno Bosco, który pełnił służbę przy palazzo Madama, siedzibie senatu.

Jak to często bywa, już te pierwsze świadectwa są sprzeczne. Sambuco powiedział, że widział, jak dziewczyna nadchodziła od strony piazza delle Cinque Lune, zatem zakładał, jeżeli dobrze to pamiętał, że Emanuela przyszła pieszo i minąwszy szkołę, podążyła dalej wzdłuż corso Rinascimento. Nie koniec na tym. Strażnik zauważył, że zatrzymała się i rozmawiała z eleganckim i szczupłym trzydziestolatkiem, który wysiadł z zielonego bmw. Dodał, że było to około godziny 17.00. Jednak w programie telewizyjnym *Telefono giallo*, do którego zaprosiłem go kilka lat później, twierdził, że wydarzyło się to o 19.00. W następnym wywiadzie przyznał, że się pomylił, i wrócił do godziny 17.00. Świadectwo to podważają inne sprzeczności. W historii tej bowiem wszystko, od początku do końca, jest niejasne i zagmatwane: od pierwszych chwil na skutek całej serii przypadków lub (przynajmniej częściowo) okoliczności pojawiają się tropy, które odwodzą od rozwiązania.

Policjant zaś dodał pewien szczegół na temat eleganckiego mężczyzny, o którym mówił strażnik: dokładnie powiedział, że nieznany trzydziestolatek z bmw „rozmawiał z dziewczyną i w tym samym czasie pokazywał jej chlebak w wojskowych barwach z napisem «Avon», zawierający najprawdopodobniej produkty kosmetyczne”. Jak zauważa Pino Nicotri w książce *Emanuela Orlandi, la verità* („Prawda o Emanueli Orlandi”), próbki kosmetyków i wojskowy chlebak niezbyt do siebie pasują.

Wiemy natomiast z całą pewnością, że około 19.00 Emanuela wyszła wcześniej z lekcji muzyki i zatelefonowała do domu. Ponieważ matka jeszcze nie wróciła, rozmawiała z siostrą Federicą. Powiedziała jej, że od pewnego nieznanego otrzymała ofertę pracy. Chodziło o „roznoszenie wyrobów kosmetycznych w trakcie pokazu mody u sióstr Fontana (znana elegancka szwalnia) w salonie Borrominiego na corso Vittorio Emanuele”. Zaproponowano jej zapłatę w wysokości 375 tysięcy lirów (około siedmuset złotych). Jednak i to nasuwa pewne wątpliwości. Taka suma za mniej więcej dwie czy trzy godziny pracy jest mało prawdopodobna, chyba że był w tym jakiś haczyk. Rzeczywiście, propozycja ta zaniepokoiła Federicę, która doradziła siostrze, by o wszystkim zapomniała i wracała do domu.

Około 19.00 także inna uczennica, Raffaella Monzi, przyłączyła się do Emanueli i razem czekały, aż ów tajemniczy trzydziestolatek w bmw ponownie się pojawi. Po upływie pół godziny Raffaella powiedziała, że musi wracać do domu, i wsiadła do autobusu. Odjeżdżając, przez okno zdążyła zauważyć, że z Emanuelą rozmawia jakaś kobieta. Nigdy jej nie zidentyfikowano.

W czwartek rano, 23 czerwca, Natalia, najstarsza z sióstr, zgłosiła zaginięcie Emanueli w Inspektoracie Bezpieczeństwa Publicznego przy Watykanie. W dokumencie sprecyzowano ruchy i godziny według schematu, który tu w skrócie przedstawiłem. Wieczorem tego samego dnia Jan Paweł II wracał do Rzymu ze swojej drugiej podróży do Polski. Niektórzy ludzie z obstawy mówili potem o pewnym podenerwowaniu panującym wśród towarzyszących mu osób. Obawiano się kolejnego zamachu, można jednak również przypuszczać, że niepokój był skutkiem wiadomości o zniknięciu młodej obywatelki Watykanu.

Aby dobrze tę historię zrozumieć, nie zapominając oczywiście o tragedii dziewczyny i bólu jej bliskich, trzeba przyjrzeć się także burzliwej atmosferze politycznej, w której kontekście doszło do „porwania” Emanueli.

Papież Polak dokładnie w tych dniach zakończył swoją drugą podróż do ojczyzny (pierwszą odbył w 1979 roku), która w Moskwie wywołała stan alarmowy i gniew, gdyż była wyraźnym wyzwaniem. W Polsce główni przywódcy „Solidarności” zostali na pewien czas internowani na rozkaz generała Jaruzelskiego. Było to wszystko, na co polski przywódca mógł się zdobyć po silnych sowieckich naciskach; żądano nawet od niego, by uniemożliwił wizytę papieża. Moskwa bowiem obawiała się właśnie tego, co nastąpiło: doszło do wielkich manifestacji o charakterze antykomunistycznym i antysowieckim, które przeważały nad religijnym aspektem papieskiej pielgrzymki.

W Kurii watykańskiej zdania co do tego, jak się zachowywać w stosunku do ZSRR i całego bloku sowieckiego, były podzielone. Sekretarz stanu Agostino Casaroli i Achille Silvestrini, odpowiednik ministra spraw zagranicznych, pamiętający nauczanie Pawła VI, byli zwolennikami łagodnej polityki wobec komunistycznego Wschodu, swego rodzaju *Ostpolitik*, jaką niegdyś zapoczątkował w Republice Federalnej Niemiec kanclerz Willy Brandt. Jednak Jan Paweł II był przekonany, że można zadać ostateczny cios reżimom popieranym przez Moskwę, poczynając od jego rodzinnej Polski. Wiedział, że dysponuje wystarczającą energią, charyzmą, jasnością wizji i finansami, a poza tym wychodzi naprzeciw potrzebom ludzi gotowych na taką przemianę. Była to długa, ponaddziesięcioletnia rozgrywka, a rezultat obserwował cały świat, gdy najpierw jesienią 1989 roku został zburzony mur berliński, a potem w 1991 roku rozpadł się Związek Radziecki. Czy te doniosłe wydarzenia naprawdę miały coś wspólnego ze zniknięciem w Rzymie piętnastoletniej dziewczyny?

Kolejny aspekt sprawy ma związek z zamachem na Jana Pawła II na placu św. Piotra 13 maja 1981 roku, gdy Mehmed Ali Ağca oddał dwa strzały z rewolweru i poważnie zranił papieża. Zabrakło zaledwie kilku milimetrów, aby jeden z pocisków okazał się śmiertelny. Niektórzy wierni mówili o cudzie. Arturo Mari, fotograf

watykańskiej gazety „L'Osservatore Romano”, trzy dni wcześniej zrobił kilka zdjęć podczas wizyty papieża w jednej z rzymskich parafii. Przyglądając się tym zdjęciom uważnie, można zobaczyć, że w tłumie stoi turecki zamachowiec, a jeżeli nie on, to jego sobowtór.

Trzeci aspekt dotyczy innej rzymianki, Mirelli Gregori, rówieśniczki Emanueli, córki właścicieli baru na via Volturmo, która także zniknęła kilka tygodni wcześniej, 7 maja 1983 roku. W dochodzeniu połączono te przypadki i mówiło się, że dziewczyny zostały porwane, aby później można było je wymienić na tureckiego zamachowca, albo że chodziło o białe kobiety przeznaczone na prostytutki na Bliskim Wschodzie. Los Emanueli był jednak odmienny niż Mirelli, równie dramatyczny, lecz z innych przyczyn. Tak uważała także sędzia Adele Rando, która długo zajmowała się śledztwem w tej sprawie. W instrukcji procesowej (1997) oświadczyła, że wierzy w hipotezę „istnienia instrumentalnego związku między zniknięciem Mirelli a sprawą Emanueli, najprawdopodobniej w celu skomplikowania tego drugiego dochodzenia i zawikłania sprawy”.

Nie wiemy, czy losy tych dziewczyn były – lub też nie – w jakiś sposób powiązane. Bez wątpienia historią Emanueli interesowano się dłużej także z powodu późniejszych zdarzeń. Na niej też skupia się nasza opowieść. Całkiem logiczna hipoteza, której co prawda nie można obiektywnie potwierdzić, mówi, że wiele dowodów i plotek związanych ze zniknięciem i najprawdopodobniej śmiercią Emanueli stanowiło niezwykle złożoną grę z udziałem wielu osób mających jedynie zmylić trop i uniemożliwić wnioski. Istnieje na ten temat wiele doskonałych książek, które sugerują różne prawdopodobne rozwiązania. Nie będę tutaj zapuszczał się w ten gąszcz, a jedynie wyszczególnię niektóre zdarzenia i postacie, ukazując obraz autorstwa wyrafinowanych specjalistów od przekazywania informacji (czasami dopomagał im w tym przypadek) i zawodowych przestępców.

Jednym z bohaterów, co prawda „fikcyjnym”, przez długi czas był Mehmed Ali Ağca, skazany na dożywocie za zamach na papieża i przedterminowo zwolniony z więzienia

w Ankarze 18 stycznia 2010 roku. Różne wersje, które podał na temat motywacji swego czynu oraz losu Emanuela, same w sobie dowodzą celowej dwuznaczności mrocznych przyczyn i szalonych kalkulacji.

Sędziemu Martelli Ağca powiedział, że ze swymi współnikami ustalił, iż jeżeli zostanie złapany, oni wprowadzą w życie plan mający zmylić ślady, pomieszać prawdę z fałszem. Podczas przesłuchania w sądzie oświadczył, że Emanuela została porwana przez lożę masońską P2 Licia Gellego: „Ci ludzie wiedzieli, że jestem Jezusem Chrystusem. Chcieli wprowadzić mnie do Watykanu i wykorzystać jako swoje narzędzie (...)”. Kilka dni później skorygował: „Wygadywałem te bzdury o P2, bo to Szare Wilki i Bułgarzy porwali Emanuelę. Chcieli, żebym wprowadził zamieszanie do procesu i tym samym podważył wartość relacji zachodniej prasy, która zarzuca ZSRR i Bułgarii wspieranie międzynarodowego terroryzmu”.

Siedem lat po zniknięciu Emanuela Ağca oświadczył, że w niejakiem Atesie Bedrim, Turku przetrzymywanym we francuskim więzieniu w Poissy, rozpoznał swojego przyjaciela Orala Çelika, który – według niego – miał zorganizować porwanie dziewczyny. W 1993 roku w wywiadzie udzielonym Antoniowi Fortichiarimu z tygodnika „Gente” stwierdził, że porwanie było częścią międzynarodowego spisku przeciwko Watykanowi, w którym dziewczyna była przynętą, a raczej miała umożliwić szantaż w pewnych sprawach Kościoła, których ten nie chciałby ujawnić. Tej ewentualności, podanej wraz z innymi absurdalnymi kłamstwami, wówczas właściwie nie wzięto pod uwagę. Jednak badania prowadzone w tej sprawie ostatnimi czasy nakazują ją uwzględnić, choć z nieco innych przyczyn.

W liście z 1997 roku do sędziów Imposimata i Martelli Ağca wrócił do wcześniejszej wersji. Napisał, że działał na rozkaz tajnych służb sowieckich (KGB) oraz bułgarskich i że porwanie dziewczyny miało ułatwić wydostanie go z więzienia. W tym samym okresie pisał do Ercole’a Orlandi, zapewniając go, że córka „miewa się dobrze, że absolutnie nic się jej nie stało ani pod względem fizycznym, ani moralnym”. Wcześniej jednak powiedział, że dziewczyna nie żyje; innym razem zeznał, że obie dziewczyny, Mirella i Emanuela, żyją i przebywają w Liechtensteinie: „Te dziewczyny nigdy nie zostały porwane, są w Liechtensteinie. Istnieje tylko

międzynarodowy spisek”.

Sędzia śledczy Rosario Priore orzekł, że Ağca jest kompletnie niewiarygodny, i dodał, że „na zeznaniach takiego człowieka nie można opierać żadnego procesu”. Jedyną pewną rzeczą w tej mieszance opowiastek i fantazji, po części świadomych, po części będących skutkiem obłądu, było to, że zamachowiec próbował wodzić śledczych za nos. Splotał prawdę, wyrwane z kontekstu zdania, zasłyszane lub pobieżnie wyczytane z gazet, czynił nieokreślone obietnice tylko po to, aby jak najdłużej znajdować się w centrum uwagi. Być może bał się, że jeżeli ludzie na chwilę o nim zapomną, przydarzy mu się jakiś przykry wypadek. Nie wiem, czy wyjawiał prawdę papieżowi, gdy 27 grudnia 1983 roku poufnie z nim rozmawiał w więzieniu w rzymskiej dzielnicy Rebibbia. Zakładając oczywiście, że on sam zna prawdę.

Kolejnym bohaterem tej sprawy był właśnie papież Jan Paweł II, który, jak już wspomniałem, wrócił z Polski tego samego dnia, w którym zgłoszono zniknięcie Emanuela. Kilka dni później, w niedzielę 3 lipca, do tłumów zebranych na placu św. Piotra na Anioł Pański papież wyrzekł takie słowa: „Pragnę powiedzieć, że całym sercem jestem z rodziną Orlandi, strapioną z powodu córki Emanuela, która od 22 czerwca nie wróciła do domu. Nie tracę jednak ufności w ludzkie uczucia tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za ten wypadek”. Były to słowa nieprzemyślane, z których można by wywnioskować, że Emanuela nie oddaliła się z domu dobrowolnie, lecz została porwana. O tej ewentualności do tej pory nikt nie wspomniał. Słowa wypowiedziane spontanicznie nie umknęły uwagi różnych tajnych służb, w szczególności tych z NRD, którym przewodził sławny Markus Wolf zwany „Miszą” (znalazł się nawet w powieściach Johna Le Carré jako „Carla”).

Dlaczego papież i bardzo ostrożna, zawsze powściągliwa watykańska dyplomacja popełnili taki błąd? A jeżeli nie była to pomyłka, lecz świadome posunięcie? Istnieje hipoteza mówiąca, że te słowa – niezależnie od tego, czy papież był świadomy tego, co powiedział, czy też nie – miały ukryć prawdziwą przyczynę zniknięcia Emanuela:

odciągnąć uwagę od ewentualnego morderstwa lub niemożliwego do wyjawienia wypadku, który przytrafił się w apartamentach Watykanu.

Rodzina Orlandi (podobnie jak rodzina Gregori) przez całe miesiące była niepokojona anonimowymi telefonami. Obce głosy mówiły, że występują w imieniu własnym lub jakiejś organizacji, i proponowały wymianę, negocjacje, warunki uwolnienia dziewczyny. Anonimowi rozmówcy raz mówili doskonale po włosku, kiedy indziej zaś z obcym akcentem, który jednak według śledczych wyraźnie był udawany. Nikt nigdy nie podał dowodu na to, że naprawdę może uwolnić Emanuela, ani na to, że ona żyje. Uzyskano jedynie odbitkę legitymacji szkolnej, potwierdzenie uiszczenia opłaty za egzamin i odręcznie napisane zdanie: „Serdecznie pozdrawiam, wasza Emanuela”. To jednak dokumenty, które mogły zostać ukradzione – za życia lub po śmierci dziewczyny – albo też wydobyte z sekretariatu szkoły. Pewnego razu anonimowy rozmówca z tak silnym amerykańskim akcentem, że brzmiał aż karykaturalnie, prowadził taki dialog z rodziną:

Głos: Proszę uważnie posłuchać tego nagrania.

Osoba z rodziny: Dobrze, chcę jednak porządnie je słyszeć.

Głos: Proszę uważnie słuchać, mamy tylko kilka minut... To waszej córki.

Osoba z rodziny: Chcę usłyszeć ją wyraźnie.

Głos: Okay, one moment... All right, okay, let's go, let's go.

Głos dziewczyny: Szkoła państwowa imienia Wiktora Emanuela II. Tego roku powinnam uczęszczać do trzeciej klasy liceum; Szkoła państwowa imienia Wiktora Emanuela II. Tego roku powinnam uczęszczać do trzeciej klasy liceum; Szkoła państwowa imienia Wiktora Emanuela II. Tego roku powinnam uczęszczać do trzeciej klasy liceum (i tak siedem razy).

Dogłębnie zbadano niektóre informacje, jakie pojawiły się w owych dniach. W raporcie włoskich tajnych służb z listopada 1983 roku nakreślono cechy ich autora. Opisano go jako „obcokrajowca, najprawdopodobniej pochodzenia anglosaskiego, o bardzo wysokim poziomie intelektualnym i kulturalnym”, który nim nauczył się włoskiego, znał łacinę; dobrze znającego Rzym, zorientowanego w prawodawstwie włoskim i strukturze logistycznej Watykanu, „przynależącego do środowiska kościelnego (lub do niego wprowadzonego)”. Praktycznie rzecz biorąc, był to rodzaj portretu pamięciowego.

Pewnego dnia agencja informacyjna ANSA w Mediolanie otrzymała wiadomość podpisaną „Dragan”, również napisaną kiepską włoszczyzną. Oto jej fragment: „Emanuela była dobra dziewczyna, my chcieliśmy ją ocalić, jednak wy byliście źli, ona nie zasłużyła. Jej ciało może nie znajdziecie nigdy, jednak to Aliz był okropny, on nie może być Turkesh, my, Turkesh, nie zabijamy, my dobrzy. Emanuela ciągle płakała, chciała wrócić do życia, jej była smutek, ile razy usiłowała uciekać i Aliz ją bił, nie bije się duszyczek tak grzecznych. Ja jestem Dragan i jestem Słowianin, może dlatego nie pojmuję bękarctwa Aliza, dlatego że to on zabił Emanuellę, a teraz ja uciekam z Mirellą (...)” itp.

To włoski tak wykoślawiony, że zdaje się to celowym zabiegiem. Ktoś, kto mówi tak podstawowym językiem, nie napisałby „pojmuję” (*comprendo*), lecz po prostu „rozumiem” (*capisco*), ani też nie użyłby słowa „bękarctwo” (*bastardaggine*), które jest rzadko używane i trudne.

Chodziło więc o ludzi, którzy próbują łowić ryby w mętnej wodzie. W akcie oskarżenia zastępca prokuratora Giovanni Malerba napisał: „Mieliśmy do czynienia z mitomanami, wizjonerami, radiestetami, osobami psychicznie nie zrównoważonymi, mediami, prorokami, oszustami, hienami, więźniami i ludźmi ukrywającymi się przed wymiarem sprawiedliwości, którzy domagali się dla siebie korzyści procesowych”. W rzeczywistości sprawy były o wiele bardziej skomplikowane. Do mrocznej intrygi zostali wciągnięci dwaj zagraniczni dziennikarze. Pierwszy, Richard Roth, korespondent amerykańskiej sieci CBS w Rzymie, otrzymał list nadany w Bostonie. Ponownie proszono w nim o uwolnienie niektórych Turków, między innymi Ağcy, w zamian za wypuszczenie Emanueli. Badanie przeprowadzone przez kolejnego sędziego, Domenica Sicę (wielu sędziów śledczych zajmowało się tą sprawą), potwierdziło autentyczność tego pisma, a nade wszystko wykazało, że autor znał treść listu wysłanego przez rodzinę Mirelli do prezydenta Włoch Sandra Pertiniego. Tak więc nie mamy tu do czynienia z szalonymi mitomanami, lecz ze specjalistami potrafiącymi zdobyć poufne informacje.

Drugim obcokrajowcem była amerykańska dziennikarka i pisarka Claire Sterling, ekspertka od spraw włoskich. W artykule opublikowanym w „New York Timesie” przedstawiła hipotezę, którą wypowiedano jedynie szeptem: wszystko zostało zorganizowane przez bułgarskie tajne służby na polecenie Związku Radzieckiego. Moskwa i cały blok wschodni bowiem chciały zdestabilizować pozycję Jana Pawła II, zanim ten zdestabilizuje system komunistyczny w Europie. Claire Sterling, doskonały fachowiec, była tak zagorzałą antykomunistką, że podejrzewano ją o współpracę z CIA, czego jednak nigdy jej nie udowodniono.

Potwierdzono natomiast, że w pewnym momencie do gry wkroczyły tajne służby z NRD, a dokładniej mówiąc Departament X Stasi, zajmujący się dezinformacją. 4 sierpnia do agencji ANSA w Mediolanie przyszedł list polecony za potwierdzeniem odbioru (sic!) z podpisem „Antychrześcijański Turecki Front Wyzwolenia Turkish”. W liście napisano: „Emanuela Orlandi, nasza więźniarka, zostanie zabita 30 października chrześcijańskiego kalendarza, jak wiadomo, jest to dzień, w którym w roku 1918 nasz kraj stał się święty i niezwyciężony...” itp. Ponownie pojawił się tu język włoski celowo gramatycznie niepoprawny, a ponadto odwołanie ni mniej, ni więcej do zakończenia pierwszej wojny światowej.

Ambasada turecka we Włoszech pośpieszyła z wyjaśnieniem, że nie istnieje żaden Front Turkish. Mimo wszystko jednak niektórzy, włączając w to bliskich Emanuela i dość szemranego adwokata rodziny Orlandi (wybranego i opłacanego przez włoskie tajne służby), dali wiarę słowom „listu poleconego”. Później od owego tajemniczego Frontu Antychrześcijańskiego nadeszły jeszcze inne wiadomości. Gdy zniknęła NRD, wraz z całą resztą komunistycznego świata, pułkownik Bohnsack, pomocnik Markusa Wolfa, powiedział pewnemu dziennikarzowi z „La Repubblica”, że Stasi była zaangażowana w „Operation Papst” (Operacja papież): chodziło o stworzenie fałszywych śladów prowadzących do Turcji, aby odwrócić uwagę od Bułgarii, która była krajem zaprzyjaźnionym.

Kolejnym tajemniczym uczestnikiem, który pojawił się w tej coraz bardziej skomplikowanej sprawie, była tak zwana „Grupa Feniks” (Gruppo Phoenix). Kimkolwiek byli, poinformowali, że Emanuela została zabita, po czym dodali kilka

moralizujących uwag pełnych hipokryzji w stylu: „To wielki grzech popełnić taką niegodziwość wobec młodego życia”. Kilka miesięcy później ponownie wkroczył Front Turkesh, dyktując warunki uwolnienia dziewczyny, a więc dając do zrozumienia, że ona nadal żyje. Kilka tygodni później objawiła się jeszcze inna organizacja – NOMLAC (Nova Organizzazione Musulmana per la Lotta Anticristiana – Nowa Organizacja Muzułmańska Walki Antychrześcijańskiej), która napisała: „Dziewczyna nie jest więźniem Antychrześcijańskiego Tureckiego Frontu Wyzwolenia Turkesh, lecz przebywa w Europie...” itp. Gdyby nie chodziło tu o prawdziwą tragedię i zniknięcie Emanuela, można by to uznać za czystą farsę. Była to jednak farsa po mistrzowsku zorganizowana w celu uniemożliwienia rozwiązania sprawy.

Żadna z tych widmowych organizacji nigdy nie dostarczyła najmniejszego dowodu na to, że Emanuela żyje i znajduje się w jej rękach, jak należałoby się spodziewać, gdyby naprawdę chodziło o porwanie z przyczyn politycznych. Sędzia Adele Rando napisała „z mającym solidne podstawy przeświadczeniem”, że motyw polityczny lub terrorystyczny był jedynie „zręcznym wybiegiem mającym na celu ukrycie prawdziwej przyczyny porwania Emanuela Orlandi (...). Po siedmiu latach śledztwa motyw polityczno-terrorystyczny okazał się pozbawiony podstaw”. Inny doświadczony sędzia, Severino Santiapichi, oświadczył: „Zniknięcie Emanuela Orlandi nie ma nic wspólnego z tym, co potem na ten temat powymyślano”.

Innymi bohaterami tej sprawy są, ogólnie rzecz biorąc, watykańscy hierarchowie. Wielu śledczych podkreślało, że ze strony Stolicy Apostolskiej nie uzyskali żadnej pomocy, wprost przeciwnie, spotkali się z odmową i utrudnianiem działań. W lutym 1994 roku sędzia Adele Rando przesłuchiwała jako świadka prefekta Vincenza Parisiego, wiceszefa włoskich tajnych służb, opowiadał on o swym spotkaniu z monsignorem Dinem Monduzzim, rektorem Domu Papieskiego, w którym pracował Ercole Orlandi. Spotkanie odbyło się w lipcu 1983 roku (a więc zaledwie kilka dni po zniknięciu Emanuela) i było utrzymywane w tajemnicy przez ponad dziesięć lat.

Cóż powiedział Parisi? „(...) że można było zauważyć, iż Stolica Apostolska cały czas świadomie nie udziela informacji (...). Stolica Apostolska nieustannie odmawiała jakiegokolwiek współpracy w śledztwie”, napisał sędzia. I dodał: „Uważam, że śledztwo było utrudnione właśnie z powodu bariery ustanowionej między państwem włoskim i Stolicą Apostolską; w całej sprawie często dochodziło do świadomych działań dezinformacyjnych i celowego mylenia tropów, by wzbudzić u śledczych jedynie wątpliwości”. Sędzia zgadzał się tą analizą i dodał w orzeczeniu, że tego rodzaju deklaracje potwierdzały „wnioski, do jakich sam stopniowo doszedł”.

Włoska prokuratura również występowała z rekwizycjami sądowymi do „właściwych władz sądowych” Państwa Miasta Watykańskiego, wszystkie jednak, co było różnie argumentowane, pozostały bez odpowiedzi. Jeżeli chodzi o monsignora Monduzziego, to zapytywany w związku z rekwizycją sądową odpowiedział, że z Parisim nigdy się nie spotkał. Prefekt nie mógł temu zaprzeczyć, bo już nie żył. Zastępca prokuratora Giovanni Malerba w mowie oskarżycielskiej zwrócił uwagę na słowa Parisiego, które ponownie przytoczył: „Uważam, że śledztwo było utrudnione właśnie z powodu bariery ustanowionej między państwem włoskim i Stolicą Apostolską (...) i tak dalej.

Praktycznie rzecz biorąc, wszyscy włoscy urzędnicy, którzy zajmowali się tą sprawą – prokuratorzy, sędziowie śledczy, przełożeni tajnych służb – spotkali się z brakiem współpracy ze strony Watykanu. Aby usprawiedliwić to zachowanie, po jednej z rekwizycji podano takie oto przyczyny: „Sąd watykański nie podjął żadnego śledztwa w tej sprawie, gdyż chodziło o wydarzenia, które rozegrały się poza granicami państwa watykańskiego”, czyli we Włoszech. Władze watykańskie nie przygotowały nawet bezpośredniej linii telefonicznej, aby umożliwić „porywaczom” szybki kontakt z osobami, które mogłyby odpowiedzieć na ich żądania.

Pośród licznych dokumentów istnieje pewne świadectwo wyraźnie wskazujące na odmowę współpracy. To nagranie rozmowy telefonicznej z 12 października 1983 roku o 19.53 między osobą określoną jako „Szeł” i Raulem Bonarellim, drugą co do ważności postacią w watykańskiej policji, który następnego dnia miał być

przesłuchiwany przez sędziów włoskich. Oto fragment tej rozmowy:

Szef: Halo.

Bonarelli: Tak, słucham.

Szef: Co wiesz o Orlandi? Nic! My nic na ten temat nie wiemy! Wiemy to, co mówią gazety, wiadomości z zewnątrz! Wszystko to wydarzyło się poza nami... to sprawa władz włoskich.

Bonarelli: Więc tak mam mówić?

Szef: No tak, ech... Co my wiemy na ten temat? Jeżeli powiesz: „Ja sprawy nie badałem” (...). Biuro zbadało sprawę od wewnątrz (...). Nie mów, że sprawą zajął się Sekretariat Stanu.

Bonarelli: Nie, nie... My... ja nie powiem nic w sprawie tego, co zostało zrobione u nas. Nic.

Szef: A na zewnątrz... że to była prokuratura watykańska... prokuratura watykańska jest zainteresowana... zajmuje się tym ten... Ale nic nie mów o tym, co wiesz, nic!

Bonarelli: Ale oni mówią, że skoro jestem pracownikiem Watykanu, to mam pewne zadania, nie wiem... muszą mnie przecież sprawdzić, będą wiedzieć, kim jestem...

Szef: Będą wiedzieć, bo pełnisz tu służbę i zajmujesz się zmianami wart, bezpieczeństwem państwa watykańskiego. To wszystko.

Bonarelli: W porządku, więc jutro rano pójde złożyć to zeznanie, potem przyjdę, tak?

Szef: Tak, tak, potem przyjdź tutaj.

Podczas jednego z publicznych wystąpień Jan Paweł II powiedział między innymi: „Ponownie zapewniam rodziców Emanuela, że łączę się z nimi w bólu. Zapewniam, że robimy wszystko, co w ludzkiej mocy, aby przyczynić się do szczęśliwego zakończenia tej bolesnej sprawy. Niech Bóg sprawi, aby lęk tych dni został w końcu zastąpiony radosnym uściskiem dziewczyny i jej bliskich”. Nie wiemy, do jakiego stopnia papież był poinformowany o tym, co robili jego współpracownicy. Na pewno jednak słowa „robimy wszystko, co w ludzkiej mocy” nie odpowiadały rzeczywistości.

Poza tym z takim samym zachowaniem, niechętnym i mylącym, włoskie sądy spotkały się w śledztwie dotyczącym zamachu na papieża. Kończąc to żmudne i trudne śledztwo, sędzia Rosario Priore żalił się, że „wnioski i pytania skierowane (do watykańskich organów sprawiedliwości) nie przyniosły oczekiwanych rezultatów (...) czasami udzielano odpowiedzi zdawkowych lub odmownych (...) były to wypowiedzi czysto oficjalne, a tymczasem mogły i powinny być bardzo ważne”.

Interesującego świadectwa dostarczył kardynał Silvio Oddi. W lipcu 1993 roku w wywiadzie dla rzymskiej gazety „Il Tempo” purpurat opowiedział o następującym zdarzeniu: „Emanuela tamtego popołudnia (w dniu zniknięcia) po lekcji muzyki wróciła do domu na terenie Watykanu. Widziano, jak przywiózł ją tam ktoś luksusowym samochodem... myślę, że kierowca nie wszedł (do Watykanu), aby nie zostać rozpoznany przez Gwardię Szwajcarską. Dziewczyna minęła strażę i skierowała się w stronę domu. Pozostała tam przez pewien czas. Potem ponownie zeszła na dół, wsiadła do samochodu i odjechała”.

Człowiek za kierownicą musiał więc być znany w Watykanie, skoro obawiał się, że zostanie rozpoznany przez gwardzistów. Kilka tygodni później w programie telewizyjnym *Mixer* kardynał dodał: „Według mnie (...) Emanuela wkroczyła w rewiry wyższych sfer, poznała tych, którzy mogą pomóc dziewczynom pragnącym dostać się do środowisk, gdzie mogą żyć lepiej, być bogatsze, i gdzie można wyjść za mąż za bogacza, gdzie ma się dużo pieniędzy (...) według mnie taka jest podstawa całej sprawy”. Kardynał był jeszcze bardziej bezpośredni, gdy ponownie udzielał wywiadu gazecie „Il Tempo”: „Emanuela Orlandi, biorąc pod uwagę głosy, które przez przypadek do mnie dotarły, mogła znaleźć się u jakiegoś szejka, jeżeli to prawda, że bogaci muzułmanie zlecają porywanie pięknych europejskich dziewczyn, aby zapełniać nimi swoje haremy”.

Podobne rozważania i zwierzenia kardynał ciągnął także w rozmowach prywatnych utrzymanych w tonie, jakim przemawia ktoś, kto mówi o faktach, a nie o jakichś fantazjach. Niestety, zdecydował się mówić dopiero dziesięć lat po zniknięciu Emanuela. Gdyby uczynił to natychmiast, jego słowa mogłyby się stać pożytecznymi wskazówkami. Pośród dokumentów związanych ze sprawą Orlandi bowiem znajduje się między innymi anonimowy list skierowany do „Pani doktor Adele Rando z Prokuratury Republiki w Rzymie”, który mówi o podobnym zdarzeniu czy podejrzeniu. Wysłany z Watykanu w październiku 1993 roku list ma nagłówek: „Świadectwo wysłuchane podczas spowiedzi”.

Samochód, do którego w nocy 22 czerwca 1983 roku wsiadła Emanuela Orlandi, był prowadzony przez (imię

i nazwisko znanego prałata) będącego (stanowisko prałata). Pojechali do Civitavecchii i spędzili razem noc. Rankiem przywiózł ją z powrotem do Rzymu i wysadził w okolicach Piramide (Cestia), dziewczyna nie wróciła jednak do domu z obawy przed rodzicami. Tu kończy się spowiedź. Znam (nazwisko monsignora), jest to człowiek może za bardzo zmysłowy jak na księdza i zawsze robił niezbyt czyste interesy (...) z oczywistych przyczyn nie mogę podać mojego zakonnego imienia.

Anonimom wierzy się jedynie wtedy, gdy istnieją obiektywne potwierdzenia, których w tym przypadku brak. List ten przytoczyłem więc jedynie dlatego, że znajduje się w aktach sprawy, zgadza się ze wspomnieniami kardynała Oddiego i z krążącymi pogłoskami na temat przyczyn zniknięcia dziewczyny.

O czym mówiły owe pogłoski, można wywnioskować także z mniej lub bardziej czytelnymi aluzji zachowanych we fragmentach dokumentów i cytowanych już świadectwach. Według plotek biedna Emanuela zmarła nagle w trakcie spotkania z hierarchą wysokiego szczebla. Wtedy pojawił się problem, jak pozbyć się ciała, nie wywołując skandalu. Dlatego też na scenę wkroczyli profesjonalni gangsterzy doskonale wiedzący, jak rozwiązać taki problem.

Wszystko inne – międzynarodowe spiski, żądania okupu, tajne służby – było jedynie wybiegami mającymi zmącić wodę i uniemożliwić rekonstrukcję faktów. Ta wersja wydarzeń odpowiada stereotypowemu przekonaniu, że hierarchowie kościoła oddają się przyjemnościom ciała nie mniej ochoczo niż politycznym intrygom. Pewnego dnia ta hipoteza została jednak zastąpiona inną, która przez długi czas pozostawała na drugim planie. To zupełnie inna rekonstrukcja zdarzeń. Także w tym wypadku mamy do czynienia tylko z hipotezą, lecz obfituje ona w pewne interesujące szczegóły.

W czerwcu 2008 roku Sabrina Minardi, kobieta około sześćdziesiątki, która w latach osiemdziesiątych była kochanką gangstera Renatina De Pedisa, opowiedziała śledczym swoją wersję. Stała się ona podstawą scenariusza porwania Emanuela do tej pory niebranego poważnie pod uwagę. Minardi pochodziła z ubogiej rodziny i wiodła dosyć burzliwe życie. Mając niewiele ponad dwadzieścia lat, wyszła za mąż po raz pierwszy za Bruna Giordana, piłkarza Lazio, swego czasu sławnego strzelca. Miłość zrodziła się w zaułkach Trastevere, a w 1981 roku zakochani zostali

obdarowani córką, której nadali imię Valentina.

Sabrina, bardzo piękna, była typem kobiety, która podoba się mężczyznom i rozpala w nich pożądanie. Była zazdrosna o męża, bo Bruno był przystojny, a na dodatek często pojawiał się na okładkach czasopism w towarzystwie sławnych aktorek. Ich związek przeżywał trudności i małżeństwo się rozpadło. Sabrina, córka sprzedawczyni warzyw, zdążyła już jednak zakosztować życia, o którym myślała, że istnieje tylko w filmach: piękne hotele, restauracje, luksusowe samochody, biżuteria i szampan... Gdy odeszła od męża, starała się utrzymać ten standard życia dzięki narkotynom i prostytutce. Wyznała policji: „Wiedziałam, że podobam się mężczyznom, pracowałam ciałem, zarobiłam dużo pieniędzy”.

Wiosną 1982 roku nastąpiła jednak nagła zmiana. Gdy Sabrina wraz z przyjaciółkami siedziała przy piazza Navona w barze La Cabala, na ich stół przyniesiono czerwone róże i butelkę szampana. Takie gesty cechują starszych dżentelmenów lub... gangsterów. W tym przypadku był to ten drugi typ. Enrico De Pedis, zwany Renatinem, zauważył Sabrinę i uśmiechał się do niej, w ten sposób przyznając się do podarunku. Właśnie został nowym szefem bandy z Magliany, lecz kobiecie rozsądnie przedstawił się jako dyrektor sieci supermarketów. W jednym z programów telewizyjnych *Chi l'ha visto?* („Ktokolwiek widział...”) Sabrina powiedziała: „Traktował mnie jak dziewczynkę, prowadził do sauny w Grand Hotelu, żyliśmy jak w filmie *Ojciec chrzestny*. Dawał mi tysiące podarków, walizki od Louisa Vuittona pełne banknotów o stutysięcznych nominałach. Mówił: «Wydadaj je wszystkie, jeżeli wrócisz do domu z pieniędzmi, nie otworzę ci drzwi». Szłam do sklepów Bulgari, do Cartiera i gotówką płaciłam za dwa złote zegarki, a sprzedawcy myśleli, że to pieniądze z rabunków. Uspokajałam ich, mówiąc: «Daje mi je mój mąż, wiedzą państwo, jest nieco ekstrawagancki...»”.

Emocje, dużo kokainy, niebezpieczne, podejrzone znajomości. Film trwał do listopada 1984 roku, kiedy to Renato został aresztowany. Koniec przygody. Wtedy też zaczął się schyłek Sabriny, bo kiedy Renato wyszedł na wolność, upajająca mieszanka namiętności, narkotyków i ryzykownych interesów już nie działała, nawet jeżeli pozornie ich historia nadal trwała. W 1989 roku, po siedmiu latach *amour-*

passion, Sabrina odkryła, że jej Renato cichaczem ożenił się z kobietą spoza środowiska. Wyjechał do Brazylii, a potem wrócił do Włoch. Zadzwoił do Sabriny, bo jego małżeństwo się rozpadło. Zaproponował Sabine, by zaczęli od nowa, by wyjechali; na przykład do Polinezji. Ucieszyło ją to, jednak nie mieli czasu na zrealizowanie projektu. Rankiem 2 lutego 1990 roku Enrico De Pedis, rozmawiając z antykwariuszem na via del Pellegrino, został zastrzelony przez dwóch morderców, którzy nadjechali na motocyklu.

Sabrina znalazła siły, by pójść na odwyk, lecz nadużywanie alkoholu i narkotyków źle wpłynęło na jej urodę i pamięć. Jeżeli chodzi o naszą sprawę, należy zapytać, jaką wartość może mieć świadectwo kobiety tak doświadczonej przez życie, która zdecydowała się mówić dwadzieścia lat po fakcie. Dziennikarka Rita Di Giovacchino w książce *Storie di alti prelati e gangster romani* („Historie hierarchów kościelnych i rzymskich gangsterów”) twierdzi, że właśnie dlatego, iż po części potwierdzona, a po części nie, wersja podana przez Sabrinę jest wiarygodna. Ponadto Sabrina o nic nie prosi, nie wyrównuje rachunków ani też niczego nie chce uzyskać.

W wielkim skrócie jej wersja jest następująca: kilka dni po zniknięciu Emanuela Sabrina zastała ją w swoim samochodzie. De Pedis i pewien Sergio wsadzili ją do środka („Renato i Sergio wsadzili mi ją do samochodu”). Po chwili, gdy dojechali do stacji benzynowej przy wylocie z tunelu u podnóża Gianicolo, dziewczyna przesiadła się do mercedesa z watykańską rejestracją, w którym siedział mężczyzna w stroju duchownego. Emanuela była przytomna, lecz w kiepskim stanie: „Mówiła niewyraźnie, przekręcała słowa”.

Sabrina powiedziała także, że wie, iż dziewczyna była więziona w pewnym domu na Monteverde⁴⁹, który miał dużą piwnicę. Kilka miesięcy później jej kochanek zawiózł ją na plac budowy w Torvaianica. Po chwili dojechał tam Sergio, który z samochodu zaczął wyjmować worki, zaciągnął je do pracującej betoniarki i wrzucił do środka. Minardi wyznała, że nie widziała, co było w tych workach, miała jednak przecucie, a potem uzyskała pośrednie potwierdzenie od De Pedisa, że było to ciało Emanuela.

Zdaniem Sabriny przyczyną porwania i zabójstwa miał być szantaż czy też raczej upomnienie dla Watykanu w mafijnym stylu. Porwanie młodej i niewinnej obywatelki tego państwa miało dać do zrozumienia, że umowy trzeba respektować, a pieniądze się oddaje, zwłaszcza gdy chodzi o duże sumy.

Tu trzeba poszerzyć nasze horyzonty. Dochody przestępczej hydry zwanej „bandą z Magliany” były ogromne. Gangsterzy parali się wszelaką nielegalną działalnością – od rabunków po wymuszenia, porwania, handel narkotykami na międzynarodową skalę – rywalizując z mafią sycylijską. Olbrzymich sum nie mogli upłynnić, nabywając apartamenty, lokale czy biżuterię dla kochanek. Takie dochody wymagały o wiele większych inwestycji. Sporą część tych pieniędzy wprowadzono do obiegu zagranicznego Banco Ambrosiano Calviego, który, jak powiedzieliśmy w rozdziale *Bankierzy Pana Boga*, pozostawał w ścisłych relacjach z IOR. Ponieważ Banco Ambrosiano zbankrutował, pociągnął za sobą w wir długów także pieniądze mafii i bandy z Magliany. Według śledczych, którzy zajmowali się sprawą śmierci Calviego, chodziło o sumę w wysokości około trzystu miliardów dolarów.

Gdy bankier zrozumiał, że popełnił błąd, starał się rozwiązać problem, szantażując Watykan: dał do zrozumienia, że może wyjawić, kim są prawdziwi klienci IOR i gdzie zniknęły miliardy. Jak już wiemy, Calvi zakończył życie powieszony pod mostem w Londynie.

Policja bez trudu odnalazła apartament, o którym mówiła Minardi. Znajdował się on w dzielnicy zwanej Gianicolense i jego wnętrze odpowiadało opisowi kobiety, włącznie z piwnicą, w której było niewielkie pomieszczenie z zardzewiałą miską i ubogim wyposażeniem. Anonimowy współpracownik De Pedisa zadzwonił do programu telewizyjnego *Chi l'ha visto* i powiedział, że dobrze zna tę piwnicę: „Dom na Monteverde był wykorzystywany jako schronienie dla zbiegów, także Renatino przez pewien czas tam przebywał, po wypadku motocyklowym”. Dzwoniący wykluczył jednak, by De Pedis mógł być zamieszany w porwanie Emanuela.

Ślady mówią jednakże co innego. Niektóre fotografie przedstawiające Renatina, włącznie z tą znajdującą się na jego wystawnym grobowcu w kościele Sant'Apollinare, są bardzo podobne do portretu pamięciowego naszkicowanego

zaraz po porwaniu Emanuela na podstawie zeznań dwóch naocznych świadków. Także pewien pułkownik karabinierów, gdy zobaczył ów portret pamięciowy, spontanicznie wykrzyknął: „To przecież jest De Pedis”.

Nicola Cavaliere, który dzisiaj pracuje w służbach wywiadowczych, a wtedy uczestniczył w śledztwie, także jest przekonany, że chodziło o szantaż Watykanu. Jego hipoteza brzmi następująco: po śmierci Calviego „nielegalni” klienci Banco Ambrosiano, czyli ci, którzy nie mogli zwrócić się do wymiaru sprawiedliwości, zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób i kiedy mogliby odzyskać swoje pieniądze. Powierzyli je bankowi, mając pewność, że to doskonała inwestycja, a potem się dowiedzieli, że stracili nawet kapitał. Ostatni szczegół: w kwietniu 1998 roku, to znaczy miesiąc przed tym, jak został zabity, z kasy pancерnej pułkownika Gwardii Szwajcarskiej Aloisa Estermana zniknęły niektóre dokumenty archiwalne, w tym także te dotyczące sprawy Emanuela Orlandi.

Czy to wystarczy, aby potwierdzić wersję Sabriny Minardi? Oczywiście, że nie, bo pomysł, że można zaszantażować osoby lub instytucje tak potężne, porywając jakąś dziewczynkę, wydaje się mało przekonujący. Ta opowieść łączy jednak w logiczną całość serię działań i zdarzeń, których inaczej nie da się wyjaśnić i połączyć.

Powściągliwe (jeżeli nie wprost odmowne) zachowanie hierarchii watykańskiej raz jeszcze potwierdza, że istnieje rozdział między Kościołem i Stolicą Apostolską. Ta ostatnia jest i musi być posłuszna „racji stanu”, nawet gdy nie ma ona nic wspólnego z miłością bliźniego. Owa powściągliwość mogłaby również być uwarunkowana tak zwaną „tajemnicą papieską”. W 2001 roku papież Wojtyła nakazał odnowić stare rozporządzenie, zgodnie z którym osobom duchownym nakazywano zachowywanie milczenia na temat niektórych spraw wobec osób „obcych”. Okólnik został wydany 18 maja 2001 roku z podpisem Josepha Ratzingera i Tarcisia Bertonego, którzy wtedy zajmowali stanowiska odpowiednio prefekta i sekretarza Kongregacji Doktryny Wiary.

Na skutek tego rozporządzenia Ratzinger został oskarżony w 2005 roku przez sąd w Houston o ukrywanie prawdy wobec organów sprawiedliwości w śledztwach dotyczących księży pedofilów. We wrześniu tego samego roku watykański sekretarz

stanu Angelo Sodano poprosił prezydenta Stanów Zjednoczonych o zablokowanie tego postępowania poprzez objęcie papieża immunitetem, który przysługuje głowom wszystkich państw. Prezydent George W. Bush się zgodził. Tajemnica papieska obejmuje także wykroczenia seksualne popełnione przez duchownych w stosunku do osób nieletnich, uwiedzionych lub molestowanych; pod kategorię „obcego” podpada każdy, kto nie należy do hierarchii kościelnej, włączając w to także oficjalne służby prowadzące śledztwo w sprawie piętnastoletniej dziewczynki, która zniknęła bez śladu.

Tu zaczyna się jeszcze inna historia, do której wrócimy w *Dodatku*.

[46](#) To chyba najpopularniejsze włoskie przekleństwo, dosłownie „kutas” (przyp. tłum.).

[47](#) Papa Roncalli, czyli Jan XXIII, dla Włochów był i pozostał „Papieżem Dobrym”, lubianym, kochanym, człowiekiem z ludu (przyp. tłum.).

[48](#) Choć leżą na terenie Włoch, należą do Watykanu i włoska policja nie ma tam wstępu (przyp. tłum.).

[49](#) Dzielnica Rzymu nad Zatybrzem, przylegająca do Gianicolo, które z kolei przystaje do Watykanu (przyp. tłum.).

15. Trybunał wiary

Istnieje zabytek, który nie mniej niż Koloseum czy Panteon jest symbolem majestatu cesarskiego Rzymu. Chodzi o mauzoleum Hadriana – bardziej znane jako Zamek św. Anioła – wraz z prowadzącym do niego mostem, pons Aelius, także pod wezwaniem Anioła: zamek i most wiąże długa historia.

Od początku II wieku, gdy zamek – czy też Hadrianeum – został zbudowany, choć wielokrotnie zmieniał swój wygląd i przeznaczenie, zawsze był ściśle związany z dramatycznymi zdarzeniami w mieście. Niewiele osób pamięta, że ta ogromna budowla pierwotnie została wzniesiona jako grobowiec i przez ponad wiek była miejscem pochówku cesarzy z dynastii Antoninów; w jej wnętrzu, poza grobami Hadriana i jego żony, leżą pochowani Antonin Pius, Faustyna Starsza, być może Marek Aureliusz, a na pewno Karakalla z rodu Sewerów, zamordowany w 217 roku przez dowódcę swoich wojsk. Najważniejszy jest oczywiście grobowiec Hadriana, wielkiego cesarza, którego zwano też *Aelius*, wskazując tym samym na Apolla i słońce. Nad wojnę przedkładał pokój i często udawało mu się go zachowywać. Pragnął poznać wspaniałości ziem, nawet tych najdalszych, nad którymi panował. Szalał z miłości do pięknego Antinusa i gdy się dowiedział, że ten tragicznie zginął w czasie żeglugi po Nilu, „rozpłakał się jak baba”.

Jeżeli chodzi o nazwę Zamek św. Anioła, to wiąże się ona z pewną legendą: w 590 roku na szczycie budowli miał się pojawić anioł, gdy pod przewodnictwem papieża Grzegorza Wielkiego ulice miasta przemierzała procesja mająca modlitwami uśmierzyć straszliwą zarazę. Niebiańska istota, która się objawiła, miała być znakiem, że modlitwy zostały wysłuchane.

Na pamiątkę tego cudu najpierw powstała kaplica wotywna, a potem posąg, który kilkakrotnie wymieniano. Ten postawiony w 1544 roku dzisiaj znajduje się na jednym z dziedzińców zamku. Ma ponad trzy metry wysokości i powstał (według Raffaela z Montelupo) z fragmentów rzymskich kolumn; wykonane z miedzi skrzydła są perforowane, tak by zbytnio nie opierały się podmuchom wiatru. Anioł ten spoglądał

z góry na miasto przez dwa wieki. W 1752 roku zaś Flamand Pieter Antoon van Verschaffelt odlał z brązu anioła, który w doskonale dziś znanym geście wsuwa do pochwy miecz zarazy. To wyjątkowe dzieło oparło się wielu kataklizmom. Warto wejść na sam szczyt zamku, aby móc podziwiać go z bliska.

Dokładnie nie wiemy, jak wyglądała pierwotna budowla. Zapewne rywalizowała z mauzoleum Augusta, powstałym wiek wcześniej i niezbyt daleko, lecz na przeciwległym brzegu Tybru. Ponieważ zachowały się fundamenty, wiemy, że konstrukcję oparto na prostych figurach geometrycznych: kwadratowej podstawie, na której wznosiło się wielkie kolisty mauzoleum przykryte kopułą z usypaną na niej warstwą ziemi, jak w grobowcach etruskich. Kopułę zdobił też stojący na podwyższeniu posąg cesarza w kwadrydze. Koło i kwadrat, bogowie i świat, dusza i ciało, jedność i wielość: Hadrian był intelektualistą i chciał, aby ta budowla, poza przechowywaniem prochów jego i rodziny, mówiła o jego ideałach, wizji życia i świata.

Jako miejsce wybrał pole *ager vaticanus*, wówczas położone na peryferiach miasta, które lud uważał za odległe i dzikie. To ta sama dzielnica, w której za Konstantyna Wielkiego wzniesiono kościół poświęcony św. Piotrowi, i bliskość tych dwóch budowli, zamku i bazyliki, przypieczętuje ich wspólny los. Gdy w 404 roku cesarz Honoriusz przybył do Rzymu, Augustyn z Hippony napisał, że władca nie wiedział, czy ma oddać hołd w świątyni cesarza Hadriana, czy też uklęknąć w tej wspominającej rybaka, w końcu bił się w piersi w miejscu spoczynku Piotra... Krótco przed śmiercią Hadrian, miłośnik literatury i sztuki, napisał pożegnalne wersety, które stały się sławne. To schyłkowa łacina, jednak wzruszająca, wibrująca, naznaczona melancholią, daleka od epickiej prozy, od marmuru i żelaza, od płomienia silnych namiętności:

*Animula vagula, blandula,
Hospes comesque corporis,
Quae nunc abibis i loca
Pallidula, rigida, nudula,*

Nec, ut soles, dabis iocos...

Autorem znanego polskiego przekładu jest Kazimierz Morawski w książce *Rzym, portrety i szkice*:

*Duszyczko moja, tkliwa i ruchliwa,
Gościu ty ciała mojego i druhno,
Co pójdiesz teraz w ostępy ciemności,
Twarde i nagie, i pełne bladości,
A żartów stroić już zwykłych nie będziesz.*

A zaraz potem: „Jeszcze przez chwilę popatrzymy na znane nam brzegi, na rzeczy, których potem na pewno już nie ujrzymy (...)”.

Grobowiec, forteca, więzienie? Zamek był tym wszystkim na przestrzeni dwóch tysięcy lat swego istnienia, pełnił te funkcje jedną po drugiej, a czasami wszystkie naraz. W 403 roku, w czasach Honoriusza, został włączony w obręb murów miejskich, jako przyczółek po drugiej stronie rzeki; bardzo szybko stał się fortecą wyposażoną w mur z blankami, korytarzami i lochami. Najpotężniejsze rodziny szlacheckie walczyły o niego, podobnie jak o inny grobowiec, ten Cecylii Metelli, leżący po przeciwnej stronie miasta, na via Appia. W czasach krwawych i niepewnych zdawało się, że te ogromne grobowce zbudowano raczej po to, by dawać schronienie żywym, nie umarłym. I rzeczywiście, gdy w 1367 roku Urban V przerwał niewolę awiniońską, swój powrót do Rzymu uzależnił między innymi od otrzymania kluczy do zamku, który według niego gwarantował władzę w mieście.

Z upływem lat niszcząca budowla, odarta z ornamentów, marmurów i pomników, stała się „awaryjnym” mieszkaniem papieży. Kto dzisiaj zwiedza zamek, natychmiast zauważy w jego konstrukcji obramowanie z trawertynu, które łączy starożytną rzymską część z tą wzniesioną później: poniżej znajduje się podstawa z wielkich kamieni z tufu, powyżej równo ułożone cegły. W tej wyższej części z czasem powstały wspaniałe apartamenty wzbogacone przez różnych papieży. Ponieważ książka ta nie jest przewodnikiem, zwrócę tu uwagę jedynie na dwóch bohaterów burzliwych zdarzeń, które się tutaj rozegrały: papieży Aleksandra VI (Rodrigo de

Borgia, 1492–1503) i Pawła III (Alessandro Farnese, 1534–1549).

Jeżeli zwiedzający będzie uważny, dostrzeże obecność papieża Borgii już przy wejściu do zamku, gdzie nad bramą znajduje się tablica z napisem: ALEXANDER VI PONT MAX INSTAURAVIT AN. SAL. MCCCCLXXXV. W 1495 roku zostały ukończone prace restauracyjne nakazane przez Aleksandra VI. Zaraz nad tablicą widnieje po części zniszczony herb – francuscy żołnierze w 1798 roku zdrapali ornamenty. Najprawdopodobniej tiarę, klucze oraz wymowny emblemat heraldyczny Borgiów: byka. Tylko jeden z takich herbów ocalał i można go dzisiaj zobaczyć na jednym z dziedzińców w pobliżu studni.

Papież Borgia skupił się głównie na elementach obronnych: wałach, umocnieniach zewnętrznych (włączając w to wieżę zamykającą most na watykańskim brzegu), odnowił Passetto di Borgo, to znaczy wąski biegnący murami korytarz, którym można przejść z budynków apostolskich do zamku. Jak już wspomniałem, skorzystał z niego Klemens VII, gdy w 1527 roku wojska Karola V pustoszyły miasto. W owych dniach wojny i przelewu krwi zamek okazał się fortecą nie do zdobycia.

Jeszcze bardziej widoczny znak pozostawił Paweł III z rodu Farnese, słynny papież, wielki humanista, prawdziwy spadkobierca kultury klasycznej, choć purpurę zdobył w sposób dość wątpliwy. Kardynałem bowiem uczynił go papież Borgia, gdy Farnese miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, dzięki wstawiennictwu jego siostry, Julii Farnese, która z kolei w wieku lat piętnastu została kochanką papieża. Lud rzymski w swej rubasznosci przezwiał go nieprzyzwoicie „Cardinal Fregnese”⁵⁰.

Paweł III wstąpił na tron w 1534 roku, dość krótko po rozłamie spowodowanym przez Lutera i dramatycznym złupieniu miasta (*sacco di Roma*), w okresie kolejnej wielkiej schizmy – tym razem z Kościołem anglikańskim – zadekretowanej przez Henryka VIII. Nowy papież zamierzał więc odbudować religijny i imperialny autorytet Kościoła. Zatwierdził powstający zakon jezuitów, przywrócił rzymską inkwizycję, przede wszystkim zaś zwołał sobór trydencki, który miał sprawić, by Kościół stał się źródłem odnowy moralnej, przeciwstawiając się szerzącej się

reformacji i utwierdzając tym samym prawomocność i uniwersalność katolickiej władzy.

Jeżeli chodzi o zamek, Paweł III nakazał ozdobić go bogatymi freskami ukazującymi papieża jako nowego cesarza, wcielenie Hadriana i spadkobiercę cywilizacji, która zapanowała nad światem za pomocą miecza, lecz bardziej jeszcze dzięki mądrości prawa. Paweł III podpisał się pod wzruszającymi wersetami *Eneidy* (VI, 852–853), w których Anchizes zapowiada przyszłą rolę Rzymu: *Tu regere imperio populos, Romane, memento/(haec tibi erunt artes), pacique imponere morem/parcere subiectis et debellare superbos* („Ty władać nad ludami pomnij, Rzymianinie!/To twe sztuki: Nieść pokój, jak twa wola samać/Nakaże, szczerdzić kornych, a wyniosłych łamać!”⁵¹).

Freski zdobiące bibliotekę przedstawiają założenie Rzymu, są więc programem kulturalnym i politycznym, którego uwieńczenie stanowi sala Paolina: poprzez przepych stiuków, marmurów i perspektywicznych iluzji papież chciał ukazać spotkanie klasycznego pogaństwa i katolickiej nowożytności, rzymskiego cesarstwa i nauczania Kościoła. Napis, który widnieje u góry ścian, wyraźnie zdradza tę intencję: „Papież Paweł III grobowiec boskiego Hadriana przemienił we wspaniałą i świętą budowlę”.

W obrębie starych murów fortecy znajduje się wiele innych ciekawych rzeczy: przepiękny piec Klemensa VII, tajemniczy skarbiec z ogromną szkatułą, sala z prochami Hadriana, elegancka mała loggia Juliusza II, z której widać most, genialny spiralny podjazd, którym bez trudu można dostać się konno prawie na sam szczyt, i wiele innych. Jednej rzeczy nie można jednak pominąć, gdyż nawet urok rozmaitych pomieszczeń nie pozwala zapomnieć, że było to także miejsce straszliwego odcięcia od świata i cierpień, jedno z więzień trybunału Świętej Inkwizycji.

W Sali Sprawiedliwości skazano na śmierć młodą Beatrice Cenci⁵². Na dziedzińcu, gdzie dokonywano egzekucji, jeszcze w XIX wieku rozstrzeliwano młodych patriotów, którzy śnili o zjednoczonych Włoszech i końcu doczesnej władzy papieży. Giacomo Puccini właśnie tutaj usytuował – nie bez kozery – zakończenie

Toski. Dzwonnicę, znajdującą się na szczycie po lewej stronie posągu anioła, zwano „dzwonnicą skazańców”, gdyż bicie jej dzwonów zapowiadało egzekucję. W pewnych okresach Zamek św. Anioła był tylko ponurym więzieniem, którego sklepienia zainspirowały Piranesiego do stworzenia cyklu akwafort pod tytułem *Carceri d'invenzione* („Więzienia wyobraźni”).

Zwiedzając lochy, można się przekonać, w jak straszliwych warunkach żyli tam więźniowie: gołe ściany, liche posłanie rzucone na ziemię, brak latryny. Na małej przestrzeni, w duchocie, smrodzie ekskrementów, w cierpieniach spowodowanych torturami, w wiecznym półmroku, bo światło wpadało tylko przez umieszczone wysoko okienka, do których nie można było dosięgnąć, nieszczęśnicy „pokutowali”, oczekując wyroku, podczas gdy na dziedzińcu nad ich celami odbywały się tańce, rozlegał się perlisty śmiech pięknej damy, prowadzono miłe konwersacje.

Pośród wielu więzionych tam nieszczęśników byli także ludzie sławni, na przykład Benvenuto Cellini, który nawet poważił się na ucieczkę, ta jednak źle się skończyła. W barwnych wspomnieniach artysta pisze:

Tak żyłem, nieszczęsny, na przegniłym materacu, który w trzy dni cały przesiąkł wodą. Nie mogłem się wcale poruszać z powodu złamanej nogi, a chcąc wyjść z łóżka dla załatwienia potrzeby, czołgałem się z największym trudem na czworakach, by nie zanieczyszczać miejsca, gdzie spałem⁵³.

Cellini był wyjątkowym więźniem i miał to szczęście, że w celi znajdował się prymitywny wychodek (można go jeszcze zobaczyć) – luksus, którego zwykłym więźniom odmawiano.

Ostatnią sławną ofiarą inkwizycji był Giuseppe Balsamo, hrabia Cagliostro. Ten genialny oszust i awanturnik z Palermo był znany na wielu europejskich dworach jako hipnotyzer, alchemik i nekromanta. Był egzaltowany, zdolny do kłamstw i zaskakujących sztuczek, miał niezwykle pomysły. W 1789 roku, chory na kiłę w zaawansowanym stadium, zamieszkał w Rzymie, gdzie założył lożę masońską egipskiego obrządku. Miał tylko dwóch uczniów, pewnego markiza i mnicha kapucyna, który został kochankiem jego żony Lorenzy.

W 1791 roku po donosie małżonki wytoczono mu proces, w którego wyniku został skazany na śmierć, gdyż zarzucono mu bluźnierstwo i herezję przeciwną Bogu,

Jezusowi Chrystusowi, Dziewicy Maryi, świętym, sakramentom, czyśćcowi, przykazaniom kościelnym, a ponadto dewiacje seksualne i czyny lubieżne. W oskarżeniu, o tragikomicznym wydzwiewku, zdefiniowano go jako „człowieka, który w nic nie wierzy, bezwyznaniowca, a więc właściwie bestię, obelżywą i przewrotną, szelmę, szalonego szarlatana i dzikusa, oszusta, deistę, którego najpilniej strzec się należy”.

Kapucyn dostał dziesięć lat więzienia, Lorenzy w sumie się poszczęściło, bo skazano ją jedynie na odosobnienie w klasztorze. Cagliostro zdołał uniknąć śmierci dzięki papieżowi, który zmienił wyrok na dożywocie. Hrabia został więc zamknięty w twierdzy San Leo, gdzie po pewnym czasie oszalał zarówno na skutek swej choroby, jak i częstego bicia.

Inkwizycja w Rzymie dysponowała także innymi miejscami odosobnienia: więzieniem Tor di Nona (gdzie był osadzony między innymi Giordano Bruno), zburzonym podczas umacniania brzegów Tybru, oraz właściwym więzieniem Świętego Oficjum, uroczyście otwartym jesienią 1566 roku, z wielką pompą i armatnimi salwami (dzisiaj pełni inne, mniej okrutne funkcje). Budynek Świętego Oficjum stoi na placu o takiej samej nazwie, kilka kroków od Bazyliki św. Piotra i dzisiaj znajduje się w nim Kongregacja Doktryny Wiary. Kardynał Joseph Ratzinger przez dwadzieścia pięć lat przekraczał jego masywną bramę i wszedłszy na pierwsze piętro, zasiadał w swoim biurze. Skromne wyposażenie: stół z czarnego drewna orzechowego, na ścianie starodawny obraz przedstawiający Marię Magdalenę, krzyż. Nazwa budynku przywodzi na myśl tortury, jest on jedynym śladem, jaki pozostał po dawnym kompleksie sądowniczym i więziennym wzniesionym z woli papieża Pawła III w 1542 roku. Święta rzymska i powszechna inkwizycja powstała dla obrony wiary i zwalczania herezji.

Straszliwe przesłuchania odbywały się w Carceri Nuove (Nowym Więzieniu) na via Giulia. Zaczęto je budować z rozkazu papieża Innocentego X w 1647 roku, według projektu Antonia Del Grande, a ukończono za pontyfikatu Aleksandra VII (Fabio

Chigi, 1655–1667). Dzisiaj, przedziwnym zrządzeniem losu, w budynku tym znajduje się dyrekcja państwowego centrum do walki z mafią. Na drugim piętrze, obok biura prokuratora, w jednym z pokoi widnieją ślady dawnych praktyk: hak wmurowany w ścianę, który służył do unieruchamiania oskarżonych w czasie tortur. Do 1968 roku w Carceri Nuove znajdowało się Muzeum Włoskiej Kryminalistyki, które później przeniesiono. Przez te cele przechodzili oskarżeni i często stawały się one początkiem drogi na szafot dla tych, których uznano za winnych, bo ich poglądy odbiegały od oficjalnego nauczania Kościoła.

Na temat trybunałów inkwizycji – na terenie Italii i innych krajów – napisano tyle, że czasami straszne legendy wypierają historyczną prawdę. Pomimo wszelkiej przesady nie ulega wątpliwości, że fenomen ten zaważył na dziejach Kościoła, zwłaszcza włoskiego.

Od samych początków, gdy stopniowo tworzył się kanon i ortodoksyjna doktryna, Kościół (jak każda inna instytucja opierająca się na ideologii) musiał przeciwstawić się doktrynalnym odchyleniom (herezjom), karząc tych, którzy dopuszczali się wykroczeń, zakazując czytania lub konfiskując dzieła uważane za hereetyckie. Synod w Tuluzie w 1229 roku zabraniał ludziom świeckim posiadania Biblii, a synod w Tarragonie w roku 1234 nakazał nawet, by tłumaczenia Biblii na języki narodowe zostały spalone. Opierano się na zasadzie obcej prawu rzymskiemu, że oskarżenie o herezję można sformułować na podstawie procedury urzędowej, to znaczy nawet bez wiarygodnych świadków. To nie wszystko: jeżeli ktokolwiek wiedział coś o domniemanym przypadku herezji, powinien natychmiast donieść o tym do najbliższego trybunału inkwizycji, gdyby zaś tego nie zrobił, można by go – na skutek zaniechania – oskarżyć o współudział w przestępstwie. Ślad tego rodzaju postępowania znajdujemy w formule, jaką musiał wygłosić Galileusz, wypierając się swoich poglądów, ów wielki naukowiec musiał między innymi obiecać: „Jeżeli poznam jakiegoś heretyka lub będę kogoś o herezję podejrzewał, doniosę o tym Świętemu Oficjum, inkwizycji lub biskupowi miejsca, w którym będę się znajdował”.

Początkowo wyroki obejmowały głównie zakaz nauczania i ekskomunikę. Potem

stały się surowsze, choć ostatnie studia wykazały, że stopień surowości był różny, w zależności od kraju i okresu. Stawało się przed trybunałem inkwizycji po oskarżeniu o magię, diabelskie czary, opętanie, podawanie się za świętego, sodomie; ogólnie mówiąc zaś, chodziło o sprawy, które jako niezgodne z doktryną pozwalały przypuszczać, że ktoś odbiega od oficjalnego kanonu.

Przez długi czas inkwizycja odgrywała w Kościele bardzo ważną rolę. Na przykład w drugiej połowie XVII wieku na siedmiu panujących w tym okresie papieży jedynie dwóch nie sprawowało wcześniej jakichś funkcji w inkwizycji. Papież Benedykt XVI nawiązuje do tej tradycji.

Czym więc była inkwizycja i jaką rolę odegrała w dziejach Stolicy Apostolskiej? Kongregacja Świętej Rzymskiej i Powszechnej Inkwizycji – kolegium kardynałów i prałatów bezpośrednio podlegających papieżowi – została stworzona przez papieża Pawła III. Powołał ją do życia na mocy bulli *Licet ab initio* (1542). Zadaniem tej instytucji była obrona integralności wiary oraz zapobieganie błędom i fałszywym doktrynom. Poczynając od 1571 roku, niezbędnym elementem był *Index librorum prohibitorum* (*Indeks ksiąg zakazanych*), o którym za chwilę opowiem. Rzymscy inkwizytorzy obejmowali swą jurysdykcją cały Kościół katolicki, choć w praktyce ich działalność niemal zawsze ograniczała się do Italii. Do najśłynniejszych procesów należą te wytoczone Giordanowi Bruno i Galileuszowi.

Dominikańscy inkwizytorzy, Jacob Sprenger i Heinrich Kramer, wysłani przez papieża Innocentego VIII do Rzeszy niemieckiej, zebrali w jednym „podręczniku” wszystkie informacje potrzebne dla rozpoznania, przesłuchiwania i karania czarownic i heretyków. Dzieło opublikowano w Spirze w 1486 roku pod sławnym dziś tytułem *Malleus maleficarum* (*Młot na czarownice*); wielokrotnie wznawiane, w XVII wieku osiągnęło niezwykły wprost nakład trzydziestu pięciu tysięcy egzemplarzy.

Dziwne zachowania cechujące „czarownice” spowiednicy (donoszący o podejrzanych przypadkach trybunałowi) przypisywali obecności demona, niemal

zawsze wiążąc go z genitaliami. Większość zarzutów bowiem dotyczyła nieczystych stosunków seksualnych, przeciwnego naturze obcowania, obscenicznych pocałunków, a zwłaszcza tak zwanego *osculum infame*, czyli całowania tyłka Szatana. Wielokrotnie i obsesyjnie powracała idea niezaspokojonego kobiecego łona, dlatego też oskarżonym często golono włosy łonowe, aby pozbawić demona jednej z jego ulubionych kryjówek. Niektóre egzorcyzmy polegały na „dmuchaniu” i różnego rodzaju manipulacjach „in loco” („w tym miejscu”).

Postępowanie było takie samo jak w każdym innym procesie karnym: oskarżenie, świadectwa ustne lub pisemne, ewentualne inne dowody, konfrontacja oskarżyciela i obrońcy, wyrok. Taka przynajmniej była teoria, w praktyce bowiem dowody sądowe ograniczały się do kilku często sprzecznych plotek, a poza tym cała procedura opierała się na założeniu, że negowanie istnienia demona samo w sobie jest herezją, a więc przyznaniem się do winy. Jeżeli podczas pierwszego przesłuchania oskarżony nie odwoływał błędów, inkwizytor groził przesłuchaniem zwanym *stricte*, to znaczy z użyciem tortur, co eufemistycznie nazywano „surowym badaniem”. Jeżeli przesłuchiwany uparcie zaprzeczał oskarżeniu, do akcji wkraczali oprawcy.

Jeżeli oskarżony nie ustępował mimo straszliwych cierpień, trybunał oświadczał, że nie jest w stanie sprowadzić heretyka na drogę słusznej wiary, i oddawał go tak zwanemu „ramieniu świeckiemu”, to znaczy odpowiedniemu trybunałowi cywilnemu, by ten wymierzył karę. To łączenie władzy często sprzyjało podejrzany kompromisom, skutkiem czego Kościół korzystał z władzy cywilnej w celu wykonania wyroku, a władza cywilna wykorzystywała pretekst doktryny, by usprawiedliwiać własne prześladowania. Wyrok więzienia oznajmiano za pomocą rytualnej formuły w stylu: „Skazujemy cię na dożywotnie więzienie w tym Świętym Oficjum bez nadziei na ulaskawienie, skutkiem czego musisz cały czas płakać i pokutować, aby wyblagać u Boga miłosierdzie i przebaczenie grzechów i błędów przeszłości”.

W takich procesach nie rozróżniano grzechu i przestępstwa: prawdziwym oskarżonym była dusza i to ją sądzono, a raczej idee, doktryny, zasady, według których oskarżony myślał, działał i pisał. Dlatego to właśnie spośród dominikanów,

którzy byli wykształceni, dobrze przygotowani i precyzyjni, wywodzili się najlepsi inkwizytorzy. Echo ich nieubłaganych wyroków do dzisiaj pobrzmiwa w literaturze. Spośród wielu przykładów można podać *Ivanhoe* Waltera Scotta, *Imię róży* Umberta Eco, a przede wszystkim *Braci Karamazow* Fiodora Dostojewskiego, powieść zawierającą dość obszerną „Legendę o Wielkim Inkwizytorze”, którą opowiada Iwan, ateista, zarazem spragniony wiary i negujący istnienie Boga.

O ile Paweł III dał początek tego rodzaju procedurom, o tyle dopiero jeden z jego następców, Paweł IV, wpadł na pomysł politycznego wykorzystania trybunału. Rozmawiałem o tym z profesorem Massimem Firpem, badaczem z Lincei, który na uniwersytecie w Turynie kieruje katedrą historii powszechnej i od dawna bada dzieje kultury oraz religijności w XVI wieku, a inkwizycji poświęcił wiele rozpraw. Oto, co powiedział:

Kardynał Carafa, późniejszy papież Paweł IV, w 1532 roku napisał do Klemensa VII niezwykle memorandum, w którym żarliwie donosił o rozprzestrzenianiu się herezji i złych obyczajów, korupcji i ignorancji kleru, a także o bierności biskupów i samej Stolicy Apostolskiej. Uważał, że wszystkie te problemy są ze sobą powiązane. Przedstawił jasny program energicznego działania, który za cel stawiał sobie reformę Kościoła skierowaną zwłaszcza przeciw reformacji protestanckiej. W ciągu kilku lat jego wytrwałość i nieugięte holdowanie zasadzie „heretyków trzeba traktować jak heretyków” sprawiły, że w drugiej połowie XVI wieku idea ta stała się główną linią polityki Kościoła, którą nazwano „kontreformacją”. Instytucja Świętego Oficjum stanowiła doskonałą broń do zwalczania heretyków w Italii, włączając w to ludzi Kościoła skłonnych do pewnej ugody z protestantami i zaakceptowania niektórych ich tez teologicznych. Oto, jak Carafa wykorzystał inkwizycję: zebrał dowody (dziś powiedzielibyśmy „dossier”), aby później w trakcie konklawe uniemożliwić wybór swoich przeciwników. Dzięki pewnemu rzymskiemu informatorowi wiemy na przykład, że na konklawe w 1555 roku Carafa przyniósł dokumenty „procesów wytoczonych przeciw wszystkim ewentualnym kandydatom na tron papieski”. Nie dziwi więc, że konklawe właśnie jego wybrało papieżem, który natychmiast postarał się o to, by „zapełnić więzienia kardynałami i biskupami dzięki działaniu inkwizycji”, jak napisała jedna z jego ofiar. Nie dziwi też, że gdy inkwizycja raz wpłynęła na wybór papieża, to później właśnie ona wybierała następców św. Piotra, skutkiem czego Kościół podążał w kierunku celów religijnych i politycznych przez nią wytyczanych. Dopiero w drugiej kolejności, gdy zdobyło już najważniejsze miejsca w Kurii, Święte Oficjum przeniosło swoje działania na peryferie, występując przeciw heretyckim grupom w niemal wszystkich miastach Italii. Wydaje mi się, że było to działanie nie tylko religijne, lecz także polityczne, to znaczy oparte na wyraźnie określonym planie i środkach koniecznych do jego realizacji, co umożliwiało rywalizację z odmiennymi i przeciwnymi wizjami teologicznymi i duszpasterskimi. Jest więc oczywiste, w jaki sposób Kongregacja Świętego Oficjum, najważniejsza kongregacja Rzymu, jedyna, której bezpośrednio przewodniczył papież, stała się instytucją dzisiaj nazywaną Kongregacją Doktryny Wiary⁵⁴, do niedawna przewodniczył jej kardynał Joseph Ratzinger, dzisiaj Benedykt XVI. Już w XVI wieku wyjątkowo

uprzywilejowana inkwizycyjna struktura zapewniła Kościołowi schemat rekrutacji do hierarchii i sukcesu w karierze kościelnej.

Czy jest możliwe, że ta potężna struktura miała związek z narodzinami na Półwyspie Apenińskim państwa narodowego? Czy przypadkiem w jakiś sposób nie wpłynęła na jego charakter? Profesor Firpo twierdzi:

To, że Rzym i Italia praktycznie utożsamiały się z chrześcijaństwem, miało wielorakie konsekwencje. Lepiej rozumie się ów problem, jeżeli nie dostrzega się tylko tego, że w Italii zawsze istniał Kościół, który po cesarstwie przejął władzę doczesną, lecz także doda się do tego fakt, że brakowało tu państwa. Na Italię składały się starożytne miasta, którymi rządziły rody i wielowiekowe patrycjaty, często wyniszczające się nawzajem w walkach różnych frakcji, nieustannie zdominowanych przez korporacyjną strukturę, gdzie mieszały się sprawy publiczne i prywatne. Trudny proces powstawania nowożytnego państwa, który we Francji, Anglii i Hiszpanii trwał od XV wieku, tutaj rozpoczął się późno i w sposób wypaczony. Monarchia papieska o charakterze elekcyjnym, nacechowana nepotyzmem oraz wymieszaniem interesów państwowych z duchowymi, sprawiła, że Italia była wyjątkowym przypadkiem złego zarządzania. Już w XVI wieku Francesco Guicciardini pisał we wspomnieniach: „Nie wiem, czy istnieje ktoś, kto bardziej niż ja cierpi z powodu ambicji, zachłanności i bylejakości kleru, a to dlatego, że każda z tych wad już sama w sobie jest odstręczająca, a razem czy osobno nie przystoją one ludziom, którzy oddają swoje życie Bogu, nade wszystko zaś dlatego, że są to wady nawzajem się wykluczające, które mogą zamieszkiwać razem tylko w bardzo dziwnych indywiduach”. A mimo to służba u papieży Medyceuszy zmuszała go „do szczególnego umiłowania ich wielkości; i gdyby nie ów respekt, kochałbym Marcina Lutra jak siebie samego: nie po to, by wyzwolić się od reguł narzucanych mi przez religię chrześcijańską, tak jak jest ona zazwyczaj rozumiana i interpretowana, lecz by ujrzeć, jak z owym rojem złoczyńców dzieje się to, co stać się powinno, to znaczy aby był pozbawiony albo wad, albo władzy”. Kościół okresu kontrreformacji nadal miał swoje wady, potrafił jednak zręcznie je ukrywać, podążając za jezuicką formułą *si non caste tamen caute* („jeżeli nie możesz postępować w sposób czysty, to przynajmniej postępuj ostrożnie”), pod postacią paternalistycznego duszpasterstwa, w głupim formalizmie religijnym, często ograniczającym się do dewocji, w tłumieniu wszelkiego głosu sprzeciwu.

Mówiąc o sprzeciwie, szczególną uwagę należy zwrócić na prześladowania Żydów. Niezliczone papieskie rozporządzenia na przestrzeni wieków ograniczały im swobodę podróżowania i handlu, nakazując im nosić takie lub inne rozpoznawalne znaki. Poczynając na przykład od złotego nakrycia głowy, które musieli nosić Żydzi w Rzymie; w latach trzydziestych XX wieku zainspirowało to nazistów, którzy kazali przyszywać synom Izraela do ubrań złotą gwiazdę Dawida. Trzeba jednak przyznać, że rzymska inkwizycja traktowała Żydów dosyć „łagodnie”, zamiast opresji fizycznych nakładając na nich duże kary pieniężne i konfiskując ich dobra. Okrutne

natomiast były ciągle ponawiane próby zmuszania ich do nawrócenia się na „prawdziwą wiarę”, które pozbawiały ludzi elementarnej wolności. Godny uwagi przykład podaje Andrea Del Col w książce *Inquisizione in Italia dal XII al XXI secolo* („Inkwizycja we Włoszech od XII do XXI wieku”):

Na Chiare, żonę Angela del Borgo, pewien neofita kłamliwie doniósł w 1712 roku, jakoby chciała zostać chrześcijanką. Kobieta została przetrzymana ponad wszelki dopuszczalny czas i mąż protestował przeciw Świętemu Oficjum, a nawet oficjalnie je zaskarżył przy pomocy zdolnego i wykształconego adwokata katolickiego (...). Mimo że Chiara była w ciąży i zdecydowanie przeciwna nawróceniu, Kongregacja dwukrotnie przyznała rację rektorowi Domu Katechumenów, który przetrzymał ją aż do porodu. Nowo narodzoną dziewczynkę ochrzczono, a Angelo poprosił Święte Oficjum, aby mu zwrócono przynajmniej żonę. Ta jednak niespodziewanie uległa presji i 17 marca 1713 roku zdecydowała się nawrócić, o czym rektor Domu z triumfem doniósł do Świętego Oficjum: „Dzięki wpływowi Ducha Świętego powiedziała, że przyjmuje chrześcijaństwo, gdyż przekonała się do słodyczy świętej Ewangelii. Wiadomo bowiem, że *Spiritus quando vult, spirat* («Duch tchnie, kędy chce»), i takie biedne dusze muszą być wspierane, aby stały się zdolne do potępienia narodu żydowskiego i przyjęcia świętości będącej udziałem wiernych naszego drogiego Odkupiciela”.

Według profesora ostatnie zdanie ukazuje, jak skuteczna była bezprawna metoda przeciągającego się przetrzymywania w Domu Katechumenów i absolutna niemożność przeciwstawienia się inkwizycji.

Rozpowszechnienie się ideałów wolnościowych po rewolucji francuskiej nie zmieniło sytuacji Żydów tam, gdzie władzę miało papieżstwo. Jeszcze na początku XIX wieku antysemickie broszury umacniały najbardziej skrajne uprzedzenia. Na przykład w 1825 roku francuski dominikanin Ferdinand Jabalot tak oto charakteryzował Żydów:

Bogobójstwo, niepoahamowana żądza bogactwa i wykorzystania go przeciw chrześcijanom, ambicje zmierzające do zapanowania nad światem, szkody wyrządzone w sferze moralności i obyczajów, nienawiść do religii chrześcijańskiej gorsza od najohydniejszego barbarzyństwa („umywanie rąk we krwi chrześcijan, palenie kościołów, deptanie konsekrowanych hostii, krzyżowanie z nienawiścią do Jezusa Chrystusa Jego wyznawców, porywanie i mordowanie dzieci, gwałty na poświęconych Bogu dziewicach i molestowanie ochrzczonych”).

Idealy oświecenia zostały odrzucone przez Kościół najwyraźniej dlatego, że chciał

on przeciwstawić się radykalnym zmianom rodzącym się z ducha nowożytności, do których należała między innymi wolność, jaką różne europejskie państwa przyznawały Żydom. Historyczka Marina Caffiero w studium *Battesimi forzati. Storie di ebrei, cristiani e convertiti nella Roma dei papi* („Chrzty wymuszone. Historie Żydów, chrześcijan i konwertytów w papieskim Rzymie”) dowodzi, że liczba wymuszonych chrztów żon, dzieci i wnuków Żydów, którzy się nawrócili na wiarę katolicką, jak również potajemnych chrztów dzieci, znacznie wzrosła w XIX wieku. Najpierw kontestowano prawa rodzicielskie i krytykowano odmowę nawrócenia się na katolicyzm, a potem przekazywano sprawę w ręce Świętego Oficjum.

Do najgłośniejszych (i najbardziej bolesnych) przypadków należy chrzest, którego potajemnie udzieliła chrześcijańska służąca czteroletniemu Izraelicie, Edgardowi Mortarze, gdy dziecko było ciężko chore i zdawało się, że umrze. Dwa lata później, w 1858 roku, służąca, prawdopodobnie chcąc się zemścić na swoich pracodawcach, doniosła o tym władzom kościelnym. Edgardo został więc siłą zabrany od rodziny, a ponieważ został ochrzczony, inkwizytor nakazał, aby otrzymał chrześcijańskie wychowanie w Domu Katechumenów. Mimo rozpaczliwych próśb i apelacji rodziców oraz nacisków międzynarodowych, włącznie ze wstawiennictwem Napoleona III i Cavoura, chłopca nigdy nie oddano rodzicom. Stał się protegowanym papieża Piusa IX, który traktował go niemal jak syna, wstąpił do zgromadzenia kanoników laterańskich, zmieniając imię na Pius. Gdy upadło Państwo Kościelne, wyjechał do Austrii i w 1873 roku przyjął święcenia kapłańskie.

Kultura oświecenia i coraz powszechniejsze postawy oparte na „rozumie” zaalarmowały Kościół rzymski. Opór Kościoła wzrósł także dlatego, że wiele wyznań protestanckich popierało wprowadzenie koniecznych reform. Wymownym przykładem obronnej postawy Kościoła był bardzo długi pontyfikat Piusa IX (1846–1878).

Jego ideologiczny manifest został zawarty w encyklice *Quanta cura*, wydanej 8

grudnia 1864 roku, wraz z cieszącym się złą sławą dodatkiem *Syllabus*, który krótko omówiłem w rozdziale *Burzliwe dzieje pewnego budynku*. Dokument ten doskonale portretuje papieża obsesyjnie dopatrującego się zagrożeń ze strony społeczeństwa liberalnego, przekonanego, że nowożytność może się przyczynić do religijnego zubożenia.

Jego następca Pius X (1903–1914) nieugięcie podążał tą samą drogą, uznał jednak, że jeżeli chodzi o Święte Oficjum, należy zaprzestać używania słowa „inkwizycja”, które miało zbyt negatywny wydźwięk. Przeorganizowując Kurię, powołał do życia urząd mający się troszczyć o czystość wiary, który nazwano Kongregacją Świętego Oficjum, instytucja ta w 1917 roku przejęła także obowiązki kongregacji trudniącej się opracowywaniem i odnawianiem *Indeksu ksiąg zakazanych*.

W 1965 roku Paweł VI zmienił nazwę tego urzędu na „Święta Kongregacja do spraw Doktryny Wiary”, w dalszym ciągu należało do niej propagowanie i obrona ortodoksji. W 1988 roku Jan Paweł II usunął zbyt zobowiązujące słowo „święta” i nazwał ten urząd po prostu Kongregacją do spraw Doktryny Wiary (*Congregatio pro Doctrina Fidei*). W wystąpieniu z marca roku 2000 zaś poprosił świat o wybaczenie licznych grzechów popełnionych przez Kościół, wliczając w to także czyny inkwizycji.

Ciekawe są też dzieje *Indeksu ksiąg zakazanych*. Gdy w połowie XV wieku Gutenberg wynalazł druk, książki stały się jednym z głównych nośników ewentualnej herezji. Za ich pośrednictwem można było szybko rozpowszechnić – i to na skalę wcześniej nieznaną – wywrotowe poglądy. Od samego początku inkwizytorzy dysponowali władzą eliminowania książek heretyckich. To wydział teologiczny paryskiej Sorbony, cieszący się wielkim autorytetem, w 1544 roku opublikował (po łacinie i po francusku) listę dwustu trzydziestu książek, które należało uważać za zakazane.

Natomiast pierwsze wydanie *Indeksu ksiąg zakazanych*, to znaczy spisu książek uznanych za niebezpieczne dla wiary i moralności katolickiej, zostało przygotowane

przez Kongregację Świętej Rzymskiej i Powszechnej Inkwizycji w 1557 roku. Działo się to za panowania rygorystycznego papieża Pawła IV. Ambasador Wenecji tak go opisał w jednej ze swych depezy: „Ma charakter gniewny i wybuchowy (...) postępuje bardzo gwałtownie i nie znosi, aby mu się sprzeciwiano”. Pierwszy *Indeks*, dość krótki, cenzurował nawet fragmenty Biblii i niektóre pisma Ojców Kościoła. Znalazły się na nim takie książki, jak *Dekameron* Boccaccia i *Księżę* Machiavellego, a także *Il Novellino* Masuccia Salernitana⁵⁵ i dzieła Erazma z Rotterdamu, najśłynniejszego humanisty epoki, którego wina polegała na tym, że nawoływał Kościół, by powrócił do swej pierwotnej czystości.

Indeks oficjalnie opublikowano w 1559 roku, a poprzedzający go dekret mówił: „Niech nikt nie ośmiela się już kopiować, publikować, drukować lub nakazywać druk, sprzedawać, kupować, pożyczać, ofiarowywać w darze lub pod jakimkolwiek innym pretekstem, przyjmować, posiadać, przechowywać lub nakazywać przechowywanie którejkolwiek z książek lub pism wymienionych w tym oto *Indeksie* Świętego Oficjum”. Potem podawano nazwiska autorów podzielone na trzy kategorie; pierwsza obejmowała tych, którzy popełnili błąd *ex professo* (celowo) i dlatego ich dzieła odrzucono w całości; druga dotyczyła autorów potępionych jedynie z powodu pewnego fragmentu; trzecia zawierała dzieła heretyckie opublikowane anonimowo.

Nowe wydanie *Indeksu*, szczególnie ważne, zostało przygotowane z rozporządzenia papieża Pawła IV po zakończeniu soboru trydenckiego. Dołączono do niego dziesięć reguł, które pozostały w mocy do 1896 roku. Jedną z nich zakazywała na przykład ludziom świeckim czytania Biblii przetłumaczonej na język narodowy. Sobór bowiem ustalił, że jedyną prawomyślną wersją Biblii jest łacińska Wulgata, i odrzucił wszelkie inne tłumaczenia na języki nowożytne z „oryginałów” greckich i hebrajskich.

Indeks zredagowany na soborze trydenckim ukazał się wiosną 1564 roku pod takim sążnistym tytułem: *Index librorum prohibitorum cum regulis confectis per Patres a Tridentina Synodo delectos, auctoritate Sanctiss. D.N. Pii IV, Pont. Max. comprobatus*, to znaczy: „Indeks ksiąg zakazanych z regułami zebranymi przez ojców obecnych na soborze w Trydencie, zatwierdzony mocą autorytetu naszego

najświętszego ojca Piusa IV papieża”. Kongregacja zaplanowała gigantyczny program cenzorski wobec dzieł i autorów, którzy w jakikolwiek sposób nie zgadzali się z oficjalnym nauczaniem. Zabrano się zatem do Ojców Kościoła (od Tertuliana i Ambrożego po Tomasza z Akwinu); dzieł medycznych pokazujących, jak działa „maszyna” ludzkiego ciała; Hipokratesa, Galena, Paracelsusa; filozofów, takich jak Platon i Arystoteles; historyków, jak Herodot, Tacyt, Tukidydes; niemal wszystkich klasyków: Owidiusza, Wergiliusza, Horacego, Salustiusza, Liwiusza, Plutarcha, Homera, Katona, Plauta, Ezopa.

Szczególną uwagę poświęcono Talmudowi składającemu się z *Miszny*, czyli prawa, i *Gemary*, czyli komentarza rabinicznego. Księgi te, fundamentalne dla religii i mądrości żydowskiej, spalono w Rzymie za panowania Juliusza III w 1553 roku. Na soborze trydenckim ustalono, że w przyszłości Żydzi będą mogli je czytać, lecz w formie oczyszczonej, po wycięciu fragmentów sprzeciwiających się Nowemu Testamentowi, „obraźliwie i bluźnierczo przeciwnych Kościołowi katolickiemu”, obscenicznych. Trzeba jednak zaznaczyć, że nie wiadomo, czy te przepisy kiedykolwiek wprowadzono w życie.

Kongregacja Indeksu zawsze w pewnym sensie podlegała budzącej grozę Najwyższej Kongregacji Inkwizycji, która dysponując znacznymi środkami finansowymi, zbierała się dwa razy w tygodniu, a na jednym z tych spotkań obecny był papież. Natomiast kongregacja zajmująca się indeksem miała mniej pieniędzy i pracowników, spotkania odbywały się rzadziej i mniej regularnie. Oficjalnie przewodził jej kardynał, lecz w praktyce głównym animatorem był sekretarz wybierany spośród dominikanów. Istniało także stanowisko mistrza Pałacu Apostolskiego, czyli papieskiego teologa, który był członkiem zarówno inkwizycji, jak i Kongregacji Indeksu i miał prawo zakazywania ksiązek w obrębie Rzymu. Stanowisko sekretarza inkwizycji było bardzo korzystne, jeśli chodzi o rozwój kariery, bo po zakończeniu tej służby (trwającej od roku do dziewięciu lat) wnoszono go do rangi kardynała.

Filozofia usprawiedliwiająca istnienie cenzury i zakazów była widoczna już na okładce *Indeksu* w dość ciekawym rysunku: w górnej części dwaj aniołowie

trzymają zwój z napisem *Index librorum prohibitorum* i herbem panującego papieża; w środku święci Piotr i Paweł – pierwszy z kluczami, drugi z mieczem – spoglądają w stronę stosu, na którym płoną książki, a ludzie nadal rzucają kolejne w płomień; u dołu dwie linijki przypisywane św. Pawłowi (Dzieje Apostolskie 19,19) wyjaśniają i usprawiedliwiają te poczynania: *Multi eorum qui fuerant curiosi sectati, contulerunt libros et combusserunt coram omnibus* („I wielu też z tych, co uprawiali magię, pozносиło księgi i paliło je publicznie”).

Działając raz prężniej, raz mniej gorliwie, a niekiedy nawet – trzeba to podkreślić – niewiele przesadzając, Kongregacja Indeksu przetrwała do XX wieku. Odżyła za panowania Piusa IX z powodu otwartego konfliktu między Kościołem rzymskim a nowożytnymi ideami. Żywo kontestowano bowiem protestancką tendencję do analizowania Pisma Świętego w perspektywie historyczno-krytycznej. Nowożytna egzegeza Biblii zaczęła się w okresie oświecenia, gdy Lessing wydał (1776) fragmenty pewnego „anonimowego” dzieła, choć wszyscy znali autora: był nim Samuel Reimarus, profesor języków orientalnych w jednym z hamburskich liceów.

We fragmencie zatytułowanym *Cel Jezusa i jego uczniów* Reimarus po raz pierwszy stawiał hipotezę, że nie ma zgodności między intencjami proroka Jezusa a celami, jakie wyznaczyli sobie jego uczniowie. Jezus starł się z historią i poniósł klęskę, która jednak została przezwyciężona z inicjatywy apostołów, ci bowiem „wymyślili” zmartwychwstanie, czyniąc z Chrystusa bóstwo. Tak powstał pierwszy rozłam między Jezusem historycznym – postrzeganym jako jeden z wielu proroków Izraela – a Chrystusem wiary.

Inny konflikt dotyczył postawy Kościoła wobec ideologii totalitarnych XX wieku: komunizmu, faszyzmu, nazizmu. Rzymska inkwizycja bardzo surowo traktowała dzieła, w których doktryny polityczne prezentowano jako nowe „świeckie religie”. Potępiono niektóre teksty na temat rasizmu, jednak nie książkę najbardziej niebezpieczną, czyli złowrogą *Mein Kampf*, z autorskim programem Adolfa Hitlera, który w krótkim czasie został wprowadzony w życie. Pośród różnych przyczyn, jakie mogły się złożyć na to rażące „zaniedbanie”, Hubert Wolf (w książce *Inquisition, Index, Zensur: Wissenskulturen der Neuzeit im Widerstreit* – „Historia Indeksu:

Watykan i książki zakazane”) podaje fakt, że Eugenio Pacelli, najpierw jako sekretarz stanu, a potem papież Pius XII, mógł uważać za nierozsądne wchodzenie w otwarty konflikt z potężną Trzecią Rzeszą. Poza tym „*Mein Kampf* nie znalazła się na *Indeksie ksiąg zakazanych*, jednak nie trafili na niego także Mussolini, Lenin czy Stalin” – konkluduje Wolf.

Powoli jednak *Indeks* zaczął tracić na znaczeniu na skutek szybko zachodzących zmian społecznych, rozwoju nowych środków przekazu i dlatego, że wielu czytelników, także katolików, uważało go za coś przestarzałego. Ostatnie jego wydanie ukazało się w 1948 roku; w 1954 roku Pius XII nakazał wydrukować tylko jednostronicowy suplement, na którym znajdowało się ostatnich piętnaście potępionych ksiązek. Potem czasy jeszcze bardziej się zmieniły, odbył się sobór watykański II, w którego trakcie kardynał Kolonii Josef Frings w kilku słowach jednoznacznie potępił *Indeks*: „Wydaje mi się, że słuszne jest domaganie się, by nikt nigdy nie był oskarżany, osądzany i potępiany z powodu swoich poglądów, słusznych czy niesłusznych, zanim nie zbada się wpierw oskarżeń wysuwanych przeciw niemu lub też ksiązce, którą napisał”. Warto zaznaczyć (podkreśla Hubert Wolf), że to zdanie kardynał dodał spontanicznie w czasie przemowy, nie ma go bowiem w tekście mowy sporządzonym przez jego doradcę. Tym doradcą był Joseph Ratzinger.

Kres *Indeksu* nastąpił za czasów Pawła VI. Reformując Kurię w 1965 roku, papież pozbawił Święte Oficjum jego wysokiej rangi i poddał je gestii jednego z kardynałów. Kongregacja nadal przyjmowała oskarżenia przeciw niebezpiecznym ksiązkom. Jej zadaniem nie było już jednak ich potępienie, lecz jedynie „sprawdzanie”. Skoro zaś kongregacja nie mogła dłużej zakazywać, zbędna stała się także lista autorów i dzieł. Po cichu, w sposób typowy dla dyplomacji w aksamitnych rękawiczkach, papież Montini spokojnie zniósł *Indeks*. Papież, którego pontyfikat był bardzo dramatyczny, kierował się ideą, że obecnie książki są tylko jednym ze sposobów – i to nie najważniejszym – rozpowszechniania idei. Ważne w czasach kontrreformacji słowo drukowane stało się jednym z wielu w całej gamie środków przekazu, takich jak radio, kino, telewizja, do których niebawem dołączyła rewolucja internetowa.

Od 1998 roku archiwa *Indeksu* są dostępne dla naukowców. Lista autorów i dzieł, które były zakazywane, obejmuje praktycznie wszystkich nowożytnych pisarzy i myślicieli: Balzak, Berkeley, Kartezjusz, D'Alembert, Darwin, Defoe, Diderot, Dumas (ojciec i syn), Flaubert, Heine, Hobbes, Hume, Kant, Lessing, Locke, Malebranche, Stuart Mill, Montaigne, Monteskiusz, Pascal, Proudhon, Rousseau, Sand, Spinoza, Stendhal, Sterne, Wolter, Zola. Z Włochów zaś między innymi: Aretino, Beccaria, Bruno, Croce, d'Annunzio, Fogazzaro, Foscolo, Galileusz, Gentile, Giannone, Gioberti, Guicciardini, Leopardi, Machiavelli, Minghetti, Monti, Negri, Rosmini, Sacchetti, Sarpi, Savonarola, Settembrini, Tommaseo, Verri. A do twórców ostatnich pod względem chronologicznym należą: de Beauvoir, Gide, Moravia, Sartre.

W obliczu wstrząsu, jakim była reformacja, Stolica Apostolska nie zareagowała, reformując samą siebie, nie zmieniła dogłębnie swojego myślenia ani też nie odnowiła się w duchu miłości bliźniego, lecz zorganizowała struktury władzy, które miażdżyły sprzeciw, potępiały lub niszczyły – także fizycznie – krytyków. Odrzucenie głębszej duchowości nie było spowodowane brakiem dobrej woli, lecz wynikało z tego, że reforma byłaby równoznaczna z odrzuceniem władzy politycznej, czego konsekwencje trudno było przewidzieć na skomplikowanej politycznej arenie Europy.

Obrano więc najprostsze rozwiązanie: represję, która nie oznaczała jedynie stosów i palenia heretyków i czarownic, lecz także wymazywanie, tłumienie wolnej myśli, poszukiwań filozoficznych, odkryć naukowych, egzegezy historyczno-krytycznej Pisma Świętego. Innymi słowy, Kościół inkwizycji postępował tak jak każdy inny reżim absolutystyczny od czasów starożytnych po świeckie dyktatury XX wieku. Jeżeli procesy epoki stalinowskiej, z fałszywymi świadkami i z góry ustalonymi wyrokami, mają jakiś wzorzec, bez wątpienia można by się go doszukiwać właśnie w bezlitosnych procedurach inkwizycji.

Dokonane wtedy wybory zaciążyły na dziejach Kościoła, a także na losach Italii,

opóźniły powstanie państwa narodowego oraz wpłynęły na zwyczaje i sposób życia na Półwyspie Apenińskim. Można przyznać rację Machiavellemu, który proroczo pisał, że obecność Kościoła uniemożliwiła zjednoczenie kraju i przyczyniła się do tego, że Włosi są „bez religii i przewrotni”.

[50](#) Wł. *fregare* znaczy „szorować”, „posuwać”, stąd wulgarna konotacja seksualna. Inne możliwe tłumaczenie nawiązuje do długich spódnic – wtedy przezwisko mogłoby brzmieć „Spódniczkowy Kardynał” (przyp. T.K.).

[51](#) Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Tadeusz Karyłowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1980.

[52](#) Beatrice Cenci (1577–1599) – młoda rzymska patrycjuszka zwana „piękną ojcobójczynią”. Jej ojciec Francesco okrutnie tyranizował rodzinę, a młodziutką córkę usiłował zmusić do kazirodztwa. Gdy zawiodły wszelkie próby rozwiązania tej dramatycznej sytuacji, przerażeni i zrozpaczeni Beatrice, jej brat Giacomo i macocha Lukrecja Petroni postanowili zabić dręczyciela. Choć zbrodni dokonali najemni mordercy, jej zleceniodawcy wkrótce zostali wykryci, osądzeni, skazani na śmierć i straceni. Tę tragedię spowiła wkrótce romantyczna legenda, a nieszczęśliwa Beatrice stała się natchnieniem dla artystów, bohaterką poematów, dramatów, powieści i utworów muzycznych (na przykład: tragedia P.B. Shelleya, opowiadanie Stendhala czy opera L. Różyckiego na motywach utworu J. Słowackiego *Beatryks Cenci* (przyp. tłum.).

[53](#) *Benvenuta Celliniego żywot własny spisany przez niego samego*, przeł. Leopold Staff, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1994.

[54](#) Nazwę tej kongregacji różnie tłumaczy się na polski, powszechnie przyjęte tłumaczenie – Kongregacja Nauki Wiary – jest jednak nieścisłe, gdyż „nauka” to nie to samo co „doktryna” (przyp. tłum.).

[55](#) Wydany w 1476 roku zbiór pięćdziesięciu groteskowych i satyrycznych opowiadań o silnym wydźwięku antyklerykalnym; opowiadanie 33. zainspirowało Szekspira do napisania *Romea i Julii* (przyp. tłum.).

16. Święta sekta Boga

W mieście takim jak Rzym, pełnym nie tylko tajemnic, ale i tajemniczych miejsc, siedziba organizacji w rodzaju Opus Dei, bardzo zagadkowej, powinna znajdować się w jednym z siedemnastowiecznych, wiecznie wilgotnych zaułków, gdzie nawet latem słońce dociera jedynie na chwilę i gdzie panują duchota i mroczna przeszłość.

Tak jednak nie jest. Siedziba Opus Dei, organizacji tajemnej i potężnej, mieści się pod numerem 73 viale Bruno Buozzi, przy ulicy krętej, eleganckiej, która przecina w połowie Parioli, dzielnicę zamieszkiwaną przez zamożne mieszczaństwo stolicy od czasów faszyzmu. To biały budynek wzniesiony w latach pięćdziesiątych XX wieku, podobny do wielu innych. Pięć pięter, bez tablicy na bramie, bez nazwisk na domofonie. Jedyna wskazówka świadcząca o nietypowym przeznaczeniu gmachu to trzy telekamery przy wejściu. Na pobliskim narożniku mozaikowa Madonna z Dzieciątkiem życzliwie spogląda na przechodniów. Strategiczne centrum tej bogatej i kontrowersyjnej organizacji wygląda całkiem anonimowo.

Można powiedzieć, że w Rzymie znajduje się siedziba „polityczna” Opus Dei, ta „ekonomiczna” bowiem leży po drugiej stronie Atlantyku i zajmuje siedemnaście pięter luksusowego drapacza chmur w Nowym Jorku, Murray Hill Place, pod numerem 243 Lexington Avenue, między Ulicami 34 i 35: sala konferencyjna, czytelnia, biblioteka, siłownia, kaplica, pokoje dla studentów i gości, spokój, wygoda, wszystko bardzo amerykańskie, żadnego mrocznego cienia.

Prawdę mówiąc, w Rzymie sprawy nie przedstawiają się tak prosto, jak się wydaje na pierwszy rzut oka. Za anonimową fasadą przy viale Buozzi kryje się złożony kompleks: willa w kolorze różowej cegły, ozdobiona wieżyczkami i lampami. To kobieca rezydencja Opus Dei, prawdziwy labirynt pokoi, korytarzy, drzwi. Jednak nawet to nie mówi wiele na temat ducha tej prałatury. Aby wyrobić sobie bardziej dokładny pogląd, trzeba zejść poniżej poziomu ulicy. Marmurowe schody prowadzą do ciasnej kaplicy. W środku znajdują się trzy rzędy ławek i wielka gablota z połączanego metalu. W tej podziemnej niszy, z dala od ciekawskich i obcych,

spoczywa ciało założyciela Opus Dei: Josemarii Escrivy de Balaguera (1902–1975), którego Jan Paweł II beatyfikował w 1992 roku, a dziesięć lat później uczynił świętym.

Należy pamiętać, że na tej płycie nagrobnej Karol Wojtyła długo leżał krzyżem w wigilię konklawe, które miało wybrać go na papieża. Kilka metrów dalej płyta z czarnego marmuru wskazuje na inny grobowiec: don Alvara del Portilla (1914–1994), następcy Escrivy. Cisza, uroczysta atmosfera, wszystko porządnie wypolerowane, miejsce pielgrzymki i modlitwy dla wielu członków tej bogatej i potężnej organizacji.

Jeżeli podąży się dalej wzdłuż via Buozzi w kierunku Tybru, aż po stromy stok wzgórza Parioli, natrafi się na bazylikę św. Eugeniusza, której wielka fasada z trawertynu dominuje nad viale delle Belle Arti. Została ona wzniesiona w latach czterdziestych ubiegłego wieku z woli Piusa XII na terenie podarowanym mu przez Rycerzy Kolumba⁵⁶. Budowę sfinansowano z ofiar katolików z całego świata, którzy w ten sposób pragnęli uczcić dwudziestopięciolecie święceń biskupich papieża. Bazylikę budowano od lata 1943 roku do marca roku 1951 na podstawie planów Enrica Galeazziego i Maria Rediniego. 2 czerwca 1951 roku papież Pacelli konsekrował główny ołtarz na cześć swego imiennika świętego Eugeniusza.

We wrześniu 1980 roku parafię powierzono księżom z Opus Dei, którzy z oddaniem „pociągnęli ten wóz dalej w kierunku zgodnym z wolą lokalnego biskupa” i świadomi, że „wielką radością jest móc powiedzieć: Kocham moją Matkę, święty Kościół” (Escrivá de Balaguer, *Droga*, n. 518). Bazylika ma także trzydziestotrzymetrową dzwonnice, krużganek i duże boisko. Kościół został wzniesiony na planie krzyża łacińskiego, ma trzy nawy, sześć bocznych kaplic, jedenaście ołtarzy. W absydzie znajduje się mozaika wykonana przez Ferruccio Ferrazziego, a niektóre stacje drogi krzyżowej są autorstwa Giacoma Manzù. W prezbiterium stoi olbrzymi posąg św. Eugeniusza. Po jego lewej stronie mieści się niewielka kapliczka z dwoma kłęcznikami i portretem założyciela Opus Dei.

„2 października 1928 roku, w święto Aniołów Stróżów, Pan zechciał, by narodziło się Opus Dei, wspólnota chrześcijan gotowych poświęcić się z radością dla innych, aby Bożymi uczynić wszystkie drogi człowieka na ziemi, uświęcić każdą godzinę pracy, każdy uczciwy wysiłek, wszelkie ziemskie zajęcie”. Tak czterdzieści lat później Josemaría opisał młodzieńczą wizję, w której objawiła mu się „całkowita i totalna” wola Boga wobec Dzieła. Instytucja ta zrodziła się więc pod wpływem bezpośredniego natchnienia od Boga, w celu odkupienia świata, jednak bez wycofywania się z niego, lecz, można by powiedzieć, „zchrystianizowania od środka”. Według słów założyciela: „Uświęć swoją pracę. Uświęć samego siebie w swojej pracy. Uświęć innych za pośrednictwem swojej pracy”.

Rzeczywiście, członkowie Opus Dei to lekarze, dziennikarze, bankowcy, adwokaci, menedżerowie, pielęgniarki, kierownicy, sprzedawcy. Zazwyczaj należą do grupy średniego i wysokiego szczebla i są obecni we wszystkich sferach życia społecznego. Paragraf 116. statutu z 1982 roku wprost mówi, że adepci powinni się rekrutować w pierwszej kolejności spośród „intelektualistów”, a zwłaszcza osób, które „wyróżniają się pod względem kultury, zajmowanych stanowisk, poważania, jakim się cieszą”, gdyż mogą być przydatne dla realizacji celów organizacji.

Według Escrivy Opus Dei miało być „dożylnym zastrzykiem dla organizmu społeczeństwa”. Jego symbol, krzyż wpisany w koło, mówi o misji uświęcania świata od wewnątrz. Pewna anegdota doskonale ilustruje totalitarnego ducha tej organizacji. Josemaría Escrivá po wyświęceniu trzech pierwszych kapłanów – Alvara del Portilla, José Marii Hernandez de Garnica i José Luisa Muzquiza – uświadomił sobie z przykrością, że żaden z nich nie pali papierosów. W Hiszpanii w latach czterdziestych minionego wieku był to ewenement, nikt nie powinien był myśleć, że członkowie Opus Dei to ludzie nie z tego świata, różniący się od innych. Escrivá nakazał więc jednemu z nich palić. Los chciał, że pierwszym, który wziął papierosa do ust, był Portillo: z czasem stał się on najwierniejszym uczniem Escrivy, a potem jego następcą.

Na początku Escrivá nie myślał o jakiejś specjalnej nazwie dla swej organizacji. Zaczął ją nazywać Opus Dei, Dzieło Boga, dopiero wówczas, gdy spowiednik

przypadkiem go zapytał: „Jak się mają rzeczy z tym dziełem Boga?”. Dzieło Boga, właśnie tak.

Dzieło Boga na pewno nie jest zakonem, takim jak na przykład dominikanie lub franciszkanie, nie jest to jednak także ruch świecki. Przynależą do niego mężczyźni i kobiety, osoby świeckie i księża, z upływem lat organizacja została zaklasyfikowana przez Watykan jako pobożne stowarzyszenie, wspólnota kościelna, instytut świecki.

Ze względu na swe reguły, sposób działania, obsesję na punkcie posłuszeństwa Opus Dei przypomina potężny zakon jezuitów, o którym już mówiliśmy, powstały (w XVI wieku) także z inicjatywy Hiszpana Ignacego Loyoli. Ponura hiszpańska religijność kwitnie też w Opus Dei. Członkowie są absolutnie podporządkowani organizacji, a założyciel wskazywał na posłuszeństwo, jeżeli nie bezwzględne jak w przypadku jezuitów (bezwolny jak trup), to przynajmniej ślepe, jako konieczny warunek „kroczenia do świętości”.

Wszyscy członkowie, także ci zwani „supernumerariuszami”, osoby w większości żyjące w małżeństwie i mające rodziny, przysięgają, że zawsze będą radzić się przełożonych w każdej sprawie zawodowej i życia społecznego oraz zwierzać się im nawet z najbardziej delikatnych i intymnych kwestii. Natomiast „numerariusze”, czyli członkowie wewnętrzni, w chwili przystąpienia do organizacji muszą sporządzić testament, przekazując na rzecz Opus Dei swoje dobra doczesne, również te, które ewentualnie mogą nabyć w przyszłości. Jeszcze kilka lat temu (być może ta zasada nadal obowiązuje) osoby „zapisane” do Opus Dei musiały podpisać kartę in blanco, która pozwalała organizacji przejmować te części ich majątku, które „choć oficjalnie nie należą do Instytutu, podlegają jego władzy i rozporządzeniu” (art. 372.). Wszystkich dotyczy też obowiązek dochowania tajemnicy. Członek Opus Dei nigdy nie powinien mówić o swojej przynależności do niego ani też wyjawiać nazwisk innych członków. Zasada ta obowiązuje także w przypadku własnej rodziny. Istnieją nieliczne wyjątki: najwyższa hierarchia ustala, kto może wyjawić swą przynależność do Opus Dei.

Specjalne normy dotyczą kobiet. Opierają się one – jak można się domyślać, mając do czynienia z organizacją ściśle męską – na dyskryminacji. Wiele kobiet żyjących w

rezydencjach Opus Dei to tak zwane pomocnice, które wykonują prace domowe: szyją, myją, czyszczą, porządkują. W zamian są zwolnione z obowiązku pokutnego, jakim jest sypianie na gołej desce, któremu podlegają siostry na stopniach bardziej zaawansowanych.

Sandro Magister jako pierwszy wiosną 1986 roku zaczął publikować w tygodniku „L'Espresso” artykuły zdradzające niektóre aspekty funkcjonowania organizacji, która wcześniej była praktycznie nieznana. Od tamtego momentu zebrano na ten temat wiele materiałów, nawet jeżeli pewna tajemniczość pozostaje tak charakterystyczną cechą Opus Dei, że mówi się o nim jako o białej lub katolickiej masonerii, a czasami nazywa się złośliwie „O(cto)pus Dei”, czyli ośmiornicą Boga.

Josemaría Escrivá przyszedł na świat w średnio zamożnej mieszczańskiej rodzinie 9 stycznia 1902 roku w Barbastro, niewielkiej miejscinie Aragonii, na północy Hiszpanii. W dzieciństwie zapadł na zapalenie opon mózgowych i myślano, że umrze. Zrozpaczona matka, Dolores, zaniósła go do sanktuarium Matki Bożej w Torreciudad. Dziecko przeżyło. W 1915 roku ojciec, handlujący tkaninami, zbankrutował i rodzina przeniosła się do Logroño. Tutaj, według oficjalnej biografii, Josemaría po raz pierwszy posłyszał głos powołania, a stało się to po tym, jak na śniegu zobaczył ślady bosych stóp jakiegoś zakonnika.

W wieku piętnastu–szesnastu lat postanowił zostać księdzem i wstąpił do seminarium. W 1923 roku zapisał się na wydział prawa uniwersytetu w Saragossie, a w roku 1925 został wyświęcony na kapłana. 2 października 1928 roku, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat, założył Opus Dei. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, co świadczy o gorączkowym dynamizmie młodzieńca. Krótko po zakończeniu wojny, w 1946 roku, Josemaría przeniósł się do Rzymu, gdzie przebywał aż do śmierci w 1975 roku.

Podczas jego kanonizacji, w roku 2002, Jan Paweł II powiedział między innymi: „Święty Josemaría został wybrany przez Pana do głoszenia powszechnego powołania do świętości i ukazania, że codzienne życie, zwyczajne zajęcia, są drogą wiodącą do świętości. Można powiedzieć, że był on świętym rzeczy zwykłych”. W rzeczywistości ten „święty rzeczy zwykłych” był także postacią niezwykle

kontrowersyjną i krytykowaną, głównie z powodu swego domniemanego poparcia dla faszystowskiego reżimu. Rozwój i ekspansja Opus Dei zbiegły się bowiem w Hiszpanii z latami dyktatury Francisca Franco. 23 maja 1958 roku Escrivá napisał z Rzymu do samego Franco wymowny list, w którym można między innymi przeczytać:

Choć polityka jest mi obca, jako kapłan i jako Hiszpan mogę jedynie się cieszyć z faktu, że autorytatywny głos przywódcy państwa głosi, iż „naród hiszpański uznaje za swój honor zachowywanie prawa Bożego według jedynej i prawdziwej doktryny świętego, apostołskiego i rzymskiego Kościoła katolickiego, ściśle związanego ze świadomością narodową, i na którym opierać się będzie jego prawne ustawodawstwo”.

Był to list ważny i zaangażowany, w którym splatały się wyznanie wiary, przynależność polityczna i społeczna rola religii.

W „Chicago Tribune” z 2003 roku czytamy: „Gdy generał Franco wygrał wojnę, Escrivá połączył swój ruch z autorytarnym reżimem i liczni członkowie Opus Dei zajmowali strategiczne stanowiska w rządzie”. Na przykład w 1975 roku trzech członkowie organizacji zostali ministrami: ekonomista Alberto Ullastres Calvo został ministrem handlu; bankier Mariano Navarro Rubio – ministrem skarbu, naukowiec Laureano López Rodó – sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a potem ministrem bez teki. W sumie w latach 1939–1975 w rządach hiszpańskich znalazło się ośmiu ministrów z Opus Dei.

Należy zaznaczyć, że w latach wojny domowej Kościół katolicki niemal jednogłośnie opowiedział się po stronie frankistów między innymi dlatego, że siły republikańskie splamiły się krwią kapłanów i sióstr zakonnych. Za rządów Caudilla wielu członków Opus Dei było prześladowanych i więzionych, ponieważ krytycznie odnosili się do władzy. Były to postacie mniej znaczące i marginalne w organizacji, nie należy jednak o nich zapominać.

Jeszcze poważniejsze zarzuty dotyczą nazistowskich sympatii Escrivy, na które wskazał między innymi pochodzący z Czechosłowacji ksiądz, który później przyjął obywatelstwo angielskie, Vladimir Feltzmann. Został on członkiem Opus Dei w 1959 roku i wystąpił z organizacji w roku 1982. Dwa lata po odejściu – dokładnie 11 maja 1984 roku – Feltzmann w Londynie udzielił długiego, bardzo krytycznego wobec Escrivy wywiadu niemieckiemu teologowi Peterowi Hertelowi: „Jeżeli w swym

życiu czegoś nienawidził, tym czymś był komunizm. Był on dla niego złem, bo z jego powodu ucierpiał. Nazistowskie Niemcy postrzegał jako krucjatę krzyżową przeciwko komunizmowi. W Hitlerze widział przywódcę antymarksistowskiej krucjaty”. I jeszcze: „Wszyscy członkowie Opus Dei spontanicznie zaciągnęli się do Błękitnej Dywizji (hiszpańscy ochotnicy sprzymierzeni z Niemcami przeciw Związkowi Radzieckiemu). Nie przyjęto ich, oni jednak sami się zgłosili”.

Feltzmann opowiada, jak pewnego razu Escrivá mu się zwierzył: „Myślę, że ludzie mówiący, iż Hitler wymordował sześć milionów Żydów, z pewnością przesadzają. Hitler nie był taki zły. Mógł zabić najwyżej trzy lub cztery miliony Żydów”. Te straszne słowa opublikował tygodnik „Newsweek” 13 stycznia 1992 roku, a kilka tygodni później zaprzeczył im prałat Álvaro del Portillo.

Na wszystkie zarzuty dotyczące antysemityzmu swego założyciela Opus Dei odpowiada, odwołując się do dokumentu podpisanego 14 lutego 1975 roku. Podczas spotkania w Wenezueli pewien mężczyzna powiedział: „Ojcze, jestem Żydem...”. Escrivá zaś mu przerwał: „Bardzo kocham Żydów, gdyż do szaleństwa kocham Jezusa Chrystusa, a on jest Żydem. Nie mówię był, lecz jest. *Iesus Christus eri et hodie ipse et in saecula*. Jezus Chrystus nadal żyje i jest Żydem, tak jak ty. Druga miłość mojego życia także jest Żydówką: błogosławiona Dziewica Maryja, matka Jezusa Chrystusa. Dlatego też spoglądam na ciebie z miłością...”. Na co mężczyzna odparł: „Ojcze, odpowiedziałeś na moje pytanie”.

Głosy krytyczne wobec Opus Dei podnosiły się także w obrębie środowiska katolickiego, zwłaszcza ze strony jezuitów, którzy zawsze z nim rywalizowali. Generał jezuitów Włodzimierz Ledóchowski (1866–1942) w jednym z odręcznych raportów napisanych dla watykańskiej Kurii twierdził, że Opus Dei „jest bardzo szkodliwe dla Kościoła w Hiszpanii”, wskazywał na jego tajemniczość i widział w nim „oznaki ukrytej chęci zapanowania nad światem pod swoistą postacią chrześcijańskiej masonerii”.

Pewnego razu don Giussani (założyciel ruchu *Comunione e Liberazione*) powiedział do Vittoria Messoriego, który zacytował go w swojej książce *Śledztwo w sprawie Opus Dei*: „Wie pan, my z CL (*Comunione e Liberazione*) jesteśmy jak

Balilla⁵⁷, luźna dosyć grupa, która rzuca kamieniami. Ci z Opus Dei zaś mają czołgi: prą naprzód doskonale uzbrojeni, na gąsienicach, nawet jeżeli oblekli je gumą. Nie robią hałasu, jednak są – i to jak. Z upływem czasu coraz wyraźniej będziemy sobie zdawali z tego sprawę”. W wywiadzie opublikowanym w „Il Mulino” w 1984 roku Giuseppe Dossetti, katolik skupiony na wartościach ewangelicznych, który w 1959 roku został kapłanem, tak mówił o Opus Dei: „Zamierzam odnaleźć w *Commentarium pro religiosis* (...) wyciąg z pewnego dokumentu Kongregacji do spraw Zakonnych, która upoważnia Opus Dei do działania w diecezjach i prezentowania biskupom jedynie ekstraktu z własnych statutów. Jesteśmy w sferze absolutnego braku demokracji (...). To oczywiste, że biskupi byli przeciwni. Poza tym mamy do czynienia z działaniem bardzo tajemniczym. Czym to się różni od masonerii?”.

Trudno osądzać wiarygodność poszczególnych ocen, czasami przeczących sobie nawzajem. Wyraźnie widać jednak pewną linię polityczną, a łatwo ją zauważyć także dlatego, że w istocie pokrywa się ona z dominującą linią Kościoła, której trzymał się on w okresie wojny, gdy dwie wielkie dyktatury, faszyzm i komunizm, toczyły krwawe walki w Europie. Tę samą postawę prezentował też Pius XII i to ona w dużej mierze zaważyła na jego ambiwalentnym postępowaniu, o którym mówiliśmy, i przyczyniła się do licznych stawianych mu zarzutów. Dla takich kapłanów największym zagrożeniem, przewyższającym wszystkie inne, był komunistyczny ateizm. Nazizm także był ateistyczny, jednak odnosiło się wrażenie, że z reżimem hitlerowskim można się jakoś ułożyć, można by przynajmniej współistnieć bez przelewu krwi; natomiast w wypadku komunizmu było to niemożliwe, bo tu chciano z nauczania szkolnego wyeliminować nawet samą ideę Boga.

28 listopada 1982 roku, po perypetiach trwających pół wieku, Jan Paweł II wyniósł Opus Dei do rangi prałatury personalnej – pierwszej (i do 2009 roku jedynej) w Kościele katolickim – mianując jej prałatem Alvara del Portilla. Ten uroczysty akt kończył długą batalię w obrębie samej Kurii. W czasach Pawła VI wyższe szczeble hierarchii patrzyły podejrzliwie na Opus Dei. Gdy przegląda się akta procesu

beatyfikacyjnego Escrivy, widać na przykład, że przez sześć lat, od 1967 do 1973 roku, Paweł VI nie chciał przyjąć na audiencji założyciela Opus Dei.

To jego następca, del Portillo, znalazł sposób, by dotrzeć do papieża, co było koniecznym warunkiem wszystkich dalszych posunięć. Gdy na tron papieski wstąpił Karol Wojtyła, który wyraźnie faworyzował tę organizację, wszystko stało się łatwiejsze, aż po uczynienie z Opus Dei prałatury. Papież chciał w ten sposób wyrazić między innymi swoje uznanie za pomoc, jakiej organizacja mu udzieliła w czasie dwóch poważnych kryzysów: jeden dotyczył banku IOR–Ambrosiano (zobacz rozdział *Bankierzy Pana Boga*), a drugi jego ojczyzny, w której strajki organizowane przez „Solidarność”, współpracującą z Kościołem, zaczęły destabilizować pozycję partii w państwie i podkopywać posłuszeństwo wobec sowieckiej Rosji.

Termin „prałatura” wskazuje na rodzaj diecezji nieterytorialnej, której przewodzi prałat zależny bezpośrednio od papieża. Prałatura jest autonomiczna pod względem organizacyjnym oraz finansowym i może wyświęcać własnych kapłanów. Według *Anuario pontificio* z roku 2004 Opus Dei ma na świecie 1850 kapłanów i 83 641 osób świeckich (z czego 55 procent to kobiety). Pierwszym Włochem, który przystał do organizacji w 1947 roku, był młody rzymski adwokat. Dzisiaj we Włoszech prałatura liczy około czterech tysięcy członków: w większości to cenieni w swoich dziedzinach profesjonaliści, choć nie brakuje i polityków. W kwietniu 2006 roku do senatu została wybrana Paola Binetti, supernumerariuszka Opus Dei. Przed nią Alberto Micheli, także supernumerariusz, był deputowanym partii Forza Italia. Ośrodki i dzieła apostolskie prałatury są obecne w dwudziestu siedmiu włoskich miastach.

Czas próby przed przyjęciem jest długi, składa się z wielu etapów bardzo podobnych do tych, które występują w tajnych organizacjach. Pierwszym krokiem jest zazwyczaj list, w którym prosi się o przyjęcie do Opus Dei. Można go napisać, mając skończone szesnaście i pół roku, choć „aspirantem” można się stać w wieku czternastu lat i sześciu miesięcy. Po upływie pół roku odbywa się „przyjęcie”, krótka ceremonia w obecności dwóch członków wewnętrznych, w trakcie której nowicjusz zobowiązuje się do „życia według ducha Opus Dei”. Półtora roku później dochodzi

do „oblacji”, podpisania formalnego kontraktu zatwierdzającego prawne wcielenie nowego członka: „Całkowicie dobrowolnie oświadczam, że chcę niewzruszenie poświęcić się dążeniu do świętości i praktykowaniu apostołatu ze wszystkich mych sił, według ducha i praktyki Opus Dei (...). Zobowiązuję się pozostawać pod jurysdykcją prałata i kompetentnych autorytetów prałatury” itp.

Kontrakt musi być potwierdzany i odnawiany co roku 19 marca (uroczystość świętego Józefa, patrona robotników i opiekuna Opus Dei). Po pięciu latach dana osoba staje się stałym członkiem i nie musi już co roku odnawiać kontraktu.

Istnieją różne kategorie przynależności. Większość (około 70 procent) to tak zwani członkowie supernumerariusze: to zazwyczaj osoby żyjące w małżeństwie, mające własne rodziny, pracujące, mające numerariusza za przewodnika duchowego, spowiadające się u kapłanów z Opus Dei.

Numerariusze (około 20 procent) mieszkają natomiast w ośrodkach Opus Dei, zobowiązują się do życia w celibacie, są gotowi podjąć się apostołatu oraz formacji innych członków prałatury. Wszystkie pieniądze, poza niewielką sumą na niezbędne osobiste wydatki, oddają na potrzeby organizacji. Przynajmniej na dwie godziny dziennie, poza niedzielami i świętami, przewiązują wokół uda niewielką opaskę z kolcami. Raz w tygodniu w czasie odmawiania „Ojcze nasz” biczują się za pomocą „dyscypliny”. Dla Opus Dei bowiem wszystkie niskie instynkty ciała są wrogami, z którymi trzeba walczyć, a cierpienie stanowi błogosławiony środek odkupienia. Mówił o tym bardzo jasno sam założyciel: „Niech będzie błogosławione cierpienie. Niech cierpienie będzie umiłowane. Niech cierpienie będzie uświęcone. Niech cierpienie będzie wychwalane”. Oraz: „Jeżeli wiesz, że twoje ciało jest ci wrogiem i wrogiem chwały Boga, który cię uświęcił, dlaczego traktujesz je tak pochlebnie?” (*Droga*, 208 i 227). Zaleca się czystość. W innym miejscu założyciel napisał: „Aby chronić swą czystość, św. Franciszek z Asyżu tarzał się w śniegu, św. Benedykt rzucił się w kolczaste krzewy, św. Bernard wskoczył do przerębla (...). A ty coś uczynił?”.

Opus Dei w swoich szeregach ma także „pomocnice”: ponad cztery tysiące kobiet całkowicie oddanych pracom domowym w różnych ośrodkach organizacji.

Wypełniając swe obowiązki, muszą nosić rodzaj mundurka i są poddane ścisłej kontroli, która dotyczy nawet osobistej korespondencji.

Niektórzy krytycy w tym sztywnym podziale „klasowym” na mężczyzn i kobiety widzieli nie tyle często skrywany mizoginizm Kościoła, ile raczej prawdziwy wyzysk naznaczony seksizmem, a to między innymi dlatego, że w jednym z fragmentów *Drogi* założyciel, zwracając się do kobiet, mówi: „Jeżeli chcecie oddać się Bogu w świecie, bardziej niż mądre – nie jest konieczne, by kobieta była mądra, wystarczy, że będzie dyskretna – musicie być uduchowione, zjednoczone z Panem za pośrednictwem modlitwy. Musicie nosić niewidzialny płaszcz, który zakryje wszystkie wasze zmysły i wdzięki: modlitwa, modlitwa, modlitwa; pokuta, pokuta, pokuta”.

Dzisiaj to wizja nie do przyjęcia, a jej źródeł należy szukać prawdopodobnie w kulturze Hiszpanii pierwszych dziesięcioleci XX wieku, która ukształtowała Escrivę. Bez wątplenia za tymi zalecanymi zachowaniami kryje się seksualna fobia. Elena Longo, była numerariuszka, napisała artykuł zatytułowany *Życie codzienne pewnej numerariuszki w Opus Dei*, który został opublikowany w 2006 roku w czasopiśmie „Clarettianum”. Czytamy w nim:

Specyficzny ascetyzm instytucji wymaga tego, co w jej obrębie nazywa się „ściśłym strzeżeniem serca”. Należy go zachowywać we wszystkich sytuacjach życia codziennego, we wszelkiego rodzaju relacjach z kolegami i innymi osobami. Numerariuszkom i numerariuszom nakazuje się, by za wszelką cenę unikali pracy wykonywanej czy to zwyczajowo, czy wyjątkowo w taki sposób, że trzeba przebywać sam na sam z osobą przeciwnej płci, ponadto zawsze powinni zostawiać otwarte drzwi pokoju, w którym przypadkiem się spotkali. Unika się także okazji do podwożenia lub bycia podwożonym samochodem przez osobę płci przeciwnej. Jeżeli warunki pracy utrudniałyby zachowywanie tego rodzaju roztropności, lepiej zaniechać jej wykonywania, niż narażać na niebezpieczeństwo osobisty wybór życia w celibacie.

Wreszcie są też księża. Prałatura ma tysiąc ośmiuset pięćdziesięciu kapłanów, którzy zależą bezpośrednio od rzymskiego prałata. Dwa tysiące innych księży należy do Stowarzyszenia Kapłańskiego Świętego Krzyża ściśle związanego z Opus Dei. Organizacja bowiem zajmuje, zarządza i kontroluje wiele „dzieł apostołskich”. Należy do nich między innymi: piętnaście uniwersytetów z ponad osiemdziesięcioma tysiącami studentów (największy jest Uniwersytet Nawarry w Pampelunie, a

najnowszy to Campus Biomedico w Rzymie); siedem szpitali z tysiącem lekarzy i tysiącem pięciuset pielęgniarkami; jedenaście szkół z własną administracją; trzydzieści sześć szkół podstawowych i średnich, dziewięćdziesiąt sześć instytutów przysposabiających do różnych zawodów; sto sześćdziesiąt sześć budynków uniwersyteckich; agencja prasowo-telewizyjna (Rome Reports). W sumie więc to potężna organizacja, której majątek został oszacowany przez tygodnik „Time” (24 kwietnia 2006 roku) na trzy miliardy dolarów.

Tym, co mocno oddziałuje na wyobraźnię, jest mistyczna tajemnica otaczająca Opus Dei. Organizacja skrywa nie tylko swoje rachunki, lecz także nazwiska tych, którzy są lub przestają być jej członkami. Paragraf 151. konstytucji z 1950 roku głosił: „Członkowie powinni zawsze roztropnie milczeć na temat innych osób przynależących do organizacji i nigdy nikomu nie wyjawiać, że oni sami należą do Opus Dei”. Paragraf ten został zmodyfikowany w statucie z 1982 roku i dzisiaj każdy członek teoretycznie może wyjawić swoją przynależność. W praktyce dochowywanie tajemnicy przynależności do Opus Dei nadal obowiązuje i nie dotyczy tylko tych, którzy oficjalnie muszą ją zadeklarować. Do dzisiaj nazwiska i liczba członków Opus Dei pozostają tajemnicą.

Nie wszyscy potrafią znieść dyscyplinę opaski z kolcami oraz życie pod nieustanną kontrolą. Jednak wstąpiwszy do Opus Dei, wcale nie jest łatwo odejść. Ukazało się mnóstwo książek opowiadających o perypetiach, a niejednokrotnie szykanach, które towarzyszyły tego rodzaju sytuacjom, zwłaszcza w przypadku kobiet. Duże wrażenie robią na przykład wspomnienia Marii del Carmen Tapii spisane w książce *Oltre la soglia. Una vita nell'Opus Dei* („Za progiem. Życie w Opus Dei”). Autorka bez owijania w bawełnę opowiada o stylu życia, rozkładzie dnia, relacjach – często przykrych – z osobami, które ją kontrolowały, o upokorzeniach. Gdy jakaś dziewczyna zaczyna dawać do zrozumienia, że chce odejść z organizacji i wrócić do rodziny i świata, zwykła surowość przemienia się w prawdziwe prześladowania.

Autorka pisze:

Gdy wracałam do mego pokoju po przesłuchaniach, zdawałam sobie sprawę, że go przeszukali. Mój telefon ciągle sprawdzał jeden z członków rady lokalnej. Nie pozwalano mi ani sprzątać, ani zejść do jadalni. Posiłki przynosili mi do pokoju (...). Byłam tak zastraszona, że cały czas się trzęsłam. Bałam się, że zamkną mnie w szpitalu psychiatrycznym, jak to zrobili z innymi.

Pewnego dnia, w chwili nieuwagi przełożonych, udało się jej zadzwonić do męża przyjaciółki. Podała tylko krótką informację, bojąc się, że zostanie odkryta. Mężczyzna zrozumiał sedno sprawy i ostatecznie zdołał ją stamtąd wydostać. Jednak upokorzenia Marii się nie skończyły:

(...) powiedzieli mi, żebym się udała do sali spotkań (...). Monsignor Escrivá chodził tam i z powrotem, podniecony, czerwony, wściekły, mówił mi: „Tylko z nikim nie rozmawiaj ani o Opus Dei, ani o Rzymie (...) jeżeli się dowiem, że źle mówisz o Opus Dei, ja, Josemaría Escrivá Balaguer, trzymając w ręku prasę na całym świecie, publicznie cię zniesławię”. I patrząc mi w oczy z wściekłością, wymachując ramionami, jakby chciał mnie uderzyć, wrzeszczał: „Ty kurwo!”.

Opus Dei segreta („Tajemnicze Opus Dei”) Ferruccio Pinottiego mówi o podobnych przeżyciach innych osób. Spośród różnych świadectw wyróżnia się na przykład to trzydziestosześcioletniej Aminy Mazzali z Florencji: „Zaproponowano mi wstąpienie do Opus Dei, gdy miałam piętnaście lat, w 1985 roku. I wcale nie byłam najmłodsza”. Amina została numerariuszką, nie mówiąc o tym rodzicom:

To było straszne: w Opus Dei kazali mi nic nie mówić rodzicom (...). Powtarzali: „Oni żyją poza naszym światem, nie mają naszego ducha i prawdopodobnie nie zrozumieją (...) oni mogą nie mieć stanu łaski niezbędnego do udzielenia ci dobrej rady. Lepiej, żebyś rady zasięgała u kogoś spośród nas lub u kapłana z Opus Dei”.

Gdy Amina została numerariuszką, zaczęła uczestniczyć w rytach typowych dla organizacji:

W wieku siedemnastu lat zaczęłam umartwiać ciało: musiałam zakładać opaskę z kolcami i biczować się dyscypliną lub różgą. Nie jest to wybór czy coś dobrowolnego: wymaga się od ciebie umartwiania ciała (...). Od tego momentu moja relacja z Opus Dei opierała się na poczuciu winy.

Amina zdradziła szczegóły: opaska z kolcami to „pasek z metalowych pierścieni, z których każdy ma kilka kolców, zakłada się go na górną część uda. Ucisk można regulować i oczywiście od osobistej chęci umartwienia zależy, czy zaciśnie się go mocniej czy słabiej. Mnie do dzisiaj pozostały blizny. Teraz widać je mniej, gdy jednak rany były świeże, wyglądały okropnie”. Amina zakładała opaskę codziennie:

„Nosłam ją przez dwie godziny dziennie. Gdy zakładasz ją na czas lektury, z upływem czasu noga drętwieje. Gdy się siedzi, można wytrzymać, ale gdy się wstaje i chodzi, to naprawdę boli”. Do umartwiania ciała dochodzi jeszcze zależność psychiczna. Amina tak o tym mówi:

Zasada poddania osobistej woli w Opus Dei jest następująca: masz wątpić w samą siebie i we własną zdolność osądu, a ufać jedynie temu, co mówią przełożeni i organizacja. Stopniowo pokazują ci, że sama nie potrafisz dobrze sobą pokierować. Musisz podążać za wskazaniem przełożonych, którzy lepiej wiedzą, co jest dla ciebie dobre (...). Motto brzmi: „Kto jest posłuszny, nigdy się nie pomyli”.

Amina opowiada też o irytującym wprost werbownictwie: „Werbunek praktykowany programowo. Podawano nam liczbę osób, które należy wprowadzić do organizacji, dokładnie określano cele i organizowano spotkania, by pozyskać nowe numerariuszki: kursy dla dziennikarzy, lekcje łaciny, konferencje, sympozja. Trzeba było zwerbować aspirantki na numerariuszki”. Gdy Amina zaczęła cierpieć na depresję, przepisano jej leki psychotropowe. W końcu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Amina postanowiła odejść z Opus Dei.

Organizacja ta ponownie znalazła się w centrum zainteresowania po światowym sukcesie książki Dana Browna *Kod Leonarda da Vinci*. Powieść ta, przeciętna pod względem literackim, ma doskonałą fabułę, przede wszystkim zaś doskonale oddaje powszechną atmosferę podejrzliwości w stosunku do Opus Dei, tak że można wybaczyć autorowi różne nieścisłości, których w książce nie brakuje. Na przykład albinos Silas, morderca, należy do Opus Dei, jednak w obrębie tej organizacji nie ma zakonów monastycznych. Dan Brown doskonale wykorzystał ponurą sławę organizacji. Opus Dei odpowiedziało z Nowego Jorku w 2003 roku komunikatem prałatury. Czytamy w nim, że książka „opisuje członków Opus Dei, którzy praktykują makabryczne formy umartwiania ciała, zabijają innych ludzi; utrzymuje, że prałatura stosuje środki przymusu i prania mózgu; insynuuje, że udzieliła pożyczki bankowi watykańskiemu, aby stać się prałaturą personalną. Wszystkie te tezy są absurdalne i nie mają żadnych podstaw”.

Bardzo ważnym aspektem organizacji są finanse. John Roche (numerariusz w latach 1959–1973, obecnie wykłada historię nauki w Oksfordzie i uważa się za katolika)

dał świadectwo, które cytuje Pinotti:

Opus Dei, gdy do niego wstąpiłem, było organizacją typu faszystowskiego i ściśle tajną. Była też dogłębnie wroga wobec jezuitów. Jej członkowie czcili i zarazem bardzo bali się założyciela. Miał on napady gniewu godne Hitlera.

Jeżeli zaś chodzi o pieniądze:

Zdziwiło mnie, że młodzi numerariusze, którzy złożyli ewangeliczne śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, tak się garną do pracy w bankach, na giełdzie, w biznesie, w spółkach import–eksport, aby pozyskać źródła finansowania dla Opus Dei. Dumnie kultywowali ideę bogactwa.

A ponadto Opus Dei

kontroluje wiele różnych majątków o charakterze międzynarodowym i dysponuje ogromną wprost organizacją biznesową. Stało się niezwykle bogate dzięki własnym stowarzyszeniom pomocniczym: przedsięwzięciom ekonomicznym kontrolowanym przez Opus Dei, którymi zarządzają świeccy członkowie (...). Opus Dei kontroluje gazety, czasopisma, domy wydawnicze, uniwersyteckie wydziały dziennikarstwa, agencje wydawnicze, jest zaangażowane w branży kinowej i telewizyjnej.

Podobne zarzuty można przeczytać w liście otwartym, jaki grupa byłych numerariuszy wystosowała do papieża Ratzingera w 2005 roku: „To niepokojące widzieć, jak przywódcy Opus Dei naruszają prawo kościelne i cywilne”. Łamią oni także „normy moralne i społeczne, jeśli chodzi o posługiwanie się pieniędzmi, zawieranie umów i obowiązek płacenia podatków (...). Przełożeni nie stronią od interesów niemoralnych lub nielegalnych i świadomie manipulują informacjami na ten temat”. Wreszcie Opus Dei miałoby być „systemem indywidualnego wyzysku, a to na skutek przewrotnego wykorzystywania ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, co czyni z tej organizacji prawdziwą sektę, głównie dlatego, że pozbawia ludzi osobistej wolności w imię ślepego poddaństwa (...). Najmłodszy muszą oddalić się od własnej rodziny, nie mogą mieć w pokojach zdjęć rodziców”.

Zgodność tych oskarżeń, wnoszonych w różnych okresach i w różnych miejscach przez różne osoby, stawia tę organizację pod znakiem zapytania. Sam Dan Brown w swojej dość naiwnej powieści nie przedstawiłby Opus Dei w sposób tak nieprzychylny, że aż zakrawa to na parodię, gdyby nie był pewien, iż może liczyć na powszechne zrozumienie. Zdaje się, że ostatnimi czasy Opus Dei uświadomiło sobie, że musi się bardziej otworzyć. Po ukazaniu się książki Pinottiego organizacja

oficjalnie odpowiedziała, publikując na swojej stronie internetowej (www.opusdei.it) wiele pozytywnych świadectw. Na przykład to Marty Risari, numerariuszki z Mediolanu, która przez ponad dziesięć lat była dyrektorką Opus Dei w Weronie:

Zorganizowałam wiele działań formacyjnych, w czym zawsze pomagała mi rodzina i wiele innych rodzin, które z radością patrzyły na to, jak ich córki z pasją angażują się w te dzieła (...). Przypominam sobie kursy z ekonomii i seminaria o tożsamości kobiet w pracy, małe projekty wolontariatu dla osób niepełnosprawnych, starszych i dzieci, organizowane w Weronie albo na Węgrzech, gdy tylko skończył się tam komunizm. Entuzjazmem napełnił nas Dzień Młodzieży spędzony z dziewczynami w Loreto, w Paryżu, w Rzymie. Lub też przygody podczas Bożego Narodzenia i Nowego Roku w Chorwacji z grupą odważnych studentek z Werony, które z oddaniem pomagały uchodźcom (...). Nauki i przykład św. Josemarii dają mi siłę, by pomagać ludziom napotkanym na mojej drodze: najmłodszym dziewczętom staram się pomóc odkrywać własne talenty, ufać Bogu, lecz także sobie i innym, oraz rozmawiać z Bogiem prosto i naturalnie.

A więc z jednej strony poważne zarzuty, z drugiej ogromny entuzjazm. „Niech twoje poddańcze posłuszeństwo będzie dla ciebie błogosławieństwem” – zalecał założyciel. Możliwe, że te same zakazy, nakazy i ograniczenia jednym wydają się nieznośnymi nadużyciami, dla drugich zaś stanowią próby okazywania miłości i są „błogosławieństwem poddańczego posłuszeństwa”. Pomijając jednak różne świadectwa, pewne aspekty wewnętrznego życia Opus Dei nadal są powodem zakłopotania i krytyki.

Na przykład *Przewodnik bibliograficzny* zredagowany na użytek członków organizacji niezbyt się różni od *Index librorum prohibitorum*, który przez cztery wieki, od 1559 do 1966 roku, wymieniał książki, jakich wiernym nie wolno czytać. Każdą z ponad sześćdziesięciu tysięcy zrecenzowanych książek oceniono w skali od 1 do 6: od książek dla wszystkich (1) po te, których nie można czytać bez pozwolenia prałata (5 i 6). Odradza się lekturę takich pisarzy, jak: Isabel Allende, Norberto Bobbio, Benedetto Croce, Oriana Fallaci, Antonio Gramsci, Karol Marks, John Stuart Mill, Baruch Spinoza, a także powieści *Imię róży* Umberta Eco, utworów Moravii, Morantego, Maria Soldatiego, Pasoliniego, Philipa Rotha (jednego z największych żyjących pisarzy), Jean Paula Sartre’a, Maksa Webera, Gore’a Vidala, Woltera, Emila Zoli. Poleca się natomiast lekturę *Władcy pierścieni* Tolkiena.

Na krytyki Opus Dei tak odpowiada:

W Opus Dei zaleca się, by każdy zasięgał rady co do książek, które chce czytać, ostateczna decyzja zależy jednak od danej osoby. Chodzi tu o praktykę duchową: należy zrozumieć, co warto czytać, i wybierać książki pozostające w harmonii z osobistą wiarą i wolnymi wyborami życiowymi. Nie ma to nic wspólnego z *Indeksem ksiąg zakazanych*.

A zatem są zwyczajne zalecenia, a jednak nasuwają się tu pewne wątpliwości, głównie dlatego, że tytuły, których należy się wystrzegać, są ważną częścią kultury, literatury i myśli współczesnej i trudno je pominąć.

Czy istnieje pewna polityczna wizja życia, reagowania na świat, można by powiedzieć: „myślenia”, którą zaleca Opus Dei? Jeżeli interpretować słowo „polityka” w jak najszerszym znaczeniu, to oczywiście, że tak. Profesor Roche stwierdza: „Prasa na całym świecie zarzuca Opus Dei, że jest organizacją polityczną. Rzeczywiście, organizacja ta jest zainteresowana władzą i tymi, którzy ją sprawują. To za ich pośrednictwem stara się zdobywać polityczne wpływy. Ale to nie zakłada jakiejś szczególnej ideologii (...). Opus Dei bowiem jest skrajnie autokratyczne i przesyczone ideami rodem z hiszpańskiego faszyzmu i ukierunkowanymi na cele religijne”.

Tym, co jednoczy różne osoby (z nielicznymi wyjątkami) wspierające Opus Dei, jest to, że organizacja popiera skrajnie konserwatywne siły, nawet jeżeli nie ma wyraźnie określonej linii politycznej. De facto, według zaleceń Escrivy, „Opus Dei nie działa, działają jego członkowie”. Widoczna jest jednak silna tendencja do opowiadania się po stronie skrajnych konserwatystów, zwłaszcza gdy chodzi o kwestie moralne, takie jak uznanie związków nieformalnych, eutanazję, aborcję, antykoncepcję, sztuczne zapłodnienie, homoseksualizm.

Jak każda organizacja, która jest mocno przeświadczona o własnej istotnej roli i misji, także Opus Dei stawia sobie za cel zachowanie i poszerzanie swoich wpływów. Oto podstawowy kierunek „polityki” tej organizacji. W czasach Pawła VI, który się jej sprzeciwiał, nie chcąc między innymi uznać jej za prałaturę personalną, Escrivá rozważał nawet schizmę, gdyby ten stan rzeczy się przedłużał. W

czasopiśmie „Cronica” (II, 1972) wyraźnie groził: „Zło pochodzi z samego Kościoła i z jego szczytów. W Kościele panuje prawdziwa zgnilizna i czasami ma się wrażenie, że mistyczne ciało Chrystusa jest śmierdzącym trupem, który się rozkłada”. Wraz z pontyfikatem Wojtyły wszystko się zmieniło: Opus Dei bardzo szybko uznano za prałaturę personalną (w 1983 roku), a w końcu kanonizowano jego założyciela (2002).

Zdaje się, że los sprzyja Opus Dei również za pontyfikatu Ratzingera. W dzień po jego wyborze na papieski tron prałat biskup Javier Echevarría powiedział: „Nowy papież dobrze zna misję prałatury i wie, że może liczyć na siły kapłanów i świeckich, którzy do niej należą, by służyć Kościołowi, co było jedyną ambicją Josemarii Escrivy”.

W marcu 2002 roku wtedy jeszcze kardynał Ratzinger, uczestnicząc w prezentacji książki Giuseppe Romana *Opus Dei: posłannictwo, inicjatywy, ludzie*, powiedział:

Teocentryzm Escrivy de Balaguera, całkowicie zgodny ze słowami Jezusa, to znaczy pełna ufność w to, że Bóg nie wycofał się ze świata, że Bóg nadal działa, a my powinniśmy jedynie oddać się Mu do dyspozycji, umieć odpowiedzieć na Jego wezwanie, jest dla mnie przesłaniem niezwykle ważnym. Przesłanie to wiedzie do pokonania tego, co można uważać za wielką pokusę naszych czasów: pogląd, że po Wielkim Wybuchu Bóg wycofał się z historii.

Przyszły papież doskonale wyczuł cel Opus Dei: odkrywać Boga w dziejach, wszędzie i na wszelkie możliwe sposoby.

[56](#) To jedna z największych i najbogatszych katolickich organizacji świeckich, powstała w XIX wieku w Stanach Zjednoczonych; jej członkami mogą być tylko mężczyźni (przyp. tłum.).

[57](#) Balilla – włoska młodzieżowa organizacja faszystowska (przyp. T.K.).

Dodatek. Gdy Kościół staje się państwem

Słowo „Watykan” wywodzi się ze starożytności. Na początku wskazywało pewne miejsce, rejon. *Ager vaticanus* cieszył się złą sławą i był obszarem niebezpiecznym, o czym mówi Aulusz Gelliusz w *Notes atticae*, wywodząc tę nazwę od *vaticinium*: „Nazwa pola watykańskiego i mieszkającego tam boga pochodzi od „vaticinii”, miejsca, gdzie oddziałuje moc i tchnienie tamtejszego bóstwa”. Była to strefa wylewów rzecznych, a więc podmokła, panoszyły się tam groźne zwierzęta i choroby. Teren ten kończył się u stóp wzniesienia (*Mons vaticanus*), które było częścią niezbyt wielkiego wzgórza ciągnącego się od zachodniej części Rzymu i Monte Mario aż po Gianicolo. W miejscu dzisiejszej Bazyliki św. Piotra wzniesienie to praktycznie dawno już znikło na skutek szeroko zakrojonych prac niwelacyjnych, które przeprowadzono przed zbudowaniem świątyni.

Tacyt mówi o terenach watykańskich jako o „miejscu okrytym złą sławą”, może dlatego, że na tym opustoszałym obszarze znajdowała się nekropolia, która spowijała go złowieszczą aurą. Jej pozostałości odkryto w trakcie licznych prac wykopaliskowych związanych z budową bazyliki, a potem dla jej umocnienia. Później, na początku I wieku, tereny te stopniowo osuszono i przestrzeń, gdzie dziś wznosi się Bazylika św. Piotra, część przylegającej do niej dzielnicy ze szpitalem Świętego Ducha, powoli zaczęła się przemieniać w dzielnicę willową.

Agrypina Starsza, żona Germanika i przyszła babka Nerona, postawiła tam rezydencję i zaprowadziła ogrody w okolicy, gdzie cesarz Kaligula, następca Tyberiusza, wznosił cyrk, który ukończył Neron. W cesarskim cyrku odbywały się wyścigi zaprzęgów dwu- i czterokołowych, które w Rzymie cieszyły się wielką popularnością. Być może tutaj – z powodu bliskości nekropolii – dokonywano też egzekucji chrześcijan uznanych za winnych wielkiego pożaru w 64 roku. W każdym razie przestrzeń tę stopniowo wchłonęło miasto, choć zawsze była uznawana za peryferyjną.

Państwo Miasta Watykańskiego (skrót rejestracji samochodowej SCV – Stato della Città del Vaticano) to w świetle prawa suwerenna jednostka o „międzynarodowej podmiotowości”. Niewielkie państwo zajmuje obszar czterdziestu czterech hektarów, ma niewiele ponad dziewięciuset mieszkańców, z których około pięciuset to jego obywatele, a średni dochód na mieszkańca jest stosunkowo wysoki. Różne usługi i świadczenia są bezpłatne.

Gospodarka Watykanu opiera się na inwestycjach majątku, dochodach z kapitału, wpływach z różnych instytucji rozproszonych po całym świecie oraz różnego rodzaju dotacjach (i związanych z nimi niebezpośrednich korzyściach) ze strony państwa włoskiego. Majątek bardzo trudno dokładnie oszacować z powodu ukrywania rachunkowości i niechęci do ujawniania szczegółowych dochodów i rozchodów. Dziennikarz Curzio Maltese wyliczył, że państwo watykańskie kosztuje Włochy około 4 miliardów euro. Matematyk Piergiorgio Odifreddi podwaja tę sumę i mówi o 9 miliardach euro. Budżet Watykanu jest przygotowywany przez APSA (Amministrazione Patrimonio Sede Apostolica – Administrację Dziedzictwa Stolicy Apostolskiej) i kontrolowany przez prefekturę do spraw ekonomicznych.

Watykan, jak każde państwo, posiada kilka konstytutywnych cech: teren, prawo bicia pieniędzy, ustawodawstwo, wojsko i pewną „narodowość”, która jest tu dość abstrakcyjna i symbolizowana przez sztandar, hymn, język i inne elementy. O terytorium już była mowa. Armia także ma wymiar raczej symboliczny, doskonale natomiast działa policja. Sztandar jest podzielony na dwie równe części, żółtą (przy drążku) i białą, na której widnieją tiara i skrzyżowane klucze. Hymn, *Marsz papieski* (*Marcia pontificale*), skomponował Charles-François Gounod. Funkcjonują organa prawne i śledcze, które, szczerze mówiąc, niezbyt się wykazują. Na ich obronę można powiedzieć, że w państwie absolutystycznym tego rodzaju instytucje muszą bardziej się liczyć z wymogami politycznymi niż z faktami.

Są jednak urzędy spełniające funkcje prawne; najślawniejsza pośród nich jest Rota Rzymska (Sacra Rota), która orzeka nieważność zawieranych małżeństw, a we Włoszech jej orzeczenia praktycznie traktowano jako namiastkę rozwodu do czasu

uchwalenia odpowiedniej ustawy państwowej. Święte Oficjum rozstrzyga z kolei kwestie doktrynalne i dopóki było to możliwe, nakładało surowe kary, włącznie z karą śmierci. Właśnie ta straszna przeszłość przyczyniła się do zmiany nazwy i dzisiaj instytucja ta nazywa się Kongregacją Doktryny Wiary.

Państwo watykańskie posiada bank (IOR – Istituto per le Opere di Religione) zwany Instytutem Dzieł Religijnych, o którym była mowa w jednym z rozdziałów. Ma również rodzaj supermarketu, w którym znajdują się między innymi produkty niedostępne we Włoszech, sprzedawane po bardzo przystępnych cenach, gdyż podobnie jak w strefach wolnocłowych, nie są opodatkowane, włączając w to alkohol i benzynę. Wstęp jest poniekąd zarezerwowany dla rezydentów miasta, jednak w rzeczywistości kontrole są dość pobieżne, być może celowo, i wystarczy trochę znajomości, aby dostać się tam bez problemów. Istniała także mennica watykańska, w której bito monety, później zadanie to powierzono jednak mennicy Włoch. Pieniądze i znaczki mają wartość czysto numizmatyczną, bardzo poszukiwane są te wydawane z okazji nowego pontyfikatu.

Istnieją też liczne środki masowego przekazu. O ile różne funkcje i urzędy są symboliczne w porównaniu ze swoimi odpowiednikami w „prawdziwych” państwach, o tyle radio watykańskie jest potężną instytucją, nadaje audycje w wielu językach i dociera do krajów nawet bardzo odległych, mając potrzebny do tego sprzęt. Pierwszą osobą, która przemawiała do mikrofonów radia watykańskiego, był Pius XI w 1931 roku, podczas inauguracji stacji nadawczej zaprojektowanej przez Guglielma Marconiego. Szybko jednak instalacje w obrębie Watykanu okazały się niewystarczające.

W 1955 roku Stolica Apostolska wybudowała olbrzymią stację nadawczą w Santa Maria di Galeria, miejscowości położonej około dwudziestu kilometrów od Rzymu. Gigantyczną antenę w kształcie krzyża widać z daleka. Aparatura nadawcza o wielkiej mocy zapewnia szeroką emisję radiowych programów, jest też jednak utrapieniem i zagrożeniem dla okolicznych mieszkańców. Zdarza się bowiem, że można posłuchać radia, po prostu otwierając lodówkę. Tradycyjnie to jezuici zajmują się doborem programów nadawanych w trzydziestu trzech językach.

Organem prasowym jest ponadstuletni dziennik „L'Osservatore Romano”. W podtytule pierwszego numeru widniała nazwa: „Dziennik polityczno-moralny”, dzisiaj natomiast podwójne motto: *Unicuique suum* („Każdemu to, co mu się należy”) oraz *Non prevalebunt* („Nie przemogą” – chodzi oczywiście o moce Złego). Niektóre artykuły czyta się z przyjemnością, lecz „L'Osservatore”, będąc praktycznie oficjalnym „głosem” papieża, jest zobowiązany trzymać się wytycznych Stolicy Apostolskiej. W tragicznych miesiącach nazistowskiej okupacji gazeta była bardzo poszukiwana, gdyż zawierała informacje, które w surowo cenzurowanej prasie włoskiej się nie pojawiały. Zapewniała dość wierny obraz sytuacji politycznej na świecie i rozwoju działań wojennych na różnych frontach, nawet jeśli robiła to z ostrożnością właściwą Kościołowi. Jednak poza tego rodzaju wyjątkami główna linia tego dziennika jest bliska kościelnym pozycjom konserwatywnym.

Innym tworem jest Stolica Apostolska, podmiot moralny prawa publicznego i sprawujący władzę nad Watykanem za pośrednictwem papieża i papieskiej jurysdykcji. Stolica Apostolska wymienia akredytowanych ambasadorów z państwami całego świata, jest stałym obserwatorem w ONZ i na różne sposoby jest reprezentowana w instytucjach międzynarodowych.

Właśnie od strony instytucjonalnej można by ją zdefiniować jako niedziedziczną monarchię elekcyjną. Na szczycie stoi władca wybierany dożywotnio przez przedstawicieli (kardynałów – książąt Kościoła – na konklawe). Papież sprawuje władzę z pomocą „rządu” (Kuria), który sam sobie dobiera i któremu powierza zadania i funkcje polityczno-administracyjne i doktrynalne. Głową rządu i koordynatorem Kurii jest sekretarz stanu.

Jak można przeczytać na oficjalnej stronie Watykanu, „w sprawowaniu najwyższej, pełnej i bezpośredniej władzy nad całym Kościołem biskup rzymski jest wspierany przez dykasterie Kurii rzymskiej, które wypełniają swoje obowiązki w jego imieniu i mocą jego autorytetu, dla dobra kościołów i służąc jego świętym pasterzom”. Do nowego Prawa Kanonicznego (1984) papież Wojtyła wprowadził kanon 331.

mówiący, że papież „z racji swego urzędu posiada najwyższą, pełną, bezpośrednią i powszechną władzę zwyczajną w Kościele, którą może sprawować zawsze w sposób nieskrępowany”. Nowością jest tu określenie „bezpośrednią” wskazujące na „brak pośrednictwa”, co w praktyce oznacza władzę „absolutną”. Mocy dodaje temu kanon 333., według którego „od wyroku lub dekretu biskupa rzymskiego nie ma apelacji lub rekursu”.

Także pierwszy paragraf konstytucji Państwa Miasta Watykańskiego, wprowadzony w życie 22 lutego 2001 roku, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do roli papieża: „Papież, głowa Państwa Watykańskiego, posiada pełnię władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej”. Państwo watykańskie zupełnie ignoruje nie tylko tak zwaną „wolę ludu”, do której odwołują się demokracje parlamentarne, lecz także pomija podział władzy wprowadzony przez liberalne reformy XVIII wieku, mające na celu ograniczenie władzy absolutnej, a więc statuty, które pojawiły się w wieku XIX niemal we wszystkich monarchiach europejskich.

Zazwyczaj słów „Watykan”, „Stolica Apostolska” i „Kościół katolicki” używa się zamiennie. To błąd spowodowany pewną ambiwalencją, do której przyczynia się sam Kościół mieszający doktrynę i sprawy ziemskie, duchowość i politykę.

Mówiąc o papieżu, czyli *pontifex maximus*, należy zwrócić uwagę na pochodzenie tego określenia. W łacinie *pontifex* etymologicznie wskazywał kogoś, „kto buduje drogę”, otwiera, pomaga dostać się do bóstwa, wiedzie po właściwej ścieżce. W rdzeniu tego słowa zawiera się idea „mostu” (*pons*) i *pontifices* byli ludźmi, którzy wytyczali właściwe drogi wiodące do sfery sacrum. *Pontifex maximus* był głową kolegium kapłanów i w jego gestii leżało między innymi mianowanie westalek. Urząd ten, jak wiele innych, sprawował Juliusz Cezar, po nim zaś – przez wszystkich kolejnych cesarów aż do końca IV wieku – funkcja ta stopniowo przeszła na papieży. Nic więc dziwnego, że Kościół zaadaptował dla określenia swojej najwyższej władzy tytuł tak nacechowany historyczną tradycją i głębokim sensem.

Gdy na tronie papieskim nie ma papieża, Stolicy Apostolskiej przewodzi Kolegium

Kardynałów i kardynał kamerling. Stolica Apostolska nie jest więc tożsama z Watykanem, czyli terenem, na którym sprawuje swoją władzę. Na przykład ambasadorzy innych państw są akredytowani przy Stolicy Apostolskiej, a nie przy Państwie Miasta Watykańskiego, gdyż na forum międzynarodowym to właśnie Stolica Apostolska jest uznawana za suwerenne państwo. Orzeczenie włoskiego Sądu Najwyższego z grudnia 1979 roku tak to ujmuje: „Stolicy Apostolskiej, która reprezentuje Kościół katolicki i Państwo Miasta Watykańskiego, została przyznana pełna podmiotowość międzynarodowa i cecha ta nie została zniesiona nawet w okresie, gdy ustała działalność jego władzy państwowej”.

Posiadłości Stolicy Apostolskiej nie ograniczają się do terenu Watykanu, lecz obejmują wiele nieruchomości także poza Rzymem, często o wielkiej wartości historycznej i artystycznej. Według traktatów laterańskich wszystkie te dobra są objęte przywilejem ekstraterytorialności. Kilka przykładów: bazylika św. Jana na Lateranie, Pałac Laterański, bazylika Santa Maria Maggiore, bazylika św. Pawła za Murami wraz z klasztorem, nieruchomości na wzgórzu Gianicolo i placu Hiszpańskim przynależące do Kolegium Krzewienia Wiary, pałac św. Apostołów przylegający do bazyliki pod takim samym wezwaniem, pałac Kancelarii leżący między corso Vittorio Emanuele i Campo de' Fiori, pałac Świętego Oficjum w pobliżu Porta Cavalleggeri, różne posiadłości w Rzymie należące do Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego przy via del Seminario i placu Pilotta. Stolica Apostolska posiada także rozległe dobra poza Rzymem: od papieskiego pałacu w Castel Gandolfo po bazyliki w Loreto, Asyżu i Padwie. Upraszczając, można powiedzieć, że „Stolica Apostolska” to jednostka, która sprawuje pełnię władzy i własności nad Państwem Miasta Watykańskiego.

W końcu Kościół katolicki utożsamia się z wyznaniem chrześcijańskim, które uznaje autorytet rzymskiego papieża i jego nauczanie, uważając je za nieomyłne, gdy jest wypowiedzane *ex cathedra*, ponieważ inspirowane przez Ducha Świętego, czyli przez Boga. Tego rodzaju prerogatywę ustalono w lipcu 1870 roku przez konstytucję

Pastor Aeternus z woli papieża Piusa IX, który przeczuwał bliski koniec ziemskiej władzy papieżstwa. Oto, co mówi ów dokument:

My zatem, wiernie zachowując tradycję początków wiary chrześcijańskiej, na chwałę Boga, naszego Zbawiciela, dla wywyższenia religii katolickiej i dla zbawienia narodów chrześcijańskich, za zgodą świętego soboru nauczamy i definiujemy jako dogmat objawiony przez Boga, że gdy biskup Rzymu przemawia *ex cathedra*, to znaczy gdy sprawując urząd pasterza i nauczyciela wszystkich chrześcijan, na mocy swego najwyższego apostolskiego autorytetu określa naukę dotyczącą wiary lub moralności obowiązującą cały Kościół, dzięki opiece Bożej obiecanej mu w osobie św. Piotra wyróżnia się tą nieomylnością, w jaką boski Zbawiciel zechciał wyposażyć swój Kościół dla definiowania nauki wiary lub moralności. Dlatego takie cechy biskupa Rzymu – same w sobie, a nie na mocy zgody Kościoła – są niezmiennalne⁵⁸.

Członkami Kościoła katolickiego, który uważa, że został założony przez Jezusa zwanego Chrystusem (Mesjaszem, Namaszczonym), są wszyscy ochrzczeni chrześcijanie w Kościele tym się rozpoznający. „Katolicki” wywodzi się z greckiego przymiotnika *καθολικός* – *katholikòs*, który oznacza „uniwersalny, totalny”.

Fakt, że Stolica Apostolska jest swego rodzaju enklawą na terenie Włoch, nakłada na państwo włoskie dosyć duży ciężar, pomijając nawet pewne korzyści, do których należy na przykład turystyka do miejsc świętych. Współistnienie na jednym obszarze podwójnej władzy, włoskiej i watykańskiej, stwarzało w przeszłości i nadal rodzi rozmaite napięcia i niejasne sytuacje, choćby dlatego, że dzieląca je granica to czasami kwestia kilku metrów.

Temat ten jest szeroko opisywany w książkach i mediach. Ograniczę się tu do jednego widocznego i bardzo wymownego przykładu, który z upływem czasu nie stracił na znaczeniu. Chodzi o znaną fotografię wykonaną w 1944 roku podczas nazistowskiej okupacji Rzymu. Widać na niej dwóch żołnierzy niemieckich z karabinami maszynowymi patrolujących plac św. Piotra, nieprzekraczających jednak granicy ze Stolicą Apostolską oznaczonej granitowymi płytami chodnikowymi, które zamykają obwód kolumnady. Niewielu o tym wie i nikt nie zwraca na to uwagi, lecz przechodząc po tych płytach, przemieszcza się, dosłownie, z jednego kraju do drugiego.

W okresie największej ekspansji posiadłości Stolicy Apostolskiej (Państwa Kościelnego) obejmowały znaczną część centralnej Italii (poza Wielkim Księstwem Toskani), od Terraciny, gdzie zaczynało się Królestwo Neapolu, aż po ujście Padu, gdzie rozciągały się ziemie Najjaśniejszej Republiki Weneckiej. Terytorium to stopniowo malało i w końcu zostało ograniczone do obecnych rozmiarów, gdy 20 września 1870 roku bersalierzy generała Allesandra La Marmory wtargnęli do Rzymu przez niewielki wyłom w murze uczyniony przez artylerię, kilka metrów od Porta Pia, i przyłączyli Wieczne Miasto do Królestwa Włoch powstałego dziewięć lat wcześniej (1861).

Papieżem był wtedy Pius IX, zdecydowany, jak widzieliśmy wcześniej, utrzymać swoją władzę ziemską, nawet jeżeli zarządzanie państwem pod względem ekonomicznym stało się niemożliwe. Na próżno hrabia Cavour, jeden z najświetlejszych umysłów odrodzenia Włoch, wskazywał korzyści duchowe, jakie odniósłby Kościół, porzuciwszy myśl o tego rodzaju panowaniu, jakiego nowożytny czasy już nie tolerowały.

W 1871 roku parlament Królestwa zaproponował papieżowi prawo zwane „delle Guarentigie” (gwarancji), według którego papież miał prerogatywy władcy, a w konsekwencji jego osoba była „święta i nienaruszalna”, ponadto zapewniano mu roczne wynagrodzenie w wysokości 750 tysięcy lirów oraz ekstraterytorialność Watykanu, Lateranu i Castel Gandolfo.

Pius IX odpowiedział, że wolał żyć z obola św. Piotra, i ogłosił się „więźniem” Włoch, zamykając się w obrębie murów watykańskich. Przywódcom państw katolickich zabronił udawania się do pałacu na Kwirynale, który stał się rezydencją króla Włoch. Poza tym już wcześniej wszystkim Włochom zabroniono (po raz pierwszy w roku 1868) uczestniczenia w wyborach parlamentarnych, a w tym celu posłużono się sławnym i wielokrotnie powtarzanym zwrotem *Non expedit*, który z czasem został złagodzony, lecz oficjalnie zniesiony dopiero w roku 1919.

„Zimna wojna” między Królestwem Włoch a Stolicą Apostolską zakończyła się w

lutym 1929 roku, gdy Pius XI, dzięki pomocy zdolnego sekretarza stanu kardynała Pietra Gasparriego, podpisał konkordat z szefem rządu Benitem Mussolinim. Miastu- państwu watykańskiemu zostały przyznane bardzo korzystne jak na owe czasy przywileje w stosunku do posiadanych dóbr; innych gwarancji ekonomicznych udzielono mu w umowie finansowej, która brała pod uwagę także zyski, jakie Włochom przyniosłoby Watykan dzięki napływowi pielgrzymów; ponadto katolicyzm został uznany za jedyną religię państwową Włoch. Układy polityczne i pragnienie masowego poparcia sprawiły, że Benito Mussolini z młodego ateisty i zagorzałego antyklerykała stał się uległym narzędziem w rękach zdolnych dyplomatów Kurii.

Ten pierwszy konkordat został częściowo zastąpiony nowym porozumieniem między Stolicą Apostolską i Republiką Włoch, podpisanym w 1984 roku przez kardynała sekretarza stanu Agostina Casarolego i szefa rządu włoskiego Bettina Craxiego. Jednym z głównych punktów tej ugody, którą wypracowano dzięki subtelny kompromisom, było zniesienie zapisu, że „religią państwową” jest katolicyzm. Tekst mówi: „Ustanawia się, że nie obowiązuje już zasada, pierwotnie ustalona w paktach laterańskich, na temat religii katolickiej jako jedynej religii państwa włoskiego”.

Ważny jest także nowy system dotyczący opłacania kleru, gdyż Kościół otrzymał przywilej czerpania sumy 0,8 procent deklaracji fiskalnych wszystkich opodatkowanych z wyjątkiem tych, którzy wyraźnie powiedzą, że pragną, aby ta kwota odciągana z ich podatków była przeznaczana na inne cele. Inne porozumienia dotyczą jednostek i dóbr kościelnych, nominacji na stanowiska kościelne, świąt kościelnych respektowanych przez kalendarz państwowy, uznania stopni naukowych nadawanych przez uczelnie zaaprobowane przez Stolicę Apostolską, ochronę dóbr kultury o charakterze religijnym oraz archiwów i bibliotek kościelnych.

Stosunki między Stolicą Apostolską i państwem włoskim nigdy nie były łatwe także dlatego, że z natury jest to relacja asymetryczna. Arcybiskup Rino Fisichella, rektor Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego, tak to ujął w książce (*Identità dissolta – „Utracona tożsamość”*):

Państwo, na mocy panującej w nim demokratyczności, nie tylko musi się zgodzić na konfrontację z

Kościółem, lecz także powinno być w stanie zaakceptować ewentualne jego ingerencje i dopiero w drugim posunięciu je ograniczać (...). Kościół natomiast na podstawie zasad, które wynikają z jego natury przewyższającej naturę ludzką, nigdy się nie zgodzi na żadne ingerencje państwa w jego zasady.

Jeżeli na tego rodzaju założenia nałoży się dogmat papieskiej nieomyślności, widać, jak z tych słów przebija, lekko przysłonięta wpływem czasu, wiekowa i nigdy nieznieśiona idea politycznej supremacji, której korzenie sięgają odległych walk między cesarstwem i papieństwem.

Z tej podwójnej natury, ziemskiej i, powiedzmy, „niebiańskiej”, wynika również postawa, jaką Kościół, czy raczej Stolica Apostolska, przyjmował w sytuacjach, które wzbudzały podejrzenia, krytykę pod jego adresem oraz wymagały wyjaśnień. Niektóre historie opowiedziane w tej książce wyraźnie to ukazują: brak współpracy w śledztwach, brak lub jedynie powściągliwe odpowiedzi na pytania władz i urzędów.

Podobnie postępowano – i to bardzo długo – w związku ze skandalami wokół księży pedofilów, które od roku 2009 osiągnęły skalę światową. Od „Timesa” po „Der Spiegel”, od „New Yorkera” po „Washington Post”, „Le Mond”, „El Pais”, „Frankfurter Allgemeine” i „La Repubblica” – wszystkie wiodące dzienniki świata zajmowały się tym tematem; wszystkie krytkowały to, że na przykład papież Ratzinger nie wypowiedział choć słowa krytyki w swoim przesłaniu na Wielkanoc 2010 roku. Niektórzy zażądali nawet jego „rezygnacji”, inni („Der Spiegel”) mówili o „nieudanej misji”.

Mimo to, a może właśnie dlatego, reakcje hierarchów początkowo były niezdecydowane, jakby czuli się zakłopotani tym, że globalne rozmiary skandalu wymknęły się spod kontroli zazwyczaj dość bystrej dyplomacji Watykanu. A przecież tak zwane *sollicitatio ad turpia* (molestowanie seksualne podczas spowiedzi) było, co najmniej od XVI wieku, koszmarem Kościoła, gdyż mnóstwo kapłanów dopuszczało się tego przestępstwa (i grzechu zarazem). W pierwszych reakcjach władze Watykanu mówiły o ataku na papieża, a nawet o „spisku”, i pomijały

poważniejszy aspekt, to znaczy nie tylko to, że zarzuty dotyczyły tysięcy przypadków molestowania nieletnich (czasami upośledzonych), lecz także fakt chronienia i milczenie, z jakim hierarchia oraz Kongregacja Doktryny Wiary (dawne Święte Oficjum), której przez ćwierć wieku przewodził kardynał Joseph Ratzinger, odnosiły się do prób przeprowadzenia poważnego śledztwa w tej materii.

Gorliwej obronie Benedykta XVI zadano poważny cios, gdy Associated Press opublikował 9 kwietnia 2010 roku rękopis listu napisanego w listopadzie 1985 roku przez kardynała Josepha Ratzingera na papierze firmowym Kongregacji Doktryny Wiary. Kardynał bowiem odpowiadał na przypadek zaistniały trzy lata wcześniej, kiedy to diecezja w kalifornijskim Oakland zażądała sprowadzenia do stanu świeckiego księdza Stephena Kiesle'a molestującego dzieci. W eleganckim stylu, właściwym kurialnej łacinie, kardynał odpowiadał:

Kongregacja, choć uznaje wagę argumentów przytoczonych na rzecz udzielenia dyspensy (...), uważa, że należy uwzględnić, obok dobra tych, którzy o nią proszą, także dobro całego Kościoła, a to dlatego, że nie wolno lekceważyć szkód, jakie udzielenie dyspensy mogłoby przynieść wspólnocie wierzących.

Podczas prób bronięcia owego księdza papież – i Kościół – zostali nazwani ofiarami „gwałtownego ataku”. Papieski kaznodzieja, ojciec Raniero Cantalamessa, porównał zarzuty spadające na Kościół do ataków na Żydów w okresie nazizmu. W trakcie celebracji paschalnych kardynał Sodano powiedział, że „lud Boży w żaden sposób nie da się omamić chwilowym plotkom”, sprowadzając tym samym do poziomu „plotki” doniesienia mediów na całym świecie. Kilka tygodni później arcybiskup Wiednia, kardynał Christoph Schönborn, zarzucił Sodanowi lekkomyślność z powodu tej niefortunnej wypowiedzi, a nade wszystko to, że starał się ukryć ciężki przypadek Hansa Hermanna Groera, jego poprzednika na stanowisku arcybiskupa Wiednia, oskarżonego o molestowanie seksualne.

Sodano powiedział również, że ataki na papieża Ratzingera przypominają te kierowane przeciwko Piusowi XII, papieżowi Pacellemu, z powodu jego milczenia w sprawie Shoah. Prezydent wspólnoty hebrajskiej we Włoszech Renzo Gattegna odpowiedział, że porównanie to było „nieodpowiednie, niestosowne i niebezpieczne”. Emerytowany biskup Grosseto, monsignor Giacomo Babini, w

wywiadzie opublikowanym 11 kwietnia 2010 roku na stronie internetowej *Pontifex* („Blog wolnej informacji katolickiej”) skandal pedofilski nazwał „syjonistycznym atakiem: oni nie chcą Kościoła, są jego naturalnymi wrogami. W sumie, ujmując rzecz historycznie, Żydzi są bogobójcami”. To ciężkie oskarżenie odwołano kilka godzin później. W każdym razie mieliśmy do czynienia z całą serią deklaracji i błędnych posunięć, które przemieniły się w nie mniej kłopotliwe sytuacje, z jakimi zbyt długo nie miano odwagi się zmierzyć. Natomiast w Niemczech biskup Trewiru Stephan Ackermann, wyznaczony przez Konferencję Biskupów do zajęcia się problemem molestowania seksualnego, zdobył się na odwagę, by otwarcie mówić o „ukrywaniu” i „zamiataniu pod dywan”, jak podał „Rhein Zeitung” 16 marca 2010 roku.

Podobne spostrzeżenia poczynił Clark Hoyt z „New York Timesa”. Gdy zarzucono mu antypapieskość, 25 kwietnia 2010 roku napisał:

Czy się to komuś podoba czy nie, istnieją okoliczności, które przez wiele lat ułatwiały to naganne postępowanie, włącznie z dobrze udokumentowanym systemem negowania i zamiatania pod dywan w instytucji liczącej ponad miliard wiernych. Niezależnie od tego, jak bardzo byłoby to bolesne, dziennik ma obowiązek podążać tropem wypadków do samego końca, nawet jeżeli wiodłyby nas one pod drzwi samego papieża.

15 kwietnia 2010 roku francuski dziennik online „Goliath.fr” opublikował list napisany w 2001 roku przez ówczesnego prefekta Kongregacji do spraw Kleru, kolumbijskiego purpurata Daria Castrillona Hoyosa, adresowany do Pierre’a Picana, biskupa Bayeux, skazanego na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu, ponieważ nie doniósł na księdza pedofila: „Gratuluję i pochwalam”, napisał Castrillón, „że nie doniósł Ekscelencja na księdza do władz cywilnych. Postąpił Ekscelencja słusznie i bardzo się cieszę, że mam współbrata, który w oczach historii i wobec wszystkich biskupów świata wybrał więzienie, by nie donieść na swego syna-kapłana”. Oficjalny rzecznik Watykanu Federico Lombardi natychmiast sprecyzował, że Castrillón „nie reprezentuje poglądów Stolicy Apostolskiej”. Kardynał Castrillón podkreślił jednak w odpowiedzi, w wywiadzie na hiszpańskiej stronie internetowej *La Verdad*, że „papież Wojtyła w 2001 roku upoważnił go do napisania listu

pochwalnego do pewnego biskupa francuskiego właśnie dlatego, że nie doniósł na kapłana pedofila do władz cywilnych”.

Sporo tu pomyłek, zamieszania i wewnętrznej rywalizacji, nawet jeżeli to wszystko jest jedynie wyrazem stanowiska mniejszości. Wstrząśnięty ogromnym skandalem Benedykt XVI 19 marca 2010 roku wystosował list pasterski do katolików Irlandii, w którym w sposób dość odważny – w porównaniu z zazwyczaj łagodnym tonem kościelnym – napisał między innymi:

Zadaniem, które teraz stoi przed wami, jest uporanie się z problemem nadużyć, do jakich doszło w łonie irlandzkiej wspólnoty katolickiej, i uczynienie tego z odwagą i determinacją. Niech nikt nie sądzi, że przezwycięzenie tej smutnej sytuacji nastąpi w krótkim czasie. Pozytywne kroki zostały już uczynione, ale pozostaje jeszcze wiele do zrobienia.

Z jeszcze większą energią Benedykt XVI nakazał sprawdzenie Legionu Chrystusa, organizacji założonej przez Marciała Maciela Degollada (1920–2008), kapłana pochodzącego z Meksyku, protegowanego Jana Pawła II, którego papież Ratzinger odsunął od stanowiska w 2006 roku, nakazując mu oddać się „modlitwie i pokucie”. W oficjalnej wypowiedzi z 1 maja 2010 roku papież uznał go za winnego „poważnych przestępstw” i powiedział, że prowadził on życie „pozbawione skrupułów”.

W końcu, 30 kwietnia 2010 roku, sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Włoch Mariano Crociata uznał za usprawiedliwione nagłaśnianie przypadków molestowania nieletnich przez zakonników i zakonnice. Przyznał także, że błędem byłoby określanie tego mianem kampanii mającej na celu zniesławienie: „Nie ma żadnego spisku mediów. Tego rodzaju zachowanie zasługuje na podwójne potępienie, gdy dopuszcza się go człowiek Kościoła, kapłan, osoba konsekrowana”. Sekretarz Konferencji Episkopatu Włoch zajął też bardzo twarde stanowisko w sprawie ochrony, jakiej hierarchia kościelna udzieliła osobom dopuszczającym się przemocy: „Kto zachowywał się pobłaźliwie lub praktykował przenoszenie duchownych, nigdy nie stosował się do dyrektyw Kościoła, a raczej je naruszał, wypaczając i przemieniając konieczną dyskrecję w ochronę będącą współudziałem w zbrodni”.

Słowa te nie odsłaniają całej prawdy, lecz należy je docenić, gdyż świadczą o

dobrej intencji, dowodzą, że postawa hierarchii katolickiej po wielu latach milczenia zdaje się zmieniać, przynajmniej w nieukrywaniu przypadków współudziału w przestępstwie. Poza tym niektóre kolejne posunięcia Benedykta XVI zdają się harmonizować z tą nową linią, także jeśli chodzi o inne skandale tym razem związane z handlowaniem nieruchomościami w Rzymie.

Tutaj kończy się nasza opowieść. Wiele zdarzeń, które choć rozegrały się na przestrzeni wieków w różnych okolicznościach i miały różne konsekwencje, łączy jedna wspólna cecha: wszystkie wynikały z racji stanu, która sprawia, że Stolica Apostolska jest tworem innym niż którekolwiek ze stu dziewięćdziesięciu dwóch państw tworzących Zgromadzenie Ogólne ONZ. To nieco podejrzane, że owa szczególna cecha powoduje, iż obserwator watykański funkcjonujący przy Organizacji Narodów Zjednoczonych jest jedynym, który reprezentuje państwo uważające się za bezpośrednią boską emanację.

To odwieczny dylemat, wieczna walka między niemożliwymi do pogodzenia skrajnościami: władzą polityczną i głęboką duchowością. Przychodzą tu na myśl słowa kardynała Carla Maria Martiniego, jezuita, który mógłby być papieżem, gdyby pozwoliły na to ścierające się frakcje. Przeczytaliśmy je już na początku książki, wydaje mi się jednak rzeczą słuszną zacytować je po raz drugi, na pożegnanie, gdyż mają one szczególną wymowę moralną. Pochodzą z książki kardynała zatytułowanej *Conversazioni notturne a Gerusalemme* („Nocne rozmowy w Jerozolimie”).

Kiedyś miewałem sny na temat Kościoła. Śniłem o Kościele, który kroczy drogą ubóstwa i pokory, który nie posiada władzy na tym świecie. (...) O Kościele, w którym jest miejsce dla osób potrafiących myśleć w sposób bardziej otwarty. O Kościele, który dodaje odwagi nade wszystko tym, którzy czują się malutcy lub grzeszni. Śniłem Kościół młody. Dzisiaj już nie miewam tego rodzaju snów. Po ukończeniu siedemdziesiątego piątego roku życia postanowiłem modlić się za Kościół.

Podziękowania

Winien jestem wdzięczność wielu osobom uczestniczącym w powstawaniu książki, której napisanie wymagało lat pracy. Vladimiro Polchi, niezwykle szybki, dzięki swojej bystrości i dokładności dopomógł mi w badaniach. Claudiowi Rendinie dziękuję za przyjacielską pomoc i cenne informacje. Dzięki wartościowym uwagom Laury Bains i Nunzia Giustozziego lepiej zrozumiałem pewne zagadnienia dotyczące Zamku św. Anioła.

Andrea Cane i Nicoletta Lazzari z wydawnictwa Mondadori przejrzyli tekst i opatrzyli go ważnymi uwagami krytycznymi. Korzystam z okazji, aby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nadal publikuję w tym wydawnictwie, pomimo jego dyskusyjnych finansów⁵⁹. Odpowiedź jest tylko jedna: robię to z powodu powiązań zawodowych i ze względu na przyjaźnie, jakie w ciągu lat nawiązałem z niektórymi pracownikami.

Pier Angela Mazzarino przejrzała tekst niezwykle skrupulatnie. Sabine Heymann, przygotowując niemieckie tłumaczenia mające się wkrótce ukazać, wskazała pewne nieścisłości. Antonella Colombo i Mara Samaritani z rzymskiej siedziby wydawnictwa Mondadori bardzo ułatwiły mi pracę.

W książce znajdują się setki imion, dat i opisów zdarzeń. Mimo szczegółowych korekt do opowieści mogły się wkraść pewne nieścisłości – oczywiście tylko ja jestem za nie odpowiedzialny.

⁵⁹ W ostatnim czasie z wydawnictwa Mondadori, należącego do „królestwa Berlusconi”, odeszli znani i wybitni autorzy, tacy jak Mancuso, Saviano, Citati, ponieważ uznali, że nie chcą publikować książek w wydawnictwie, które w sferze finansowej i kwestiach personalnych postępuje nieetycznie. Polemiki trwają, o czym informuje prasa (przyp. tłum.).

Wybrana bibliografia

- Augias, Corrado, *Sekrety Rzymu: opowieści, miejsca i ludzie pewnej stolicy*, przeł. Krystyna i Eugeniusz Kabatcowie, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2008.
- Azzara, Claudio, *Il papato nel Medioevo*, il Mulino, Bolonia 2006.
- Baigent, Michael, Leigh, Richard, Lincoln, Henry, *Święty Graal, święta krew*, przeł. Robert Sudół, Książka i Wiedza, Warszawa 2005.
- Brown, Dan, *Kod Leonarda da Vinci*, przeł. Krzysztof Mazurek, Albatros, Sonia Draga, Warszawa, Katowice 2004.
- Buckley, Veronica, *Christina, Queen of Sweden*, Fourth Estate, Londyn 2004.
- Caffiero, Marina, *Battesimi forzati. Storie di ebrei, cristiani e convertiti nella Roma dei papi*, Viella, Rzym 2004.
- Cardini, Franco, *La nascita dei Templari. San Bernardo di Chiaravalle e la cavalleria mistica*, Il Cerchio, Rimini 1999.
- Deaglio, Enrico, *Patria 1978–2008*, il Saggiatore, Mediolan 2009.
- Del Col, Andrea, *L’Inquisizione in Italia dal XII al XXI secolo*, Mondadori, Mediolan 2006.
- Demurger, Alain, *Vie et mort de l’ordre du Temple, 1120–1314*, Edition Nathan, Paryż 1998.
- *Chevaliers du Christ, les ordres religieux militaires au Moyen Âge*, Le Seuil, 2002.
- *Les Templiers. Une chevalerie chrétienne au Moyen Âge*, Le Seuil, 2005.
- Di Giovacchino, Rita, *Storie di alti prelati e gangster romani. I misteri della chiesa di Sant’Apollinare e il caso Orlandi*, Fazi, Rzym 2008.
- Discepoli di Verità, *Bugie di sangue in Vaticano*, Kaos, Mediolan 1999.
- Ebert, Theodor, *Der rätselhafte Tod des René Descartes*, Alibri Verlag, Aschaffenburg 2009.
- Fattorini, Emma, *Pio XI, Hitler e Mussolini. La solitudine di un papa*, Einaudi, Turyn 2007.
- Firpo, Massimo, *Vittore Soranzo, vescovo ed eretico. Riforma della Chiesa e Inquisizione nell’Italia del Cinquecento*, Laterza, Rzym 2006.
- Fisichella, Rino, *Identità dissolta*, Mondadori, Mediolan 2009.
- Fontana, Carlo, *Il tempio vaticano (1694)*, red. Giovanna Curcio, Electa, Mediolan 2003.
- Frale, Barbara, *Templariusze i Całun Turyński*, przeł. Grzegorz Rawski, Wydawnictwo WAM, Kraków 2011.
- Galli della Loggia, Ernesto, Ruini, Camillo, *Confini. Dialoghi sul cristianesimo e il mondo contemporaneo*, Mondadori, Mediolan 2009.
- Gibbon, Edward, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, przeł. Zofia Kierszys, PIW, Warszawa 1995.
- Gramsci, Antonio, *Listy z więzienia*, przeł. Mieczysław Brahmer, Czytelnik, Warszawa 1950.
- Gregorovius, Ferdinand, *Historia miasta Rzymu w średniowieczu*, przeł. i oprac. Henryk Pietruszczak, Zgorzelec 2009.
- Kertzer, David I., *Papieże a Żydzi: o roli Watykanu w rozwoju współczesnego antysemityzmu*, przeł. Agnieszka Nowakowska, W.A.B., Warszawa 2005.
- *Prisoner of the Vatican: The Pope’s Plot to Capture Italy from the New Italian State*, Houghton-Mifflin, Boston 2004.
- Kressmann Taylor, Kathrine, *Adresat nieznany*, przeł. Beata Reys, Wydawnictwo VEDA, Warszawa 2004.

- Lacchei, Massimo, *Verbum dei et verbum gay*, Edizioni Libreria Croce, Rzym 1999.
- Lizerand, Georges, *Le dossier de l'affaire des Templiers*, Honoré Champion, Paryż 1923.
- Longo, Elena, *Vita quotidiana di una numeraria nell'Opus Dei*, „Clarettianum”, XLVI, 2006.
- Martini, Carlo Maria, *Conversazioni notturne a Gerusalemme. Sul rischio della fede*, Mondadori, Mediolan 2008.
- Messori, Vittorio, *Śledztwo w sprawie Opus Dei*, przeł. Anna Wieczorek-Niebielska, „Fronda”, Warszawa 1998.
- Miccoli, Giovanni, *I dilemmi e i silenzi di Pio XII. Vaticano, Seconda guerra mondiale e Shoah*, Rizzoli, Mediolan 2007.
- Moro, Renato, *La Chiesa e lo sterminio degli ebrei*, il Mulino, Bolonia 2002.
- Natali, Marina, *Il Palazzo del Quirinale*, Libreria dello Stato, Rzym 1989.
- Nicotri, Pino, *Emanuela Orlandi, la verità*, Baldini Castoldi Dalai, Mediolan 2008.
- Nuzzi Gianluigi, *Vaticano S.p.A.*, Chiarelettere, Mediolan 2009.
- Pinotti, Ferruccio, *Poteri forti*, Rizzoli, Mediolan 2005.
- *Opus Dei segreta*, Rizzoli, Mediolan 2007.
- Pinotti, Ferruccio, Gumpel, Udo, *L'unto del signore*, Rizzoli, Mediolan 2009.
- Politi, Marco, *Il ritorno di Dio. Viaggio tra i cattolici d'Italia*, Mondadori, Mediolan 2005.
- Raw, Charles, *La grande truffa. Il caso Calvi e il crack del Banco Ambrosiano*, Luciano Luffarelli, Mondadori, Mediolan 1993.
- Romano, Giuseppe, *Opus Dei: posłannictwo, inicjatywy, ludzie*, przeł. Anna Księżopolska-Makuracka, Anna Wieczorek-Niebielska, Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2002.
- Seneka, *O życiu szczęśliwym w: Dialogi*, przeł. Leon Joachimowicz, Zysk i S-ka, Poznań 1996.
- Gajusz Swetoniusz Trankwillus, *Żywoty cesarów*, przeł. i oprac. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Ossolineum, Wrocław 1969.
- Tacyt, *Roczniki w: Dzieła*, t. 1, przeł. Seweryn Hammer, Czytelnik, Warszawa 1957.
- Tapia, Maria del Carmen, *Oltre la soglia. Una vita nell'Opus Dei*, Gianni Guadalupi, Baldini Castoldi, Mediolan 1998.
- Tornielli, Andrea, *Pio XII. Un uomo sul trono di Pietro*, Mondadori, Mediolan 2007.
- Ugolini, Romano, *Perugia 1859: l'ordine di saccheggio*, „Rassegna storica del Risorgimento”, LIX, III, lipiec–wrzesień 1972.
- Verdon, Timothy, *La basilica di San Pietro. I papi e gli artisti*, Mondadori, Mediolan 2005.
- Vian, Giovanni Maria, *La donazione di Costantino*, il Mulino, Bolonia 2004.
- Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1987.
- Wolf, Hubert, *Index. Der Vatikan und die verbotenen Bücher*, C.H. Beck, Monachium 2006.
- *Archiwa Watykanu a III Rzesza*, przeł. Jadwiga Wolska-Stefanowicz, Bellona, Warszawa 2010.
- Yallop, David, *W imieniu Boga?: śledztwo w sprawie zamordowania Jana Pawła I*, przeł. Jerzy Hernik, Da Capo, Warszawa 2001.
- Zeri, Federico, *L'arco di Costantino: divagazioni sull'antico*, Nino Criscenti, Skira, Mediolan 2004.
- Zizola, Giancarlo, *Il conclave, storia e segreti: l'elezione papale da san Pietro a Giovanni Paolo II*, Newton Compton, Rzym 2005.

Corrado Augias, znany dziennikarz i ważna postać włoskiego życia publicznego, podejmuje w tej książce zwykle pomijany milczeniem temat Watykanu jako państwa, które obok swej roli religijnej ma również wymiar świecki: posiada terytorium, hymn i flagę, wojsko, dyplomację, bank i walutę.

Jak Kościół próbował utrzymywać delikatną równowagę między swą misją duchową a polityczną naturą państwa? Jak udaje mu się to współcześnie?

W jaki sposób istnienie Kościoła jako instytucji religijnej, lecz zarazem struktury świeckiej wpływa na życie ludzi, którzy się z nim stykają?

Z bogatych dziejów Watykanu autor wybrał kilkanaście znaczących historii – począwszy od czasów Nerona aż po współczesność – i w ten sposób oddaje napięcie, jakie za sprawą Stolicy Apostolskiej towarzyszy zarówno całemu społeczeństwu, jak i pojedynczym osobom, wywierając niebagatelny wpływ na ich życie, niezależnie od wyznania i poglądów na religię.

SEKRETY WATYKANU



REBIS

www.rebis.com.pl